PRZEGLĄD POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK ÓSMY. — TOM XXX.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1891.

KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1891.

WINDTHORST I BISMARCK.

Zeszli z widowni dwaj potężni zapaśnicy, których walce przypatrywał się świat od lat dwudziestu. Jeden dopiero zamknął powieki, drugi już przed rokiem padł, ale przeżył przeciwnika — i siebie.

Był czas, kiedy Bismarck był ogromem, przed którym drżał wszystek świat. Królowie mu się podchlebiali i traktowali go, jak panującego; każdodzienny jego kaprys był prawem dla Europy. Windthorst podówczas był cichym przywódcą szczupłego jeszcze grona posłów, poniewieranego przez wszystkie partye, ogłoszonego przez usta kanclerza wrogiem ojczyzny. Dziś nad trumną Windthorsta wznosi się wielka, czysta, jednogłośna chwalba — hołdy mu składają nietylko ci, których prowadził do bojów i zwycięstw, ale nawet polityczni wrogowie i ludzie wszystkich stronnictw i wyznań, uznając, że szczerze i pożytecznie krajowi służył [1]; cześć mu oddaje nietylko Głowa katolickiego Kościoła,

[1] Główny organ środkowo-niemieckich demokratów, *Frankfurter Ztg,* mówi: „Centrum w czasach, kiedy prowadziło walkę o najświętsze obywatelskie i ludzkie prawa, miało nieustraszonych i świetnych bojowników. Czem byli dla niego taki Mallinckrodt, taki Schorlemer, czem byli obaj weterani Reichenspergerowie, o tem się nigdy nie zapomni. Takie siły, jeźli tego miałaby być potrzeba, pojawią się i później w szeregach Centrum; ale te wszystkie siły razem nie dorównają onemu politycznemu geniuszowi, który posiadała partya w jednym i jedynym Windthorście. Nikt nie rozumiał lepiej znaczenia Windthorsta, jak książę Bismarck. — W Windthorście

iż dobrze bojował bój pański — ale też głowa państwa niemieckiego, iż był dobrym, choć późno ocenionym doradcą. I ta chwalba jest tak piękną, tak jednogłośną, bez żadnego rozdźwięku — że kto wie, czy Bismarck w swem ponurem ustroniu, słuchając jej odgłosów, nie wsparł na dłoni zachmurzonego czoła i nie zadumał się nad pytaniem: Czy mnie większe czeka uznanie?

Bismarck był niezaprzeczenie o wiele potężniejszą osobistością. Obdarzony wyjątkową bystrością rozumu, siłą woli żelazną, śmiałością, prędkością w decyzyi i energią w wykonaniu, która cechuje wielkich wodzów. Skupiał on w sobie wszystkie przymioty swej potężnej rasy. Nawet ujemne strony jego charakteru, w warunkach jego egzystencyi i w kierunku, w jakim szedł, potęgowały materyalnie jego siłę: buta jego i brutalność junkierska uginała przed nim karki, jego znana zawziętość szerzyła dokoła niego trwogę, jego brak zasad pozwalał mu przerzucać się najswobodniej z jednego toru na drugi, a nie wahać się nigdy

widział on tę duchową i polityczną spójnię (*Spannkraft*), która te różnorodne członki trzymała razem i do takiej wzniosła potęgi, z którą nawet tak wielki mąż stanu, jak Bismarck, liczyć się musiał".

Norddeutsche Allgem. Ztg pisze: „Windthorst opuścił ten świat w chwili, kiedy napewno spodziewano się, że ważne ojczyźnie swej odda usługi. Prócz sympatyi, jaką zjednał sobie, biorąc udział przez tyle lat w życiu parlamentarnem, żal po jego zgonie będzie powszechnym głównie dlatego, że nadzieje, pokładane w jego poparciu i współpracownictwie, nie mogą się spełnić. Wszędzie i wśród przeciwników politycznych, zasługi Windthorsta znalazły uznanie, każdy w nim ceni zręczną, wytrwałą i skuteczną pracę dla sprawy, której służył".

„W ujmujący sposób — mówi jeszcze *Frankfurter Ztg* — umiał on wśród walki oddzielać osoby od spraw, tak że w pełni zastosować możemy do niego, często nadużywane wyrażenie: Licznych miał przeciwników, ale żadnego nieprzyjaciela".

Bismarckowska nacyonalno-liberalna *Allgemeine Ztg* pisze: „Cała walka byłaby inny miała z pewnością koniec, gdyby po jednej stronie jako dowódca nie był stał Windthorst, „perła z Meppen", który wzbił się do takiego stanowiska, do jakiego w Prusiech i w Niemczech nie doszedł żaden jeszcze członek parlamentu, i ledwo ktoś znowu dojść zdoła... Szczególny ten mąż świetniej skończył, niż rozpoczął — a to o niewielu tylko można powiedzieć".

Podobnie wolnomyślna *Breslauer Ztg*, *Hamburger Nachrichten* i t. p.

w wyborze środków. Fortuna też, niemniej jak natura, była dla niego szczodrą. Dojrzewał on na męża wtedy właśnie, kiedy jego ojczyzna kończyła tę organiczną pracę odradzania się, rozpoczętą nazajutrz po Jenie; zastał siły narodu gotowe; zastał na tronie nie człowieka słabego i chwiejnego, jak Fryderyk Wilhelm III., ani liberalnych przekonań, jak Fryderyk Wilhelm IV. i Fryderyk III., ani niezdolnego znieść tuteli, jak dziś panujący — ale monarchę mniej samodzielnego, a dosyć kochającego swój kraj i dosyć stałego charakteru, żeby zaufanie, raz z przekonania dane, niezachwianie zachować. W położeniu współczesnem państw sąsiednich było też wiele szczęścia dla kierownika polityki pruskiej. A kiedy tenże kładł wszystko na jednę kartę — jak pod Sadową — fortuna brała na siebie tę jednę kartę wyciągnąć.

Ale powiedzieć trzeba, że ten wybraniec losu umiał wyzyskać te warunki i z tymi środkami dokazał rzeczy nadzwyczajnych: rozgromił Austryę, która przewodziła Niemcom, i Francyę, która przewodziła Europie: w sercu nieprzyjacielskiego kraju, w złotych komnatach Ludwika XIV., włożył na głowę swego pana koronę Karola Wielkiego, otaczając go rzeszą królów i książąt. Zbudował wielkie państwo niemieckie. Mędrszym był od Aleksandra i Napoleona, bo się zatrzymał w swym zwycięskim zapędzie, uchronił się od zawrotu głowy, którego dostają ludzie na takiej wysokości (*Cäsarenwahn*) — i pracował przez lat dwadzieścia nad ustaleniem tego, co stworzył.

Jestto niezaprzeczenie zawód olbrzyma. Ale temu olbrzymowi jednej rzeczy brakowało: będąc czcicielem siły, wszystko na korzyść brutalnej siły poświęcał, a nie rozumiał wcale, że istnieją jeszcze inne potęgi: siły moralne — i na tym punkcie się przerachowywał.

Nie zrozumiał np., że patryotyzm jest siłą — którą może zwolna przerobić historya, ale której nie można zdobyć bagnetami. Wykrawywał więc, o nic nie pytając, całe prowincye z Danii i z Francyi, nawet takie, co śladu niemieckości nie miały, jak Metz; porywał się do wyrugowania naraz polskiego żywiołu ze starych polskich prowincyj; używał przeciwko uczuciom środków brutalnych, o których dziejowe doświadczenie przekonało,

że wręcz przeciwny wywołują skutek; ścigał policyjnie, gnębił wyjątkowemi prawami, uciekał się do takich oburzających zamachów, jak banicye i urzędowa kolonizacya... I do czegoż doprowadził? Nawet takie prowincye, które przy innem, łagodnem i uprzedzającem traktowaniu byłyby się w dwóch latach zrosły z Niemcami, jak Holsztyn i Alzacya, po dwudziestu latach aneksyi są jeszcze zaciętymi wrogami cesarstwa. Patryotyzm polski, który przedtem tlił się jedynie w klasach oświeceńszych, wskutek ucisku ogarnął cały lud — i nawet Szlązk, od wieków pruski, zaraził. Widocznie nie zrozumiał Bismarck, co to jest narodowość.

Nie zrozumiał również, że sprawiedliwość jest siłą. To poszanowanie sprawiedliwości i prawa, które stanowiło najdroższy klejnot i moralną siłę Prus, z lekceważeniem, z szyderstwem na ustach poniewierał, szarpał wedle potrzeby chwili. Przy tym uroku, jakim go otaczało powodzenie i idea państwa, której zdawał się być uosobieniem, wzywał on i wprawiał wszystkie organa społecznego ustroju do współdziałania ze sobą w domniemanym interesie państwa, z pominięciem wszelkich innych względów i szkrupułów. Sądownictwo pruskie, słynne dawniej z prawości i niezależności swojej, przyuczył on w kulturkampfie do sądzenia w myśl chwilowego kierunku rządu. Partyę konserwatywną, złożoną z mężów wiernych Ewangelii i tradycyom, przeważnie ze starych rodów pruskich, która stanowiła naokoło tronu macedońską falangę Prus, pociągnął w istny taniec piekielny za sobą, zmusił do zmieniania trzy razy na dzień zasad politycznych, do uchwalania praw najprzeciwniejszych ich przekonaniom, które podcinały krzewy protestantyzmu, tak starannie przez nich uprawiane. Każdego, co się na jakie zasady w polityce powoływał, on wydrwiwał cynicznie. A gdy się najbardziej krzyczących dopuszczał samowoli, gdy np. z uśmiechem na ustach 30.000 niewinnych na tułaczkę skazywał — a przeciwstawiano mu w parlamencie powagi prawnicze Prus, poczytujące taki krok za przeciwny prawu narodów, on na seryo się dziwił, jak można mówić, żeby państwo nie miało prawa czynić czegoś, co uważa za korzystne dla siebie!

I do czegoż doprowadził? — Do tego, że w istocie osłabił to, co było moralną siłą Prus i po wielkiej części powodem ich wzrostu. Ale on tego rodzaju siły nie rozumiał. Słusznie powiedział o nim cesarz Fryderyk, wówczas jeszcze następca tronu: Bismarck jest dla mego ojca wygodnym ekonomem, wszystkiego mu na żądanie dostarcza — ale dzikie gospodarstwo prowadzi, niszcząc siły produkcyjne.

Jeszcze mniej zrozumiał Bismarck, że religia katolicka jest siłą — i tu jeszcze widoczniej przerachował się i przegrał. Spróbował najprzód intrygować w łonie Kościoła; myślał, że mu się uda stworzyć osobny katolicyzm dla Niemiec, czyli starokatolicyzm, — głaskał niezgrabną ręką i groził zarazem. Napróżno! Po chwili zobaczył, że mu nic w rękach nie zostało, prócz kilku brudnych sutan. Przerzucił się więc do gwałtów: ustawami majowemi gwałcenie sumień przedzierzgnął w prawo, gwałtami w wykonaniu prześcignął jeszcze ustawy; więził, wywłaszczał, ogładzał, wyrzucał z kraju, oskarżał o sojusz czarnego z czerwonym internacyonałem... I na czem się skończyło? — Przegrał. Nietylko pod tym względem przegrał, że zmuszony był zatrąbić do odwrotu i starać się o zgodę z tą Głową Kościoła, której był zasadniczo wszelkich praw w swojem państwie zaprzeczył — ale przegrał daleko bardziej przez to, że własna jego sprawa w tej walce niepowetowane poniosła szkody. Walkę wypowiedział katolicyzmowi, bo upatrywał w nim niewygodną dla państwa potęgę — tymczasem katolicyzm w Prusiech był wtenczas jeszcze bardzo anemiczny, a dopiero wskutek tej walki urósł na prawdziwie wielką, nietylko religijną, ale socyalną i pośrednio polityczną potęgę, uświadomił się w całej pełni klerowi i ludom, zorganizował się w synodach fuldajskich, w stronnictwie Centrum, w tysiącznych stowarzyszeniach. I dziś władza i samoistność Kościoła w tych krajach jest daleko silniejszą, niż gdy była zapisaną w kodeksie pruskim — bo jest w świadomości każdego wieśniaka.

Z drugiej strony pociski, wymierzone w prawach majowych przeciwko katolicyzmowi, padły w rzeczy samej na protestantyzm — tę jedyną siłę, poniekąd współrzędną, jaką państwo pru-

skie mogło katolicyzmowi przeciwstawić — i wiele jemu ciężkich ran zadały — jak zgóry ostrzegł sędziwy Gerlach, a dziś wszyscy bez wyjątku przyznają. Co więcej, ta walka religijna zmniejszyła, poderwała to zaufanie do rządu i bezgraniczną uległość, jaką się najbardziej odznaczały katolickie prowincye, Westfalia i Szlązk; ona wykopała przepaść między rządem a ludem prowincyj polskich, i ona to uczyniła tę ludność tak podatną na rozbudzenie uczuć narodowych — co dziś jest rządowi tak bardzo niemiłem. Ona wreszcie, podkopując religijność, w protestanckich jeszcze bardziej, niż w katolickich stronach, uczyniła cały lud niemiecki podatniejszym na wpływy socyalizmu.

To samo zapoznanie sił duchowych, a przecenianie siły brutalnej sprawiło, że żelazny kanclerz nie zrozumiał istoty socyalizmu. Wziął go za stowarzyszenie, goniące za interesem — a że jest w nim doktryna, że jest swego rodzaju ideał, że nurtują w nim głębokie uczucia, że jest w nim jednem słowem coś do religii podobnego — tego wcale nie pojął, a przynajmniej nie ocenił. Ztąd, igrał z socyalizmem, jak z zabawką; mówił z uśmiechem w parlamencie, że nic nie szkodzi parę kropel socyalizmu wpuścić w żyły państwa, że chętnie zobaczy w izbie do 25 posłów socyalnej demokracyi — a wtedy powie: hola! Nadstawiał nawet ucha ich doktrynerom; z ich teoryi, cokolwiek zdawało się potęgować centralizacyę, moc i sferę działania władzy, przypadało mu do smaku; nie wahał się nawet puścić na legiferowanie w tym kierunku, i gdyby go Centrum nie było hamowało, trudno przewidzieć, gdzieby się był oparł. A i tak doprowadził do przyjęcia ustaw niebezpiecznych, zawierających logicznie pryncypia socyalistyczne: jak np. zabezpieczenie przymusowe od starości, do którego państwo trzecią część dokłada — t. j. innemi słowy: pensya od państwa dla wszystkich robotników — którą przyjąwszy w zasadzie, niema żadnej racyi odmówić dalszego jej powiększenia.

Tak więc z jednej strony Bismarck otwierał wrota zasadom socyalizmu — zasad się nie bał — z drugiej strony, gdy widział, że się coś rusza, ciężką ręką gnębił ludzi i związki, kuł na nich

prawa wyjątkowe, konfiskował gazety i drukarnie, więził, wypędzał z kraju — zmuszał do działania skrytego i spiskowania.

I tu znowu rezultat okazał, że Bismarck nie zrozumiał tej duchowej siły. Przed jego rządami, socyalizm w Niemczech istniał tylko po książkach, dziś jest on w masach, większą niż gdziekolwiek indziej potęgą, z uznanymi wodzami i programem. Brutalna represya dała mu tylko aureolę wyznawstwa, skupiła w jedność partye, które go początkowo dzieliły, nauczyła go działać podziemnie i spiskować. Prawdziwie zasłużył sobie Bismarck na świadectwo, jakie mu dali przywódzcy socyalizmu: że robił ich robotę.

Takie są niedostatki w dziele organicznem Bismarcka — dlatego, że sił moralnych nie znał. Dziś nawet sami jego zwolennicy przyznają, że polityka wewnętrzna była słabą stroną jego rządów: zato całą chwałę przenoszą na politykę zewnętrzną. Nikt nie przeczy, i sami powiedzieliśmy na początku, że na tem polu wielkich rzeczy dla swego kraju dokonał. Przyznać jednak trzeba, że i tu dzieło jego byłoby jeszcze wspanialsze i mocniejsze, gdyby nie znowu to zapoznanie sił i czynników moralnych. Nie oceniając patryotyzmu, Bismarck nie domyślił się, że Francya po 20 latach będzie tak samo czuła swe okaleczenie, jak nazajutrz po przegranej, i że jej zawziętość będzie wciąż wisiała jak czarna chmura nad Niemcami — co w niejednej konjunkturze politycznej było i będzie bardzo niedogodnem. Nie zrozumiał ten żelazny mąż, że taki kraj jak Francyę trzeba było albo wymazać z karty Europy — albo (gdy to było niemożebnem) terytoryalnie jej nie naruszać.

Nie oceniając prawa i sprawiedliwości międzynarodowej, Bismarck, tak jawnie nią poniewierał, tak chełpliwie pozwalał głosić, że wszystkie wojny jakie wydał pod pretekstem obrony, były zdala przez niego przygotowane, a preteksty w chwili odpowiedniej przez niego wymyślone [1]; tak wyraźnie i groźnie da-

[1] Książka Busch'a o Bismarcku, na podstawie jego własnych papierów napisana.

wał uczuć wszystkim, że każdemu wyda wojnę, skoro to uzna za korzystne; a przytem bezpieczeństwo własnego państwa tak wyłącznie i ostentacyjnie opierał na wciąż rosnącej sile zbrojnej — że koniec końcem wszystkie państwa, nawet neutralne, uczuły potrzebę zbrojenia się i zbrojenia bez końca; wiara w traktaty i uczciwość polityczną znikła do reszty; zapanował w Europie brutalny militaryzm, z nieobliczalnemi szkodami w materyalnej i moralnej sferze, oraz z nieustannem niebezpieczeństwem dla wszystkich państw — nie wyjąwszy Niemiec.

Wreszcie ta junkierska buta, z jaką dyplomacyę prowadził, ta bezprzykładna samowola, z jaką obcych poddanych rugował, ta bezwzględność, z jaką u siebie inne narodowości, polską i francuską, gnębił — to wszysto odbiło się w pewnej mierze w stosunkach europejskich. Zaraz Rosya ośmieliła się podobnie z Niemcami postępować; może lada dzień którykolwiek inny kraj pójść tą samą utorowaną już drogą — i jakież dzikie czekają nas w Europie stosunki!

Jeżeli Napoleon, schodząc z widowni, zostawił Europę wyciśniętą z krwi, to Bismarck zostawił ją wyzutą z resztek moralności politycznej — i dlatego pod bronią, nawet wśród pokoju. Obniżył on i tak już niski jej poziom etyczny i ton stosunków międzypaństwowych. Narody zostawił najeżone bagnetami, zawzięte przeciwko sobie, zabarykadowane cłami i groźbą banicyi obcych... Tak się przedstawia jego dzieło w polityce zewnętrznej.

* * *

A co uczynił jego przeciwnik parlamentarny, Windthorst? Nie był on mu równy, jak powiedzieliśmy, ani geniuszem własnym, ani sytuacyą stworzoną przez zewnętrzne okoliczności; ale miał właśnie to, czego Bismarckowi brakowało: Bismarck stanął na biegunie siły — Windthorst zajął biegun prawa i sprawiedliwości. Jak Bismarck nie stworzył siły żywotnej Prus, tylko ją znalazł, a pokierował i rozwinął, tak Windthorst nie stworzył Centrum; pierwszym jego inicyatorem był nieodżałowany Mallinckrodt; ale Windthorst współpracował przy jego założeniu; a gdy po dwóch latach Mallinckrodt umarł, objął kierownictwo partyi,

i przez blisko 20 lat, wśród nieustającej nawałnicy, rudlował tak szczęśliwie, że Centrum wzmagało się ustawicznie, skupiając w sobie najlepsze siły kraju; przebyło w ciągu tej długiej, jak na partyę polityczną, egzystencyi, najświetniejsze walki, trzymało w szachu najpotężniejszego wroga, olśniło świat wymową i prawdą, której cały lud niemiecki jak kazania słuchał, oddało ojczyźnie i Kościołowi wielkie i powszechnie już uznane usługi — i zacząwszy, przy założeniu w 1871 r., od 7 członków, dziś ich ma przeszło 100, jest najpotężniejszą partyą w parlamencie niemieckim, i wyjątkowo pięknem w dziejach nowożytnego parlamentaryzmu zjawiskiem.

Jakimże cudem stało się to wszystko? Mówią o wielkiej zręczności Windthorsta; niezawodnie wielka zręczność, wielka przezorność i przytomność umysłu była w takich warunkach potrzebną; ale żeby wśród tylu zawikłań znaleść zawsze prostą i prawą drogę — żeby stawić czoło dzień za dniem bądź gwałtownym napaściom kanclerza, bądź skrytym jego zasadzkom — żeby się oprzeć insynuacyom przeróżnych stronnictw, od wolnomyślnych aż do socyalistów — żeby tylu posłów, niezłączonych odrębną narodowością, jak nasze koła parlamentarne, a przedstawiających tak różnorodne interesa materyalne, szarpanych w różne strony duchem partykularyzmu i względami dla korony, w ciągłej jedności utrzymać — na to czegoś więcej było potrzeba, niż zręczności wodza: potrzeba było silnych a jasnych zasad. I w rzeczy samej na zasadach, a nie na taktyce, ani na zmiennych interesach chwili stanęło Centrum. W rok po założeniu cesarstwa, gdy już w rządzie, świadomym swej siły, poczynały się objawiać zapędy do rządzenia samowolnie i łamania wszelkiej zapory, z uszczerbkiem praw i uczuć ludów, w skład nowego państwa wchodzących, znaleźli się w parlamencie ludzie silnych przekonań, kochający sprawiedliwość nadewszystko, którzy dla jej obrony złączyli się w jedną frakcyę, i ogłosili swój program:

> — Zasadniczy charakter państwa, jako związkowego, winien być nietykalny; więc zwalczać należy przeciwne dążności. Uszczerbek samorządu pojedyńczych krajów o tyle tylko może być usprawiedliwiony, o ileby byt całości niezbędnie tego wymagał.

— Moralne i materyalne dobro wszystkich bez wyjątku klas społecznych należy się według sił popierać.

— Dla ochrony cywilnej i religijnej wolności wszystkich poddanych państwa starać się trzeba o gwarancye prawnomocne.

— Szczególnie ochraniać należy prawa stowarzyszeń religijnych od wkraczania ustawodawstwa.

Otóż cała dwudziestoletnia historya Centrum niczem innem nie jest, tylko logicznym rozwojem i stosowaniem tych zasad. Centrum żyje i rośnie, przybierając coraz nowych ludzi; lecz punktem zbornym tych ludzi, to nie są osoby przywódców ani bieżące interesa, ale te zasady: i ci tylko do Centrum wchodzą, którzy w nie wierzą i stawiają je nadewszystko — to jedynie umożliwia trwałą łączność. Z początku i protestanci wierzący, jak Gerlach, do centrum należą; później naturalnym biegiem wypadków przy coraz większym rozkładzie protestantyzmu a wzroście katolicyzmu, frakcya staje się wyłącznie katolicką.

Centrum żyje i rośnie, podejmując coraz nowe sprawy, jakie bieg wypadków przywodzi; ale wszystkie sprawy sądzą się podług tych zasad — i to umożliwia jedność zdania i czynu; to uchyla prywatę, której Centrum wyzbyło się więcej, niż którekolwiek stronnictwo parlamentarne na świecie; to sprawia, że ci ludzie umieją się wznieść nietylko ponad widoki osobiste, ale nawet ponad poglądy narodowe: choć, jako Niemcy, dzielą zapewne niechęci i uprzedzenia swego narodu do nas Polaków, przecież ile razy krzywdzono nas w prawach naszych przyrodzonych, ile razy wyjmowano nas zpod prawa — tyle razy mężnie zastawiali się za nami [1]. A ten związek z Polakami nie był wcale z ich strony taktyką, owszem, przy niepopularności naszej sprawy,

[1] Któraś z naszych gazet zarzuciła najniewłaściwiej pamięci Windthorsta, że przy ostatnich wyborach nie przeszkodził stawianiu kandydatów Centrum przeciwko Polakom w Prusach zachodnich. Chyba jeszcze zarzucić mu należało, że nie mówił pacierza po polsku! Trudno przecież żądać od Niemców, żeby uznali wyłączne prawa Polaków do Prus zachodnich; a kiedy tam znajdują pewną ilość ludności katolickiej niemieckiej, nie można się dziwić, że próbują swoich kandydatów przeprowadzić (jak my czynimy gdzieindziej). Jeżeli koło nasze nie chce się spotykać z współzawodnictwem

a zawziętości kanclerza, ciążył im w walce parlamentarnej kulą u nogi; ale widząc krzywdę, obstawali za sprawiedliwością, z przekonania, według swego programu.

Te same zasady, jasno pojęte, oryentowały Centrum, jak igła magnetyczna, w najzawikłańszych sytuacyach, one nadały jego polityce tę ciągłość i stałość niezachwianą, którą cały świat podziwiał. Podczas gdy groźny kanclerz przerzucał się na przeróżne strony, opierał się naprzemian na wszelkich teoryach, dziś nazywał białem to, co wczoraj mienił czarnem, — podczas gdy inne polityczne stronnictwa, porwane po kolei w jego żelazny uścisk, przeróżne odbywały zwroty, Centrum jedno się nie zachwiało, nawet w niebezpiecznych chwilach, kiedy kanclerz do niego się zbliżał — bo Centrum jedno stało na zasadach.

Te wreszcie zasady zapewniły temu stronnictwu szeroki wpływ na ludność i ciągły z nią kontakt. Ludność nie rozumie subtelności taktyki parlamentarnej, nie ocenia zwykle drobnych korzyści, jakie uzyskują jej przedstawiciele, ale rozumie zasady jasno wypowiedziane, kiedy są zgodne z jej przekonaniami, zwłaszcza z jej katechizmem: wtedy ona uchem i sercem słucha ich mów w parlamencie, drga w akord z ich słowami; a choćby ich mowy innej nie odniosły korzyści, już to samo spotęgowanie łączności posłów z ludnością jest najrealniejszym dla stronnictwa zyskiem, bo wzmocnieniem wewnętrznem i zarodem dalszego wzrostu i późniejszych zwycięstw.

I mówić tu, że polityka zasad nic nie warta, że zasady moralne nie są siłą — kiedy one jedne stworzyły i wzmogły Centrum, i dały mu zwycięstwo!

Centrum miało szczęście posiadać nietylko zasady i program, ale i godnego przywódcę.

Aby być przywódcą stronnictwa konserwatywno-katolickiego, trzeba być czystym jak łza — bo się nosi biały sztandar i jest

Centrum przy wyborach, to do niego należy wejść z Centrum w odpowiednie układy. — Nie temu się dziwić trzeba, czego posłowie z Centrum dla nas nie zrobili, ale temu się dziwić, że coś zrobili dla nas.

się na wszelkie pociski wystawionym; trzeba być katolikiem wierzącym i praktykującym — inaczej niema się zupełnej łączności duchowej ze swoimi; oprócz tego trzeba być bystrym, wymownym, pracowitym i inne posiadać przymioty, które każdy wódz partyi mieć winien.

Windthorst był takim. Trzymając sztandar, pierwszy był zawsze gotów do jego obrony. — Wspaniały i straszny był Bismarck, gdy stojąc u ławy ministeryalnej, rzucał pogardliwem i wyzywającem spojrzeniem na cały parlament — i zdawało się, na cały kraj i całą Europę; gdy na ludzi i na stronnictwa miotał swe gniewy lub szyderstwa, a w tem odsłaniał, od niechcenia, jakieś niespodziane zwroty i jowiszowe zamachy, jakieś przeróbki Europy, traktując protekcyonalnie obcych mocarzy i rzucając postrach i zamieszanie w ich gabinety. Wszyscy w izbie w głuchem milczeniu słuchali; czuć było w każdem słowie mowcy tę pewność siebie, jaką daje milion bagnetów za plecami. — Ale czy nie był to także wspaniały widok, gdy ów wątły staruszek, z czarną czapeczką na łysej głowie, powolnym krokiem przysuwał się do stołu sprawozdawców; w tej chwili ze wszystkich krzeseł izby powstawano i otaczano go zwartym tłumem, aby słowa nie stracić. On mówił cichym, ale wyraźnym głosem; wypowiadał bez ogródki twarde prawdy, sofizmata przeciwników jednem cięciem rozpłatywał, ciężkie ciosy kanclerza zręcznym a lekkim odbijał sztychem, wytykał jego sprzeczności, słabe strony jego pomysłów i kręte drogi wykrywał, każdą kwestyę rozświecał jasnością swego poglądu, umajał dowcipem, a wkońcu sprowadzał do fundamentu zasad: ciągle się powoływał na konstytucyę państwa i w tej twierdzy był niezwyciężony. Zaledwo mówić zaczynał, a słuchacze wszystkich stronnictw byli jak przykuci [1] — milczenie robiło się uroczyste — słowa Windthorsta brzmiały jakąś siłą magnetyczną. A przecież nie miał on za sobą miliona bagnetów; ale miał przekonanie — nie opinię, lecz świa-

[1] *Kölnische Ztg*, liberalna, wroga stronnictwu centrum gazeta, w nekrologu Windthorsta.

domość posiadania prawdy i bronienia sprawiedliwości — co także daje pewność siebie i siłę.

A nietylko wobec wrogów Windthorst trzymał wysoko ten sztandar zasad, lecz i wobec swoich towarzyszów; wokoło tego sztandaru ciągle ich skupiał, te zasady przypominał, tłumaczył, wierności dla nich żądał. W stosunku z kolegami umiał łączyć wielki takt i uprzejmość pełną prostoty, z wojskowym rygorem i wymaganiem wielkiej karności. Młodych posłów nietylko do Centrum, ale także do Koła polskiego wstępujących, osobiście pouczał, przestrzegał [1]; zdolniejszych, którzy jakimś przemówieniem zwrócili jego uwagę, z szczególną pieczołowitością dalej kształcił.

Nie zaniedbywał też towarzyskiego między nimi utrzymywać pożycia; korzystał z niego, by udzielać im ciepła życia katolickiego. Za jego przykładem weszło w zwyczaj w Centrum, że w dniach cięższych zapasów odprawiała się msza u św. Jadwigi, a posłowie, którzy mieli wystąpić do walki, przyjmowali komunię św. — zupełnie jak za czasów katakumb. Dawał im także przykład twardej pracy; nie poprzestając na swem długiem doświadczeniu, aż do sędziwej starości ustawicznie pracował; śledził nietylko bieżące sprawy parlamentarne, ale wszystkie objawy życia katolickiego w Niemczech, wszystkie doktryny, ruchy i instytucye społeczne. Jak wszyscy wielcy wodzowie, nietylko z oficerami przestawał, ale stykał się bezpośrednio z prostym żołnierzem, podawał mu dłoń i udzielał mu swego zapału; objeżdżał prowincye katolickie, przemawiał często na wiecach ludowych, odwiedzał stowarzyszenia robotników katolickich, szczególnie w Berlinie wiele czasu im poświęcał.

Świeżo mi ktoś opowiadał, że mając do czynienia ze stolarzem Polakiem, który terminował w Berlinie, zdziwiony był wielkiem rozwinięciem jego umysłu i obeznaniem ze sprawami publicznemi. — Cóż dziwnego? — powiedział na to stolarz — przecież Windthorst co tydzień u nas bywał i z nami rozmawiał.

[1] Wiem to od p. Fr. Ch., którym się Windthorst w ten sposób opiekował.

„Zaprawdę, w tem nikłem ciele — tak wyznają nad jego „trumną wrogowie [1] — żył potężny duch. Był to mistrz w sztuce „wyzyskiwania każdego stanu rzeczy do celów swej partyi... „My z naszej strony — dodają — nie pochwalamy celów, do któ„rych Windthorst życie przywiązał: ale nikt, choćby najbardziej „nawet zawzięty nieprzyjaciel, nie może odważyć się na to, „aby temu mężowi zarzucić egoistyczne dążności. Wszystko, co „czynił, czynił dla sprawy, którą uważał za sprawiedliwą... „Takich ludzi możemy zwalczać, ale zarazem głowę odkrywamy „przed nimi".

* * *

Zeszli z widowni obaj szermierze — ale jaka różnica w ich zejściu!

Bismarck, jeszcze w pełni sił swej krzepkiej starości, z wysokości przewyższającej wiele tronów, a która tak dalece zdawała się niezachwianą, że już sam zaczynał ją przekazywać swojej dynastyi — nagle widzi się strąconym do nicości znaczenia i władzy, — strąconym jednem pchnięciem — tak, jak on brutalnie i wedle kaprysu drugich obalał i rozdeptywał. I upadek tego kolosu nie sprawił nawet łoskotu, niczem nie zatrząsnął; zwyczajny śmiertelnik wstąpił w jego miejsce. I cesarstwo, które zdawało się na jego barkach spoczywać, bez niego stoi.

A on bezsilny, w samotnem ustroniu, widzi, jak ta gospodarka państwa, którą założył, nie podług jego myśli dalej się prowadzi, jak te nici polityki europejskiej, które on pozaciągał, kto inny trzyma i dowoli przekłada; słyszy jak ta prasa, która mu służalczo schlebiała, i której pieniądze rzucał, nietylko go krytykuje, ale go lekceważy; spostrzega, jak coraz mniej o nim mowy na świecie... a w tej chwili słyszy jeszcze, jak wszystkie władze i wszystkie partye i wszystkie organa opinii chó-

[1] Wolnomyślna gazeta *Breslauer Morgenzeitung.*

rem oddają cześć jego przeciwnikowi — i przyznają, że zwyciężył [1].

I jak gdyby niedosyć jeszcze było dla niego upokorzenia, nadomiar sam się poniża, nie umiejąc znieść godnie swego losu, szamoce się w swej bezsilności, krytykuje złośliwie i hałaśliwie wszystkie kroki rządu i cesarza, wysila się na obalenie tego, co sam zbudował; on, który Windthorsta piętnował jako wroga państwa, wystawia się na proces o zdradę stanu i obrazę majestatu — i dziwną, ale sprawiedliwą nemezą, sam się staje katem własnej sławy i wielkości.

Doprawdy, gdyby najzawziętszy nieprzyjaciel Bismarcka miał mu wymierzyć karę za wszystkie jego bezprawia i gwałty, nie potrafiłby surowszej wymyśleć kaźni — a trudno nie przyznać, że jest sprawiedliwą.

Przez ten czas Windthorst umiera u zenitu swego prześlicznego zawodu; w sędziwej starości, a jednak nie przeżywszy

[1] *Frankfurter Ztg* pisze: „Bismarckowska polityka miała namiętniejszych wprawdzie przeciwników, niż Windthorst, ale nie miała więcej wytrwałego, coby tak prędko zdołał wyśledzić jej słabości, a z jej stron ujemnych skorzystać. Rozumiał on dobrze, że aby dojść do pokoju, wprzód trzeba wytrzymać walkę aż do zupełnego wyczerpania przeciwnika. Jak on to uczynił, jak bohatera wieku pokonał i na drogę do Kanossy odprowadził, to w księgach dziejów stoi wyryte".

Breslauer Ztg (wolnomyślna) tak się wyraża: „Kulturkampf, w którym ks. Bismarck i Windthorst stanęli naprzeciw siebie jak zawzięci przeciwnicy, skończył się całkowitą porażką pierwszego z nich. Windthorst, dawniej „wróg państwa", stał się w ostatnich czasach najbardziej wpływową osobistością we wszystkich donioślejszych sprawach, doznawał uprzedzającej życzliwości ze strony cesarza i rządu, wpływ wywierał olbrzymi na sejm i na radę państwa: czcili go i uwielbiali jego przyjaciele, a i przeciwnicy polityczni traktowali go z największym szacunkiem. Kiedy jego potężny przeciwnik usunąć się musiał, stał Windthorst u zenitu swej działalności, i wtedy właśnie śmierć nieubłagana go zabrała".

Kölnische Ztg, liberalna gazeta, zawzięta przeciwniczka Windthorsta za życia, mówi: „Dziś jeszcze nie czas opisywać w szczegółach tę walkę, z której niestety Windthorst wyszedł jako zwycięzca księcia Bismarcka. Dziś nad trumną sędziwego przeciwnika rachunek z przeszłości zostawiamy dla bezstronnej historyi: dziś chcemy tylko przyznać, że Windthorst w owych zapasach z podziwienia godną wytrwałością i ciągłą gotowością do walki dotrwał na placu"...

siebie, nie złożywszy swej buławy; w kilka dni po wypowiedzeniu ostatniej mowy w parlamencie, w kilka miesięcy po świetnym obchodzie 80-tej rocznicy swych urodzin. Umiera, kiedy już przeciwnik upadł, a przed samym upadkiem, czując jego przewagę, poczynał się z nim układać, — kiedy Centrum pod jego wodzą doszło do najwyższego znaczenia i wpływu decydującego w państwie. Umiera otoczony oznakami czci i współczucia od Papieża i od cesarza; w tym pokoiku w Berlinie, gdzie przez długie lata dla Boga i ojczyzny pracował, zkąd słał na całe Niemcy hasła budzące ruch katolicki; w ostatniej gorączce, nieprzytomny, mówi jeszcze o tem, co ma w sercu: żąda sprawiedliwości dla zakonów — jak gdyby wszystkie szczegóły jego śmierci zadokumentować miały, że na wyłomie, jak żołnierz boży, życie położył.

Rozegranie walki tych dwóch mężów jest przecież zwycięstwem prawa nad siłą — i dowodem, że prawo zwyciężyć może.

Ks. Maryan Morawski.

SZKOŁA HOZYUSZA W PRUSIECH[1].

Król Zygmunt Stary pragnął koniecznie mieć Hozyusza biskupem w Prusiech, do tego stopnia, że polecił następcy swemu pamiętać o tem przy najbliższym wakansie. Kiedy tam był ostatni wakans w 1537 r., po śmierci Maurycego Ferbera, biskupa warmińskiego, Hozyusz nie był jeszcze księdzem, a rozpoczynał dopiero zawód publiczny, wróciwszy zaledwie przed czterema laty z akademij włoskich; od niedawna dopiero miał zajęcie na dworze królewskim przy kanclerzu Chojeńskim, i nie mogło o nim wtenczas jeszcze być mowy. Znaczyło i tak dużo, że otrzymał był wtenczas od króla kanonię warmińską. Posiadał nadto ka-

[1] Rozprawka niniejsza, polegająca na listach Hozyusza, wydanych przez prof. Zakrzewskiego, niema pretensyj do wyczerpania przedmiotu. Fragmentaryczność przygodnych wiadomości źródłowych nie zezwala na wszechstronne opracowanie i wyrobienie sobie należytego sądu o działalności Hozyusza wobec szkół pruskich. Wiadomości, któremi dziś rozporządzamy, stanowią *disiecta membra:* pragnę zebrać te porozrzucane członki i uszykować je, o ile się da. Tak mało wiemy o historyi naszych szkół, że mię to ośmiela podać nawet te drobiazgi, gdy niema narazie więcej. Ze względu, że jedna tylko publikacya dostarczyła źródeł do tego artykułu, a publikacya ta opatrzona jest w sposób zaiste zbytkowny w środki oryentacyjne, uważam cytowanie odnośnych ustępów źródłowych za niepotrzebne; skontrolowanie podanych przezemnie wiadomości jest wobec znakomitego sposobu wydania listów Hozyusza rzeczą nader łatwą. Tytuł dosłowny brzmi: *Stanislai Hosii Epistolae,* tomus II. Editionem curaverunt dr. Franciscus Hipler et dr. Vincentius Zakrzewski. *(Acta historica res gestas Poloniae illustrantia,* tomus IX.). Kraków 1886—1888. Wydawnictw Kom. hist. Akad. Umiej. nr. 34.

nonię krakowską i sandomierską, probostwo gołąbskie, prebendę na zamku wileńskim; w warmińskiej kapitule postąpił wkrótce na kantora — wszystko to przed przyjęciem święceń kapłańskich. Przyszły przewodniczący soboru trydenckiego był pierwotnie z zawodu prawnikiem i miał już lat 32, kiedy w 1536 r. począł seryo myśleć o studyach teologicznych; a kiedy po siedmiu dopiero dalszych latach odprawiał prymicye na Skałce w Krakowie, liczył lat 39!

Zygmunt Stary nie miał już sposobności wynieść Hozyusza na stolicę biskupią. Najbliższy wakans, po śmierci Dantyszka dnia 27 października 1548, wypadł już w siedm miesięcy po zgonie króla. Zygmunt August spełnił atoli wolę ojca: Tiedeman Giese, biskup chełmiński, postąpił na stolicę warmińską a jego miejsce w Chełmży zajął 1549 r. Hozyusz.

Nowy biskup nie bardzo rad był wyniesieniu swemu i wahał się, czy przyjąć ofiarowaną sobie godność; nareszcie dał się przekonać namowom Marcina Kromera, znanego historyka, którego zdanie zawsze bardzo cenił. Szkoda, że nie znamy wymiany zdań w tej mierze, dwóch tak wybitnych przyjaciół: rzuciłoby to wiele światła i na osoby ich i na stosunki współczesne. To jednak wiemy, że stanowisko biskupa w Prusiech było aż nadto kłopotliwe: chcąc być biskupem dobrym, trzeba się było ciągle ze wszystkimi kłócić i na wszystkie strony mieć się na baczności; księży katolickich po większej części wcale nie było [1], a świeckich ludzi niepodejrzanej wiary ze świecą szukaćby

[1] W ciągu pięciu lat, aż do połowy 1554 r., tylko dwóch duchownych pod Hozyuszem się wyświęciło. Brak duchowieństwa zmusił go później sprowadzić Jezuitów. Nie od rzeczy będzie może nadmienić, że pierwszą o tem wiadomość mamy w liście Hozyusza do Marcina Kromera z dnia 21 kwietnia 1554 (nr. 1224) w tych słowach: „Pisałem przed miesiącem lub dwoma do arcybiskupa Teatyńskiego, żeby posłano do mnie kilku z Towarzystwa Jezusowego. Proszę Cię, pamiętaj o tem. Wiesz bowiem dobrze, jaki u nas brak księży. Może trzeba będzie coś na nich wydać, zanim z Rzymu wyruszą. Jeżeli sądzisz, że koszt będzie znaczny, stosownie do tego niech ich mniej przybędzie. Gdyby zaś mogli przybyć aż do Krakowa bez wydatków z mojej strony, tam jużbym się o koszta postarał, i chciałbym, żeby ich było nie mniej, jak dziesięciu. Potem będą już mieli wszystko do utrzymania potrzebne".

trzeba. Dodajmy do tego, że nominacya Hozyusza była sprawą politycznie drażliwą: był to pierwszy wyłom centralistycznego prądu w separatystycznych przywilejach pruskich. Hozyusz nie był pruskim indygeną. Syn osiadłego pierwotnie w Krakowie Niemca Badeńczyka, nie miał z Prusami żadnego związku rodzimego; jeżeli w kancelaryi Zygmunta Starego był sekretarzem do spraw pruskich, to tylko dlatego, że znał dokładnie język mieszczaństwa pruskiego, język niemiecki; ale stosunków i spraw pruskich sam dopiero uczyć się musiał. Prawda, że w 1548 r. wyrobił się już na największego w całej Polsce znawcę tych stosunków i sam różne osobiste już pozawiązywał; mogło to wpłynąć na zmniejszenie niechęci jego do nominacyi, ale w zasadzie nie zmieniało niczego. Zważmy nadto, że ruchowi wyznaniowemu towarzyszyła w Prusiech ciągła walka stanów i w sejmie i w obrębie miast: mnóstwo było większych i mniejszych koteryj, ścierających się z wielką zawziętością. Wszystko tu wrzało, jak w ukropie, a na dwór królewski spadało ztąd tyle kłopotów, że nareszcie przezwano te Prusy w humanistycznym stylu „Afryką".

Minęło półtora roku od mianowania Hozyusza biskupem chełmińskim, zanim nowy pasterz mógł nawiedzić swoją dyecezyę. Równocześnie bowiem w lutym 1549 r. posłem do cesarza i króla rzymskiego wyznaczony, wrócił z dalekiej podróży dopiero w marcu 1550 do Krakowa; zanim pozałatwiał ostatnie formalności swej misyi przed królem, senatem i sejmem piotrkowskim, nadeszło lato. Dopiero w sierpniu 1550 r. przyjeżdżał Hozyusz do swojej kłopotliwej „Afryki".

Jeszcze tam nie dojechał, a już myślał o urządzeniu szkoły! Pragnął wszystko już z drogi tak przygotować, ażeby zaraz po jego przybyciu nauka się rozpoczęła.

Założenie tej szkoły biskupiej miało być oczywiście środkiem propagandy katolickiej. Hozyusz był wobec protestantów wielce wojowniczego usposobienia i pod tym względem nie miał nikt nigdy najmniejszej wątpliwości. Obowiązku założenia szkoły w swej dyecezyi Hozyuszowi nie trzeba było przypominać; on sam od siebie rączo brał się do dzieła. Przedewszystkiem decydowała tu zapewne potrzeba dyecezyi, ale i osobiste czynniki

mogły nowemu biskupowi żywiej tę potrzebę przypominać i tem bardziej skłaniać do rychłego jej zaradzenia. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że Hozyusz za młodu sam bywał nauczycielem; wychowywał synowców dwóch biskupów krakowskich: Jana Konarskiego i jego następcy, Tomickiego. Ten ostatni założył u siebie szkołę dla synów szlacheckich (niestety, cóż o niej wiemy?!) i w tej to szkole widzimy Hozyusza nauczycielem w 1529 r., przed wyjazdem do Włoch. Obecnie postanowił naśladować przykład Tomickiego u siebie, ale w szerszym jeszcze zakresie.

Trzydziestu chłopców miał utrzymywać i wychowywać przy sobie swoim wyłącznie kosztem; szkoła atoli miała być publiczną, dostępną dla każdego, nie ograniczając się wcale do stanu szlacheckiego. Na miejsce dla szkoły wybrał swoje miasto, Łobawę.

* * *

Ta pierwsza szkoła Hozyusza w Łobawie, srogi mu sprawiła zawód. Jakkolwiek już z początkiem 1550 r. miał umówionego wybornego mistrza — jak o tem niżej rzecz będzie — okoliczności tak się fatalnie złożyły, że żaden z proszonych nauczycieli nie przyjechał, a Hozyusz pierwej niż szkołę, miał już u siebie uczniów, swych stypendystów, na otwarcie jej czekających. Cóż miał z nimi począć? Nie mógł bez wstydu odesłać ich do domu! Party przytem szyderstwem protestanckich senatorów pruskich, nie chcąc do reszty siebie i sprawy samej wydać na pośmiewisko, musiał się zdecydować tymczasem na urządzenie prowizorycznego zakładu, który, rad nierad, powierzył kierownictwu krajowców na tak długo, póki ktoś nie przybędzie z Krakowa, aby stanąć na czele szkoły.

Najął tedy Hozyusz dwóch nauczycieli Niemców: jednego magistra i jednego bakałarza, i w ten sposób złożył naprędce szkołę w swej stolicy biskupiej, Łobawie. Substrat i rdzeń szkoły stanowiło owych trzydziestu wychowańców Hozyusza, wszyscy z Korony. Skoro atoli szkoła była publiczną, wkrótce garstka polskich chłopców znalazła się w drobnej mniejszości wśród niemieckich po większej części kolegów z Prus.

O szkole tej wiemy bardzo mało; trwała też ona niedługo, bo wnet przeniesiono Hozyusza do Warmii. Czego i jak w niej uczono, o tem milczą znane dotychczas źródła; to tylko wiadomo, że religii na wyraźny rozkaz Hozyusza uczono według katechizmu Erazma Rotterdamczyka[1]. Co do innych nauk, obowiązywał tu zapewne zwyczajny kurs ówczesny: łaciny dużo, niewiele arytmetyki, trochę muzyki kościelnej; dla starszych dyalektyka, retoryka i poetyka; ale niema pewności, czy szkoła łobawska mogła doprowadzać do tego stopnia, zwłaszcza, że wkrótce istnieć przestała.

Z dwóch nauczycieli, młodszy, bakałarz Henryk, miał żyłkę poetycką. W liście do Kromera, ciągłego swego doradcy, nazywa go Hozyusz *Henricus meus, amoeni poeta ingenii:* mogłoby się zdawać, że był osobiście miłym biskupowi — ale nie trzeba brać na seryo tego słówka *meus;* Hozyusz bowiem pisze to, donosząc, że Henryk nie przystąpił do komunii wielkanocnej; wyrażenie to należy tedy rozumieć satyrycznie, w znaczeniu uszczypliwem. Hozyusz lubił się tak drwiąco wyrażać i pełno w listach jego podobnych miejsc, o których napewno wiemy, że pisane są w znaczeniu: *lucus a non lucendo.* Ów Henryk znika potem bez śladu i przy Hozyuszu nie zostaje, z czego znowu wnosić można, że Hozyusz nie bardzo był zadowolony z nieznanego nam zresztą bliżej poety czy też wierszoklety.

Magistra i kierownika szkoły nie znamy nawet z chrzestnego imienia. Dochowało się nam za to kilka śladów jego „pedagogii". Przestraszonemu widać ciągłem poszukiwaniem rektora w Krakowie Niemcowi, zebrało się na nadzwyczajną gorliwość; chcąc sobie zapewne ująć Hozyusza, ustanowił w swej szkole aż dziewięć godzin dziennie nauczania, podczas gdy zwykle uczono w szkołach tylko przez sześć godzin. Trzymał chłopców w szkole od godziny piątej rano do ósmej i po pauzie znów od dziewiątej do dziesiątej; po dwugodzinnej pauzie na obiad, który jadano

[1] Czyż wobec tego może się ostać utarte dzisiaj zdanie, jakoby Erazm nie należał ściśle do obozu katolickiego? — Sprawie tej poświęciłem osobną pracę p. t.: „Charakterystyka Erazma Rotterdamczyka" w *Muzeum* z r. 1890, Wrzesień—Grudzień.

widać koło godziny jedenastej, następowały dwie godziny szkolne. od dwunastej do drugiej; potem pauza jednogodzinna (może podwieczorek) i znów dwie godziny w szkole, od trzeciej do piątej: nareszcie po wieczerzy jeszcze jedna godzina, od siódmej do ósmej. Zwraca uwagę ten podział dnia szkolnego: po cztery godziny zrana i popołudniu, rozdzielone nierówno pauzami, nadto jeszcze godzina wieczorem. Było tego oczywiście zawiele dla chłopców, zwłaszcza że trzeba było nadzwyczaj wcześnie wstawać, chcąc być w szkole już o piątej rano. Kto się spóźnił, musiał siedzieć na ziemi i dostawał nadto plagi. Spóźniano się zaś często, i to o całą nawet godzinę; tacy od wszystkich swych kolegów musieli wziąć po pladze. Bicie o byleco było rzeczą zwyczajną, ale dodajmy dla sprawiedliwości, że praktykowało się nietylko w tej szkole, ale wogóle w szkołach współczesnych w całej Europie. Oryginalnym atoli pomysłem magistra łobawskiego było, że przy tem biciu zarabiał pieniężnie, zaprowadziwszy w szkole grzywny dla siebie; tak np. kto *Benedicite* przy stole nie mówił, dostawał sześć plag i płacił mistrzowi szeląg, — kto nie napisał *argumentum*, ośm plag i szeląg!

Najsłabszą stroną szkolnictwa ówczesnego było utrzymanie karności. Dziś już pojęcia nawet nie mamy, do jakich ekscesów dochodziło w szkołach XVI. w., i jakich to przesadnych środków surowości chwytano się, żeby uczniów utrzymać w karbach. Erazm Rotterdamczyk ma zasługę, że celem utrzymania karności wskazał nową metodę: wzbudzanie szacunku i zaufania w uczniach. Łobawski magister trzymał się jednak starej jeszcze metody, t. j. tyranizowania chłopców. Dochodził w tem do niesłychanej przesady; tak np. niewolno było chłopcu pobiegać, poskoczyć, ale zawsze „z rejstru musieli stąpać“, bo inaczej zaraz kazał za karę... pocałować ziemię. Wobec takiego pedantyzmu mniej się już dziwnem wyda, że nie pozwalał im odwiedzać się wzajemnie ani też chodzić na przechadzki; wychodzić na miasto całkiem nie było wolno, bo nawet do ogrodu koło gmachu szkolnego chodzić nie pozwalał. Trzymano chłopców zamkniętych „w komorach“, tak że już, według ich własnego wyrażenia, „zapomnieli chodzić“.

Tyle tylko z reguły używali ruchu, ile go użyć mogli, przechodząc z kwater swych na wspólny obiad i wieczerzę.

Tego wszystkiego chłopcom było zawiele; przebrała się więc miarka, lubo z innego nieco powodu. Oto magister, a za nim bakałarz, uwzięli sobie coś do stypendystów Hozyusza, i postępowali w ten sposób, że chłopcy nabrali przekonania, iż dokuczają im za to, że są Polakami; uważali się za ciężko pokrzywdzonych wobec innych uczniów i narzekali gorzko, że wszyscy im dokuczają, za kozłów ofiarnych niejako ich mając: „z tym samym mistrzem niemieckim tedy tak nas sobie wszyscy biją, albowiem kruk krukowi ucha *(sic!)* nie wykłuje, także też Niemiec Niemcowi oka nie wykłuje". Z tego wyrażenia żałących się chłopców widać, że byli pozostawieni w Łobawie na pastwę każdego, kto tylko miał ochotę nad nimi się znęcać, nie mogąc znaleść u swych nauczycieli sprawiedliwości ani opieki.

Nareszcie chłopcy postanowili zwrócić się wprost do samego Hozyusza; wystosowali do biskupa 31 lipca 1551 r. skargę na swych nauczycieli. Wymieniwszy, co im dolega, zwrócili też uwagę swego mecenasa na prywatne życie magistra, który, przepisując im prawa, że „i mnisi łobawscyby ich nie wypełnili", sam dla siebie wcale surowym nie jest, bo „z księdzem kanonikiem do dziesiątej w mieście siada". Widać powinien był o tej godzinie być w domu, skoro go za to denuncyowali. Starali się też podać w wątpliwość gorliwość i naukę magistra, twierdząc, że u innego mistrza, gdzie jest tylko sześć godzin szkolnych dziennie, więcejby się nauczyli, niż u tego przez godzin dziewięć. Trudno osądzić, czy chłopcy mieli racyę; nie mamy sposobu skontrolowania surowej ich krytyki, która tem gorzej wypadła, ponieważ nie lubili magistra; z każdego wiersza skargi znać, że pałają ku niemu nienawiścią. Ale sam już fakt, że go do tego stopnia znienawidzieć mogli, sama ta okoliczność, że uznali za stosowne skarżyć na niego u Hozyusza i że się ośmielili do tego kroku, świadczy wymownie, że nauczyciel ich był nieświetnym zapewne pedagogiem.

W ten sposób w Łobawie stanęły rzeczy blisko buntu szkolnego. Hozyusz niestety, natenczas niewiele, a może wcale ze

szkołą bezpośrednio się nie stykał. Ledwie w sierpniu 1550 r. do Prus przyjechał, a już w listopadzie musiał wyjeżdżać na koronacyę królowej Barbary; powróciwszy z końcem grudnia, zajął się sprawami kościelnemi, a w marcu rozpoczął wizytacyę dyecezyi; wśród tego musiał jeszcze jeździć na sejm do Malborga. W Łobawie, chociaż tam właściwie była jego rezydencya, bywał rzadkim gościem; spotykamy go tam raz w październiku 1550 roku, następnie na krótki czas około Nowego Roku 1551 i znów dopiero w kwietniu, ale już maj spędza w Malborgu; około 1 czerwca przejeżdża tylko przez Łobawę, żeby się udać na synod piotrkowski; kiedy powrócił z końcem czerwca, to tylko na to, aby pożegnać dyecezyę i rezydencyę swoją, bo już miał konfirmacyę papieską na biskupstwo warmińskie. Dodajmy, że uważał stan szkoły łobawskiej, jakikolwiek byłby, za tymczasowy, póki nie sprowadzi sobie nauczyciela z Krakowa; to poczucie tymczasowości wzmogło się oczywiście od stycznia 1551 r. przez przeniesienie go do Warmii, wkrótce nastąpić mające, i nie wpłynęło zapewne na Hozyusza, ażeby mając czas i tak już dosyć zajęty, więcej uwagi zwracał na szkołę łobawską. Byle tylko nauczyciele trzymali się nauki katolickiej, resztę zupełnie im pozostawiał do woli.

Ale właśnie pod względem religijnym także się na nich zawiódł. Ani magister ani bakałarz nie przystąpili do komunii wielkanocnej. Bakałarz poprzestał przynajmniej na tem, a w szkole trzymał się ściśle katechizmu Erazma; ale magister, wbrew Hozyuszowi, zaczął uczyć z katechizmu Spangenberga, protestanta, że są tylko trzy Sakramenta i że komunikować należy *sub utraque specie*. Skoro tylko dowiedział się o tem Hozyusz, wdał się w to natychmiast osobiście. Magister się tłumaczył, że nie wiedział, że to niekatolicki katechizm. Hozyusz z początku chciał doraźnie magistra wydalić, wkońcu jednak namyślił się i przyjął tłumaczenie, że zgrzeszył przez niewiadomość. Zdaje się, że Hozyusz dlatego udał przejednanego, bo wiedział, że i tak niedługo szkoła z Łobawy się przeniesie, a magister w ten sposób bez wywoływania nieprzyjemności miejsce utraci. Choćby bowiem katechizm Spangenberga był katolickim, to i tak magister

na wydalenie zasłużył, boć Hozyusz kazał uczyć z katechizmu Erazma.

Sprawa o katechizm pojawiła się w kwietniu 1551 r. Chłopcy o niczem zdaje się nie wiedzieli, boby pewnie nie zaniechali uderzyć i w tę stronę w swej skardze z 31 lipca; sami rozróżnić nie mogli, co katolickie, a co nie, bo dla chłopca XVI. wieku było to niemożebne. Nauka nie zaczynała się wtenczas od katechizmu, ale raczej kończyła się na nim, a osób, znających katechizm, było wówczas stosunkowo niewiele. Dziś pod tym względem zmieniły się stosunki.

Bawiąc w Łobawie z końcem kwietnia 1551 r., przywołał Hozyusz magistra do siebie. Rozmowę swoją z nim sam tak opisuje w liście do Marcina Kromera:

„Powiedziałem, jak odpowiadał jeden z chłopców; zapytałem, dlaczego mylnie naucza i inaczej, niż się zobowiązał?

„Odpowiedział, że nie sądził, żeby to nie było nauką rzymskiego Kościoła.

— A któryż to z papieży ujął dopiero komunii używanie drugiej postaci?

— Nie wiem.

— Czemuż tedy mówisz o tem, skoro nie wiesz?

— Tak znalazłem w Spangenbergu; sądziłem, że to katolickie dziełko, bom je widział w ręku katolickiego księdza.

— Ale ty wiesz przecież, że w katolickim Kościele nie komunikuje się pod obiema postaciami?

— Chłopcy komunikowali u mnichów pod jedną tylko postacią.

— Ale ty nie komunikowałeś...

— Dlatego jedynie, że się gniewam z dziewierzem.

— To tylko pozór; a skoro nie chciałeś dzielić ze mną tego anielskiego chleba, nie potrzebujesz też dzielić ziemskiego i szukaj sobie innego miejsca...

„Zaczął prosić o przebaczenie. Kazałem mu odejść; ale nie wiem, czy nie wypadnie mu darować, bo może z niewiadomości zbłądził... Obiecuje, że już przystąpi do komunii".

W trzy miesiące zaledwie po tem zajściu otrzymał Hozyusz

skargę żaków łobawskich „w ciężkościach i uciskach niemałych“. Ale był to już koniec tej niefortunnej szkoły; w połowie sierpnia 1551 r. chłopcy znajdowali się już w Elblągu, gdzie nowych oczekiwali nauczycieli.

* * *

Zanim podążymy za chłopcami do Elbląga, przypatrzmy się najpierw okolicznościom, które zmusiły Hozyusza, że znosił u siebie w Łobawie takie monstrum, nie szkołę! Jakie przyczyny przedłużały byt tego tak niewłaściwego prowizoryum, które, gdyby było trwało dłużej, nie wzbudziłoby chyba zaufania do szkół Hozyusza. Wszak on sam do tej szkoły zaufania najmniejszego mieć nie mógł, i gdyby nie to, że tak późno dopiero miał sposobność ze szkołą tą osobiście się zetknąć, gdyby nie ustawiczne podróże, poselstwa, synody i sejmy łącznie z widocznym brakiem osoby, którąby się był mógł wyręczyć; słowem, gdyby wcześniej był wiedział, co za jego pieniądze w Łobawie wyprawiają, — byłby zapewne sam koniec tej szkole położył. Zakład, mający stać się w jego myśli katolickim dla przyszłości czynnikiem, stawał się propagatorem luterskich „nowinek“, dzięki pośpiesznemu, z konieczności, a nieszczęśliwemu wyborowi kierownika.

Mówiłem, że Hozyusz zawczasu poczynił starania o kierownika szkoły, o głównego nauczyciela, czyli, jak wtenczas mówiono, rektora. O nic go winić nie można; robił, co mógł, żeby dobrego rektora pozyskać.

Osoba nauczyciela znaczyła wtenczas w szkole więcej, niż dziś; stosunek był nawet wprost przeciwny: dziś nauczyciel dostraja się do szkoły, wtenczas on szkołę wytwarzał; kierunek zakładu naukowy i wychowawczy zawisł zupełnie od jego indywidualności, bo ponad nim nie było żadnej władzy, żadnej ustawy szkolnej. Podczas gdy dziś zmiana nauczyciela stosunkowo nic niemal nie stanowi, wtenczas pociągała za sobą zmianę szkoły: śmierć lub wyjazd jego równały się czasem jej zniesieniu. To też i zdecydować się na wybór osoby nauczyciela nie było rzeczą łatwą. Hozyusz powierzył to zadanie Marcinowi Kromerowi:

ten sam, który go skłonił do przyjęcia godności biskupiej, miał mu być pomocnym w pierwszej sprawie, która — zdaniem sumiennego biskupa — z godnością tą ściśle się wiązała. Kromer zająwszy po Hozyuszu miejsce w kancelaryi królewskiej, bawiąc stale wówczas w Krakowie, miał tutaj poszukać kogo z wychowańców uniwersytetu.

Już z początkiem 1550 r. mógł Kromer donieść Hozyuszowi o nadspodziewanie pomyślnym rezultacie swych starań; przyrzekł mu się dr. Szymon Marycki z Pilzna (*Maricius Pilsnensis*), słynny autor wydanego w rok potem, wielce cenionego dzieła: *De scholis seu academiis*[1]. Ucieszył się wielce Hozyusz, ale odrazu miał wątpliwości, czy to się spełni; obawiał się zwłaszcza, czy zdoła takiego rektora należycie wynagrodzić. Nie chciano też puścić z Krakowa Maryckiego, bo był jedynym, u którego się wtenczas można było uczyć greczyzny; Piotr Illicinus ze Sieny, profesor tego przedmiotu, właśnie chorobą był złożony; mógłby go był zastąpić profesor hebrajskiego, Stankar, dobrze też grekę znający, ale Stankar niedawno właśnie dostał się do więzienia za herezyę. Pozostawał jedynie Marycki; gdy też gruchnęła wieść, że i on ma Kraków opuścić, zaniepokoiła się młodzież. „Cała niemal rzesza studentów“ tłumnie udała się na Prądnik, do rezydencyi kanclerza uniwersytetu, biskupa Maciejowskiego, ażeby zatrzymał Maryckiego. Chodziło o podwyższenie mu płacy — i kto wie, czy Marycki nie umyślnie łudził Kromera, ażeby strasząc opuszczeniem uniwersytetu, wywrzeć nacisk i otrzymać większe wynagrodzenie. Wnet bowiem okazać się miało, że Marycki nigdy o Hozyuszu na seryo nie myślał.

Trzeba było szukać drugiego. Kromer miał w rezerwie na ten wypadek magistra sztuk wyzwolonych, Szymona Militiusa: jego wyjazdowi z Krakowa nie stało nic na przeszkodzie, jak to poświadczał Maciejowski. Decydował się już na jego wybór Hozyusz, gdy wtem Marycki polecił mu magistra Mikołaja Lwowianina, zwanego Gelasinus. Zawahał się Hozyusz w wyborze po tak poważnej rekomendacyi, a bezpośrednim skutkiem namyśla-

[1] Cracoviae. Hier. Scharffenberg 1551. Dedic. Val. Herburt.

nia się było, że narazie nie umówił się z żadnym i sprawa doznała znacznego opóźnienia. Nadszedł Nowy Rok 1551; Giese umarł, a Hozyusz otrzymał już w styczniu nominacyę na biskupstwo warmińskie; wybrany w marcu przez kapitułę, w maju miał już potwierdzenie papieskie. Zmiana dyecezyi i miejsca pobytu nie mogła wpłynąć na przyśpieszenie sprawy.

Wolałby Hozyusz Gelasinusa, ale zachodziła tu wielka trudność — mistrz Mikołaj nie umiał po niemiecku, bez czego trudno było kierować szkołą w Prusiech, gdzie znaczna część uczniów miała pochodzić z niemieckiej narodowości. Militius zaś władał dokładnie językiem niemieckim, ale z drugiej strony podejrzanym był Hozyuszowi o niestałość charakteru i wogóle nie bardzo mu się podobał. Wśród tych wątpliwości decydować miała nareszcie przygodna okoliczność: który prędzej w drogę do Prus się wybierze! Już bowiem żartować sobie w Prusiech poczęto z Hozyusza, że nie może ze swoją szkołą trafić do końca; mówiono nawet głośno, że Hozyusz tylko tak udaje, ale nie myśli na seryo o założeniu nowej szkoły. Natenczas Hozyusz wydał polecenie, ażeby koniecznie jeszcze przed sejmem pruskim tegorocznym (w Malborgu) nauczyciela mu przysłać. Ofiarował Militiusowi 100 florenów rocznie i polecił 27 marca 1551 r. dziewierzowi swemu w Krakowie, Hektorowi Wattowi, żeby dla pośpiechu umyślny dla niego wynajął powóz. Ale Militiusowi nie śpieszyło się do Prus. W Krakowie z prywatnych lekcyj zarabiał więcej niż 100 florenów rocznie; tak przynajmniej sam twierdził. Do Hozyusza byłby tedy pojechał nie dla powiększenia sobie dochodów, ale żeby się przywiesić do klamki możnego księcia-biskupa; uważając posadę nauczycielską jako stadyum przejściowe, tuszył sobie, że Hozyusz coraz wyżej będzie go posuwał, na probostwa, kanonie, kantorstwa, kustostwa etc. — był bowiem księdzem. Tymczasem rzeczy składały się inaczej. Hozyusz, traktując z nim tylko przez pośrednictwo Kromera, sam ani słówka do Militiusa nie napisał, żadnej grzeczności, żadnego ośmielenia do swojej osoby, ani tem mniej jakichkolwiek na przyszłość przyrzeczeń. Hozyusz nie pisał, bo był bardzo zajęty (właśnie gotowano się do synodu piotrkowskiego), a zresztą wiemy,

że do Militiusa nie czuł sympatyi. Oziębłość ta zraziła Militiusa, obraził się też wielce, że biskup warmiński nie zniósł się z nim bezpośrednio; spostrzegłszy, że Hozyusz nie pragnie z nim bliższych stosunków osobistych, poznał, iż nie czeka go w Prusiech karyera; dla samej zaś szkoły jechać nie miał nigdy zamiaru. To też gdy z wiosną Kromer niecierpliwie upominał go do podróży, Militius niespodzianie stanowczo odmówił, i to w wyrazach nie bardzo grzecznych. Dowiedział się o tej odmowie Hozyusz w czerwcu 1551 r., na synodzie piotrkowskim.

Pozostawał Mikołaj Gelasinus; ale i ten do Prus się nie rwał. Pisał Hozyusz do Kromera, że się aż wstydzi, iż Gelasinus tak niewiele dba o niego. Chcąc go pozyskać, otwierał mu na przyszłość widoki na kanonię warmińską i dawał 150 florenów rocznie, jeżeliby się nauczył po niemiecku. Znać z tych warunków, jak wcale inną miarą mierzył Hozyusz Gelasinusa, niż Militiusa; był bowiem uczeńszy i stateczniejszy. Ponieważ jednak niemieckiego języka nie znał, miał przeto, pókiby się tego języka nie nauczył, utrzymywać swoim kosztem bakałarza niemieckiego, którego też Kromer w Krakowie wyszukał; w Prusiech bowiem niesposób było znaleść nauczyciela, nie podejrzanego w wierze. Jan Watt[1] dał Gelasinusowi 20 fl. zadatku, a w połowie lipca 1551 r. tłumoki magistra były już w drodze, wysłane przodem do Prus; niebawem też sam wraz z Niemcem bakałarzem przyjechał.

Od zamianowania Hozyusza biskupem chełmińskim aż do przybycia nauczyciela katolika, minęło półtrzecia roku!

(Dok. nast.).

Dr. Feliks Koneczny.

[1] Syn wspomnianego wyżej Hektora, wyręczający zwykle starego ojca w interesach.

„LASKA MARSZAŁKOWSKA“

SARBIEWSKIEGO.

STUDYUM KAZNODZIEJSKO-LITERACKIE.

(Dokończenie).

Nie widzieliśmy jeszcze w kazaniu Sarbiewskiego istotnych cech apostolskich. A ciekawa to rzecz poznać, jak mowca nasz zapatruje się na grzechy swojego wieku, jak gromi ludzkie występki, jak roztrząsa katolickie i narodowe sumienie; — czy przypadkiem wymowa jego, podnosząca się wysoko wobec rzeczy swojskich i ogólno-ludzkich tematów, nie będzie pozbawioną wyższego namaszczenia i gorętszego zapału, kiedy o rzeczach boskich mówić wypadnie.

Bądźmy bez troski. W „Lasce marszałkowskiej“ spotykamy wiele ustępów, nacechowanych głęboką pobożnością i religijnem natchnieniem, bez którego czczą i próżną byłaby wszelka wymowa kościelna. Religijny pierwiastek ciągle występuje w kazaniu Sarbiewskiego; tętni w nim silnie i żywo jako główna struna uczucia; płynie z głębi duszy jako pierwszorzędne źródło natchnienia, — to też pod jego wpływem tworzy kaznodzieja ustępy i obrazy większej jeszcze piękności i siły, niźli te, które wywołał upadek rzeczy ludzkich albo tryumfy polskiego oręża.

W całem polskiem kaznodziejstwie ubiegłych wieków jest jedna cecha charakterystyczna, którą kościelna nasza wymowa

znacznie się różni od zagranicznej. Najlepsi mowcy zagraniczni, z małymi tylko wyjątkami, w zastosowaniach moralnych swych kazań, kiedy im przyjdzie wytykać ludzkie błędy albo występki, używają pewnej formy ogólnej, typowej, która wszystkie grzechy ściąga do głównych rubryk katechizmowych, a zło moralne kreśli jedynie wedle cech jego ogólno-ludzkich, nie wdając się w te specyalne odcienie i właściwości, których przyczyną jest odmienny charakter narodowy, miejscowe stosunki i historyczna przeszłość.

Na naszej wymowie kościelnej, znacznie silniej — może najsilniej — wybił się narodowy indywidualizm. Wszyscy więksi nasi mowcy, zaczynając od Skargi, mają zawsze w naukach moralnych typ i koloryt miejscowy, zaczerpnięty z obserwacyi życia narodowego we wszystkich jego formach. Piętnują oni tę butę polską i to zawadyactwo szlacheckie, nam tylko właściwe; piorunują na domową niezgodę, mówią ciągle o egzekucyi dekretów, o pijatykach i o zajazdach, o lubelskim albo wileńskim trybunale. A czynią to z taką prawdą i realizmem, że mowy ich nietylko z punktu historyi, ale też z artystycznego stanowiska wymowy, nabierają przez to niepośledniej wartości.

Przymioty te w wysokim stopniu posiadają mowcy kościelni XVII. w.[1]. Prawda, że szukając swojskich rysów do obrazów moralnych, przesadzają w tem nieraz — podobnie jak przesadzali we wszystkiem — gdzie się jednak trzymają w przyzwoitych granicach, tam są pełni życia i oryginalności.

Sarbiewski należy pod tym względem do mowców swojego wieku najbardziej wzorowych; w zastosowaniach moralnych zmierza on zawsze ku polskim grzechom i karci je z groźnym obliczem apostoła.

Jedną z najcięższych win naszej przeszłości była niesprawiedliwość sądów i trybunałów, a zwłaszcza niekaranie krzywd, biednym i ubogim wyrządzonych. Polski nasz Jeremiasz, Skarga, groził za te grzechy karą bożą i upadkiem ojczyzny; powstawał on na sejmach na „odwłóczenie sprawiedliwości świeckiej"; wołał

[1] Mecherzyński, „Hist. wym. w Polsce", t. III. Kraków 1860. Por. ogólny pogląd wstępny.

bez przerwy: „że głos ukrzywdzonych i uciśnionych, którzy się od sejmu do sejmu włóczą, na niebo do Pana Boga wstępuje“: „że krew i pot oraczy, robaczków nędznych, ustawicznie ciecze i bez karania być nie może“ [1]... Niestety, wszystko nadarmo!

Sarbiewski przejął się tą apostolską tradycyą Skargi; bierze on w obronę ten biedny stan uciśniony, „te ziemiany równe i oracze“, a panom, sądom i trybunałom, ciężkie ich krzywdy w oczy wyrzuca, grożąc również upadkiem ojczyzny.

Jak gorąco był on tą sprawą przejęty, świadczy wymownie choćby ta jedna okoliczność, że mówi o niej nad trumną zmarłego magnata, wobec panów litewskich i koronnych, wobec tłumów zebranej szlachty, co innemu kaznodziei — mniej apostolskiemu — wydałoby się może niewłaściwem.

„Ziemianie ubodzy, — woła on — niższe wszystkie stany, sami oracze wasi, zaż nie są *fundamenta terrae,* samym gruntem i szczeżajami ojczyzny naszej? Czyż nie na nich wysokie wielmożności, potęgi, kosztów i siły wojennej budynki wystawiamy? Cóż za dziw, że kiedy oni przez niesprawiedliwość upadają, ojczyzna się chwieje?...

„Bóg ten chwiejący się i obrotny świata okrąg zawiesił na ludziach nędznych i uciśnionych, jako na zawiasach abo osiach jakich, na których się obraca, a ze swojej chluby, chyba za ich upadkiém, nie wypada...

„Jako dom nie tam wspierają, gdzie się nie wali, ale tam tylko, gdzie się wali albo łacno upaść może, tak dobry sędzia nie tak ma sprawy wielkich panów wspierać, które przez się i nakładem, i potencyą, i respektami stoją, jako sprawy ubogich, które bez tych wszystkich podpór same przez się łacno się walą...

„Kazał Bóg niegdyś Mojżeszowi uderzyć w twardą opokę i z niej wybić wytryskającą wodę, a lud spragniony napoić. Uderzysz — prawi — w opokę, a wynijdzie z niej woda, aby pił lud! Tak mądremu marszałkowi każe P. Bóg w najtrudniejsze sprawy uderzać *virga oris sui* (Iz. 11), aby ztamtąd wytrysnęło źródło,

[1] Siódme kazanie sejmowe.

z któregoby się napili owi, przez długie terminy zwłóczeni, oni co już przez kilka abo i kilkanaście lat łakną i pragną sprawiedliwości...

„Teodoretus, tłumacząc słowa psalmisty: *veritas de terra orta est*, mówi: Jako źródło w ziemi, tak prawda często się w sprawach tai; uderz raz a będzie się sączyła, uderz drugi raz a popłynie, uderz trzeci raz a już i wyleje; napije się jej każdy aż do woli, a to bez datku, bez zapłaty, darmo — właśnie jak wody...

„A sędziowie świata tego sami podczas tę smaczną prawdy wodę wypiwszy, ubogim ludziom *fontem lacrimarum*, niewyczerpaną gorzkiego płaczu krynicę zostawują".

Potem wychwala kaznodzieja zmarłego Sapiehę, że jako marszałek trybunału „osierociałe wdowy i ukrzywdzone sieroty ratował"; że „jako wody, które snadniej na doliny, niźli na góry płyną, tak i słodka wymowa jego nie tak wysokie pany jako raczej równe ziemiany i mniejsze stany chłodziła..." — wreszcie, wybuchając wezbranem uczuciem, woła z siłą: „O Boże! jaka to wielka u Ciebie ojczyzny i Kościoła podpora, nienaruszona w sądach sprawiedliwość!"

Piękne są te ustępy..., ale to tylko przygrywka; — cała potęga przyjdzie dopiero teraz, kiedy kaznodzieja sędziom niesprawiedliwym stawia przed oczy straszne sądy boże. Mówi on tak:

„W najwyższym konsystorzu swoim stanąwszy P. Bóg i zwoławszy ze wszystkich świata tego parlamentów i trybunałów, sędziów i deputatów, mając im owę udzielonej swojej władzy inwestyturę konferować, dziwną do nich czyni przemowę. Rzecz wszystkę opisuje Dawid św.: *Deus stetit in synagoga deorum, in medio autem deos diiudicat. Eripite pauperem, et egenum de manu peccatoris liberate. — Nesciverunt neque intellexerunt; movebuntur omnia fundamenta terrae*[1]. Bóg stanął w zgromadzeniu bogów, a wpośrodku bogi sądzi. Wyrwijcie ubogiego, a nędznego z ręki niezbożnego wyzwólcie. — Nie umieli ani zrozumieli: zachwieją się wszystkie grunty ziemie.

[1] Psalm LXXXI. 1, 4, 5.

„Naprzód Prorok św. wszystkim sędziom daje tytuł boski, a parlament i konsystorz każdy nie zowie prostą izbą, ale synagogą abo kościołem, jakoby rzekł: Wiedzcie to panowie sędziowie i deputaci, żeście wy nie prostymi ludźmi ale bogami. Uważcież, coby czynił Bóg, kiedyby sam swą osobą w oczach obudwu stron zasiadł w tychże właśnie waszych trybunałach, aby dał swoje zdanie, swoją kréskę. Z jakąby sprawiedliwości całością sądził, bez afektów, bez żadnego interesu swego; z jakąby nieustraszoną powagą prawdę mówił, bez żadnych ludzkich respektów; z jakąby gorliwością bronił pospolitego dobra ojczyzny i Kościoła swego; z jakąby miłością dźwigał sprawy ubogich i osierociałych?... Toż i wy czyńcie, boście bogami i zasiadacie na miejscu boskiem. *Deus stetit in synagoga deorum.*

„Ale nie rozumiejcie, proszę, żeby się tu w tych izbach jeden sąd, jeden trybunał ziemski odprawował; odprawuje się zaraz i drugi niebieski, nad ten wasz — wyższy i straszniejszy. *In medio autem deos diiudicat.* Wpośrodku bogów sądzi!!

„O kiedybyście widzieli pp. trybunalistowie — woła kaznodzieja z proroczą jakąś grozą i potęgą — tudzież zaraz nad stołkiem marszałka waszego zasadzony tron Boski, a na nim Majestat sędziego żywych i umarłych! o kiedybyście widzieli nad stołkami waszymi krzesła wszystkiego świata sędziów! o kiedybyście widzieli kancelaryą niebieską, nieubłaganych i nienaganionych instygatorów, generałów, świadków! o kiedybyście słyszeli kréski o kréskach waszych, dekreta o dekretach waszych.... ktoby z was w obecności takiego Majestatu śmiał w sądzie potakiwać na jawne wykręty prokuratorskie; ktoby śmiał sprawy albo odwłaczać albo dla interesu przedłużać; ktoby śmiał ubogie i niewinne ludzie po terminach włóczyć, stan duchowny i wolności jego tępić, fakcye knować, niesprawiedliwie dekretować? Wiedzcież, że tak jest, a nie inaczej; że nad waszym trybunałem, drugi się na was trybunał odprawuje; wiedzcie, że *principes populorum congregati sunt cum Deo Abraham, quoniam dii fortes terrae elevati sunt*[1], że książęta one święte, mocarstwa, państwa,

[1] Ps. XLVI. 10.

senatorowie niebiescy nad głowami waszemi odprawują sądy królewskie — sądy, od których apelacya nie idzie!"

A po tych słowach, przejmujących dziś jeszcze do szpiku kości, mowca jakby przeczuwał, że nie odmieni tych ludzi, zmienia niespodzianie tok myśli i odzywa się ze spokojną jakąś, ale bolesną rezygnacyą:

„Coli też na to wszystko deputaci nasi, Proroku święty?"

I odpowiada z niezgłębioną boleścią, krótko ale okropnie: „*nesciverunt neque intellexerunt;* nie wiedzieli! nie zrozumieli! Toć podobno surowego dekretu ujdą?... Bynajmniej!! Pada na nich nagły dekretu Bożego piorun, wszystkie państwa, prowincye, miasta, wszystką ziemię wstrząsający: *movebuntur omnia fundamenta terrae*...

„Prze miły Bóg!... że się na Wileńskim albo Lubelskim trybunale zachwieje sprawiedliwość, to się już musi z gruntu zatrząsnąć Kraków, Warszawa, Poznań, Lwów, Sendomierz; to się już musi przez dekret Boży zachwiać wielka i mała Polska, Litwa, Ruś i Mazowsze?!...

„*Grande onus est probi hominis ruina: tota mihi Graecia contremiscere videtur, cum vir innocens cadit* — rzekł kiedyś, zaiste nie po pogańsku, Lysias mowca".

Jeźli Sarbiewski, zostawszy kaznodzieją królewskim, tak samo przemawiał na dworze Władysława IV., w katedrze warszawskiej i na sejmach koronnych, pojmuję zupełnie, że biskup Lubieński powiedzieć mógł w liście do niego: „Żegnaj mi posłanniku Boży; kazania twoje wstrząsają mą duszą nakształt piorunu..."[1] I my ze swej strony powtórzyć tu możemy bez żadnej przesady te słowa, które wyrzekł przed 40 niespełna laty wielkopolski kaznodzieja Prusinowski o wymowie Antoniewicza: „Tak mówił Piotr w Jerozolimie... tak Szczepan, kiedy się grzesznym faryzeuszom serca krajały".

Oprócz tych dłuższych ustępów, świadczących wymownie o kapłańskiem namaszczeniu Sarbiewskiego, spotykamy co chwila

[1] Zbiór Bohomolca. List 34, pod koniec: *vale praeco Dei, cuius sacrae contiones fulminis instar percellunt animos nostros.*

w „Lasce marszałkowskiej“ liczne inne tegoż namaszczenia wyrazy.

Ten Sarbiewski, który tak chwalił Sapiehów za ich czyny patryotyczne, pamięta też o ich czynach miłosierdzia, o poświęceniach cichych i ukrytych, wypływających z ducha wiary i głębokiej pobożności. O Janie Stanisławie mówi tak:

„O tajemnych jego jałmużnach co wspomnę? Złotemi to w kancelaryi niebieskiej literami zapisano, co powiem. Uboższych ludzi i niedostatnich ziemian, na pogrzeby własnych ich rodziców, abo inszych pokrewnych, hojnym z szkatuły swojej datkiem wspomagał; wielu potajemnie swym własnym kosztem grzebł, a żałobne ich pamiątki co rok odprawował“.

W młodości swego bohatera, wśród wielu innych cnót, nabożeństwo do Matki Boskiej szczególnie podnosi: „Nie było Przenajświętszej Bogarodzice albo kongregacyi, albo kościoła, albo miejsca, osobliwem jakiem ku tejże Przenajdostojniejszej Matce nabożeństwem znacznego, gdzieby jakiego wizerunku... gorliwości swojej ku czci tejże nieba i ziemi Królowej nie zostawił“.

Mówiąc szeroko o cnotach i wielkich czynach zmarłego, ma przytem Sarbiewski to delikatne poczucie skromności i wyższości kapłańskiej, że nie chce nawet wspominać o tem, co w życiu Sapiehy pewną wystawnością, zresztą najgodziwszą, trąciło.

„Wspierał dom boży zmarły marszałek, wspierał królewski. Nie godzi mi się i kapłanowi i zakonnikowi wielą to słów wywodzić, jaką na sejmach i rezydencyach asystencyą..., jaką we wszystkiem przystojnością dwór królewski zdobił; jako kosztu nie litował, aby zawsze majestatowi ziemskiemu bywał przytomny z mądremi radami... spieszę jako kapłan do kościoła, drugiego tej Rzplitej filaru“.

Nigdy nie zapomina on o pierwszem zadaniu kaznodziei, o sprawie zbawienia i o najżywotniejszych interesach człowieka. Rzuca więc razporaz słuchaczom zbawienne nauki o znikomości życia ludzkiego:

„Sadźcie się światowi ludzie, jako chcecie, na tym śmiertelności gruncie; nie ujdziecie strasznych u Joba słów: Obaczyłem głupca na korzeniu mocnym i zaraz-em mu złorzeczył“.

Jeżeli w poezyi gromił zniewieściałość współczesnych, wołając: „Myśmy niegodni imienia bohaterskich ojców, bo tylko przy kielichach rozprawiamy o wojnie“:

Fuso metamur Falerno
Moenia, diluimusque fossas [1];

to i tutaj w kazaniu nie szczędzi niektórych panów i wyśmiewa ten epikurejski patryotyzm smakoszów, „co tylko przy bankietach i domowych posiedzeniach mądremi radami wspierają ojczyznę“.

Kiedy pod sam koniec kazania wprowadza Sapiehę do nieba, i tu jeszcze nie zapomina o grzechach, które wstęp do tej krainy zagradzają, i powstaje na gwałty polskiego żołnierza.

„Stróżowie niebiescy, — mówi on — słysząc, że do nieba wchodzi *potens in proelio*, mocny w bitwach, zgoła jakiś hetman, myślą: toć podobno za nim chcą wnijść i owi, co wioski łupili, co darli, co wydarłszy, nie oddali!... Przebóg nie!!“

A z jakiem on gorącem uczuciem tego Sapiehę do nieba wprowadza! Ten siwy wiarus polski, senator Rzplitej, który, umierając, „poległ chwalebnie pod brzemieniem miłej ojczyzny“, teraz wchodzi w bramy niebieskie, pobożnie i pokornie wsparty na Zbawicielu.

„Dziwują się Aniołowie święci, odźwierni niebiescy, duszy nabożnej, do nieba pielgrzymującej... *Quae est ista, quae ascendit innixa super dilectum suum?* Cóż to za dusza, co idzie do nieba, wsparłszy się na Chrystusie Jezusie, umiłowanym swoim?...“

Naukę katolicką o zbawieniu i o zasługach Chrystusowych wykłada krótko, ale gruntownie, zbijając, nawet w tem pogrzebowem kazaniu, protestanckie błędy.

„Wpuszczono do nieba duszę, na Chrystusie Jezusie umiłowanym wspartą. Rzeczesz heretyku: Toć nam dosyć na samym Chrystusie i szczególnych Jego zasługach polegać, abyśmy na żywota naszego kresie nie upadli. Nie zrozumiałeś Pisma. Zaż nie słyszysz, że nie jakokolwiek na Chrystusie, ale na umiłowanym Chrystusie polega ta dusza... Toć do zasług Chrystusowych potrzeba bożej miłości, a jeźli miłości bożej, toć nietylko

[1] *Lyric.* libri I, ode 8.

wiary, toć i pełnienia przykazań — *plenitudo enim legis est dilectio*“ (Rom. 13).

Wszystko, co się do Boga i do wiary odnosi, traktuje on z zapałem.

Mówiąc o krzyżu, nazywa go pięknie słowami Apokalipsy, drzewem żywota, które Jan św. widział w niebieskiem Jeruzalem. „Śród ulicy jego drzewo żywota, a liście drzewa ku zdrowiu narodów“.

O łasce bożej woła z uniesieniem:

„O nieogarniona myślami naszemi dobrotliwości i łasko boża! Jako uleczasz skruszone serca... jako goisz rany duszne, jako cały żywot rozsypany i rozrzucony zbierasz, spajasz, ożywiasz!“

A z jaką boleścią i żalem przedstawia on następstwa grzechu pierworodnego.

„O Boże, jako łacno, a jak na ciężkie rzeczy wąż nas namówił; na jakie jasnego przykazania Pańskiego przestępstwo! Nędze i uciski, prace i poty, niedołężności i choroby, wojny i mordy!“

Kiedy wreszcie Sapieha stanął już w bramach wieczności, mowca, w duchu pojęć współczesnych, szuka kogoś, coby mu bramy otworzył i „do samych niebieskiego Hieruzalem świątnic marszałkował“.

Przypomina sobie z głębokiem poczuciem katolickiem uczynki miłosierdzia — jałmużny zmarłego.

„Pany świata tego — mówi on — pospolicie do królestwa niebieskiego przeprowadzają jałmużny. Kiedy biedna jałmużna do wrót niebieskich zakołace, żaden z odźwiernych, co bram strzegą, nie śmie rzec: coś ty zacz? zkądeś?... ale się jej wszyscy zdala dziwują..., zaraz jej samej i tym, przed którymi marszałkuje, bramy niebieskie otwarzają... Mam ja wielką, przezacni słuchacze, otuchę, że szlachetną wielkiego litewskiego marszałka duszę znamienite jego i nieprzebrane ku ubogim hojności i szczodrobliwe jałmużny prosto przez bramy niebieskiego Jeruzalem przeprowadziły... Możemy tedy dufnie westchnąć do niebieskiego dworu: Przybądźcie Święci boży, zabieżcie mu Aniołowie pańscy,

przyjmując duszę jego, niech cię przyjmie Chrystus, który cię powołał, który żyje i króluje na wieki".

O marszałkowstwie jałmużny dzisiaj mówićby nie można: pomysł ten — jak wiele innych pomysłów oratorskich Sarbiewskiego — cały jest w duchu i w stylu XVII. wieku. A jednak ma on w sobie coś powabnego, jakiś rzewny, pobożny urok, ten urok dziecięcej wiary i prostoty, którą tak świetnie i artystycznie pochwycił Sienkiewicz w mowie Muchowieckiego nad trumną Podbipięty, kiedy to on wśród nocy słyszy „na gwiaździstych wysokościach stukanie do niebieskich podwoi", i rozmowę ze św. Piotrem, „sędziwym furtyanem Chrystusowym"; albo kiedy wzruszony, woła do tegoż św. Piotra: „Puść go święty kluczniku..., niechaj się pasie na niebieskiej łące, bo głodny przyszedł ze Zbaraża".

Oto wybitniejsze rysy i cechy charakterystyczne, wyjęte z jednego tylko kazania, a wykazujące aż nazbyt dobitnie, jak głęboko religijnym i apostolskim jest autor „Laski marszałkowskiej".

Wiara i ojczyzna! — oto dwa słowa wielkie i święte, które Sarbiewski ciągle ma na ustach; — z tych dwu źródeł wypłynęły najpiękniejsze ustępy jego kazania, równie jak najpiękniejsze ustępy jego poezyj. Do tych dwu ideałów, wypiastowanych w sercu, wyciąga on razporaz swoje ramiona. Ziemską ojczyznę widzi z dalekiego Rzymu okiem swej duszy; od błękitnego włoskiego nieba i od czaru rzymskiej Kampanii rwie się on do tych śnieżnych szczytów karpackich i do tych łanów rozkosznych, które obmywa swą falą Wisła i Bug:

O cani iuga Carpathi,
O formosa meae rura Poloniae!
Quam fontes Hypanis lavant,
Quam lambunt gelidi flumina Vistulae[1];

a do niebieskiej ojczyzny, którą widzi poza gwieździstą kopułą widnokręgu, odzywa się w pięknych, choć naśladowanych wyrazach:

[1] Wiersz ten podajemy tak, jak się znajduje w manuskryptach Bibl. Barberinich, których odpisu udzielił nam p. Stanisław Windakiewicz. (Por. *Lyric.* libri II, ode 22).

Urit me patriae decor,
Urit conspicuis pervigil ignibus
Stellati tholus aetheris [1];

albo wpatruje się w niezmierzony ocean Bóstwa i wzlecieć chce ku temu morzu bez granic:

. . . . . o refusum
Numinis Oceanum! o carentem
Mortalitatis portubus insulam!
O clausa nullis marginibus freta!
Haurite anhelantem... [2]

Piękna to była i szlachetna dusza. Sam siebie najlepiej scharakteryzował, kiedy u stóp Tej, którą pobożność ojców naszych nazwała Królową Polskiej Korony, zawiesza lutnię, na której wyśpiewał chwałę Bogarodzicy, a obok niej drugą, na której polskie rozgłaszał tryumfy:

Hic Vaticanis non sine laureis
Appendo functum carmine barbitum et
Olim Polonorum tropaea
Sollicitam cecinisse buxum [3].

Czy mógł się spodziewać poeta po takich słowach i po takich pieśniach, że wśród jego rodaków w XIX. wieku znajdą się tacy, co powątpiewać będą o czystości, szczerości i prawdzie jego religijnego natchnienia, a pieśni jego patryotyczne potępią jako „narzędzie zagranicznej polityki"?!... Tak się jednak stało [4].

Sprawiedliwiej ocenili poetę bezstronni cudzoziemcy. Pierwszy niemiecki biograf Sarbiewskiego, Langbein, na każdej nieomal karcie swej książki wychwala jego pobożność i jego miłość ojczyzny, twierdząc między innymi, „że imię Rzplitej u innych narodów rozgłosił" [5]. A i za naszych czasów ceniony pisarz niemiecki, przedwcześnie zgasły Diel, powiada: „Ognisty patryo-

[1] *Lyric.* libri I, ode 19. [2] *Lyric.* libri II, ode 5.
[3] *Lyric.* libri IV, ode 20.
[4] Por. między innemi broszurę p. Leona Kulczyńskiego p. t.: „Kilka słów o Sarbiewskim". Kraków 1875.
[5] *Commentatio de M. C. Sarbievii S. I. Poloni vita, studiis et scriptis* Auctore Lebrecht Gotthelf Langbein. Dresdae 1753; por. między innemi str. 129: „nomen Reipublicae apud alios populos fecit", i str. 130: „in eius salute, dum inter vivos esset, principem tenuit patria auctoritatem".

tyzm ożywia Sarbiewskiego... Był to mąż szlachetny i wysokiego polotu, prawowierny katolik, pokorny i apostolski zakonnik. To są wzory dla naszych czasów bez zasad!“ [1]

Chcielibyśmy jeszcze w kilku pobieżnych rysach dotknąć niektórych krasomowczych zalet i właściwości Sarbiewskiego, zwłaszcza o ile dotyczą stylu i obrazowania. Już w tych przykładach, któreśmy przytoczyli dotychczas, zauważył czytelnik bez wątpienia język wogóle poprawny, często klasyczny, a we wielu wyrażeniach szczęśliwą oryginalność i siłę.

Takich wyrażeń, owszem całych ustępów, znacznie jeszcze więcej spotykamy w „Lasce marszałkowskiej“. W ocenianiu ich jednak chcielibyśmy na jeden szczegół zwrócić uwagę. Miarą stylistycznych czy retorycznych zalet Sarbiewskiego nie zawsze mogą być jego pomysły; są one nieraz słabe i niesmaczne, czasem wprost liche. Specyalnością Sarbiewskiego jest piękność szczegółów i artyzm wykonania, którem on braki swoich pomysłów sowicie wynagradza.

Widzimy to razporaz w jego poezyi. Pisząc wiersz do swych przyjaciół w Belgii, przedstawia sobie poeta, że leci do Antwerpii na rączym i wartkim pegazie [2]. Cóż może być słabszego? A jednak Sarbiewski pięknością i siłą wykonania tak pokrywa słabe strony tego zużytego tematu, że musimy kapitulować ze wszystkich reguł estetycznych i powiedzieć sobie: to prawdziwie piękne. Jak ten rumak bajeczny strzyże uszami, jak on rży radośnie, poznając swego wieszcza, jak przelatuje ponad szczytami Krakowa, jak mija Łabę i Ren i Mozę, fal ich nie musnąwszy nawet kopytem...

. . . . . Ducite Gratiae
E valle Permessi vagantem
Pegason, alipedemque sacris

[1] Por. *Stimmen aus Maria-Laach*, 5. Band. 1873, str. 64 i 377. „Der feurige Patriotismus beseelte unseren Dichter... Sarbiewski war ein edler, hochsinniger Mann, ein glaubenstreuer Katholik, ein demüthiger, apostolischer Ordensmann. — Das sind Vorbilder für unsere grundsatzlose Zeit!“

[2] *Lyric.* libri III, ode 29.

Frenate sertis. Ut micat auribus!
Vocemque longe vatis amabili
Agnoscit hinnitu! Ut dearum
Frena ferox, hilarique bullam
Collo poposcit!

Poeta dosiada tego wieszczego konia i leci przestworzami ponad Polskę i Niemcy:

Iam, iamque retro Carpathon et procul
Frontem nivalis respicio Craci,
Turresque Carcinae et vetusti
Transilio iuga Carroduni [1],
Canamque Peucen...
Albimque, Rhenumque et liquidum nihil
Tangente Mosam praevehor ungula...
Iam iam coruscas Andoverpae
Cerno domos, dominumque Scaldim.

Ten sam charakterystyczny rys talentu przebija się w wymowie Sarbiewskiego. Obrazowym jego pomysłom, jako pomysłom, wiele można zarzucić — i słusznie. Ciągłą obrazowością szkodzi jasności swych myśli, szumne zaś alegorye odbierają mu tę naturalność, która tak mile pociąga w wymowie Skargi, a którą i poecie zaleca Ujejski, mówiąc trafnie, że:

Największa piękność w pól drobnych kwiatach,
Największa wielkość w prostocie;

ale przy tem wszystkiem wykonanie owych szumnych pomysłów znowu będzie u Sarbiewskiego takie, że jeżeli nie zawsze, to przynajmniej bardzo często rozbroi najbardziej nawet opornych.

Jako dowód przytaczamy tu jeden dłuższy ustęp, w którym poucza kaznodzieja o wychowaniu młodzieży.

Wyjaśniwszy w krótkości niezbyt powabną alegoryę, że młode panięta są to kwiaty, które wschodzą na rodowej latorośli winnej, aby potem wyróść w laski i berła, pyta się: „Co to jest, że prorok rzekł: kwiat! — alboż i kwiatki ojczyznę wspierają? Wspierają. Pamiętają łaski wasze, że filary, które wszystek kościoła Jerozolimskiego sklep dźwigały, kapitela abo nagłówki z lilii miały odlewane. A i oblubienica Chrystusowa, Ko-

[1] Od Ptolemeuszowego Καρρόδουνον wywodzono błędnie pierwotny Kraków. (Por. XIX. tom Rozpraw wydz. hist.-filoz. Akad. Um., str. 343).

ściół św., policya duchowna, w pieniach Salomonowych pilnie prosi: *fulcite me floribus* — wspierajcie mnie kwiatkami! Przez kwiatki — tłumaczy Grzegorz św. — znaczą się ci, co się dopiero w cnotach ćwiczyć poczynają. Więc jako duchowna, tak i świecka policya ma swoje kwiatki, którymi się podpiera. Panię owo, co się z młodu w strzemięźliwości, w czujności, w skromności, w nabożeństwie... ćwiczy — kwiat to. Co się nie ladajakiemi krotofilami bawi, ale stanowi szlacheckiemu przystojnemi zabawami: co się uczy konia przystojnie osieść, łuk ciągnąć, kopiję gładko złożyć — i to kwiat. Co pomału domowego krasomowstwa nawyka, historyki i polityki wartuje, a jeźli go do cudzych krajów poślą, nie skokom się, nie plęsom, nie baletom, ale dobrym obyczajom, zdrowym rządom, porządnym miast budynkom i twierdzom przypatruje — i to kwiat; i już wspiera ojczyznę i Kościół Boży, jeźli nie rzeczą samą, przynajmniej piękną nadzieją. O takie was kwiatki zemdlała ojczyzna często prosi, JW. Panowie — *fulcite me floribus*. Nie kryjcie się z nimi w cieniu, w pokojach, między papinkami... Wychowywajcie je wzorem Chrystusowym — *ego flos campi*, jam kwieciem polnem. Pokazujcie się z nimi na słońcu, w polu akademickiem, albo rycerskiem, albo dworzańskiem. Tylkoć się na tych warsztatach odlewają owe kapitela, któreby ojczyznę i Kościół wspierały — a was JW. Panowie, dobra pospolitego filary, nakształt kapitelów koronowały — boć mądry syn jest wieńcem ojca swego".

Piękny to obraz! — Sarbiewski, sam rycerz krzyża i członek rycerskiego zakonu, lubuje się widokiem tych żwawych chłopiąt, co koniem się bawią i gładko składają kopiją, podobnie jak w poezyi lubował się widokiem małych dzieciaków, które raczkując jeszcze po ziemi, bawią się już łukami i rozrzucają szyszaki, a na widok mieczy, robią te dziecinne miny marsowe, które bawią zarazem i chwytają za serce:

. . . . . reptabunt per arcus,
Scuta per et galeas nepotes,
Iam nunc protervi, nunc etiam truces
Ad saeva ferri fulgura![1]

[1] *Lyric.* libri IV, ode 29.

Jeżli często spotykamy u Sarbiewskiego miejsca, w których nie pochwalając pomysłów, uznać musimy piękność szczegółów i wykonania, to z drugiej strony przyznać znowu trzeba, że w „Lasce marszałkowskiej“ znajdują się też ustępy, które i pod względem pomysłów piękne są i oryginalne.

Umie np. mowca czyny swych bohaterów — ten statystyczny, że tak powiem, wykaz faktów — pojąć obrazowo i oddać nie bez wdzięku i nowości. Rzplitą przedstawi on jako olbrzymią twierdzę, czy zamek, wspartą wewnątrz na dwóch filarach, którymi są kościół i dwór; — z zewnątrz wszystkie cztery ściany tej twierdzy cisną żelaznym pierścieniem nieprzyjacielskie potęgi... Sapieha broni tych ścian.

„Dźwigał miłą ojczyznę JW. Jan Stanisław Sapieha: wspierał wszystkie jej ściany z zewnątrz i wszystkie wewnątrz filary. Dźwigał ścianę wschodnią od Moskwy przy Zygmuncie III., nieustałej pamięci panie i królu naszym, cały pułk w smoleńskim oblężeniu po wielkiej części chlebem swoim i szczodrobliwością prawie pańską zadzierżywając. Dźwigał ścianę południową od Wołoch przy nieśmiertelnej sławy Janie Karolu Chodkiewiczu, Achillesie litewskim, sto piechoty i sto kozaków, a przy boku pańskim sto piechoty i sto husarzów własnym nakładem prowadząc. Dźwigał zachodnią ścianę w Prusiech, pilną piersi swoich zasłoną i krwi odwagą bok Majestatu okrywając, a sto piechoty, kozaków półtora sta i sto husarzów swym groszem ciągnąc. Dźwigał północną ścianę w Inflanciech, całe wojsko niezmiernem kosztu łożeniem w posługach ojczyzny zatrzymywając przeciwko potężniejszemu już natenczas Gustawowi Adolfowi“...

Kiedy mówi o tem, jak szybko Szwedzi zalali całe Niemcy północne, to opisze tę wojenną falę z całą siłą wezbranej fantazyi:

„Jako prędko — mówi on — szwedzki *furor* od północnego się nad Szczecinem zapędziwszy morza, za Odrę i *Albim*, za Ren i Dunaj zapadł i ledwo się o Tatry niemieckie otrącił!“

Zamało mu na tem, że Lew Sapieha zdołał tę szwedzką potęgę utrzymać w ryzie...

„Lew Sapieha, — powie on — jednego księstwa hetman, tej furyi spotężnionej i w Inflanciech rozprzestrzenionej, za Dźwinę

i poglądać nie dał i tamtę wszystkę od północka ścianę... uciszył".

Nie powie Sarbiewski, że Pismo św. w Księdze Mądrości piękną królom daje naukę, jak mają być sprawiedliwi; on to wyrazi obrazowo:

„Mędrzec złotą przypowieść na tronach królewskich rysuje: *iustitia firmatur solium* — sprawiedliwością umacnia się krzesło królewskie".

Niedosyć mu na prostem wyrażeniu, że król ma na swoje zawołanie urzędników koronnych i wojsko, przez których może zdziałać co zechce; i to musi oddać w obrazie:

„Czego król nie może dosiądz ręką, dosięże berłem; czego nie dosięże berłem, dosięże marszałkowską laską, dosięże kanclerską pieczęcią, dosięże hetmańską buławą, a rzekę śmiele: dosięże rycerską kopiją i szablą".

Zamiast wyłożyć krótko, egzegetycznie, co to znaczy, że Pismo św. Panu Bogu miecz w usta kładzie, wyłoży on rzecz o wiele piękniej przez zestawienie:

„Dawny to strój Boży! Ludzie trzymają miecz goły w ręku a Bóg w uściech. Jednoż to u Boga i język i ręka, wymówić i wykonać — *dixit et facta sunt!*"

A jaka w nim masa pięknych przenośni, silnych zwrotów i dosadnych wyrażeń! Szczęście Sapiehy, „obyczajów ułożeniem upiastowane i dobrocią okraszona szczerość"; dwór królewski, „wszystkim otworzony w ojczyźnie dzielności i wierności plac"; Święci niebiescy, „jerozolimskie mieszczany"; laska senatorska, która walący się polityckí świat „wspiera i zadzierżywa"; sądy ludzkie, które, nim się ustalą, wprzód się muszą „przetrybować"; panowie rozrzutni, co skąpiąc dla Kościoła i ojczyzny, „na bankiety i krotofile portugałami brząkają"; głębokie i zbawienne rady Stanisława Sapiehy, wypowiedziane na sejmie, „samo nieprzepłaconej mądrości złoto"; urzędy królewskie, które ze śmiercią pana na ziemię muszą padać jako „doczesnej potencyi ułomki i wióry"; — wszystko to piękne i klasyczne, rzekłbyś, żywcem przejęte z XVI. w., z tej szczęśliwej epoki Górnickich i Skargów.

Takim samym jest — żeby o rzeczy już przytoczone po-

trącić — ów Andrzej Sapieha, co nieprzyjaciela „z obozu wyzuł, a działa, chorągwie i insze dzielności pobrał“; takim samym ten król, co „ostrym rozumem wszystko przenika“; albo ten szwedzki furor, co się ledwo „o Tatry otrącił“, i ta Antyochia, co się „wstrzęsła i obaliła, i sześćdziesiąt tysięcy ludu przytłukła“; albo wreszcie te odważne roty, któremi starosta Uświatski „Wołgę i Okę obegnał“, te roty tak podobne do owej bitnej lackiej młodzi, o której niegdyś śpiewał poeta:

Praeter triumphis vecta Borysthenem,
Volgamque pubes [1].

Prawda to, że te wszystkie udatne miejsca i wyrażenia wyrwane są z tekstu, że chcąc odnaleść to zdrowe jądro, trzeba nieraz mozolnie i długo nameczyć się nad twardą łupiną alegoryi, obrazów i subtelności, że po najpiękniejszem wyrażeniu o krzyżu przyjdzie zaraz niesmaczny dodatek o „dryakwi, którą z korzenia drzewa krzyżowego robią“, a po rycerskich zabawach szlacheckiego panięcia nastąpią zaraz „granadyle“ [2], przedziwne kwiaty indyjskie, wyrastające „w słupiki“ — ale mimo to piękność zostaje pięknością i zasługuje na podniesienie.

* * *

Ktoby się wziął do czytania „Laski marszałkowskiej“ *in extenso*, możeby cięższe z niej odniósł wrażenie, niźli z tego szkicu, któryśmy tu skreślili. Niestety, jestto właściwością a może i słabą stroną każdej prawie analizy — zwłaszcza analizy tak niejednolitych dzieł, jak kazania XVII. wieku — że wnikając głębiej w szczegóły, zdaje się poniekąd zbyt podnosić ich wartość w stosunku do całości.

Co do nas, nie tailiśmy wcale ujemnych stron „Laski marszałkowskiej“; a pod koniec tej rozprawy raz jeszcze zazna-

[1] *Lyric.* libri IV, ode 38.

[2] Jakąś szczególną sympatyę ma Sarbiewski do owych granadylów. Występują one i w poezyi z tym samym przyborem cierni, biczów i t. d. Por. Epigram. 12: *eant et Indi protinus granadilli*... etc.

czamy, że cały jej nastrój jest przesadny, a błędy wieku, choć nie najskrajniejsze, zawsze jednak niemiłe i co krok się powtarzające, przygłuszają jak chwast zdrowe ziarno wymowy, tak że szczegóły dodatnie wpadają w oko przy dokładniejszej dopiero refleksyi i przy pewnej dozie cierpliwości.

Po tem zastrzeżeniu, jakiż sąd ogólny wytworzymy sobie o wymowie Sarbiewskiego?

Zbierając razem te uwagi, któreśmy rozwinęli w niniejszej rozprawie i wedle możności uzasadnili, dochodzimy do trzech wniosków.

Popierwsze — Sarbiewski wielu błędom swego wieku uległ bez zastrzeżenia; zżył się z nimi, przejął się nimi i uważając je za zalety, hołdował im z przekonania. Tu zaliczamy ciągłe jego alegorye, pomysły figuryczne, drobiazgowe rozprowadzania obrazów, wyzyskiwanie zbyteczne analogii, przesadę w używaniu retorycznego przyboru, jakoteż wspomnienia jużto mitologiczne, jużto literackie klasycznego świata, z którym, jako poeta łaciński, zrósł się nierozerwalnie. Że w tem prawdziwie uległ zepsutemu smakowi wieku, przekonują nas jużto jego wiersze, w których nadmiar obrazowości i nadmiar Olimpu ciągle czuć się daje, jużto sama „Laska marszałkowska“, w której przytoczone powyżej szczegóły wprowadza autor razporaz, a zawsze traktuje je na seryo i wykończa *con amore*.

Podrugie — smak artystyczny i klasyczne wyrobienie uchroniło przecież kaznodzieję od całej masy innych błędów i przesad swojego wieku, o wiele gorszych i skrajniejszych niż pierwsze. Ustrzegł się on niskiego schlebiania możnym, ustrzegł się modnych komentarzy i aluzyj herbowych, ustrzegł się czczych frazesów bez myśli i sensu. Pod przesadną formą kryje się u niego myśl zdrowa, a zpod niesmacznych ozdób przebijają pewne rzuty artystyczne. Przemawia on z godnością, nie kaleczy języka ciągłą łaciną, nie zniża się nigdy do rubaszności i prostactwa, nie występuje na ambonie w roli dowcipnisia i komedyanta — co w XVII. wieku nie należało do rzadkości — a jeźli raz albo drugi wyrwie mu się jaki koncept albo dowcip subtelny, czyni to on z pewnością z jakimś pobłażliwym uśmie-

chem i z tem przekonaniem, że chciwemu smakowi słuchaczy, czasem przynajmniej trzeba dogodzić.

Potrzecie wreszcie — nietylko smakiem artystycznym stoi Sarbiewski wyżej ponad przeciętny ogół mowców XVII. stulecia, ale też talentem krasomowczym stanowczo ich przewyższa. Czy to w stylu kaznodziejskim i obrazowaniu, czy to w potężnych i apostolskich naukach moralnych, czy to w używaniu bogactw języka — jak na swój wiek — podniósł się on bardzo wysoko. Na te zalety złożyło się wiele przyczyn. Przedewszystkiem niezaprzeczony talent Sarbiewskiego, a obok talentu wpływy Rzymu, jakoteż studyum pisarzy polskich XVI. wieku, w których nasz kaznodzieja rozczytywał się z zamiłowaniem [1].

W XVII. stuleciu mieliśmy dwóch wielkich mowców. Pierwszy, żyjący w początkach wieku — to potężny słowem mnich-rycerz, w białym powłóczystym habicie, wyjęty jakby z legendy, a tak podobny do średniowiecznych apostołów wojen krzyżowych, kiedy słowo boże głosi po obozach nad Dniestrem, kiedy grzebie w bitwach poległe, kiedy przed walką śpiewa z hufcami pieśń bojową: Bogarodzicę, — cały taki ognisty, taki rycerski, że nawet czarta wojennym trybem straszyć każe, wraz „z wszystkiem kozactwem jego“ [2]. — To Birkowski.

Drugi, żyjący pod koniec wieku — to surowy trybem życia asceta, a na ambonie gorący i rozpłomieniony apostoł, co chodził pielgrzymką do grobu Chrystusowego, co z krzyżem w ręku słowo boże głosił po Persyi dalekiej — co w Alepie oglądał jeńców zpod Gdańska, a kiedy wrócił do kraju, to opłakał w kazaniach wszystkie klęski narodowe — „tę strzałę tatarską, co od Morza Czarnego przeszła aż prawie po Bałtyk — tę szpadę szwedzką, co szła od Ujścia i omyła się aż w Sanie — i ten kozacki sa-

[1] *Praecepta poetica* (Bibl. Czart. rkp. 1446) przekonują nas, że Kochanowskiego znał Sarbiewski na palcach; jeden zaś z jego listów, pisanych do biskupa Łubieńskiego (Zbiór Bohomolca, list 9), dowodzi, że z kaznodziejskich względów zajmował się pilnie studyami ojczystego języka. Jakiekolwiek były te studya, trudno przypuścić, żeby w nich nie uwzględnił Skargi.

[2] Kaz. wtóre na niedz. 4 po Trzech Kr. (epilog).

mopał, co przeszedł od dzikich pól aż poza Wisłę [1]. — To Młodzianowski.

Sarbiewski stoi wpośrodku między tymi dwoma kaznodziejami. — „Laską marszałkowską“ nie dorównuje oczywiście żadnemu, ale po nich zapewne jest pierwszym. Wiele przymiotów i zalet ma z nimi wspólnych, wspólne też z nimi cechują go błędy. Gdybyśmy znali inne jego kazania, zyskalibyśmy ważne i ciekawe ogniwo, łączące Młodzianowskiego z Birkowskim.

Niestety — całe stosy kazań, które Sarbiewski zostawił w rękopismach, zaginęły bez śladu.

Włodzimierz Piątkiewicz.

---

[1] Kaz. 3 na niedz. 21 po Świątkach.

RZUT OKA NA WPŁYWY NOWOPLATOŃSKIE

W ŚREDNICH WIEKACH.

(Dokończenie).

II.

W oczach Dyonizyusza postęp moralny zależy od odczuwania piękna i od pożycia społecznego. — Jego pogląd na stosunek natury do łaski stoi w pośrodku między racyonalną etyką Boecyusza a nauką Augustyna. — Rozwijając pewne teorye Plotina, szuka on punktu wyjścia między niezależnością a mechanizmem woli. — W tem wyprzedza średniowieczny dualizm. — Ogólne pokrewieństwo optymizmu nowoplatońskiego z chrześcijańskim w natchnieniach podawanych sztuce.

Autor dzieła „O hierarchii niebieskiej“ już samym tytułem niekorzystnie usposabia dla siebie nowożytne ucho. Ktoś nawet mógłby upatrywać w tem krzywdę, wyrządzoną Boecyuszowi, że obok tego surowego dla siebie i drugich, prawdziwie rzymskiego ducha, o umyśle tak ostrożnym wobec metafizycznych subtelności, ośmieliliśmy się umieścić jako drugą, dopełniającą stronę zachodzącego nowoplatonizmu, takiego mistyka i poetę, ogołoconego ze wszelkich piękności formy. Wszak te piękności są nieodzowne, jeżli poezya ma być coś wartą. Czy zasługuje na towarzystwo tak szanowne ów Dyonizyusz, któremu zdaje się brakować ostatniej szczypty klasycznego spokoju, którego jedyną ambicyą zdaje się być, żeby go nazwano gwałcicielem prawa kontradykcyi? Przed chwilą zapewniał w najjaskrawszych wyrazach, że o Bogu nic wiedzieć nie możemy, a wnet potem wylicza szczeble duchów,

w których Najwyższa Istota ma coraz doskonalej odbijać się, jak w zwierciedle.

Oddać sprawiedliwość postaci tej można jedynie wtedy, gdy się ją umieści na właściwem historycznem tle, uwzględni przyczynę i rodzaj wpływu, jaki na pojęcia moralne, literaturę i sztukę czasów późniejszych wywierała, a przytem kiedy się skontroluje ściślej metodę przedstawień jego, w której filozofia z teologią, a nawet z czystą poezyą graniczy tak blisko, że się z nimi mieszać i zlewać zdaje. Dyonizyusz, jako niewątpliwy uczeń późniejszego nowoplatonizmu, już przez to samo staje w zaszczytnem świetle, że wolnym jest od dziwactw, od wszystkich spekulacyj liczbowych Jamblicha, a zwłaszcza Proklusa, podczas gdy poważna tendencya tegoż, by przybliżyć Platona ku Arystotelesowi, jemu udzieliła się z całą siłą. W tym wieku, gdy już chrześcijaństwo ogromną miało przewagę, nie odwrócić się z lekceważeniem od epigonów starożytnej myśli, i to w dodatku upośledzonych niejedną własną wadą, ale uczyć się od nich, własną zaś wiarę religijną wiernie zachowaną wyznać — są to świadectwa niezawisłości i równowagi umysłu, jaka niezbyt często się pojawia. W tem więcej, niż w stylu i układzie szczegółów maluje się ten człowiek. Zasługa jego nie uszła uwagi św. Tomasza, szczególnie w komentarzu do traktatu *de causis*. Dyonizyusz — powiada tam komentator — abstrakcyom, jak byt, życie, umysł, nie przypisuje istnienia odrębnego, jak „platończycy“, ale wyobraża sobie to, co tym pojęciom odpowiada, jako w jedyny wyjątkowy sposób połączone i pełne w Bogu. W ten sposób oparł się ponęcie, której pogański mistrz jego, Proklus, uległ, i która stała się temuż przeszkodą w poważnem jego przedsięwzięciu, by odrodzić i pojednać wielkie systemata starożytne.

Ponęta do igraszek wyobraźni była tak wielka, że nawet chrześcijańscy średniowieczni komentatorowie Proklusa zapominali wobec niej o surowem a nieodzownem wymaganiu, by nad potrzebę abstrakcyj nie tworzyć. Śliskie i giętkie już samo to słowo „potrzeba“. Proklusowi potrzeba było wielu szyków istot, by otrzymać ciągłość i proporcyę w jego systemie emanacyjnych wypływów z pierwszej przyczyny, i powrotów do niej. W teoryi łatwo

mu było uznać, że Dobro przerasta zdolności poznawcze — we własnej praktyce nie chciał uznać niczego za nieprzekraczalną tajemnicę i w mniemaniu, że pierwsze początki wszechbytu tłumaczy, nawymyślił pośredników między pierwszą przyczyną i dalszymi, których przydatność w tym wypadku jest czemś zupełnie niezrozumiałem. W porównaniu z taką „potrzebą", ów motyw, który przyświecał Dyonizyuszowi przy filozoficznej interpretacyi słów objawienia, wzmiankujących o porządku i roli aniołów, okaże się godnym większych względów i poszanowania, niż na pierwszy pozór zasługuje. To koniecznie trzeba zachować w pamięci, że ów, w średnich wiekach głośny i popularny a później osławiony utwór Dyonizyusza, jest interpretacyą i egzegezą, a nie jakiemś dociekaniem samoistnem [1].

W interpretacyi tej pierwszą rzeczą, która korzystnie musi uderzyć, jest bardzo racyonalna walka przeciw zmysłowym wyobrażeniom o wszystkiem, co dotyczy istoty lub czynów Bóstwa i czystych duchów. Odnośne słowa Pisma godzi się — powiada Dyonizyusz — brać tylko jako symbole, obrazy, a nie jako dokładne przedstawienia rzeczy. Ale poco te obrazy i symbole? Tu dochodzimy do punktu ogniskowego w duchowej pracy Dyonizyusza, do tego, który mu dla etyki i estetyki średnich wieków pierwszorzędne pozyskuje znaczenie. Wniknijmy zarazem w tę potrzebę uczucia, która jemu hierarchię niebieską wystawiła w postaci moralnego porządku, a nie, jak tylu nowożytnych sądzi, w postaci chorobliwej i poetycznej mrzonki. Wglądnijmy w bieg jego myśli. Bóg w szczerym blasku istoty swej nie jest żadnemu stworzeniu dostępny. Taka pełna znajomość siebie jemu jest tylko właściwą. Z nieskończenie doskonałym przedmiotem dla wiedzy nakryć się może w zupełności jedynie dorównujący mu podmiot takiej wiedzy. W najwyższym zaś stopniu ułamkową musi być wiedza człowieka o Bogu. Treść jej składa się ze zbieranych z mozołem zalet i z dodawanych prawie jednym tchem zaprzeczeń ich i ograniczeń. Każda dostępna człowiekowi energia siły, ży-

[1] Nie jest więc wiernym przekład wiersza dantejskiego o nim, w tłumaczeniu Korsaka: „Ten co na ziemi badał naturę aniołów".

cia czy myśli, przedstawia się Dyonizyuszowi jako coś górującego, t. j. jako cel dla dążeń. Ale w każdej znanej sobie energii widzi zaród zastoju i zmęczenia, który to zaród musi uchylić, gdy orzeka o energii najwyższej. Musi więc dodać, że ta zaleta przybiera w Bogu postać odmienną, wolną od wszystkich braków, do widzialnych prawie zupełnie niepodobną. Ale gdy Bóg jest tak odległym od umysłu ludzkiego, jakim sposobem wola i serce do niego dążyć potrafią? Trudno pojąć dążenie do rzeczy nieznanych, ale prawdziwem niepodobieństwem dla każdego idealisty było i jest przypuszczenie, jakoby umysł mógł spocząć na czemś skończonem i mógł znaleść całkowite zadowolenie i uszczęśliwienie w tem, co nie jest pełną i bezwzględną prawdą. Tak gdy chodzi o obronę poglądu, upatrującego szczeble doskonałości w świecie, nowoplatończyk idzie krok w krok z chrześcijaninem. W umyśle Dyonizyusza współpracują obaj.

Tymczasem trudność owa trwa. Nie osłabia jej ta uwaga, iż myśl ludzka tworzy przedmiot idealny dopiero skutkiem refleksyi nad własnem „ja“. Ta refleksya bowiem, mniej lub więcej świadoma w każdem myśleniu, jest świadectwem, że duch już zainteresował się stosunkami swych wyobrażeń i że im pragnie nadać lub zachować jakąś formę, któraby go zadowalniała. Nic nie może być przedmiotem pragnienia, a więc i owych uporczywych dążeń świadomości, jak tylko to, co już w jakimś delikatnym, niewyraźnie zarysowanym kształcie przyświeca jej zdaleka. Ten fakt psychologiczny, przeczuwany już od czasów Sokratesa, nasi nowoplatonicy chrześcijańscy wzmacniają szczególnym naciskiem, do człowieka zastosowanym. Po ludzku dążyć i kochać można tylko wtedy, gdy się coś pojmuje i rozumie jako sprawiedliwy i godny cel podobnego dążenia i kochania.

Tymczasem Bóg nie jest człowiekowi, według samego Dyonizyusza, podobnym celem do pojęcia i zrozumienia. Jakież wyjście z tej trudności? Z Arabów, Avicenna przy stanowczym swym arystotelizmie, pobudzony przez pewne pomysły nowoplatończyków, ale nie przez ducha ich, każe umysłom niższym zadowalniać się dosięgnięciem najbliższego wyższego. Odpowiadałoby to zasadniczemu nowoplatońskiemu sposobowi pojmowania świata, jako cią-

gły łańcuch uzupełniających się istot. Ale sprzeciwia się to kierunkowi tego idealizmu zarówno w etyce, jak w teoryi poznania, który całą tę filozofię ożywia i znajduje wyraz w żądaniu autonomii od wszystkiego, co się nazywa rozumem. Autonomia ta, t. j. rządzenie się głosem i prawami bezwzględnemi, odczytywanemi na dnie własnej głębi, musiałyby ustać, gdyby światowi duchowemu wystarczały do zaspokojenia podobne drugorzędne ogniwa, a nie łączył każdego rozumu bezpośredni węzeł z tym jakkolwiek tajemniczym, ale najwyższym umysłem, w którym rozum upatruje ostateczną, niezależną podstawę wszelkich norm logicznych i etycznych wymagań.

Ażeby naturze swej i przeznaczeniu odpowiedzieć, musi człowiek do Boga dążyć niemniej umysłem jak pragnieniem — ale jego słabe siły niezbędnem czynią jakieś pośrednictwo. Nasze własne zapatrywanie na tę kwestyą wyraziliśmy przy innej sposobności tak, że człowiek zdolnym jest jedynie dochodzić do cząstkowego poznania, że jest i jakim jest Bóg; to zaś da się osiągnąć na podstawie form pięknych, t. j. tryumfujących nad materyą, przedewszystkiem w postępie dziejowym. Temi pięknemi, Opatrzność bożą odzwierciedlającemi formami, których nam dorobek cywilizacyjny ludzkości dostarcza, są dla Dyonizyusza duchy czyste, wznoszące się, według wyobraźni jego, w jednej postępowej skali tak, że cały ich poczet nie zawiera dwóch równych sobie. Życie każdego z nich ma dwoistą stronę: teoretyczną stroną jest ich energia poznawcza, i w tem znajdują najwyższe szczęście; żywotem czynnym oddziaływanie na niższych, których swym przykładem jako zwierciadła boże zwracają ku źródłu doskonałości.

Wobec wyobrażeń tych narzuca się spostrzeżenie, że gdy Dyonizyusz wyjaśniał wzmianki Pisma św., ożywiał je heleńskim nawskróś duchem. Te niebieskie wzory, co widzów porywają i umysł ich do wyższej nastrajają wiary, czyż nie są odblaskiem zbiorowego życia greckiego z najlepszej doby, który żywcem przeniesiono ku takiemu światowi i takiemu rodzajowi egzystencyi, o jakim my najsłabszego nie możemy mieć pojęcia? Tu i tam wewnętrzne życie istot nie zasklepia się i nie zataja w samolubny, dumny czy nieufny sposób, ale myśl, uczu-

cie, wola, wypromieniane w najpełniejszych falach, dochodzą do współudziału, zrozumienia i ocenienia przez innych. Aby jednostka jedna drugiej nie była obcą, niepojętą, aby zdolną była obudzić w drugiej zajęcie się tem, co ją samo przenikało, — nad tem w Grecyi czuwało duchowe bogactwo narodu, złożone w podaniach, literaturze i sztuce. Nie możemy obojętnie patrzeć na człowieka, który się szczególnie gorąco interesuje rzeczami, co drogie są dla nas i wielu innych. W wieku Dyonizyusza bogactwo owo spoczęło już było pod gruzami, oczekując upatrzonej przez dzieje chwili, którąby je uczyniła niezatracalnie żywym skarbem cywilizacyjnym ludzkości. Ale ostatnie wysiłki myśli greckiej w nowoplatonizmie dawały się natychmiast bezpośrednio zaszczepić: tęsknota szlachetnych pogan, ku najwyższemu dobru i światłu skierowana, opasuje bratniem ogniwem anioły, które składają hierarchię chrześcijanina Dyonizyusza. Można na ten świat, który w środku między Bogiem a człowiekiem skonstruował, patrzeć jako na fikcyę poetyczną, nawet gdy się wierzy w objawienie. Egzegezę bowiem szczupłych o aniołach wzmianek Pisma, chciał dać Dyonizyusz w głośnym swym utworze. W duchu jego własnych ponawianych zastrzeżeń, prawda, której się możemy dowiedzieć o bycie tak odmiennym od naszego, będzie zawsze do pewnego stopnia poetyczną; odzianą pozostanie w osłonę wyobrażeń wymaganych nie przez przedmiot, ale przez naszą potrzebę przybliżenia go do zmysłowej natury ludzkiej. A przecież, mimo że jest tylko poezyą, świat ów ważnym jest dla historyka, bo w filarach tego gmachu wyobrażeń złożony jest w nieznaczny sposób i zamknięty cały system pojęć etycznych. Najdonioślejszy ich wątek, ten właśnie, przez który Dyonizyusz staje się antytezą Boecyusza i dopełnicielem jego, wysnuł się już nam prawie w zupełności przed chwilą.

Umysł człowieka, a więc właśnie ta siła, na której polega zdolność jednostki do rządzenia się sobą samą, nie dorasta do celu, ku któremu go prze nie dające spokoju pragnienie. Pierwszą przyczynę, nieskończoną potęgę, bezwzględną prawdę może on nazwać, ale nie potrafi dowieść istnienia jej sposobem matematycznym, t. j. *a priori*. A cóż mówić o naturze i atrybutach bożych! Do uchwy-

cenia ich przybliżać się może człowiek tylko tem, że poznaje, jak się stopniują i w postępowym kierunku szykują formy piękne i dają ponad sobą przeczuć coś nieskończenie doskonalszego, ale w niezmienionym kierunku wznoszącej się drogi, ukazanej umysłowi. Lecz piękności uznać, a tem mniej zupełnie ocenić nie potrafi, kto nie będzie zdolnym przenieść się we wnętrze innych istot i odczuć wraz z niemi to, co wspólną dla wielu ma wartość. Potrzeba gasić samolubne motywa, potrzeba też przedmiotu, któryby samolubstwem swem obojętnymi dla siebie nas nie czynił. Jednem słowem, trzeba już społeczeństwa istot duchowych ze zbiorowem wspólnem życiem. Tak więc ludzka jednostka, bez przyczynienia się duchowego środowiska, choćby sama w sobie była nie wiedzieć jak rozumną i po stoicku mężną, bezsilną jest, by mogła dotrzeć do celu, za którego dopięciem duch tęskni. „Niema moralności, jeźli odejmiemy żywe pożycie społeczne i zrozumienie dla piękna". W epoce powszechnej ruiny i wciskającego się wszystkiemi stronami barbarzyństwa, ktoby dał wiarę, że myśl ta, właściwa ludom i czasom o wysokiej kulturze, mogła jeszcze znaleść odrębny i świeży wyraz? A przecież to przeświadczenie jest niewątpliwie teoretyczną podstawą pism Dyonizyusza, i w czasach późniejszych, gdy skromna egzegeza ustąpiła miejsca rozbiorowi pojęć i argumentacyj, mieszczących się w tych pismach, pierwiastek owej myśli nietylko odnalazł się, ale z zarodkowego stanu miał w etycznym uniwersalizmie tomistów, w metodzie niejednego mistyka i w dantejskiej estetyce wznieść się do godności przewodnich przekonań wieku. Szczególnie miało się to powieść w kraju dla piękna i społecznego pożycia w tak osobliwy sposób utalentowanym, jak Włochy. Wtedy też dopełniający stosunek z niemniej wpływowym, jakkolwiek na odwrotnym biegunie stojącym Boecyuszem, racyonalistą (względnym) i indywidualistą w etyce, miał się silniej zarysować.

Patrząc na postawę Dyonizyusza, w kwestyi z traktowaną powyżej w bliskiem będącej pokrewieństwie (o łasce), znajdziemy, że jest on już nie odwrotnym biegunem Boecyusza, ale przedstawia objaw środkowy między tymże a św. Augustynem. Ważną jest

ta postawa dla kolei pojęć o stosunku natury do łaski w wiekach średnich. W Niemczech, przesiąkniętych panteistycznym mistycyzmem Eckharta, znajdujemy przecież jeszcze w połowie XV. wieku komentarz do Dyonizyusza, pisany przez wyznającego się albertystą Wencka, gdzie zapomocą pojęć, które „Areopagita“ żywcem zaczerpnął z Plotina (nawet odnośne ustępy z Ennead dałyby się zacytować), komentator, — rzecz charakterystyczna — zagorzały antagonista Kusana, usiłuje uratować współdziałanie stworzenia ze Stwórcą w czynach o wartości moralnej. Że sam największy ojciec Kościoła nigdy nie doszedł do skrajnego lutersńskiego pojęcia, które niweczy wartość czynów człowieka, jako człowieka, świadczy jego tak dobitne, a po tylekroć cytowane zdanie: „Bóg zbawi cię, ale nie bez ciebie“. Jednak nikt nie zdoła zaprzeczyć, że ogólny jego nastrój poglądu na świat wysuwa słabość i zależność człowieka ponad wszelką piękność i zacność najwznioślejszych chociażby dążeń jego tu na ziemi. Powoduje się w tem stale mu przytomnem przekonaniem, że nie ślepota duchowa, ale brak pokory przed Bogiem jest główną przyczyną zlego. „Cnoty pogan błyszczącemi wadami, bogi ich złymi duchami“; — czyż nie są zdania te jaskrawą antytezą traktatów o cnotach naturalnych w „teologicznej sumie“ koryfeusza średniowiecznej filozofii? Przywodzą nam one na pamięć o wiele jeszcze śmielszy pomysł św. Tomasza z Akwinu, jakiegoby się nie tak łatwo kto po nim spodziewał. Bogi starożytnych — powiada — można sobie wyobrażać jako anioły [1]. Takiej śmiałości, jaką był w surowym jeszcze wieku jego podobnie wyrozumiały sposób traktowania mitologii klasycznej, nie mógł się św. Tomasz nauczyć od Arabów, których zresztą wytrwale zwalczał, widząc grożące od nich chrześcijańskiemu poglądowi niebezpieczeństwo, ale od cieszących się sławą dobrych chrześcijan: Boecyusza i Areopagity. Boecyusz przez skreślony wyżej charakter etyki swej, oparty na autonomii rozumu, stał od Augustyna możebnie najdalej w granicach prawowierności. Miał w Konsolacyi swej zdanie, które

[1] W komentarzu do Dyonizyusza *De divinis nominibus:* „quos Platonici deos secundos, nos angelos nominamus“, lib. XI., c. 2.

ochraniała jedynie piękna całość Pisma, a które może właśnie swem zuchwalstwem i paradoksalnem brzmieniem zyskiwało sobie niejeden raz u średniowiecznych czytelników oddźwięki. „Nic nie przeszkadza, żeby, chociaż Bóg istotą jest jeden, uczestnictwem nie było ich bardzo wielu“ [1] *(participatione quidem esse quam plurimos)*.

W duszy Dyonizyusza, nawskróś jeszcze heleńskiej, grały pobudki tak odmienne od tych, które kierowały Boecyuszem i św. Augustynem, jak grecki Wschód od rzymskiego Zachodu zawsze się wyróżniał. Osobiste przejścia „ostatniego Rzymianina“ i największego ojca Kościoła, odbijają się na każdej karcie dzieł ich. W dziele Boecyusza wciąż wydobywa się na wierzch jednostka, godność swą ratując i osłaniając, w prawa i siły swe ufna. U Augustyna zaś przeciwnie, ból nad własną grzeszną przeszłością wyrywa człowiekowi z duszy, jakby na dożywotnią pokutę, nieustanne wyznania, że jest bezsilnym i że własna inicyatywa prawie znika wobec działania łaski. A tak trudne było do pojęcia współdziałanie! W poglądach Dyonizyusza niema jeszcze śladu jakiejś nadającej ton przymieszki z przejść osobistych; w nim żyje

[1] Nie chcemy przywiązywać zbytniej wagi do tego jaskrawego wyrażenia w III. ks. Konsolacyi, bo podobnych jemu dałoby się zestawić wiele z pism Ojców nieposzlakowanych w ortodoksyi. Ogólny charakter traktatu Boecyusza i jego wpływ na średnie wieki maluje się wyraziściej we wrażeniu, które sprawiał, w pewnych uwagach komentarzów, do których dawał powód. Tak uderzyło mnie o wiele silniejsze wyrażenie Mikołaja Treveth w jego komentarzu do I. księgi: „anima intellectiva in naturam Dei transit, quasi ipse Deus sit“. Ale i takie wyrwane myśli bez wyciągniętych dalszych konsekwencyj nie upoważniają nas do tego, byśmy twierdzili, że Boecyusz był nauczycielem panteizmu. Pozostaje jeden fakt niezachwiany do stwierdzenia w tym utworze. Jestto nastrój stoickiej dumy, wielka ufność jednostki w swoje siły — jej poczucie się do niezależności wobec wpływów otoczenia społecznego. W świecie średniowiecznym jednostki, którym się udzielił taki nastrój, wyosobniają się w swem życiu moralnem i religijnem. Instytucya społeczna, powołana do podtrzymania tego życia, staje im się czemś zewnętrznem, w wartości swej podrzędnem. Niech się powinie noga i rozum poczuje swą bezsilność tam, gdzie chodzi o zapanowanie nad namiętnościami, taka jednostka zobojętniała i niewierząca w zbawienne wzajemne oddziaływanie ludzi na się — tonie w mistycznym panteizmie; mniema, że potrafi dosięgnąć Boga przez sam zapęd indywidualnego uczucia i wiary w jego łaskę bez jakiegokolwiek innego pośrednictwa, wpływu, łączności i wogóle bez warunków zewnętrznych.

jeszcze typowy Grek, spragniony za pięknem, opartem na harmonii i mierze. Jako taki nie uczuwa najmniejszych skrupułów, gdy adoptuje, a w chrześcijańskim duchu wyjaśnia i rozwija zdanie Plotina, że w celach porządku światowego nie może leżeć zatarcie czyjejkolwiek natury normalnej. W każdej zaś naturze duchowej, pierwiastek czynny i kształtujący w wybitny sposób przeważa nad biernym.

Jestto zupełnie w duchu idealistycznej teoryi poznania nowoplatończyków, że sama wiadomość o swobodnym wyborze wystarcza, by postanowieniu jakiemuś nadać charakter czynu wolnego. W niczem owej ludzkiej wolności nie nadwereża to, że ten czyn, choć dopiero ma nastąpić, przewidziany już jest w ogarniającej myśli, która stoi poza wszystkiemi zdarzeniami w czasie i że motywa do niego zaczerpnąć musiała jednostka nie z samej siebie, ale albo od fizycznej strony swej egzystencyi, albo oświecona pokarmem duchowym, który za pośrednictwem społecznego otoczenia ostatecznie Bogu zawdzięcza. Przyjąć ów duchowy pokarm, t. j. motywa rozumowe, poddające nas ogólnym normom powinności, w myśl idealizmu tego może jednostka wtedy jedynie, gdy od rzeczy zewnętrznych w głąb ku sobie refleksyą się zwróci i pozna, że społem z podobnymi sobie urodziła się do czegoś wyższego niż to, do czego ją wiodą pociągi zewnętrznej strony. Wolnym więc być w tem pojęciu, jestto módz wejść w siebie, aby przywoływać dla postanowień swych pobudki nie z przemiennych wrażeń czerpane, ale z trwałego rodzaju egzystencyi własnego „ja“. O absolutnie niezależnej wolności nie może być mowy tak w wypadku moralnej jak niemoralnej decyzyi, bo czy tu czy tam przechyla się jednostka, oddaje moc nad sobą szerszej i ogólniejszej potędze. Przy czynach niemoralnych odosobniwszy się od tego etycznego porządku i prawa, które jest węzłem i spoistością duchów, staje się podobną, mniej lub więcej, do fizykalnego lub fizyologicznego atomu, nad którym rządzi prawo walki o byt. Jednostka, znajdująca szczęście swe w takiej czynności, przez którą potężnieje energia ducha społecznego, żądaniom i potrzebom tego ducha poddać się musi i o fizycznem „ja“ zapomnieć nieraz, ale w nagrodę uma-

cnia się jej konsekwencya i energia, a poznanie przybliża się do najwyższego swego celu. Poddając się płynącemu z góry światłu i ogólniejszemu porządkowi moralnemu, potężnieje we własną energię i samodzielność. Twierdzenia te, gdy się je słyszy w formie wyrwanej z szerszego związku uzasadnień, mogą razić pozorami sprzeczności. Ale owemu idealizmowi, który każe się dosłuchiwać głosu wyższych potęg na dnie własnej głębi, owemu harmonijnemu heleńskiemu nastrojowi, takie pojmowanie wolności współczynnej z oświecającym wpływem bożym jest integralnem ogniwem w systemie.

Dyonizyusz na punkcie tego współdziałania dualizm swój uporczywy manifestuje jaskrawiej, niż przy innych sposobnościach. Jako taki dualista jest pionierem poglądu, przenikającego najszersze kreacye wieków średnich. W oczach tego poglądu niezbędną jest łaska, ale musi jej odpowiadać osobista dyspozycya, a ostatecznie (w zastosowaniu do ogółu ludzi) szlachetna, nad zwierzę wyniosła natura. Naturalne proporcye istot, które składają się razem na harmonijną piękność wszechświata, nie mogą być naruszonemi, t. j. Bóg nie może chcieć zmienić ich działaniem swej łaski w ten sposób, żeby to co z istoty swej jest czynnem i jakoby wrodzonym artystą, spadło do rzędu biernego narzędzia [1]. Ten dualizm etyczny kieruje, bez wiedzy wyznających go, zarazem najwyższemi założeniami ich ontologii. Nie pozwolił on Dyonizyuszowi zarówno jak średnim wiekom skończyć na idealistycznym panteizmie, dokąd ich kierunek teoryi poznania mógł zawieść. Ale samą tę etykę widzimy w ścisłym sojuszu z pewną poetyczną wiarą, jakkolwiek nie na wierze wyłącznie się opiera. Zresztą nie dla każdego, gdy nazywa coś poezyą, równa się to odsądzeniu od cech prawdy przedmiotowej.

Obok poezyi subjektywnej indywidualnej, jaką wydały wieki ostatnie, żyje objektywna, społem przez kulturę całych ludów urobiona, poezya, może równie dawna jak istnienie człowieka na ziemi, a w pewnych dziejowych epokach dająca mu klucz do

[1] Średniowieczni komentatorowie Dyonizyusza używają ze szczególnem upodobaniem tego porównania z artystą o duchu myślącym.

największych postępów cywilizacyjnych. Taką torowniczką dróg dla nowożytnego ducha we Włoszech, a ztamtąd w dalsze strony, była poetyczna wiara w szlachetną ludzką naturę, potrzebującą łaski, ale razem i obok niej czynną. Simmel w artykule: *Dantes Psychologie* (*Völkerpsych. Zeitschrift.* 15) do wiary tej, którą mieni poglądem dwoistym, stara się sprowadzić całe mnóstwo innych rzekomych niekonsekwencyj poety. Czy nie nagrodzi się lepiej praca, postępująca odwróconym trybem? Zamiast luźnie z zewnątrz, t. j. z nowożytnego punktu widzenia zaczepiać szczegóły, lepiej jest wejrzeć w jedność organiczną wyobrażeń i przyznać, że bez ożywiającej podobnej wiary, cała ta kanwa poglądów i uczuć nigdyby nie była powstała. Ani poezya, ani sztuka, a tem samem żadna delikatniejsza kultura nie zdołałyby się były wydźwignąć w społeczeństwach, które między pojęciami o godności ludzkiej jednostki a wiarą w wyższość i moc Bóstwa nie umiałyby wynaleść przyjaznego sposobu pożycia. Mógł niejeden, jakkolwiek zazwyczaj względny i poprzednio przygotowany postęp dokonać się przewrotem w dziedzinie oderwanej myśli lub stosunków polityczno-prawnych: ale rozwojowi poczucia dla pięknej formy ludzkich poruszeń żadna bezwzględna negacya nie potrafi się stać dobroczynną. Myśli dadzą się nieustannie poprawiać, wygładzać, uzupełniać, dawne metody porzucać bez utraty wiary w przyszłą, lepszą, ale w świecie uczucia i pragnień ma się rzecz zupełnie inaczej. Tam jeźli się potępia i wyśmiewa, uderza się już nie w sposób dążenia i formę zdolną do rozwoju, ale godzi się w jądro i treść — pogardza się w czambuł i zabija w sobie dawnego człowieka. Ale duch nasz od pierwszej iskierki ocknienia się swego jest czemś ciągłem i konsekwentnem. Jakże więc można głęboko szanować i wierzyć w dziś i jutro swoich uczuć i dążeń, gdy się ostatni ślad wytarło po wczoraj? Wielki Apostoł pogan, wyszczególniając ołtarz dla nieznanego Boga, pragnął religię swą ustrzedz przed zarzutem, że jest tego rodzaju bezwzględną burzycielką. Zachodni zaś świat chrześcijański, gdyby nie był tak silnej wyrobił w sobie wiary, że swoboda i zacność pragnień ludzkich nie przepada przez to, że nią wyższy wpływ kieruje, miałby przed sobą jako alternatywę jedno z dwojga: albo zastój taki,

jak na Wschodzie, albo dla zyskania wolnego oddechu porzucić myśl o wpływie i przeznaczeniu wyższem czyli przestać być chrześcijańskim. Lecz podobna negacya, łamiąc ciągłość w rozwoju uczuć, nigdy nie zdołałaby wydać ludzi z podobnem poczuciem godności i wiarą w swe siły, jak Dante lub postacie stworzone przez Giotta, Lorenzettich, czy Orcagnę. Mocą tego wieku jest optymizm odrębnego rodzaju. Żywoty jego wybitnych ludzi, mimo zupełnie różnych celów i trybu, mają pewną wspólną barwę pogody, t. j. wypisaną na czole, umiarkowaną, bez gwałtownych podniesień i opadów wesołość. Nie dlatego, żeby cierpień nie zaznawali lub byli nieczułymi na brak lub zwichnięcie wszystkiego, co się dziś nazywa osobistem szczęściem — ale dlatego, że braki im są zrozumiałe i bledną wobec opatrznościowego planu i porządku istot, do którego przynależną i potrzebną czuje się nie sama myśl ich, lecz całe „ja“ wraz z uciechami uczucia i tęsknotami pragnień.

Taki optymizm da się scharakteryzować jako wspólny nowoplatończykom i chrześcijaństwu. Różowy pogląd na życie hamować przyznaną koniecznością cierpienia i walki — w teoryi zaś krytyczny idealizm miarkować wiarą w istoty i rzeczy poza nami będące: oto stała konsekwentna postawa, jaką klasyczny duch zgodnie z chrześcijańskim zajmuje wobec nowożytnego monizmu, gdzie ponure nic i zuchwałe wszystko, zezwierzęcanie i ubóstwianie człowieka zdają się grać w piłkę.

W niniejszym szkicu oryentacyjnym zamierzaliśmy jedynie dać sobie i drugim drogowskaz do osobnego kierunku studyów nad pojęciami i kulturą średnich wieków. Gdy się wciąż słyszy — jakoby to było kwintesencyą dziejów owej myśli — o niewolniczem przyjęciu Arystotelesa i przystosowaniu go do dogmatu, zapytujemy się z niedowierzaniem: czy przez całe te dwieście czy trzysta lat duch ludzki był machiną? Jeżli wyobrażamy sobie, że sam tylko arsenał logiczny, t. j. argumentacyj Arystotelesowych zaimponował umysłom, że bez pomocy innych przeświadczeń etycznych wywierał taką skuteczną siłę, z pewnością niesprawiedliwie i jednostronnie a sprzecznie ze wspólnem doświadczeniem

innych wieków osądzimy ludzką naturę owoczesną. Arystoteliczne pojęcia formy i materyi, aktu i potencyi w jego metafizyce, są powzięte zgóry, jako oderwane schemata dla myśli, a na nich opiera się reszta. Dualistyczny pogląd w nich zawarty jest metafizycznym i hipotetycznym zarówno, jak drugie możebne a przeciwne mu stanowisko monizmu. W dziejach człowieka żyjącego na ziemi nie może być mowy o zadowalniającem objęciu prawdy. Przewagę jedynie a nie ostateczne zwycięstwo nad przeciwnikami wywalczać może dualistyczny pogląd bądź rosnącym materyałem zjawisk, któreby się na jego poparcie przytoczyć dały, bądź tylko pobudkami subjektywnej natury, wymowniejszemi dla uczucia niż dla rozumu. Z takich pobudek składa się choćby jak silna i powszechna, ale zawsze poetyczna wiara w postępy ku doskonałości i jej szczeble nieprzekraczalne dla poszczególnych natur. Ta poetyczna wiara, która ożywiała klasyczne społeczeństwo heleńskie, tętni zarazem w jego wielkich systematach umysłowych. Niezbędną była też i światu chrześcijańskiemu, by mógł żywo przejąć się arystotelizmem i nie fałszował ducha heleńskiego, jak Arabowie. Religijna wiara chrześcijan mogła mieścić to wyobrażenie w zarodzie, jednak w epoce walki z cywilizacyą starożytną okazała się wcale obojętną, nawet nieprzychylną dla poezyi tej, co składała ze stworzeń drabinę, wiodącą ku Stwórcy. Gdyby arystotelizm scholastyków był naprawdę takim, jakim go mienią, t. j. niewolnikiem ślepej wiary, uczucie bezwzględnej zależności człowieka, zawarte w takiej wierze, która odpycha rozumowania, pragnące ją rozjaśnić i uprzystępnić, stępiłoby w niemowlęctwie ową estetyczną wiarę w godność i siły do postępu w rzeczach stworzonych. Dopóki szkła, przez które scholastycy patrzą na świat stworzeń, wręcz przeciwną barwę okazują, a tem samem bronią ich przed zarzutem, jakoby przekręcili stanowisko Arystotelesa, musimy i po stronie ich wiary religijnej wnosić na istnienie łagodniejszego odcienia pojednawczego.

Gdy szukamy za tem, co w postępie średniowiecznej myśli a następnie twórczości artystycznej jest formalnym pierwiastkiem t. j. tem, co czynnie i samoistnie tętniąc wszystkiemu innemu

ton nadaje i ożywia, nasuwa się nam owa tęsknota za odblaskami Stwórcy w stworzeniach, za częściowem rozjaśnieniem tego, o czem u wstępu roztropnie zrezygnowano, żeby w całości mogło być zgłębionem. Rola i przysługi, jakie nowoplatonizm potrzebie tej zdołał wyświadczyć, bezpośrednio się ztąd wysnuwają. I on najusilniejszą uwagę zwraca na szczeble istnień, odzwierciedlające coraz lepiej najwyższe dobro — tylko motywa tej pracy, a tem samem charakter, jest odmienny. Podjęta we współzawodnictwie z religią chrześcijańską, ma człowiekowi zastąpić zbawiającą wiarę, a nie jak w średnich wiekach, wiarę tę ułatwić sojuszem rozumu zawarowanego stanowczo w swej odrębnej naturze, środkach i zadaniach. Rozum Plotina, wzbijający się o własnej mocy do nadludzkich widzeń, a rozum u św. Augustyna w najprostszej swej byle dobrej funkcyi światłem bożem bezpośrednio oświecany, są to stanowiska w najjaskrawszym kontraście, które zarazem dosadnie malują opozycyjną postawę chrześcijaństwa w owej epoce, wobec cywilizacyi klasycznej i naodwrót. To piętno rywalizacyi i polemiki wyciśnięte na nowoplatonizmie, musiało zblednąć na jego okruchach, znanych średniowieczu, nie z pism założyciela szkoły, ale pomniejszych jej uczniów. W życiu zaś społecznem i politycznem niemniej jak w mistycznym kierunku uczucia religijnego zawitały warunki, wśród których pewne tendencye i metodyczne podstawy nowoplatonizmu zyskiwały kwalifikacyę na to, by gościnnie je przyjęto, wlot nawet podchwycono jako pokrewny i sprzymierzony kierunek duchowy.

Jako jeden z rysów charakterystycznych rozpatrywaliśmy w pierwszej części idealizm teoryi poznania wraz z oddziaływaniem tegoż na pojęcie o Opatrzności i psychologię, aby stwierdzić wszystkie punkta oparcia, jakie dawał Albertowi i Tomaszowi w ich walce z naturalizmem arabskim. Dla całych dalszych dziejów szkoły pozostaje ważnem pytanie, jak dalece zachował ten pierwiastek swą żywotność, czy odrodzony przez Okkama nominalizm należy nazwać dziecięciem tego idealizmu teoryi poznania, czy też przesady tego nominalizmu położyć raczej na karb winy

zaniedbania, jakiej dopuszczono się wobec formy krytycyzmu, jedynie zdrowej i umiarkowanej.

Bo że takim umiarkowanym przez dualistyczne skłonności, t. j. przez wiarę w rzeczy, był ów idealizm, o tem pouczył nas w drugiej części przegląd dwóch skrajnych odgałęzień etyki nowoplatońskiej w Boecyuszu i Dyonizyuszu. Przy dualizmie bowiem utrzymali się i w panteistyczny monizm nie popadli nowoplatończycy zarówno jak średniowieczna szkoła, dzięki wszechstronnej baczności, obróconej na fakta życia moralnego. Jeden z nich wyszedłszy od autonomii jednostki, rządzącej się rozumem, jako od niezbędnej podstawy moralności, kończy na ostatecznie pocieszającem szczęściu w oglądaniu prawd ogólnych. Odwrotnym porządkiem u Dyonizyusza wprawdzie cały świat moralny stoi współpracownictwem istot duchowych i współudzielaniem sobie światła, płynącego na ogół z góry — jednak zadania tego społecznego życia wypełnione są dopiero wtedy, gdy dobrodziejstwami jego jednostka w sobie samej się oczyściła i wypiękniła, gdy zwrotem w głąb własną spotęgowała energią, właściwą wszystkiemu, co duchowe. Tylko konsekwentnie przeprowadzonemu w całej dziedzinie pojęć dualizmowi przestaje być niedorzecznem to wyobrażenie, że moralna natura czynów wyłania się pod równoczesnem i nieoddzielnem tchnieniem potęg, w jednostce tkwiących i stojących ponad nią. Metafizyczna hipoteza dualizmu wyobrażeniu takiemu użycza obrony, jako nie zawierającemu w sobie sprzeczności logicznych — ale sama owa hipoteza jest w pierwszym rzędzie wywołana przez fakta życia moralnego, które popierają pogląd o współdziałaniu rzeczy bardzo odległych od siebie swą naturą. Czy tak jest, może dopiero najszczegółowszy rozbiór owych faktów rozstrzygnąć. Ale anachronizmem byłoby wymagać od wieków średnich podobnego racyonalnego, t. j. objektywnego poparcia ich przekonań; jestto to samo, co zarzucać im, że nie wyrobiły sobie jeszcze historycznego wzroku na warunki i podniety duchowe ogólnego rozwoju kultury. Właśnie jednak ta w gruncie uczuciowa wyłącznie i podmiotowa podstawa (jakkolwiek nie ograniczona do jednostek), jaką wyobrażenia etyczne średnich wieków mają,

daje im moc do wywalczenia sobie tak potężnego wyrazu i formy w tworach kulturalnych, że oko odległego czasem widza musi ujrzeć w tych objawach psychicznych, w tym rozkwicie literatury i sztuki niepośledni probierz trafności wyobrażeń owych. Ta literatura i sztuka, za pośrednictwem której nauczono się rozumieć i kochać klasyczną starożytność, a zarazem wykształcono nowożytne pojęcia o godności jednostki ludzkiej i doniosłości pożycia społecznego — zbudziła się do życia i w rozwoju swym czerpała natchnienie od poetycznej wiary średnich wieków w naturę szlachetną człowieka, współczynną w nim obok wyższego wpływu. Czy i w jaki sposób optymizmowi temu chrześcijańskiemu iskier podsycających dodawał nowoplatoński optymizm? W pierwszym rzędzie komentarze do wzmiankowanych autorów, potem wszystkie scholastyczne i mistyczne wyobrażenia, zostające w związku z przedmiotami, traktowanymi wyżej, nastręczają tu bogaty materyał do badań. Ale na szczęście wiara i miłość dla wyobrażeń pewnych są czemś, czego jeden człowiek nie może narzucić drugiemu. Przynajmniej ludzie tak biernie przyjmujący nie wyrabiają się na znaczniejsze duchowe postacie ani nie tworzą poważnych prądów. Pocóż więc z tak daleka wyprowadzamy genezę tych pojęć i uczuć? Dlatego, że sposób przekazania ich i powolnego wykształcenia rzuca światło na ich żywotność i ogólny związek z postępem kultury nowożytnej.

Tak nowoplatońskie wyobrażenia mogły nadawać odcień optymizmowi chrześcijańskiemu, który — kwestya o to otwarta — był li więcej lub mniej przychylnym dla postępowej energii i wszechstronności chrześcijańskiego ducha. O wszechstronność bowiem i kształtującą energię pytać należy wbrew tym, co dla oryginalności chrześcijańskich myśli widzą uszczerbek w tem, że ich autorowie przyswoili sobie niechrześcijańskie pierwiastki. Na dziejowe znaczenie chrześcijaństwa o wiele więcej światła rzuca i zaszczytu mu przynosi postawa, usiłująca sprzęgnąć świat klasyczny z pierwiastkami hebrajskimi, aniżeli poskutkowaćby zdołał, choćby jak pilny i szczęśliwy pościg za rozdrobnionemi nowostkami. Pomiędzy utwory średniowiecza i dalej aż do dzieł odrodzenia wprowadzić się da na nitce tych pokrewieństw, wska-

zanych w pomysłach i ogólnym uczuciowym nastroju, zasada klasyfikacyjna, przekonaniem naszem sprawiedliwsza od wielu dawniejszych. Nauczymy się odróżniać gotyk naprawdę jednostronny i obcy klasycznym powiewom od gotyku Dantego i Giotta, gdzie już bardzo blisko pod powierzchnią prześwieca — co prawda nie połyskiem form dodatkowych, ale całym duchem i posągową siłą tych ludzi — wielki miniony świat, co czekał zmartwychwstania. A te pierwiastki greckie, które zapomocą Dyonizyusza pomocne były chrześcijaństwu — jak widzieliśmy w wyobrażeniach najczyściej katolickich — nakazują zarazem i w epoce późniejszej odróżniać staranniej to, co było odnajdywaniem szczerozłotych skarbów starożytnego świata, pożądanych chrześcijaństwu, od tego, co się odrodzeniem tylko nazywało, a było w istocie narodzeniem nowożytnego materyalizmu.

Dr. Witold Rubczyński.

PODRÓŻ DO PUSZCZ PÓŁNOCY
I NA STEPY KIPCZAKU.

(UŁAMKI ZE WSPOMNIEŃ WYGNAŃCA Z R. 1861—1862).

II.

Przebiegane prawie bez odpoczynku przestrzenie od Styru i Ikwy do wybrzeży Teterowa, były to dobrze mi znane okolice. Te przestrzenie, to cały Wołyń i część Polesia ukrainnego, Polesia dawnej Kijowszczyzny. Wsie, miasta, dwory, pałace, ogrody, kościoły, ruiny Wołynia przesuwały się tak szybko, iż ani im przypatrzeć się, ani uwagi skupić około ich wspomnień niepodobna było. Ostróg już legł jedną wielką ruiną; wspaniałe, olbrzymie mury kolegium niegdyś Jezuitów, tworzyły szkielet budowy, która w proch się rozsypując, jeszcze potrzebowała wielu lat, by ostatecznie w proch się rozsypać i zniknąć bez śladu, i przestać świadczyć wobec potomnych, że przeszły przez tę ziemię pokolenia z pochodniami światła, że pług pracy cywilizacyi zachodniej zorał te ugory. Już i wówczas album Wołynia, gdyby tworzonem było, składałoby się jedynie z widoków ruin. W Zwiahlu — nawet ruin i śladów wspomnień przeszłości dopatrzeć trudno; zamek oddawna w gruzy się rozpadł, pojedyńcze kamienie, cegły i okruchy rozniesiono, rozsiano po świecie, lepianki ze szczątków klecono; a to, co tam w oko wpada, niezmiernie razi, gdyż wszędzie ślady nowego, urzędowego pokostu — ponad to nic niema; wido-

cznie, iż miasteczko posiada piętno jedynie nowego życia, z dawnego nic nie pozostało. Zwiahel, jako miejscowość bez wybitnych wspomnień dziejowych, szczególnie faworyzowanym był przez rząd zaborczy, który zawsze wielką wagę przywiązywał do zacierania wspomnień przeszłości. Chętnie przyczyniano się do zatracania w starych a głośnych osadach wszystkiego, co o dawnem życiu świadczyło, co tradycyą było, aż do samego nazwiska. W ten więc sposób, wnet po zaborze, Katarzyna II. obrała Zwiahel za stolicę prowincyi i zmieniła nazwisko mieściny na Nowogród Wołyński. Wprawdzie do ulokowania stolicy prowincyi w Zwiahlu nie przyszło, lokowano ją chwilowo w Zasławiu, nadając mu nazwę nową — „Izasław", ale nadana przez Katarzynę II. nazwa urzędowa przylgnęła do mieściny i pozostała do dziś; nawet w ustach pewnej części inteligencyi słychać to, przedtem nieznane nazwisko: lud pozostał przy starem. Do urzędowego imienia przybył i pozór bardzo urzędowy, który nigdy Zwiahla nie odstępował.

Wołyń w owych czasach nie posiadał ani jednego kilometra kolei, a nawet dróg szosowych także tam nie widziano, prócz jednej szosy, która łączyła Kijów z Łuckiem, a była linią strategiczną. Rozpoczęta za dni Mikołaja I., prawie ćwierć wieku budowała się owa szosa i wreszcie, gdy skończoną została, zobaczono, że ominęła wszystkie główne, stare ogniska życia tamtych okolic, przebiegając przez lasy, bagna, pustkowia, stroniąc od wiosek. Jedyna to droga szosowa ówczesnego Wołynia; ba, i obecnie, po trzech dziesiątkach lat, innej nad tę nie spotykamy. Wjechaliśmy na nią w Zwiahlu, i aż do Żytomierza, na przestrzeni ośmdziesięciu kilometrów, przebiegaliśmy jeden wielki las lub pustkowia, wydmy piaszczyste, a na nich rozsiane szałasy, domki naprędce sklecone, co wszystko świadczyć się zdawało, że to kraj, co się ledwie poczyna zasiedlać. Był to wynik systemu: prowadząc główne drogi bite umyślnie przez pustkowia, lasy, wytwarzało się na nich wioski o pozorze obcym; zajazdy, domy wznoszono wedle obyczaju obcego i nadawano krajowi cechę tej ziemi, z której pochodziły żywioły rządzące.

Las, pustynia, nieużytki, to parawan, poza którym dla oka

obcego wędrowca starano się zamaskować rzeczywisty wygląd owych okolic, starano się ukryć, że za leśnemi przestrzeniami istnieje kraj starej cywilizacyi, która tam tak głęboko wsiąknęła, iż jej korzenie niełacno wytrzebiać się dają.

Takie maskowanie niejednokrotnie, w różnych epokach, w państwie tamecznem spotykano; oszukiwano, bądź podnosząc to, co na podniesienie nie zasługiwało, bądź dekoracyą i kulisami zasłaniając rzeczywistość. Potemkin przed Katarzyną II. i jej otoczeniem, złożonem z cudzoziemców, z posłów obcych mocarstw, ukrywał starannie, iż kraj, przez nich zwiedzany, jest pustynią. Droga, którą do Żytomierza zbliżałem się, tworzyła antytezę niejako tamtej zeszłowiecznej maskarady; kierunek jej, zabudowanie, zdawały się mówić, iż ten kraj cywilizuje się dopiero teraz i zaludnia, dzięki usiłowaniom Wschodu.

Dość wczesna popołudniowa godzina towarzyszyła naszemu wyjazdowi z lasów, za którymi o parę kilometrów ukazał się Żytomierz.

Cwałem przelecieliśmy przez miasto.

Stosownie do otrzymanych instrukcyj, urzędnik eskortujący kazał woźnicy zajechać przed dom gubernatora.

Rozkaz spełniono. Wóz z podróżnymi i strażą przed domem gubernatora stał się w jednej chwili przedmiotem powszechnej ciekawości. Najprzód tworzyły się gromadki małe, później wzrastała liczba ciekawych, i w miarę jak się przedłużało nasze wyczekiwanie na wozie pocztowym, tłum powiększał się na placyku przed domem gubernatora i na przyległej ulicy, jednej z głównych, zapełnionej w owej porze dnia spacerującymi. Upływał tak kwadrans po kwadransie, wreszcie godzina i więcej upłynęło; urzędnik, który nas przywiózł i udał się z papierami do przybocznego biura gubernatora, nie wracał; tłum tymczasem coraz to szczelniej zapełniał placyk, coraz węższym pierścieniem otaczał nasz wóz. Na twarzach widoczne było zainteresowanie się, tem większe, iż miasto przechodziło właśnie przed niewielu dniami — o czem nie wiedzieliśmy — przez szereg wzruszeń, wcale niezwykłych, przedtem nieznanych.

Później dopiero dowiedzieliśmy się, iż w Żytomierzu, na

kilka dni przed naszem przybyciem, zaszedł tego rodzaju wypadek. W pewien poranek zobaczono na małym wirydarzu, przylegającym do głównego placu miejskiego, a więc w centrum miasta, krzyż olbrzymi z drzewa nieociosanego, krzyż, który przypominał bardzo krzyże pamiątkowe, stawiane wówczas w Królestwie. Policya zobaczyła ów krzyż z przerażeniem; nie wiedziano w pierwszej chwili, co czynić. Krzyż wydał się rzeczą niebezpieczną; symbol męki przypominał, że ziemia ta jest ziemią boleści, że męki i wszelkiego rodzaju utrapienia obrały ją za siedlisko. Budził ów symbol wiary myśl wyższą, była więc godną zdeptania. Tak przynajmniej mniemali pragnący widzieć wszystko poziomem. Rzucono się szybko ku zagładzie krzyża. Zwołani pachołkowie policyjni wykopali, wywlekli i umieścili go w cyrkule policyjnym, w t. zw. „części", gdzie pospolicie umieszczano zabranych z bruku ulicy złodziei, włóczęgów i inne wszelkiego rodzaju a płci obojga męty społeczne.

Zabranie, szczególnie zaś umieszczenie krzyża, tak niewłaściwe, uważano za profanacyę. Tłum, zwykle cichy, pokorny, znoszący tam wszystko cierpliwie, apatycznie nawet, tym razem zawrzał oburzeniem; przyczyniła się ku temu i chwila ówczesna; przychodzili ludzie do świadomości dokładniejszej tego, co ich otacza. Zebrano się przeto gromadnie przed domem gubernatora — przeważnie były to kobiety — domagając się energicznie uwolnienia krzyża z więzienia. Pan gubernator rozkazał, by deputacya stawiła się przed nim z żądaniami; z ciżbą bowiem, masami zalegającą placyk przed domem, mówić nie będzie.

Weszły, jako rzeczniczki zgromadzonego tłumu, trzy kobiety. Gubernator mówił z niemi, ale, obiecując wynaleść dla krzyża lokal stosowniejszy, uznał te panie za prowokatorki tumultu. Uwięziono je i wysłano do miast powiatowych, gdzie je na czas dłuższy internowano. Pani Bohomolcowa pojechała do Berdyczowa, p. Pietkiewiczowa do Owrucza, a p. Karolina z Zapolskich Sławkowa do Starego Konstantynowa. Osoby, posądzone o budowę i wzniesienie krzyża, jak p. Marcin Jełowicki i inni, uległy daleko sroższym losom.

Nasze przybycie do Żytomierza właśnie miało miejsce

wkrótce po tym tumulcie ludowym i wysłaniu z miasta wyżej wspomnianych kobiet: owo zajście z krzyżem wywołało szereg emocyj, przedtem nieznanych w życiu miasteczka. Zapomniano na chwilę o kartach, komerażach, drobnych przygodach życia towarzyskiego; umysły były czas niejaki w stanie ekscytacyi.

Nic więc dziwnego, że ukazanie się naszej bryki pocztowej i straży zgromadziło tłumy na ulicy. Znaleźli się tam i ci, w których piersi biły gorące serca owej epoki.

— Skoro powiedzą wam, że przez dni kilka pozostaniecie w mieście na wolnej stopie, — szepnął nam ktoś z ciżby, otaczającej nasz wóz — niechybny to znak wywiezienia; to wygnanie.

I rzeczywiście, po długich wyczekiwaniach oświadczono, że zawiodą nas do głównego biura policyi; a gdy tam przyjechaliśmy, powiedziano, że tuż obok jest hotel, gdzie możemy zamieszkać na wolnej stopie dni sześć, ośm, może dłużej. Wszystko mówione było z wielką uprzejmością, wszystko posiadało cechy dobroduszności, wszystko zapowiadało, że pochwycenie niespodziane nie skończy się wywiezieniem w głąb pustyń Rosyi, czy też Syberyi, że to tylko pomyłka, a wkrótce do ognisk rodzinnych wrócimy.

Zmierzch wieczorny towarzyszył naszemu wejściu do hotelu, tak dalece zmitrężono wożeniem po mieście.

— To wygnanie, deportacya! — szeptał znowu głos jakiś z ciżby, co nas odprowadzała do hotelu, gdzie u progu pożegnaliśmy i tłum, i straż. Ten głos przestrogi przebrzmiał bez echa w naszej myśli. Zdawało się nam, żeśmy już wolni. Znużeni udaliśmy się na spoczynek.

Nazajutrz nikt z władz o nas nie pytał, nikt się nie dowiadywał; w spokoju przebyliśmy pierwszy dzień pobytu w gubernialnem mieście. Takich dni mieliśmy zapewnionych kilka, tak przynajmniej obiecywano; wierzyliśmy obietnicom; doświadczenie nie nauczyło jeszcze oględnie dawać wiarę obietnicom, nie ufać złudnym nadziejom. Na wszelki przypadek chcieliśmy jednak uwiadomić najstarszego brata naszego i wezwać, by przybył do Żytomierza. Odległość była znaczna, mil kilkanaście: poczta tam dochodziła późno i kołując; telegraf nie istniał. Posłaniec umó-

wiony, izraelita, podjął się szybko zawieść list, nie mógł wszakże wnet wyjechać, bo to była sobota, czekał dnia następnego, a przynajmniej zachodu słońca — kres to sabatu. Sabat upłynął, posłaniec ruszył w drogę; obrachowywaliśmy dzień przybycia wzywanego: okazało się, że dni kilka co najmniej potrzeba było; lecz próżna troska o czas; wszakże obiecano dni kilka, a może i więcej, spokojnego pobytu. Czasu mamy dość. Tego rodzaju uspokajające refleksye wciąż się naszej myśli nasuwały.

Ów odpoczynek sobotni wzmocnił naszą wiarę w przyszłość i utrwalił przypuszczenia, iż dalej, jak do Żytomierza, nie pojedziemy. Wypoczynek po szybkiej podróży, po przykrych wrażeniach pokrzepił siły, otworzył dziedzinę złudzeń: uspokojeni chwilowo, łudziliśmy się, iż jutro będzie pogodne.

Jutro rzeczywiście pogodnem było, lecz tylko na przestworzach nieba. Pogodna jesień stale dopisywała. W losach naszych stało się inaczej; zmiany zaszły, i to na gorsze, zmiany gwałtowne.

Ku wieczorowi pierwszego dnia wypoczynku zakołatał do naszych drzwi jeden z mych uniwersyteckich kolegów, Wł. T.; przypadek jakiś sprowadził go do miasta, dowiedział się o mem przybyciu i przyszedł odwiedzić. Gwarzyliśmy długo, a gdy wreszcie odejść chciał, zatrzymałem gościa, prosząc, by u nas zanocował; numer nasz hotelowy składał się z dwóch pokojów, przestrzeni więc mieliśmy dość, a powrót do miasta mógł się stać nieprzyjemnym, gdyż ulice przebiegały patrole zbrojne, zapewne pilnujące, azali jaki krzyż nowy nie urośnie na bruku.

Gość tem chętniej zgodził się na naszą propozycyę, iż ulokował się w dość odległym zajeździe.

Po chwili usnęliśmy; my w drugiej izdebce, gość nasz w pierwszej. Jak długo sen trwał, nie wiem; zdaje się bardzo krótko. Przerwało go kołatanie gwałtowne, brzęk ostróg, szczęk broni, posuwanie mebli. Kilka głosów naraz mówiło.

— Proszę wstawać, pan pojedzie, konie czekają, mam rozkaz — wołał ktoś w pierwszej izbie, zupełnie jeszcze ciemnej, bo okiennice były zamknięte.

Apostrofa ta, wygłoszona po polsku, ale tonem stanowczym, tyczyła się naszego gościa.

Stopniowo zaczęliśmy się oryentować; domyślaliśmy się, iż spada na nas jakiś najazd: odemknięto okiennice, promienie jaskrawo wschodzącego słońca oświeciły całą sytuacyę. Przyjechano po nas, by znowu porwać i wieść dalej. Miejscowa policya, której zalecono wykonać rozkaz co najspieszniej, gromadnie wtargnęła do zajazdu, mając na szarym końcu swego licznego korowodu znaczny zastęp pachołków, zalegający korytarz i dziedziniec, i wreszcie czwórkę pocztową, która już stała w pogotowiu u drzwi domostwa.

Dla tego zbrojnego tłumu, kto na placu, to nieprzyjaciel; każdy, pierwszy lepszy spotkany, nieprzyjacielem mienić się mógł. Pierwszym, co im wpadł pod rękę w pierwszej izbie, był to nasz gość; budzono go więc, nie pytając wcale o nazwisko, wyciągano z łóżka, by wieść na wygnanie. Że jednak znaleziono w izbie jednego tylko, wtargnięto do drugiej izdebki i ku wielkiemu zdziwieniu swemu, spostrzeżono nas dwóch. Rozkaz brzmiał, by wywieść dwóch, tu zaś aż trzech miano w ręku; było to zawiele. Kogo zabrać, a kogo zostawić, nie wiedziano dokładnie; nie mogli, ale też i nie chcieli oryentować się; nie chodziło im tyle o osoby, ile o liczbę.

Wytłumaczyliśmy wreszcie, że ten, w pierwszej izbie spotkany, gościem naszym, my zaś jesteśmy ci zapewne, po których przyjechano.

Nie sprawdzano tożsamości osób, uwierzono słowom, nagląc tylko niezmiernie do szybkiego wyjazdu.

Po kwadransie, czy też dwóch, już byliśmy gotowi; zanim jednak nadeszła chwila wsiadania, ktoś z nas zapytał, dokąd nas wiozą. Nie było na to odpowiedzi stanowczej; wymijająco powiedziano, że podoficer eskortujący ma instrukcyę i kartę pocztową; te wskazują kierunek, w drodze dowiemy się reszty.

Przy ciągłem nagleniu ubraliśmy się pośpiesznie: wielka ilość pachołków pakowała nasze rzeczy, załatwiała drobne, niepokończone przygotowania do podróży.

Podczas krzątania się pachołków policyjnych w izbach hotelowych jeden z urzędników, przewodniczących całej tej krzą-

taninie, opowiadał o pomyślnościach, któremi się roją ziemie wygnania. Brak uważnych słuchaczy nie zrażał opowiadającego.

— Gdy po siedmnastu, czy wielu tam latach wrócicie — mówił on — sami przyznacie panowie, że tam dobrze.

Było to niezgrabne sadzenie się na osładzanie chwil przykrych; kto wie, może i z dobrą intencyą czynione.

Załatwiano za nas wszystko śpiesznie, byleśmy coprędzej wyruszyli poza rogatki. Pamiętam, iż wśród drobnych interesów naszych, przez owych wyręczycieli załatwianych, był sprawunek w zakładzie zegarmistrza; z tego powodu dowiedziałem się o przykrości, której doświadczyła ta stara zegarmistrzowska firma. Na wystawie magazynu od lat wielu ponad zegarem czytano wypisaną po łacinie znaną sentencyę: „Nadejdzie godzina, która ci powie — odejdź". W dniach ówczesnej represyi wydało się władzom, iż odwieczna prawda ich się tylko tyczy, nie zaś całego rodzaju ludzkiego. Narobiono dużo hałasu. Biedny zegarmistrz, który w sukcesyi po przodkach otrzymał firmę i znak z wypisaną na nim sentencyą, i całe życie na swój szyld patrzał obojętnie, nie domyślając się, że zbrodniczym można go mienić, zniewolony został do usunięcia napisu łacińskiego, tudzież karę jakąś zapłacił. Czy jednak w ten sposób wstrzymano bieg przeznaczeń na wielkim zegarze dziejowym, czy niedoścignione zamiary Przedwiecznego innymi pójdą tory?

* * *

Tuż zaraz za bramą gospody spotkaliśmy parę dorożek ze znajomymi, którzy dowiedziawszy się o wywożeniu nas, śpieszyli, by rzucić słowo pożegnania. Z wysokości wozu pocztowego rzuciliśmy im „do widzenia"; zatrzymywać się nie pozwolono. Ci, co nas z gospody zabierali, z całą ścisłością eskortowali na kilku fiakrach aż do rogatek północnych miasta, do których bocznemi ulicami dojechaliśmy. Robiło to wrażenie, jakby dotykalnie przekonać się chciano, iż już wyjechaliśmy.

Godzina wczesna była bardzo, a że przytem dzień niedzielny, więc się ruch nieco później zaczynał: ulice jeszcze prawie nie miały przechodniów. Tu i owdzie wieśniaczek mała gromadka, na

targ śpieszących, służąca z koszykiem, stróż, leniwie otwierający bramę, parę niewieścich czarnych sukien żałobnych, — żałoba wówczas była powszechną — to wszystko, co spotkaliśmy na ulicach miasta. Wóz nasz pocztowy nie przeszedł jednak bez zwrócenia uwagi nielicznych przechodniów. Żołnierz zbrojny, siedzący na przedniem siedzeniu, twarzą zwrócony do nas, wymownie wskazywał, jaki to pociąg dążył śpiesznie ku rogatkom. Tak zwykle wywożono na wygnanie.

Kiedy mijaliśmy jeden z węgłów ulic, postać jakaś starca-żebraka, skulona przy murze, nagle wyprostowała się i wpatrzywszy się w nasz wóz, wielkim znakiem krzyża, zakreślonym w powietrzu, błogosławiła. Uchyliliśmy czapki i głowy; uczucie głębokiego rozrzewnienia biegło na skrzydłach myśli z podzięką ku tej postaci siermiężnej, nieznanej, żegnającej nieznanych.

U rogatek północnych, zwanych „petersburskiemi“, które prowadzą na trakt owrucki, doróżki z policyą zawróciły ku miastu, rozkaz zwierzchności spełniono; byli już znać spokojni, że nas wyrzucono za miasto.

Jeszcze za rogatkami dopędziły nas mocno spienionymi końmi dwa powozy tych, co pragnęli dłonie uścisnąć, kilka słów przemówić, myślą, uczuciem podzielić się z odjeżdżającymi. Byli to krewni nasi. Pożegnanie trwało chwilkę, ale niczem już nie byliśmy skrępowani. Straż krótkiej rozmowie wcale nie przeszkadzała. Tam dowiedzieliśmy się, że do Wiatki jedziemy.

Nasz strażnik, człowiek niemłody, podoficer wysłużony, opatrzony był w „kartę pocztową“ *(podorożnia)*, która polecała szybko nas ekspedyować na pocztach; była to bowiem cedula, wystawiona z tym ważnym dodatkiem, iż się jedzie „gwoli potrzebom rządowym“ i wiezie się „osoby wiadome“. Ta maska anonimu miała nam towarzyszyć wciąż: nazwiska nasze znikały; byliśmy jedynie „wiadomemi osobami“. Strażnik posiadał w swem ręku pieniądze na koszta podróży i na swój powrót; instrukcya przytem tajemna, której pilnie przestrzegał, lecz wcale jej nie pokazywał, wskazywała mu kierunek drogi i zalecała wieźć szybko. Na koszta utrzymania swego miał zapewnione dwa grosze polskie od kilometra przebieganej przestrzeni: im większą liczbę

kilometrów dziennie przebiegał, tem większą ilość strawnego otrzymywał. Było to niejako do pośpiechu zachętą.

Udało się nam wytłumaczyć naszemu strażnikowi, że zawsze odbierze swe strawne, bez względu, czy tę przestrzeń większą, czy też mniejszą ilość dni jechać będzie; wydatków nie poniesie zbytecznych, zapewnimy mu bowiem w drodze utrzymanie, a ze swej strony żądamy jazdy z noclegami i wypoczynkiem, gdybyśmy potrzebę takowego widzieli. Traktat na tych zasadach stanął. Byliśmy przeto zabezpieczeni od szykan i zbytecznego naglenia. Jechaliśmy do Wiatki, a więc na krańce zaludnionego lądu, na północny wschód Europy, ku podgórzom Uralu, do dzikich puszcz, do których wcale śpieszyć nie mieliśmy powodu, postanowiliśmy przeto przedłużać podróż, o ile się uda. Podróż była jedyną wytchnienia chwilą przed długimi dniami internowania, którego ani warunki, ani czas trwania przewidzieć się nie dawały.

Wywożenia na wygnanie odbywały się w owych czasach wedle pewnych, ustalonych, niezmieniających się nigdy przepisów, które powstały jeszcze za dni pierwszych wygnańców, jacy szli z Wołynia w r. 1794. Wówczas przez Owruckie i z Owruckiego przez Białoruś wywożono; dla nas również Owruckie i Mozyrskie Polesie, a wreszcie Mińskie i Mścisławskie województwa stały się gościńcem, odmykającym bramy niewoli.

Wśród lasów i bagien Polesia gościniec posiadał wówczas cechy dziwnie patryarchalne, a może i dziś takowe posiada. Brak przejeżdżających sprawiał, iż zarastał on w znacznej części trawą: cisza zalegała go pospolicie, którą przerywały niekiedy wózki wieśniacze lub jeszcze rzadziej powoli wlokące się bryki żydowskie, naładowane towarami. Ta cisza miała dla nas swe właściwości dodatnie: nie spotykaliśmy się z tem, co mogło niemile razić lub niepokoić; na stacyjkach pocztowych, pozbawionych wszelkich znamion urzędowych, — były to zwyczajne dworki szlacheckie lub chaty wieśniacze z nieco lepszym wyglądem — mogliśmy rozlokowywać się na noc, spokojni, iż nikt nam spoczynku nie zakłóci. Unikaliśmy tylko noclegów w miastach i miasteczkach, gdzie łatwiej było o zetknięcie się, wcale nieprzyje-

mne, z czerwonym kołnierzem władzy jakiejś lub też z pałaszem wojskowym. Nasz stróż, który traktatu wiernie dochowywał, również unikał wszelkiego z władzami spotkania, chociaż o tym wstręcie do mundurów nigdy nie mówił. Człowiek to był cichy, milczący, spełniający swój obowiązek ściśle, ale bez pedanteryi.

Tak więc podróż w stosunkach znośnych i bardzo nawet znośnych warunkach odbywała się, szczególnie gdy byliśmy jeszcze na terytoryum dawnej Rzplitej.

Tak znośnych warunków w rok, w półtora później już nie spotykano.

Przez Owrucz przesunęliśmy się w dzień; ktoś tam na nasze spotkanie wyszedł, ale nie zatrzymywaliśmy się w mieście dłużej nad minut kilka, niezbędnych dla przeprzęgu koni. Zmieniono konie, wóz, rzuciliśmy słówko podzięki osobom, co na stacyę wyszły, by nas witać i żegnać zarazem — i zniknęły przed mem okiem ubogie domki smutnej mieściny.

Granica Owruckiego od Mozyrskiego, granica zarazem dawnych województw koronnych od województw litewskich, wyraziście zarysowywała się nam na pierwszy rzut oka. Z wysokości wózka pocztowego mogliśmy łatwo rozróżnić, że linią dawnej miedzy Korony i Litwy biegła etnograficzna dwóch szczepów granica: rusińskiego i białoruskiego. Obecnie to granica gubernii Mińskiej od północno-wschodniego węgła gubernii Wołyńskiej. Poza nami pozostały owe chaty białe, które są wybitną charakterystyką rusińskiego osiedlenia się i wszędzie spotykają się, gdzie tylko Rusin osiada, bodaj w okolicach Korei, na wybrzeżach jeziora Chankà, w sąsiedztwie Oceanu Spokojnego, bo i tam od lat niewielu są ich kolonie. Zamiast miłych oku, białych ścian lepianek, powitały nas również ubogie, może nawet uboższe, a bardziej smutne, z berwion zaledwie ociosanych sklecone, dymem okopcone chaty białoruskiego wieśniaka. Wraz z temi chatami o barwie ciemnej, o obejściu ubogiem, sama przyroda zmieniła niejako swe oblicze. Polesie to już głębokie, bagna na ogromnych legły przestrzeniach, woda wytryska zpod kół i wszędzie prześwieca, w większych lub mniejszych zbiornikach. Las, woda, trzęsawiska, chaty walące się, w ziemię zapadłe, od dymu zczer-

niałe, a nad tem niebo szare, pochmurne, z bardzo rzadkim przebłyskiem słońca — to Mozyrskie Polesie, przedsionek Litwy, przez które powoli przesuwaliśmy się.

Pogoda, stale nam towarzysząca, tu już, wśród bagien, nieprzebytych moczarów, wśród niezbrodzonych trzęsawisk, opuściła nas, i jej powrotu, przy najśmielszych nawet nadziejach, niepodobna było spodziewać się, lub w dniach bliższego jutra wyglądać: spóźnione dnie jesienne na niebie świeciły. Słoty rozgościły się w najlepsze, końca ich nikt nie przewidywał; pocztylioni poleszucy, rozglądając się po mrocznych widnokręgach swych błot, grobli i smutnych trzebieży, wróżyli wciąż niepogodę, wciąż deszcze aż do dni mroźnych bliskiej już zimy.

Deszcze dodawały ciemnych barw do obrazu ponurego tych ziem, po sierocemu uposażonych. Lasy i mgły, przez całe dnie nie znikające, zacieśniały horyzont. Jednostajność nużyła oko, myśl smutnemi ścieżki kroczyła.

Wszystko tam inaczej, napozór ujemniej przedstawiało się, niż na Wołyniu. Kraj zaiste zapadły, mglisty, senny, niby zapomniany; a jednak pod powłoką ubóstwa, pod osłoną niezmiernej prostoty, pod kubrakiem z samodziału, przy obyczaju niewykwintnym, biły serca gorące, uczucia dla kraju szczere a głębokie, jak owe bezdenne tonie ich trzęsawisk.

Minąwszy Mozyrz, około którego spotykamy oazę niejako innych, weselszych widoków, spotykamy wzgórza wyniosłe, znowu poza Prypecią wpada się w krainę nizin, moczarów, znowu kraj coraz to bardziej senny, mglisty, znowu oko niema na czem spocząć, a myśl snuje coraz smutniejsze obrazy. A jednak w tym to właśnie zapomnianym od świata zakątku Polesia biły serca gorące, chociaż nikt tego ani poznać, ani ocenićby nie zdołał na pierwszy rzut oka. Mieliśmy tego parę przykładów, chociaż nie nastręczała się wcale możność przypatrzenia się bliżej ludziom i stosunkom.

Zdarzyło się nam w pewien bardzo słotny dzień jesienny, gdy droga stała się zbyt błotnistą i ciężką nadzwyczaj, ujechać przestrzeń wcale niewielką. Strażnik nasz biadał, iż stare jego kości zbyt się utrzęsły na poleskich groblach, iż przestrasza go

przestrzeń, którą ma przebiedz do Wiatki, — przestrzeń zaiste olbrzymia — chętnie więc przystał na projekt wcześniejszego noclegu.

Zaledwie upłynęły dwie godziny wypoczynku, nadbiegła sztafeta, dokądś daleko jadąca, która oprócz pakietu, z którym ją wysłano, wiozła ekspedycyę do nas, dorywczo dodaną i adresowaną do tego punktu, gdzieby nas ów kuryer dopędził. Nazwiska nasze znanemi nie były, nie można przeto było inaczej adresować. Pakiet zawierał zwrot tego, co zapłaciliśmy za ostatni nocleg, i kartkę, ołówkiem śpiesznie nakreśloną, w której ktoś donosił, iż zostawiając zapłatę, wyrządziliśmy przykrość, gościnność bowiem jest obowiązkiem każdego ziomka w stosunku do wygnańców.

Zanim minęliśmy ziemie dawnej Polski, kilkakrotnie starano się nas podejmować na stacyach. Unikaliśmy tego, lubo nie zawsze udało się uniknąć objawów serdecznego współczucia dla nieznanych nawet z nazwiska.

Za rzeką Berezyną, za miastem Rohaczowem, poza wybrzeżami górnego Dniepru, charakter kraju znacznie się zmienił. Wjechaliśmy do dzielnicy najdawniej odpadłej od całości narodowej. Kraj tu się zaczął już nie tak niski; okolice błot i moczarów poza nami pozostały; ziemie rozpoczęły się wyższe, suchsze, ale postać wszystkiego, co do traktu przylegało, nosiła coraz bardziej obcą cechę. Od Rohaczowa coraz dobitniej to się uwydatniało; tam bowiem wjechaliśmy na wielki szosowy gościniec, łączący Brześć z Moskwą. Szosowa droga, największa arterya komunikacyjna środkowej Rosyi z Zachodem, posiadała pokost najzupełniej obcy. Stacye wspaniałe, murowane, służba, zaprzęgi, słowem wszystko innem, obcem było. Miasteczka, spotykane na tym wielkim, murowanym gościńcu, dążącym ku wschodowi, — Rohaczów, Propojsk, Czeryków — już tchnęły obyczajem owego obcego Wschodu, i jego język brzmiał prawie wyłącznie dokoła. Żałowaliśmy bagien mozyrskich a wśród nich ubożuchnych wiosek poleskich, które jeszcze zachowały dawną swojskość. Lecz niektóre wskazówki odkrywały nieraz niespodzianie drugą stronę medalu: ów cudzoziemski pokost dekoracyę jedynie tworzył,

w znacznej części przynajmniej; rzeczywistość inna istniała pod grubym pokładem naleciałości.

Te niespodziane wskazówki nawet nam, przebiegającym śpiesznie ten kraj i w warunkach wyjątkowych, nasuwały się. Turysta mógłby ich więcej wyszukać, dopatrzeć. Nasuwały się one nam w dawnem Mścisławskiem województwie, a więc na najdalszych wschodnich kończynach starej Rzplitej.

Zanim przebyliśmy ową miedzę dawnych kończyn, zdarzyła się możność wysłuchania mszy św. Los to zrządził, jakby na pożegnanie ziemi ojczystej. W tym dniu wieczorem mieliśmy przekroczyć starą polską granicę z r. 1772. Było to w dniu Zaduszek (now. st.).

Wieczorem późnym rzeczywiście dotarliśmy do owej miedzy granicznej, prastarej, w rzeczywistości niczem nieoznaczonej, na mapach niezawsze teraz łatwej do odnalezienia, w pamięci ludu wszakże żyjącej.

Noc była zimna, wietrzna, śnieg po raz pierwszy pokazał się; przybył na skrzydłach wschodniego wiatru, zaczął od zamieci. Jechaliśmy dość długo wśród śnieżycy, jechaliśmy, pędząc cwałem po równym, murowanym gościńcu. Wreszcie woźnica zwolnił biegu i w otwartem polu nagle konie wstrzymał.

Mniemałem, że potrzebuje coś poprawić około uprzęży; on jednak z kozła nie zsiadał, lecz wskazując krótkim swym biczem na coś szarzejącego wśród śnieżycy, powiedział po białorusku:

— To Polski granica!

Podnieśliśmy głowy, szeroko rozwarły się oczy, a mocno zakołatały serca.

Woźnica nie ruszał dalej, jak gdyby czekał na kogoś lub na coś. Śnieżyca szalała wśród pól rozwartych, tem przykrzejsza, iż pierwsze to były zimy objawy, a nadeszły niespodzianie, ziemię zmroziły, sypnąwszy na nią obfitą garścią śniegu. Poza szosą, wzdłuż której biegły słupy telegraficzne, drogę niejako wskazując, nic dostrzedz nie mogliśmy.

Wpatrzywszy się jednak pilniej w punkt, ku któremu woźnica rękę wyciągał, dostrzegliśmy jakiś słup niezbyt wyniosły, może w części śniegiem zasypany.

— To krzyż, na samej granicy on stoi — mówił pocztarz, wskazując dłonią ów słup, do połowy śniegiem zasypany.

Wysiedliśmy z bryki pocztowej, aby uchylić czoła przed ostatnim krzyżem przydrożnym, jaki spotyka wędrowiec, udający się na Wschód, aby pożegnać ziemię zroszoną krwią i potem ojców naszych, zoraną pługiem cywilizacyi europejskiej.

— A ztąd Rosya już się zaczyna? — pytaliśmy pocztarza.

— Ztąd — rzekł, rzucając ręką przed siebie — ztąd już „zabrany kraj“ zaczyna się, ale jeszcze nie „Moskwa“.

— Jakto „zabrany“? — dopytywałem się.

— „Smoleńszczyzna“, kraj od Polski kiedyś oderwany — tłumaczył mi zapytany.

Umilkłem. Uchylić głowę należało przed tak dobrem rozumieniem rzeczy. Woźnica zaciął konie, wydał okrzyk dziki, który się połączył z jękiem wichru i śnieżnej zamieci, z donośnym odgłosem dzwonka pocztowego — i popędziliśmy w przestrzeń ciemną, nieznaną...

Tak się odbył nasz wjazd do Smoleńszczyzny, do tych dziedzin, w XVII. w. jeszcze oderwanych od Rzplitej, które długo bierny opór stawiały, zanim po wielkich, bolesnych, próżnych wysiłkach zatrzymania wiary nie zamalgamowały się z górującym pierwiastkiem państwowym.

Oderwanie to, dokonane przed wiekami, jednym rzutem dłoni nakreślone na papierze w akcie traktatu, długo i boleśnie znać w życiu urzeczywistniało się, kiedy do dziś w pamięci ludu wspomnienie o niem dość żywo przechowało się.

* * *

Na wielkim gościńcu szosowym, do stolicy prowadzącym, podróż szła szybciej znacznie, niż w pierwszych dniach, gdy przesuwaliśmy się przez błota poleskie; nie było więc możności przypatrzeć się Smoleńszczyźnie. Zresztą trakt z pokostem urzędowym, czy on jest gościńcem murowanym, czy koleją żelazną, nie daje rzeczywistego pojęcia o kraju.

Nazajutrz po naszym wjeździe do Smoleńszczyzny wiatr

mroźny ustał, zaczęła się odwilż, słota, towarzysząca wciąż aż do murów Moskwy.

Kraj tu już rozpoczął się inny, obcy obyczajem, pojęciami; krajobrazy, nużące monotonią, niczem nie przywiązują ani myśli ani oka. Bardzo małą cząstkę Smoleńszczyzny szosa przecina; nie zarysował się więc przed nami ów kraik zaludniony białoruskim szczepem, o tak dziwnie tragicznych losach. Tu i owdzie przesunęła się przed nami biała świta miejscowego ludu, świadcząca, że nie weszliśmy jeszcze do ziem rdzennie rosyjskich; ale to trwało bardzo krótko. Jeszcze kilka przeprzęgów i wjechaliśmy, wcale nie wiedząc, kiedy to się stało, w głąb Kałuskiej gubernii. Tu już nie ulegało wątpliwości najmniejszej, że stanęliśmy w rdzennych prowincyach wielkiego imperyum.

Gościniec, w kierunku najprostszych linij wytknięty, ominął większe miasta; zresztą, niema ich prawie aż do stolicy. Kaluga zdala pozostała od naszej drogi. Mówiono, że posiadała jeszcze wówczas gmach stary, pamiętający Samozwańców, późniejsze schronienie wygnańcze biskupa Sołtyka.

To co na gościńcu spotykało się, było nader banalnem, nic nie przypominało przeszłości; wszystko jak gdyby wczoraj stanęło na ugorach cywilizacyi, i jak gdyby jedna dłoń wszystko to wzniosła: tak uderzające podobieństwo wiosek, miast i domów.

Zanim stanęliśmy w Małojarosławcu, jedynem prawie większem mieście spotkanem przed Moskwą, przypadek urozmaicił nieco wędrówkę naszą. Spotkaliśmy na jakiejś stacyi przyszłego towarzysza wygnania, Dyonizego K., który wywieziony z Wołynia (z powiatu włodzimierskiego), na kilka dni przed nami, również dążył do Wiatki; ale dążył widocznie rzemiennym dyszlem, tak bardzo nie śpiesząc, iż dopędziliśmy go. Pierwszy raz w życiu widzieliśmy owego K., ale wspólność losów zbliżyła nas. Postanowiliśmy odbywać dalszą podróż razem, jako jedna karawana. Nasi strażnicy nie protestowali; owszem, strażnik spotkanego K. cieszył się nawet z tego zbiegu okoliczności. K. był wieziony przez jakiegoś urzędnika, człowieka już niemłodego, który nieco obawiał się dalekiej podróży; większa karawana napełniała go lepszą otuchą, iż podróż odbędzie szczęśliwie; chę-

tnie więc przystał na projekt, który w gruncie rzeczy przekraczał przepisy wydane naszym strażnikom. Ów p. urzędnik, postać dość zabawna, wobec poczciwca podoficera eskortującego nas, nosił się zpyszna, z tytułu swej wyższej rangi chciał mu przewodzić; wytwarzało to kolizye zabawne i częste między nimi. Z tego też powodu maluczka ta karawana to rozdzielała się, ku czemu nasz strażnik dawał hasło, trzymał się oddzielnie, to znowu łączyła się.

Miasto Małojarosławiec, schludne, zamożne, przypominało swą pewnego rodzaju elegancyą, iż już jesteśmy u bram stolicy. Żywioł kupiecki, liczny, zasobny, cechę zamożności nadawał. Wyniosły pomnik u wjazdu do miasta, to uwiecznienie pamiętnej bitwy, którą na jego polach stoczyli Rosyanie z armią Napoleona, cofającą się z Moskwy. Bój rozstrzygnął o losach odwrotu. Zaparto gościniec z kierunkiem bardziej południowym, zmuszając nieprzyjaciela do cofania się zniszczoną doszczętnie, spaloną i ogłodzoną drogą smoleńską.

Wyświeżony, wciąż odświętnie wyglądający Małojarosławiec, był dla pamiętnych chwil 1812 r. pierwszym odblaskiem słońca pomyślności. Pomyślność, tam spotkana przypadkiem, już nigdzie nie opuszczała sztandarów i dążności rosyjskich, aż do Kulmu, do Lipska, do Paryża.

. . . . . .

Poza Małojarosławcem przelecieliśmy przez Podolsk, miasteczko mile wpadające w oko dzięki swej czystości, porządkowi. Wszystko wróżyło bliskie sąsiedztwo stolicy. Ukazała się wreszcie, szeroko na równinie rozsiadła; we mgłach jesiennych ginęły jej krańce.

Mgła i deszcz drobny, nieustannie dokuczający — w Polsce kapuśniaczkiem zwany — błoto, wyziewy nieprzyjemne obszernego, brudno utrzymywanego miasta, powitały wjeżdżających i towarzyszyły ich pobytowi.

Pobyt dziwnym zbiegiem okoliczności przedłużył się dni kilka. Wjechawszy do tej obszernej, na rozległej przestrzeni rozrzuconej, starej stolicy, zajechaliśmy przed pałac generał-gubernatora, gdzie nasi strażnicy meldowali się w biurze. Były to

czasy, gdy terroryzm wcale wychodził z użycia — sądzono, że nazawsze — oddawano się powszechnie złudzeniom; były to czasy chwilowego wypoczynku po twardej epoce, która krymską wojnę poprzedziła. Nie troszczono się więc zbytecznie o nas; pozwolono naszym strażnikom na wypoczynek w stolicy, a że się ich prędko pozbyto, zapewne nie określono ściślej ani czasu, ani warunków, wśród których wypoczynek ten miał się odbywać.

Eskorta nasza, poczęści znużona, a bardziej niż wypoczynku żądna wygód, do których wprawdzie przyzwyczajoną nie była, ale od nas spodziewała się takowe otrzymać, wcale nie protestowała, iż ulokowawszy się w Moskwie w hotelu, zamierzaliśmy tam dni kilka przepędzić.

Ubiegliśmy już więcej tysiąca kilometrów; następna wszakże część podróży, która nas jeszcze czekała, nietylko, że wielką była ogromem przestrzeni, ale wielkiemi groziła i uciążliwemi niewygodami, niewczasami, droga bowiem wypadała przez kraje coraz to mniej zaludnione, coraz dziksze, a rozpoczynająca się zima przynosiła zapowiedź znacznie większych prywacyj.

Na wszystkie wróżby i groźby niewygód, z warunków klimatycznych płynące, zabezpieczyć się wypadało, o ile możność pozwalała. Moskwa zdawała się, i rzeczywiście była, punktem ku temu najlepszym. W ciągu więc dwóch czy też trzech dni bawienia w mieście, zaopatrywaliśmy się we wszystko niezbędne do dalszej, długiej i przypuszczalnie mniej wygodnej, a nawet uciążliwej podróży. Z całej karawany najmniej potrzebowałem o sobie myśleć; bo, jak wyżej wskazałem, jeszcze na dobę przed mem uwięzieniem, pod wpływem przeczucia, wyekwipowałem się stosownie.

W Moskwie należało ostatecznie ułożyć dalszą marszrutę podróży. Niełatwą się to okazało rzeczą. W instrukcyach naszych strażników kierunek drogi wytyczono, lecz u każdego inaczej wskazywano. Szczególniej marszruta urzędnika, eskortującego naszego kolegę, brzmiała dziwacznie: wedle instrukcyi przezeń posiadanej, powinien był jechać przez miasta, które nie posiadały traktów pocztowych; kierunek ten dziwaczny zaczer-

pnął urząd dający instrukcyę z jakichś ukazów zeszłego stulecia. Nasz strażnik miał również błędy grube w swej marszrucie, ale inne; żaden z nich zaś nie chciał ustąpić na rzecz drugiego swych wskazówek: godzili się tylko w jednym punkcie, a mianowicie, iż „wiadome osoby“ nie mogą jechać żadną miarą koleją żelazną, chociażby kolej skracała znacznie koszta podróży, łożone przez rząd. Tego rodzaju rozkaz rzeczywiście istniał w instrukcyi; opierał się zaś na ścisłem przestrzeganiu bardzo dawnych tradycyj biurowych, tyczących się wysyłanych na wygnanie. Tradycye, zapisane w licznych starych ukazach, również wskazywały kierunek jak i sposób deportacyi. Zmieniły się drogi, trakty pocztowe poszły w innych kierunkach, wprowadzono koleje żelazne, lecz tradycya biurowa wymagała deportacyi odbywanej w tychże samych warunkach i sposobami zawsze jednakiemi.

Kolej żelazna już istniała do Niższego Nowogrodu, na przestrzeni przeszło pięciuset kilometrów, ale wygnańcy korzystać z niej prawa nie mieli.

Musieliśmy przeto, wśród trwającej i wzmagającej się bezdroży, równolegle do kolei, posuwać się na wozach pocztowych przez Włodzimierz na Klazmie ku Niższemu Nowogrodowi. Ale i pod tym względem strażnicy nasi zgodzić się nie mogli, tem bardziej, że obaj w geografii biegłymi nie byli. Podczas gdy my przygotowywaliśmy się do podróży dalszej i staraliśmy się rozpatrzeć w nieznanem mieście, oni spierali się o kierunek drogi.

* * *

Parę dni pobytu w Moskwie przeszło spokojnie.

W dniu trzecim, kiedyśmy pokończyli przygotowania i pragnęli obejrzeć starą stolicę, o ile niepogoda ciągła, deszcz ze śniegiem, wciąż w oczy bijący, krótkość dni mglistych i nieznajomość miasta na to pozwalały, kiedyśmy to rozejrzenie się po mieście od odwiedzenia kościoła rozpoczęli — i nazajutrz zamierzaliśmy być na mszy św. — wpadł późnym wieczorem do naszego hotelu zastęp policyi, oświadczając, że powinniśmy jechać dalej natychmiast, że straż nasza odpowiadać będzie za owo pobłaża-

nie, którem zgorszony mocno p. generał-gubernator, że hotel nie powinien był tolerować naszego tak długiego pobytu.

— Konie czekają; wyjeżdżajcie panowie natychmiast — wołano, a tłum zbrojny, brzęczący ostrogami i pałaszami, pokój napełnił.

Po kilkunastu minutach już do dalszej drogi byliśmy gotowi.

Straż nasza, nieco zmieszana niespodzianym ewenementem, zapomniała narazie o swych geograficznych sporach co do kierunku drogi. Postanowiliśmy przeto z okoliczności tej skorzystać i własnym pomysłem rozciąć węzeł gordyjski niepewności, którędy jechać, by do Wiatki trafić.

Dla nas rzeczą obojętną było, tym lub owym gościńcem dostać się do Wiatki, ale w Moskwie właśnie powiedziano nam, że w Kostromie jest ktoś z niedawnych wygnańców. Myśl zobaczenia kogoś, chociaż nieznanego, lecz w warunkach tych samych wegetującego, w jakich my mieliśmy wkrótce stanąć, uśmiechała się nam. Pragnęliśmy więc skorzystać z możności i zwrócić nasz trakt na Jarosław, Kostromę, ku okolicom północnym, przypuszczając, że tam znajdzie się jakaś droga pocztowa, prowadząca do Wiatki.

— Dokąd jedziemy, przez jaką rogatkę? — zapytywali pocztarze, wynosząc nasze tłumoki.

— Jedziemy przez Carewo-Kokszajsk, Kosmo-Demiańsk — recytował długą nomenklaturę miasteczek zawołżańskich strażnik naszego kolegi, urzędnik drapujący się chętnie w powagę naczelnika całej karawany.

Pocztarze wzruszyli ramionami i zamilkli; dla nich niezrozumiałemi były nazwiska wyliczanych miejscowości.

Skorzystałem z zamętu, który panował podczas nagłego wybioru i z nieporadności naszych strażników; szepnąłem któremuś z pocztarzy, wsuwając mu jakąś monetę:

— Pojedziesz pierwszy; my na twym wozie..., jedziemy na trakt jarosławski.

Niezrozumiałe mruknięcie zastępowało odpowiedź, ale niemniej pocztarz zastosował się do naszego żądania. W kilka minut później pędziły dwie trójki pocztowe, zamiast ku wschodnim,

ku północnym rogatkom miasta. Całą noc trwała jazda, chociaż wicher północny obdarzał nas obficie śniegiem, chociaż wozy na każdej stacyi zmieniane, dziwnie były niewygodne, i całą noc straż nasza mniemała, iż jedziemy do Niższego Nowogrodu, podczas gdy lecieliśmy w kierunku wręcz przeciwnym, do Jarosławia.

Po wschodzie słońca wielkie zdziwienie owładnęło strażą, zwłaszcza zdumiał się urzędnik pozujący na zwierzchnika karawany, gdy zapytywał o odległość do Niższego, a odpowiadano mu, iż jest na gościńcu prowadzącym do Jarosławia.

— Więc nie wiecie dokąd jedziecie? — ironicznie ten i ów dozorca stacyi pocztowej zauważał.

— O wiemy, dobrze wiemy, — zżymał się urzędnik — ale nieczysta siła splątała trakty, a oczy naszym pocztarzom śniegiem, czy czemś zasypała. Szatańska robota... przed władzą wyższą odpowiadać mogę, gdy nie pojadę przez miejsca w instrukcyi wskazane.

I tu zaczął wyliczać, po raz nie wiem już który, miasteczka nadwołżańskie, rozpoczynając długą nomenklaturę od Carewo-Kokszajska, Kosmo-Demiańska...

Pomimo zżymań się i wyrzekań straży, jechaliśmy w kierunku Jarosławia; wracać na trakt wschodni niepodobieństwem już było. Pogodzono się przeto wprędce ze stanem rzeczy.

Podróż z Moskwy do Jarosławia dała nieco wolnego czasu do zgrupowania wrażeń, jakie Moskwa przyniosła. Stara stolica nie wydała się nam ani piękną, ani ciekawą dla turysty. Powitała nas owinięta we mgłę głębokiej jesieni; błotnista powłoka, zalegająca ulice wązkie, kręte, brudne, nie dodawała piękna miastu obszernemu, źle utrzymanemu, o domach dziwnie pospolitej powierzchowności, pozbawionych cech charakterystycznych. Nic nie przypominało, iż to stary gród; nic nie zapisywało się trwalszem wrażeniem. Miasto, gdy było stolicą małego księstwa, zabudowywało się na małej przestrzeni; składało się jedynie z Kremlina, starej fortecy, rezydencyi swych władców, i z małego otoczenia, które wkoło obiegało twierdzę. Z biegiem czasu i ze wzrostem państwa, owe okolne przedmieścia coraz szerzej zabudowywały się, lecz zawsze tworząc koło, i o coraz to dłuższych pro-

mieniach. Takich cyklów, okalających wspólne centrum, „Kreml", wzrosło kilka; każda taka warstwa posiadała swe obwarowania i swą nazwę oddzielną. Ulice miasta poprzeczne w ten sposób biegną nie w prostych kierunkach, lecz zakreślają koła coraz szersze. Pierwowzór do takiego zabudowania wzięto prawdopodobnie z urządzeń taborów ludów koczujących, lub wielkich hord zbrojnych: tam na środku wznoszono opony namiotu naczelnika taboru, wokoło zaś biegły namioty, bądź jurty, czy też szałasy podległych mu. Na Wschodzie całym, bliskim i dalszym, znanemi były tego rodzaju „zataczania" kolistych obozów.

Jeżeli w starej stolicy trąciło co przeszłością, przypominało rozwój dawnej sztuki, były to przypomnienia kultury chińskiej, którą zapożyczano, za pośrednictwem Mongolii, z najdalszych głębin azyatyckich. W budownictwie, w starych świątyniach, w wieżach dziwnie oryginalnych, odbija się przeważnie wpływ chińskiej sztuki. Nie zapierano się tego wpływu przed wiekami; owszem, dawano mu jawnie i szczerze wyraz wcale niedwuznaczny uznania, nazywając jedną z celniejszych, dawnych dzielnic „chińskiem miastem" *(Kitaj-gorod)*. Jeszcze niedawno, bardzo niedawno, przed półtora wiekiem, oblicze owego narodu zwrócone było wciąż ku Wschodowi, ztamtąd czerpano soki pożywne istnienia.

Dawne życie handlowe, rozwijające się głównie, niemal wyłącznie, na wschodnich rynkach, wytwarzało spójnię łączącą z kończynami Wschodu, torowało drogę do stosunku ściślejszego z kulturą tą daleką, rdzennie sprzeczną ze wszystkiem, co na Zachodzie się spotyka.

Wszystkie miasta tameczne martwe — Moskwa bardziej od innych. Dużo wprawdzie handlowego krzątania się, lecz zamyka się ono przeważnie w głębi sklepów, w kantorach handlowych; gwaru miejskiego, ruchu ożywionego w mieście nie spotykamy.

Osobliwości miasta, głównie zamnięte w murach Kremla. Poza niemi niejeden zabytek, nie ich ale naszego życia, możnaby znaleść w muzeum Rumiancowa, w cennych bardzo dla badaczy zbiorach archiwum dawnego, tak zwanego kolegium spraw zagranicznych, i w innych większych księgozbiorach, gdzie

nieraz całe działy biblioteki, złożone z ksiąg, rękopisów, papierów, z Polski przywiezionych, czekają od wielu lat pracowitej dłoni, któraby je przejrzała, skatalogowała, od moli, zniszczenia, ostatecznego zatracenia ocaliła. Biblioteki, archiwa klasztorne, lub prywatne, przybywały z różnych okolic Polski całemi pakami, w różnych czasach, po różnych naszych porażkach; składano te trofea jak stos drew, nie troszcząc się o ich zawartość: i lata płynęły nad butwiejącemi papierzyskami, nikt do nich nie zaglądał; nie ceniono ich jako materyał historyczny, lecz obchodzono się z niemi niby z więźniami, skazanymi na wieczną niewolę, na zagładę zupełną.

Nie czynimy tu niestosownego porównania. W dziwnym tym kraju, do wielu innych zupełnie niepodobnym, wiele rzeczy spotyka się gdzieindziej nieznanych. Nieraz tam dawnemi laty książka z Polski, dzwon z polskiego kościoła wraz z jeńcami szły na wygnanie. W XVII. w. szukano polskich mszałów aż w głębi Syberyi, nad Jenissejem, gdy je miano, na mocy traktatu, oddać dawnym właścicielom. Tak dalekie wożenie książki, mszału, bądź dzwonu, wskazuje, iż nie brano tych przedmiotów dla użytku własnego, dla zbogacenia zbiorów, ale robiono z nich jeńców, co zastosowywano nieraz i do własnych przedmiotów martwych, gdy zawiniły. Przykładem wymownym dzwon, który dzwonił na tumult ludowy podczas zabijania carewicza Dymitra w Ugliczu; skazany został biedny dzwon w XVI. wieku na wygnanie, do Tobolska; — i co gorsza, pozbawiony różnych przywilejów, a nawet został galernikiem, bo wyrwano mu, jak ówczesnemu galernikowi, część boku (ludziom rwano nozdrza). Później różne edykta wracały biednemu dzwonowi niektóre prawa, uprzednio odjęte: pozwolono mu dzwonić na jutrznię, i jeszcze w paru innych razach, ale dopiero w XIX. wieku, a mianowicie w 1848 r. mieszkańcy miasta Uglicza zanieśli prośbę do tronu, prosząc o uwolnienie zupełne i powrót więźnia. Pozwolono. Zupełne prawa odzyskał tyloletni — trzywiekowy — więzień, zaczęto weń dzwonić podczas uroczystości większych, kwestya wszakże powrotu rozbiła się o koszta. Rząd nie chciał łożyć na powrót, miasto Uglicz, wcale niezamożne, zdobyć się na to nie mogło: długo

trwała pisanina, kto ma koszta ponosić, i rzecz do dziś w biurach ugrzęzła [1].

Z zabytków naszej pracy, dawnego naszego życia, zawartych w rękopismach, dokumentach, papierach i księgach, nikt nie korzysta, a niemało tam, i w innych Rosyi miejscowościach, jest źródeł do studyów nad naszem życiem umysłowem i społecznem.

Już wówczas nasuwała mi się myśl, w której ugruntowało mnie późniejsze życie, późniejsze pilne przypatrzenie się owym i dalszym znacznie krajom, aż na pograniczach Mandżuryi, iż rola nasza w przeszłości dalszej i bliższej, rola szerzycieli kultury europejskiej, na tych bezbrzeżnych przestworzach, wcale małą nie była.

Pole tu do studyów obszerne a przez nikogo nietknięte.

Ziomkowie nasi, idąc tłumami wielkimi na jasyr daleki, pracą, poświęceniem, nieraz życia całego ofiarnością, cichemi cnotami płynącemi z miłości bliźniego, na drodze chrześcijańskiego i cywilizacyjnego rozwoju mieszkańców owych ziem dalekich, szczególnie syberyjskich, zrobili bardzo wiele; ale nie wytworzyli zbliżenia szczepów tak różnych pod każdym względem; nie zdołali zasypać przepaści, która dzieli dwa te narody. Znać głęboką jest owa otchłań, tyle pochłaniająca a wciąż rozwarta...

(C. d. n.).

Maryan Dubiecki.

[1] W 1864 r. jadąc na Syberyę, odwiedziłem w Tobolsku ów dzwon nieszczęsny. Odbity bok świadczy o zmianach losu, co go dotknęły. Rosyanie posiadają monografię, opowiadającą szczegółowo koleje, przez które przechodził ten najstarszy z wygnańców syberyjskich.

HISTORYCZNY ROZWÓJ NIHILIZMU

W ROSYI.

I.

Rewolucyjne ruchy w Rosyi do r. 1855. — Masońskie loże. — Dekabryści. — Represye Mikołaja I. — Życie umysłowe chroni się do salonów; żywi się literaturą zagraniczną i domową, drukowaną i pisaną: rozwija się powoli, ale skutecznie, w kierunku liberalno-socyalnym.

Przesłańcami nihilizmu były ruchy rewolucyjne w Rosyi, datujące się od otwarcia lóż masońskich w tym kraju. Przyznaje to koryfeusz rosyjskich rewolucyonistów, Herzen: „Literatura rosyjska XVIII. w. była tylko zabawką szlachetniejszych umysłów, bez wpływu na społeczeństwo. Pierwszy poważny wpływ, który wycisnął inne piętno na dyletantyzmie literackim, pochodzi od wolnomularstwa“ [1]. Za Herzenem powtarza to samo profesor uniwersytetu bazylejskiego, dr. Alfons Thun, w pierwszym rozdziale swego dzieła: *Geschichte der revolutionären Bewegungen in Russland* [2]. Cesarzowa Katarzyna II., która już 1763 r. okrzyknęła się protektorką masonii, i na „pracach“ lożowych bywała sekretnie, w ciągu lat dwudziestu zmieniła swe zdanie do tyla, że ukazem 1792 r. zamknęła wszystkie loże, w. mistrza masonii, drukarza i publicystę Nowikowa, osadziła w Schlüsselburgu; znaczniejszych rodem

[1] *Du développement des Idées révolutionnaires en Russie.* Londres 1853 patrz na str. 54.

[2] Leipzig 1883.

braci lożowych internowała w ich majątkach. Cesarz Paweł I. ukazem 1797 r. zabronił wszelkich towarzystw tajnych, a w szczególności masonii, w swem państwie. Powodem tej niełaski monarszej, według masońskiej kroniki *Acta Latomorum*, było to, „że w lożach Moskwy intrygowano przeciw dworowi i ministrom“. Pomimo urzędowego zamknięcia lóż, funkcyonowały one tem zawzięciej potajemnie pod mistrzowskim kierunkiem Boebera, dyrektora petersburskiej szkoły kadetów. Gdy Aleksander I., elew jakobina La Harpe, wstąpił na tron, wnet potrafił go Boeber przekonać, że masonia jest instytucyą arcypożyteczną ludzkości. Uzyskał dla niej protekcyę cesarza, ukaz z roku 1803, nadający masonii istnienie prawne w Rosyi. Odtąd rozwinęła się ona tak prędko, że 1820 liczyła lóż 30, a w nich koło 1600 braci, należących do wyższych i najwyższych warstw, a więc wszystko ludzi wpływowych. Zasady loży o prawach człowieka, o wolności i braterstwie ludów, filtrowały więc potężnie w inteligentnem społeczeństwie rosyjskiem: sam cesarz Aleksander I., „oswobodziciel ludów Europy“, zdawał się być ich wyznawcą.

Te same idee wolnomyślne rozwijały się jeszcze silniej w armii, mianowicie w korpusie oficerów gwardyi cesarskiej. Na cztery zawody armia rosyjska zetknęła się z Zachodem; — r. 1813 i 1814 wystąpiła zwycięsko jako „oswobodzicielka ludów Europy od przemocy tyrana“ — cóż naturalniejszego, jak to, że ci oswobodziciele ludów, powróciwszy do swej Rosyi, uczuli się sami „niewolnikami“ despotyzmu rządowego i zapragnęli „wolności“ także dla siebie. Liberalne wystąpienie Aleksandra I. na kongresie wiedeńskim, nadanie konstytucyi Królestwu Polskiemu, którego on sam był twórcą, obietnica nadania podobnej konstytucyi cesarstwu rosyjskiemu, uprawniała poniekąd te aspiracye do wolności. Pomiędzy oficerami gwardyi powstała tedy 1813 r. myśl utworzenia związku, a raczej klubu, przyczepionego do jednej z lóż petersburskich, któryby dopomagał Aleksandrowi I. do zrealizowania jego obietnic. Inicyatorami związku byli oficerowie gwardyi, bracia lożowi, Aleksander i Nikita Murawiewy, i książę Trubecki. Klub ten, „szerząc moralność w państwie i karcąc nadużycia“, zdążał powoli do legalnego uzyskania konstytucyi dla Rosyi.

W r. 1815 wstąpił do klubu pułkownik wiatskiego pułku, protestant Pestel; urządził go na sposób niemieckiego *Tugendbund'u*, przyrzekł ułożyć mu ustawę i nazwał go związkiem zbawienia, *sojuz spasenija* albo *sojuz wiernych i istinnych synow otecziestwa*, podzielonych na trzy stopnie: braci, mężów i bojarów. Już nie o cesarstwo konstytucyjne tu chodziło, ale o federacyjną rzplitą, nawzór Stanów Zjednoczonych. Jakoż już 1817 r. na zjeździe związkowych w Moskwie zadekretowano zamordowanie cesarza, a kapitan Jakuchin ofiarował się na wykonawcę zbrodniczego dekretu. Na następnym zjeździe w Moskwie 1818 r. Pestel, niezadowolony zbyt umiarkowanym kierunkiem związku, wystąpił z niego; reszta związkowych zorganizowała się nanowo pod nazwą związku dobroczynnego, *sojuz błahodienstwija*, podzielonego na cztery wydziały: dobroczynności, oświaty, sprawiedliwości i ekonomii. Ustawa związku nazywała się *zelenaja kniga*, ztąd też cały związek zwano także „towarzystwem zielonej księgi". Związek działał jawnie; dwa główne jego zarządy były w Moskwie i Petersburgu, ale poza nim i pod jego osłoną pracowała tajemnie „centralna dyrekcya", która na konferencyi w Petersburgu 1820 r. oświadczyła się stanowczo za formą rządu republikańską i zadekretowała ponownie śmierć cesarza i jego rodziny. Jedyny z Polaków, obecny na konferencyi, pułkownik Teodor Glinka, deputat do petersburskiej w. loży „Astrea", zaprotestował przeciw temu krwawemu dekretowi. W rok potem, 1821, na zjeździe w Moskwie nie już „dyrekcyi", ale „towarzystwa zielonej księgi", debatowano nad sposobami propagandy pojęć republikańskich w szerszych kołach inteligencyi rosyjskiej. Nie było zgody na nie: część związkowych bawiła się zanadto w doktrynerstwo i przewlekała obrady w nieskończoność. Związek zielony „rozlazł się" i spaliwszy wszystkie swe papiery, zniknął z widowni. Za to w tym jeszcze 1821 r. utworzył Pestel z braci „tęgich i energicznych" związek tajny, *tajnij sojuz*, podzielony na związek „południowy" z dyrektoryatem w Tulczynie, gdzie Pestel stał załogą, i „północny" z dyrektoryatem w Petersburgu pod Rylejewem. Związkowi dzielili się na dwa stopnie: przekonanych i połączonych, *ubiezdiennyje* i *sojedyniennyje*. Dyrektoryaty dzieliły

się na „uprawy“ czyli prowincyonalne związki; dyrektoryat tulczyński miał pod sobą uprawę kamieniecką pod księciem Wołkowskim i wasilkowską pod Bestużewem-Rjuminem. Ustawę dla „tajnego związku“ napisał Pestel pod nazwą „Rosyjska prawda“ i objaśnił ją mapą. W myśl Pestla, Polska ma być wolną i udzielną, może sobie nadać formę rządu, jaką chce, ale ma pozostać w wiecznym sojuszu z Rosyą. Ta zaś podzielona będzie na *oblasti* czyli wolne stany z osobną autonomią i wspólnym rządem deputatów obłastnych. Cesarską rodzinę należy wyrznąć do nogi. Przez pierwsze dziesięć lat rządzić ma dyktatura jako rząd tymczasowy dopokąd społeczeństwo nie dojrzeje do sprawowania rządów autonomii federacyjnej.

Równocześnie w Królestwie Polskiem masonia narodowa Łukasińskiego, a potem karbonaryzm, układały program wybicia się na wolność zpod tyranii króla-cara. „Związek tajny“ nawiązał stosunki z polskimi patryotami, ale do praktycznego wyniku one nie doprowadziły. O wymordowaniu cesarskiej rodziny Polacy i słyszeć nie chcieli. Pozostawiony sam sobie rosyjski „tajny związek“, oparł swą akcyę wyłącznie na armii, co było wielkim błędem. Jakoż pułk wiatski w Tulczynie i kilka pułków gwardyi w Petersburgu dały się wciągnąć do spisku, nie wiedząc, o co właściwie chodzi. Książę Trubecki miał stanąć na czele spiskowych. Aleksander I. przeczuwał, że w gwardyi coś złego się święci, może nawet wiedział o spisku, skoro ukazem, datowanym 4 stycznia 1821 r. z Lublany (Laibach), gdzie zjazd monarchów się odbywał, ustanowił przy gwardyi tajną policyę wojskową, złożoną z naczelnika, sekretarza, 12 dozorców i ajentów czyli szpiegów, a na jej utrzymanie wyznaczył ukazem z 4 lutego 1821 40.000 rs. rocznie [1]. Niewiele to pomogło. Spiskowi odbywali da-

[1] *Russische Wandlungen.* Leipzig 1882. Anhang A. Treść ukazu z dnia 4 stycznia 1821 r.: Naczelna komenda gwardyi powinna wiedzieć „o duchowym kierunku, o ideach i dążnościach“ regimentów gwardyi, które otaczają monarchę, a stojąc garnizonem w jednem mieście, w ustawicznej zostają z sobą styczności. Trudne to zadanie, i dlatego ustanawia się przy korpusie gwardyi wojskowa policya, „największą tajemnicą“ pokryta. Naczelnik tej policyi ma być człowiekiem zaufanym, roztropnym, monarsze całą duszą oddany, przytem oficerem sztabowym; mieszkanie jego ma być

lej swoje narady głównie nad sposobem zamordowania cesarza. Przyłączył się nawet do nich z początkiem 1825 r. panslawistyczny związek *sojedinienuye Słowianie*, do którego należał jedyny Polak, Lubelski.

Zagadkowa śmierć Aleksandra w Taganrogu 27 listopada 1825 r. przyśpieszyła wybuch. Dzień 14 grudnia, w którym ludność Petersburga miała składać przysięgę wierności dla cesarza Mikołaja I., wyznaczono na dzień zamordowania cesarza i jego rodziny; ztąd nazwa dekabrystów. Zamach się nie udał, bo brakło spiskowym pułkom komendy, a tłumy ludu nic o spisku nie wiedząc, stały obojętne. Mikołaj tłumom kazał paść „na kolana“, a stanąwszy sam na czele wiernych pułków, podwójną salwą kartaczową rozpędził spiskowców, których tej jeszcze nocy prawie wszystkich aresztowano. Przy śledztwie użyto tortur; trwało ono blisko pół roku. Od 3 do 13 lipca toczyła się ostateczna rozprawa wielkiego procesu dekabrystów. Stanęło ich obżałowanych 120: z tych 5 skazano na śmierć, 88 do katorgi, 15 na posilenie, 3 na całe życie w Sybir, 9 zasłano w sołdaty. Powieszenie Pestla, Rylejewa, Serginsza Murawiewa, Bestużewa-Rjumina i Kachowskiego odbyło się z wszelką ostentacyą: ciała ich zakopano we wspólnym grobie i zalano grób Newą, aby i ślad po nich zaginął.

Nad Rosyą zaciążyła żelazna ręka despoty świadomego swej siły. Zamknięto szczelnie granice, paszportów na wyjazd nawet „dla poratowania zdrowia“ nie dawano, aby „zgubne doktryny zgniłego Zachodu“ nie dostały się do „świętej“ Rosyi. Nad prasą z długiemi nożycami cenzura, nad młodzieżą czuwali inspektorowie z rózgą w ręku, aby żadna swobodniejsza myśl nie doszła do wiadomości publicznej, nie zaświtała w głowie studenta. Z uni-

punktem zbornym dla wszystkich dozorców i ajentów tej policyi; mianuje go komendant korpusu gwardyi. Jemu to co tygodnia ma ów szef tajnej policyi składać dokładny raport. Kwota 40.000 rubli rocznie ma być z kasy korpusowej zgóry szefowi tajnej policyi wypłacana, ale nie należy jej wciągać do dziennika kasowego. — Szef otrzymywał tytułem pensyi 6000 rs., tytułem wydatków nadzwyczajnych 10.000 rs.; trzej dozorcy dla oficerów po 3000 rs.; dziewięciu dozorców dla podoficerów i prostych gwardzistów po 600 rs.; wydatki na agentów 5000 rs.; sekretarz 1200 rs.; koszta kancelaryi 2000 rs.

wersytetu moskiewskiego wydalano corocznie dziesiątki najzdolniejszej młodzieży, zaludniano nią więzienia lub Sybir. Rosyą rządził mocarz „jak Bóg silny, jak szatan złośliwy“, przy pomocy trzeciego oddziału policyi z Bekendorfem na czele. Tłumy szpiegów uwijały się po ulicach, placach, lokalach publicznych, biurach, wciskały się do mieszkań prywatnych, aby wyłowić nieostrożne słowo niezadowolenia lub skargi. Wnet zjawiał się „feldjeger z dzwonkiem“ i w okrytej skórą kibitce, uwoził śmiałka do więzienia, które nie wypróżniało się nigdy, a gdzie śledztwo odbywało się pod kijami i rózgą. Napozór zapanowała na obszarach Rosyi cisza złowroga, zapierająca oddech, jak przed burzą.

Ale i wśród tej dusznej nad wyraz atmosfery oddychano tu i owdzie swobodniej. Życie umysłowe i polityczne zamknęło się w salonach Moskwy, Petersburga, Rostoka nad Donem, Tambowa, Kostromy, Rewla i t. d. wśród tych, którzy mając byt niezależny, do „służby rządowej“ wstąpić nie chcieli. Pomimo surowości cenzury sprowadzano wszystkie „zakazane“ książki i czytano tem łakomiej [1]. Socyaliści zachodni: Oven, St. Simon, Leroux, Fourrier, Blanc, Lassal, byli ulubionymi autorami, których sobie z rąk do rąk podawano [2]. W salonie heglianina Stankiewicza

[1] Pierwsze wydanie „Dziadów“ Mickiewicza przysyłano z Paryża arkuszami wprost zpod prasy, w beczkach śledzi o dnie podwójnem, *via* Lipsk—Ryga do Kijowa.

[2] Oven Robert (1770—1853), bogaty szlachetny kupiec angielski, filantrop raczej aniżeli socyalista, zakłada swym kosztem „kolonie ubogich“ 1800 r. Do monarchów zebranych na zjeździe w Akwisgranie 1818 r. wystosował błagalne pismo, aby ratowali robotników przed pauperyzmem, wskutek wynalazku coraz to nowych maszyn, za co od pruskiego króla otrzymał list dziękczynny.

St. Simon, oficer wojsk amerykańskich pod Waszyngtonem, osiadł w Paryżu i cały swój majątek 140.000 fr. wydał na urzeczywistnienie swego systemu socyalistycznego. Próba się nie udała; straciwszy majątek, wystrzałem próbował odebrać sobie życie — ale i to się nie udało; umarł w nędzy 1825 r. Szkoła St. Simonistów domagała się: 1) zniesienia klas uprzywilejowanych i prywatnej własności; 2) emancypacyi kobiet; 3) gmin federacyjnych i wspólnej własności.

Leroux Piotr, ur. 1798 r., demokrata, publicysta i dziennikarz. Pisał refutacyę eklektycyzmu, o równości ludzi, o ludzkości.

Fourrier Karol 1777—1837, z zawodu kupczyk, teoretyk socyalny. Ideałem jego uszczęśliwienie ludzkości zapomocą „falansterów“, t. j. gmin

w Moskwie w latach 1835—1840 gromadzili się zwolennicy zachodniego socyalizmu: Bieliński, ojciec pozytywistów; Katkow *(sic!)*, późniejszy wódz partyi ultra-moskiewskiej; Bakunin, Herzen, Ogarew, którzy potem stanęli na czele propagandy emigracyjnej; Aksakow i Chomiakow, późniejsi panslawiści; prof. Granowski, który z katedry uniwersyteckiej zaszczepiał w młodzież idee postępowe Zachodu. W gabinecie naukowym Pietraszewskiego, urzędnika departamentu spraw zagranicznych w Petersburgu, zbierało się przez lat kilka co piątek liczne kółko wykształconych Rosyan i Polaków. Zbiorową ich pracą 1846 r. był *Karmannyj słowar*, kieszonkowy słownik obcych wyrazów, używanych w języku rosyjskim, redagowany w duchu liberalnym i socyalistycznym. Podobno nawet zawiązało się tam „towarzystwo propagandy", mające na celu uszczęśliwienie ludzkości całej zapomocą z n i e s i e n i a w s z y s t k i e g o, c o k r ę p u j e w o l n o ś ć j e d n o s t k i, religii zwłaszcza i różnicy stanów. Rzucono się więc do waśnienia ludu ze szlachtą, prawosławnych ze starowiercami, i do systematycznego szerzenia pauperyzmu wzniecaniem pożarów. Na tych zubożałych masach oprzeć chciano dalszą swą działalność. Jeżeli to prawda, — bo przeczą temu poważni autorowie, jak dr. Thun i naoczni świadkowie, z których poznałem jednego — wtenczas związek propagandy wyprzedził nihilistów o lat kilkanaście. Rząd począł śledzić Pietraszewskiego i jego przyjaciół przez rok cały; na piątkowe zebrania uczęszczał

---

złożonych z 1500—2000 ludzi, w których wszystko jest wspólne: uprawiana ziemia, żony, dzieci we wspólnej hodowli edukowane. Próba falansteru, urządzonego w dawnem opactwie cysterskiem w Condé sur Vègres, nie udała się.

B l a n c L u d w i k, demokrata, publicysta i dziennikarz. Głównem jego dziełem: „Organizacya pracy", w którem dowodzi, że państwo, jako największy kapitalista, powinno zakupić na swą własność wszystkie fabryki i przedsiębiorstwa, i ustanowić ilość godzin dziennej pracy i dzienną płacę robotników. Podczas rewolucyi lipcowej 1830 r., jako członek tymczasowego rządu, był głównym sprawcą rozruchów robotniczych w Paryżu.

L a s s a l, Niemiec, występuje najprzód jako zwolennik politycznego liberalizmu; koło r. 1860 porzuca polityczną arenę i staje na czele demokracyi socyalnej w Niemczech. Roku 1863 ginie w pojedynku o kobietę w Szwajcaryi.

tajny ajent trzeciego oddziału i wykrył rzekomy, czy też rzeczywisty spisek. W r. 1849 aresztowano Pietraszewskiego i 33 młodych ludzi: z tych oddano pod sąd 25. Ostateczna rozprawa trwała od 30 września do 16 listopada 1849 r., Pietraszewskiego i 9 towarzyszy skazano do katorgi, 2 do rot aresztanckich, 2 na więzienie w Petropawłowskiej kreposti, 8 zasłano w sołdaty.

Obok salonów i literatury zagranicznej podtrzymywała ruch rewolucyjny literatura domowa. Wprawdzie Puszkin, przyjaciel Mickiewicza, poeta rewolucyi, przeszedł wnet do obozu rządowego; imponowała mu brutalna siła caratu. Lermontow, „Byron rosyjski", kazał swej muzie lamenty zawodzić i rozpaczać; — był to wyraz usposobienia wielu umysłów myślących a słabych — zasłany młodo na Kaukaz, zginął tam w pojedynku; Kolcow, „pieśniarz ludowy", umarł także młodo. Ale za to satyrycy powieściowi: Gogoł, autor „Rewizora" i *Miertwyje dusze;* Sękoski, sceptyk i materyalista, drwiący i z słowianofilów i z liberałów, redaktor dziennika *Sewiernaja pczela;* Bieliński, pozytywista, rzucający się na wszystkie powagi, nawet na rodzicielską, bo one krępują wolność jednostki, wielbiciel zachodniego skrajnego liberalizmu, redaktor „Wspomnień ojczystych", *Otieczestwennyja Zapiski;* Herzen, zrazu panteista hegłowski, potem materyalista krańcowy, autor powieści *Kto winowat?* od r. 1847 emigrant dobrowolny i opozycyonista rządowy z zasady [1] — ludzie ci poddali

[1] Aleksander Herzen, ur. 1816 r. w Moskwie, już jako student zebrał około siebie gromadę wolnomyślnej młodzieży, i wysłany za to został 1835 r. do Permy. Uwolniony za lat kilka, wstąpił do służby rządowej w Włodzimierzu i Nowogrodzie, wnet jednak sprzykrzył sobie służbę czynowniczą: wrócił do Moskwy i bawił się w literata. Otrzymawszy nie bez trudności paszport za granicę, 1847 r. udał się najprzód do Niemiec, gdzie zapoznał się z koryfeuszami niemieckiego socyalizmu: potem do Włoch i Francyi. Roku 1851 widzimy go w Londynie, zakładającego drukarnię, „wolną prasę", jak ją sam nazwał. Odtąd aż do r. 1865 jestto najpłodniejszy i najbardziej wpływowy okres jego działalności. Pisał rozprawy naukowo-przyrodnicze, powieści polityczno-społeczne i cały szereg rozpraw o rewolucyi zachodniej i niewoli rosyjskiej. Roku 1865 osiada w Genewie zniechęcony, że go partya rewolucyjna w Rosyi ogłosiła wstecznikiem i wyparła się go. Z Genewy przeniósł się do Paryża 1868 r. i tam umarł 1870. Talent niepospolity, charakter czysty, głowa przewrócona.

surowej dyagnozie i nieubłaganej krytyce rząd i społeczeństwo rosyjskie bez najmniejszej przymieszki współczucia, na zimno, ale z taką prawdą i gryzącym dowcipem, że obecny na pierwszem przedstawieniu „Rewizora“, tego typu łapownika urzędniczego, cesarz Mikołaj śmiał się aż do łez bez przerwy. Szyderstwo zabija. Nauczono się wyśmiewać, a więc lekceważyć urządzenia państwowe, stany i ludzi, i patrzeć na „cara“, stawianego dotąd obok „Boga“, jak na zwykłego śmiertelnika; opinia publiczna — rzecz w Rosyi dotąd niebywała — zwracać się poczęła przeciw Mikołajowi, a wojna krymska odarła go z reszty uroku. Najwymowniejszem jednak potępieniem systemu rządowego był list Czadajewa, drukowany w dzienniku *Teleskop*. Czadajew żąda rachunku od urzędowej Rosyi za wszystkie cierpienia i katusze, jakim ona poddaje każdego, kto czuje się być człowiekiem; bada przyczyny, dla których Rosyanie doszli do stanu niewolników-bydląt, i kończy złorzeczeniem rozpaczy: „Rosya nie istniała nigdy po ludzku; ona stanowi jednę straszną, ciemną plamę w cywilizacyi i może służyć za okropny, ale pouczający przykład dla Europy. Przeszłość jej bezużyteczna, teraźniejszość bez żadnej wartości, a zatem niepotrzebna — przyszłości przed nią nie masz żadnej“. Czadajewa kazał Mikołaj ogłosić waryatem i osadzić w domu obłąkanych — *Teleskop* zamknięto. Mimo to list Czadajewa wstrząsnął potężnie umysłami.

Oprócz *Teleskopu* wydawano jeszcze przeglądy literackie: *Telegraf, Posłaniec z Moskwy, Biblioteka powieści, Roczniki patryotyczne, Współczesny*. Przyswajały one czytającej społeczności w Rosyi pojęcia i poglądy z Zachodu, podawały recenzye lub nawet przekłady powieści Dickensa, pani George-Sand i innych modnych angielskich i francuskich publicystów, i znajdowały powszechne uznanie i wzięcie. Redaktor *Telegrafu*, samouk Polewoj, obalał jednę po drugiej powagi naukowe, demokratyzował literaturę, czyniąc ją przystępną nawet mieszczańskim sferom. R. 1834 zamknięto jego *Telegraf;* przeniósł się do Petersburga i przeszedł na służbę rządu.

Obok drukowanej była jeszcze literatura „pisana“, a raczej przepisywana. Puszczano w niej folgę poglądom i uczuciom, nie

wchodzącym w ciasne ramy cenzury rządowej. A więc rozprawy i uwagi polityczne i społeczne, ulotne poezye, elegie i satyry, ale też i doktryny przewrotne, i skandaliczne powiastki, i tłuste bezwstydne wierszydła — wszystko to krążyło wśród czytającej a ciekawej zakazanego owocu publiki. Tajemniczość nadawała tej pisanej literaturze powabu; rządy tajnej policyi przyuczały społeczeństwo do chowania wszystkiego w tajemnicy; pierwszy to warunek spiskowania, a przeciw truciznie, przemycanej z zagranicy albo podawanej pisanem słowem, nie było antydotu, bo prasa skrępowana była cenzurą. Jad więc zatruwał głębiej i szerzej.

II.

Reformy Aleksandra II. — Zawiedzione nadzieje partyi liberalno-socyalnej. — Niezadowolenie partyi starorosyjskiej. — Wychowanie publiczne i wpływ literatury emigracyjnej. — Herzen, Bakunin, Ogarew. — Partya liberalno-socyalistyczna staje się coraz bardziej radykalną w pojęciach i zasadach. — Młoda Rosya. — Nazwa i pojęcie nihilisty. — Pierwsza faza nihilizmu podmiotowego 1860—64. — Nihilizm podmiotowy przestraja się nieznacznie w socyalizm 1864—70. — Karakozow i Neczajew.

Gwałtowna śmierć Mikołaja I. 1855 r. rozkuła okowy, krępujące wszelką swobodniejszą myśl i działanie. Rosya odetchnęła. Młody Aleksander zapowiadał się być cesarzem liberalnym. Po epoce żelaznej niewoli następowała epoka reform. Cesarz ustanowił cztery osobne komisye w tym celu. Równocześnie zwolnił surowość cenzury i straży granicznej, zniósł trudności paszportowe, a wychowaniu publicznemu i publicystyce krajowej pozwolił nadać kierunek liberalniejszy. Nie wszystko jednak udało się po myśli. Reformom, na model konstytucyjnych państw podjętym, sprzeciwiał się duch absolutyzmu carskiego i co chwila modyfikował je i wyłomy w nich czynił. Nie zadowolniły one nikogo. Tak np. najpierwej przeprowadzona reforma ekonomiczna i usamowolnienie włościan r. 1861 nie przypadła do gustu liberalno-socyalnej partyi, która w latach 1855—1861 wzmogła się znacznie, a dotąd wyczekiwała spokojnie rezultatu reform rzą-

dowych. Ona spodziewała się nietylko osobistej wolności ludu, ale i oddania mu całej użytkowanej dotąd ziemi na własność, bez żadnego wynagrodzenia dawnym właścicielom. Tymczasem rząd tylko część użytkowanej ziemi nadał włościanom na własność; uczynił to za pewną opłatą, indemnizacyę przyjął na siebie, ale podatek amortyzacyjny znaczny nałożył na chłopa, który tym sposobem na długi jeszcze czas przywiązany został do gleby i narzekał na swój los, jak dawniej, a miejscami nawet zrywał się do buntu. Szlachta, po zniesieniu pańszczyzny uszczuplona w dochodach, pragnęła za to więcej autonomii dla ziemstw, choćby „konstytucyjki“ jakiej. Nie dano jej, a natomiast co chwila absolutna władza rządu wkraczała w zakres ziemstw, wkońcu ograniczyła je do instytucyi podatkowej z ramienia rządu. Reforma sądownictwa, ogłoszona w r. 1864, gwarantowała wolność osobistą, prawny proceder i sądy przysięgłych we wszystkich wykroczeniach i zbrodniach, z wyjątkiem politycznych [1]. Aresztowania prewencyjne całemi masami odbywały się i nadal: przestępców politycznych oddawano pod sądy komisyj, składanych z członków z senatu, t. j. z najwyższego sądu, z trzeciego oddziału policyi i prokuratora, albo pod sądy wojenne, a wielu bez żadnego sądu

[1] Sądzić miał polityczne wykroczenia osobny sąd, każdą razą z senatu złożony; wszelkie zaś zamachy na życie cesarza lub istniejący porządek rzeczy sądzone być mają „najwyższym kryminalnym sądem“, którego członków mianuje sam cesarz; są zaś nimi: prezes senatu, pięciu corocznie wyznaczonych sędziów, marszałek szlachty, burmistrz i najstarszy członek gminy Petersburga. Śledztwo przedwstępne w tych sprawach prowadzi wyznaczona przez ministra komisya, złożona z nadprokuratora i sędziego. Może jednak nadprokurator odstąpić śledztwo żandarmeryi. Wtenczas oficer żandarmski bada politycznego przestępcę pod nadzorem szefa III. oddziału policyi; żandarmi są upoważnieni do wszelkich aresztowań i rewizyj domowych, które z toku śledztwa okażą się pożytecznemi. Skoro śledztwo ukończone, prezes komisyi śledczej albo żandarm, prowadzący śledztwo, donosi o rezultacie nadprokuratorowi, ten ministrowi sprawiedliwości, ten zaś w porozumieniu z szefem III. oddziału orzeka, ażali sprawa ma pójść pod sądy zwyczajne, albo jako polityczna pod sąd nadzwyczajny. Cóż to za sprawiedliwość, gdzie żandarm prowadzi śledztwo, a szef żandarmeryi decyduje o charakterze przestępstwa? Prowadzić to musiało do kolizyi sądownictwa z żandarmeryą i administracyą i do unicestwienia wszelkiej osobistej wolności i bezpieczeństwa.

lub nawet uwolnionych sądownie, karano drogą administracyjną więzieniem i deportacyą. Pomimo reform administracyjnych, samowola urzędników kwitnęła cudownie dalej.

Rzecz charakterystyczna, że nawet urzędowe dzienniki wkrótce po tragicznej śmierci Aleksandra II. uznały jego reformy rządowe za niedostateczne i błędne. Tak więc ożywiony dobremi chęciami Aleksander II., chcąc być równocześnie „samodzierżcą“ i liberalnym, nie zadowolnił nikogo, a nie mogąc pójść tak daleko, jak się tego domagała partya postępowa, liberalno-socyalna, stał się jej prześladowcą i jej ofiarą.

Jeszcze gorzej przysłużyły mu się jego reformy liberalne na polu umysłowego życia. Z ułatwień paszportowych korzystała przedewszystkiem młodzież i cała majętniejsza inteligentna klasa, dławiona przez lat trzydzieści duszną atmosferą mikołajewskich rządów. W pierwszych zwłaszcza latach panowania Aleksandra II. rzucono się tłumami do wyjazdu za granicę, na Zachód. A właśnie w tej dobie ten „zgniły Zachód“ brzmiał pochwałami dla kondotiera rewolucyi, Garibaldego, i dla „młodej Italii“. Rewolucyjne doktryny udzielały się nietylko umysłom, ale powoli i rządom, które się zabrały jeden po drugim do „zlaicyzowania“ państwa czyli obrania go do reszty z wszelkich cech chrześcijańskich. Dziennikarstwo i publicystyka biły w głośny bęben „postępu i oświaty“, a rozumiano przez to podeptanie religii i wygluzowanie jej z publicznego życia narodów, bezwyznaniowe wychowanie i rozwój nauki i sztuki w kierunku jedynie materyalistycznym. Francya, Szwajcarya, Młode Włochy, w lat kilka potem Austrya, dostarczały rosyjskim studentom i podróżnikom aż nadto tej „postępowej“ strawy; połykali oni ją łakomie. Równocześnie zaogniła się socyalna kwestya robotników we Francyi, w Anglii i Niemczech: z katedr uniwersyteckich głoszono socyalną doktrynę, omawiano ją w tysiącach dzieł, broszur i dzienników, które znów nasi rosyjscy podróżni i studenci kupowali i przywozili stosami do kraju, jako nowość ponętną.

Trucizna socyalistyczna przychodziła jeszcze inną drogą. Wokoło Herzena, który od r. 1851 zamieszkał w Londynie, zebrała się dobrowolna i przymusowa emigracya rosyjska, a z nią

Bakunin[1] i Ogarew. Herzen, który już w latach 1847—55 chłostał nielitościwie Mikołaja i jego rządy w rozprawach i artykułach ulotnych, otworzył 1851 r. własną drukarnię w Londynie i zaczął wraz z Bakuninem i Ogarewem wydawać czasopismo *Kołokoł*. W tym „dzwonie“ witał zrazu radośnie nowe rządy Aleksandra II. i zachęcał go do stąpania śmiało na drodze reform. Połowiczne — jego zdaniem — usamowolnienie włościan 1861 r. odwróciło go od cesarza. Począł on znowu cięto krytykować wszystko co się działo w Rosyi, wyszydzał prawosławie, wykazywał konieczność reform w duchu socyalizmu. Jego *Kołokoł* miał osobny dział skandaliczny: *Prawda li?* i dwa dodatki: literacki *Polarnaja zwiezda* i polemiczny *Pod sud*, a był tak dobrze informowany z kraju, że nieraz najtajniejsze rozporządzenia cesarskiego gabinetu pierwej w nim były ogłoszone, nim do rąk interesowanych osób się dostały; szpieg wysłany na śledzenie ruchów emigracyi jeszcze był w drodze do Londynu, a już z nazwiska wymieniony i najdokładniej w Herzenowym dzienniku był opisany. Łatwo pojąć, że w tych warunkach *Ko-*

[1] Bakunin Michał, syn dumnego bojara gub. twerskiej, ur. 1814 r. w Torszoku. Zrazu służył jako junker w artyleryi gwardyi ces. Wnet potem, 1840 r., wyjechał do Niemiec na studya filozoficzne w Berlinie i Dreznie; przesiadywał w Paryżu, Brukseli i Szwajcaryi i nawiązał stosunki z rewolucyonistami Zachodu. Roku 1847 wygłosił podczas uczty wspaniałą mowę w obronie Polaków, uciśnionych srodze przez Mikołaja: policya francuska kazała mu za to opuścić Francyę, rząd zaś rosyjski wezwał go z powrotem do kraju. Bakunin jednak nie wrócił, za co skonfiskowano mu majątek. Rzucił się zapamiętale do stworzenia ligi słowiańskiej, wciągnął do tej roboty Lelewela, przemawiał na kongresie słowiańskim w Pradze 1849 i brał czynny udział w rewolucyjnych ruchach w Berlinie, Lipsku, Desawie, Frankfurcie i Dreznie, gdzie go aresztowano, zamknięto w Koenigsteinie i skazano na śmierć 1850. Ułaskawiono go jednak i wydano Austryi, która osadziła go w Ołomuńcu, skazała na powieszenie, ułaskawiła i wydała okutego w kajdany Rosyi. Tu osadzono Bakunina w Schlüsselburgu: na prośby jednak wuja jego, Murawiewa, wysłano go 1856 r. do wschodniej Syberyi na posilenie. Bakunin jednak, za pozwoleniem rządu, przeniósł się nad rzekę Amur, zkąd r. 1860 na okręcie amerykańskim uciekł do Japonii, a ztamtąd przez Kalifornię dostał się do Londynu. Rząd rosyjski wytoczył mu proces 1861 r. i zaocznie skazał go na utratę wszelkich praw i wieczne wygnanie z Rosyi.

Kołokoł stawał się zajmującym i poczytnym; w 2500 egzemplarzy dostawał się do kraju i zyskiwał zwolenników dla rewolucyjnej idei i dla Herzena. W latach 1857—62 ten „genialny emigrant“ był bożyszczem rosyjskiej młodzieży, a jego pismo miało złotą swą epokę. Wnet jednak i redaktor i dziennik wydał się za bladym[1]; od r. 1863 Bakunin, anarchista praktyczny, stanął na czele propagandy emigracyjnej.

Zdaje się, że już dosyć fermentu rewolucyjnego dostało się do Rosyi z zagranicy, a pomnijmy, że ferment ten „rozkładał“ skutecznie a prędko, bo „szerokiej naturze“ rosyjskiego społeczeństwa brakło siły odpornej, jaką dają: przekonanie religijne, życie rodzinne i duch obywatelski. Wewnątrz kraju w większej jeszcze dozie dostarczała tego fermentu szkoła i prasa. Pomimo wyznaniowości publicznego wychowania w Rosyi, urzędowa Cerkiew nie wywierała nigdy religijnego wpływu na młodzież; pop i dawniej w szkole był istotą wzgardzoną; ale w epoce, o której piszemy, młodzież otwarcie poczęła szydzić z religii, napadać na nią jako na „przesąd“ starych bab i głupich mużyków, a brała w tem przykład nierzadko od swoich profesorów. Nawet nauki filozoficzne i historyczne poszły w lekceważenie, jedna matematyka miała jeszcze jakieś poszanowanie; za to rzucono się namiętnie do nauk przyrodniczych w kierunku Darwina. Gruby materyalizm zapanował w nauce, zapanować musiał i w życiu. Obaliwszy powagę religii, etyki i historyi, hołd składając jedynie siłom natury, młodzież przyśpieszonem tępem stawała się w usposobieniach i instynktach nihilistyczną, i nawzór „młodej Italii“ nazwała się pompatycznie „młodą Rosyą“. Za przykładem Zachodu wołano o „szerzenie oświaty“; formalny szał zakładania

[1] Od r. 1863 *Kołokoł* liczył już tylko 500 prenumeratorów. Herzen przeniósł 1865 r. redakcyę do Genewy, ale i to nie pomogło: wreszcie 1868 zwinął redakcyę *Kołokołu*, przeniósł się do Paryża i tam umarł 1870. Całe życie był doktrynerem i dlatego, dopokąd ruch rewolucyjny w Rosyi ograniczał się tylko na propagandzie literackiej, Herzen był w modzie; ale gdy ruch ten od r. 1862 przeszedł do propagandy czynnej, Herzen stracił wpływ wszelki, co go niemało trapiło. Miejsce jego zajął Bakunin. Współpracownik Herzena, mało utalentowany Ogarew, począł 1870 r. nanowo wydawać *Kołokoł*, ale ukazało się tylko sześć numerów tej edycyi.

szkółek wieczornych i niedzielnych dla rzemieślników ogarnął nietylko akademicką młodzież, ale i wyższych urzędników, gubernatorów samych. Trwała ta gorączka tylko lat trzy lub cztery, ale zawsze czasu dosyć do zaszczepienia rewolucyjnego fermentu wśród klas roboczych.

A dopieroż prasa, ta już otwarcie omawiała liberalne doktryny i instytucye Zachodu, podawała dzieje społecznych wywrotów i rewolucyi, i obrabiała rosyjskie społeczeństwo w duchu demokratyczno-socyalistycznym. Na czele publicystyki stał Czerniszewski, zwolennik szkoły St. Simona i Fourriera, i podobny mu Dobroljubow. Wydawali oni czasopismo *Współczesny*. Więcej niż tą redakcyą, stał się głośnym Czerniszewski powieścią, napisaną już w więzieniu 1863 r. p. t.: *Szto dielat?* którą przez pewien czas uważano za „kodeks nihilistów“ [1].

Przybywał jeszcze jeden rozkładowy czynnik: emancypacya kobiet. Na Zachodzie wchodziła i ona w program „postępu i cywilizacyi“, ale tam znalazła odpór w tej wysokiej czci, jaką świat katolicki otoczył kobietę, i w świętości rodzinnego życia. W Rosyi kobieta tego poszanowania nie miała nigdy, a życie rodzinne nie miało dla niej uroku. To też rosyjskiej kobiecie dziwnie przypadła do smaku doktryna o „wolnej miłości“, o równości praw z mężczyzną, a rząd otworzył dla niej przybytki wiedzy, uniwersytety i wyższe kursa w Petersburgu, Odessie, Moskwie i Kijowie; wiedzą tą była medycyna i nauki przyrodnicze, a „kursistki“ dostarczyły znacznego kontyngensu do szeregów nihilistycznych.

Takimi to kanałami płynęły do Rosyi idee rewolucyjno-socyalne, a „szeroka rosyjska natura“ przyswajała sobie z nich najchętniej te, które najskrajniejsze, najradykalniejsze.

---

[1] Bohaterką powieści: *Szto dielat?* jest Wiera, którą rodzice chcą wydać zamąż dla grosza za jakiegoś panicza. Wiera go nie kocha, chce się zabić. Ratuje ją medyk Łopuchow, wykrada i żeni się z nią; potem oddaje ją Kirsanowowi, albowiem dostrzegł, że Wiera tamtego pokochała; sam zaś udaje się do Ameryki; wraca z jakąś dziewczyną, niby swoją żoną, i razem z Kirsanowowami w jednym mieszka domu. Wiera zakłada szwalnię, uczy się medycyny i jest szczęśliwą.

Proces ten wyrabiania się nihilizmu w teoryi, w umysłach tylko, trwał do r. 1861. Dotąd wierzono jeszcze w szczerość intencyj i w liberalizm Aleksandra II. Rozporządzenie ministra oświaty, ogłoszone w lecie 1861 r., które odbiera uniwersytetom wolność stowarzyszeń, zakładania kas, bibliotek i czytelni, podnosi opłatę czesnego, a ogranicza liczbę studentów, — otwarło wszystkim oczy. Partya liberalno-socyalna postanowiła przejść „od rozpraw do czynu“, a prawie wszystka młodzież uniwersytecka stanęła po jej stronie, i z początkiem nowego szkolnego roku, we wrześniu 1861 r., urządziła demonstracye w Petersburgu i innych miastach, które przy brutalnem zachowaniu się władz szkolnych i policyi zamieniły się w krwawe bitki. Aresztowano wielu, między nimi profesora Michajłowa, radykalnego socyalistę, inicyatora rozruchów studenckich; skazano go dnia 17 października 1861 r. do katorgi na lat dwanaście, a innych na więzienie lub deportacyę. Był to najgorszy sposób zwalczania rewolucyjnej idei, bo jej przysparzał męczenników a jątrzył „młodą Rosyę“. Pokazało się to zaraz. W tym samym bowiem czasie zawiązało się w gmachu głównego sztabu w Petersburgu tajne towarzystwo oficerów, urządziło tamże tajną drukarnię i od sierpnia do listopada 1861 r. wydawało *Wielkorosyanina*. W adresie do cesarza, drukowanym w trzecim numerze tego czasopisma, domagano się nadania chłopom reszty ziemi, której przedtem użytkowali, bez żadnej indemnizacyi; usunięcia nadużyć w skarbowości, sądownictwie i policyi, zwołania konstytucyjnego sejmu i — wyswobodzenia Polski, w której także wrzało i kipiało od rewolucyjno-patryotycznego ruchu. W zimie 1861 r. szlachta na zjazdach w Moskwie, Smoleńsku i Twerze wystosowała petycyę do cesarza, domagając się konstytucyi takiej, jaką świeżo nadał Finlandyi. W maju 1862 r. olbrzymie pożary niszczyły Petersburg. Rząd upatrywał w tem rękę nihilistów — bo już ta nazwa wchodziła w modę — pozamykał kluby szachowe, czytelnie, szkoły niedzielne, zawiesił redakcyę *Współczesnego* i kilku opozycyjnych gazet, ograniczył wolność drukarni, uwięził wreszcie Czerniszewskiego i kilkunastu innych nihilistów. Represye rządowe spotęgowały tylko ruch rewolucyjny. Rozrzucone od 1857 r. liczne

tajne związki w Petersburgu, zorganizowały się na wiosnę 1863 r. w jeden nihilistyczny związek *Zemlja i wolja*, który wydawał dziennik *Swoboda* i zakładał lokalne związki na prowincyi. Jeden z tych związków studencko-oficerskich w Kazaniu wnet odkryto, i oddano pod sąd 28 członków; z tych skazano 5 na śmierć, 4 na 15 lat do katorgi, kilkunastu innych na wygnanie [1].

Podsycała tę gorączkę nihilistyczną prasa emigracyjna. Oprócz znanego nam już *Kołokoła* Herzena, wychodziły w Heidelbergu

---

[1] Według kalendarza „Narodnej woli" z r. 1883 odbyło się w latach 1862—65 aż 21 procesów politycznych, mianowicie:

1862. W czerwcu w Modlinie proces oficerów: Arngolda, Śliwickiego, Rostkowskiego i trzech żołnierzy; oficerów skazano na śmierć, żołnierzy na rózgi.

W lipcu w Petersburgu proces podpor. Jankowskiego; skazany do kartorgi.

Dnia 11 października w Petersburgu proces podpor. Grigerewa; zasłany do wschodniej Syberyi.

Dnia 6 października podpułkownika Krasowskiego w Kijowie; skazany do katorgi.

W listopadzie proces marynarza Diakonowa i 7 towarzyszy: skazano do katorgi 1, w Sybir 2, na więzienie 4.

Dnia 7 grudnia w Petersburgu proces Jakoblewa; skazany do katorgi.

Proces w Wilnie Tomaszewicza i Piotrowskiego za rozszerzanie broszury *Mużyckaja prawda*: skazani do katorgi.

Proces Obruszewa i 4 tow. za udział w redakcyi *Wielkorusa*.

1863. Proces Murawskiego; skazany na 5 lat katorgi.

Proces studenta Chorjakowa i 6 tow. w senacie.

Proces Stachewicza i Czwietkowa w Petersburgu; pierwszy skazany do katorgi, drugi na więzienie.

Proces Wasilewa i 3 tow.; skazano do katorgi 2, do kreposti 2.

Procesy dwa: lekarza Pawłowskiego i studenta Sungurowa.

1864. Proces Martynowa w Petersburgu; skazany do katorgi.

Proces Iwanickiego i 8 towarzyszy, czyli pierwszej grupy członków socyalistycznego kółka w Kazaniu; skazano na śmierć 4, do katorgi 5.

Proces kazański drugiej grupy 19 socyalistów; skazano 3 na posilenie w Sybir, innych ukarano administracyjnie.

Proces Czerniszewskiego w Petersburgu; skazany na 7 lat katorgi.

1865. Proces Sołowiewicza i 9 towarzyszy w Petersburgu; skazano w Sybir 3, do turmy 2, na areszt 5.

Proces Junisowycha, chłopa z Niżnego Nowogrodu, za odmówienie płacenia podatków; skazany na śmierć.

Proces oficera Czerniaka za sprawę socyalistyczną w Kazaniu; skazany na śmierć.

w r. 1862 *Letatszyje listki*, a w Berlinie *Swobodnoje słowo* Blumnera. Drukowano w nich oprócz rozpraw anarchicznej treści i polemiki z Herzenem i Ogarewem, których za wstecznikow okrzyknięto, rewolucyjną mowę do studentów Michajłowa, adresy do cesarza i krwawe odezwy „centralnego rewolucyjnego komitetu“ do „młodej Rosyi“, domagające się wyrznięcia do nogi Romanowów i carskiej partyi, „bo tylko ich krwią da się okupić nędza ludu“. Komitety rewolucyjno-centralny Bakunina i emigracyjny Herzena nawiązały stosunki z rządem narodowym „młodej Polski“ i wraz z całą „młodą Rosyą“ sprzyjały jej robotom wydobycia się na wolność.

Lecz właśnie polskie powstanie w r. 1863 wstrzymało pochód rewolucyjny w Rosyi, a stłumione krwawo i okrutnie stało się hasłem wzrastającej z każdym rokiem reakcyi rządowej. Duszą jej był Katkow, uczestnik niegdyś liberalnych zebrań w salonie Stankiewicza w Moskwie. Ten w r. 1862 uprosił sobie u cesarza pozwolenie wydawania *Moskiewskich Wiadomości;* zwalczał w nich najprzód socyalne utopje Herzena, a skoro polskie powstanie wybuchło, uderzył w strunę patryotyzmu rosyjskiego, dowodząc, że Polacy dążą do oderwania od „świętej Rosyi“ wielkich ziem kawałów i zgubę Rosyi gotują. „Młodą Rosyę“ przestrzegał, aby nie ufała powstańcom polskim; sojuszników z nich nie będzie mieć nigdy, wnet u nich górę weźmie partya konserwatywna i zarówno przeciw urzędowej Rosyi, jak przeciw Młodo-Rusom wystąpi. Nawoływania Katkowa ostudziły zapał, jaki zrazu w obozie rewolucyjno-rosyjskim dla sprawy polskiej się objawił, owszem, zwróciły cały ten obóz przeciw narodowości polskiej. Z obozu tego wyszli najzaciętsi ujarzmiciele Polski, jak kniaź Czerkawski, i cały szereg sędziów mirowych i czynowników, niemoralnych w zasadzie, liberalnych w słowie, a okrutnych w czynie.

Bądźcobądź powstanie polskie zwróciło główną uwagę rządu i kraju w inną stronę. Nie zapomniano o nihilistach, bo proces socyalistów kazańskich i Czerniszewskiego, skończył się dopiero w lecie 1864, ale nie ścigano ich tak zawzięcie jak dawniej. Nastąpiło kilka lat jakby zawieszenia broni, przerwanego zamachem Karakozowa na życie Aleksandra II. Rząd zaprowadzał dalsze

reformy w sądownictwie, administracyi i finansach, protegował prasę ateistyczno-materyalną, edukacyę w tymże kierunku, i emancypacyę kobiet. Nihilizm nie potrzebował już zasiłku z emigracyi — od 1865 r. umilkł *Kołokoł*, na jego miejsce nie powstało żadne czasopismo, aż do 1866 r. — nihilizm czerpał swe siły w samem społeczeństwie wewnątrz kraju, stoczył „nietrudną“ walkę z urzędową Cerkwią i z „przesądami“, zapalił fanatyzm antyreligijny i wywalczył „wyswobodzenie“ kobiet. Posłuchajmy, co o tem pisze nihilista Stepniak:

„Materyalistyczna propaganda odbywała się zapomocą prasy; tłumaczono i pisywano dzieła zawierające niezbite dowody przeciw wszelkiemu systemowi religijnemu, przeciw wolności woli i wogóle przeciw wszelkiemu nadnaturalizmowi. Aby ujść szponów cenzury, zbyt wyraźne ustępy osłaniano jakimś ciemnym wyrazem, który tem lepiej zrozumiał namiętny a uważny czytelnik. W ustnej propagandzie tłumacząc autora, wydobywano logiczne konsekwencye bez względu na to, co on przemilczeć musiał. Ateizm tak pobudził namiętności, jakby nowa jaka religia. Zwolennicy jego wyruszyli na wyszukanie żyjących dusz, aby je oczyścić z obrzydliwości chrześcijaństwa, z zapałem prawdziwych misyonarzy. Robiło się też coś i zapomocą tajnych drukarń: tak np. przetłumaczono i odlitografowano książkę Büchnera: *Kraft und Stoff*, uderzającą wprost na chrześcijańską teologię. Niektórzy posunęli swój zapał aż do propagandy między niedorostkami gimnazyalnymi... Rzetelne i prawdziwe są słowa otwartego listu Zaicowa, współpracownika *Ruskoje słowo:* „Klnę się na wszystko co mi jest świętem, my (nihiliści) nie by„liśmy egoistami, jak nas nazwano. Możeśmy błądzili, ale z głę„bokiego przekonania, i każdy z nas gotów był pójść na rusztо„wanie i głowę położyć (pod topór) za Moleschota albo Dar„wina“.

„... Kwestya emancypacyi kobiet nie ograniczała się u nas (nihilistów) na nędznem prawie wolnej miłości, które jest tylko prawem wybierania sobie patrona. Sprawę tę zostawiliśmy wolnej woli każdego, bo zrozumieliśmy, że właściwy punkt ciężkości tkwi w prostej wolności osobistej, która jest niemożliwą bez

ekonomicznej niezależności — i walka o emancypacyę kobiet zamieniła się w walkę o wolny przystęp do uniwersytetów i zajęć wykształconemu mężczyźnie właściwych. Walka ta była długą i trudną, bo przeciwna pojęciom naszej barbarzyńskiej średniowiecznej rodziny. Kobiety dzielnie nam w niej dopomogły... i zwyciężyły — sam rząd musiał to uznać. Nihilizm zwyciężył na całej linii" [1].

Tak więc z tajnych schadzek przeniosła się walka do ognisk domowych. Panienki inteligentnych rodziców, wychowane zazwyczaj mało lub bezreligijnie, już w piętnastym roku życia uciekały z domu, zapisywały się na „kursa", lub wziąwszy pozorny ślub z nihilistą, jako zamężne, a więc prawnie usamowolnione kobiety, wyjeżdżały za granicę po naukę, zapisywały się na kursa medyczne i na listę socyalistycznych spisków.

W tym tłumie nihilistycznym znaleść się musiały natury silniejsze, którym nihilizm teoretyczny nie wystarczał. Te zawiązały 1865 r. w Petersburgu „Piekło", towarzystwo mające na celu propagandę między ludem, zapomocą szkół, stowarzyszeń spożywczych, czytelni i t. p. Znamienitszymi członkami Piekła byli: Iszutin, Jurassow, Jermołow, Nikołajew, Stranden i socyalistyczny publicysta, fanatyczny Chudjakow. Rada wyższa Piekła postanowiła wykonać zamach na cesarza, ale w taki sposób, jakoby był wynikiem ludowych rozruchów. Na wykonawcę zamachu ofiarował się Karakozow, człowiek chory, który wśród ludu nigdy nie był, ani go nie znał. Napróżno odwodzili go od zamiaru koledzy, widząc jego nieudolność. On uparł się i wbrew woli Piekła, na własną rękę postanowił 4 kwietnia 1866 r. wykonać zamach na cesarza, gdy ten po spacerze w letnim ogrodzie wsiadać miał do powozu. Zamach nie udał się; czeladnik Komisarow przypadkiem czy umyślnie, wytrącił Karakozowi rewolwer z ręki. Karakozowa ujęto, wytoczono proces; na czele komisyi śledczej stał Murawiew, wiszatiel. Rozpoczęły się aresztowania masami, blisko 800 osób dostało się do więzienia, pomimo, że Karakozow, wzięty na tortury, nic nie wyznał. Wkońcu

[1] *Das unterirdische Russland*, str. 2, 5.

powieszono go. Ostatnia rozprawa 36 „Karakozowców“ trwała od 14 sierpnia do 24 września; skazano do katorgi 3, w Sybir 9, innych na więzienie. W związku z tą sprawą stał proces Andruszenki i 37 towarzyszy w Petersburgu; wysłano w Sybir 3, innych skazano na karę więzienia.

Zamach Karakozowa spowodował zmianę systemu w wewnętrznej polityce. Powoli partya liberalna wyrugowaną została z ministerstw i naczelnych urzędów, które objęli teraz twardzi, ciemni Rosyanie. Katkow w swych *Wiadomościach moskiewskich* nawoływał rządową Rosyę do powrotu do tradycyj Iwana Groźnego, doradzał tępienie siłą i mocą rewolucyi i sojusznicy jej, narodowości polskiej. Liberalnego ministra oświaty Gołowina, zastąpił zwolennik teoryi Katkowa, hr. Tołstoj, który wnet wydał cały szereg przepisów, znoszących lub ograniczających wolności i przywileje uniwersytetów. Oburzona tem młodzież, wszczęła rozruchy kolejno we wszystkich niemal miastach, gdzie istnieją uniwersytety. Policya użyła siły zbrojnej do stłumienia rozruchów — wślad za niemi szły relegacye, aresztowania, śledztwa i t. d. Nie można było wymyśleć skuteczniejszej propagandy nihilizmu wśród uczącej się młodzieży; odtrącona od poważnej naukowej pracy i wykolejona z karyer publicznych, chcąc niechcąc zwracała się do nihilizmu i dostarczała mu mnogo adeptów. Cesarz z swej strony wystosował odezwę p. d. 24 maja 1866 r. do swego ludu. Stwierdziwszy w niej fakt, że rozruchy rewolucyjne zagrażają prawu, własności i religii i na złe tłumaczą liberalne usposobienie rządu, oświadcza cesarz, że rząd broni własności, a opiera się na szlachcie i konserwatywnych żywiołach społeczeństwa, i wzywa je do wspólnej akcyi tępienia nihilizmu. Niewiele to oczywiście pomogło. Nihiliści, przyduszeni chwilowo w Rosyi, czerpali siły z zagranicy, z Genewy zwłaszcza, gdzie wydawano *Podpolnoje słowo* Elpidyna, *Sowremennosti* i *Narodnoje djeło* Bakunina, który wprost do czerwonej, radykalnej anarchii nawoływał.

Więcej, jak te rewolucyjne pisma, wspierał wzrost nihilizmu sam rząd rozporządzeniami, podającemi go w śmieszność. Tak np. rozkazano gubernatorom śledzić nihilistów i tępić wszelkiemi

siłami. Ci w swej gorliwości zabronili damom w lecie 1866, pod grozą wydalenia z gubernii, ubierać się podług mody nihilistek. Policya prześladowała panienki, przybrane w mały, krągły kapelusz, przykrywający krótko strzyżone włosy, w suknię bez krynoliny, a z kapturem i z rzemienną przepaską. Nie można było wymyśleć skuteczniejszej propagandy dla nihilizmu. Ta wojna potężnego rządu ze spodnicą podawała go w śmieszność, a jednała sympatyę dla prześladowanych nihilistek i przyjaciół ich rewolucyjnych. Niezadługo nihilizm podniósł hardo głowę, podminował Petersburg i Moskwę, zarzucił siecią mniejszych związków prowincye, w tysiącach egzemplarzy rozrzucał rewolucyjne czasopisma, tłoczone za granicą lub w własnej tajnej drukarni, jak: *Wperod*, *Nabat*, *Hromada*, *Zemlja i wolja*, a doktrynę swoją streścił w katechizmie rewolucyjnym Neczajewa.

Straszny to człowiek, ten Neczajew. Syn kamerdynera, pałał szaloną nienawiścią do szlachty i do klas uprzywilejowanych: nauczyciel cerkiewny odznaczał się sprytem i obłudą, a nie wzdrygał się przed żadnym podstępem i zbrodnią. W marcu 1869 r. występuje on jako ajent między młodzieżą petersburską, rozrzuca proklamacyę Bakunina i drugą własnego pomysłu, zachęcając młodzież do rozruchów. Wnet potem rozpuszcza wieść o sobie, że został aresztowany i osadzony w Petropawłowskiej kreposti, w rzeczy samej zaś wyjeżdża do Genewy, i wraz z Bakuninem i Ogarewem wymusza na schorzałym już Herzenie wydania 1000 funtów szterlingów, legowanych na fundusz zakładowy rewolucyjnych robót: wreszcie od Bakunina, jednego z głównych menerów internacyonału zachodniego, mianowany jest organizatorem rosyjskiego internacyonału, pod l. 2771, która ma zastąpić jego nazwisko. We wrześniu 1869 widzimy go w Petersburgu i Moskwie, zakładającego między młodzieżą uniwersytecką związek p. n. Pod sąd albo pod topór, a krócej Zemsta ludu, podzielony na „piątki“ t. j. kółka z pięciu członków, i na trzy stopnie. Bezwzględne posłuszeństwo komitetowi a raczej Neczajewowi i największa tajemnica, obowiązkiem wszystkich „mścicieli ludu“. Celem związku nie jest zamordowanie cesarza, ale wywołanie ogólnej międzynarodowej rewolucyi, która 19 lu-

tego 1870 r. na wszystkich punktach odrazu wybuchnąć miała. Księgarz Uspeński, Pryszow, Kuznecow i Mikołajew, byli duszą związku; Neczajew ułożył dlań katechizm rewolucyjny, złożony z 26 paragrafów. Dowiadujemy się z niego, że: rewolucyonista to ofiara; nie zna on rodziny, ojczyzny, własności, imienia swego (imię zastępuje mu numer); treścią jego istoty, myśli i czynu — rewolucya. Zrywa on ze społeczeństwem obecnem, z jego prawami, zwyczajami, moralnością; jeżeli żyje wśród niego, to na to, aby je zburzyć. Gardzi on wszelką nauką, zna jednę tylko — naukę burzenia, i dlatego musi się uczyć matematyki, fizyki, zwłaszcza mechaniki i medycyny. Celem jego jak najprędsze zburzenie tej podłej budowy świata. Surowy dla siebie, srogim powinien być dla drugich, nie znać litości, miłości, przyjaźni, honoru nawet. Jedynem jego uczuciem, rozkosz z postępu rewolucyi; jedyną namiętnością: nielitościwe burzenie wszystkiego. Burzyć i jeszcze burzyć, choćby przyszło własne życie narazić i utracić, choćby własnemi rękami zdusić życie tych, którzy przeszkadzają dziełu burzenia.

Takim ma być rewolucyonista, ale przed ludźmi maskować się powinien; stać się wszystkiem dla wszystkich, wejść do chaty i do pałacu, wcisnąć się do gabinetu III. oddziału tajnej policyi i do zimowego pałacu. Dla ułatwienia pracy niszczenia, niech sobie podzieli społeczeństwo na kategorye. Pierwszą stanowią szkodliwi przeciwnicy rewolucyi, tem samem skazani przez nią na śmierć. Drugą, zostawieni do czasu przy życiu, aby swą zwierzęcością przyśpieszyli wybuch rewolucyi, która ich sprzątnie ze świata. Trzecią, bydlęta, ludzie bogaci i wpływowi, ale bez talentu i energii; tych, równie jak głupie i lekkie kobiety, zostawić przy życiu, ale wpływy ich i majątek wyzyskać należy bez litości. Jedynie kobiety mądre a energiczne, które przyjęły program rewolucyi, te są najcenniejszą perłą w rewolucyjnym skarbcu. Przez rewolucyę zaś rozumieć należy ruch niszczący w zasadzie wszystko, co państwowe, obalający wszystkie stany i instytucye w Rosyi; dlatego najlepszymi sojusznikami rewolucyi są opryszki i rozbójnicy. Przyszły społeczny organizm wyrobi się sam przez się z życia i ruchu narodowego. Zostawić ten proces należy czasowi, a teraz burzyć i jeszcze burzyć.

Oto kodeks nihilistyczny 1869 r.; różni on się od kodeksu nihilisty z 1861 r. tem, że tamten stawiał tylko doktrynę oderwaną, ten zaś w czyn ją wprowadza. Kilkudziesięciu studentów i kilka kobiet, między nimi Dementiewa, właścicielka tajnej drukarni w Petersburgu — wyznawało katechizm Neczajewa. On sam czuł się wielkim i potężnym; kłamiąc spiskowym o istnieniu centralnego komitetu, o rozgałęzieniu „zemsty ludu“ szeroko i daleko, sam jeden był komitetem i chciał czynem nadać mu sankcyę. Nadarzyła się wnet sposobność. Oto student Iwanow, należący do związku, okazywał się samowolnym, krnąbrnym, i zanadto wielomownym; zachodziła obawa, że wystąpi ze związku i zdradzi sprawę. Neczajew ze swoją „piątką“ skazuje go na śmierć: zaprasza podstępnie do groty w ogrodzie szkoły rolniczej w Moskwie, niby na rozmowę poufną, i tam go wystrzałem z rewolweru ciężko rani i własnemi rękami udusza dnia 21 listopada 1869 r. Ohydne to morderstwo, potępione przez przeważną część związkowych, wywołało oburzenie powszechne, a śledztwo sądowe wykryło przytem związek cały. Przeszło 200 młodych ludzi aresztowano i badano, 87 oskarżono i sądzono. Neczajew schronił się dosyć wcześnie do Szwajcaryi; ścigała go i tam pogarda kolegów, a Rosya żądała jego wydania. Jakoż wydano go, i Neczajew osadzony w Petersburgu 1872 r., skazany został na 20 lat katorgi. Proces 87 jego towarzyszy, odbywał się w lecie od 1 lipca do 24 września 1871 r. publicznie przed sądem przysięgłych. W sali sądowej jak z katedry rozwijali obżałowani i ich obrońcy rozmaite systemy rewolucyjne; słuchała ich ciekawie liczna publiczność, przeważnie ze studentów złożona. Bronili ich dzielnie adwokaci: książę Urussow i Spasowicz; lubo wyrok sędziów potępił obżałowanych, to opinja publiczna rozgrzeszyła ich, i stanęła po ich stronie [1].

[1] Skazani zostali do ciężkich robót: Uspeński na lat 15, Kuznecow na lat 12, Mikołajew na 4 lata, Tkaczew na rok twierdzy, Floryński na 6 miesięcy, Dementiewa na 4 miesiące twierdzy. Inni pomimo uwolnienia przez sąd, ukarani drogą administracyjną. Oprócz tego były jeszcze 1867—71 r. cztery polityczne procesa: Niewiadomskiego, podpor. Kubiazewa, Sokołowa i Ganczarewa: trzej pierwsi skazani do katorgi, ostatni zasłany w Sybir.

Tak więc do 1870 r. nihilizm teoretyczny, nihilizm Buzarowa, przestrajał się powoli w teoretyczny socyalizm. Próba Karakozowa i Neczajewa zamienienia go w czynną rewolucyę anarchiczną, okazuje się przedwczesną i dlatego nie udaje się. Całe też inteligentne społeczeństwo rosyjskie przebywa proces wewnętrznego przeobrażenia w liberalno-socyalnym raczej, jak rewolucyjnym kierunku, i sympatyzuje z nihilistami. Nawet studenci wiążą się w stowarzyszenia, upozorowane innymi celami; ale to wszystko dzieje się, napozór przynajmniej, w ramach legalności. Pomimo czujności policyi, w ciągu dwunastolecia 1860—72, mieliśmy zaledwo kilka większych procesów nihilistycznych do zaznaczenia, chociaż wszystkich razem było w tem dwunastoleciu 29.

Nastaje teraz epoka spokojnej propagandy socyalnej wśród ludzi i klas roboczych.

(C. d. n.).

Ks. Stanisław Załęski.

ROZWÓJ TEORYJ FIZYCZNYCH.

Postęp fizyki w bieżącem stuleciu, a szczególniej w ostatnich jego dziesiątkach lat, szerzył się równocześnie w kilku kierunkach. Praca licznego szeregu badaczy pomnaża nieustannie materyał doświadczalny: technika w budowaniu przyrządów do subtelnych badań dochodzi do wysokiego stopnia doskonałości, a skutkiem tego poznajemy coraz to nowe zjawiska i prawa przyrody, tak że ilość szczegółów wzrasta do ogromu, nie dającego się prawie objąć umysłem. Lecz równocześnie ze wzrostem gmachu pogłębiają się fundamenta. Nauka zwraca się nieustannie ku swym podstawom, a badając krytycznie ich gruntowność i bezpieczeństwo, przechodzi ciągle od rzeczy złożonych do coraz prostszych, dąży do poznania ostatnich przyczyn wszystkich zjawisk i zbliża się coraz więcej do najwyższego swego celu — do wyśledzenia jednego ogólnego prawa, obejmującego cały wszechświat. A tak, nie zatracając charakteru nauki ścisłej, nie przestaje fizyka być równocześnie filozofią przyrody.

Drugim znamiennym rysem nowoczesnej fizyki, jest rozległe jej zastosowanie do potrzeb codziennego życia.

Z zamknięcia w ciasnym obrębie rzeczypospolitej uczonych występuje ona na szeroką arenę życia, zaprzęgając do pracy siły przyrody. Wykryte przez fizyków prawa chwyta wlot geniusz wynalazców; pomysły, jeszcze niedawno poczytywane za fantastyczne mrzonki, stają się rzeczywistością; z nic nie znaczących

napozór odkryć rozwija się wielki przemysł fizyczny. Fizyka stosowana, której coraz nowe odsłaniają się widnokręgi, wycisnęła piętno na całej nowoczesnej kulturze, sprowadziła ją na całkiem nowe tory i nadała naszemu życiu tak odmienny charakter, że teraźniejszość różni się od swej nie dalszej jak 50-letniej przeszłości więcej, niż np. wiek XVIII. od XV., lub nawet jeszcze wcześniejszych stuleci. Obrazem rozwoju i postępu fizyki, rzuconym choćby tylko w ogólnym zarysie, obszerne możnaby wypełnić dzieło. W tym pobieżnym szkicu przebiegniemy tylko drogę, po której kroczyła nauka ku poznaniu istoty zjawisk — skreślimy obraz rozwoju niektórych teoryj fizycznych.

* * *

Już oddawna rozdzielano zjawiska na pojedyńcze grupy. Światło, ciepło, magnetyzm i elektryczność uważano za skutki odrębnych sił przyrody, między któremi żadnego nie upatrywano związku i oddzielnie je badano. Z postępem nauki pokazało się jednakże, że zachowanie się tych rozmaitych sił jest w wielu razach zgodne, że siły te na siebie wpływają i jedna z drugiej powstać może. Zaczęto więc szukać związku między temi siłami, starano się w różnorodności zjawisk odnaleść jedność. Rozwiązanie tego zadania odbywało się stopniowo z powodzeniem tak szczęśliwem, że niezbyt daleko już jesteśmy od upragnionego celu, do którego zbliżyła nas znacznie, w ostatnich dopiero czasach rozwinięta, nowa teorya światła.

Historya rozwoju teoryi światła jest z wielu względów bardzo pouczającą, a zarazem jest najlepszym przykładem, jak hipotezy naukowe, stosownie do chwilowego stanu wiedzy, różnym ulegają przeobrażeniom.

Ażeby rozmaite siły przyrody objaśnić, przedstawiano je sobie jeszcze na początku bieżącego stulecia jako szczególnego rodzaju nieważkie materye. Był więc płyn cieplikowy, płyn świetlny, dwa płyny magnetyczne i dwa elektryczne. Podług zapatrywania Newtona, światło było pewnym rodzajem nieważkiego płynu, który ciała świecące wydawały z siebie i wysyłały po liniach prostych na wszystkie strony. Działając na nerw wzroku, wzbudzał ten

płyn w mózgu uczucie, zwane widzeniem, jasnością. A chociaż Huyghens przeciwstawił poglądom Newtona nową teoryę, której wyższość była widoczną, bo tłumaczyła z przekonywującą prostotą zjawiska, trudne do zrozumienia na podstawie teoryi emanacyjnej, — powaga Newtona była tak wielką, a Newton trwał z prawdziwie angielskim uporem przy raz powziętem zapatrywaniu, że nowa teorya nie znalazła u współczesnych uznania. Nie znalazła go i później przez sto przeszło lat, bo jeszcze na początku bieżącego stulecia pierwszorzędni uczeni, jak Biot, Herschel, Laplace, teoryi emanacyjnej się trzymali.

Drugi właśnie minął wiek od chwili, gdy Huyghens powziął myśl wytłumaczenia światła na podstawie dynamicznej, zapomocą fal, przewodzonych przez materyę sprężystą, a wzbudzanych ruchem drgającym cząstek ciał świecących. Jestto więc ta sama zasada, na mocy której tłumaczymy zjawisko głosu. Cząstki drgające ciała, wydającego dźwięk, wywołują fale w powietrzu. Ponieważ jednakże światło przenika przestrzenie, zwane pospolicie próżnemi, t. j. niewypełnione żadną ze znanych nam materyj, a to z prędkością 300.000 kilometrów na sekundę, a w znanych nam ciałach sprężystych fale przenosić się mogą najwyżej z prędkością kilku kilometrów, więc fale światła powstają w jakimś szczególnym, nieznanym nam przewodniku. Potrzeba tedy przypuścić, że cała przestrzeń napełnioną jest ciałem, niedostępnem dla naszych zmysłów, nadzwyczajnie sprężystem, które wypełnia także wolne przestrzenie pomiędzy drobinami ciał. Istnienie tego ciała, t. zw. eteru powszechnego, jest zasadniczem przypuszczeniem w falowej teoryi Huyghensa. Czem jest ten eter, tego oczywiście nie wiemy. Mogłaby nim być zwykła materya w nadzwyczajnem rozrzedzeniu. Na zasadzie pewnych danych starano się oznaczyć gęstość eteru. Według obliczeń Thomsona masa eteru, zapełniającego kilometr sześcienny, wynosi około dziesięciomilionową część grama. Taka sama objętość powietrza o zwykłej gęstości ważyłaby przeszło bilion kilogramów, a powietrze, rozrzedzone do ostatecznej granicy, do której dochodzimy zapomocą najlepszych pomp powietrznych, byłoby od eteru dziesięć tysięcy milionów razy gęstsze.

Zapomnianą prawie teoryę Huyghensa wskrzesiły dopiero badania lekarza angielskiego, Tomasza Younga, a w kilkanaście lat później prace doświadczalne i matematyczne inżyniera francuskiego, Fresnela, wywalczyły dla teoryi falowej uznanie. W r. 1800 odkrył Young interferencyę światła, zjawisko, polegające na tem, że dwa promienie świetlne w pewnych warunkach wzmacniają się, a w innych osłabiają lub nawet zupełnie gaszą. Zjawiska tego z teoryą emanacyjną pogodzić nie można, bo w dwóch promieniach znajduje się większa ilość płynu świetlnego, niż w jednym, a więc promienie w żadnym razie gasić się nie mogą.

Natomiast teorya falowa tłumaczy zjawisko interferencyi prosto i bez naciągania. Przedstawmy bowiem sobie dwie fale głosowe, przesunięte względem siebie o połowę długości fali, natenczas muszą się one osłabiać lub niweczyć, ponieważ w obu połowach jednej fali cząstki powietrza przeciwne odbywają ruchy. Podobnie, jeżeli pomyślimy sobie promień świetlny, podzielony na podłużne, równe odcinki, z których co dwa sąsiednie są do siebie w pewnem przeciwieństwie, natenczas łatwo pojmiemy, że dwa przeciwieństwa tego rodzaju, spotykając się w tem samem miejscu, muszą wywołać osłabienie światła, lub nawet zupełne wygaszenie. Jeżeli umieścimy dwa punkty świecące w równej od płaszczyzny odległości, tak ażeby promienie, z nich wychodzące, na płaszczyźnie się przecinały, a następnie jeden z nich tak długo oddalać będziemy, aż nastąpi zgaszenie światła w punkcie przecięcia, różnica dróg, przebytych przez promienie, da nam długość połówki fali. Najdłuższe fale świetlne światła czerwonego wynoszą 760, a najkrótsze 390 milionowych części milimetra. Fala jestto droga, którą ruch falowy postępuje naprzód w czasie, w którym dokonywa się jedno wahnienie drgających cząstek. Dzieląc tedy długość fali przez chyżość ruchu falowego, t. j. przez 300.000 kilometrów, otrzymamy czas jednego drgnienia. Ilość drgnień w jednej sekundzie wynosi, stosownie do barwy światła, 400—800 bilionów.

Co do jakości drgań, możliwe są dwa przypuszczenia. Drgania mogą być albo podłużne, jak w falach głosowych, t. j. odbywać się wzdłuż promienia, lub też drgania cząstek eteru, roz-

jożonych na drodze, którą przebiega promień, — mogą być do kierunku promienia prostopadłe, podobnie jak cząstek sznurka, na jednym końcu przymocowanego a na drugim w górę i w dół poruszanego.

Young przyjmował drgania podłużne. Lecz z tem zapatrywaniem nie da się pogodzić zjawisko polaryzacyi, t. j. zjawisko, że promień światła, skierowany ku oku, ma w pewnych warunkach w górze i w dole inne własności, niż z prawej i lewej strony. Najprostszym przyrządem do spolaryzowania światła są dwie płytki, wycięte równolegle do osi krystalicznej, z minerału, turmalinem zwanego. Pomyślmy sobie taką płytkę w położeniu pionowem, a zarazem tak, ażeby oś krystaliczna skierowaną była z góry na dół. Światło, które przeszło przez płytkę, nie przedstawia dla oka żadnej zmiany, prócz tej, że przybiera oliwkowo zieloną barwę kryształu. Gdy do tej płytki przystawimy w pewnej odległości drugą takąż samą i z osią w tym samym, t. j. równoległym do pierwszej kierunku — światło przechodzi przez obie płytki i przybiera tylko ciemniejszą barwę. Gdy jednakże drugą płytkę zaczynamy obracać w jej pionowem położeniu, światło staje się coraz słabsze, a w chwili, kiedy osie krystaliczne obu płytek krzyżują się pod kątem prostym, gaśnie zupełnie. Gdyby drgania eteru były podłużne, położenie płytek względem siebie nie mogłoby stanowić dla przejścia promienia żadnej przeszkody. Jeżeli natomiast przypuścimy w promieniu spolaryzowanym, t. j. przepuszczonym przez pierwszą płytkę, drgania prostopadłe do promienia w jednym tylko kierunku, np. do góry i na dół — to łatwo pojąć, że budowa turmalinu może być tego rodzaju, iż promień przez płytkę drugą przejść nie może, gdy osie ich się krzyżują; można sobie np. przedstawić, że w płytce są równolegle do osi szczeliny i że tylko w tych szczelinach drgania odbywać się mogą. Drgania więc promienia spolaryzowanego są poprzeczne, lecz polaryzacya nie mogłaby ich takiemi uczynić, jeżliby przed nią były podłużnemi, a zatem takie same drgania są także w świetle naturalnem. Polaryzacya polega tylko na tem, że podczas gdy w naturalnem świetle odbywają się drgania poprzeczne we wszystkich możliwych płaszczy-

znach, przesuniętych wzdłuż promienia, to w spolaryzowanem odbywają się one w jednej tylko płaszczyźnie. Promień światła spolaryzowanego ma wobec pewnej płaszczyzny symetryę. Płaszczyznę tę nazywamy płaszczyzną polaryzacyi.

Drgania poprzeczne mogą mieć tylko ciała sztywne. Że ciało tak subtelne jak eter, może zachowywać się jak ciało sztywne, objaśnia się tem, iż ciało zachowujące się pod wpływem długo i trwale działających sił, jak płyn, pod wpływem impulsów krótkich i zmiennych, może mieć własności ciała stałego. I tak np. pewien rodzaj smoły szewskiej, chociaż pozornie jest ciałem stałem, rozpływa się po upływie dostatecznie długiego czasu pod własnym ciężarem. A mimo to możnaby zrobić z tej smoły widełki strojowe, które wprawione w szybkie drgania, byłyby dostatecznie sprężyste, ażeby wydać ton.

Uważając eter za materyę obdarzoną własnościami sztywnego, sprężystego ciała, usiłowali najznakomitsi matematycy, jak Cauchy, Green, Neumann, rozwinąć teoryę światła wszechstronnie, aby tłumaczyła wszystkie dawniej znane i liczne nowo odkryte zjawiska, aby wyjaśniała rozchodzenie się światła w jednolitych przewodnikach i zjawiska pojawiające się przy przejściu promienia do nowego przewodnika, a więc zjawiska odbicia, załamania, polaryzacyi i rozszczepiania.

Gdy promień światła padnie ukośnie na granicę dwu przewodników, np. przechodząc z powietrza w wodę, jedna część promienia odbija się, a druga część przenosi się w nowym przewodniku, lecz w zmienionym kierunku. To ostatnie zjawisko, zwane załamaniem światła, tłumaczy się tem, że prędkość światła w różnych ciałach jest rozmaitą. Pomyślmy sobie bowiem szereg wojska, maszerujący po twardym terenie w ukośnym kierunku ku granicy, za którą rozpoczyna się teren piaszczysty. W chwili, w której żołnierz, maszerujący na prawem skrzydle, stanie na piasku, inni żołnierze będą jeszcze na twardym gruncie, a żołnierz na lewem skrzydle będzie od granicy najdalej, np. o metrów 30, licząc w kierunku marszu. W chwili, gdy koniec lewego skrzydła dotknie granicy, cały szereg znajdzie się na piasku, a koniec prawego skrzydła będzie najdalej od granicy.

Ponieważ jednak w tym czasie, w którym koniec lewego skrzydła po twardym gruncie przebędzie 30 metrów, żołnierz na prawem skrzydle krocząc po piasku, drogę mniejszą zrobi, np. 15 metrów, więc kierunek frontu zmieni się. A więc zmieni się i kierunek marszu. Zmiana kierunku będzie tem znaczniejsza, im większa jest różnica prędkości marszu na obu terenach.

Prócz załamania, doznaje biały promień światła jeszcze innej zmiany, mianowicie: rozdziela się po przejściu przez nowy przewodnik na niezliczoną ilość barw, w których 7 głównych rozróżniamy działów, powszechnie znanych z tęczy. Zjawisko to, w r. 1666 przez Newtona odkryte, nazywamy rozszczepieniem światła, a barwną wstęgę, którą promienie białego światła tworzą na białej ścianie po przejściu przez szklany pryzmat, widmem optycznem. Barwy światła odpowiadają tonom w muzyce i różnią się tak jak wyższe i niższe tony prędkością drgań, czyli długością fal. Gdy wszystkie barwy wpadają razem do oka, mamy wrażenie światła białego.

Prędkość rozchodzenia się fal w jednolitym przewodniku nie zależy od długości fal. Wysokie i niskie tony orkiestry dochodzą do ucha równocześnie. Tymczasem rozmaite barwy przebiegają przez ciało przeźroczyste z rozmaitą prędkością, bo każda inaczej się załamuje, w innym kierunku ciało przeźroczyste opuszcza, co właśnie rozszczepienie wywołuje.

Uważając eter znajdujący się wewnątrz przeźroczystych ciał, za jednolite, sprężyste ciało, nie zdołamy wytłumaczyć różnic prędkości dla poszczególnych barw. Teorya światła wymaga więc uzupełnienia. Musimy mianowicie przypuścić, że cząstki ciał przeźroczystych na fale eteru pewien wpływ wywierają, i że wpływ ten na fale różnej długości nie jest jednakowy. Teorya rozszczepienia, którą podał Cauchy, mogła tylko chwilowo zadowolnić. W miarę wzrastania materyału doświadczalnego, traciła coraz więcej na prawdopodobieństwie, i ustąpiła teoryi rozwiniętej w r. 1872 przez Sellmajera, opartej na analogii z resonancyą akustyczną.

Jeżeli wpobliżu otwartego fortepianu zaśpiewamy silnie na pewien ton, odezwie się tylko ta struna, która wydaje ton

tej samej wysokości. Na resonancyi oparł Stokes w r. 1850 teoryę pochłaniania. Dlaczego zielony płyn pochłania tylko zielone światło, tak że w widmie światła, które przeszło przez płyn, niema promieni zielonych? Dlaczego płomień zabarwiony żółtą parą sodu, z niezliczonej ilości promieni, tylko pewne żółte promienie pochłania? Oto dlatego, że para sodu składa się z cząstek, które wskutek swej budowy są dostrojone do drgań tego samego okresu, jaki cechuje pochłonięte promienie. Na tej właśnie myśli oparł Sellmajer swoją teoryę. Eter, zapełniający przestwory między drobinami, nie jest ani gęstszym, ani rzadszym od eteru swobodnego; lecz ponieważ w ruchu falowym biorą także udział drobiny ciał, więc masa, której ma być ruch udzielony, jest większą, a więc prędkość ruchu musi być mniejszą, aniżeli w eterze swobodnym. Skutek jest więc taki sam, jak gdyby gęstość eteru była większą, a zatem nastąpi załamanie. Wielkość załamania zależy jednakże od stosunku okresu drgań światła do okresów drgań właściwych drobinom, i będzie tem większą, im bardziej te okresy będą do siebie zbliżone.

Zdawałoby się, że tak uzupełniona teorya światła już nic nie pozostawia do życzenia. Tymczasem jest pewna grupa zjawisk, w których przejawia się pewien związek między światłem a elektrycznością. Zjawiska te, których teorya falowa w tej postaci nie tłumaczy, dały powód do postawienia najnowszej, niewykończonej jeszcze zupełnie teoryi światła, t. zw. teoryi elektromagnetycznej, którą omówimy przy teoryach elektryczności.

W pojmowaniu ciepła, podobnie jak w poglądach na światło, stały naprzeciw siebie dwa zapatrywania. Według jednego ciepło jest subtelnym, ciała przenikającym płynem; według drugiego, polega ciepło na ruchu cząstek. Teorya ruchu jest może równie dawną jak pierwsza, bo już Bakon Werulamski miał myśl podobną, a nawet Newton, chociaż światła za ruch uznać nie chciał, do niej się skłaniał. Pierwsze zapatrywanie przeważało jednakże, i utrzymywało się aż do połowy bieżącego stulecia.

Ciepło znamy w dwu objawach, między którymi ścisły jest związek: jako ciepło promieniste i jako ciepło własne ciał. Jeżeli promienie ciepła padają na ciało, natenczas zostają pochło-

nięte, ciepło promieniste znika, a natomiast zwiększa się ciepłota ciała. Odwrotnie: jeżeli ogrzane ciało wysyła promienie ciepła, powstaje ciepło promieniste, a natomiast zmniejsza się ciepłota własna ciała. Wygląda to tak, jak gdyby ciepło było materyą, która nie zmieniając się co do swej ilości, zmieniać może formę. Wypadki, w których ciepło pozornie znika (np. gdy lód się topi, woda paruje), albo gdy ciepło się wywiązuje (np. gdy woda marznie, para się skrapla), objaśniano przypuszczeniem, że ciepło z ciałami chemicznie się łączy, lub też ze związku z ciałem się uwalnia. A chociaż niektórych innych zjawisk, szczególniej powstawania ciepła przez tarcie, nie umiano sobie objaśnić, teorya mimo tego utrzymywała się. Zachwiały nią dopiero niektóre zjawiska, około 1840 r. wykryte, które istotę ciepła promienistego wyjaśniły. Już przedtem znane były pewne analogie między ciepłem promienistem a światłem, mianowicie, że ciepło promieniste odbija się i załamuje podług tych samych praw, co światło. Analogij takich pokazało się jeszcze więcej, gdy poczęto badać ciepło promieniste zapomocą stosu termoelektrycznego, przyrządu daleko czulszego od termometru. Najbardziej zasłużył się na tem polu Meloni, który badaniu ciepła promienistego całe życie poświęcił. Pomiary ciepłoty i chemicznych skutków różnych okolic widma optycznego wykazały, że mała tylko część widma jest widzialną, i że ono sięga daleko poza koniec czerwony i poza koniec fioletowy. Podobnie jak ucho nie odczuwa ani zbyt powolnych ani bardzo szybkich drgań powietrza, podobnie w oku wywołują wrażenie tylko drgania eteru, których szybkość zawartą jest w granicach od 400—800 bilionów. Drgania promieni pozaczerwonych są dla oka za powolne, a pozafioletowych za szybkie. Ciemne promienie pozaczerwone, zawarte w białem świetle, niczem nie różnią się od promieni wysyłanych przez ciemne, ogrzane ciała. A ponieważ nadto doświadczenia wykazały, że tak jak w odbiciu i załamaniu, tak też w interferencyi, uginaniu, w polaryzacyi i podwójnem załamaniu między światłem a ciepłem promienistem zupełna panuje zgodność, musiano uznać, że ciepło promieniste w istocie swej niczem od światła się nie różni i również na falach eteru polega.

Każdy promień światła jest zarazem promieniem ciepła. Promienie ciepła o szybkich drganiach obok wrażenia na nerw czucia, wywołują także wrażenie na oko i pewne zmiany chemiczne. Skoro poznano istotę ciepła promienistego, musiało się wyrobić przekonanie, że i ciepło własne ciał, które na ciepło promieniste się zamienia i z niego powstać może, na ruchu cząstkowym polegać musi. Zwolennicy tego zapatrywania, hr. Rumford i Davy, badali zamianę ruchu na ciepło. Ponieważ przy zderzeniu, tarciu, ciepło się wywiązuje, więc wnioskowali, że znikający ruch mas zamienia się na ruch drobin, i że ruch drobin istotę ciepła stanowi. Lecz dopiero epokowa rozprawa niemieckiego lekarza Roberta Mayera, w r. 1842 ogłoszona, stała się podwaliną mechanicznej teoryi ciepła. Mayer poznał wielką przenikliwością umysłu, że gdziekolwiek znika energia, a szczególniej energia mechaniczna, wywiązuje się równoważna ilość ciepła i obliczył, że praca, potrzebna do podniesienia 425 kilogramów na jeden metr, równoważną jest jednej kaloryi, t. j. ilości ciepła, ogrzewającej jeden kilogram wody, o jeden stopień.

Jeżeli ciepło jest pewnym rodzajem ruchu, więc najdrobniejsze cząstki muszą odbywać nieustanny ruch, gdyż wszystkie ciała pewną ilość ciepła posiadają. Zasada ta, zastosowana do gazów, stworzyła kinetyczną teoryę gazów, którą Krönig, Clausius, Boltzmann, Maxwell i inni do takiej rozwinęli doskonałości, że wszystkie własności gazów rachunkiem z teoryi wyprowadzić się dają. Teorya kinetyczna przyjmuje, że cząstki gazów odbywają z wielką prędkością postępowe ruchy, przyczem odbijają się, jak doskonale sprężyste ciała od ścian naczynia lub cząstek, po drodze spotkanych. Obok ruchu postępowego wykonują drobiny ruchy obrotowe, a atomy, składające drobiny, odbywają prawdopodobnie ruch drgający, w którym może także udział bierze otaczający drobiny eter. Nacisk gazów na ściany naczynia, jest skutkiem uderzeń cząstek gazowych. Zapomocą ścisłych rachunków oznaczono nietylko prędkość, z którą drobiny się poruszają, średnie drogi, odbyte między jednem zderzeniem a drugiem, ilość zderzeń w jednej sekundzie, lecz także w przybliżeniu wielkość

drobin i ich odległość [1]. Wszystkie własności gazów i zjawiska, w gazach dostrzegane, wyprowadzone rachunkiem, zgadzają się z doświadczeniem. Teorya kinetyczna gazów jest jednym z wielkich tryumfów ducha ludzkiego. Podobnej teoryi dla płynów jeszcze nie mamy, ale na podstawie porównania pewnych własności gazów, par i płynów, położyli już do takiej teoryi podwaliny Clausius i van der Waals.

Spójność płynów maleje ze wzrostem temperatury, a więc przy pewnej temperaturze wzrośnie ruch drobin do tego stopnia, że spójność płynów zniknie. Przeciwnie zapomocą nacisku można drobiny gazu do siebie tak zbliżyć, że spójność między cząstkami się objawi, przewyższy prężność, wynikającą z ruchu drobin, i gaz w płyn się zmieni. Stać się to może jednakże tylko wtenczas, jeżeli ruch drobin nie jest zbyt prędki, jeżeli energia tego ruchu nie przewyższa całej energii zapasowej spójności drobin. Przy pewnej zatem temperaturze największy nawet nacisk gazu na płyn nie zamieni. Temperatura ta, której wysokość jest dla każdego gazu inna, nazywa się temperaturą krytyczną.

Teoretyczne te rozpatrywania doprowadziły do skroplenia t. zw. gazów trwałych.

Ciała lotne dzielono dawniej na pary i gazy. Parami nazywano te lotne ciała, które przy zwykłej ciepłocie są płynami, np. para wodna, para wyskoku. Gazy rozróżniano na nietrwałe, które przez oziębienie i nacisk w płyn zmienić się dają, np. chlor, kwas węglowy, i na gazy trwałe, których skroplić nie umiano. Faraday skroplił wszystkie gazy, z wyjątkiem niektórych: powietrza, tlenu, azotu, wodoru, gazu błotnego, tlenku azotu i tlenku węgla. Nie udało się to i innym mimo użycia olbrzymich nacisków, bo temperatura krytyczna tych gazów jest bardzo niska, a poniżej temperatury krytycznej oziębić tych gazów nie umiano.

Niskie ciepłoty otrzymuje się przez przyśpieszone parowanie

[1] Chyżość ruchu drobin tlenu wynosi 425 metrów, drobin wodoru 1698 m. w sekundzie: długość dróg w tlenie wynosi 0,0002 milimetrów, ilość zderzeń w sekundzie 4065 milionów. Odległość drobin wynosi około 3 milionowe części milimetra; 10 trylionów drobin powietrza waży jeden miligram, średnica drobin wynosi około 0,3 milionowych części milimetra.

płynów, przyczem na pokonanie spójności płynów ciepło się zużywa. Szczególniej szybko ulatniają się i wiele ciepła zużywają płyny, otrzymane przez skroplenie gazów. I tak np. płynny kwas węglowy oziębia się przy parowaniu do — 70° C. i zmienia się w masę, do śniegu podobną. Otóż płynów, otrzymanych z gazów, które względnie łatwo skroplić się dają, można użyć do oziębienia trudniej skraplających się. Im trudniej gaz się skrapla, tem niższa powstaje ciepłota przy parowaniu otrzymanego płynu.

Tą idąc drogą, skroplili trwałe gazy po raz pierwszy r. 1877, pracując niezależnie od siebie, Cailletet w Paryżu i Pictet w Genewie. Cailletet skroplił najprzód acetylen (gaz złożony z węgla i wodoru) i tlenek azotowy, nieco później tlen, powietrze i tlenek węgla, a równocześnie skroplił także Pictet tlen.

Dalszym postępem w skraplaniu gazów były prace profesorów uniwersytetu Jagiellońskiego, chemika Olszewskiego i przedwcześnie dla nauki zmarłego, rozgłośnej sławy fizyka, Zygmunta Wróblewskiego. Pictet i Cailletet mogli utrzymać skroplony gaz tylko jednę chwilę w płynnym stanie, bo oziębianie gazów nie było jeszcze dostateczne. Olszewski i Wróblewski otrzymali przez parowanie skroplonego etylenu (gazu złożonego z węgla i wodoru) pod kloszem pompy powietrznej znacznie niższe ciepłoty i zdołali utrzymać skroplony gaz w stanie płynnym przez czas dowolnie długi. Jak niskich potrzeba ciepłot, ażeby skroplić trwałe gazy, i jak niskie ciepłoty zapomocą skroplonych gazów otrzymać można, pouczają liczby: przez parowanie płynnego etylenu pod kloszem pompy powietrznej otrzymuje się ciepłotę — 152°; azot skrapla się przy ciepłocie — 146° pod naciskiem 33 atmosfer; tlen przy — 118° pod naciskiem 50 atmosfer. Przy parowaniu tlenu płynnego lub azotu pod kloszem pompy powietrznej obniża się temperatura do przeszło — 200° C.; przy — 203° C. azot krzepnie, staje się ciałem stałem. Tlenu dotychczas nie zestalono.

Te epokowe dla nauki doświadczenia nad skropleniem gazów, pomyślnym uwieńczone skutkiem — bo tylko wodoru dotychczas skroplić się nie udało — zatarły różnicę między parami i gazami. Każdy gaz jest parą jakiegoś płynu.

W roku 1885 wyszła rozprawa Wróblewskiego, nagrodzona przez wiedeńską Akademię: „O zastosowaniu wrzącego tlenu, azotu, powietrza i tlenku węgla jako środków oziębiających". Rozprawa ta otwiera nowe pole do badań na całym obszarze fizyki i chemii. Dotychczas badano bowiem zjawiska fizyczne i chemiczne tylko przy ciepłocie zwyczajnej, a czasem przy ciepłotach bardzo wysokich. Otóż obecnie otwiera się pole do badania zjawisk w ciepłotach bardzo niskich. A podczas gdy podwyższanie ciepłoty niema granicy, możemy się poniżej zera termometru posunąć tylko do ciepłoty wrzącego wodoru, jeżeli go się w przyszłości skroplić uda. Można będzie zatem wiedzę naszą w tym kierunku do skończonej doprowadzić całości. Pierwsze kroki na tej nowej drodze postawił sam Wróblewski, a jego następca na katedrze, prof. Witkowski, dalej w tym kierunku pracuje.

(Dok. nast.).

Dr. Franciszek Tomaszewski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Materyały do dziejów ostatniego stulecia Rzeczypospolitej polskiej. Trzeci Maj i Targowica. Zebrał i ułożył *S. Korwin*. Kraków 1890. Stronic wraz z dodatkiem 240.

Niepodobna się domyślić, dlaczego autor nazwał swą pracę „Materyałami do dziejów ostatniego stulecia rzeczypospolitej polskiej". Materyału źródłowego w znaczeniu naukowem u niego niema — jest tam tylko zestawienie ustępów z kilku znanych powszechnie dzieł drukowanych, jak H. Kołłątaja „O ustanowieniu i upadku konstytucyi trzeciego maja", K. Stefańskiego „O upadku rzeczypospolitej polskiej", ks. Kalinki „Sejm czteroletni" i t. d. Z materyału niedrukowanego korzystał autor niewiele: z „Manuskryptu" Anonima i z „Pamiętników" Kossakowskiego. W spisie twórców konstytucyi trzeciego maja i członków Targowicy opiera się wyłącznie na „Złotej księdze szlachty polskiej" Żychlińskiego. Z opracowań, odnoszących się do tego okresu, pominął tak poważne, jak „Dzieje wewnętrzne Polski za Stanisława Augusta" T. Korzona, lub „Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta" ks. W. Kalinki. Do źródeł historycznych w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, wcale nawet nie zaglądał.

Praca p. Korwina nie jest zatem ani zbiorem „Materyałów", ani opracowaniem opartem na źródłach. Jestto tylko szkic historyczny, traktujący nader pobieżnie dzieje Polski w ostatniem stuleciu — od Augusta II. do jej upadku. Pobieżnymi są nawet rozdziały, w których opowiada o Trzecim Maja i Targowicy, będących głównym przed-

mietom jego opowiadania. W $^3/_4$ przynajmniej części swej pracy używa słów nie własnych, lecz autorów wyżej wymienionych, a przedewszystkiem „Rękopismu“ Anonima. Korzyści podobnej pracy wcale nie pojmujemy. Wolelibyśmy raczej, aby p. Korwin dał nam dosłowny przedruk źródeł rękopiśmiennych, z których w swej pracy korzystał. Możnaby jeszcze godzić się na taki sposób przedstawienia rzeczy, żeby np. przebieg wypadków opowiedział nam autor słowami współuczestników lub przynajmniej świadków naocznych. Tymczasem obok obszernych wyjątków z „Rękopismu“ Anonima, trafiają się u niego w tekście ustępy z historyków doby dzisiejszej, a jedne i drugie połączone, jakby nićmi białemi, słowami samego autora. Niepodobna zaprzeczyć pewnej dogodności takiego trybu postępowania: za opinje i prawdziwość faktów, przytoczonych z prac obcych, nikt zapewne nie zechce czynić autora odpowiedzialnym. „Trzeci Maj i Targowicę“ możnaby zatem całkowicie pominąć milczeniem, gdyby nie wyraźna tendencya i zamiar autora — prostowania błędnych dróg, któremi chadzali dotychczasowi historycy.

W ostatnim rozdziale swej pracy, objaśniającym cel jej wydania — co, mówiąc nawiasem, wypadało uczynić w przedmowie — p. Korwin powiada, iż „staraliśmy się usprawiedliwić w oczach kraju całego ówczesne stronnictwo staroszlacheckie czyli konserwatywne w zarzutach wstecznictwa czy swawoli, jakie mu dotąd zawsze uporczywie czyniono, i usprawiedliwienia konfederacyi targowickiej, w zarzutach buntu i zdrady jakie na niej u ogółu dotychczas ciążyły“ (str. 169). Taki cel pragnął osiągnąć w pierwszej części swej pracy: „w drugiej — pisze autor — mieliśmy na celu usprawiedliwienie przed opinją publiczną współczesną i potomną, pojedyńczych członków tego stronnictwa, okazując, iż niemal wszyscy przed i po bolesnych tych wypadkach sami, lub przez swoich, mieli jedynie na celu służenie ojczyźnie, jak również, że najpoważniejsze osobistości Rzeczypospolitej do tego stronnictwa należały“ (str. 170). Z tych dwóch ustępów — przytoczonych przez nas bez zmiany pisowni i interpunkcyi — poznać mogą czytelnicy cel i tendencye całej pracy. P. Korwin przystępuje do badania przeszłości nie w celach naukowych, nie w chęci wyjaśnienia prawdy, lecz w zamiarze powziętym zgóry — nakreślenia apologii Targowicy i jej twórców. Polemizować z autorem *in puncto* jego tendencyj, oczywiście, że nie będziemy. Nie znajdujemy w jego pracy ani nowych faktów, ani oryginalnych argumentów. Uczyniono to już przed nim daleko zręczniej i wymowniej. Przeciwko najdonioślejszemu zarzutowi, jakiby można

uczynić targowiczanom, iż wezwali obcej pomocy, a tem samem przyczynili się do nadania pozorów legalności obcej interwencyi, tak okropnej w swych następstwach, autor stara się ich oczyścić powtarzanym aż do przesytu argumentem, iż w ten sposób postępowali i konfederaci tarnogrodzcy i ks. Czartoryscy i konfederaci barscy i nareszcie — twórcy konstytucyi trzeciego maja. Gdyby nawet w odwoływaniu się tych wszystkich ludzi i stronnictw do postronnej pomocy i postronnych wpływów działały jednakowo szlachetne motywa i pobudki, to i tak jeszcze argumentowanie apologety targowiczan nie byłoby wcale przekonywającem: że inni przed nimi źle robili, to nie racya, aby nie potępiać najgorszej roboty tych ostatnich. Nikt chyba dzisiaj nie wątpi, że obce wpływy na sprawy wewnętrzne Polski, do których utorowały drogę wolne elekcye, były jedną z najważniejszych przyczyn jej upadku. Sumienie polityczne narodu, przytępione półtorawiekową anarchią, długo milczało i nie zwracało się przeciwko sprawcom obcego mieszania się w nasze spory domowe, zanim wkońcu, po Targowicy, nie odezwało się tak potężnie, iż echo jego brzmi silnie przez lata niedoli. Pozostaje nam tylko życzyć, aby sumienie narodu w tym względzie pozostało zawsze tak drażliwem. Byłoby to symptomatem poprawy jednego z głównych grzechów naszej przeszłości. Ale pobudki szukania obcej pomocy u różnych stronnictw były różne: autor nie robi czy też nie pojmuje różnicy, pomiędzy szukaniem postronnej pomocy przeciwko wrogowi ojczyzny, jak to czynili konfederaci barscy, lub zawarciem formalnego aliansu z Prusami, jak politycy sejmu czteroletniego, a wezwaniem wroga do kraju w sporze bratnim, w celu pokonania swych przeciwników politycznych. P. Korwin radby wmówić w swych czytelników, że Targowica jest córą Baru. Tutaj nie chodzi wcale o poglądy jednych i drugich na stosunki wewnętrzne, lecz o ich stosunek do wrogich nam potencyj: co innego szukać pomocy we Francyi lub w Turcyi, celem pozbycia się z kraju najezdników, a zupełnie co innego — powoływać tych ostatnich przeciwko własnym współziomkom innego stronnictwa, otwierając naoścież bramy ojczyzny, tylko co przed nimi zamknięte! A jak niezręcznie broni Targowicy, niech się czytelnicy raczą przekonać z następującego ustępu (str. 49): „W gronie stronnictwa konserwatywnego znajdowali się tacy, którzy z żalem patrzyli na to przeistoczenie ojczyzny w monarchię, żadnemi tradycyami dla niej nie uwieńczonej; mimo tego żalu ogólnego, rok cały przeszedł jak najspokojniej, i wówczas tylko żal ten objawił się czynnie, gdy już nikomu tajnem nie było, że cesarzowa te zmiany radykalnej

formy rządu uważa za zerwanie traktatu, że wojska rosyjskie już otrzymały rozkaz wkroczenia do Polski". Zdaniem nietylko naszem, ale każdego rozsądnego człowieka, wówczas „żal ten" powinien był przedewszystkiem zamilknąć, a przeciwnicy i zwolennicy dokonanej reformy stanąć zgodnie do odparcia wojsk nieprzyjacielskich.

Mniemam zatem, że trud autora, bałamucący sumienie narodu, pozostanie daremny i targowiczanom adherentów nie przysporzy. Samemu nawet autorowi, wbrew powziętej zgóry intencyi bronienia twórców Targowicy, wyrywa się w jednem miejscu wyznanie, że konfederacya ta „była jednym z najboleśniejszych cierni korony męczeństwa Polski" (str. 96).

Spis uczestników Targowicy wraz z krótkiemi notatkami biograficznemi — ułożony na podstawie „Złotej księgi szlachty polskiej" Żychlińskiego — ma być, według autora, „przed upływem stulecia protestem przeciw krzywdzie i systematycznemu szarganiu w literaturze naszej historycznej nieszczęśliwych ludzi, którzy na potępienie dlatego nie zasługują, że w dobrej wierze działali, a tylko mylną, jak się niestety okazało, obrali drogę do ratowania ojczyzny — którzy wreszcie sami padli ofiarą nieprzewidzianych skutków swych przekonań politycznych" (nie wszyscy! byli i tacy, co otrzymali dobra, tytuły, ordery i inne oznaki łaski imperatorowej). Notatki te, mające być „protestem przeciw krzywdzie i systematycznemu szarganiu w literaturze naszej historycznej nieszczęśliwych ludzi", obejmują częstokroć nietyle osoby samych targowiczan, ile ich rodziny. Autor broni targowiczan, wyliczając zasługi ich braci, synów i wnuków. Ależ nikt rozsądny chyba nie myślał potępiać synów lub wnuków za winy ich ojców lub dziadów; nie w jednej już rodzinie mamy piękne przykłady ekspiacyi z win przeszłości. Ale to sądu naszego o Targowicy i targowiczanach zmienić nie jest w stanie. Dziwny to zaprawdę rodzaj obrony retrospektywnej! Bywa niekiedy, że ktoś stara się podnieść wartość zdegenerowanych potomków wielkiego rodu, powołując się na zasługi ich przodków. Jeszcze prędzej da się to pojąć i wytłumaczyć, jak proceder odwrotny. — Dziwna rzecz, że p. Korwin, biorąc się do pisania pracy nawskróś tendencyjnej, powołuje się na list ks. Kalinki z d. 30 kwietnia 1869 roku, umieszczony w t. XII. „Złotej księgi" Żychlińskiego, który kończy się słuszną naganą, że „jak niegdyś do narad krajowych, tak później do narad w historyi przystępujemy z opinią już gotową, zgóry powziętą i jaskrawo naznaczoną". Szkoda, że tego p. Korwin

dobrze nie rozważył i nie wziął sobie do serca, a możeby niejeden ustęp „Trzeciego Maja i Targowicy“ wypadł inaczej.

Śpiesząc z zaniesieniem „protestu przed upływem stulecia“, autor nie miał oczywiście czasu ani na poprawniejsze ułożenie swej książki pod względem językowym, ani na sprostowanie błędów historycznych. Na str. 34 pisze pisze p. Korwin: „W 1787 r. miało miejsce, jak wiadomo, spotkanie w Kaniowie cesarzowej Katarzyny II. z królem polskim, Stanisławem Augustem, i Józefem II., cesarzem niemieckim“. Otóż, jak powszechnie wiadomo, nastąpiło w Kaniowie tylko spotkanie pomiędzy Katarzyną II. i Stanisławem Augustem, a dopiero w Chersonie pomiędzy Katarzyną II. i Józefem II. — Na str. 171, mówiąc o zniesieniu wolnej elekcyi przez konstytucyę trzeciego maja, w zapale apologetycznym dodaje: „Prawo to nie w jednej tylko Polsce (poprawniej byłoby: nie w samej tylko Polsce) natenczas istniało — i królowie węgierscy i cesarze niemieccy nawet byli natenczas jeszcze obieralnymi“. Co do elekcyjności królów węgierskich, to winniśmy przypomnieć autorowi, iż zniesiono ją więcej niż przed stu laty na sejmie w Preszburgu, w październiku 1687 r., a na mocy osobnego prawa uznano dziedziczność tronu w domu Habsburgów. — Z powodu zniesienia *liberum veto* pisze, że i „uchwały sejmów niemieckich zapadały także *cum consensu omnium*“. Autor zdaje się wyobrażać sobie, iż to wyrażenie miało identyczne znaczenie z „jednomyślnością“ naszych zelantów wolności, zaczynając od drugiej połowy XVII. wieku. *Consensus omnium* na sejmach niemieckich oznaczał zgodę trzech kolegiów, z jakich składał się sejm Rzeszy: elektoralnego, książęcego i miejskiego. — Nie zgodnem jest również z prawdą: aby „oprócz mieszkańców Warszawy i Krakowa, konstytucyi majowej mało kto wówczas w kraju sprzyjał, a Targowicy bardzo wielu“ (str. 55); aby „każdy czuł wówczas, iż konstytucya majowa nie była oparta na niczem rzeczywistem“ (str. 57). Po dowody, obalające twierdzenia powyższe, odsyłamy autora chociażby tylko do spisu ofiar dobrowolnych na potrzeby wojenne, złożonych w latach 1788—92, umieszczonego w „Dodatku“ (str. 407 do 422) do III. tomu „Wewnętrznych dziejów polskich za Stanisława Augusta“ p. Korzona. Poprzestajemy na tych kilku przykładach.

Pojęcia i nazwy stronnictw w dawnej Polsce p. Korwin zupełnie niepotrzebnie modernizuje. U niego od drugiej połowy XVIII. wieku występują stronnictwa polskie pod nazwą konserwatywnych, postępowych, liberalnych i t. d. I tak np.: konfederatów barskich, targowiczan, następnie, po rozbiorze, obrońców konstytucyi Królestwa Kongre-

sowego i akcyi legalnej przeciwko carowi Mikołajowi, wkońcu margr. Wielopolskiego zalicza jednym tchem do konserwatystów (str. 53, 94), a stronnictwo książąt Czartoryskich, „patryotów“ sejmu czteroletniego, uczestników powstania Kościuszkowskiego i listopadowego, zwie liberałami i postępowcami. Ze względu na różnice warunków naszego bytu przed- i porozbiorowego, jakoteż i różnych podstaw organizacyi stronnictw, mniemamy, że modernizowanie to nie jest właściwem, co w jednem miejscu i sam autor zdaje się uznawać w twierdzeniu (str. 170), iż „szerszy ogół nie zdaje sobie sprawy z zasad i programów politycznych jednych (barszczan) i drugich (targowiczan) — a gdyby je nawet najlepiej wyszczególniono, to jeszczeby je niebardzo zrozumieli, tak od tej epoki sfera naszych myśli się zmieniła“. Nie trzeba więc pojęć tego „szerszego ogółu“, który zechce może korzystać z pracy autora, zamącać przenoszeniem w owe czasy dzisiejszej terminologii dziennikarskiej.

Wątpimy nareszcie bardzo, czy dzisiejsi konserwatyści będą zadowoleni z tej szczególniejszej księgi rodzaju swego stronnictwa i czy zechcą przyjąć pokrewieństwo polityczne z targowiczanami, nawet *cum beneficio inventarii*. Piszący te słowa przypomina sobie zdanie, wypowiedziane przez ś. p. Szujskiego wśród rozgaru walki, toczonej przez t. zw. Stańczyków, „na prawo i na lewo“, jak wyrażał się Szujski — na dwa fronty, jakbyśmy dziś powiedzieli. Nieodżałowany nasz historyk przyjmował z wielkim spokojem wszelkie epiteta, jakich mu przeciwnicy wówczas nie skąpili: zabolało go jednak mocno, gdy mu zarzucono wstecznictwo. „Nie pragnę cofnięcia społeczeństwa wstecz, — rzekł wówczas głosem podniesionym — ani utrzymania wszystkiego, co istnieje obecnie, bo nie podzielam zasady Heglowskiej, iż wszystko, co jest, dobrem jest: miłuję postęp; pragnę go; pragnę go goręcej, jak niejeden z tych, co przywłaszczają sobie monopol postępowości; lecz pragnę postępu zdrowego — w duchu i kierunku mych zasad“.

A. Szarłowski.

Rzemiosła i cechy krakowskie w XV. wieku. Przez *ks. dra Chotkowskiego*. Kraków 1891.

Żal mam do autora, że nie umieścił tej pracy w naszym *Przeglądzie!* Jestto w małych ramach śliczny obraz, pełny życia i prawdy. Wszystko czerpane z pierwotnych źródeł: z kodeksu z miniaturami Behema, ze starych miejskich „wilkierzy“, z ustaw i przywilejów ce-

chowych; niemal ustawicznie słowa samych źródeł przytaczane; a składa się to wszystko w tak piękną całość, że widzi się, jak ci ludzie żyli i pracowali, jak się ubierali, co jedli, jak się bawili, a jak modlili — i podziwiać musimy ich zamożność, swobodę w swojej sferze, poczucie własnej godności, przezorność, z jaką się bronili przeciwko nadużyciom konkurencyi, — a przytem karność, uczciwość, czystość obyczajów, familijny ustrój cechów.

Aż serce rośnie patrząc, jak na gruncie prawdziwie chrześcijańskiego społeczeństwa, pod tchnieniem Kościoła, swobodnie i naturalnie wyrastały i własnemi wyrabiały się siłami te piękne mikroorganizmy społeczne. Ale też żal się robi na myśl, że to już minęło bezpowrotnie. Im bliżej się przypatrzyć życiu tych średniowiecznych cechów, tem oczywistszem się staje, że ani mowy być nie może o wskrzeszeniu ich w dzisiejszym świecie. Jestto formacya społeczna, która tylko zwolna, samorodnie i na odpowiednim gruncie wyróść mogła. A usiłowanie wznowienia dzisiaj czegoś podobnego, po ukazie, drogą ustawodawczą, doprowadziłby tylko mogło do zrobienia żelaznych, kolczatych klatek, w którychby rzemiosła do reszty skarłowaciały i wyginęły.

Jedno tylko — jak słusznie mówi autor — z owych czasów pozostało, co było zaczynem onych starych instytucyj społecznych, a co do każdej formy społeczeństwa da się i musi się zastosować, t. j.: miłość chrześcijańska. Myśleć o wznowieniu cechów, byłoby stratą czasu, ale uczyć się trzeba od cechów średniowiecznych, jak oprócz prawa i sprawiedliwości, miłość chrześcijańska wchodzić może w skład cementu społecznego — i myśleć trzeba o tem, jakby w ustrój dzisiejszego społeczeństwa ten sam pierwiastek miłości wprowadzić można. Bez tego czynnika niema możliwej reformy socyalnej.

Ks. M. Morawski.

Pokój duszy. Przez *św. Piotra z Alkantary.* Z angielskiego na polski język przełożył O. Bernard Łubieński, ze Zgromadzenia OO. Redemptorystów w Mościskach. Kraków. Nakładem OO. Reformatów. 1890. W małej 16-ce, str. 46.

Jestto miluchna ascetyczna książeczka, w tym rodzaju, co „Filotea“ św. Franciszka Salezego, „Walka duchowna“ Scupolego i kilka innych, tylko jeszcze od nich praktyczniejsza, bo przystępniej i krócej napisana. Dla osób w świecie żyjących, a cierpiących niepokoje sumienia — nieocenione to lekarstwo.

Dla naszej literatury ascetycznej jestto przyczynek niemałej wartości, z tego mianowicie względu, że bardzo dobrą polszczyzną napisany, co, w porównaniu do ogółu dzisiejszych tego rodzaju tłumaczeń, jest prawdziwym a szczęśliwym wyjątkiem. W jednem lub drugiem zaledwie miejscu (np. str. 26) wkradły się pewne niedokładności językowe, nieharmonizujące, ale też i ginące zupełnie w pięknej całości.

Prawdziwa tedy wdzięczność należy się tak szan. tłumaczowi, jak i OO. Reformatom, że to maleńkie nasionko na polską rolę zasiali, na której, da Bóg, wyda swe błogie a obfite owoce.

H. P.

Człowiek. jego pochodzenie, rasy i dawność. *Ks. dr. Platz.* Tłumaczył Karol Jurkiewicz. Warszawa. Nakład M. Orgelbranda. 1891.

Jużeśmy nieraz wspominali na tem miejscu o tej kuźni tłumaczeń dzieł naukowych, istniejącej w Warszawie, która obdarza nas regularnie najgorszymi płodami Zachodu, a to zwykle wtedy, kiedy już na Zachodzie krytyka te dzieła zwalczyła i nauka przeszła nad niemi do porządku dziennego. Tem milej nam tym razem donieść naszym czytelnikom o szczęśliwym wyjątku.

Mamy przed sobą pierwsze zeszyty poważnego dzieła, które umiejętnie zestawia najnowsze rezultaty antropologii i grupuje je około trzech głównych zagadnień: jak powstał człowiek? — jak się wytworzyły rasy, czy z jego szczepu? — wreszcie, jak dawno istnieje rodzaj ludzki na ziemi? Nie potrzebuję dodawać, że wyniki nauki przyrody okazują się zupełnie zgodne z dobrze zrozumianą nauką Biblii.

Sposób traktowania rzeczy niejedno pozostawia do życzenia — zawiele cytat — zamało swobodnego wykładu przedmiotu; ale rzecz sama bardzo interesująca. Już w tych trzech pierwszych zeszytach spotykamy się z ciekawymi dowodami umysłowego życia, sztuki, przemysłu przedhistorycznej ludzkości, i wnosić musimy z Virchovem, „że każdy postęp pozytywny, dokonany w dziedzinie antropologii przedhistorycznej, oddala nas właściwie coraz bardziej od hipotezy o łączności człowieka ze zwierzętami kręgowemi pod względem pochodzenia".

Tłumaczenie z niemieckiego jest niestety niezgrabne, powtarzające niewolniczo niemieckie peryody, ale z tem wszystkiem nie gorsze, może i lepsze od przeciętnych tłumaczeń, do jakich musieliśmy przywyknąć. Druk piękny, ilustracye liczne i dobrze wykonane. Słowem, księgarnia Orgelbranda przysłużyła się krajowi tem wydawnictwem,

i spodziewamy się, że dobra książka znajdzie więcej wśród naszego społeczeństwa czytelników, niż znajdują złe.

Ks. M. Morawski.

Memoryał J. N. Kamińskiego. Wydał i wstępem opatrzył *dr. B. Czarnik.* Odbitka ze sprawozdania Zakładu narodowego im. Ossolińskich za r. 1890. Lwów 1890.

Z życia J. N. Kamińskiego. Napisał *dr. B. Czarnik.* Odbitka z *Ateneum.* Warszawa 1891.

Dwie te maleńkie broszurki, razem 40 stron wynoszące, uzupełniają się nawzajem. Druga jest bardzo dobrym komentarzem do zrozumienia pierwszej. J. N. Kamiński, „w jednej osobie dyrektor teatru lwowskiego, artysta dramatyczny, pisarz i tłumacz", jest dla dziejów teatru naszego w pierwszej połowie XIX. w. bardzo interesującą osobistością. Mimo licznych o nim prac, brak dotąd monografii krytycznej, któraby zestawiła ściśle daty jego życia i oceniła wszechstronnie jego działalność. Zanim się to stanie, trzeba zbierać materyały. Autor przynosi nam mały przyczynek do innych, znanych już dokumentów, a przyczynek bardzo cenny, bo obejmujący najważniejszy peryod działalności Kamińskiego, mianowicie od 1809—29 r.

Dr. Cz., uwzględniając ogłoszone już w tym przedmiocie prace (Estreichera i Pepłowskiego), idzie za tekstem „Memoryału" i usiłuje naszkicować wyrazisty obraz tego, co J. N. Kamiński zrobił dla sceny polskiej. Z wiązanki cytat „Memoryału" i wyjaśnień dra Cz. składa się wcale miły obrazek, który nam pozwala wglądnąć i w duszę zapobiegliwego dyrektora, i przypatrzyć się scenie polskiej we Lwowie. Widzimy zatem, jak troskliwie krząta się Kamiński koło utrzymania i podniesienia tej sceny, jak boryka się z coraz nowemi trudnościami, jak walczy ze sceną niemiecką we Lwowie, by się jej nie dać zwyciężyć. Lecz chwile świetniejszego powodzenia (1809—19) przemijają, a nowe trudności piętrzą się jedna nad drugą.

Po r. 1820 repertuar upada coraz bardziej skutkiem małego poparcia ze strony publiczności. Biedny dyrektor popada w długi, a tu wymagania aktorów rosną. Ztąd niesnaski w łonie samej sceny. A gdy do tych wszystkich kłopotów przystąpiły szykany i prześladowania Czabona, dyrektora sceny niemieckiej, Kamiński widział pod sobą grunt już bardzo słaby i postanowił się usunąć. Na szczęście znalazł w osobie wice-marszałka, Tadeusza Wasilewskiego, opiekuna i protektora sceny

polskiej. Na jego żądanie pisze więc ten „Memoryał“, jako instrukcyę dla nowej dyrekcyi, która miała odtąd przejść w ręce samychże obywateli. Zanim się to stało (24 września 1830 r.), Kamiński klepał najokropniejszą biedę i w poufnym liście do Wasilewskiego musiał wyciągać rękę o wsparcie, bo „nie miał co do ust włożyć“.

Na niekorzyść Kamińskiego chyba to podnieść należy, że język w jego „Memoryale“ jest lichy i często zarażony germanizmami.

R. K.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Poema na zło-to. *Michaiłowski.* Sofia 1889.

Wśród dość licznego grona poetów bułgarskich, jedno z wybitniejszych miejsc zajmuje p. Michaiłowski, przybierający niekiedy pseudonim *de profundis*. Poetycka jego twórczość odbija się dość korzystnie na tle współczesnej bułgarskiej poezyi, w której dzieci Muz i Apollina wylewają najczęściej jęki nad własnemi, rzeczywistemi lub urojonemi cierpieniami, oraz nad nieczułością i obojętnością społeczeństwa, nie umiejącego ocenić tych, co niosą mu w darze wonny kwiat poezyi.

Utworem, który p. Michaiłowskiemu rozgłośną w jego ojczyźnie zyskał sławę, jest *Poema na zło-to* („Poemat o grzechu“). Motyw z Pisma św., ten sam, który natchnął Miltona, piewcę „Raju utraconego“ i wielu innych artystów, wyzyskał p. Michaiłowski z prawdziwym talentem i wielką psychologiczną prawdą. Rzecz rozpoczyna się monologiem szatana, który pała żądzą zemsty za to, że go Bóg strącił z niebiosów; że zaś koroną całego stworzenia jest człowiek, więc ku niemu zwraca swój gniew i zamierza z wyżyn niewinności zepchnąć go w przepaść grzechu. Oto jest podstawa utworu. W dalszym ciągu szatan znika, poeta zaś wprowadza na widownię Adama i Ewę, oraz po mistrzowsku naszkicowuje tajemną, nieuchwytną, a jednak rzeczywistą działalność szatana w duszy Ewy. Gdy Adam pyta się jej, o czem śni, spoczywając na kwiecistem łożu, ona mu odpowiada, że nie może już marzyć tak rozkosznie jak dawniej, bo:

Neszczo w gr'dite mi gori [1].

[1] Coś w piersiach moich płonie.

I nie zdając sobie jeszcze dokładnie sprawy z tego, co się z nią dzieje, wynurza swe uczucia przed Adamem z niezrównaną naiwnością i prostotą:

Nasitich se na wsiczko wecze
Na jàsno-to wsehdà nebiè,
Na àngeli-te wsehdà suszczy,
Na biseri-te, na cwietà-ta
I na Gospòdne-to licè...

Nasitich se, da se nasiszczam
Na Bòżii-te darowè...
Adame, druże moj, prosti me
Nasitich se na twòj-ta neżnost'
I nieszczo nowo mi se szczè...[1]

Ne znam, kakwò... Oseszczam samo...[2]

Adam stara się ją uspokoić, wylicza wszystkie rozkosze, jakie są ich udziałem i obiecuje uprosić u Boga wszystko, czegoby zapragnęła. Ewa jednak nie pozwala mu na to, mówiąc, że nie mają prawa prosić o nic Boga, bo nie są Jego dziećmi, ale gośćmi, Bóg bowiem nie wszystko darował im w raju, owszem, zakazał im zrywać owoce z pewnego drzewa, które stały się właśnie jedynym celem jej pragnień. Adam zasmucony odchodzi, Ewa zaś usypia. Wówczas powtórnie ukazuje się szatan i wyraża nieopisaną radość, że dzięki jemu ta dziedziczka raju, ta córka Jehowy stanie się nasieniem złego i przyczyną zguby całej ludzkości. Potem z zuchwałym okrzykiem: „Gotuj się piekło do zwycięstwa nad Jehową!“ budzi uśpioną niewiastę. Gdy Ewa go pyta, kim jest i zkąd przychodzi, szatan jej mówi, że jest duchem równym Bogu, pierwiastkiem wszelkiego życia i niezrównaną mądrością, rządzącą wszechświatem. Zapewnia też, że w królestwie jego wszystko jest dozwolonem i że przychodzi, aby jej udzielić tego, czego Bóg jej

[1] Sprzykrzyło mi się wszystko w świecie,
Widok jasnego wciąż błękitu,
Widok Aniołów, cudnych kwiatów,
Nawet oblicze Pana światów
Nie budzi już we mnie zachwytu...
Sprzykrzyły mi się dary boże,
Które dokoła oglądam...
Adamie, przebacz, druhu złoty,
Sprzykrzyły mi się twe pieszczoty,
Czegoś nowego pożądam...

[2] Ja nie wiem, co to... Czuję tylko...

odmówił. „Nie możesz mi dać nic, czegobym już nie posiadała — woła Ewa — bo przecież ja jestem królową raju“. — „Tyś najnędzniejszą istotą, — szyderczo odpowiada szatan — Bóg bowiem uczynił wiedzę niedostępną dla ciebie i zamknął ją w tym owocu. Lecz oto ja chcę zdjąć z twych oczu przepaskę ciemności: weź więc i jedz!“ To mówiąc, wskazuje jej owoc, który Ewa po krótkiem wahaniu zrywa i spożywa. Tu występuje chór szatanów, cieszących się z odniesionego zwycięstwa; poczem widzimy znowu pierwszych rodziców; — Ewa nakłania Adama do spożycia zakazanego owocu. Adam ulega jej namowom i wówczas w duszach obojga zachodzi stanowcza jakaś zmiana, którą poeta wybornie uwydatnił. Oto przed spełnieniem winy Adam i Ewa wszystkie swe uczucia miłości i uwielbienia poświęcali Bogu, teraz zaś, przekroczywszy Jego zakaz, nie śmieją ku Niemu zwrócić swej myśli. Całą więc skalę swych uczuć przenoszą nawzajem na siebie, co poeta umiał scharakteryzować z należną miarą, nie zniżając się do drażliwego realizmu. Potem uderza nas najpiękniejszy może ustęp całego poematu, pełen majestatyczności i grozy, to jest przekleństwo Archanioła, które im w imieniu Boga wypowiada. Poeta zawarł w nim wyraz wszystkich cierpień każdego zosobna człowieka, wszystkich walk, usiłowań, zawodów i goryczy, jakie codziennie się wplatają w pasmo dziejów ludzkości. Archanioł Gabryel, wyraziwszy cel swego poselstwa, wypędza w imieniu Boga Adama i Ewę z raju:

W dolini-te na płaczowè-te,
W carówiszcze-to na noszczà![1]

Uczucie jego gorące oburza się na to, że pierwsi ludzie, zostawszy wybranymi dziećmi Boga, stali się dobrowolnie niewolnikami „wiarołomnego ducha“, i kreśli obraz moralnych oraz fizycznych cierpień, jakie odtąd staną się ich udziałem:

Predawam wi, Adame, Ewo,
Na wieczni jazwy i biedy,
Na wieczni nużdi i liszenija,
Na wieczni griżi i mecztanija,
Na razdirátelny bor'by![2]

[1] Na doliny łez,
Do królestwa nocy!

[2] Skazuję was, Adamie, Ewo,
Na wieczną nędzę, trud i znój,
Na wieczne męki i cierpienia,
Na wieczne troski i marzenia,
Na duszę szarpiący bój!

Na strâsti-te wi wa predawam,
Na zabłużdènija-ta wi,
Na żażdi-te wi nie nasitni,
Na pàgubni-te wi poroci,
Na mèrzostni-te wi wrażdi! [1]

Następnie maluje walkę, jaką ciągle ze wszystkimi żywiołami toczyć będą musieli, straszną, zbrodniczą niekiedy walkę o byt. Odbiera im nawet nadzieję ujrzenia owoców swej pracy i naznacza piętnem zagłady wszystko, czego ich dłoń dotknie:

Pod was zemia-ta da treperi,
I ogoń da opustoszi
Kakwo-to i da sogradite,
I szczom ot nemoszcz zaridajte,
Gr'm rew't wi da zagłuszi!

Werchu sieidbi-te wi kleti
Da pada gad, da pada grad!
Wmiesto łuczi, streli, da chw'rla,
Werchu wi dienno-to swietiło,
Stada-ta wi da mrut ot gład! [2]

Wreszcie skazuje ich na śmierć i wieczne potępienie, na widok bratobójczych walk ich dzieci, na ciagłą rozpacz i trwogę, aby ani na chwilę nie mogli zapomnieć, że byli niegdyś w raju i za grzech wygnanymi zeń zostali.

W ustępie tym, jak widzimy, poeta daje nam poznać Stwórcę, nie jako dobrego, litościwego, chrześcijańskiego Boga, źródło łaski i mi-

---

[1] Na namiętności was skazuję,
Na pastwę zgubnych, wstrętnych wad,
Na chęci próżne, choć gorące,
Na złud, omamień, żądz tysiące,
Na nienawiści wściekłej jad!

[2] Pod stopą waszą niech drży ziemia,
Niech ogień zniszczy wasz dom,
A gdy nad waszą nędzą, niemocą
Płakać będziecie i dniem i nocą,
Niech jęk wasz zagłuszy grom!

Niech grad wyniszczy wszelkie plony,
Co zasiejecie dłonią swą;
Niech na was słońca tarcza złota,
Zamiast promieni, strzały miota,
Niech trzody wasze z głodu mrą!

łosierdzia, lecz jako surowego, nieubłaganego sędziego, który tylko karze, ale nie przebacza. Następnie jednak modyfikuje on to wrażenie zgodnie z duchem chrystyanizmu i odmalowawszy rozpacz Adama i Ewy, przenosi na chwilę czytelnika przed tron boży, gdzie Aniołowie wstawiają się za upadłą ludzkością, Bóg zaś obiecuje zesłać swoje Słowo odwieczne, które ją dźwignie z przepaści grzechu. Poemat kończy się chórem szatanów, wyrażających uwielbienie dla swego przywódcy za to, że potrafił zeszpecić najpiękniejsze dzieło boże. Jestto najmniej udatna część utworu, która osłabia wrażenie, z poprzednich odniesione ustępów i bez której cały utwór mógłby się wybornie obejść.

Takim *Poema na zło-to* jest pod względem treści. P. Michaiłowski dowiódł nim raz jeszcze, że Pismo św. może być źródłem prawdziwego natchnienia: cała trudność w tem tylko, by się przejąć nawskróś duchem Pisma św.

Co się tyczy formy, to chcąc być bezstronnymi, musimy przyznać, iż niekiedy jest ona nieco zaniedbaną: nieliczne te jednak ustępy zacierają się łatwo w pamięci wobec udatnej całości poematu. Zresztą poecie ułatwiał zadanie piękny język bułgarski, jeden z piękniejszych słowiańskich języków, który do utworów poetyckich wybornie się nadaje.

Tytus Sopodźko.

Timotheus. Briefe an einen jungen Theologen. Von *Dr. Franz Hettinger*. Freiburg 1890. Str. XVI, 549.

Hettinger przewidując już bliski zgon swój, chociaż ciało już mdlee było, korzystał ze świeżości ducha, który go do śmierci nie opuszczał, chwycił za pióro, aby zostawić — jak sam mówił — testament dla potomności. I rzeczywiście testament to niepospolity. Z darów, których mu Bóg udzielił, pozostawia spuściznę młodemu duchowieństwu — wskazówki, rady i napomnienia, jakie długoletnie doświadczenie w zawodzie nauczycielskim i wychowawczym, na katedrze profesorskiej, ambonie i konfesyonale dało mu sposobność zebrać. Wychodząc z zasady, że kapłan powinien zarazem przyświecać społeczeństwu i zagrzewać je, przedewszystkiem zwraca uwagę na potrzebę pobożności i nauki w duchowieństwie.

W trzydziestu i trzech listach Hettinger już nie jako profesor do uczniów, ale jako stary, doświadczony przyjaciel odzywa się do młodzieży duchownej. Poufna gawęda nie odstrasza czytelnika balastem naukowym, a jednak w tych listach nie brak systemu, i owszem, wszy-

stkie składają się na całość bardzo udatną. W czterech pierwszych listach zastanawia się nad znamieniem powołania do stanu kapłańskiego, nad różnicą powołania teologa i duszpasterza, nad związkiem powołania kapłańskiego z najświętszą ofiarą i kaznodziejstwem. W następnych listach aż do dziewiątego obrał sobie temat, dziś bardzo omawiany przez pedagogów duchownych, a mianowicie przygotowawcze wykształcenie kandydata do stanu duchownego, więc gimnazyum, czytanie klasyków, znajomość dokładną ojczystego języka obok języków obcych, jako pomocniczych, historyi, geografii, matematyki i nauk przyrodniczych. W dziesiątym liście zastanawia się nad akademickiem wykształceniem, nad potrzebą uczęszczania przedewszystkiem do katolickich uniwersytetów. One same nie wystarczają bez seminaryów, jak i te ostatnie, jeźli wykłady nie będą odpowiadały wymaganiom uniwersyteckim. Naukę filozofii scholastycznej uważa autor jako konieczne studyum przygotowawcze do teologii (list 11—17), niemniej jak nauk przyrodniczych i przynajmniej w zarysie sztuki kościelnej.

W następnych trzech listach omawia autor bliższe przygotowanie do stanu kapłańskiego, a więc wychowanie seminaryjne, medytacyę, wyrobienie charakteru, porządek domowy i ćwiczenia duchowne.

Niemniej ważne a bardzo interesujące są dalsze listy o nauce teologii, w których poszczególne robi uwagi co do sposobu uczenia się, i którym gałęziom nauk teologicznych więcej należy czasu poświęcić.

Dwa dokładne spisy zawartych rzeczy i autorów, których przytacza, umieszczone na końcu książki, ułatwiają wyszukanie szczegółów bardziej czytelnika interesujących.

Dzieło to jest niezaprzeczenie koroną wszystkich znakomitych prac, wyszłych zpod pióra uczonego kapłana bożego; jest ono ostatnim promieniem zachodzącego słońca, które po dniu pogodnym schodzi z widnokręgu, lecz po to tylko, aby na innym horyzoncie zabłysnąć nowym, jaśniejszym promieniem wschodzącego słońca, które blasku swego już nigdy nie straci. *Ks. M. Czermiński.*

L'Ennemie sociale. Histoire documentée des faits et gestes de la Franc-Maçonnerie de 1717 à 1890 en France, en Belgique et en Italie. Par le Très Illustre Souverain Grand Inspecteur Genéral du 33 et dernier degré de la Franc-Maçonnerie *Paul Rosen*. Paris. Bloud et Barral. 1890; p. XII, 428.

Powyższa książka jest niepospolitej wartości naukowej. Autor pisał ją niejako z polecenia Ojca św. Leona XIII., co dość jasno oka-

zuje się z Brewe papieskiego, zamieszczonego na wstępie książki. P. Rosen znany już jest w literaturze o wolnomularstwie bardzo zaszczytnie: życzymy autorowi, aby jego dzieła jak najwięcej kursowały pomiędzy ludźmi dojrzałymi. Wyraźnie zaznaczamy: pomiędzy dojrzałymi, ponieważ jego *Maçonnerie pratique* (wydanie anonimowe) w dwu wielkich tomach i *Satan et Compagnie* nie są książkami dla niedoświadczonej młodzieży.

W nowej swej książce: *L'Ennemie sociale*, przedstawia Rosen wolnomularstwo jako dzieło szatańskie, mające na celu zniszczenie społeczeństwa chrześcijańskiego. Udowadnia sąd swój całym szeregiem zeznań samej starszyzny masońskiej i faktami, do których sami wolnomularze się przyznają i z nich się chlubią. Słowy Br.·. Brimonta podaje krótką historyę wolnomularstwa, przez co nabiera ona większej wiarogodności i autentyczności; zwraca następnie uwagę czytelnika na zamiary i czyny wolnomularstwa, starając się zawsze nie swemi, lecz słynnych Br.·. słowami opowiadać; najczęściej zaś podaje wyjątki z ich dzieł i z artykułów, ogłaszanych w takich dziennikach, jak *Journal de la Maçonnerie Universelle, Chaine d'Union, Bulletin du Grand-Orient de la Belgique, la Rivista della massoneria Italiana* i wielu innych.

Aż włosy stają na głowie z przerażenia, gdy się czyta wyznania całych setek wolnomularzy, jak się przewyższają wzajemnie w nienawiści Boga, religii, Kościoła, papieża, duchowieństwa, chrześcijańskiego wychowania i świętości małżeństwa.

U nas chociaż niema jeszcze wielkiego niebezpieczeństwa ze strony wolnomularstwa, ponieważ rząd dzisiejszy czuwa, aby loże przynajmniej publicznie nie istniały, to jednak nie należy zbytecznie ufać przyszłości, i nie zaszkodzi zawczasu być obznajomionym dokładnie z wolnomularstwem takiem, jakiem ono jest na Zachodzie, tem więcej, że reprezentuje siłę wcale pokaźną, jak autor sam mówi, 28 milionów braci i sióstr masonek. Sądzimy, że z pracy p. Pawła Rosena jak najdokładniej można być poinformowanym, czem jest wolnomularstwo.

C.

Z pism czasowych.

(U Wendów).

Katholski Posoł, wudawany wot towarstwa ŚŚ. Cyrilla a Methodija w Budyschinje. 1890.

Jednem z najstarożytniejszych plemion słowiańskich byli Wendowie — dziś zaledwie nieliczna garstka. Nazwa ich pochodzi od słowa *unda*, wspólnego kilku starożytnym narodom północnej Europy, które oznaczały nim wodę; miano więc Wendów, służyło ludom słowiańskim, zamieszkałym na dolinach ponad wodami, t. j. na płaszczyźnie rozciągającej się ponad dolną Odrą, oraz dolną i środkową Łabą, aż poza Wezerę, jak również nad brzegami morza Bałtyckiego i Niemieckiego. Nadto Herodot, Pliniusz i Strabon wspominają o Wendach osiadłych nad morzem Adryatyckiem, oraz o Wendach w Belgii, Genetach czyli Wenetach w Kornwalii (Anglia) i Wenedach armoryckich w starożytnej Gallii.

Bądźcobądź plemię to niegdyś liczne i znane w dziejach, zredukowanem jest obecnie do stu kilkudziesięciu tysięcy dusz. Szczupła ta garstka zamieszkuje część Saksonii czyli dawną Luzacyę i Spreewald w Brandeburgii. Większość ludności wendyjskiej czyli serbsko-łużyckiej jest katolicką, reszta zaś protestancką. Głównem siedliskiem katolików są miejscowości: Budziszyn, Ostryca, Chrościce, Szerachów, Kuków, Żytawa, Königshain, Wotrów, Reichenau, Radwórz, Neuleutersdorf, Ralbice i Niebielczyce. Budziszyn stanowi ognisko umysłowego i literackiego ruchu dzisiejszych Serbów łużyckich, czyli dawnych Wendów. Wśród pism wendyjskich w Budziszynie wychodzących, zasługuje na uwagę tygodnik polityczny *Serbske Nowiny*, oraz miesięcznik literacko-społeczny *Lužica* z beletrystycznym dodatkiem, i dwutygodnik *Katholski Posoł*. O tym ostatnim chcemy powiedzieć słów kilka.

Głównym celem tego pisemka — jak już sam jego tytuł wskazuje — jest obznajamianie czytelników ze wszystkiem, co się ściąga do życia i rozwoju katolickiego Kościoła. Szczupłe rozmiary wydawnictwa, wychodzącego w półarkuszowych tylko zeszytach, nie pozwalają na wyczerpujące opracowanie przedmiotu, redaktor jednak, ks. Jakób Skala, czyni wszystko co może, aby utrzymać czytelników *au courant* tego, co się w świecie katolickim dzieje.

Pomiędzy pracami poważnieiszej treści, znajdujemy w *Katolickim Pośle* żywot św. Pauli i św. Ethelberta; nadto parę artykułów chara-

kteryzujących pełną błogich skutków działalność papieża Leona XIII. Wybitniejsze też postacie katolickiego świata szkicuje wendyjskie pisemko w krótszych lub dłuższych obrazach. W szczególności rocznik ostatni zawiera życiorysy kardynałów Manninga i Newmana, biskupa Franciszka Bernerta, wikaryusza apostolskiego Saksonii, zmarłego w roku ubiegłym, jakoteż następcy jego ks. biskupa Wahla. Oprócz tego spotykamy tam nekrologi niedawno zmarłych kapłanów łużyckich.

Jeden z artykułów p. t. *Wo rozschérjenju kschesczánstwa w Pólskej* bliżej nas obchodzi, jako rzecz traktująca o rozkrzewieniu chrześcijaństwa w kraju naszym. Niestety przyznać trzeba, że autor nie był obznajomiony z przedmiotem. Dzieje nawrócenia Polski traktowane są pobieżnie i zdradzają niezbyt głęboką znajomość historyi. Wolną od tego zarzutu jest druga monografia o katolicyzmie w Abissynii, *Katholska cyrkej w Abyssinskej* (Kościół katolicki w Abissynii). W sposób zajmujący kreśli tu autor postępy wiary w tym kraju dalekim, począwszy od pierwszych wieków ery chrześcijańskiej. Opisuje treściwie, jak w kilku pierwszych wiekach chrześcijaństwo pomyślnie tam się krzewiło, jak następnie skutkiem wpływów sekty jakóbickiej Abissynia oderwała się od prawdziwego kościoła, oraz jak w początkach XVII. w. Jezuici i Kapucyni pracowali nad jej nawróceniem; najdłużej zatrzymuje się autor przy wypadkach bieżącego stulecia: kreśli obszernie ostatnią wojnę abissyńsko-angielską, oraz panowanie dzisiejszego króla czyli *negusa* Menelika, którego przychylności względem katolickich misyonarzy przypisać należy, iż Abissynia podąża szybkim krokiem do zupełnego powrotu na łono katolickiego Kościoła. Cały ten artykuł odznacza się gruntownością i zręcznem ujęciem przedmiotu. Wspomnieć tu jeszcze musimy o krótkim szkicu noszącym tytuł: *Wo rozschérjenju kschesczánstwa w Ruskej.* Autor opierając się na kronice Nestora, podaje szczegóły o rozkrzewieniu się chrystyanizmu w Rosyi, właściwie mówiąc na Rusi kijowskiej. Praca ta nie jest pozbawiona pewnych zalet... nie pojmuję tylko, dlaczego autor nie uwydatnił wcale tego, iż Rosya chociaż przyjęła chrześcijanizm, nie jest jednak katolicką, tylko schyzmatycką.

Z katolickich wiadomości bieżących, umieszcza pismo wendyjskie wiele szczegółów o misyach, przedewszystkiem afrykańskich; wiadomości te bierze *Katholski Posoł* — za co go oczywiście winić nie można — z drugiej ręki, przeważnie z wydawnictwa Jezuitów niemieckich: *Katholische Missionen.*

W dziale beletrystycznym znajdujemy parę nowelek na tle afry-

kańsko-misyjnym osnutych. Do nich należą między innemi *Cžornochowy skapulir* (Skaplerz murzyna) i *Wobroczeny kuzlar* (Nawrócony czarownik). Treścią pierwszej jest opatrznościowe oswobodzenie murzyna z niewoli za pośrednictwem szkaplerza, drugiej zaś nawrócenie indyjskiego czarownika czyli *baghata*. Oprócz kilku pomniejszych opowiadań takiej samej niemal treści, do szeregu nowel zaliczyć jeszcze można *Dopomnjeńki — wopomnjeńki* (Pamiątki i wspomnienia), w których Jerzy Libsz zawarł swą autobiografię. Wszystkie te powiastki tchną duchem religijnym, a nie goniąc za drażniącymi efektami, poczciwie bawią czytelnika i uczą zarazem.

Najbardziej jednak uwzględnia *Katholski Posoł* sprawy bliżej obchodzące Łużyczan. Zapełniają one stale nader obszerną rubrykę *Z Lužicy a Sakskeje* (z Łużycy i Saksonii). Towarzyszą im wieści ze świata, *Z cyłoho swěta*, w których ilekroć o Polakach mówić przyjdzie, obdarza nas zawsze *Katholski Posoł* szczerą i pełną sympatyą.

Wreszcie poezya... gdzie jej dziś niema?! *Katholski Posoł* umieścił w ostatnim swym roczniku kilka wierszy poczciwą wprawdzie nacechowanych myślą, ale niestety niezbyt udatnych co do formy. Na pochwałę jednak tych poetów przyznać trzeba, że najszlachetniejsze są źródła ich natchnienia. Główną i jedyną prawie nutą, jaka dźwięczy w ich pieśniach, jest głęboka religijność i miłość gorąca ojczystego zagonu. Ostatnie z tych uczuć przebija najbardziej w wierszyku J. Ćišinski'ego, poświęconym *serbskim hospodarjam*. Poeta zaleca swym rodakom, aby nie sprzedawali ani piędzi rodzinnej swej ziemi, ale wiernie stali w jej obronie:

Haj tuž, hospodarjo serbscy hajcźe
Pola, łuki, lěsy, domy serbske,
Waschich prjedownikow kubło herbske!
Hruzlik serbskej' zemje njepschedajcźe
Žadyn! Pod serbowsku khorhoj pójcźe!
K Serbow roli, splahej swěrnje stójcźe![1]

Tytus Sopodźko.

[1] Hej wy gospodarze serbscy — ukochajcie
Pola, łąki, lasy, serbskie chaty,
Ten waszych przodków spadek bogaty,
Grudki serbskiej ziemi nie sprzedajcie
Żaden!... Pod chorągwiami idźcie serbskiemi
I wiernie stójcie przy serbskiej ziemi!

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Projekt budowy kościołów w archidyecezyi lwowskiej. — Austryacki liberalizm wobec moralności. — Pomnik Husa w Pradze. — Ruch katolicki w Bawaryi. — Zmiana ministra kultu w Niemczech. — Wiece w sprawie zakonów w Poznańskiem. — Głosy protestanckie za zakonami. — Centrum po śmierci Windthorsta. — Prawa fiskalne przeciw zakonom we Francyi. — Opieka rządu nad wolnomularzami i buddystami. — Odezwy biskupów francuskich.

PROJEKT BUDOWY KOŚCIOŁÓW W ARCHIDYEC. LWOWSKIEJ.

JE. ks. arcybiskup Morawski w kurendzie z dnia 12 lutego b. r. dał inicyatywę do dzieła donioślejszego znaczenia. Postanawia mianowicie rozpocząć budowę nowych fortec na wschodnich kresach naszego kraju — jakiemi są kościoły, aby stały na straży wiary św., bardzo zagrożonej w tamtych stronach od obcych wpływów i indyferentyzmu religijnego, który coraz bardziej opanowuje tamtejszą ludność, pozbawioną należytej opieki duchowej. Na 700.000 ludności katolickiej obrządku łacińskiego w całej wschodniej Galicyi i na Bukowinie znajduje się zaledwie 240 kościołów, przy których są stali duszpasterze. Bardzo często parafianie są oddaleni od swego proboszcza o mil kilka, „rzadko kiedy mogą widzieć kapłana przy ołtarzu, do ich uszu nie dolatuje nigdy głos dzwonów kościoła parafialnego, małe dzieci wychowują się zdala od kościoła bez dokładnej znajomości prawd wiary św.“, chorzy i umierający,

zwłaszcza w porach deszczowych, często pozbawieni być muszą pociech religijnych.

Przeprowadzenie tej tak bardzo ważnej i nagłej sprawy oddał ks. arcybiskup we wprawne ręce, bo ks. biskupowi Puzynie, o którego roztropności i energii społeczeństwo nasze miało sposobność już nieraz się przekonać.

Mamy więc nadzieję, że myśl szczęśliwie podjęta, prędkie znajdzie urzeczywistnienie. Zbyt to ważny jest zamiar, a jego uskutecznienie aż nadto naglące, abyśmy potrzebowali dłużej nad nim się rozwodzić. Kurenda zwraca się przedewszystkiem do duchowieństwa, które najlepiej rozumie potrzebę i najłatwiej jej zaradzić jest w stanie; sądzimy jednak, że nietylko duchowni, lecz i świeccy przyklasną doniosłej inicyatywie ks. arcybiskupa i zechcą brać czynny udział w tak wielkiem i znakomitem dziele.

AUSTRYACKI LIBERALIZM WOBEC MORALNOŚCI.

Wobec zaciętej walki wyborczej, jaka się toczyła w tym miesiącu, partya t. zw. „liberalna“ nie pominęła żadnej broni, aby zohydzić kandydatów do parlamentu ze stronnictwa konserwatywnego i katolickiego, w czem naturalnie kłamstwo i oszczerstwo było najsilniejszym argumentem w braku innych przekonywujących dowodów. Odpowiedzieć na wszystkie oszczerstwa byłoby zbyt mozolną, a nie bardzo użyteczną rzeczą; bronić się jednak i oddalać złe wpływy od naszego społeczeństwa jest obowiązkiem każdego, zwłaszcza jeżeli weźmie się na uwagę, jakiej miary są niebezpieczeństwa, grożące ze strony liberalizmu. Bezstronnie zapatrując się na społeczeństwo, łatwo spostrzedz, że tam, gdzie liberalizm panuje, gdzie wprowadzono walkę przeciw Kościołowi lub jego prawom, moralność znacznie jest gorszą, niż tam, gdzie społeczeństwo jest prawdziwie katolickiem, t. j. trzymającem się w życiu zasad Kościoła katolickiego. Ciekawą pod tym względem możnaby zrobić statystykę, opierając się na urzędowej, wydanej w zeszłym roku *Oesterreichische statistische Taschenbuch*. Znajdujemy tam liczbę zbrodni, samobójstw, nieprawych lub nieżywo przyszłych na świat dzieci etc. w poszczególnych krajach koronnych Austryi. Otóż zestawiwszy pojedyńcze kraje w grupy, okaże się, że tam, gdzie

do parlamentu najwięcej wybrano liberalnych posłów, tam najwięcej stosunkowo jest zbrodni.

Ponieważ na stan kryminalności składają się i inne czynniki, jak: sposób zarobku, usposobienie, obyczaje i zwyczaje, weźmiemy w porównanie te tylko kraje koronne, które możliwie są sobie najpodobniejsze pod względem stosunków społecznych; — za takie uchodzą kraje alpejskie. Do pierwszej grupy zaliczmy kraje najbardziej liberalne, więc Karyntyę, Niższą Austryę i Styryę, do drugiej mniej liberalne: Salzburg i Austryę Wyższą, do trzeciej kraje najbardziej katolickie: Tyrol i Voralberg. Otóż z powyższej urzędowej statystyki okazuje się, że w r. 1889

		I. grupa	II. gr.	III. gr.
na 100,000	mieszkańców popełniono zbrodni	197	143	95
„ 10,000	śmierci było samobójstw . . .	86	47	40
„ 10,000	urodzeń było z nieprawych związków dzieci	2978	2181	541
„ 10,000	urodzeń przyszło na świat nieżywych dzieci	371	306	169

Cyfry te są tak wymowne, iż nie potrzebują komentarzy. Aż nadto dobrze dowodzą, czego od liberalizmu społeczeństwo nasze spodziewać się może.

Liberalizm występuje w rozmaitych krajach koronnych często także pod inną nazwą, zwłaszcza jeźli się doń przyłączy jakaś idea narodowościowa. Jedna jest cecha, po której zawsze można go poznać, w jakiejkolwiek byłby formie i pod jakiemkolwiek mianem: tą jest odstępowanie od zasad i ideałów katolickich. W Czechach z chwilą, gdy Młodoczesi przyszli do hegemonii nad innemi stronnictwami, ich liberalizm przedewszystkiem zamanifestował się w stolicy kraju. Oto rada miasta Pragi większością głosów dozwoliła na odstąpienie wolnego gruntu pod budowę pomnika dla Husa. Gdy parę lat temu w Rzymie stawiano pomnik Giordanowi Bruno, odezwały się głosy ze wszystkich krajów, potępiające fakt ten, jako ubliżający w najwyższym stopniu uczuciom katolickim. Dziś, gdy coś podobnego dzieje

się w Pradze — stolicy katolickiego kraju, uświęconej pamięcią śś. Wacława i Jana Nepomucena, zaledwie słabe głosy podnoszą się przeciw faktowi, który zarówno obraża uczucia religijne, jak i narodowe. Boć Hus nietylko był apostatą, podobnie jak Giordano Bruno, lecz nadto przyczynił się do bratobójczej walki w swoim narodzie i do upadku stolicy swego kraju, która już odtąd przez długie wieki nie podniosła się do dawnego w historyi i cywilizacyi zachodniej znaczenia. Czego się może Kościół spodziewać od Młodoczechów, którzy w dzisiejszym składzie rady państwa znaczące mają zająć stanowisko i silnie wpływać na bieg wypadków w Austryi — już z tego samego faktu można o przyszłości wnioskować.

RUCH KATOLICKI W BAWARYI. Za to bardziej pocieszające objawy dają się spostrzegać w Bawaryi, która po wszechwładnych rządach p. Lutza swobodniej zaczyna oddychać i przypomina sobie, że jest katolicką. Z okazyi 70-letniej rocznicy urodzin księcia-rejenta Luitpolda z końcem lutego odbył się w Monachium komers kilku katolickich stowarzyszeń studenckich, na który prócz nuncyusza przybyło trzech książąt z rodziny królewskiej. Co więcej, prezes ministrów i minister kultu p. Müller, brali nietylko udział w tej uroczystości, lecz nadto ten ostatni w wymownych słowach zwrócił uwagę młodzieży, że dom Wittelsbachów zawsze był obrońcą katolicyzmu, i zachęcił młodzież do wspólnej pracy w zachowaniu najdroższych ideałów, jakie się w religii znajdują, tak dla własnego dobra, jak i całej ludzkości. Drobny to fakt wprawdzie, lecz jeźli się zważy nadto, że po ustąpieniu p. Lutza sam książę-rejent wcale nie dwuznacznie zaznaczył w jesieni swe stanowisko wobec Kościoła, gdy wiecownicy katoliccy w Bawaryi hołd mu składali, — widać, że usposobienie się zmieniło, a może usuniętą została zapora do wyjawienia żywszych uczuć katolicyzmu. Do zmiany usposobienia w Bawaryi zapewne musiał się przyczynić przykład katolików w Niemczech i bezowocność kulturkampfu; lecz ten chociaż raz złamanym został, nie było żadnej gwarancyi aż do chwili obecnej, w której p. Gossler przestał dzierżyć tekę ministra kultu — czy ta walka kulturna

z nową zaciekłością, acz w innej formie, prowadzoną nie będzie. Do tego rodzaju walki zaliczyć należy dotychczasowe postępowanie rządu wobec stowarzyszeń katolickich nauczycieli elementarnych. Protestanckim i żydowskim nauczycielom wolno się łączyć w stowarzyszenia, a nikt tychże nie dogląda. Skoro jednak katoliccy nauczyciele założyli podobne stowarzyszenie, zaraz posypały się podejrzenia i denuncyacye, których owocem nakaz wyższej władzy, wydany inspektorom szkolnym, aby wzięły je pod swój szczególniejszy dozór. W Akwisgranie inspektor szkolny zmusił czterdziestu nauczycieli do wystąpienia z takiego stowarzyszenia. Tak samo postąpili sobie inspektorzy i w kilku innych miejscowościach pod pozorem, iż „knują się tam intrygi ultramontańskie".

ZMIANA MINISTRA KULTU W NIEMCZECH.

W ostatnich dniach zaszły w Niemczech wypadki, które mogą być zapowiedzią korzystnych zmian w postępowaniu rządu względem katolików, zwłaszcza w Księstwie Poznańskiem. Najgorszy wróg katolicyzmu i żywiołu polskiego, Gossler, otrzymał dymisyę, a na jego miejsce powołany został naczelny prezes W. Ks. Poznańskiego, hr. Zedlitz, który miał sposobność zetknąć się bliżej z naszem społeczeństwem i poznać jego potrzeby; wreszcie zamianowany został naczelnym prezesem W. Ks. Poznańskiego p. Willamowitz-Moellendorff, poważany od wszystkich obywatel ziemski w Poznańskiem, który okazał odrazu tyle śmiałości i taktu, że odmówił przewodniczenia komisyi kolonizacyjnej. Zkądinąd objawy życzliwości monarchy dla centrum są liczniejsze, niż kiedykolwiek. To też dzienniki niemieckie, protestanckie mają odwagę wystąpić także w imię sprawiedliwości przeciw dawnemu prześladowawczemu systemowi i bronić tak oczernianych dawniej Polaków, jak stanowiska centrum wobec praw szkolnych. Tak np. *Börsen-Courrier*, którego o zbytnią przychylność w tym względzie posądzać nie można, pisze między innemi: „Znosząc komisyę kolonizacyjną, nie dojdziemy jeszcze odrazu do końca rugów. Spuścizna księcia Bismarka wiele jeszcze wymagać będzie trudów... Na to jednak trzeba zawsze i zawsze zwracać uwagę, że mężowie, którzy obe-

cnie chcą te trudności usunąć, nie są ich autorami, ale że raczej chodzi tu o spuściznę po księciu Bismarku, o konsekwencye wielkich błędów, jakie wypełniły jego politykę wewnętrzną".

WIECE W SPRAWIE ZAKONÓW W POZNAŃSKIEM.

W kwestyi szkolnej dochodzą wiadomości, że nowy minister nowelę gosslerowską zamierza usunąć; lecz inna jeszcze pozostaje sprawa do rozwiązania. Katolicy Niemiec nie przestają domagać się zniesienia praw, wydanych przeciw zakonowi Towarzystwa Jezusowego i pokrewnym kongregacyom. W ostatnich czasach bardzo energicznie prowadzoną była agitacya na wiecach w całem państwie niemieckiem, aby jak największą liczbę podpisów do petycyi parlamentarnej zebrać. W samem Poznańskiem, prócz wieców, o których mówiliśmy inną razą, w ubiegłych kilku tygodniach odbyły się wiece w Steszewie, Gnieźnie, Pelplinie, Starogrodzie, Lubawie, Świeciu i Nowem Mieście. Związek ewangelicki skorzystał z tej sposobności, żeby rozdmuchać z popiołów starą sekciarską nienawiść i zabobonny strach przed Jezuitami.

GŁOSY PROTESTANCKIE ZA ZAKONAMI.

Zaznaczyć jednak musimy fakt, że nawet z obozu protestanckiego odzywają się głosy, potępiające postępowanie związku ewangelickiego i uchwał dawnego parlamentu, a oświadczające się za powrotem zakonów, a przedewszystkiem Jezuitów. Wśród tylu oszczerstw, rzucanych na zakony, miło nam wyczytać w protestanckim tygodniku *Deutsches Adelsblatt* z 15 lutego b. r. artykuł: „Szlachta i Jezuici", skierowany do wierzącej szlachty niemieckiej i do każdego, kto w chrześcijaństwie widzi jeszcze środek uleczenia niedoli naszych czasów. Autor, wychodząc z głównej zasady związku *Deutsche Adelsgenossenschaft*, którego powyższe czasopismo jest organem, aby stać wiernie przy apostolskiem wyznaniu wiary, wzywa „historycznie myślącego szlachcica, którego tradycye sięgają daleko wstecz przed nieszczęsnem rozdwojeniem narodowem", do występowania wobec kwestyj religijnych z możliwą objektywnością, do której obowiązują go właśnie owe tradycye. Ma on ze „spokojem i godnością", które są godne tak wielkiej sprawy, a nie

zapomocą „sztyletu i trucizny, zapomocą niegodnych i niskich środków niesprawiedliwości i nienawiści“ prowadzić walkę, która w nieszczęsnem rozdwojeniu rozdziera łono Kościoła Chrystusowego. W walce przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi: niedowiarstwu i materyalizmowi, szkodliwem jest dla stron obydwu wszelkie osłabienie sił, najzgubniejszem jest ono dla ojczyzny. Dziwnem musi się wydawać, kiedy wierzący ewangeliccy duchowni i świeccy nie cofają się przed tem, by Kościołowi łacińskiemu (katolickiemu) ograniczać prawo rządzenia we własnym domu. „Wiele milionów niemieckich obywateli uznaje w zakonach niezaprzeczone dziedzictwo swego Kościoła, a mianowicie widzi w najbardziej znienawidzonym zakonie Towarzystwa Jezusowego najskuteczniejszą broń przeciwko obecnej niedoli czasu“. Położenie nasze tak jest krytycznem, że nas zmusza do zaciągnięcia wszystkich sił do obozu, a w pierwszym rzędzie „Jezuitów, tych szermierzy przeciwko żywiołowi przewrotu..., torujących drogę w myśl pozytywnego chrześcijaństwa i monarchizmu z łaski bożej“.

Dodaje następnie autor protestancki: „kwestya jezuicka, zdaniem naszem, jest poprostu kwestyą prawa i sprawiedliwości“. Jakże można otwierać wrota socyalnej demokracyi, a wykluczać Jezuitów, którym obok „najwyższej osobistej nieskazitelności, w gruncie nic innego zarzucić nie można, jak chyba tylko gorliwość, siłę działania i zręczność w prowadzeniu sprawy, którą uważają za słuszną“. Niechaj więc rząd wymaże z pamięci ów „niegodny Rzeszy niemieckiej czyn samowoli“ w formie konstytucyi, przywracając znowu Jezuitów i silnem postanowieniem usuwając „uprzedzenie, niechęć i niechrześcijańską nienawiść, która, jakoby odwieczna choroba, przechodzi z pokolenia na pokolenie“; w ten sposób trzymać się będzie hasła domu Hohenzollernów: *Fiat justitia* i *Suum cuique*.

ŚMIERĆ WINDTHORSTA. Powyższe objawy są bardzo pocieszającymi i rokują dobry przebieg wypadków na przyszłość w Niemczech. Niespodziewana jednak śmierć Windthorsta, czy nie spowoduje zmian jakich w usposobieniu sfer rządzących względem centrum — to jeszcze trudno przewidzieć. Dzienniki stron-

nictw przeciwnych już tę śmierć eskontują i głoszą z tryumfem, że centrum teraz się rozbije, nie mając tej żelaznej ręki, któraby umiała potężną lecz zarazem i liczną armią poselską kierować. Zaprzeczył temu stanowczo książę-biskup wrocławski ks. Kopp w żałobnej przemowie nad grobem Windthorsta. Centrum nadto jest silne i świadome potrzeby zachowania jedności i zgody, aby w obecnej chwili miało się dzielić na partye; umarł wprawdzie Windthorst, lecz pozostały zasady, których bronił, a te prędzej czy później zwyciężyć muszą. Wkrótce się dowiemy o wyborze nowego przywódcy centrum. Wkońcu, jak pewnem jest, że czas ludzi zabiera, tak i to pewnem, że czas i okoliczności ludzi wyrabiają.

PRAWA FISKALNE PRZECIW ZAKONOM WE FRANCYI.

Podczas gdy w Niemczech zwrot ku polityce pojednawczej coraz bardziej się uwidocznia, we Francyi walka zacięta przeciw Kościołowi trwa dalej i coraz zaciętszą się staje. Od kilku miesięcy poczęto wprowadzać w życie ustawy, dawniej jeszcze wydane, na wniosek p. Brissona, pod nazwą: *loi d'accroissement*. Prawo to uważa majątek zakonu jako własność wspólną pojedyńczych członków. Gdzie jest np. dziesięć zakonnic, a klasztor z ruchomościami i nieruchomościami przedstawia kapitał 100.000 franków, prawo suponuje, że każda zakonnica jest właścicielką 10.000 fr. Otóż, jeżeli która umiera, państwo przypuszcza, że zgromadzenie odziedzicza po niej 10.000 fr. i każe sobie płacić podatku spadkowego 24·48%. Jeżeli zaś która występuje, prawo suponuje, że zgromadzenie przyjmuje drogą darowizny 10.000 fr. i każe sobie płacić podatek od darowizny 11·25%. Dołączają się do tego uciążliwe i niedorzeczne weksacye, jak np., że kiedy zgromadzenie posiada wiele domów we Francyi, przy śmierci każdego członka wszystkie domy winne złożyć deklaracyę, iż otrzymały proporcyonalną część spadku po nim i zapłacić podatek najmniej 2·25 fr.

W izbie deputowanych znaleźli się obrońcy zgromadzeń zakonnych i przedstawiali nietylko niesprawiedliwość, lecz nawet absurdum takiego podatku. Słowa swoje poparł jeden z deputowanych, p. Clausel de Coussergues, przykładami rzeczywistymi,

wyjętymi z życia. We Francyi jest obecnie Sióstr Miłosierdzia przeszło 10.000; po obliczeniu wartości wszystkich zakładów, jakie posiadają: ochronek, szpitalów i t. d., przypada na każdą suma 2300 fr. Domów Sióstr Miłosierdzia jest co najmniej 800, więc przy śmierci każdej siostry musi być 800 deklaracyj podanych fiskusowi, a licząc minimalny podatek spadkowy 2·25 fr. na każdy dom, fiskus otrzymuje razem sumę 2280 fr. za fikcyjny spadek po zakonnicy, który wynosi zaledwie 2300 fr. Jeżeli się zważy, że tygodniowo przynajmniej dwie siostry miłosierdzia umierają na 10.000 członków zgromadzenia, to fiskus otrzyma od nich przez rok 237.120 fr.!

Ks. biskup Freppel ze swojej strony przedstawił w izbie deputowanych fakt inny, tyczący się Boromeuszek w departamencie Main-et-Loire. Mają one tak ubogie szkółki i w nich sprzęty, że fikcyjny spadek, rozdzielony na pojedyńcze domy w razie śmierci której z zakonnic, nie wynosi jak pół franka. Pomimo tego każdy dom musi płacić podatek spadkowy 2·25 fr. Ponieważ jest tych domów około 100, więc podatek za fikcyjny spadek wartości 58 franków, wynosi według obecnego prawa 225 franków!

Gdy te i tym podobne zestawienia słyszał minister skarbu od niektórych deputowanych, całą odpowiedzią jego były słowa: „trybunały są otwarte; jeżeli czujecie się pokrzywdzonymi — zwróćcie się do nich“. Rzeczywiście już w pierwszych dniach stycznia b. r. wniesiono 400 spraw w tej mierze. Czy sprawiedliwość w dzisiejszej Francyi prędko zwycięży, wątpić wypada.

OPIEKA RZĄDU NAD WOLNOMULARZAMI I BUDDYSTAMI.

Nie lepiej dzieje się w krajach podległych Francyi, jak w jej stolicy. Na Madagaskarze od pewnego czasu wolnomularze poczęli rywalizować z posiewem chrześcijaństwa przez zakładanie licznych lóż sióstr i braci po kielni. Biskup z Tananarywy, ks. Cazet T. J., poczuwał się do obowiązku przypomnieć kary kościelne na tych, którzy wstępują w szeregi wolnomularzy. Sąd konsularny za ten list pasterski ukarał biskupa i wszystkich misyonarzy Jezuitów, znajdujących się na tej obszernej wyspie. Kara wynosi 1000 fr., a jako

odszkodowanie za „sponiewieranie sławy“ wolnomularskiej wyrokiem sądu musieli misyonarze złożyć nadto loży 10.000 fr.!

Więcej zabawne, jak zastraszające były owacye, robione dwom talapoinom czyli kapłanom buddyjskim, przybyłym do Paryża. P. Guimet ofiarował jeden pokój z muzeum narodowego na sanktuaryum dla Sakkia-Muni. W dniu 21 lutego odbyło się pogańskie nabożeństwo w obecności ministrów francuskich, pp. Floquett, Ferry, Clemenceau *et consortes*, tych samych, którzy lat temu dziesięć podpisali dekret zamknięcia kościołów katolickich i wygnania sług ołtarza.

Są to drobne fakta, króre dostatecznie malują niebezpieczeństwo, jakie grozi Kościołowi we Francyi.

ODEZWY BISKUPÓW FRANCUSKICH.

To też biskupi bardzo energicznie w listach pasterskich upominają wiernych o ich obowiązkach i umieją bronić praw Kościoła stanowczo i śmiele. Tak kardynał Foulon, arcybiskup z Lyonu, stanął w obronie pogwałconych praw zakonów, pozostających pod jego duchowną jurydykcyą, i w liście pełnym godności i siły odzywa się do prezydenta Rzplitej, aby cofnął zupełnie nowe ustawy, gdyż ich zastosowanie do zgromadzeń zakonnych nietylko narusza nietykalne prawa Kościoła, ale staje się niebezpiecznem dla samego państwa. Jako pasterz gorliwy, a zarazem gorący patryota francuski, kardynał Foulon zwraca uwagę prezydenta, że społeczeństwo, zamieszkałe w jego dyecezyi, oburzonem zostało na rząd dzisiejszy, gdy sprawiedliwość tak dalece naruszoną zostaje, iż częstokroć podatek fiskalny przechodzi wartość rzeczy opodatkowanej. Sankcya takiego prawa jest sankcyą nadużycia prawa i musi się przyczynić do rozpowszechniania pojęć, zakłócających porządek społeczny.

Te wszystkie bezprawia rządu nie zniechęcają przecież tej części katolików francuskich, która myśli o naprawie, a nie o zmianie formy rządu. Kardynał paryski, Richard, wydał list pasterski do wiernych, powierzonych swej pieczy, w którym wzywa do stanowczej jedności i skupienia się katolików, gdyż już o nic innego nie chodzi, jak o to, czy Francya ma być nadal chrześcijańską, czy nie. Sekta opanowała dziś ster rządu, a chcąc

zniszczyć Kościół katolicki, identyfikuje się z rządem. Katolicy muszą temu najenergiczniej przeszkodzić, aby bronić swej wiary, praw Kościoła i sławy narodowej. Rewindykacya szkół i szpitali dla chrześcijaństwa, zniesienie praw banicyjnych na zakony, uwolnienie kleru od obowiązkowej służby wojskowej, nie inaczej mogą być osiągnięte, jak tylko przez wspólną akcyę wszystkich katolików, a łatwiej to nastąpi, jeżeli porzuciwszy ideę monarchizmu, tak bardzo drażniącą republikę, silnie staną przy władzy dzisiejszej i okażą, że jeszcze da się odróżnić władza rządząca od sekty, która tę władzę dziś opanowała.

Ks. Marcin Czerwiński.

Irlandya w r. 1891.

List II.

Wiedziałem w r. 1886, że p. Parnell był — jawnogrzesznikiem. Do tego stopnia jawnogrzesznikiem, że go nie osłaniali podówczas własni jego koledzy... w klubach i w męskich gabinetach, nad butelką. Wiedziano gorsze rzeczy — jeżeli wogóle rozróżniać wolno — o Canningu, Wellingtonie, Palmerstonie i Derbym. Jakkolwiek zaś pozaocznego wyroku przeciw Parnellowi i pozaocznych, więc oczywiście jednostronnych, debatów rozwodowych nie można przyjąć bez słusznych ograniczeń — to jednakże wątpić niepodobna, że prywatne życie człowieka najwybitniejszego w Irlandyi zasłużyło na znamię grubej niemoralności. Już z tego samego powodu, i choćbyśmy się zapatrywali na całą sprawę z punktu li tylko światowego — p. Parnell powinien był ustąpić z jaskrawej widowni życia publicznego, spędzić czas jakiś na pokucie, a potem, wróciwszy do swych wyborców, żądać od nich dalszej nad sobą decyzyi. Otóż... p. Parnell miał właśnie plan ten; zamierzał ustąpić z krzesła prezydyalnego w narodowem kole, z takiegoż krzesła w lidze narodowej, z ławy poselskiej, z Anglii nawet — a powrócić dopiero po ślubie z kapitanową O'Shea, który nie może mieć prawnie miejsca, jak w sześć miesięcy po wyroku trybunału rozwodowego. Plan ten rozbił się o — „pewną sekcyę".

Istnienie „pewnej sekcyi“ w reprezentacyjnem ciele irlandzkiem datuje się od r. 1882. Byłem podówczas w Irlandyi i na początek scysyi patrzałem zbliska — a co zauważyłem, wypadło mi zpod pióra w opowieści, której krytyka polska raczyła dać znaczenie większe, aniżelim sam marzył [1]. Wspominam tu o tem jedynie w celu położenia nacisku na nienowość tej dysharmonii w kole irlandzkiem, która dziś się zakończyła pęknieciem strun, bodaj czy nie wszystkich, na irlandzkiej harfie.

Kiedy p. Parnell zajął w r. 1879 stanowisko „niekoronowanego monarchy“, partya jego składała się z 34 posłów, rozdzielonych (choć nie publicznie) na trzy grupy: 1) umiarkowanych homerulerów, chcących prowadzić dalej walkę O'Connella i Butta przeciwko unii z r. 1801; przedstawicielem tych był p. Shaw, który jednak ustąpił wkrótce i grupa ta zlała się przymusowo z grupą 2) Davittistów, szukających nowego hasła agitacyjnego, mianowicie agrarnego. Davitt był w więzieniu, w izbie nie zasiadał nigdy, lecz był znanym ekstremistą i wyznawcą teoryi Henryka George'a. W grupie tej głośnymi byli pp. Dillon i Sexton. Nakoniec 3) grupa składała się z Parnella, Biggara, Healy'ego i kilkunastu innych, którzy od r. 1876 prowadzili w izbie taktykę obstrukcyjną z niemałem powodzeniem i utrapieniem przeciwników. Davitt, wyszedłszy z więzienia, odbył konferencyę z Parnellem, skutkiem której nastąpiło założenie ligi agrarnej i ścisłe zjednoczenie grup.

Przeniesiono walkę narodową z gruntu, którego nie chciałbym nazwać sentymentalnym, a którego politycznym nazwać niepodobna — na grunt praktyczny, agrarny. W przewidywaniu obiecanej przez p. Gladstone'a reformy wyborczej, skutkiem której sama Irlandya miała otrzymać (i otrzymała w r. 1883) 400.000 nowych wyborców — postanowiono wciągnąć lud do czynnej ruchawki „politycznej“. Lud bowiem dość obojętnem śledził okiem po-O'Connellowskie zapasy o odwołanie unii — lud już był wyzwolony zpod jarzma dziesięcin anglikańskich, nauczyciele jego dzieci nie byli ścigani przez władze i nie potrzebowali uczyć poza płotami zagród — lud mógł posyłać kandydatów do stanu duchownego do Maynooth, zamiast do St. Omer, Louvain, Rzymu i Salamanki — lud mógł korzystać z nowego systemu oświaty i dzieci swe stawiać do konkursów rządowych w Anglii i w koloniach — lud miał

[1] *Hessy O'Grady.* Powieść oryginalna na tle stosunków obecnych w Irlandyi. (Cf. *Przegląd Polski* z lutego 1890). Powieść była pisana r. 1883; drukowana w *Bibliotece Warsz.* 1884—85.

prasę równie swobodną, jak Anglicy... ale lud marł głodem i nędzą w nieurodzajnych osadach, za które płacił czynsze brutalnej wysokości, i jeszcze nie był pewnym jutra.

Partya umiarkowańsza chciała prowadzić agitacyę autonomiczną *pari passu* z agitacyą agrarną: na lat kilka przemogła partya młodsza i osadziła się wyłącznie na agitacyi agrarnej. Wsparta okolicznością wielkiego nieurodzaju w Irlandyi (1879) zdobyła wkrótce pierwsze obniżenie stopy czynszowej (*Griffith's valuation*) — za tem nastąpiły inne. Parnell, posługując się obstrukcyą debatów, zwyciężał bezustannie i zjednał sobie nieograniczone zaufanie ludu. Po wielkiej reformie agrarnej z r. 1882 zdawało się, że koło narodowe porzuci agitacyę między ludem i wróci do programu Butta. Lecz, poznawszy wartość polityki namacalnej, koło zdecydowało się wyzyskać kwestyę ziemiańską aż do skutku. I tu się rozpoczyna zaraza demoralizacyjna. Rozumowali posłowie w ten sposób: lud, korzystając z nowej ustawy, rzuci się tłumnie do komisyj szacunkowych, zdobędzie dalsze obniżenie czynszów i będzie zadowolniony, bo... reforma jest istotnie radykalną i stanowczą: przez co upadną nasze hasła między ludem. Tego dopuścić nie można. — Cóż więc uczynił p. Parnell? Oświadczył poprostu specyalnym manifestem, że reforma jest obłudną, obosieczną; że tylko i jedynie liga agrarna zdolną jest do przeprowadzenia wszelkich tranzakcyj z komisyami szacunkowemi; że przeto lud powinien złożyć swe podania w biurach ligi, ta się zgłaszać będzie do komisyi i ostatecznie przyjmie lub odrzuci decyzye sądowe. — A z czegoż żyć będziemy? — zapytał lud. — Z kasy ligi — odpowiedziano mu, mając za sobą dolary „Domu Gaela“ i polityków waszyngtońskich, kupujących kreski irlandzkie w Stanach.

Demoralizacya w dwóch kierunkach: pogardy rządu i jego ustaw, oraz spuszczenie się na pieniężne zasiłki jałmużnicze — demoralizacya ta szalała bez upamiętania, stworzyła nowe związki mordercze, wzniecila pożogi w osadach włościan prawych, zmusiła rząd do administracyi koercycyjnej. Koercycya dolała oliwy do strasznych płomieni, uzbroiła ręce „niezwyciężonych“, przywiodła do Irlandyi i do Londynu „dynamitardów“ O'Donovana Rossy. Gdy rzeczy doszły do punktu kulminacyjnego, p. Gladstone wszedł w negocyacye z uwięzionym Parnellem! Jakiż to tryumf dla „niekoronowanego monarchy“! z jakim zapałem rzuciła się mu do stóp Irlandya i jak bezwarunkowe złożyła w nim zaufanie! Skorzystał z tego p. Parnell, gdy reforma parlamen-

tarna stworzyła 400.000 nowych wyborców w Irlandyi. Był despotycznym panem kraju, worków amerykańskich i... 84 posłów w Londynie!

Co głównie sprowadziło upadek O'Connella, jego zniechęcenie się do pracy politycznej? To samo, co jedynie przywiodło Butta do uchylenia się zpod jarzma narodowego: brak karności w kole poselskiem. Żywiołowi temu wcześnie zaparł drogę p. Parnell. Miał znaleść nowy zastęp posłów, z nowych okręgów wyborczych; sam przeto nominował kandydatów, wymógłszy od nich najściślejsze zobowiązania: ślepego posłuszeństwa szefowi i nieprzyjmowania urzędów koronnych. Nie było zaś w Irlandyi okręgu, któryby odrzucił nominatów szczęśliwego i ubóstwianego niemal naczelnika.

Naczelnik wyszukał narzędzia odpowiednie. Wykształcenia nie żądał, zamożności obawiał się. Potrzebował ludzi z zapałem, ile możności z poświęceniem; wymownym jest każdy Irlandczyk. Ludzi takich, znalazł w świecie drobnych urzędników, zdatnych dziennikarzy i reporterów, między młodzieżą narodowych klubów małomiejskich i dublińskich. Wzamian za bezwarunkowe posłuszeństwo, dał im to, co stanowi szczyt ambicyi dla angielskiego plutokraty, co jest *non plus ultra* dystynkcyi między arystoktatyczną młodzieżą W. Brytanii — dwie litery, przyczepione do nazwiska: *M. P., member of parliament*. Ponieważ zaś posłowie angielscy nie otrzymują żadnych dyet, a stanowisko ich wymaga przecież dość znacznych dochodów, więc naczelnik wyznaczył swym kolegom odpowiednie pensye roczne z funduszów ligi. Znam kilku posłów, pobierających do 300 funtów, którzy opuścili byli posady irlandzkie wartości 50 fnt. rocznie; inni nie posiadali nic zgoła. Niedziw, że partya narodowa była automatem, i to w ręku flegmatycznego szefa, Anglika z rodu, z wychowania, z usposobienia.

Lecz z czasem osobiste przymioty i zdolności tych panów zaczęły stawiać ich na widowni. Z czasem np. syn wiejskiej szynkarki, Sexton, został... lordem-burmistrzem irlandzkiej stolicy, bo tak rozkazał naczelnik; syn policyanta, Leamy, wychowaniec ochronki Braci w mieście Waterford, pogodził z obowiązkami posła studya notaryalne i prawnicze, pensya poselska doprowadziła go do adwokatury; podobnież wykierował się Healy, dziś najzażartszy przeciwnik Parnella — Healy, który pasał trzodę do dziewiątego roku życia! Długi jest regestr ludzi, którzy p. Parnellowi zawdzięczają wszystko. Wszyscy zaś oni byli aż nadto przeświadczeni, że tyle tylko znaczą w Irlandyi, ile się odznaczają wiernością szefowi i gorliwem spełnianiem jego programu. To też pracowali niezmordowanie, z coraz więcej gorączkową niecierpliwością

i ambicyą. Im wyżej wznosił się Parnell, pracujący z lodowatym spokojem i cynizmem, tem się oni skwapliwiej rzucali do oczu współziomków, zagarniali dla siebie urzędy gminne, zakładali prowincyonalne filie ligi, stawali na czele odpornych przeciw landlordom organizacyj lokalnych, zdobywali sobie wzięcie między duchowieństwem i ludem. Równocześnie gangrenowała ich zawiść szalona ku wielkości narodowego kolosu. Dodać muszę, iż Parnell jest osobiście niesympatycznym: maniery ma znudzonego magnata angielskiego, nie udziela się nikomu, niema w sobie ani kropelki rtęci irlandzkiej, tej krewkości, rozpychającej serce, którą się odznaczają synowie Erynu; nadto jest on bogatym landlordem, potomkiem starożytnej rodziny angielskiej i w każdym calu *an English gentleman*.

Jeszcze przed r. 1886 kipiała owa zawiść i niecierpliwość posłów. Później, gdy Parnell obrał Londyn za stałe mieszkanie i tu przykuty był nietylko swym romansem, lecz i konferencyami z obozem liberalnym, kiedy zresztą wyczerpywała się do dna agitacya agrarna, bo zrujnowani właściciele zgodzili się na czynsze niemal nominalne [1], wtedy najwybitniejsi koledzy naczelnika postanowili uczynić jeszcze jeden skok wielki, by zapewnić sobie na przyszłość stanowisko swobodnej powagi.

Przypomni sobie czytelnik, że w końcu r. 1888 wyczerpały się fundusze ligi, że wysłani do Australii delegaci, wrócili prawie z gołemi kieszeniami. Równocześnie podupadli landlordowie skupili się i założyli swą własną ligę obronną przeciwko rozkiełznanej dyktaturze ludowych organizacyj. Chciwie z tej okoliczności skorzystali posłowie. Ażeby dodać bodźca gasnącej ofiarności Ameryki i Australii, wszczęli oni wojnę przeciwko organizacyi landlordów (głównie w hrabstwie Tipperary) i przeciwstawili jej osławiony „plan kampanii“. Plan polega do tej chwili na tem, że niewolno żadnemu włościaninowi płacić czynszu landlordom: który z nich ma czynsz gotowy, winien wpłacić go do kasy ligi narodowej, ta zaś żąda od landlordów zniżenia czynszów do swej miary. Zniżki ciągłe mają cel jeden tylko: wyrzucenie landlordów z kraju, rzekome oddanie „Irlandyi Irlandczykom“, według teoryi Michała Davitta, znanego anarchisty i demagoga. Naprożno odezwali się biskupi i mniej skrępowani kapłani: „plan kampanii“ prowadzony jest

[1] Sir Robert Poe, właściciel dóbr w hrabstwie Galway, miał po roku 1882 dochodu rocznego 2600, dziś ma 385 funtów! choć majątek zachował całym.

z nieubłaganem okrucieństwem. Lud chciałby płacić czynsze, Dillon i O'Brien nie pozwalają; kto ukradkiem zapłacił, ten życiem przypłacił własnem lub dziecka[1]. Właściciele eksmitują wreszcie, lecz opróżnionych farm nikt nie zajmie, kto dba o swą głowę! I taki stan rzeczy ma sprowadzić ostateczną rewolucyę, skutkiem której nie będzie panów, ani obcych na ziemi irlandzkiej, a będą tylko swojscy właściciele, nie winni czynszu nikomu!

Bohaterami „planu kampanii" są: pp. Dillon, O'Brien, Healy, Sexton i T. D. Sullivan. Prasa polska (idąc potulnie za francuską) oddała i dotąd oddaje niedorzeczne pokłony ludziom, którzy zaszczepili najwyuzdańsze chucie w wielkiej części irlandzkiego narodu, których akcya bronioną być nie może w żadnym trybunale cywilizacyi. Kiedy pp. Dillon i O'Brien uciekli z Irlandyi (ostat. października), prasa polska bez wyjątku witała ich entuzyastycznie na ziemi francuskiej, wierzyła ich bezczelnym ramotom o pogoni krzyżowców brytańskich i pancerników; ktoś z Polaków interwiewował nawet O'Briena i rozpisał się w *Kuryerze Codziennym* z prawdziwie bolesną, choć śmieszną nieznajomością alfy i omegi kwestyi irlandzkiej. Sądzą rodacy, iż pism ich Anglia nie czyta. Mylą się grubo! Nie tu miejsce dowodzić, jak dalece znaną jest dziennikarstwu angielskiemu codzienna literatura nasza; powiem tylko, że aż nazbyt często, niestety, wstydzić się przychodzi człowiekowi, gdy się czyta, co niedbałość i, bodaj czy nie pogarda czytelnika, rzuca w łamy dzienników polskich, zwłaszcza we wszech kwestyach polityki angielskiej.

Gdzież była i gdzież jest moralność p. Gladstone'a wobec „planu kampanii"? Ubolewał on nad „wielu... wynikami *(developments)* organicznych trudności irlandzkich", ale ani razu nie potępił otwarcie zbrodniczej taktyki swych sojuszników!

Milczał także Parnell. Że potępiał akcyę posłów *in foro interno*, dowiódł tem milczeniem, gdy koledzy zażądali od niego wyraźnej sankcyi i wzięcia osobiście udziału w ostatniem generalnem posiedzeniu ligi; że zdania swego nie wyraził otwarcie, to dlatego, bo już przeczuwał, co nadejść miało. Inni mówią, że chciał pofolgować skrajnym kolegom, by się ich tem łatwiej pozbyć z pomocą biskupów, duchowieństwa, a przedewszystkiem Rzymu.

Venit illa suprema dies! Gdy nie udały się intrygi Gladstone'a

[1] W listopadzie zbóje chcieli zastrzelić farmera Mac-Kennana; strzelili w okno w nocy i zabili na miejscu córkę uczciwego dzierżawcy.

z Parnellem, gdy tenże uparł się niewzruszenie przy absolutnej niezależności swej od stronnictw angielskich, *the grand old morality*, wyprawił Labonchere'a („praczkę liberalną") z propozycyami do „pewnej sekcyi". Treści propozycyi nie znamy; domyśleć się łatwo, że teka, odrzucona przez Parnella, miała przypaść Sextonowi; podobno Healy'emu obiecano prokuratorstwo Irlandyi, innym inne urzędy i względy wzamian za solidarność koła z eklektycznym obozem liberalnym. Obiecano im oczywiście i „autonomię". Jaką? Jowisz powiedzieć nie chciał, mimo wszelkich nalegań obydwóch dziś sekcyj ciała narodowego.

Dalekim jestem od panegiryzowania Karola Parnella. Chciałem zaznaczyć położenie nieszczęśliwej Irlandyi w progu rozpoczętego roku. A położenie to streszczam w następujących punktach: kwestyę agrarną rząd załatwił, jak mógł najlepiej, nawet z wyraźną krzywdą niektórych landlordów; kwestyę tę utrzymują rozpaczliwie na patelni ci z byłych kolegów Parnella, którzy na barkach ludu sięgają po osobistą dystynkcyę. Rząd wprowadza niemal przemocą do kraju ratunek przemysłowy, skrajni agitatorzy wojują zapalczywie przeciwko wszelkim drogom niechybnego dobrobytu, by lud zachować przy sobie. Rząd gotów jest nadać Irlandyi układ autonomiczny, podobny angielskiemu, agitatorzy żądają natomiast autonomii krajowej, zupełnie niezależnej od parlamentu „obcego". Rząd czyni reformy donioślejsze zależnemi od położenia kraju i usposobienia, agitatorzy żądają *hic et nunc*, dla siebie, kompletnej władzy autonomicznej ... nad społeczeństwem z gruntu zdemoralizowanem.

Czy odpowiedziałem na trzy pytania neutralnego trybunału rozjemczego, czytelnik niech łaskawie osądzi. Przyszłość najbliższa objawi, czy Parnell potrafi wrócić kiedykolwiek na stanowisko, na którem przysłużył się Irlandyi wiekopomnie i mógł się był przysługiwać skuteczniej, gdyby ślepa namiętność nie była go ubezwładniła. Jeżeli Parnell — lub ktoś nowy, jemu podobny — nie podejmie czynnie pracy zerwanej tak niespodzianie... natenczas duchowieństwo irlandzkie wkroczyć musi między rozszalałych demagogów, a świętą sprawę Erynu.

Słów kilka o stosunku duchowieństwa do spraw narodowych dzisiejszych — muszę zachować do następnego listu.

Edmund Naganowski.

Z podróży po Brazylii.

Zapiski, dotyczące kolonizacyi tego kraju.

II.

Prowincya Espirito Santo, leżąca na północ od Rio de Janeiro, jest jedynym przez rząd brazylijski dla kolonistów otwartym krajem, w którym plantacyą kawy trudnić się mogą.

Espirito Santo, wybrzeże najbogatszej prowincyi brazylijskiej Minas Geraes, zajmuje około 30.000 □ km przestrzeni. Ze względu na żeglugę posiada brzegi dość dobrze rozwinięte, które tworzą kilka przystani, mniejszym statkom przystępnych, jak: Itapemirim [1], Benevente, Guanapary, Victoria, ujście rzeki Rio Dôce i St. Matheus, z których Benevente możnaby łatwo przekształcić w rzeczywisty wielki port.

Kraj wogóle górzysty, posiada klimat zdrowy i przyjemny dla Europejczyków. Wpobliżu morza góry ustępują i powstaje wąski pas moczarów, który w północnej stronie rozszerza się w rozległą, błotnistą równinę. Wszędzie tu lasy dziewicze, a po dolinach mnogie strumyki i rzeczki. Główna rzeka, Rio Dôce (słodka rzeka), płynąc od źródeł swych w Minas ku wschodowi, przecina Espirito Santo na dwie części. Część północną aż do rzeki Panka zamieszkują Indyanie, zresztą równiny jej, od morza się ciągnące, dla niezdrowego klimatu są nader słabo osiedlone. Na południe od Rio Dôce znać więcej śladów kultury: w dolnej części prowincyi znajduje się ziemia w posiadaniu fazenderów; więcej na północ ku rzece rozciągają się kolonie, jak: Rio Novo, St. Izabella i największa z nich St. Leopoldina, która rozpada się na trzy części: Porto Cachoeiro, St. Cruz, Bacho Timbuy. Punktem zbornym jest Porto Cachoeiro nad rzeką St. Maria do Cachoeiro, która jest aż do tego miejsca spławną i tworzy łączność komunikacyjną ze stołecznem miastem Victorią, tylko o 52 km odległą. W Porto Cachoeiro jest ożywiony handel kawy. Mimo, iż wszędzie napotyka się Polaków, jednak Bacho Timbuy jest głównie przez nich zamieszkałe. W r. 1872 przybyło do południowych okolic Brazylii około 200 polskich familij z Księstwa Poznańskiego i z Prus zachodnich; znaczna ich część, nie zna-

[1] W języku Indyan Puri znaczy *itap,* kamień; *mirim,* mały.

łaszy gotowego dla siebie ulokowania, zaraz odesłaną została: 40 rodzin zostało i osiedliło się. Nie wiodło im się jednak w tamtych stronach i w nadziei polepszenia losu w r. 1878 przeniosły się owe rodziny do prowincyi Espirito Santo i osiedliły się w Bacho Timbuy. Polscy ci przybysze, jak wogóle wszyscy tutejsi koloniści, trudnią się uprawą kawy, i to z niezłym skutkiem, bo doszli już do mienia. Siedzą tu jednak w ukryciu i zapomnieniu, wszyscy bowiem tutejsi osadnicy, o ile zauważyć można, bardzo są zazdrośni o ziemię, zdatną pod uprawę kawy, i dlatego niechętnie dają znaki życia, bojąc się, aby większy napływ kolonistów nie zrobił im uszczerbku w dochodach.

W Espirito Santo znajdują się nadto rozległe obszary, przez rząd dla świeżo przybywających osadników wymierzone. Każda parcela zawiera około 30 ha, a świeżo przybyły kolonista otrzymuje ją za połowę ogólnej ceny, t. j. mniej więcej 120 marek, na wypłatę.

Doświadczenie uczy, że kawa tylko w pewnej udaje się wysokości. Wysokość tę oznacza dziko rosnąca „palmitta“ (palma kapuściana): gdzie ta roślina pokazywać się zaczyna, tam jest najlepsza sfera kawowa. Wyżej zaś, gdzie palmitta najbujniej rośnie, już jest za zimno na drzewa kawowe, które tam wprawdzie z początku bardzo dobrze rosną i w trzecim roku nawet więcej owocu wydają, niż inne, na odpowiedniem miejscu sadzone, lecz za to marnieją zupełnie w szóstym, kiedy kawa zwykle dopiero pełne wydaje żniwo.

Brak wiadomości w tym kierunku wyzyskują urzędnicy rządowi, którzy na własną korzyść prowadzą sprawy kolonizacyjne. Nowo przybyłemu pozostawiony jest poniekąd wolny wybór parceli, lecz często da się namówić na kawałek ziemi, niezdatny pod uprawę kawy, który ma tem większy urok dla niedoświadczonego, im bliżej komunikacyi lub innych osadników się znajduje. Poniewczasie, gdy kolonista mozolną pracą doprowadził swoją parcelę do pewnego stopnia kultury, poznaje on dopiero pomyłkę; wnosi więc do rządu, żeby mu pozwolono zamienić swój kawałek na parcelę jeszcze niewykarczowaną. Rząd przyzwala pod warunkiem, że kolonista poniesie koszta nowego wymiaru 140—160 marek. Naturalnie przechodzi cała rzecz przez ręce bezpośrednich urzędników kolonizacyjnych, którzy jej nadają następujący obrót: mając na własny rachunek nabyte grunta, przesiedlają na nie niezadowolnionego osadnika, a zabierają wzamian za to do własnej dyspozycyi opuszczony przez niego kawałek, który wskutek kilkuletniej uprawy nabrał większej wartości i łatwo sprzedanym być może. W taki sposób urzędnicy nie ponoszą żadnej szkody w ziemi, a koszta wymiaru,

jako czysty zysk, do własnej ściągają kieszeni. Ze strony rządu nie napotykają wychodźcy żadnych trudności co do spłaty otrzymanego gruntu; nawet ci, którzy już tutaj od 20 i 30 lat się osiedlili, dopiero teraz ostatnie spłacają raty. Wymierzone obszary znajdują się nad pobocznemi rzekami Rio Dôce, mianowicie nad Mutum i górnym Ribero do Pao Gigante (rzeczka olbrzymiego drzewa), t. zw. kolonie Mutum i Comte D'Eu, która w ostatnim czasie uzyskała republikańskie miano Quinto Bocajuva. Na takie ziemie udający się koloniści odbywają drogę na koszt państwowy dopóki nie staną na miejscu w t. zw. baracon. Budynek ten jestto poprostu na palach podparty dach z liści palmowych, pod którym są na wzniesieniu urządzone łóżka z trzciny bambusowej, co nadaje mu podobieństwo do suszarni. Zbyt nisko lub całkiem na ziemi spać niepodobna dla wielkiej ilości jadowitych węży, które w nocy pełzają; z obawy przed nimi już o zmroku nikt nie śmie wyjść do lasu. Wpobliżu osad, dłużej już zamieszkałych, mniej pojawia się węży, tępią je bowiem psy, których wielka ilość uwija się koło zagród kolonistów. Plaga ta dotyka całą Brazylię, a są okolice, mianowicie w Minas, gdzie prócz zwykłych węży znajdują się gady czy owady latające, ze skrzydłami przeźroczystemi jak u muchy i z długiem żądłem, które spadają jak kule, a są niezmiernie jadowite, tak iż najmniejsza rana w kilku minutach śmierć przynosi. Krajowcy z przesadą, sobie właściwą, twierdzą, że nawet drzewo, rażone przez latającego węża, wkrótce usycha. Gatunek ten zbiega się gromadnie do światła, to też mieszkańcy, skoro tylko ogień zatli się na kominie, zamykają szczelnie wszelkie otwory domu, dusząc się w dymie i upale nieznośnym.

Pierwszą troską kolonistów, skoro przybędą na miejsce, jest żywność. Dostarczy jej skory do usług właściciel „vendy". Jestto kramarz, który przybył razem z transportem kolonistów, zaopatrzony w niezbędne prowianty, jak: mąkę z kukurydzy, słoninę, suszone mięso i przyprawy do gotowania. Ponieważ i na przyszłość on jeden wyłącznie ma środki sprowadzania potrzebnych artykułów dla świeżo osiedlonych, tworząc jedyny łącznik kolonii z resztą świata, niedziw, że wkrótce staje się tem dla kolonistów, czem jest „fazendero" [1] dla swoich najemników — wyzyskującym wierzycielem, który pochłania mniej więcej dziesięć lat pracy kolonisty.

Rząd brazylijski zatrudnia wprawdzie osadnika zaraz po przyby-

[1] Patrz w poprzednim liście: *Przegląd Powszechny*, marzec 1891 r., str. 463.

ciu przy budowie dróg do sąsiednich miejscowości, lecz płaci stosunkowo tak mało, iż z tego nie można się utrzymać. Zresztą zarobku, który wynosi za dzień 800 reisów do 1 milreisa (1.60—2 złr.), wedle wieku, nie dostanie robotnik do ręki, lecz za to otwiera mu rząd w odpowiedniej wysokości kredyt u karczmarza. Osadnik nie może jednak codziennie chodzić na rządową robotę, gdyż musi się równocześnie starać o uprawę własnej ziemi: potrzebuje zatem rozleglejszego kredytu, niż jest rządowy. Stara się więc o zaufanie właściciela vendy i zyskuje je w miarę tego, jak postępuje praca na jego gruncie, pod warunkiem, że długi przyszłą kawą zostaną uregulowane. Kto mało pracuje, może zginąć z głodu, bo karczmarz postępuje z nieugiętą konsekwencyą. Znajduje się tam jeden z Polaków, któremu spadające drzewo obydwie nogi pogruchotało, a że lekarza niema na zawołanie, zmuszeni byli sąsiedzi podjąć się amputacyi. Nieszczęśliwy ten kaleka kazał się żonie nosić do lasu, by dalej karczować i nie umrzeć głodem. Czego nie zapracował, poodddawali zań sąsiedzi, bo karczmarz nieszczęścia i kalectwa nie bierze w rachubę. Zaciągane długi u vendy przybierają aż do szóstego miesiąca pobytu w kolonii nader szerokie rozmiary, skutkiem wygórowanych cen za towary: po tym czasie wydaje ziemia pierwsze żniwo kukurydzy, przez co bieżące konto nieco się obniża; jednakże ogólna suma rośnie bez przerwy aż do trzeciego roku, kiedy kawa pierwszy wydaje owoc, za który można potrzeby co do słoniny i mięsa zaspokoić. Lecz dopiero w szóstym roku, gdy kawa do pełnego żniwa dochodzi, jest kolonista w możności upłacenia pierwszej raty swego długu, który go zwykle aż do dziesiątego roku i dłużej w zależności od karczmarza utrzymuje. Przez ten przeciąg czasu jest kolonista prawie tylko robotnikiem vendy, pracującym za wyżywienie, przytem jednak pokonywa on największą trudność, bo zamienia parcelę dziewiczego lasu na znaczny kawowy ogród i urodzajną glebę.

Z początku kleci osadnik u podnóża swej posiadłości, nad wodą, lepiankę z gliny i drzewa w sposób najpierwotniejszy, byle rychło stanęła; potem się bierze zaraz do karczowania lasu; wycina on drzewa na okrąg swej parceli, tak iż wszystkie ku środkowi padają, chcąc przez to odmierzoną kwaterę od reszty lasu oddzielić. Praca ta mimo swych niezaprzeczonych trudności w Brazylii daleko jest łatwiejszą, niż w Europie, gdyż tamtejsze drzewa dla zbyt bujnej wegetacyi więcej posiadają soków, a ztąd po większej części mniej są twarde, niż u nas. Są za to inne niedogodności. Drzewo krwiste po nacięciu wydaje czerwoną ciecz, płynącą jak krew z przerwanej żyły; t. zw. drzewo

dyabelskie, choć wygląda mile dla oka, odznacza się piękną korą i samo niejako się skłania dla strudzonego wędrowca, to jednak skoro go dotkniesz, parzy nielitościwie, aż bąble wyskakują na ciele.

Większa część drzew brazylijskich zalet praktycznych nie posiada prawie żadnych, bo ani na budulec nie służą, ani dobrego nie dają opału, tak, że Brazylia będąc prawie wyłącznie dziewiczym lasem, sprowadzać musi budulcowe drzewo aż z Szwecyi i Norwegii. Znachodzą się tu i owdzie drogocenne okazy palisandru (Jacaranda), lecz wyszukanie i wydostanie takich jednostek z dziewiczego lasu jest tak trudne, iż cenę ich do bardzo wysokiego stopnia podwyższa.

Skoro kolonista powali tyle drzew, iż znika obawa, aby reszty lasu nie objęły płomienie, wyczekuje dogodnej pory, aby stos zwalony podpalić. Mimo, iż ogień nie strawi wszystkiego i mnóstwo pozostanie niedopalonych żagwi, nie potrzeba ich usuwać, bo po roku zgniją zupełnie wras z pieńkami, tworząc, równie jak popiół, wyborny nawóz pod kawę.

Na tak przygotowanem polu sadzi się na początek około 400 krzaków, gdyż praca około tychże wymaga w pierwszym czasie wiele zachodu, ziemia bowiem niewyprawiona, bujnie puszcza zielska tłumiące wzrost kawy. Później, gdy płodność chwastów się zmniejszy, jeden samemu sobie pozostawiony osadnik jest w stanie podołać pracy nad tysiącem drzew, które taką samą jak owych 400 krzaków, zajmują przestrzeń (około czterech morgów = 1 ha), a pracy przy uprawie gruntu nie zwiększają. Reszta ziemi służy pod zasiew płodów do wyżywienia potrzebnych, a w większej części zostaje nadal z braku sił roboczych niewykarczowanym lasem.

Zagospodarowani koloniści trudnią się prócz kawy uprawą kakao, które wprawdzie daleko więcej przynosi dochodów, lecz dla początkującego ma tę niedogodność, że dopiero po dziesięciu latach pierwszy owoc wydaje; a i samo hodowanie jest daleko uciążliwsze niż przy kawie, bo kakao ma to do siebie, że korzenie jego nie znoszą operacyi słońca, a zasadzone znowu w cieniu, marnieje. Aby obydwa warunki wypełnić, sadzi się młodą roślinkę w doniczki z oderzniętego pierścienia trzciny bambusowej.

Wróćmy do kawy. Jeżeli kolonista szczęśliwie przetrwa pierwsze dziesięć lub dziewięć chudych lat, potem przychodzi łatwo do pieniędzy. Każde drzewko wydaje przeciętnie 3 kg kawy; już na miejscu 1 kg kawy przynosi jednę markę, a zatem dochód kolonisty dochodzi od 1200—3000 marek.

Pieniądze te obraca on na większy komfort w gospodarstwie, na zakupno krów bardzo tutaj drogich i jeszcze droższych mułów. Niektórzy pobudowali sobie ładne domy, jak np. w Bacho Timbuy niejaki Rodnicki, pochodzący z Prus zachodnich. Co z pieniędzy zostanie, to bez użytku leży „pod poduszką", gdyż koloniści brazylijscy nie znają sposobu bezpośredniego oprocentowania.

Jadąc przez Espirito Santo w kierunku od południa ku północy, napotyka się kolonie coraz więcej zbliżające się ku brzegom Rio Dôce, mimo że bezpośrednio nad tą rzeką niema gleby kawowej, lecz raczej nad jej przypływami. Za to z lewego brzegu tejże rzeki napotyka się palmittę, znak niewątpliwy ziemi kawowej w bliskiem oddaleniu 1 km. Ponieważ atoli z tej strony, pomiędzy rzekami Sisoni w Minas a Panką w Espirito Santo, znajduje się ziemia dla pobytu Indyan przeznaczona, dlatego i lewy brzeg Panki, chociaż leży poza obrębem Indyan, pozostał z zupełnie nieuzasadnionej obawy przed dzikimi do tego czasu niezamieszkały. Rząd porobił już wymiary tej urodzajnej gleby, by ją w najkorzystniejszych warunkach kolonistom odstąpić; nie znaleźli się jednak dotąd tacy, którzyby chcieli pierwsze lody przełamać i drogę utorować dla następnych — ziemia więc bezużytecznie spoczywa, mimo że w tamtejszych lasach znachodzi się dość często palisander brazylijski, który początkującym mógłby przynieść upragnione pieniądze.

Zbliżanie się do brzegów Rio Dôce jest wielkiej doniosłości dla osadników, gdyż w nowszym czasie rzeka ta stała się głównym torem wywozu kawy, chociaż w 1875 r. nikt o tem nawet nie myślał. Mniej więcej około tego czasu, znalazł się jakiś przedsiębiorczy Portugalczyk Mascarenhas, który w okolicy, odkąd Rio Dôce zaczyna być spławnym, a więc tam gdzie wpływa do prowincyi Espirito Santo, założył kolonię Porte Tatu. Ztąd przedarł się przez las do fazend leżących w Minas Geraes, których właściciele kawę na mułach wywozili i podjął się uskuteczniać eksport tegoż produktu rzeką. W 1887 r. przewiózł zapomocą małych łódek tylko 77 miechów kawy, a w dwa lata później ogromną już stosunkowo ilość (10.000 sakw), wartości prawie miliona marek. Z tego już osądzić można, o ile transport wodny przewyższa tanością i dogodnością transport mułami. Karawana taka składa się zwyczajnie z szesnastu mułów i dwóch ludzi do prowadzenia i uprzątania drogi; oprócz tego jedzie z karawaną komisyoner i kuchcik do przyrządzania jedzenia. Każdy muł dźwiga 2 cetnary kawy, zatem trans-

port jednorazowy wynosi wogóle 32 cetnary, wartości 1600 marek; muły robią dziennie około 24 km (=4 legna) drogi, tak iż w dwóch tygodniach dobijają do Porto Cachoeiro, odległego od miejsca wywozu o 52 legny. Na łódkę, którą czterech ludzi prowadzi, ładują około 200 mieców (240 cetn.) kawy i płyną z nią z Porte Tatu do Linhazes (które nie jest połączone z drogą lądową), niespełna trzy dni. Do tego zaś miasta dojeżdżają małe parostatki, które zabierają transport idący wprost do Rio de Janeiro. Doniosłość i ważność Rio Dôce dla Espirito Santo, poznali już Francuzi i dlatego jedynie ich towarzystwo kolonizacyjne obrało ową rzekę za pole swego działania. Dyrektor tegoż, niejaki Mr. Denisot, zawarł z rządem umowę, na mocy której podjął się za otrzymane obszary nad Lagoą (niskie, niegłębokie jezioro z błotnistem dnem), do Pao Gigante prowadzić żeglugę parowcami na rzece od ujścia tejże aż do Porte Tatu, wedle przepisanego planu, a odebraną ziemię 30.000 ludźmi osiedlić. Jednakże towarzystwo niedosyć się rozpatrzyło w stosunkach; skutkiem błot i bagien okolica ta obfituje w febry i wogóle odznacza się jak najniezdrowszem powietrzem. Obawa przed chorobami i śmiercią nie dozwala także używać tam wielu owoców, które Brazylia wydaje, mianowicie ananasów, co utrudnia sposób wyżywienia się. Nawet ryby są tu po większej części trujące, bo żyją w szlamie zakażonych jezior, ztąd trzeba być nader ostrożnym w korzystaniu z ich niezmiernego bogactwa we wodach tej prowincyi.

To też począwszy od pobocznej rzeki St. Antonio, kraj przy Rio Dôce mało się zaludnia, zwłaszcza że i ziemia jest tutaj głównie przydatna pod uprawę trzciny cukrowej, a produkt ten małej jest wartości dla kolonisty. Trzcina potrzebuje nietylko dwóch lat do dojrzenia, lecz, co gorsza, nie znosi transportu. Aby zaś na miejscu warzyć cukier lub pędzić okowitę, potrzeba odpowiednich fabryk, które są za kosztowne na zasoby osadników; a gdyby rzeczywiście nawet się wzniosły, nie możnaby dla braku należytych sił roboczych w ruch ich wprowadzić.

Mimo wielu stron ujemnych, przedstawiają się warunki w Espirito Santo jeszcze najkorzystniej dla osadników. Atoli nadmierne wytężenie sił i przykra walka z przeciwnościami są przyczyną, że niewielu dochodzi do upragnionego celu. Wogóle jest w Brazylii wiele

zasobów, by nie mrzeć głodem, może nawet w tym względzie jest ich daleko więcej niż gdziekolwiek indziej; lecz wielki brak pola gotowego dla rolnika sprawia, że trudno dochodzi się do pieniędzy. Jeszcze najlepsze widoki otwierają się dla kupców, gdyż brazylijskie firmy przyjmują z gotowością przy korzystnych warunkach uczciwych i sprężystych młodych ludzi. Kupcy atoli zbyt drobny biorą udział w emigracyi, zapewne skutkiem uprzedzeń do Ameryki, panujących w sferach kupieckich w Europie, gdzie jest mniemanie, zkądinąd uzasadnione, iż za ocean dążą tacy tylko ludzie, którzy w Europie uniemożliwili swój pobyt, albo są w swym zawodzie tak nieudolni, iż w rodzinnym kraju osiągnęliby tylko podrzędniejsze stanowisko. Rolnicy-koloniści tylko z trudnością i w małej części — jak to powiedzieliśmy — dochodzą w Brazylii do polepszenia swego losu majątkowego.

Zresztą choćby część naszych emigrantów podniosła się materyalnie, to i tak emigracya jest ciężką stratą dla naszego narodu. Inne kraje są w możności tworzenia towarzystw, które drogą pośrednictwa handlowego między kolonistami a krajem ojczystym pracę ich na pożytek obywateli własnego państwa obracają. U nas niestety, niedostaje tego środka. Jedno tylko jest wyjście — wynagradzać szkody ojczyźnie wyrządzone, powrotem z zarobionymi pieniądzmi. I tak Włoch-kolonista będzie uprawiał ziemię, handel prowadził, wogóle czynił wszystko, aby jak najprędzej przyjść do gotówki i zużyć ją dopiero we własnym kraju: nie osiedla się więc na obcej ziemi, lecz ją zużywa na wzbogacenie własnej ojczyzny. Taka droga pozostaje także i dla Polaków. Wprawdzie u naszego ludu nie spotyka się takiej żarliwości i sprężystości w robieniu pieniędzy, lecz spotyka się równą i większą chęć powrotu. Kolonista - Polak nigdy się zżyć nie może z nową ojczyzną: zawsze się tam czuje obcym, bo nie znajduje czynników, któreby go do miejsca przywiązywały: brak mu rodzinnej wioski, brak swobody, wesołości i towarzystwa, brak owych ślubów, chrztów, świąt kościelnych, i tylu innych rzeczy, z którymi się zrósł od młodu, a których niedostatek odczuwa nader dotkliwie.

Najboleśniej dotyka go jednak niedostatek w zaspakajaniu potrzeb religijnych.

W Brazylii rozciągają się parafie na setki lub najmniej dziesiątki mil obwodu; najbliższy ksiądz mieszka w odległości 50 mil i więcej, bardzo uciążliwej drogi, funkcye zaś religijne odrabiają się wogóle za

drogie tylko pieniądze, co wobec tak niezwykłych przestrzeni i taniości monety dla tych, którzy z gotowego żyją grosza, dziwić nikogo nie może. Lecz mimo nawet wszelkich ofiar, które osadnicy ponoszą, przeszkadzają im różnice językowe w korzystaniu z pociech religijnych.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, mają koloniści w Espirito Santo większą dogodność pod tym względem; razporaz wysłuchają przynajmniej mszy św., gdyż w tych stronach pracuje włoski zakonnik, O. Maroni; objeżdża on kolonie, i prowadzi z całem wylaniem i budującym przykładem pasterstwo opuszczonych dusz, mimo przeszkód ze strony tamtejszego duchowieństwa, gdyż ogólne rozprężenie egzystujących stosunków w Brazyli i księżom się w pewnej udzieliło części. Ale cóż z tego polskim kolonistom? O. Maroni nie mówi po polsku. Wobec tego budzą się wielkie obawy, że koloniści zdziczeją do reszty i zatracą zupełnie te dobre strony, które ich szczęśliwie wśród innych wyróżniają.

Aby złemu zapobiedz, możeby było bardzo na czasie, aby księża nasi, jak idą dzikim głosić wiarę, tak samo tutaj wzięli w opiekę opuszczonych, a pod ich wpływem większa część kolonistów odrodziłaby się moralnie a może i wróciła do kraju, zwłaszcza że ksiądz stałby się przewodnikiem w każdej życia potrzebie, a łączność duchową z krajem, utrzymałby własnym przykładem.

Tu byłoby pole do zasług przed Bogiem i ludźmi; tu poświęcenie, zasługujące na niezmierną wdzięczność!

Witold Skórzewski.

List z Antwerpii

o polskich wychodźcach do Brazylii.

Z łaskawie udzielonego nam prywatnego listu pewnego młodego polskiego podróżnika, wyjmujemy kilka charakterystycznych szczegółów w tak żywo obchodzącej nasze społeczeństwo sprawie wywozu białych, polskich niewolników do Brazylii.

Antwerpia, 12 marca 1891.

... Oglądając katedrę, posłyszałem przypadkiem nasze rodzinne *sz. cz:* obróciłem się... i zobaczyłem dwóch polskich chłopów. Pokazało się, że to emigranci zpod Warszawy; długa więc z nimi rozmowa. Wypytywałem się ich o wszystko możliwe. Mieli już tylko 15 marek na całą drogę do Brazylii, trochę więc ich poratowałem. Powiedzieli mi, że właśnie cały statek z nimi tu przybył; naturalnie chciałem ich wszystkich razem zobaczyć, języka zasięgnąć w tak ważnej dla nas sprawie i pobiegłem natychmiast do portu.

Statek duży, z kompanii *Lloyda;* mieścił on w sobie 2200 tych biedaków z żonami i dziećmi.

Otoczyli mię zaraz, ciesząc się, że Polaka spotkali, ale z godzinnej rozmowy bardzo smutne odniosłem wrażenie. Nadzwyczaj pesymistycznie usposobieni, wysprzedali się ze wszystkiego co mieli; wielu miało i po sześć morgów gruntu, a teraz kompletnie goli. Wszyscy z okolic Płocka, Warszawy i samej Warszawy, chłopi i rzemieślnicy. Nie tracą nadziei, że Brazylia to Kanaan, ziemia mlekiem i miodem płynąca, i wierzą w niemożliwe brednie, których im agenci w uszy nakładli.

Wygadują na kraj; jako powód emigracyi podają nędzę, którą w kraju cierpieli, i zupełny brak jakiegokolwiek zarobku. Mają między sobą kilku mądralów, którzy się już przedzierżgnęli w kompletnych socyalistów; nienawidzą szlachty i wszystkich, którzy cośkolwiek mają. Wystawcie sobie, przytaczali mi Prusa i jego książki; ten prawdę pisze — mówili — co to szlachta z nami robi... i t. d. Nie miałem pojęcia, że czytanie może taki zgubny wpływ na niewykształconych wywrzeć. Nic nie wierzą opisom Dygasińskiego; agenci wytłumaczyli im, że on sam zabrał teraz rodzinę i wrócił do Brazylii, a jeździł tam po to tylko, aby wywiedzieć się, jak mu tam będzie. Zdaje się, że agenci nawet za księży się przebierają, bo mi mówili, że ich księża zachęcali do emigracyi.

Bilet i jedzenie mają darmo; strawę roznoszą im na blaszanych miskach. Pełno kobiet i maleńkich dzieci. Jedna dziewczyna znad Wisły w narodowym stroju, a na nogach płytkie, modne pantorelki, które w Bremie kupiła, a które tydzień będą trwać. Jakaś poczciwa kobieta, jak za dobrych czasów na ławce przed domem, tak i tu siedziała, cała zajęta toaletą głowy swojego dziecka, zapewnie nie bez po-

trzeby, bo ci ludzie jak śledzie popakowani. Tak mi żal, patrząc na tyle sił dla nas bezpowrotnie straconych, na tę nieokrzesaność i upór tych nieszczęśliwych, idących jak owce do zguby, że wypowiedzieć trudno. Wszystkie skarby mej wymowy wyczerpałem, próbując, czy mi się którego z tych emigrantów do domu zwrócić nie uda; rozumie się — napróżno!...

Druk ukończony 27 marca 1891 r.

INTERNUNCYUSZ PAPIESKI WŚRÓD REWOLUCYI.

(Mgr. de Salamon. *Mémoires inédits de l'internonce à Paris pendant la révolution.* Paris 1890).

Jedyną może rzetelną korzyścią rozmnożonych za dni naszych jubileuszów, to zwrot badań uczonych w kierunku tej lub owej rocznicy dziejowej, i skwapliwe odgrzebywanie odnośnych źródeł i dokumentów. Przeszłoroczne stulecie rewolucyi nietylko wywołało hołdy ślepych jej wielbicieli, lecz nadto zostawiło poważniejsze żniwo wydawnictw pamiętnikowych, oblewających pełnią światła zawilsze strony przełomu. I oto szybkie urządzenie stosunków kościelnych i rychły powrót do ładu w sprawach duchownych, następujący bezpośrednio po strasznej rewolucyjnej nawałnicy, przestaje zdumiewać po odczytaniu książki, której tytuł wypisujemy powyżej. Dowiadujemy się bowiem z niej, iż mimo upowszechnionego zamętu, w najcięższych chwilach terroryzmu, nie zerwała się nić łącząca duchowieństwo francuskie z Rzymem i Namiestnikiem Chrystusowym, i że wśród ogólnego przewrotu, wytrwałość i wierność kapłańska opierała się o skałę Piotrową, i ztamtąd odbierała wskazówki.

Wdzięczną jest niwa badań historycznych, i wieczne chowa ona w swem łonie niespodzianki. Dla samychże znawców okresu rewolucyi, imię mgra de Salamon było obcem, kiedy nagle szczęśliwe odkrycie włoskiego rękopisu w Rzymie dorzuciło nową a ważną kartę do tylokrotnie już spisywanej historyi. Dowiadu-

jemy się, iż gdy nuncyusz Dugnani opuścił stolicę, pod wrażeniem ciśniętej mu do karety głowy królewskiego gwardzisty, Pius VI. odrazu naznaczył swym internuncyuszem w Paryżu ks. de Salamon, urodzonego w Awinionie, a więc poddanego papieskiego, który jako audytor roty i członek parlamentu paryskiego, wyższe już piastował godności. Darmo się bronił od tego ciernistego urzędu. Pius VI. listem własnoręcznym zniewolił go do uległości; zaczem przeniesiono do jego mieszkania akta nuncyatury, i przez lat jedenaście, aż do przybycia mgra Caprary, wytrwał na niebezpiecznym posterunku przedstawiciela Stolicy świętej.

Wytrwałość ta jest tem godniejszą podziwu, iż człowiek, wychylający się z bardzo prosto i szczerze napisanego Pamiętnika, niema w sobie nic rycerskiego ani bohaterskiego. Spowiada się z małoduszności, nie rwie do męczeństwa, wyznaje, że lubi wygódki i łakocie, że wśród licznych zajęć, nieraz i brewiarza nie domówi, i wierniejszym bywa regularnemu zapijaniu czekolady aniżeli modlitwom kapłańskim; gastronomiczne wspomnienia wplatają się tu stale w historyczne opowiadanie; piszący nie tai się bynajmniej ze słabości ducha i doznawanych strachów; ale te właśnie wyznania dodają wiarogodności jego świadectwu, a jednocześnie wskazują raz więcej, jak słabemi narzędziami posługuje się nieraz Pan Bóg do najważniejszych posłannictw, oblekając je w danej chwili mocą i światłem z góry, obcem ich wątłej woli i przyrodzonej lękliwości. „Nie pożądałem męczeństwa, — pisze na jednem miejscu ks. Salamon — niedość się nawet przygotowywałem na śmierć, nie miałem dość odwagi, ażeby zachowywać potrzebną przytomność umysłu; mniemam jednak, iż mi Bóg odpuścił ową trwożliwość, ponieważ mogłem następnie przez kilka lat oddać słabe usługi Kościołowi i jego Głowie“.

Zaledwie objął nowy swój urząd, na najsroższą został wystawiony próbę. Siepacze rewolucyjni porwali archiwa nuncyatury i jednocześnie aresztowali domniemanego internuncyusza. Stawiono go nasamprzód wobec Marata, który ongi jako doktor tak dziwną receptę zapisał był księdzu Salamon'owi, iż ledwo ży-

ciem owej porady nie przypłacił, i tylko ocalonym został dzięki przezornej uwadze aptekarza, który go ostrzegł, iż mniemany doktor, sądząc po przepisanem końskiem lekarstwie, musi chyba być waryatem. Marat i jego towarzysze odesłali oskarżonego do więzienia, gdzie zastał mnóstwo kapłanów i znanych osobistości, zamkniętych pospołu w tak niskiem poddaszu, iż wyżsi wzrostem wcale się wyprostować nie mogli i przeważnie siedzieli lub klęczeli. Za całe posłanie rzucono tu nieco słomy, przez zakratowane okienko szczupłe wpływało światło i przemagające ciemności nadawały rzeczywiście tej smutnej miejscowości pozory przedsionka śmierci. A jednak nie tu miała ona doścignąć zebrane razem ofiary. Przeniesiono je niebawem do innego więzienia w Abbaye, gdzie zaświtał dla nich pamiętny dzień 2 września, nazwany słusznie nocą św. Bartłomieja rewolucyi. Część to najdramatyczniejsza opowieści ks. Salamon. Opisuje ze zwykłą prostotą, jak wśród obiadu drzwi od wspólnego więzienia nagle się rozwarły i klucznik zawołał: „Śpieszcie się co żywo, lud idzie na więzienia i już rzeź została rozpoczętą“. Zdala już dochodziła rosnąca wrzawa zbliżającego się pospólstwa. W licznem zgromadzeniu oczywiście przeróżne objawiły się uczucia. Zrazu groza tylko przemogła, wszyscy się oglądali za sposobem ucieczki. Daremnie! Drzwi były zaryglowane, okna ciasne i niedosięgłe. Jednych febra trzęsła, drudzy głośno narzekali. Pewien młody zakonnik lękał się tylko, iż go męczeńska korona ominie, ponieważ nie był jeszcze otrzymał święceń kapłańskich, a przewidywano, iż pierwsi księża wystawieni zostaną na szał rozwścieczonego ludu. Wtem wszyscy zwrócili się ku sędziwemu kapłanowi, który powagą, pogodą i pobożnością nad całem górował otoczeniem. Żądano od niego zrazu, aby całemu zgromadzeniu udzielił rozgrzeszenia *in articulo mortis*, ale świątobliwy mąż zachęcił zebranych do korzystania jeszcze z czasu, aby spowiedzią oczyścić sumienie. W mgnieniu oka jedni drugich zaczęli spowiadać, sam internuncyusz klęknął, aby uczynić wyznanie swych win przed owym świątobliwym starcem, — gdy po niejakim czasie wrócił klucznik, oświadczając, iż w więzieniu Karmelitów pijana tłuszcza wszystkich już księży wymordowała. Nie było

więc chwili do stracenia i ponownie nalegano o hurtowne udzielenie rozgrzeszenia w godzinę śmierci. Wszyscy otoczyli sędziwego męża bożego, który po krótkiej modlitwie zachęcił obecnych do odmówienia *confiteor* i z wielkiem namaszczeniem udzielił żądanej absolucyi *in articulo mortis,* a następnie sam się skłonił przed internuncyuszem, żądając od niego podobnej duchownej przysługi. Nikt z miejsca nie powstawał, wszyscy dokoła klęczeli, odmawiając wspólnie modlitwy konających. Ze skruchą i łzami każdy łączył głos swój do litanii i przysłuchiwał się słowom liturgicznym: „Wychodź duszo chrześcijańska" i t. d.

A tymczasem konanie się przedłużało, noc zapadła i dopiero około północy rzesza ludu uderzyła do bram więziennych, a wywaliwszy je szybko, rozpoczęła rzeź, ubraną w pozory sprawiedliwości. Po kolei stawiano więźniów przed trybunałem, naprędce ustanowionym, pytano, azali złożyli przysięgę na konstytucyę cywilną duchowieństwa, a za każdą odmowną odpowiedzią porywano ofiarę, aby ją w ogrodzie, dziedzińcu, a nawet w progach sali zamordować okrutnie. Przez trzy godziny z rzędu trwała rzeź przy świetle pochodni. Wyraźna Opatrzność czuwała atoli nad ks. Salamon'em: siedząc w ciemnej framudze głębokiego okna, uchodził baczności siepaczy i przyglądał się strasznym scenom mordu i rozlewu krwi w ciągłem oczekiwaniu własnego końca. Jeden z mowców improwizowanego trybunału wniósł między innemi o przydanie okrucieństwa do wymiaru sprawiedliwości narodu. Znęcano się też nad ofiarami, kłując pikami, raniąc śmiertelnie pałaszami, depcąc i bijąc oporniejszych, upajając się krwią i męką pomordowanych. Nareszcie osłabła gorączka oprawców, a gdy wywleczono z cienia i ks. Salamon'a, zręczną obroną i słowem potrafił odroczyć spełnienie wyroku i ujść narazie śmierci. Kilku zaledwie towarzyszów wraz z nim ocalało, reszta legła w ciasnym ogródku więziennym.

Ks. Salamon niejednokrotnie wspomina tu starą i wierną sługę, którą mu matka dała do zarządu domowego. Poczciwa owa kobieta w ciągu wszystkich prób i niedoli okresu rewolucyi liczne swemu panu złożyć miała dowody przywiązania i poświęcenia. To też i teraz, zaniepokojona o los jego i życie,

szukała wszelkich środków upewnienia się, azali i jego dosięgła rzeź więzienna. Poradzono jej sprawdzić na miejscu, czy nie odnajdzie ks. Salamon'a wśród trupów. Wszakże lokaj biskupa z Beauvais w podobny sposób odnalazł był swego pana, wygrzebując go zpod martwych ciał towarzyszów niedoli. Biskup jeszcze oddychał i żył pół roku dłużej, nie odzyskał jednak nigdy utraconej przytomności. Poczciwa służąca internuncyusza do stu trupów krwawych i nagich z kolei podnosiła i rozpoznawała; dopiero przekonawszy się, iż go niema między umarłymi, jęła rozwijać największą czynność, aby go wśród żywych odnaleść i poratować. Trudno opisać wszystkie zabiegi tej prostej, nie umiejącej nawet czytać kobiety. Słusznie twierdzić można, iż jej przywiązaniu i roztropności niejednokrotnie ks. Salamon zawdzięczał życie. Sama trzy razy więziona, jeszcze za kratami umiała służyć ukochanemu swemu panu: prała dla więźniów, a zarobione pieniądze składała, aby nimi ratować tułającego się w największem ubóstwie internuncyusza. Niedziw, iż jej poświęcenie doczekało się szerokiego uznania, i że sam nawet papież, o tej prostej cnocie powiadomiony, wyróżnił ubogą sługę wspaniałym podarkiem.

Na wszystkich szczeblach społecznych potęgowały się naówczas cnoty obok rozpanoszonego i szalejącego występku. Zapiski internuncyusza silnie uwydatniają te dwojakie prądy, znaczące się ustawicznie, nawet wśród podnieconych sztucznie tłumów. Jedni upajali się zbrodnią, — drudzy dokładali wszelkich usiłowań, aby zmniejszyć liczbę ofiar, ocalić skazanych, wyrwać nieszczęśliwych z grożącego im niebezpieczeństwa. Na obu szlakach przeciwnych jednaki zapał się przejawiał. Dzięki gotowej uczynności, którą zawsze na swej drodze napotykał, internuncyusz nietylko uchodził wciąż zasadzkom wroga, lecz jeszcze mógł regularne utrzymywać stosunki z Rzymem; sam wyznaje, że i w najciemniejszych dniach terroryzmu korespondencya jego z papieżem nigdy nie została przerwaną. Pewna giętkość osobista przyczyniała się do tego powodzenia. Ks. Salamon pisując do Rzymu, posługiwał się stylem jakóbińskim, z patryotyczną emfazą kreśląc odgłosy bieżących wypadków, wśród których zręcznie umieszczał potrzebne uwiadomienia. To też Pius VI. nazy-

wał go żartobliwie *mon petit jacobin,* nie szczędząc mu dowodów zaufania i łaski, za które ks. Salamon odwdzięczał się bezgranicznem przywiązaniem i czcią dla osoby Namiestnika Chrystusowego. Okrom zaś niebezpieczeństw codziennych, trudne było nad wyraz jego duchowne stanowisko z powodu zamieszania pojęć i sumień co do przysięgi, żądanej od kleru na konstytucyę cywilną. Przez czas dłuższy nie było pewności, czy ta przysięga jest dozwoloną, czy też wzbronioną kanonicznie. Pewien zamęt powstał zrazu w przekonaniach, dopóki nie nadeszły papieskie brewe, określające jawnie powinności duchownych, dla których rzeczona przysięga nie była rzeczą godziwą, ponieważ nie uznawała zwierzchnictwa Stolicy apostolskiej. Ks. Salamon rozwinął chwalebną czynność w rozszerzaniu objaśniających listów papieskich — a chociaż zgromadzenie narodowe ogłosiło było co dopiero dekret śmierci na wszystkich, którzyby upowszechniali lub drukowali pisma rzymskie, nikt go imiennie nie zdradził ani wydał przed władzami rewolucyjnemi. Wszelako nie rychło miał być koniec jego próbom. Acz nie uczestniczył w męczeństwach wrześniowych i niemal cudem wtedy ocalał, cięższe bodaj od śmierci czekały go potrzeby. Przez długie miesiące ukrywać się musiał w okolicach Paryża, nocując naprzemian w lasach, pod mostami, w opuszczonych kioskach lub poddaszach, błąkając się dniem i nocą, przebrany w sromotną karmaniolę i strój rewolucyjny, narażając na ustawiczne śledztwa, zaczepki i podejrzenia. Całe trzy miesiące karmił się wyłącznie ziemniakami, których mu dostarczała żebraczka z lasku Bulońskiego; bywało, zamiast śniadania, kilka orzechów przegryzie; nie było śladu dawniejszej miękkości, zamiłowania wygód i przysmaków.

I w tych to okolicznościach nierzadko docierano do internuncyusza, aby z rąk jego otrzymywać potrzebne dyspenzy, oraz postanowienia rozstrzygające o różnych sprawach sumienia, mianowicie w kwestyi małżeństw, których prawomocność kanoniczną nieraz w owych czasach trudno przychodziło rozeznać. Ks. Salamon nigdy własnemu nie dowierzając doświadczeniu, dobrał sobie, mimo trudności chwili, radę przyboczną, i znosił się z gronem światłych kapłanów, ilekroć ważniejszą przedsta-

wiano mu sprawę. „Tak to Bóg, Pan najwyższy wszech rzeczy, dostarcza nam środków służenia Mu nawet w najtrudniejszych okolicznościach; owszem, kto wie, azali nie dopełniano ściślej powinności religijnych w owych niebezpiecznych czasach, aniżeli za dni naszych". Dni te bezpieczniejsze doprowadzają nas do dyrektoryatu, w którym ks. Salamon upatrywał właściwy kres rewolucyi. Tymczasem dla niego samego okres ten miał przynieść jeszcze dalsze a dolegliwe próby.

Z zapisków internuncyusza wychyla się fakt dotąd nieznany: oto, że już dyrektoryat zawiązał był rokowania z Watykanem celem ułożenia konkordatu, który dopiero za konzulatu miał dojść do skutku. Tak to szybko katolicka Francya zatęskniła za uregulowaniem swych stosunków religijnych! — atoli projekt układów, choć już wydrukowany, wymagał nowej przysięgi na konstytucyę ze strony biskupów i kleru, zaczem Pius VI. odrzucił przedstawione sobie warunki pokoju, który odwlókł się tym sposobem do innego roku i innego panowania, gdyż dopiero kardynał Consalvi, pełnomocnik Piusa VII., wyrobił u Napoleona konkordat bardziej odpowiadający słusznym wymaganiom i godności Kościoła. Po zerwaniu rozpoczętych układów, położenie internuncyusza stawało się ponownie bardzo niebezpiecznem. Radzono mu nawet wycofać się na chwilę ze stolicy; ale ten człowiek, przyznający się tak pokornie i poprostu do przyrodzonej lękliwości, wytrwał niezachwianie na trudnem stanowisku, do jakiego przykuwała go coraz rozleglejsza korespondencya. W załatwianiu jej, a mianowicie w czuwaniu, aby każde pismo dochodziło miejsca przeznaczenia, nie sami duchowni czynnej udzielali mu pomocy i pośrednictwa. *Devotus femineus sexus*, płeć od samegoż Kościoła pobożną nazwana, wynajdywała stale tysiączne środki służenia sprawie bożej, i listy ks. Salamon'a długo uchodziły zazdrośnej uwagi policyi rewolucyjnej. Pewnego jednak dnia pochwycono kuryera, wiozącego papieżowi ostrzeżenie, aby wobec grożących wypadków, dłużej nie pozostawał w Rzymie. Przejęcie owego pisma, nowe na internuncyusza ściągnęło ciosy. Wtrącono go do ciemnicy gorszej od poprzednich więzień, zamknięto później razem z pospolitym zbrodniarzem, nie szczędząc przykrości i upoko-

rzeń; uprowadzono nawet wierną sługę, aby ją również wtrącić do kaźni. Wniesione oskarżenie stale jedne powtarzało zarzuty: zdrady stanu i stosunków piśmiennych z nieprzyjaciołmi państwa.

Gdziekolwiek zaczyna się prześladowanie religijne, pierwszym onego krokiem jest przecięcie stosunków z Rzymem. Ostatnie te rozdziały Pamiętnika mgra Salamon'a żywcem nam uprzytomniają trudności, stawiane naszym biskupom w korespondowaniu z Głową Kościoła. Z aktów śledztwa jedna odpowiedź ks. Salamon'a straszne rzuca światło na owe czasy. Zapytany o swe stosunki i przyjaciół, mógł odpowiedzieć śmiało i słusznie, że ich niema już zgoła, bo wszyscy zginęli na rusztowaniu; wymieniając zaś jednego z mniej znanych koryfeuszów rewolucyi, autor Pamiętnika wspomina, iż ten jeden człowiek był sprawcą śmierci kilku tysięcy ludzi! Wystarczało kilku takich przywódców, aby porwać i poruszyć uśpione fale namiętności ludu. Zbrodnie rewolucyj nie spadają nigdy na ogół, lecz na osobniki podżegające tłumy deklamacyami i oszczerstwami, dowolnie wymyślanemi. Gdy raz pytano pewnego redaktora skrajnego czasopisma z r. 1797, jak może ogłaszać tak bezpodstawne kalumnie i kłamstwa, odparł spokojnie, że inaczej nie znalazłby prenumeratorów! Znać stosunki nie bardzo się odtąd zmieniły, i jednakie warunki prasowe się utrwalają, poczytnością fałszu i skandalu.

Niebawem przeniesiono ks. Salamon do Conciergerie, gdzie zastał jeszcze świeżą pamięć nieszczęśliwej Maryi Antoniny. Przyniesiono mu nawet materace, na których królowa ostatnie spędziła noce, a klucznik, który łagodził jej opłakane położenie, i dla internuncyusza miał wiele dobrego serca i względności; opowiadał mu, jak Marya Antonina wieczorami cerowała czarne swe szaty, jak przyglądała się machinalnie pikiecie, w którą grywali żandarmi przydani do jej straży, jak wreszcie po jej śmierci przywiedziono do Conciergerie księżniczkę Elżbietę, która nic nie wiedząc o straceniu bratowej, jeszcze wychodząc na rusztowanie, polecała klucznikowi od siebie ją pozdrowić. Nikt nie śmiał żałobnej wypowiedzieć wieści. Gdy jednak zasiadła na wozie skazanych, jedna z pań towarzyszących jej w tej ostatniej podróży, odważyła się

objaśnić ją o losie królowej: „Pani, twoją siostrę już spotkało to, co nas za chwilę czeka!“

Tymczasem dyrektoryat, mniej gwałtowny w działaniu, odraczał w nieskończoność rozstrzygnięcie sprawy ks. Salamon. Darmo go przesłuchiwano wielokrotnie, nie mógł się wyroku doczekać. Wprawny w szermierce trybunalskiej, biegły w prawie, sam bronił się wymownie i zręcznie, nieraz z prawdziwą świetnością i śmiałością. Przypominał między innemi przebyte już próby, kilkakrotne więzienia, dziewięciomiesięczne błąkanie się po lasach, zaoczne na śmierć skazanie. „Obwiniacie mnie o stosunek z wrogami państwa. Nie korespondowałem nigdy z nimi. Jeźli nazywacie papieża nieprzyjacielem Francyi, muszę temu zaprzeczyć. Papież nie jest wrogiem Francyi; nosi ją w sercu pospołu z innymi katolickimi narodami. Przyznaję, iż nie sprzyja obecnej formie rządu. To mi jednak nigdy nie przeszkodzi, wciąż się do niego odnosić. Urodziłem się jego poddanym i jestem księdzem — dwa to powody wystarczające, aby mi ubezpieczyć swobodne z nim stosunki. Co do zarzutu dotyczącego przysięgi, rzecz to własnego sumienia. Nie zostając w urzędzie, nie byłem zobowiązanym do przysięgania na wierność konstytucyi cywilnej; dodaję jednak, że nawet gdybym był urzędnikiem, nie byłbym jej złożył, ponieważ sprzeciwia się prawom i władzy papieża, narusza przywileje episkopatu i podkopuje hierarchię duchowną. Papież nam zresztą zabronił podobne składać przysięgi. Co do ślubowania wiecznej nienawiści koronie, głośno wyznaję, iż mi na to nie pozwala przywiązanie moje do sprawy królewskiej, a nadto chrześcijanin nie powinien nic innego nienawidzić, okrom grzechu...“

Rzecz godna uwagi: tracący serce wobec niebezpieczeństwa Salamon, odzyskiwał śmiałość i przytomność zupełną, ilekroć znalazło się pole do słownej szermierki; widocznie były członek parlamentu paryskiego odnajdywał się na właściwym gruncie ścisłej argumentacyi, i w sporach palestranckich lepszej nabierał otuchy, aniżeli w krwawych spotkaniach z rozjuszonym motłochem.

Z przedmowy dość obszernej dowiadujemy się, że internun-

cyusz z epoki rewolucyi względnie pozostał w cieniu, gdy nadszedł okres pokoju, i konkordat został podpisanym. Zwyczajna to kolej ludzkich rzeczy. Najzasłużeńsi w warze boju zapaśnicy nikną, gdy nastanie pogoda, i rzadko który doczeka nagrody odpowiadającej położonej zasłudze. Wszakże widzieliśmy świeżo jawne tego dowody po ustaniu niemieckiego kulturkampfu. Główni niedawnej walki rycerze ustąpili z placu, aby zrobić miejsce nowym ludziom, nowym i nieznanym poprzednio nazwiskom. Tak i ks. Salamon zaledwie tytularne otrzymał biskupstwo *in partibus inf.*, i dopiero w ostatnich latach życia zasiadł na podrzędnej stolicy, gdzie rozwinął czynność prawdziwie dobrego pasterza, przedewszystkiem chodząc około kształcenia i wychowywania młodego kleru, wynagradzając uszczerbki sprawione rewolucyą w ustroju Kościoła i liczbie duchowieństwa.

Oto mniej więcej zarys książki, powitanej z wielkiem zajęciem w całej Francyi, a zasługującej na bliższe poznanie i poza jej granicami. Dlatego obszerniejsze podajemy jej streszczenie, odsyłając jednak czytelników do pełnego barwnej prostoty opowiadania ks. de Salamon. Zdrowa to i korzystna na dnie nasze lektura. Kto odgadnie, jakie próby, jakie klęski gotuje nam bliskie jutro? — gubimy się w spekulacyach, azali podołamy je wytrzymać i przetrzymać? Tu oto przedstawia nam się przykład człowieka zwyczajnego, zaprawionego do wygód życia, ostudzonego atmosferą końca XVIII. w., w niczem nie przypominającego ani męczenników pierwszych wieków, ani posągowych bohaterów historyi, który w prawości serca i poczciwej wierności przyznanej sobie i oddanej służbie, znalazł cnotę i hart napozór przerastający miarę jego charakteru i duszy. Użył go Pan Bóg do swych widoków i celów — on zaś, nie sprzeciwiając się zamiarom Opatrzności, jako powolne narzędzie w bożem ręku, wyrósł na znaczący czynnik w dziejach Kościoła francuskiego podczas rewolucyi.

F...

PODRÓŻ DO PUSZCZ PÓŁNOCY
I NA STEPY KIPCZAKU.

(ŁAMKI ZE WSPOMNIEŃ WYGNAŃCA Z R. 1861—1862).

III.

Przestrzeń, dzieląca Moskwę od Jarosławia, a zatem od górnej Wołgi, gęsto zaludniona, o ludności zamożnej, kupczącej lub przemysłowej, nosi ślady dobrobytu, który już i wówczas uderzał, chociaż były tam jeszcze czasy niewoli wieśniaczej. Właśnie wtedy wiekowe kajdany kruszono, lud zpod brzemienia niewoli wydobywano. Potrzeba było dziesiątków lat, by pokolenia młodsze, zrodzone i wychowane w innych warunkach, złożyły dowody, że skorzystały z dobrodziejstwa wolności. Zapewne teraz nie na jednem polu ludność wieśniacza, usamowolniona, podniosła ten kraj i nadała mu inną, bardziej ponętną postać. Wówczas byli to jeszcze iloci; ich stan prawny stokroć gorszym mienić się mógł od poddaństwa u nas.

Przyroda tam smutna, uboga, podobnie jak gleba, która nieobfity plon daje wzamian za pracę wieśniaka. Równiny nużące swą monotonią, rozległe, nigdzie nie wskazują, by człowiek starał się ożywić je sztuką, ozdobić. O tem nigdzie nie myślano. Zamożne wsie przemysłowe posiadają domy piętrowe, obszerne, ale wewnątrz dostatek niezbyt się ujawnia. Przemysłowiec, kupiec nie wyda grosza, wytrwałą zapobiegliwością zdobytego, na

rzecz nieprodukcyjną, nie rentującą się natychmiast. To samo rzec można o ludziach średniej zamożności; arystokracya, bardziej zestosunkowana z Zachodem, mniej owych znamion rodzinnych posiada.

Cecha to szczepu, praktycznego nadzwyczajnie, pracowitego, ale dalekiego od hołdowania podniosłym ideałom.

Osobista niewola — rzecz nieznana u nas — nie przeszkadzała tamecznemu wieśniakowi ponad swą zależność wydostawać się; wszakże nie inaczej, jak kosztem haraczu, często wielkiego, zastosowanego do wysokości otrzymywanego zarobku. Czynsz ten (obrok) płacono panom swym, którzy normę owego czynszu układali, posiadając prawo zmieniania normy, mniejszą na wyższą. Ciągnął przeto pan dochody nie z ziemi, uprawianej pracą pańszczyźnianą — jak u nas było w owej epoce — ale oprócz pańszczyzny korzystał z pracy, umiejętności, z pewnego uzdolnienia specyalnego, a wreszcie z darów losu swego niewolnika.

Liczny stan kupiecki rekrutował się przeważnie, wyłącznie prawie, z owych wieśniaczych ilotów, którzy na nieurodzajnej ziemi, na jej szczupłych płachtach, nie mając żadnych widoków powodzenia, szli w świat szeroki, rzucali się nieraz do bardzo odległych okolic olbrzymiego państwa i tam na drodze kupczenia lub przemysłu dorabiali się niekiedy fortuny. Pan nie zapominał jednak nigdy o takim wybrańcu losu; ściągał czynsz skrupulatnie, podnosząc wysokość takowego stosunkowo do wysokości powodzenia swego niewolnika. Dochodził ów czynsz niekiedy do pięciu tysięcy rubli rocznie, a nawet wyższym się stawał, jeżeli niewolnik szczęśliwym zbiegiem okoliczności znacznie się wzbogacił.

Ze zniesieniem poddaństwa, rzecz naturalna, upadł czynsz od osoby niewolnika i od pracy jego.

Tacy wieśniacy, szukający szczęścia na szerokich obszarach państwa, chociaż wzbogacali się nieraz znacznie, nie mieli nigdy ani chwili spokoju przez cały bieg życia: spodziewali się bowiem nieustannie, że pan ich istnienia mógł zakłócić spokój, zburzyć pomyślność, opłaconą wieloletnim, ciężkim trudem.

Brak spokoju, brak wiary w pogodne jutro, niepewność ustawiczna o przyszłość najbliższą, o noc dzisiejszą jest, niestety,

udziałem i dziś jeszcze wielu, bardzo wielu w tem olbrzymiem państwie, chociaż poddaństwo i niewola osobista wśród ludu oddawna zniesione. Składają się na to już inne, państwowe względy.

Kraj, który przebiegaliśmy, dziwnie smutny, ponury; na każdym niemal kroku swą barwą posępną przypominał, że jesteśmy w ziemi niewoli, iż na jej polach mało urodzajnych nic nie urasta uszlachetniającego człowieka, iż to kolebka ucisku dla ziem i ludów.

Pola obszerne, biegnące w nieskończoność, a wciąż posępne, zaprowadziły nas do osady, w której się wznosi znany monaster Troicko-Sergiewski, o dziesięć mil od Moskwy odległy. Miejscowość, pamiętająca przeszłość odległą i wypadki dziejowe, które o jej mury odbijały się, nie o wiele wzbogaciła naszą wiedzę, wcale nie odpowiedziała oczekiwaniom. Niczem ów klasztor nie różni się od innych, w Rosyi spotykanych, chyba obfitością bogactw, które się przechowują w skarbcu świątyni.

Zwiedziliśmy klasztor, świątynię, skarbiec; pokazywano nam pamiątki: suknię Iwana „Groźnego“, rodzaj szlafroka o barwie błękitnej, kilka orężnych zabytków z czasów Samozwańca, przypominających obleganie tej obronnej pustelni przez wojska polskie pod Janem Pawłem Sapiehą. Pamiątki wspomnianej doby noszą nazwę „litewskich“ zabytków. Kilka tych kul „litewskich“ tkwi dotąd w murach. Wogóle w głębi Rosyi, szczególnie w czasach odległych, wszystkie wspomnienia, związane z dawną Rzplitą, noszą nazwę wspomnień litewskich. Przeszło nawet owo określenie do starych kronik dawnej Moskwy. Tak przeto żołnierz Rzplitej, bez względu z której prowincyi pochodził, nazywa się „Litwinem“, jeńcy pędzeni w jasyr „litewskimi ludźmi“, co może miało nieco słuszności za dni odległej przeszłości, gdyż dawne W. Ks. Moskiewskie leżąc u granic Litwy, z nią głównie i najczęściej bezpośrednie prowadziło stosunki.

Klasztor ten, przedmiot czci ludu tamecznego, nie wywołał wcale podniośiejszych wrażeń; żadnych zabytków sztuki lub dawnego budownictwa nie spotyka się tam. Porównywałem go z Częstochową — o ileż ostatnia zyskała pod każdym względem na tem porównaniu!

Monaster Troicko-Sergiewski, rówieśnik Moskwy, stanął jeszcze w XIV. wieku; siedziba to niegdyś patryarchów. Dom parterowy, nader pospolity co do budowy i wewnętrznego urządzenia, tworzył ową rezydencyę. Zwiedziliśmy go, lecz i tam nic ciekawego; spocząć oko na niczem nie mogło. Kosztowna bardzo trumna Sergiusza, patrona tamecznego, to jedyna rzecz, którą pamięć wyniosła z owych odwiedzin głośnego na całą Rosyę monasteru.

Perejasław-Zaleski, Rostow, miasta bardzo bogate, handlowe, szczególnie ostatnie z nich, słynne w sferach kupieckich, poprzedziły Jarosław. Przelecieliśmy je już w saniach, wśród nocy; przesunęły się przed okiem naszem jedynie mury licznych cerkwi i monasterów, w które obfitują oba te miasta, a głównie Rostow, stolica niegdyś, również jak Perejasław-Zaleski, udzielnego księstwa.

Pod Jarosławiem spotkała nas najprawdziwsza zima; śnieżna, mroźna, zima zaiste północna, która raz ustaliwszy się, nigdy niema przerw, nie zna odwilży, tajania śniegu, dni słotnych. Mrozy, co z dziwną mocą i gwałtownie nadbiegły, ścięły fale Wołgi, jakby jednym rzutem swej siły; przebywaliśmy rzekę po lodzie, pieszo. Lód zdawał się dość cienkim; ale po kilkunastu godzinach już działa można było po nim prowadzić, tak się szybko moc jego ustaliła, i taką pozostać miała zima z silnymi mrozami i obfitą śnieżycą aż do wiosny.

Wołga, owa macierz wód Rosyi, główny wodny gościniec, żywicielka wielkich obszarów, ukochana i opiewana przez lud, nie jest jeszcze w Jarosławiu bardzo szeroka, acz już spławna.

Przypatrywać się Wołdze, miastu, stosunkom tamecznym, ludziom i ich otoczeniu, niepodobna: mróz uderzył odrazu, śnieg okrył wszystko oponą białą, lśniącą, oślepiającą, powietrze zapełniło się miryadami drobniutkich, śnieżnych igiełek. Troskliwie okrywaliśmy się od zimna przenikliwego. Były to pierwsze chwile poznania się z mrozami północy. Dnie oswojenia się z nimi jeszcze nie nadchodziły, ale i one wprędce nadeszły.

. . . . . .

Z Moskwy wywieźliśmy parę wskazówek, iż w Jarosławiu i w Kostromie mogliśmy się z ziomkami spotkać. W pierwszem

z tych miast mieszkał jakiś p. S., w drugiem był od niedawna na wygnaniu ks. Mleczko, proboszcz z Biały Podlaskiej. Warunki podróży zmieniały się jednak na gorsze: nasza straż, nieco zaniepokojona przygodą w Moskwie, niezbyt skłonną stawała się do dłuższych odpoczynków w miastach większych. Zresztą i okoliczności zmieniały się na gorsze. W Jarosławiu w chwili naszego przybycia, już p. dozorca pocztowy zaordynował wnet przeprzęgać konie i chciał nas dalej wyprawiać, nie pozwalając na chwilowe nawet ogrzanie się.

— Dla takich ludzi, jak wy — mówił ów dygnitarz — nie daje się ani minuty wytchnienia. Szklanka wody... i marsz dalej.

Straży naszej nie podobała się ta mówka p. dozorcy stacyi, wkraczała bowiem w jej atrybucye; pomimo więc protestów surowego przestrzegacza praw, straż pozostała na parę godzin, pod pozorem meldowania się władzom. Skorzystaliśmy z tej chwili, aby odwiedzić p. S., którego ktoś nam polecił jako *cicerone*, w razie dłuższego wypoczynku w Jarosławiu. Dokładnie wypisany w liście polecającym adres ułatwił natychmiastowe odszukanie nieznanego ziomka.

. . . . . .

W obszernej izbie, nieco zaciemnionej, przepełnionej sprzętami, wśród których na przedniejszem miejscu stał fortepianik dość dawnej konstrukcyi, powitał nas człowiek stary, wzrostu małego, szczupły, poważny, lecz nie sztywny. Był to p. S., rodem zdaje się z Litwy, od wielu lat urzędujący w Jarosławiu. Samotnie mieszkał, samotnie płynęło mu życie, wśród obcych, przykuty koniecznością pracy do murów dalekiego miasta, do wegetacyi na pozaświeciu. Szukanie chleba, pracy, zdala od swoich, zrobiło z niego dobrowolnego wygnańca z niejedną prywacyą niewoli.

— A więc mam być przewodnikiem ziomków — zagaił rozmowę, rozpatrując się w liście polecającym.

— Nie skorzystamy z uprzejmości waszej, — odrzekliśmy — bawimy tu tylko chwilę; za parę godzin, może za godzinę, wyjazd nasz nastąpi.

Opowiedzieliśmy, iż w dziwnie niegościnny sposób powi-

tano nas na stacyi pocztowej, co zapewne jest odbiciem usposobień władz tutejszych, i tem samem dłuższy wypoczynek byłby niepodobieństwem.

— Pozwólcie przeto, — rzekł staruszek, wstając śpiesznie — że przyjmę was tem, co rozjaśnia moją samotnię na obcej ziemi i przenosi chociaż myślą do dalekich a drogich.

Usiadł przy fortepianie i rozległy się akordy poważne. Zabrzmiał polonez Ogińskiego... Słuchaliśmy do głębi przejęci. Dźwięki melodyi rodzimej, płynące wśród ciszy, na dalekich Wołgi wybrzeżach, miały w sobie coś niewysłowienie rzewnego. Po jednym polonezie nastąpił drugi, trzeci... Przy ostatniej nucie jednego z nich, uścisnęliśmy dłoń starca, niemniej jak my wzruszonego, i w pół godziny potem już wyjeżdżaliśmy z miasta. Wizyta, którą strażnicy nasi złożyli władzom administracyjnym i żandarmskim, poszła im podobno niefortunnie. Ofukano biedaków za brak pośpiechu w podróży, za zbytek uprzejmości dla nas. Następstwem tego wszystkiego stał się nasz wyjazd na całą noc wśród ostrego mrozu i wielkiej śnieżycy.

Jarosław już i dawniej bywał miejscem wygnania: tu generał Ignacy Prądzyński, po upadku listopadowego powstania, był internowany, ale niedługo; od r. 1863 czcigodny arcybiskup Feliński tu pędził lata długiego wygnania; tu wreszcie od r. 1885 trzymano w niewoli biskupa Hryniewickiego...

Jeszcze brzmiały w duszach naszych ostatnie dźwięki polonezów Ogińskiego, jeszcze myśl nie przyszła do należytej równowagi, lecz leciała na falach dźwięków ku strzechom zagrody ojczystej, gdy przesunęły się ostatnie, wyniosłe a rzęsiście oświetlone domy Jarosławia. Poza nim coraz dziksze zaczynały się okolice, coraz uboższe, jakby zupełnie od reszty świata odcięte.

Przed Moskwą odczuwało się pewne powiewy z Zachodu, patrzało się jeszcze na kraj, który z cywilizacyą europejską związany jest jakąś nicią, chociaż słabą, — lecz dalej ku Wołdze, i za Wołgą, wszystko stawało się innem, obcem, nietylko dla nas jako Polaków, lecz dla nas ludzi innej cywilizacyi.

Do tego, co spotykało się wśród społeczeństwa owych ziem dalekich, nasi ludzie, czy to wygnańcy, czy zaniesieni burzą in-

nych losów, czy też chleba tam szukający, jeżeli należeli do ukształceńszych warstw, przyzwyczaić się nie mogli, a o zespoleniu z otoczeniem i mowy być nie mogło. Życie ich często upływało, jak życie pustelników, w odosobnieniu zupełnem. To odosobnienie pochodziło z konieczności, gwoli zachowaniu swych właściwości narodowych, i wytwarzało często typy dziwnie oryginalne. Owi pustelnicy wśród obcych, niekiedy i dla swoich stawali się pustelnikami, co im wszakże nie przeszkadzało, iż byli to znakomici obywatele kraju, którzy na stare lata odmawiali sobie wygód niezbędnych, aby pomnożyć oszczędności życia całego, przeznaczone dla instytucyj ziemi rodzinnej.

Spotkany w Jarosławiu p. S. pierwszym był tego rodzaju anachoretą, jakiego poza krajem widziałem; w późniejszych latach miałem sposobność niejednego widzieć i wszyscy budzili we mnie podziw, szacunek. Pracą wielekroć bardzo twardą, prywacyami życia całego, ludzie ci zdobywali możność czynienia dobrze pojedyńczym jednostkom i niesienia obfitego nieraz grosza na ołtarz dobra publicznego.

Przewodnią ideą w praktyce życia celniejszych wśród nich były słowa takiego anachorety, tułacza na rosyjskiem pozaświeciu, męża zasług wielkich, Edmunda Liwskiego, który w notatkach swych rzekł: „Dobre czyny nie giną daremnie; z nich składa się wielki moralny kapitał. Im więcej dobrych czynów, tem naród bardziej potężnieje, tem widoczniej dąży do swego odrodzenia...“ [1].

Biografie tych tułaczy, napozór dobrowolnych, opisy ich

[1] Edmund Liwski, b. profesor-docent uniw. charkowskiego, całe życie wśród obcych spędził, zapisawszy swe imię chlubnie w ich pamięci. Sprawa Konarskiego wyrzuciła go młodzieniaszkiem (1838 r.) za Dniepr. Patrząc na tę postać podniosłego ducha, Rosyanie uczyli się cenić Polaków; mniemali, iż wszyscy są takimi. Prof. Liwski, który całą ziemską tułaczkę przebył z myślą o Polsce, umierając w kraju († 1888), w Kaniowie na Ukrainie, która była jego kolebką, całe swe mienie, pracą długiego życia zebrane, a wynoszące kilkanaście tysięcy rubli, zapisał krakowskiej Akademii Umiej., zobowiązując ją, aby z kapitału tego, powiększywszy go prowizyą w ciągu lat trzydziestu, wytworzyła fundusz dla biednych literatów i ich rodzin. Jedyna to u nas, jak dotąd, fundacya tego rodzaju.

walk z sobą i otoczeniem, opisy boleści i tęsknoty, trawiącej ich przez życie całe, gdyby zebranemi być mogły, dostarczyłyby mnóstwa wzorów wysokiej cnoty obywatelskiej. Życie samotne wśród obcych, myślą zwrócone do ziemi rodzinnej, życie prawie zakonne, podnosiło ich duchowo, wyróżniało wśród ziomków. Nie wszyscy byli takimi, ale tak wyróżniających się, wybitnych wielu, bardzo wielu spotykano. Była i garstka zbłąkanych, bo gdzież ich niema? — ale faktem jest niezaprzeczonym, że przeważała ją znacznie liczba gorliwych obywateli kraju, dobrych synów Kościoła, wśród tych dobrowolnych tułaczów. I nawet byli oni przykładem, zachętą, wzorem dla ludzi, co nigdy nie opuszczali ziemi rodzinnej.

. . . . . .

Przebiegając małą mieścinę powiatową, Nerechtę, i większe nieco miasto, stolicę gubernii, Kostromę, mieliśmy sposobność przypatrzenia się dalekim zakątkom głębokiej Rosyi. Zapadłe, od świata najzupełniej odcięte okolice, stawały przed nami w szacie powszedniej, niczem nie osłaniały swych braków, swej wielorakiej, częściej moralnej niż materyalnej nędzy. Przemysłowe, zamożniejsze okolice pozostały już poza nami; wjeżdżaliśmy do ziem coraz bardziej pod każdym względem zaniedbanych, do krajów, które niespostrzeżenie wprowadzały do puszcz szeroko biegnących ku wschodowi i północy, do dzikich ostępów bezbrzeżnych, ginących tam u wód północnych, gdzie bujniejsza roślinność ginie. Ostra, śnieżna zima dorzucała niejeden rys wybitny a tęskny do ponurego obrazu.

Kostroma tworzyła niejako wstęp do okolic zapadłych, mało znanych, o obyczaju nader patryarchalnym. Chociaż to miasto gubernialne, i liczące wówczas około 15.000 ludności, z pewnymi pozorami ładu i dobrobytu, nie było tam ani porządnego hotelu, ani restauracyi, przypominających kuchnię o wymaganiach i przyzwyczajeniach bardziej europejskich. O krok dalej miało być jeszcze gorzej; radzono nam zaopatrzyć się we wszystko, bo już aż do Wiatki, na przestrzeni kilkuset czy więcej kilometrów, nie było nadziei dostania czegokolwiek na odludnym gościńcu. Zastosowaliśmy się do tej rady o ile się dało, i to nam wyszło

później na dobre. Rzeczywiście, gościniec dalszy, przebiegający okolice przeważnie leśne, mało zaludnione, prawie zupełnie nieuczęszczane, najprawdziwszą legł dla nas pustynią; oprócz utenzyliów herbacianych, nic tam nie spotykano na stacyach. O zajazdach wygodnych mowy nawet być nie mogło. Kraj to znacznie więcej ustronny, bardziej pustynią wiejący, niż wiele okolic Syberyi.

W Kostromie przebywał od kilku zaledwie miesięcy czy też tygodni osadzony proboszcz z Biały Podlaskiej, ks. Mleczko. Odwiedziliśmy go. Przelotne to jednak były odwiedziny, jak przelotnym pobyt nasz w Kostromie. Ks. Mleczko wyrzuconym był z kraju z powodu rozszerzającego się wówczas ruchu narodowego. Należał do tych szczęśliwych, którzy podczas szybko zmieniających się okoliczności w Królestwie, wkrótce potem wrócili do kraju, i posiadł to drugie, wyższe szczęście, iż niedługo po powrocie umarł: nie patrzał zatem na okres klęsk i nieszczęść bezbrzeżnych, które spadły na społeczeństwo, i trwać miały lata, dziesiątki lat.

Pierwszy ten wygnaniec, spotkany na ziemi tułactwa, jeszcze widocznie spory zachował zapas wrażeń ożywczych chwili ówczesnej, wywiezionych z ziemi rodzinnej; żył niemi, one go pokrzepiały, osłodą były w samotności: znużenia moralnego w nim nie dostrzegało się wcale, tęsknota wygnańcza, owa rdza, co już tyle u nas serc skruszyła na proch, tyle dusz strawiła, nie zawitała znać pod jego dach tułaczy. Daleki ów zakątek oddawna przeznaczonym bywał na ziemię wygnania. Już Samozwaniec wysyłał do Kostromy żonę Filareta Romanowa i jej syna Michała, wówczas jeszcze młodzieniaszka, który urósł wkrótce na cara i protoplastę dynastyi wielkiego państwa. Z czasem, ale już w naszej epoce, osnuto legendę, iż życiu Michała zagrażało niebezpieczeństwo, iż skrytobójcza dłoń nań godziła, a ocalił go jakiś prostaczek. Stosownie do chwili wytworzenia legendy, zrobiono z niej fakt dziejowy, a skrytobójczą dłoń nazwano polską dłonią. Cesarz Mikołaj uwiecznił nawet legendę pomnikiem, który na brzegu Wołgi wita wjeżdżających do miasta. Po roku 1831 stanął ten pomnik w Kostromie, i stał się propa-

gandą legendy, zmyślonej już w epoce polistopadowej. Propaganda nienawiści plon przyniosła szybki; gdy bowiem około roku 1849 szerzyły się pożary w mieście, lud przypomniał sobie Polaków, których spotyka na płaskorzeźbach podstawy pomnika, i przypisując im wszystkie klęski ogniowe na nich spadające, postanowił wyrznąć tych przynajmniej, co byli w mieście. W owych czasach było nieco w Kostromie Polaków w sferach urzędniczych; padliby oni zapewne pod siekierą ludowego tumultu, gdyby policya wszystkich nie zamknęła w więzieniu: nie znaleziono innego środka ocalenia naszych ziomków. Tumult ludowy nie wtargnął do murów więzienia: do krwawych gwałtów nie przyszło; tem bardziej, iż w duchu autokratyzmu cesarza Mikołaja było wstrzymywanie walki szczepów i stanów społecznych. On tego znieść nie mógł; a więc za jego rządów do takich zapasów nigdy nie przychodziło i nigdyby on na nie nie pozwolił. W późniejszych czasach zmieniły się poglądy decydujących sfer, a tłumy karmiły się w następnych latach długo i wytrwale jadem nienawiści zaczerpniętym z dzienników.

W czasach znacznie późniejszych, historyk rosyjski Kostomarow wykazał w oddzielnej rozprawie całą sprzeczność tej nowożytnej legendy z prawdą historyczną i rzeczywistymi faktami: rylec dziejopisa unicestwił całe to zdarzenie, a jednak pomnik mniemanego zbawcy Michała, założyciela dynastyi Romanowów, wznosi się wciąż nad Wołgą, i legendy otaczające go nie przestają sączyć jadu nienawiści w umysły tłumów.

* * *

Drogi krajów, wegetujących jeszcze w stanie natury, przeważnie, jeźli nie wyłącznie, biegną wzdłuż rzek większych i ich dopływów. Takiemi są drogi w głębi Syberyi, takiemi często są one w krajach zawołżańskich, gdzie się zaczynają pustynie północy. Za Kostromą takim właśnie był nasz gościniec: wił się brzegiem Unży, lewego dopływu Wołgi, wśród lasów, zarośli, wśród wklęsłości, rozpadlin, drogą wąską, olbrzymiemi zaspami śniegu zawianą. Od Unży na wschód — błota, niziny, topiele, nieprzerwane pasma lasu, rosnącego na wilgotnym gruncie, na

odwiecznych, nieprzebytych bagniskach, towarzyszyły nam aż do puszcz wiackich, do celu długiej, nużącej naszej podróży.

Mroźna, śnieżna, twarda zima, prawdziwa zima północy, ścięła grząskie topiele, wytworzyła z nich twardą powierzchnię, a wszystko to pokryła grubą warstwą śniegu, który wyrównał, zasypał wąwozy, rozpadliny, zjednoczył pagórki i z falujących się wzgórzy równinę utoczył. Po tej równinie szybko pędziły, wśród dwóch ścian śniegu, dwoje sani naszej karawany. Droga niekiedy tak wąskim torem wyjeżdżona w śniegu, że niepodobna było jechać inaczej, jak „gęsiego“. Zaprzęgano tak po cztery konie, koń przed koń, a pies duży biegł naprzód i torował drogę całej karawanie. Posuwała się ona szybko, hałaśliwie, przy dzikich okrzykach pocztarzów i brzęku dzwonków. Gościniec ten, rzadko uczęszczany, prawdziwym był szlakiem jasyru: różni przestępcy stanu od wieków, od dni upadku W. Nowogrodu, gdy tym ustronnym szlakiem pędzono jego synów i obrońców swobód północnej, słowiańskiej rzeczypospolitej, od dni podróży dzwonu uglickiego, który również przez te topiele wieziono na wygnanie, aż do naszego stulecia, do dni „Decembrzystów“ — tym a nie innym szlakiem, szli na zatracenie. To szlak niewoli synów Rosyi. Polacy przeważnie innemi drogami, przez Niższy Nowogród i Kazań, dążyli na Syberyę.

Między Kostromą a Wiatką, na szerokich przestworzach pustyni, z dwoma tylko miasteczkami spotkaliśmy się. Pierwsze, bliżej Kostromy — to Makaryew nad Unżą, drugie, już blisko Wiatki — Orłow. W obu miasteczkach mieliśmy dwa różne, a charakterystyczne, spotkania z ziomkami.

Dojeżdżając do Makaryewa, posiadaliśmy wskazówkę, że mieszka tam jakiś lekarz, Polak, rodem ze Żmudzi, człowiek młody, niegdyś uczeń moskiewskiego uniwersytetu, niewygnaniec, który jako rządowy stypendysta odsługiwał swe stypendyum.

Spodziewaliśmy się, iż spotkanie ziomka wśród puszcz kostromskich będzie oazą wytchnienia dla znużonych jednostajnością wrażeń wcale niewesołych; przypuszczaliśmy, iż spotkamy się znowu z chwilą tak podniosłą jak owa, wysnuta z dźwięków poloneza samotnego starca w Jarosławiu. Lecz gościniec życia,

również i szlak wygnańczej wędrówki, przebiega niwy rzadko kwieciem okryte; stopa pątnika najczęściej uderza o kamień.

W Makaryewie odszukanie wpomnianego lekarza, nie wywołało żadnych trudności. Jedynym tam był. W drewnianym, z okrąglaków skleconym domku, gdzie parter składał się z kuchenki i izdebek dla służby, a pięterko posiadało zaledwie parę szczupłych pokoików, niskich, ale widnych, bo ze znaczną liczbą okien, dość schludnych, papierem ciemnych barw wytapetowanych — powitał nas człowiek jeszcze dość młody, lecz o ruchach flegmatycznych, o zwiędłem, znużonem obliczu, o włosach płowych, rzadkich, z poza których przeświecała czaszka. Był to ów lekarz, ziomek.

Na pierwszy rzut oka już uderzał, zdumiewał apatyą jakąś, która z jego postaci spływała na otaczających. Parę lat pobytu na bezludziu, na lesistych Unży wybrzeżach, wytworzyły z niego pewien rodzaj automatu. Zniechęcenie do ludzi, obojętność na wszystko co go otaczało, bliższe i dalsze, zasklepienie się w atmosferze nader ciężkiej małego miasteczka, uwidoczniało się w nim w każdem słowie, w każdym niemal ruchu. Spotkaliśmy w biednym lekarzu nowy, nieznany nam jeszcze typ samotnika, który nie zdołał urość ponad bardzo poziome swe otoczenie, a ono pochłaniało go najzupełniej. Był to niby liść lipy naszej, który barwy nie traci i zapachem nęci, lecz oderwany od gałęzi pnia ojczystego, ginie, usycha i w proch się rozsypuje.

Obca atmosfera, owiewająca go nieznacznie, ale stale, wywierała też wpływ nieustanny, podkopujący, niszczący w nim wszystko dawne, aż do zewnętrznej jego postaci. Z pewnego rodzaju uśpieniem duchowem, które w biednym tym samotniku dawało się spostrzegać, i rysy jego twarzy zmieniały się, przekształcały — stawał się innym człowiekiem. Widzenie ziomków, z kraju wprost przybywających, nieznanych wprawdzie, lecz w każdym razie ziomków, nie wywołało ani radości, ani zdumienia, ani uczucia żadnego żywszego. Równie obojętnie witał, jak żegnał. O kraj, o stosunki, o wszystko, co wywoływało w każdym z ówczesnych ludzi, nawet wśród obojętnych, żywsze serca bicie, nie zawadził ani słówkiem. Nie można było stano-

wczo orzec, czy tak dalece do wszystkiego zobojętniał, czy nad własne powszednie potrzeby ciała nic go nie obchodziło, czy też powiewy monotonne puszczy kostromskiej tak go uśpiły, ukołysały do snu nieprzespanego, z którego już nigdy nie miał się obudzić. Zdaje się, iż człowiek ten był innym jeszcze niedawno, przed niewielu laty, w dniach swej wcześniejszej młodości; był innym, gdy młodzianem wychodził zpod rodzicowej strzechy, tam kędyś za Niewiażą lub na wybrzeżach jeziora Miednickiego, w świat szeroki, — gdy marzył, iż na ojczystym zagonie, ku pożytkowi własnych ziomków pracować zacznie, po ukończeniu studyów uniwersyteckich. Rzeczywistość rozwiała marzenia; los oderwał wcześnie od pnia ojczystego; brak środków materyalnych znaglił go przyjąć na kursach uniwersyteckich stypendyum rządowe, co znowu wywołało konieczność przyjęcia tam posady, gdzie mu rząd wskaże: dano mu ją w głębi puszcz kostromskich, na bezbrzeżnych topielach nad Unżą.

Biedny człowiek utonął wkrótce w bezdennej toni umysłowego uśpienia tych zdziczałych zakątków świata. Samotność go zabiła. Towarzystwo obcych ludzi, urosłych na poziomych nizinach innej, spaczonej kultury, stało się jego grabarzem. Zanim go grób pochłonął, — a podobno wnet po naszej bytności w Makaryewie zmarł ów samotnik — już on prawie nie istniał dla innego świata, okrom puszcz kostromskich. Bezwiednie zapewne utonął w otchłaniach otoczenia swego.

Patrząc na to życie przedwcześnie złamane, a przynajmniej spaczone, na to wcielanie się bezwiedne, a dobrowolne, w obcą kulturę, uprzytomniałem sobie przyszłość wielu, bardzo wielu, którzy ginęli lub zginąć mogli na obczyźnie, jeżeli strzedz się i obronić nie potrafią od pochłaniającego ich obcego pierwiastku. A właśnie nasz lekarz podobno nie posiadał żadnego oręża ku swej obronie, nawet nie widziałem książek w jego izdebkach; praktyka lekarska także nie zabierała mu czasu; pozostały dlań jedynie poziome rozrywki życia, a raczej wegetacyi tamecznych tubylców.

Po godzinnej, czy też dłuższej nieco rozmowie, apatyczny samotnik ożywił się nieco; widząc zaś, żeśmy bliscy odejścia,

zatrzymał nas, proponując zostanie na obiedzie. Dzień zimowy, krótki nadzwyczaj w tych odległych, północnych okolicach, miał się ku schyłkowi; wahaliśmy się więc, czy nie należy śpieszyć z wyjazdem. Opóźnienie mogło być niebezpiecznem; z biegiem Unży od północy ciągnęły wichry, które sprowadzały zawieje.

— Nie bójcie się zadymki, — mówił nasz gospodarz, a w mowie jego już czuć się mocno dawał akcent obcy i zwroty obcego języka wciąż mu się nawijały — nie bójcie się, w lesie zadymka nie jest straszną; pies biec będzie jako przewodnik, zabłądzić niepodobna.

Zostaliśmy, sądząc, że spędzimy z gospodarzem jaką godzinę, która może i dla niego przyjemną będzie, bo w języku ojczystym mówić nie często mu się zdarza. Na usłyszenie mowy ojczystej czeka się tam niekiedy rok, dwa i więcej.

Stało się jednak inaczej, i wycofać się już zapóźno było, a prawie niepodobna. Samotnik bowiem oświadczył, iż w domu on zwykle gościem tylko, całe zaś dnie spędza w przedniejszym z domów miasteczka — u horodniczego; więc i ów obiad, na który nas zaprosił, u horodniczego miał się odbyć. Zdziwiło nas to niezmiernie i wcale nie ucieszyło; chcieliśmy się wycofać, ale było to niepodobieństwem, bez obrazy biednego naszego ziomka. Pozwoliliśmy przeto poprowadzić się do p. horodniczego, który nas przyjął uprzejmie, jako gości swego przyjaciela, lekarza, i zaprezentował samej pani. Horodniczy, człowiek stary, wciąż zajęty grą w karty, na drugim planie stał w domu, a może i w zarządzie miastem, którego zwierzchnikiem był z urzędu; sama pani, kobieta młoda, energiczna, jak pospolicie bywają Rosyanki, rej wodziła w domu; zdaje się, że panią miasta mienić się mogła.

Nie wiem, co siłę atrakcyjną stanowiło w tym domu, ale zastaliśmy towarzystwo liczne, miejskie i zamiejskie, i jak rozmowa ogólna, ożywiona wskazywała, często ta gwarna gromadka przybyszów u gościnnego stołu horodniczego zasiadała. Oglądano nas ciekawie, z dyskrecyą zachowywano się wszakże; nie dotykano wcale pytań drażliwych, w związku będących bądź z naszym krajem, bądź z naszą pozycyą.

Pani domu, kobieta z pewną ogładą, bawiła nas, opowia-

dając szeroce o nudach pobytu w małej, powiatowej mieścinie, o zdradzieckiem fatum, które ją, wychowaną w stolicy, skazało na życie zdala od wielkiego świata, do którego los miał ją podobno przeznaczyć. Słuchaliśmy z niecierpliwością melancholijnych tyrad pani domu i szukaliśmy środków rychłego odwrotu. O późnej, wieczornej godzinie podano obiad, podczas którego udało się nam posłać kogoś po konie na pocztę i po naszą straż, która w ciepłej izbie pocztowej wysypiała się w najlepsze po trudach podróży.

Uczta długa, nużąca, późno się skończyła; podobno obchodzono jakąś uroczystość rodzinną. Jeszcze biesiadnicy siedzieli u stołu, jeszcze gwar był w pełni rozwoju, gdy dzwonki naszej karawany dały się słyszeć. Korzystaliśmy z tak pomyślnego obrotu rzeczy, aby się wymknąć niespostrzeżenie. Pożegnaliśmy gościnnych gospodarzy i lekarza, który wśród biesiadnego gwaru tracił wiele ze swej apatyi. Żegnał nas równie obojętnie jak witał. Co do nas, żegnaliśmy go z żalem.

* * *

Ciemną nocą opuściliśmy Makaryew nad Unżą, ciemną nocą posuwała się nasza karawana niejedną dobę wśród lasów, bagien, topieli, zmieniając kierunek północny na wschodni. Śpiesznie posuwaliśmy się do celu podróży, bo już prawie miesiąc upływał od wyjazdu z domu: już i straż nasza chciała wreszcie stanąć u kresu wędrówki i zaczęła się niecierpliwić. Nocami przebiegaliśmy przestrzenie wielkie, mało zaludnione lub najzupełniej puste. Droga nasza w dalszym przebiegu, wijąc się wśród puszcz, zawadziła o kęs gubernii Wołogodzkiej, o jakiś jej węgieł wschodni, daleki, a znać nader ubogi, gdyż chleb, podany na jednej z tamecznych stacyj, uderzał swym niezwykłym kolorem i smakiem; był dziwnie biały, smak zaś miał słomy; wypiekano go z kory drzewnej, na miazgę utłuczonej, zmieszanej z małą ilością mąki, lub może wcale bez mąki. Podobnego chleba nigdy już później, podczas całego szeregu lat, nawet w najbardziej głuchych zakątkach Syberyi, nie spotykałem.

Wreszcie powiedziano nam, że wjechaliśmy do gubernii

Wiackiej. Nic się nie zmieniło wśród leśnego, zimowego krajobrazu. Gościniec otaczały dokoła lasy olbrzymie, mróz się wzmagał, szybkość jazdy wzrastała, gdyż zaprzęgano konie rącze, malutkie, o kształtnej budowie, grzywie długiej, o szybkości zadziwiającej. Konie te rasy miejscowej, wiackiej, chyże, jak sarny, wytrwałe, a zdumiewająco rącze.

Cel podróży już niedaleki, zbliżał się tem szybciej, że wjechawszy do Wiackiej gubernii, lecieliśmy, niby na skrzydłach wiatru, wśród zasp śnieżnych. O kilka stacyj od Wiatki spotkaliśmy miasteczko powiatowe, Orłow, gdzie postanowiliśmy przenocować. Zmrok zapadał, wjeżdżać w nocy do miasta byłoby niedogodnem.

Zaledwie ulokowaliśmy się w izbie pocztowej, wsunęła się jakaś postać typowo-urzędnicza, przypominająca biuralistę biur dawnych z głębi państwa, która nam oświadczyła, że jest władzą najwyższą w miasteczku (horodniczym), że przybyła dowiedzieć się, jakich to więźniów wiozą, i nie może pozwolić, byśmy tu nocowali. Straż wobec tej interwencyi władz przygotowywać się zaczęła do wyjazdu, bez względu, iż mróz coraz bardziej się wzmagał.

Nie oponowaliśmy i my, wcale nie mając zamiaru polemizowania ze spotykanemi na naszym gościńcu władzami.

Wtem skrzypnęły znowu drzwi; poza p. horodniczym ukazała się postać wyniosła, odziana w płaszcz długi, o kroju wojskowym, z futrzanym kołnierzem, zpod czapki wybiegały jasno blond włosy, okalając twarz młodą, nie liczącą zapewne dwudziestu nawet lat życia.

— Witam ziomków, — rzekł przybyły po polsku z akcentem litewskim — wspólnymi są losy nasze; mnie tu z Wilna przywieziono w lipcu, was teraz wiozą; przychodzę was powitać. Nazwisko moje Ksawery Korewa...

Powitaliśmy radośnie przybysza, przyszłego towarzysza wygnania, który od pierwszej chwili wywarł bardzo sympatyczne wrażenie, ale oświadczyliśmy mu zarazem, iż właśnie obecny tu p. horodniczy wyprawia nas natychmiast w dalszą drogę i nocować nie pozwala.

— O, nocować wy tu będziecie; nie myślcie nawet o wy-

jeździe; p. horodniczy zamiaru zaniecha — odrzekł przybyły i szepnął coś do horodniczego, dodając głośno po rosyjsku: — Mój koń na rozkazy pańskie, odwiezie pana do domu; powiedz pan woźnicy memu, by wracał do siebie, ja tu z ziomkami noc przepędzę.

Słowa młodego przybysza, wypowiedziane bardzo stanowczo, miały wpływ niezwykły. Horodniczy zapomniał o racyach stanu, co go skłaniały do śpiesznego wyrzucania nas w dalszą drogę; zaczął usprawiedliwiać się, że o zrobieniu przykrości nie myślał, że gotów nawet ominąć przepisy prawa i pozwala noc tu przepędzić; wreszcie pożegnał nas, a sanki Korewy odwiozły go do domu.

Noc długa, zimowa, przeszła miło, dla mnie przynajmniej, na pogadance z nowym kolegą.

Po kilkogodzinnej rozmowie zdawało się nam, że znamy się od lat wielu. Więcej słuchałem, jak mówiłem. Ksawery mówił wciąż, bez wytchnienia, mówił z zapałem; dźwięk mowy rodzinnej upajał go, zachwycał. Śmiał się i płakał łzami radości. Spotkanie ziomków, z którymi mógł mówić językiem ojczystym, podzielić się tęsknotą swą, dowiedzieć się coś o kraju, usłyszeć słowo współczucia — było dla niego najwyższą rozkoszą. Wrażliwa, młodzieńcza dusza znalazła w nas oddźwięk najserdeczniejszego współczucia.

— Od lipca tu jestem — rzekł wreszcie — i po raz pierwszy dopiero słyszę mowę ojczystą, po raz pierwszy spotykam ludzi, co mnie rozumieją, jednako ze mną czują, i z nimi myślą dzielić się mogę. Nie domyślacie się nawet, jaka to dziczyzna mnie otacza...

Młodzian ów, który nie zdołał ukończyć rozpoczętych na petersburskim uniwersytecie studyów matematycznych, pochodził z Litwy, z rodziny dość zamożnej. Chociaż żył ojciec, matka wyłącznie kierowała wychowaniem synów, a że była wielką miłośniczką rządu rosyjskiego, wcześnie starała się starszych synów zaprawiać do służby temu rządowi. Drogą tej karyery poszli starsi, powodujący się wolą matki; ze znacznie od nich młodszym, Ksawerym, bieda była wielka; drogą studyów wojskowo-inży-

nierskich iść nie chciał; wbrew woli energicznej i stanowczej matki, zapisał się na kursa uniwersyteckie i marzył o życiu ziemiańskiem; po ukończeniu nauk marzył o pracy na roli w przypadającym nań małym folwarczku pod Oszmianą. Matka, która dwóch synów miała już na szerokim gościńcu karyery, przy wielkorządcy Litwy, Nazimowie, ze smutkiem patrzała na najmłodszego, który zaprządz się nie dał do przywdziania munduru; uniwersytet wydawał się jej stekiem pojęć zgubnych; a zgroza tej kobiety zwiększyła się jeszcze bardziej, gdy ów Ksawery wziął udział w pierwszej manifestacyi, jaka miała miejsce w Wilnie, gdy go uwięziono, osądzono wraz z innymi sześciu i wysłano do malutkiej mieściny w puszczach wiackich. Wyrok opiewał, że powinien on był pracować w biurze tam, gdzie go internowano [1].

Praca biurowa młodego wygnańca szła niezbyt pomyślnie: biuraliści ówczesnego Orłowa tego rodzaju byli nicponiami i pijakami, że pracować z nimi przy jednym stoliku, czy też w jednej izbie, niepodobna było. Zwierzchnik biura niejednokrotnie

[1] Litwa z pierwszą demonstracyą — a były nią śpiewy hymnu „Boże coś Polskę“ w katedrze wileńskiej — wystąpiła bardzo późno: wypływało to z poważnego usposobienia tej prowincyi. Już w małych nawet mieścinach województw, położonych na południe od Prypeci, brzmiały hymny religijno-patryotyczne, a w stolicy Litwy jeszcze panowała cisza. Dopiero d. 8 maja (st. st.) 1861 r. podczas nabożeństwa w katedrze wileńskiej odezwały się nieliczne głosy, śpiewające „Boże coś Polskę“. Głosy te przeważnie były niemiejscowe; uwięziono wszystkich, sądzono, na wygnanie wysłano; lecz właśnie ów ostracyzm skruszył skorupę kunktatorstwa Litwy. Śpiewy rozbrzmiały tak szeroko, jak sięgały na wschód i północ granice W. Ks. Litewskiego. Litwa składała dowody swej solidarności z Koroną, nie chciała ani na krok od niej odejść. Do śpiewów w katedrze wileńskiej dały hasło następujące siedm głosów: Dybowski Bened. (z Mińskiego), Korewa Ksaw. (z Wilna), Limanowscy Bol., Luc. i Józ. (z Inflant), hr. Tyszkiewicz i Zelwerowicz. Oprócz Tyszkiewicza (sąd go uwolnił) i Dybowskiego, którego wyrok nie został wykonany, dzięki wdaniu się szlachetnego księcia Arkadyusza Suworowa, inni wywiezieni zostali: Bol. Limanowski nad Białe morze do Mezenia (mówiono, i to jest prawdziwem, iż nie istniały w nim te zarodki kierunków radykalnych, które się później rozwinęły), braci jego zawieziono do Wołogdy; Korewa oparł się w Wiackiej gub., a Zelwerowicz gdzieś nad środkową Wołgą.

zamykał w śpiżarni buty całej swej kancelaryi na godziny biurowe, i dopiero wówczas oddawał obuwie kancelistom piszącym boso, gdy upłynęły godziny biurowe. Miało to być wybornym środkiem, wstrzymującym kancelistów od wycieczek z biura i upijania się. Ksawery, dzięki środkom materyalnym, jakie posiadał, zdołał wkrótce uwolnić się od konieczności obcowania z ową gawiedzią w świątyni Temidy. Nie żądano, po kilku próbach, dalszych zajęć biurowych, ale niemniej pozycya codziennie cięższą się stawała, dla braku wszelkiego towarzystwa i wszelkiej umysłowej pracy. Książka lub obcowanie z ludźmi wykształconymi zaliczały się tam do zupełnych niepodobieństw.

Samotność i tęsknota wyegzaltowały jego usposobienie, nader wrażliwe i z natury już dość rozmarzone. Listy matki, patrzącej na pozycyę syna z punktu widzenia ultrarządowego, drażniły i dodawały najniepotrzebniej nowych trosk do umysłu skołatanego, raniły serce, prawdziwie matkę kochające.

Prosił on matkę, aby mu wolno było przenieść się do Kazania z prawem uzupełniania tam studyów uniwersyteckich; dla matki, mającej u Nazimowa stosunki, bo starsi synowie byli dobrze u wielkorządcy widziani, łatwem to było. Ale matka ulg tych dla syna nie pragnęła, znać żądając, aby los syna i cała jego przyszłość zwichnięta stały się ekspiacyą za czyny i dążności nienawistnego dla niej ruchu narodowego.

Nie wszystko, ale znaczną część tych okoliczności, tyczących się Ksawerego, dowiedziałem się z jego ust podczas owej nocnej pogadanki. Resztę dowiedziałem się później, a wkońcu miałem możność osobistego poznania w Wilnie tej matki o lojalnych usposobieniach, a serca twardego.

Noc, spędzona na rozmowie z Ksawerym, ostatnią była nocą długiej wędrówki, miesiąc trwającej. Dzień następny już doprowadził do celu podróży. Nadzwyczaj mroźny świt zimowy powitał nas w saniach.

Przesunęły się, niby w panoramie, z szybkością niezmierną, wielkie ściany wyniosłych lasów, zamykające gościniec i dalsze horyzonty krajobrazu; przesunęły się wioski nieliczne, lecz dość obszerne, zwiastując miasto nieco większe, stolicę prowincyi —

Wiatkę. Dzień był niedzielny, wylegały przeto liczne gromadki ludu na ulice wiosek, bez względu na mróz ostry, tamujący oddech, wylegały tłumnie, zwabione dwoma dzwonkami naszej karawany, świstem i okrzykami woźniców, jazdy szybkością. Przypatrywano się ciekawie, a my mieliśmy możność czynienia spostrzeżeń, o ile na to mróz i szybkość jazdy pozwalały. W przelocie wszakże ukazały się nam typy ludu bardziej może słowiańskie, niż w środkowej Rosyi; wsie to były starej kolonizacyi wygnańców, wypędzonych przed wiekami ze zdobytego i zniszczonego Nowogrodu. Słowiańska ludność, jeźli nie jest mniejszością w owej odległej prowincyi, w każdym razie niezbyt góruje liczbą. Statystycznym danym w Rosyi niewiele można dawać wiary; zbiera je zwykle i układa podrzędny urzędnik, nietylko o statystyce, ale o niczem nie mający pojęcia, co przekracza zakres jego biurowych zatrudnień; niemniej wszakże widzimy tam nawet w urzędowych wykazach znaczną ilość niesłowian wśród dwóch milionów, które zaludniają wiacką gubernię. Wotiacy, Czeremisi, Tatarzy, Zyryanie, Permiacy, Baszkirzy, Besermianie i inne szczepy, mniej lub bardziej ukształcone, mniej lub bardziej w stanie pierwotnym, a w każdym razie nic ze słowianizmem wspólnego nie mające, tworzą jednę z podstaw dawnego zaludnienia. Poza szeregiem tych ludów i ludków, które na wybrzeżach Wiatki i Kamy są najstarszymi przedstawicielami zaludnienia, spotykamy potomków dawnych Nowogrodzian, a dopiero ponad tem wszystkiem urasta ludność, dominująca dziś ilością i władzą, ludność szczepu panującego, sporo w swych żyłach posiadająca krwi tubylców.

* * *

Wiatka już oddawna, od czasów najbardziej odległych, była miejscem wygnania. Konfederaci barscy, pędzeni na Sybir, ominęli ją. Znacznie na południe od niej leżący Kazań, dla jeńców barskich tworzył punkt zbioru i wypoczynku. Z Kazania zgrupowane, drobniejsze gromady konfederatów rzucano większymi tłumami za Ural, w głąb pustyń, mających wszelkie warunki

stopniowego ich wygubienia wśród okoliczności najdotkliwszych. Omijaną była Wiatka za dni Katarzyny; nie dlatego, by lepsze posiadała warunki od innych miejsc wygnania, lecz owo panowanie, lubujące się we wszystkiem, co nosiło charakter ogromu, lubujące się w sławie rozgłośnej, jeźli zakreślało plany — to olbrzymie, gdy gotowało nieszczęścia — to bezbrzeżne, gdy wytrzebiało miasta — to z gruntu, gdy zdobywało kraje — to państwa całe, gdy wysyłało na wygnanie — to na krańce świata, za Irkuck lub do Kamczatki. Przestrzeń, wynosząca więcej niż dwa tysiące kilometrów, od granic dawnej Polski do Wiatki, była znać zamałą, by na jej przebieganie skazywać konfederatów barskich. Szukano przeto innych, szerszych pustyń, w nieskończoności mil ginących, i tam wytwarzano dla nich ziemię wygnania a zarazem zatracenia. Wielkimi tłumami pędzono ich na Wschód; poszli — i nie wrócili...

W czasach nieco bliższych, za dni cesarzów Aleksandra I. i Mikołaja I., dostrzeżono, iż zatracanie powolne, wegetacya, usiłowanie wytworzenia ciągłego, stopniowego konania zarówno w okolicach przeduralskich jak i zauralskich, w mniej odległych jak i w bardziej odległych, może być osiągniętem. Od czasów Pawła nie wożono więc na Kamczatkę, poprzestano na okolicach bliższych; bo bliższe dzikszemi są nieraz i przykrzejszemi niż odległe. Mniejszym kosztem tenże sam cel zdobywano. A zatem, gdy nadszedł i przeszedł rok 1831, Wiatkę zapełniać zaczęto wygnańcami. Cesarz Mikołaj I, wobec uczestników walki listopadowej, nie zapędzał się zbyt w objawach surowości — przynajmniej stosunkowo do tego, co się działo za rządów jego następcy, w latach późniejszego powstania; mścił się na instytucyach krajowych i kraju, nad jednostkami mniej się znęcano — klasyfikował on jeńców, na dwie kategorye ich dzieląc: do jednej należeli ci, co z bronią tylko mieli do czynienia, do drugiej — a tę za bardziej karygodną uważał — ludzie, którzy mieli udział w napadzie na Belweder. Dla tych spiskowych ustanowioną została, po upadku listopadowego powstania, oddzielna komisya śledcza i sąd: i jedno i drugie utworzono w Wiatce. Tak więc ludzi uczestniczących w spisku przedwybuchowym i Belweder-

czyków, o ile posiadano ich w ręku, badano i sądzono w Wiatce. Do Wiatki dla badań przywożono Piotra Wysockiego. W Wiatce również uwięziono po 1831 r. wywożonych bez sądu ze wschodnich prowincyj kraju: było ich w owej epoce w ciągu lat kilku przeszło trzystu w samem mieście gubernialnem; niektórych lokowano i w powiatowych malutkich mieścinach [1].

Od owych dni Wiatka stała się siedzibą wygnańców polskich z różnych epok klęsk i prześladowań. Kilku Rosyan wybitniejszych także odbywali w Wiatce wygnanie: rozgłośny później pod imieniem Iskandera Hercen, pełen talentu Sałtykow, znany później pisarz, piszący pod pseudonimem Szczedryna, pędzili tam dnie wygnania. Patryota finlandzki, profesor helsingforskiego uniwersytetu, Azelius, również tam był internowany.

W ciągu lat kilkudziesięciu XIX w., Wiatka stała się klasyczną ziemią wygnania. Nie było żadnego wypadku większego rozgłosu z zakresu ruchów rewolucyjnych, lub naszych usiłowań, żadnego objawu niepodległej myśli w tem państwie obszernem, o ciężkich warunkach istnienia, aby każdy taki wypadek nie sprowadził do Wiatki kilku lub kilkunastu wygnańców, aby nie upamiętnił się w jej puszczach cierpieniami pewnej ilości ludzi. Z życiorysów tych ludzi możnaby wysnuć długie pasmo.

Około 1860 r. przerzedziły się znacznie szeregi wygnańców w Wiatce i w innych okolicach Rosyi; ówczesne początki rządów Aleksandra II. zdawały się wróżyć, iż wrzeciądze bram wygnania rdzą się okryją, a szląki Syberyi chwastem zarosną. Kwiat nadziei w owem państwie nigdy długo nie kwitnie. Powiewy mroźnej rzeczywistości niszczą go w zawiązku.

Rozpoczynające się czasy naszych ruchów wznowiły niezbyt dawną tradycyę wysyłań bez sądu, porywań pierwszych lepszych na wygnanie. Wiatka znowu od wiosny 1861 r. zaludniać się zaczęła: tym razem wyłącznie Polacy, i na długo, na bardzo długo mieli pod jej niebem pędzić dnie tułacze. Gdy tam

[1] Z Wołynia w owym czasie porwani i osadzeni w Wiatce byli wśród innych: Gracyan Bajkowski z Owruckiego, Konstanty Teleżyński, Michał Nyko.

przybyliśmy, zaledwie trzech, czterech, liczono wygnańców; wnet przy nas kontyngens wzrastać zaczął, i wzrastał z szybkością lawiny śnieżnej ze szczytów lecącej.

Wkrótce spotykano ich tam ciżbę niezwykłą, ale już na to nie patrzałem: niedługo potem byłem gdzieindziej.

* * *

W godzinach południowych, dnia 10 listopada (st. st.), przed domem wiackiego gubernatora stanęła nasza karawana.

Byliśmy u celu podróży.

Straż weszła z papierami do wnętrza na chwilkę krótką, wnet bowiem wróciła z poleceniem, by nas wieść do biura policyi, gdzie powiedzą o dalszych losach naszych.

Prawdopodobnem było, że każą dalej jeszcze nam się udać, do którego z miast powiatowych, dla tem większej prywacyi ducha: tak zaleca ścisła interpretacya prawa o ludziach wysyłanych bez badań i sądu.

Czekaliśmy tedy w izbie policyjnej, o bardzo nieestetycznym wyglądzie, na owe dalsze wyroki losu.

Oczekiwanie długiem nie było; zanim jednak skończyło się, stanęli przed nami dwaj ziomkowie, którzy na kilka miesięcy przedtem na wygnanie z Ukrainy byli przywiezieni. Dowiedziawszy się o przybyciu naszej karawany, śpiesznie przybyli do biura w celu powitania nas i dania wskazówek stosownych, na przypadek gdyby wieźć chciano dalej, do powiatowego miasta.

Wędrówka tym razem miała się skończyć na Wiatce. Nadszedł p. policmajster, oświadczając, że p. gubernator pozwala nam wszystkim trzem w gubernialnem mieście pozostać. Obecnie możemy wypocząć, a jutro o południu stawić się mamy u gubernatora.

Z radością prawdziwą powitaliśmy wiadomość, iż długa, uciążliwa wędrówka stanowczo do kresu dobiegła, i wreszcie, że nie będziemy osamotnieni.

Ziomkowie, przyszli koledzy wygnania, którzy w biurze policyi nas powitali, uprzejmością swą ujęli mocno. Wspólne losy

zbliżyły nas natychmiast, szczególniej mego brata; wiekiem zbliżony on był do nich, a usposobieniem swem łacno ludzi ujmował. Nasi koledzy byli to ludzie lat średnich, ojcowie rodzin, ziemianie z pogranicza ukrainnego, z okolic Berdyczowa: Stanisław i Julian Morzyccy. Pierwszy, młodszy nieco od swego brata, już odbywał wygnanie syberyjskie od 1848 r., i niedawno wrócony krajowi, znowu udać się musiał z bratem swym, wskutek jakichś, ściślej nieokreślonych podejrzeń, na owo wiackie wygnanie. Obaj oni, podobnie jak mój brat, jak trzeci kolega z nami przybyły, Dyonizy Kadłubiski, zostawili rodziny w domach swych, w kraju, co dodawało niemało boleści do ich losów nader niewesołych, o niepewnej przyszłości. Oprócz dwóch M., spotkaliśmy w Wiatce dwóch Czarnołuskich, przywiezionych niedawno z Wołynia.

Nowi koledzy zawieźli nas do mieszkania swego, gdzie pożegnaliśmy naszych strażników i rozpoczęliśmy obrady nad urządzeniem się z mieszkaniem.

Straż pożegnała nas uprzejmie; widocznie, iż źle jej z nami nie było podczas tej całomiesięcznej odysei, wśród błota, słoty, a później śniegów i mrozów o niezwykłej surowości. Urzędnik tylko wiozący K. uskarżał się, iż nie zdołał wedle instrukcyi jechać klasycznym szlakiem wygnania, przez Carewo-Kokszajsk, Kosmo-Demiańsk, i dziwił się, jak mu u rogatek Moskwy drogi poplątała jakaś zła siła. Pocieszaliśmy biedaka rutynistę. Odjechał, zdaje się, pocieszony zupełnie. Z mieszkaniem także rzeczy poszły szybko. Lokal zajmowany przez braci Morz., braci Czarnołuskich i jeszcze jednego wygnańca z dawnej plejady wygnańców (1848), staruszka Wiatrowskiego, można było rozszerzyć; donajęliśmy do tego co było izdebkę, i w ten sposób wszyscy ówcześni wygnańcy w jednym domu zamieszkaliśmy.

Nazajutrz po przyjeździe do Wiatki ulokowani już byliśmy w lokalu naszym, z którego rychło się wytworzył pewien rodzaj klasztorku. Każdy posiadał swą izdebkę lub swój kącik oddzielny zupełnie, niby maluczką celę, gdzie pracy lub rozmyślaniom mógł się oddawać, a nikt mu nie przeszkadzał; wspólna zaś izba, rodzaj saloniku, zgromadzała nas wszystkich w pe-

wnych chwilach dnia na wspólny posiłek, na przyjęcie gościa, gdy się zdarzył, i wreszcie na wspólną również pogadankę, jak i modlitwę. I jedna i druga była dla nas dźwignią niemałą, a ukojeniem niezaprzeczonem. O modlitwie, najczęściej przy tem wspólnej, wygnańcy owej epoki, w Wiatce przynajmniej, nigdy nie zapominali.

(C. d. n.).

Maryan Dubiecki.

ROZWÓJ TEORYJ FIZYCZNYCH.

(Dokończenie).

Najtrudniej było nauce oswobodzić się od nieważkich płynów w teoryi magnetyzmu i elektryczności. Od najdawniejszych czasów uważano magnetyzm i elektryczność za objawy tej samej siły, ale związek ten nie był niczem poparty i rozluźniał się z postępem wiedzy coraz bardziej. W starożytności, w wiekach średnich i na początku wieków nowych, wiedziano o magnetyzmie tylko tyle, że pewne minerały żelazo przyciągają, a o elektryczności, że bursztyn potarty lekkie ciała przyciąga. Siła magnesu stanowiła dla greckich filozofów przedmiot rozmaitych spekulacyj, a o własności bursztynu potartego mówiono, że jest on pewnym rodzajem magnetyzmu. Dopiero Anglik Gilbert, lekarz przyboczny królowej Elżbiety, dał bodźca do badania własności bursztynu w r. 1600, wskazując, że własność przyciągania otrzymują przez potarcie także inne ciała. Siłę tę uważał Gilbert za odmienną od magnetyzmu i nazwał ją elektrycznością. Odtąd poczęły się równolegle obok siebie rozwijać dwie odrębne gałęzie wiedzy, lecz nigdy nie zarzucano myśli, że między magnetyzmem i elektrycznością pewien związek istnieje. Szukanie tego związku było daremnem, jak długo znano tylko elektryczność, przez potarcie powstającą. Gdy przy końcu ubiegłego stulecia sławne odkrycia Galwaniego i Volty stworzyły nowe źródło elektryczności w stosach galwanicznych, otwarło się nowe pole ba-

dania. Lecz długi czas pochłaniała uwagę uczonych przedewszystkiem teorya stosów, skutki chemiczne prądów i szukanie związku między elektrycznością a zjawiskami chemicznemi. Dopiero epokowe odkrycie Oersteda w r. 1820, że prąd elektryczny odchyla igłę magnetyczną, było pierwszym węzłem, łączącym magnetyzm z elektrycznością. Genialny umysł Ampéra pochwycił wnet ten wątek. Jeżeli magnesy działają na siebie przyciągająco lub odpychająco, jeżeli prąd na magnes działa, więc — wnioskował Ampére — także prądy na siebie działać muszą. Wykazawszy przez zmyślne doświadczenia, że prądy rzeczywiście na siebie działają, porównał to działanie z działaniem na siebie magnesów i doszedł do tego nadzwyczaj ważnego wniosku, że mały, zamknięty w sobie prąd zachowuje się wobec prądów i magnesów zupełnie tak, jak magnes. Własności magnesów stalowych objaśnić się dają, przyjmując, że każda drobina stali jest magnesem. Według Ampéra, magnetyzm tych drobin pochodzi ztąd, że je okrąża prąd elektryczny. To wytłumaczenie istoty magnetyzmu, należące do największych zdobyczy fizyki, sprowadziło magnetyzm i elektryczność do jednej wspólnej przyczyny. Chodziłoby więc tylko o poznanie istoty elektryczności, o wytłumaczenie zjawisk elektrycznych zapomocą ruchu.

Ponieważ zapomocą prądu elektrycznego można wywołać ciepło i światło, a odwrotnie zapomocą ciepła prądy elektryczne, więc mogłoby się wydawać, że przy tych zjawiskach elektryczność na ciepło lub ciepło na elektryczność się zamienia, więc że ciepło i elektryczność są objawami tej samej siły. Lecz tu zachodzą przemiany wcale innego rodzaju. Prąd galwaniczny jest ruchem elektryczności, wzbudzonym i utrzymywanym przez pewną siłę. Jeżeli prąd elektryczny ogrzewa drut, to dzieje się to w ten sposób, że ruch elektryczności pobudza do ruchu także drobiny drutu. Więc nie elektryczność zamieniła się na ciepło, lecz ruch jej ciepło wywołał. Podobnie ciepło nie zamienia się na elektryczność, lecz elektryczność, w przewodnikach zawartą, do ruchu pobudza. Na tej więc drodze związku między elektrycznością a ciepłem znaleść nie można.

Natomiast z biegiem czasu odkryto kilka grup zjawisk

świetlnych, które nie dadzą się wyjaśnić na podstawie eteru, jako ciała sprężystego, a z drugiej strony poznano pewne analogie między zjawiskami elektrycznemi i świetlnemi. Do pierwszej grupy zjawisk należy magneto-optyczne skręcenie płaszczyzny polaryzacyi. Jak było wspomniane powyżej, promień światła nie przechodzi przez dwie płytki turmalinowe, tak na sobie położone, że osie krystaliczne pod kątem prostym się krzyżują. Pomyślmy sobie rurkę, zamkniętą na obu końcach płytkami turmalinowemi, ustawionemi w położeniu takiem, ażeby światła nie przepuszczały. Jeżeli do rurki nalejemy roztworu cukru, promień światła przejdzie przez rurkę, a chcąc go zgasić, potrzeba jednę z płytek o pewien kąt skręcić. Widocznie więc promień, który przeszedł przez cukrowy roztwór, jest w innej płaszczyźnie spolaryzowany, niż po wyjściu z pierwszej płytki. Zjawisko to nazywamy skręceniem płaszczyzny polaryzacyi. Otóż w r. 1845 odkrył Faraday, że takie skręcenie płaszczyzny polaryzacyi następuje, jeżeli promień spolaryzowany przechodzi przez przestrzeń, w której działa silny magnes, przez t. zw. pole magnetyczne, a w r. 1877 odkrył Kerr, że skręcenie ma także miejsce przy odbiciu promienia spolaryzowanego od powierzchni silnego magnesu.

W rozszerzaniu się sił elektrycznych i światła dostrzeżono wiele analogij, które nie mogą być przypadkowe. Dłuższy czas utrzymywało się błędne zdanie, jakoby ośrodek, w którym znajduje się ciało naelektryzowane lub magnes, nie brał żadnego udziału w przenoszeniu się działania tych ciał na inne. Sądzono np. że żelazo staje się wpobliżu magnesu także magnesem bez udziału otaczającego powietrza, że również bez udziału powietrza przyciąga ciało naelektryzowane lekkie ciała. Słowem, przypuszczano niezgodne ze zdrowym rozsądkiem działanie na odległość bez żadnego pośrednika. Faraday dopiero pierwszy wypowiedział przypuszczenie, że izolator, znajdujący się pomiędzy dwoma ciałami, pomiędzy któremi ma miejsce oddziaływanie elektryczne lub magnetyczne, bierze fizyczny udział w przesłaniu siły i wpływa na przemieszczenie elektryczności, — co później sprawdził doświadczeniem. Okazało się bowiem, że od natury izolatora, oddzielającego dwa przewodniki, zależy wielkość ła-

dunku, który przewodnikom nadać można, a później stwierdzono, że izolatory pod wpływem przechodzących przez nie działań elektrycznych ogrzewają i odkształcają się. A więc ośrodek bezsprzecznie bierze udział w przenoszeniu działań elektrycznych. Ponieważ działania te przenoszą się i przez t. zw. próżnię, więc należy przypuścić, że i tutaj środkiem, przenoszącym siłę, jest eter, zwłaszcza, że szybkość, z którą rozszerzają się w izolatorach zaburzenia elektryczne, jest taką samą, jak szybkość światła. Otóż opierając się na wymienionych i innych analogiach, rozwinął Anglik Maxwell, jeden z najgenialniejszych fizyków nowszych czasów, nową teoryę światła, t. zw. teoryę elektromagnetyczną. Pierwsze zarysy tej teoryi nakreślił Maxwell w r. 1873. Wykazał on, że biorąc za podstawę rachunków optycznych siły elektryczne, dochodzi się do tych samych wyników, jak na podstawie sprężystego eteru. Rodzaj ruchu eteru przy rozszerzaniu się sił elektrycznych i światła jest zatem zupełnie ten sam, czyli światło polega na zaburzeniach elektrycznych. Świecenie polega więc na powstawaniu około każdej cząstki świecącego ciała pola elektrycznego, które nieustannie zmienia swe natężenie, a wskutek tego wywołuje zaburzenia elektryczne w otaczającym je, przeźroczystym izolatorze. Konsekwencye teoryi Maxwella zgadzały się wprawdzie z rzeczywistością (np. że izolatory powinny być ciałami przeźroczystemi a przewodniki nieprzeźroczystemi). Zjawiska polaryzacyi i podwójnego załamania światła wyprowadził ze swej teoryi sam Maxwell, a inni uczeni wyprowadzili matematyczne wyrażenia dla siły światła, dla odbitych i załamanych promieni; lecz mimo to teorya nie miała tak długo realnej podstawy i była tylko genialną matematyczną koncepcyą, jak długo eksperymenta teoryi nie potwierdzały. Potwierdzenia takiego doczekała się ta teorya w ostatnich dwóch latach, w sławnych doświadczeniach Hertza.

Czytelnikowi nasunęło się z pewnością pytanie, dlaczego to, jeżeli ciało naelektryzowane wzbudza w otaczającym eterze fale, co do istoty z falami światła identyczne, fale te nie działają na nerw wzroku? Oto dlatego, że fale te są za długie, znacznie dłuższe od ciemnych promieni. Otóż postarano się wytwo-

rzyć fale elektryczne, które wprawdzie w oku wrażenia nie sprawiają, bo są jeszcze zbyt długie, lecz są do światła tak zbliżone, że na nich wszystkie własności światła doświadczalnie wykazać można. Hertz otrzymał fale elektryczne, których długość wynosiła około jednego metra. Ponieważ najdłuższe fale światła wynoszą 760 milionowych części milimetra, więc bardzo nam jeszcze daleko do wywołania zapomocą fal elektrycznych wrażenia światła.

Środkiem, zapomocą którego można otrzymać fale elektromagnetyczne, prędkością do fal świetlnych nieco zbliżone, są prądy o zmieniającym się bardzo szybko kierunku. Prądy takie otrzymujemy zapomocą indukcyi, odkrytej w r. 1831 przez Faradaya. W zamkniętym łączniku, wpobliżu którego odbywa ruch magnes, albo też wpobliżu którego powstają lub ustają w innym łączniku prądy elektryczne, powstają prądy chwilowe, t. zw. prądy wzbudzone. Kierunek prądu wzbudzonego przez powstający prąd lub zbliżający się magnes, przeciwny jest kierunkowi prądu wzbudzonego przez ustający prąd lub oddalający się magnes. Na zasadzie indukcyi zbudowane są machiny dynamoelektryczne, owo potężne źródło prądu nowoczesnej elektrotechniki. Machiny te mogą dawać prądy o kierunku stałym lub zmiennym. Otóż zapomocą prądów, których kierunek w sekundzie kilka set razy się zmienia, udowodnił Hertz, że fale elektryczne posiadają te same własności, co fale świetlne; wykazał mianowicie ich odbicie, załamanie i interferencyę. I tak: jeżeli ustawimy naprzeciw siebie dwa wklęsłe lustra paraboliczne, a w ognisku jednego z nich umieścimy światło, promienie odbiją się od lustra w kształcie równoległego pęku ku drugiemu lustru, a po powtórnem odbiciu zejdą się w ognisku drugiego lustra. Podobnie, jeżeli wstawimy w ognisko jednego lustra zwój drutu, przez który krążą przemienne prądy, a w ognisku drugiego również zwój drutu, którego końce są do siebie zbliżone,—między końcami tymi przeskakują iskry elektryczne.

Jeżeli w drogę promieni elektrycznych, odbitych od lustra wklęsłego, wstawimy pryzmat ze smoły, możemy zapomocą cewki nawiniętej drutem, którego końce się nie schodzą, odnaleść kierunek promieni po przejściu przez pryzmat, czyli okazać ich załamanie.

Fale elektryczne, które pulsujący prąd elektryczny wzbudza w otaczającej go przestrzeni, unaocznił profesor amerykański, Elihu Thomson, nadzwyczaj ciekawemi doświadczeniami. I tak np. jeżeli przez zwoje elektromagnesu, t. j. kawałka żelaza, obwiniętego drutem, krążą prądy o szybko zmieniającym się kierunku, a nad magnesem trzymamy pierścień z drutu, pierścień zostanie gwałtownie odepchnięty i w powietrzu bez podpory utrzymany. Fale elektromagnetyczne, wychodzące z elektromagnesu, chcą przejść przez pierścień, zostają jednakże odrzucone przez fale, wywołane w pierścieniu, muszą zboczyć i uderzają o pierścień z taką siłą, że pierścień w powietrzu zawisa. Jeżeli lampkę żarową połączymy z końcami zwojów drutu, tworzących pierścień, i lampkę wraz z pierścieniem umieścimy na dnie naczynia szklanego, napełnionego wodą, ustawionego nad elektromagnesem, lampka podnosi się nieco w wodzie do góry i poczyna świecić. Fale elektryczne przeszły więc przez szkło i przez wodę, i wzbudziły w pierścieniu, z lampką połączonym, prąd rozżarzający lampkę.

W lipcu 1890 r. udało się p. Dobrzyńskiemu, docentowi politechniki we Lwowie, wykazać działanie fal elektromagnetycznych na płytę fotograficzną.

Elektromagnetyczna teorya światła związała zjawiska światła, ciepła promienistego i elektryczności w jedno ogniwo. Promienie światła, a więc i ciepła promienistego, polegają na falach elektromagnetycznych: mamy zatem zamiast kilku czynników w przyrodzie, tylko jeden czynnik, jednę wspólną przyczynę napozór tak odrębnych zjawisk, a tą jest elektryczność. Zamiast opierać się na rozmaitych nieważkich płynach, wyposażonych właściwemi własnościami, przyjmujemy obok zwyczajnej materyi jednę tylko hipotetyczną, co do natury swej jeszcze niezbadaną materyę, elektryczność. To ciało, które wypełnia cały wszechświat, zwane eterem, jest elektrycznością, a zjawiska światła, ciepła promienistego, magnetyzmu i elektryczności polegają na zaburzeniach równowagi elektryczności. Słońce jest olbrzymiem źródłem elektryczności, a może będziemy kiedyś umieli używać fal elektrycznych, które na ziemię wysyła, do praktycznych celów.

„Pragnąłbym — mówi wielki Newton w przedmowie do wiekopomnego swego dzieła: *Philosophiae naturalis principia mathematica* — ażeby wszystkie zjawiska wytłumaczono na podstawie mechanicznych zasad. Cała trudność zbadania przyrody leży w wyprowadzeniu wszystkich sił przyrody ze zjawisk ruchu, i w dowodzeniu, że z ruchu wszystkie zjawiska wypływają".

Do tego celu przez Newtona upragnionego, fizyka wytrwale dążyła. A dziś z wielkiem prawdopodobieństwem twierdzić możemy, że wszystkie zjawiska fizyczne polegają na ruchu bądź to całych mas, bądź też najmniejszych ich cząstek, bądź też na ruchu tej tajemniczej materyi, którą elektrycznością nazywamy. O mechanizmie tych ruchów wiemy jednakże bardzo jeszcze mało. Jeden rodzaj ruchu może się zmienić na inny, a przemiany te odbywają się według jednego ogólnego prawa, najogólniejszego, do którego nauka aż do chwili obecnej dojść zdołała. Jestto prawo o zachowaniu energii. Podług tego prawa odbywają się nietylko zmiany i przeobrażenia w całej nieorganicznej przyrodzie, lecz wkracza ono także głęboko aż do nieokreślonych jeszcze granic w życie świata organicznego, rządzi nietylko zjawiskami na naszej ziemi, lecz zdaje się panować w całym wszechświecie.

Cóż to jest energia? Pojęcie energii przeszło do fizyki ze świata duchowego. Człowiek, obdarzony energią, znajduje się w stanie napięcia sił duchowych lub fizycznych, na mocy którego posiada zdolność wykonania skutecznie umysłowej lub cielesnej pracy. Ponieważ w nieorganicznych ciałach dostrzegamy w pewnych warunkach zdolność do wykonania pracy, więc mówimy o nich, że posiadają energię.

A jakąż to pracę mogą wykonać martwe ciała?

Każda fizyczna praca, którą wykonujemy, polega ostatecznie na tem, że pokonujemy pewien opór, że pokonujemy na pewnej przestrzeni siłę, działającą w przeciwnym kierunku. Gdy kowal podnosi młot, pokonuje siłę ciężkości; gdy tracz piłuje drzewo, pokonuje opór, jaki stawia drzewo na mocy spójności. Wielkość pracy zależy od wielkości pokonanego oporu lub pokonanej siły i od wielkości przesunięcia. Pracę mierzymy zatem iloczynem

z siły i drogi, i wyrażamy w metrokilogramach. Metrokilogramem nazywamy pracę potrzebną do podniesienia jednego kilogramu na wysokość jednego metra.

Energię rozróżniamy dwojaką: energię czynną i energię położenia. Energię czynną posiada każde ciało będące w ruchu, np.: ciało spadające, płynąca woda, prąd wiatru, prąd galwaniczny ciepło, głos, światło. Energię położenia posiada np. ciało spoczywające na pewnej wysokości, bo spadając może wykonać pracę. Taką samą energię ma ściśnięta sprężyna, zgęszczony gaz, nabita butelka lejdejska, magnes. Energię położenia posiadają wszystkie ciała, które mogą się z innemi chemicznie połączyć, np.: ładunek prochu posiada energię na mocy tego, że siarka, węgiel i saletra chemicznie połączyć się mogą. Prawo zachowania energii orzeka, że tak jak nie jesteśmy w stanie ani materyi stworzyć ani zniszczyć, tak również nie możemy ani stworzyć ani zniszczyć energii. Jak zjawiska chemiczne polegają na przemianie materyi z jednej formy w drugą, tak zjawiska fizyczne polegają na nieustannej przemianie energii. Lecz suma energii w wszechświecie przy tych przemianach nie ulega zmianie.

Prawo to wypowiedział w całej rozciągłości po raz pierwszy Robert Mayer, a Helmholtz w słynnej swej rozprawie „O zachowaniu siły“, podał matematyczne tego prawa wyrażenie i jego konsekwencye, i uczynił go podwaliną nowoczesnej fizyki.

Jeżeli spalimy pod kotłem machiny parowej węgiel kamienny, zamienimy energię położenia węgla i tlenu na energię czynną ciepła. Część tej energii zużywa się na ogrzanie ścian kotła, na pracę wewnętrzną przy zamianie wody na parę, a część energii przemienia się za pośrednictwem pary na ruch tłoka, więc na pracę mechaniczną. Machina parowa obracając machinę dynamoelektryczną, przemienia część tej energii na energię elektryczną, a reszta wskutek tarcia na energię ciepła się zamienia. Energię prądu można zamienić na energię ciepła, światła lub też za pośrednictwem motoru elektrycznego na energię mechaniczną. Przy żadnej z tych przemian niema straty energii. Jeżeli pocieramy zapałkę o szorstką płaszczyznę, energia ruchu ginie, natomiast wywiązała się energia ciepła, która znowu dała pobudkę

do przemiany energii położenia fosforu wobec tlenu, na energię ciepła i światła.

Ponieważ energii stworzyć nie umiemy, i tylko istniejących rodzajów energii do celów naszych używać możemy, więc zachodzi pytanie, czy gospodarstwo przyrody tak jest urządzone, że energia, która służyła do pewnego celu, może nieskończoną ilość razy do tego samego celu być użytą, czy też zbliżamy się do pewnego stanu w przyrodzie, który położy kres podobnemu odnawianiu użyteczności energii? Odpowiedź na to pytanie daje tak zwane drugie zasadnicze prawo mechanicznej teoryi ciepła. Prawo to wypowiedziane przez Carnota w formie jednostronnie tylko słusznej, zostało przez innych uczonych rozszerzone. Angielscy fizycy nazywają je prawem o rozpraszaniu energii. Helmholtz określa je mówiąc, że energia w stanie związanym doznaje nieustannie powiększenia na koszt energii wolnej, że widoczny ruch ciał przemienia się nieustannie na niewidoczny ruch cząstek czyli na ciepło. Znaczenie tego prawa jest następujące.

Rodzaje energii mają rozmaitą wartość. Najszlachetniejsze rodzaje energii są te, które bez wszelkich ograniczeń lub kompenzat mogą być zamienione we wszystkie inne rodzaje energii. Do tych energij należą wszystkie rodzaje energii położenia i wszystkie rodzaje energii czynnej ruchów uporządkowanych. Mniejszą wartość ma energia czynna nieuporządkowanych ruchów cząsteczkowych czyli energia ciepła, a to tem mniejszą, im niższa jest temperatura ciała. Energie jakości wyższej, mogą być zamienione na ciepło całkowicie, bez wszelkiej kompenzaty. Przeciwnie ciepło może być tylko w części zamienione na pracę lub energię czynną ruchów uporządkowanych i to tylko wtenczas, gdy część ciepła przejść może z ciała cieplejszego na ciało zimniejsze. I tak np.: zapomocą energii spadającej wody można poruszać koło młyńskie lub turbinę, a więc otrzymać pracę mechaniczną. Pracę tę można zużytkować do obracania dynamosu i otrzymać energię prądu. Możemy także zrzec się całkowicie lub częściowo wymiany energii wody na równie szlachetne formy energii, przekształcając ją na ciepło przez tarcie lub uderzenie.

Ta ostatnia wymiana odbywa się nieustannie w zamien-

nym banku przyrody, i w żaden sposób zapobiedz jej nie można. Przy najdoskonalszych maszynach nie można uniknąć tarcia, tak, że z włożonej w maszynę energii, tylko część otrzymujemy w postaci pracy mechanicznej, a część w postaci równoważnej ilości ciepła.

Podczas gdy energię czynną można zamienić całkowicie na ciepło, część tylko ciepła na energię czynną zamienić można. Całej energii kotła parowego nie można np. zamienić na pracę mechaniczną, tylko pewien jej ułamek. W ten sposób coraz mniej mamy na świecie energii czynnej, energii mechanicznej, a coraz więcej energii ciepła, z której tylko część zaginionej energii czynnej odzyskać możemy, a to tem mniejszą część, im bardziej wyrównuje się temperatura ciał w przyrodzie. Gdyby wszystkie ciała miały jednakową temperaturę, nie moglibyśmy mimo olbrzymiego zapasu energii, istniejącej w postaci ciepła, z niej korzystać, i na energię mechaniczną żadnej części ciepła zamienić. Każde ciało spada ku środkowi ziemi; im niżej spadło, tem mniejszy posiada zapas energii. Stracona energia zamieniła się przy uderzeniu ciała o podstawę w ciepło. W powolnym procesie ścierania się i usuwania mas górskich, odbywa się ta zamiana szlachetnej energii położenia na energię ciepła na olbrzymią skalę.

Zbliżamy się więc coraz bardziej do stanu tego, że wszystkie rodzaje energii zamienią się na energię ruchów cząsteczkowych, na energię ciepła. A ponieważ temperatura w całej przyrodzie wyrównać się musi, energia ciepła stanie się bezużyteczną dla naszych celów. Nie zmieni się ilość całej dziś istniejącej na świecie energii, lecz istnieć będzie w jakości nie przedstawiającej żadnej wartości.

Jedyne zjawiska na ziemi, które dostarczają nam wciąż nowych ilości energii wolnej, mianowicie: skupianie się węgla w roślinach, krążenie wody i ruchy wiatrów, zawdzięczamy słońcu, którego promienie karmią rośliny węglem zawartym w kwasie węglowym powietrza, podnoszą wodę w postaci pary na wyżyny górskie, i wywołują prądy powietrza. A także zdolność do pracy ludzi i zwierząt ma swe źródło w słońcu, bo pochodzi z energii chemicznej przyjętego pokarmu. Przez dopływ energii słońca,

ziemia nasza na długi czas ma zapewnione pokrycie strat powstających przez zwyrodnienie energii. Długo jeszcze będziemy mogli używać tych samych ciał do tych samych celów, poruszać zegary zapomocą podniesionych ciężarów, obracać wodą koła młyńskie, wytwarzać przez spalenie roślin siłę pary. Lecz ponieważ różnica temperatury między słońcem a ziemią zmniejszać się a z czasem zniknąć musi, więc to obfite źródło energii także kiedyś wyschnie. Drugie prawo mechanicznej teoryi ciepła zakreśla zatem kierunek zjawisk w świecie materyi; jest ono niejako ciężarem, regulującym zegarem wszechświata, i wskazuje z nieubłaganą koniecznością stan ostateczny, do którego świat zdąża.

A jakaż będzie nasza dola, kiedy zabraknie wolnej energii? Losy nasze są w ręku Tego, który jest wszystkiego początkiem i końcem. Jak długo Bóg przeznaczył rodzajowi ludzkiemu żyć na ziemi, nie zabraknie mu z pewnością środków do utrzymania życia. Nim spełni się to, co przepowiada drugie prawo mechanicznej teoryi ciepła, spełnią się wyroki boże nad rodzajem ludzkim.

Na zakończenie godzi się zapytać, czy też teorye fizyczne, które obecnie wyznajemy, są niezbitą prawdą? Czy przyszłym pokoleniom to co się nam wspaniałym gmachem wiedzy wydaje, nie wyda się lichą lepianką? Czy wogóle zdolni jesteśmy do poznania bezwzględnej prawdy, do poznania prawdziwej przyczyny zjawisk w przyrodzie?

Popęd do badania, do szukania prawdy, jest nam wrodzony. Możemy słusznie być dumnymi z naszych zdobyczy, lecz ich nie przeceniamy. Im bardziej odchylamy zasłonę pokrywającą tajemnice przyrody, tem więcej nowych tajemnic dostrzegamy; im lepiej poznajemy, jaką wspaniałą całość świat tworzy, tem więcej czujemy niemoc naszą do zupełnego poznania zawiłych jego stosunków. Lecz kresu naszej wiedzy w poznaniu przyrody oznaczyć nie możemy, — hasła *ignorabimus* na sztandarze nauki wypisywać nam niewolno, bo z hasłem tem skończyłby się wszelki w nauce postęp.

Wierzymy w prawdziwość naszych teoryj, bo odpowiadają stanowi naszej wiedzy. A gdyby kiedyś nawet przyszłe pokolenia dowiodły, żeśmy byli w błędzie, zdobycze w zakresie fizyki będą zawsze wspaniałem świadectwem duchowej pracy naszego wieku, i trwałym pomnikiem sławy tych mężów, których geniuszowi i pracy dzisiejszą naszą wiedzę zawdzięczamy.

Dr. Franciszek Tomaszewski.

SZKOŁA HOZYUSZA W PRUSIECH.

(Dokończenie).

Już w kwietniu 1551 r. zastanawiał się Hozyusz nad wyborem miejsca dla swej szkoły, skoro obejmie biskupstwo warmińskie. Kromer odrazu doradzał Elbląg, za czem przemawiały mniejsze koszta utrzymania szkoły w tem mieście: Hozyusz obliczał po 20 grzywien na jednego ucznia. Około 1 maja miał Hozyusz sam pojechać do Elbląga, ale nie pojechał; namyślił się, że przedtem trzeba się upewnić, czy Elblączycy „zechcą być chrześcijanami". Nareszcie ułożył się z miastem i, jak wiemy, w sierpniu stypendystów swoich tam posłał.

W Elblągu istniała już szkoła miejska pod kierownictwem Niemca, magistra Marka — lichy zakład, w którym więcej bywało ekscesów niż nauki. Hozyusz spodziewał się widocznie, że mu się uda szkołę podnieść i przekształcić, skoro pozyska wpływ na jej rozwój, bo nie założył nowej, ale swoich uczniów i nauczycieli do istniejącej przyłączył, tak że nastąpiło rozszerzenie miejskiej szkoły elbląskiej kosztem Hozyusza, który nie zastrzegł sobie nawet prawa mianowania rektora. Opłacał trzech nauczycieli: magistra Gelasinusa w połowie i dwóch bakałarzy, Feliksa i Tomasza, tudzież całe utrzymanie swych trzydziestu wychowańców. Pieniądze na ten cel posyłał na ręce konzula elbląskiego, Greffego, od którego odbierał rachunki. Gospodarstwem szkoły trudniła się rada miejska.

Ze szkołą połączony był internat w domu „pod słońcem“ (ztąd *Collegium Solineum*), w którym stołowanie chłopców puszczano niejako w przedsiębiorstwo. Z początku dyrygowała kuchnią i jadalnią jakaś „baba“ *(anus)*, Bomgartowa, zgodzona przez radę miejską. Nieszczególną była gospodynią, bo dzieci głód cierpiały i po ciemku nieraz siedzieć musiały, i ona sama nietylko nic nie zarobiła, ale w znaczne popadła długi. Przyczyna nie tkwiła w zbyt niskiem wynagrodzeniu, bo jakiś inny kucharz ubiegał się o przyjęcie chłopaków za niższą cenę (20 mgr.). Gelasinus Bomgartowej nie chciał, ale ujęli się za swoją mieszczką rajcy elbląscy, twierdząc, że gospodyni nie jego władzy, lecz rektora Marka, podlega. Magister Mikołaj wziął tę sprawę zasadniczo, że w takim razie polska młodzież przez Hozyusza sprowadzona i on sam podlegaćby musiał władzy Marka i wprost oświadczył, że na to żadną miarą się nie zgodzi. Niezadowolony Gelasinus wyprowadził się z bursy „pod słońcem“, chłopców poumieszczał po kwaterach prywatnych, co trwało aż do początku 1552 r., póki nie nastał nowy „ekonom“ szkolny, z którego magister był zadowolony. Niemcy poczęli za to dokuczać polskiej kolonii. Raz podczas lekcyi niemieckiego nauczyciela — gdy zajęty był, według wyrażenia Mikołaja, „ogłupianiem chłopców“ — któryś z uczniów syknął, a Niemiec wpadłszy w gniew, wziął z tego pochop do wymyślania na Polaków wobec żaków: pędzi do Marka, Marek do „senatu“ miejskiego — a tymczasem wszyscy niemieccy nauczyciele urządzają formalny *strike:* do szkoły nie przychodzą, chłopców opuszczają. Wielka sprawa w senacie: magister Mikołaj oskarżony, sypią się skargi i oszczerstwa od licznych przeciwników, a nasz Lwowianin nawet nie wszystko rozumie, bo jeszcze dobrze niemieckim językiem nie włada. Nareszcie, gdy się krzyki ułożyły, wykazuje, świadcząc się całą szkołą, że popierwsze niema o co całego miasta alarmować, bo syknięcie ledwie było dosłyszalne, a powtóre, że ten, który syknął, nie jest bynajmniej z jego elewów, ale właśnie Niemiec! Tendencyjność awantury leżała jak na dłoni. Nasz magister urażony i zgniewany, podał rajcom odrazu dylemat: albo ukarzą tych oszczerców i „fagasów“, albo też on ze swymi chłopcami

progu szkolnego więcej nie przekroczy. Rajcy przerażeni, że „szkoła dużoby straciła, gdybyśmy my w niej zamilknęli“, udzielili tamtym nagany, a Mikołaja usilnie wzywali, ażeby nauczał dalej publicznie nietylko swoich polskich, ale wszystkich wogóle uczniów.

Rada miejska zerwała po krótkim czasie z Bomgartową. Chłopcy, będący na utrzymaniu Hozyusza, wszyscy jednakiej doznawali opieki i do jednego zapewne zasiadali stołu, jakkolwiek stosunki majątkowe ich rodziców były różne. To też czas, który w prywatnych kwaterach spędzili, nie wyszedł na korzyść wychowanków co do poczucia równości koleżeńskiej; zamożniejsi szukali sobie lepszych kwater, a Gelasinus obawiał się, że nie będzie to zaszczytnem dla Hozyusza, gdy rodzice niektórych chłopców otrzymają listy od swych synów z prośbą o pieniądze, ażeby sobie piękne i wygodniejsze mieszkanie nająć. Niektórzy, jak np. Komorowski, zgodzili sobie osobnych służących na kwaterach; panięta same u Bomgartowej stołować się nie chcieli, ale posyłali jej na wikt służących, za których — zostawali dłużnymi. Popłacił te nieznaczne należytości Hozyusz, drażliwy niezmiernie na tym punkcie, ażeby rodzice jego wychowanków żadnych a żadnych nie ponosili kosztów. Nietylko wikt, ale i garderobę opłacał; przynajmniej zachował się nam jeden rachunek od szewca; że opłacał lekarza w razie potrzeby, to już naturalne. Nawet od bogaczów nie chciał przyjąć Hozyusz żadnego wynagrodzenia swoich wydatków, ani np. od biskupa Maciejowskiego, który miał u niego ośmiu swych synowców, Leżeńskich; gdy Kromer objawił zamiar płacenia za swego synowca, Hozyusz dawał do zrozumienia przyjacielowi, że go to obraża. Swoją drogą szkoła byłaby nieraz lepiej na tem wyszła, gdyby jej założyciel pozwolił był zamożniejszym płacić; własne bowiem finanse Hozyusza w tym okresie nie świetnie się przedstawiały, i nieraz rad nierad musiał się chwytać drastycznych nawet oszczędności. Tak np. chodziło o — masło i ser, ulubione zawsze specyały chłopców, do których w domu zapewne w obfitości przywykli. W dobrach warmińskiego biskupstwa nieszczególną widać po swym poprzedniku zastawszy gospodarkę, musiał Ho-

zyusz masło i ser dla swego własnego stołu dopiero kupować. Gdyby był miał własne, byłby zapewne owemu „kolegium pod słońcem“ dostarczył, ale kupować nie mógł i nie chciał. Nabiałowa ta sprawa wyszła na wierzch przez synowca Kromera, który zdaje się w liście do wuja przymawiał się o wstawiennictwo do biskupa o te przysmaki. To jednakże błahostka. Gorzej było, że Hozyusz nie miał na szkołę w Elblągu własnego domu, a kupić go nie mógł; z tego wyniknąć miały zawikłania, zagrażające bytowi szkoły.

Pomieszczenie w jednych murach polskiej szkoły Hozyusza z miejską niemiecką, nie wydawało dobrych owoców. Pocieszano się, że przez to uczniowie prędzej i lepiej nauczą się po niemiecku. Na tym języku wiele zależało Hozyuszowi i samymże rodzicom niektórych uczniów. Tak np. rekomendowany przez biskupa Zebrzydowskiego Giżycki, przyjechał do szkoły Hozyuszowej wyraźnie w tym celu, ażeby się nauczył nietylko po łacinie, ale też po niemiecku. Hozyusz przykazał Gelasinusowi, żeby na tę część nauki uważał bardzo: doszło do tego, że nietylko w szkole, ale wogóle chłopcom z sobą niewolno było rozmawiać w innym języku, jak tylko niemieckim; tak przynajmniej było w r. 1552. Jakie tego były przyczyny i jaki cel? Widocznie Hozyusz marzył, że niejeden z wychowańców jego pozostanie i nadal w Prusiech, a wybrawszy stan duchowny, będzie mu dopomagać w dziele katolickiej reformy; inaczej przymus niemczyzny pozostanie dziwną zagadką u tych chłopców, pochodzących bez wyjątku z Korony; dopiero w roku 1553 znajdujemy pomiędzy uczniami Hozyusza chłopców polskiego pochodzenia z Prus Królewskich.

Tych młodych, garnących się tak do niemczyzny Polaków, Niemcy serdecznie... niecierpieli; niecierpiał ich sam bakałarz Tomasz, Niemiec, wraz z Gelasinusem z Krakowa sprowadzony, choć im zawdzięczał sposób do życia; Mikołaj Lwowianin gorzko na niego o to wyrzekał. Większą jeszcze nienawiścią pałali do garstki polskiej młodzieży nauczyciele szkoły miejskiej ze swym rektorem, magistrem Markiem. Przybycie Lwowianina zmuszało ich do sumienniejszej pracy, rozciągało większą kontrolę nad

szkołą, w której — jak powiedziałem — dotychczas więcej było swawoli, niż nauki; głównym atoli powodem nienawiści było zapewne to, że Mikołaj Gelasinus łączył przez swoją osobę szkołę bezpośrednio z samym Hozyuszem, tak gorliwym biskupem katolickim. Nie mogło być wątpliwości, że Galasinus ze swoją polską gromadką przedewszystkiem ma tu utrzymać katolicki charakter szkoły; magister Marek zaś był protestantem (jak się niedługo sam Hozyusz przekonał), a wobec tego zamiast współdziałania obu magistrów, nastąpiło systematyczne szykanowanie nowoprzybyłego.

Szczęściem dla Gelasinusa, sami niemieccy uczniowie szkoły miejskiej nienawidzili swego magistra jeszcze bardziej, niż on Polaków. Szkoła stała się widownią jakichś nieznanych bliżej skandalów, o których wyraził się konzul elbląski, Bartłomiej Greffe, w liście do Hozyusza, że „ciężko o tem mówić, a tem bardziej pisać“, takie tam były „nieporządki i swawole“, i żadnego ładu ni porządku *(kein regiment);* skończyło się na tem, że sama rada miejska widziała się zmuszoną Marka zrzucić z rektorstwa, a posadę tę zaproponować... Polakowi, Mikołajowi ze Lwowa, pókiby z pomocą Hozyusza nie znaleziono sobie jakiego niemieckiego magistra, *der do auctoritatem hette.* Jak trudnem było wypełnienie tego życzenia, już wiemy, bo ten Niemiec musiałby być oczywiście katolikiem; w praktyce tedy ofiarowano Mikołajowi Gelasinusowi zarząd szkoły miejskiej na stałe.

Magister Mikołaj wymawiał się z początku od przyjęcia posady, o której zgóry wiedział, że różami dlań wysłaną nie będzie, ale raczej cierniami najeżoną; twierdził, że wogóle nie czuje się powołanym na zwierzchnika szkoły, że „całe przyzwyczajenie jego życia, usposobienie i sama niemal natura odstraszają go od przyjęcia na siebie rządów szkoły“. Narazie odmówił i nastało w szkole *interregnum.* Młodzież używała bezkrólewia, co się zowie, pozwalała sobie wszystkiego i „popadła w nieznośną zuchwałość“. Napisali paszkwil na magistra Marka, w którym wyszydzali go nielitościwie, opisując w komiczny sposób, jak obchodzi „introdukcyę“ swą do szkoły i piśmidło to na bramie szkolnej przybili. Fakt ten „wszystkich dobrych ludzi tak

zaniepokoił, że zwątpili do reszty o szkole i obyczajach młodzieży". Natenczas Greffe udał się znów do Mikołaja o pomoc i radę: ten widząc, że młodzież się psuje, rada miejska niepokoi, a Hozyusza „nadzieje podniesienia szkoły w niwecz się obracają", nie mógł już odmówić rajcom swego współdziałania. Zażądał atoli zupełnego wydalenia Marka, „który i mnie jawnie (słowa Mikołaja) i którego nawzajem młodzież *ex professo* nienawidzi", bo inaczej nie obejdzie się w szkole bez ciągłych zaburzeń, co też sami rajcowie elbląscy najzupełniej uznawali. Tak tedy Mikołaj Lwowianin stał się rektorem miejskiej szkoły w dalekim Elblągu, zdecydowawszy się na to, jako na „ostateczne lekarstwo w takich okolicznościach". Pisze Gelasinus do Hozyusza w te słowa: „jakkolwiek bardzo trudne to stanowisko, bo wątpliwem jest, czy młodzież, porzuciwszy wszelką karność, da się nanowo poddać pod przepisy, a z drugiej strony niewiele mi dopomogą moi współpracownicy, z których u jednego radbym widział więcej nauki, a u drugiego więcej stateczności — będę jednak tak pracować, żeby mi nic zarzucić nie można w granicach mej możności". Było to w grudniu 1551 r.

Ociąganie się Mikołaja było uzasadnione. Przeciwnicy jego dotychczas zawsze mu robili trudności, o lada błahostkę wzywali interwencyi władz; jeżeli który z ich chłopców dopuścił się wybryku, przemilczali sprawę; jeżeli z polskich który coś zbroił, nie szli na skargę do Gelasinusa, ale z pominięciem go do miejskiego senatu, który dopiero polskiego magistra do siebie przyzywał. Chłopców jego pokryjomu bił każdy, komu się udało, z jadalni ich wyrzucano; gdy Mikołaj wchodził do szkoły, witały go krzyki skarżących się chłopców: nieraz podczas nauki przerywało mu lekcyę wołanie bitych opodal rózgami. Niedziw tedy, że tak stanowczo podał radzie miejskiej swoje: *aut-aut*.

Przypatrzmy się teraz dwom współpracownikom Mikołaja, bakałarzom Tomaszowi i Feliksowi. O pierwszym już wiemy, że nie lubił swego magistra i Polaków wogóle. Zarzucał mu Mikołaj, że zamało umie. Do charakterystyki tego „pedagoga" posłużyć może fakt następujący: Ulubiony synowiec Maciejowskiego, Maryan Leżeński, mieszkał w prywatnej kwaterze; interesa jego, za-

wiadowanie wydatkami etc. miał prowadzić Tomasz. Leżeński miał u Greffa złożonych dla siebie 10 czerwonych złotych. Niespodziewanie dowiaduje się Mikołaj, że Leżeński za mieszkanie i stół winien, na zimę zaś nie posiada wielu niezbędnych przedmiotów, podczas gdy Tomasz oświadczył, że wszystkie pieniądze od Greffa już wybrane na potrzeby chłopca; Mikołaj musiał mu tymczasem posprawiać potrzebne rzeczy za swoje pieniądze. Od Tomasza zażądał rachunków; pokazało się, że żadnych rachunków z wydatków Leżeńskiego nie prowadził i dopiero teraz, przyparty do muru, naprędce rachunek spisał. Główny wydatek stanowiły książki, przez samegoż Tomasza chłopcu sprzedane, zdaniem Mikołaja zupełnie mu niepotrzebne i do wieku ucznia niestosowne. Bakałarz „znalazłszy kupca, któremu mógł sam nakazać dowolną cenę kupna", skorzystał ze sposobności, ażeby pozbyć się z grubym zarobkiem niepotrzebnych książek. Był tedy Tomasz nietylko nieukiem, ale podstępnym wyzyskiwaczem swych pupilów. Miał widocznie dobre plecy wśród rajców elbląskich, bo się w Elblągu utrzymał: spotykamy się tam z nim jeszcze w 1555 r., kiedy Gelasinusa, który go przywiózł, dawno już nie było. Przeszedł prawdopodobnie na koszt miasta, do szkoły miejskiej.

Drugi bakałarz, Feliks, był Polakiem i dla magistra Mikołaja „jedyną istotą, która podzielała jego utrapienia i tłumaczyła mu oszczerstwa niemieckie"; gdyby nie on, „nie mógłby wyżyć sam jeden pomiędzy tylu niepoczciwymi krzykaczami". Nie był jednakże ten *socius dolorum* naszego Lwowianina bez „ale". Przedewszystkiem był za młody, na co Gelasinus zaraz w Krakowie zwrócił uwagę Kromera, niestateczny, a przytem uparty. Musiały być na niego jakieś skargi z Elbląga, bo Hozyusz w listopadzie 1551 r. chciał go uwolnić z obowiązku, i tylko prośba Mikołaja temu zapobiegła. W lutym 1552 r. zaręczał magister, że będzie go pilnował, ażeby biskupowi nie narobił w mieście kłopotów, a mieszczaństwu nie dał powodu do niechęci; udzielił mu surowego napomnienia w tym względzie. Hozyusz obchodził się wtenczas właśnie bardzo ostrożnie z Elblążanami i unikał wszelkiej sposobności do najmniejszego starcia; w drobnostkach zwykł był folgować życzeniom przez rajców wypowiadanym. Tak np. ów

niewierny bakałarz, Tomasz, od decyzyj Mikołaja apelował do Hozyusza, pewny, że biskup dla świętego pokoju teraz wszystko zrobi. Różnemi kombinacyami powiększał sobie Tomasz dochody; obok internatu w domu „pod słońcem“ założył u siebie drugi, a Hozyusz sam kazał Gelasinusowi kilku chłopców oddać mu na stancyę! Kiedy siostrzeniec Kromera, Komorowski, pokłócił się z Tomaszem, Hozyusz usilnie przykazywał Mikołajowi, ażeby sprawę załagodził i dobre stosunki koniecznie przywrócił.

Brak pieniędzy odbierał zapewne Hozyuszowi dużo energii wobec szkoły elbląskiej. Być może, że względy oszczędności podały mu myśl odwołania Feliksa, myśl, przez Mikołaja wręcz za zgubną uznaną. Wiemy, że lekarz elbląski, jakkolwiek dość miał w szkole zajęcia, do końca stycznia 1552 r. żadnego wynagrodzenia ani nawet przyrzeczeń żadnych nie otrzymał; na szczęście imię biskupa warmińskiego coś znaczyło, i lekarz leczył na kredyt, a tylko przez Gelasinusa zręcznie się przypominał.

Hozyusz nie obliczył się dobrze z funduszami. To też rad nierad musiał w r. 1552 liczbę swych stypendystów ograniczyć do dwudziestu; pozostałych dziesięciu przeszło na koszt rodziców. Z końcem lutego 1552 r. Mikołaj Lwowianin wylicza chłopców, utrzymywanych kosztem biskupim; ponieważ przy niektórych nazwiskach zachodzi obawa, czy modernizując pisownię, nie zmieniłbym przez to imion, bo możnaby napisać i tak i inaczej — podaję tedy rejestr ten ciekawy wprost z oryginału:

„Bayerski, Maleczki, Brzeszinski, Tulowski, Osii duo, Pernusii duo, Strusz, Cromer [1], Dulski, Choyenski, Sperling, Knybawski, Plothowski, Bogusz, Podlyodowski, Strykowski, Ponyeczki, Stronski“ — wszyscy w *collegium Solineum* u „ekonoma“, oprócz dwóch ostatnich, których pozostawił umyślnie na prywatnej stancyi, bo byli chorzy na jakieś wrzody w jamie ustnej.

Oprócz tego byli inni na własnym koszcie, których liczba ciągle się zmieniała. Podkanclerzy Ocieski miał tu siostrzeńca swego, Rafała Mstowskiego, za którego dziękował, że „niemniej się kształci, jakoteż wiek jego młodociany ocala się od wpływu

[1] Syn Bartłomieja.

niebezpiecznych naszych czasów opinij religijnych fanatyków". Ten w Łobawie był na koszcie Hozyusza, w Elblągu już nie; wydatki jego załatwiał wojewoda chełmiński, Kostka. Ocieski otwarcie napisał Hozyuszowi, że sam jeszcze ma zamało, ażeby na innych, mogących się bez tego obejść, miał łożyć. „Czerymyenski" jakiś także z początku był na koszcie Hozyusza; później Kromer wziął to na siebie, że go ojciec utrzymywał. Piotr Szrzeński, wojewoda płocki, miał też w Elblągu synowca; biskup Dzierzgowski posłał trzech chłopców. Później słyszymy o Słupeckim, Podlodowskim, Dabińskim, Giżyckim, którego przysłał biskup Zebrzydowski. Najwięcej wzmianek znajdujemy o Komorowskim i Leżeńskim, ulubionych uczniach magistra Mikołaja, których dobro i Hozyuszowi najbardziej na sercu leżało. Gdy nastąpiła owa secesya Polaków z *collegium Solineum*, Gelasinus mieszkał razem z nimi; potem do kolegium powróciwszy, przynajmniej na obiad codziennie do nich przychodził. Hozyusz ubocznie się wywiadywał, czy mają dobrą kwaterę; okazało się, że za te pieniądze zbyt licha. Gelasinus to przyznaje, o lepszą się stara, ale najchętniej zabrałby ich z sobą do kolegium, bo o dobrą kwaterę było w Elblągu nawet za drogie pieniądze trudno.

Ale czyż w samemże kolegium po wypędzeniu „baby", a nastaniu „ekonoma", Jędrzeja Paproskiego (zdaje się Polaka) wszystko było w należytym ładzie i składzie? Aż do września 1552 r., a więc przez ośm miesięcy, nie słychać żadnych skarg. Nagle we wrześniu Paproski kilku chłopców wypędza. Gelasinus był bezsilny, bo „ekonom", nie przez niego, ale przez senat miejski zgodzony, jemu też podlegał. Pisał Hozyusz do Greffego, żądając ukarania zuchwalca, który powinien się był wprzód na chłopców poskarżyć, jeżeli mu co zbroili; zażądał zarazem zrobienia rachunku, chcąc natychmiast zapłacić, jeżeli ma jakie należytości niezaspokojone i nawzajem, jeżeliby zaliczki całej jeszcze nie był wydał, zwrotu reszty. Greffe list ten otrzymawszy, posłał zaraz po Paproskiego i rozmówił się z nim w obecności oficyalisty Hozyusza, Laskowskiego, którego umyślnie na świadka zaprosił. „Ekonom" twierdził, że potrafi postępek swój przed biskupem

usprawiedliwić. Nazajutrz zabrano się do rachunków wobec Greffego, Laskowskiego i Gelasinusa. Paproski miał dopłacić Hozyuszowi niespełna dziesięć grzywien, a Greffe prosił, żeby mu je darować ze względu, że dwieście grzywien własnej gotówki podobno dołożył do interesu w kolegium, a winien jeszcze za chleb i za mięso. Co do wydalenia chłopców miał się osobiście przed biskupem usprawiedliwić. Pojechał rzeczywiście do Hozyusza, wioząc jakiś list od magistra Mikołaja; ale co dalej nastąpiło, nie wiemy.

Przy tej sposobności dowiadujemy się, jak prymitywnem było gospodarstwo przy naszej szkole. W r. 1551 Hozyusz posyłał Greffemu pieniądze, nadto dostawała Bomgartowa ordynaryę. W r. 1552 Hozyusz gotówki wcale nie posyłał, tylko zboże, które Paproski sprzedawał sobie na własny dochód, a nawzajem Hozyuszowi przedstawiał rachunki z konwiktu. Wychodziło tedy na to, że Paproski jest prostym handlarzem zboża, który Hozyuszowi płaci nie gotówką, ale stołowaniem jego pupilów. Okazuje to jawnie, jak krucho było ze „skarbami“ Hozyusza. Jesienią 1552 r. szewc, robiący obuwie dla polskich chłopców, od trzech kwartałów nie był zapłacony; zapytywał przez Greffego, czy ma dalej robić? Hozyusz na św. Mikołaj kazał sobie rachunki przesłać.

Na szkołę elbląską uderzyła tymczasem sroga zaraza, grasująca w Prusiech. W październiku 1552 roku po kilka osób dziennie zmierało w Elblągu; rodzice chłopców do domu poodbierali, niektórzy nie czekając wezwania rodziców, sami wyjeżdżali. Magister Mikołaj radził albo szkołę całkiem rozpuścić, albo gdzieindziej prędko przenieść. Senat miejski szkoły zamknąć nie chciał bez wyraźnego zlecenia Hozyusza, który właśnie był w podróży, wizytując dyecezyę; nasz rektor twierdził słusznie, że w takim wypadku, ze względu na powierzoną sobie młodzież, lepiej być bojaźliwym dla bezpieczeństwa, niż odważnym i narażać się. Senatowi żal było, że licznie uczęszczana szkoła miałaby nagle pójść w rozsypkę, jakkolwiek — dodaje nasz Lwowianin — nigdy dla niej nic sami zrobić nie chcieli. Powietrze trwało jednakże niedługo, w listopadzie było już nie-

mal całkiem dobrze. Tak przynajmniej sądzić wypada z tego, że gdy wojewoda chełmiński, Stanisław Kostka, posłał do Elbląga po „pacholęta swoich łaskawych, a dobrych przyjaciół", chłopcy „nie chcieli żadnym obyczajem jechać", chociaż taka się im do wakacyj nastręczała okazya. Gospodarz, u którego mieli stancyę, i sam mistrz Mikołaj, zaręczali, że już niema niebezpieczeństwa.

Po zarazie nastał nowy alarm: zmiana rektora. Mikołaj Lwowianin odchodził.

Mikołajowi nie dopisywało zdrowie. Już w styczniu 1552 r. narzekał na *scabies* z ustawicznym bólem głowy i lekarza się radził. Tem bardziej dokuczały mu kłopoty szkolarskie, do których rzeczywiście stworzonym nie był. Tymczasem zdarzyła mu się sposobność wyjechać do Włoch, do słonecznej Italii, do ziemi obiecanej humanizmu i renesansu XVI. wieku. Kanclerz Ocieski wyprawiał tam swego siostrzeńca, Rafała Mstowskiego, i zaproponował Mikołajowi, ażeby mu był ochmistrzem w tej podróży: mógłżeż odmówić bez ciężkiego grzechu przeciwko sobie samemu? Nie miał mu też tego Hozyusz nigdy za złe, że dla tej podróży porzucił szkołę elbląską. Układy z Ocieskim trwały dość długo; we wrześniu były już w toku i rektor nie taił się z tem w Elblągu, że zamierza wyjechać; nie mając jednak jeszcze absolutnej pewności, Hozyuszowi nic o tem nie pisał. Niespodzianie otrzymuje biskup list od senatu miejskiego d. d. 20 września 1552 r., że Gelasinus jedzie do Włoch, że trzebaby pomyśleć o następcy. Słusznie odpisał Hozyusz, że rektor nie ucieknie przecież, nie wypowiedziawszy służby biskupowi, a póki tego nie uczynił, wyjazd jest wątpliwy i o następcę się troszczyć zawcześnie. Ale w grudniu było już zdecydowanem, że Gelasinus jedzie.

Rajcy elbląscy chcieli mieć rektorem nanowo — Marka. Stanowczo i gromiąc ojców miasta sprzeciwił się temu Hozyusz; wszak wiecie — pisał im — dlaczego Marek został wydalony! Wiedzieli dobrze rajcy — ale też również dobrze wiedzieli, że Marek jest gorliwym luteranem i prawdopodobnie dlatego właśnie życzyli sobie jego powrotu; ale było to oczywiście wręcz

niemożebnem wobec Hozyusza. O następcę starał się sam Gelasinus i pisał do swych przyjaciół do Krakowa; chciał pisać do profesorów, ale nie wiedział, jacy teraz są w Krakowie, bo się bardzo często zmieniali. Czynił też starania w Krakowie ten sam dr. Marycki, który Gelasinusa do Prus namówił. — Zanim przejdziemy do następcy Gelasinusa, który z wiosną 1553 do Włoch już jechał, poświęcimy mu jeszcze kilka uwag.

Nie był to człowiek na nauczyciela publicznego stworzony, zwłaszcza w tak trudnych warunkach elbląskiej szkoły, gdzie trzeba było wymuszać sobie uznanie, spokój i zachowanie porządku. Za jego rektorstwa uczniowie włóczyli się z bronią w ręku późnym wieczorem po mieście, i to nie sami tylko Niemcy, ale też jego bezpośredni pupilowie, Polacy. Aby temu zapobiedz, żądał Hozyusz interwencyi władz miejskich, bo nasz Lwowianin osobistym wpływem nie umiał widać temu zaradzić. Dla niego trzeba było uczniów łagodnych, spokojnych; mógł być najlepszym nauczycielem, ale nie umiał być dla chłopców surowym dozorcą, podobnie jak nie umiał zająć wobec nieprzychylnych sobie żywiołów odrazu takiego stanowiska, ażeby go zaczepić nie śmiano: widocznie przez pewien czas z początku pozwalał się bezkarnie zaczepiać, skoro potem doszło aż do skandalów.

Wyższego umysłu, szerszego horyzontu, śmielszego polotu u magistra Mikołaja nie znajdujemy: był to człowiek zwyczajny, przeciętnej miary, który się niczem nie odznaczył; takich jak on, magistrów, było tysiące. W chwilach wolnych poświęcał się wierszoklectwu okolicznościowemu w łacińskim języku. Zachowała się nam jedna próbka charakterystyczna jego utworów: Na Nowy Rok 1552, powinszowanie Hozyuszowi, tej treści:

„Rok nowy, który sobie Febus, wóz skierowawszy w przestrzeń świata toruje, będzie dla Ciebie pomyślnym, patronie, usunie choroby i szkodliwe troski i wszystko, co zwykło niemile obrażać. Ten siły Ci zwróci i pożądane zdrowie i wszystko, co zwykło przyjemności sprawiać. On Ci przysporzy dostatków i wielkich zaszczytów, on wsławi Twe imię po szerokim świecie“.

Mamy przed sobą całkiem trywialne powinszowanie noworoczne. Przyjętym wówczas zwyczajem, odpowiedział Hozyusz „na złe wiersze dobremi czerwieńcami“, jak się sam autor wyraził. Posiadał bowiem mistrz Mikołaj skromność autorską. Ale dlaczego nazwał swe wiersze lichymi? Nie ze względu na próżnię treści, ale dlatego, że na początku czwartego wiersza było słówko *adimet*, nie czyniące zadość wymaganiom metrycznym; bardzo za to Hozyusza w następnym liście przepraszał. Gdyby nie to, wiersz byłby, jego zdaniem, całkiem dobry! Spodziewając się poprawić przy najbliższem *opus*, obiecał dystychy na obrazy apostołów, których jednak nie posiadamy. Poezya nasza w r. 1551 wyszła już przecież poza liczenie sylab na palcach i proste sztuczki metryczne; co do pojęcia o poezyi, Gelasinus stał niżej literackiego narodowego poziomu. — O ruch naukowy niewiele się troszczył; czyż go nie charakteryzuje to, że siedząc w Elblągu, nie wiedział nic, jacy są profesorowie w Krakowie? on, magister krakowskiej akademii! O korespondencyę między Elblągiem a stolicą państwa nie było przecież tak trudno.

Ostatecznie, przebywszy w wzajemnych stosunkach rok i siedm miesięcy (od sierpnia 1551 do marca 1553), narzekali potem wzajemnie na siebie i Hozyusz i Gelasinus. Mikołaj uważał Hozyusza za skąpego; spodziewał się widać w Prusiech niewiedzieć czego, szybkiej jakiej karyery, dużo znacznych ubocznych dochodów i t. p. Obiecał mu wprawdzie Hozyusz kanonię, ale przecież nie zaraz na zawołanie, bo najpierw trzeba było wakansu, a przytem wypadało dłużej nieco przy Hozyuszu posiedzieć i szkole się zasłużyć. Hozyusz skąpym bynajmiej nie był; jeżeli zaś w tych czasach był oszczędnym, to tylko na jego pochwałę przemawia, bo z finansami jego było bardzo krucho, jak to łatwo ze źródeł możnaby wykazać. Gdyby był skąpym, nie byłby zakładał szkoły! Ale był może zamało hojnym? Lecz jeżeli tylko dla spodziewanej hojności Gelasinus do Prus jechał, wskazuje to również brak wyższego polotu w jego umyśle. Chciał się bogacić, chciał brać za swą pracę koniecznie więcej, niż była warta; wynagrodzenie stosowne do wartości pracy uważał za krzywdę. W naszych czasach postępowanie takie należa-

łoby wprost potępić i nazwać niehonorowem wyciąganiem pieniędzy: do czasów Hozyusza nie można tak surowej przykładać miary; inne były zwyczaje i obyczaje, a niejedno było jeszcze białem, co dziś uważamy już za czarne, dzięki postępowi naszemu i delikatniejszym pojęciom. Wyciąganie pieniędzy przez rzeszę literacką i pół-uczonych było rzeczą przyjętą na Zachodzie, która tam nikogo nie raziła, a z humanizmem przeszła do Polski. Wybitni literaci i uczeni zajmowali pod tym względem nieraz wyjątkowo zaszczytne stanowisko, np. Erazm Rotterdamczyk, nie umiejący szachrować dedykacyami, albo nasz Kochanowski „nie dbający o kasztelana“ — ale tuzinkowy humanista miał swój kodeks, którego pierwszy paragraf brzmiał: „Od tego są ludzie bogaci, żeby dawali pieniądze“, z dopiskiem: „jeżeli nie dają, dopuszczają się przestępstwa“.

Otóż Hozyusz pieniądzmi na każde zawołanie nie szastał i dopuścił się przez to w oczach Mikołaja przestępstwa *illiberalitatis*. Na szczęście wiemy dokładnie, ile mu dał.

Mikołaj Gelasinus zgodził się za 200 grzywien rocznie, z czego wziął 30 zadatku od Kromera w Krakowie. Połowę pensyi miał mu płacić Hozyusz, połowę magistrat elbląski. Skarżył się, że mu magistrat nic nie płaci; natenczas „skąpy“ Hozyusz zobowiązał się zapłacić i za Elblążan, gdyby się nie uiścili. Od sierpnia 1551 do sierpnia 1552 r. otrzymał gotówką od samego Hozyusza oprócz krakowskiego zadatku grzywien 181 i dukatów trzy. Magistrat zaś dał mu osobno 80 grzywien, które Hozyusz miał prawo Mikołajowi odjąć z płacy, bo go tylko za 200 grzywien zgodził, ale „skąpy“ biskup tego nie uczynił. Oprócz ubocznych dochodów *(salvis tamen iis, quae vocantur accidentalia)* otrzymał tedy za rok pierwszy 300 grzywien zamiast należnych sobie 200. W drugim roku należało mu się wynagrodzenie tylko za siedm miesięcy, a więc niecałych 120 grzywien, a dostał 132. Dodaje do tego obrachunku Hozyusz: „Ile otrzymał (za drugi rok) od urzędu miejskiego, nie wiem, ale nie jest on opieszałym poborcą. Nie zwykł milczeć, gdy nie wypłacono, czego żąda: podejrzywam tedy, że go senat zaspokoił. A zatem choć mu się nie należało więcej, jak 300 grzywien, a przynajmniej niewiele

ponad to, zapłaciło mu się blisko 500 grzywien. Czy to znaczy postępować ze sknerstwem, niech inni osądzą".

Osobiście niewiele stykał się Hozyusz w tych latach ze swoją szkołą, zajęty bez ustanku życiem publicznem. Wyręczał go nieco Kromer, który wyszukał nauczyciela, i później, z początkiem 1552 roku, zjechał do Elbląga; zabawił tam atoli za krótko, ażeby — zdaniem Mikołaja Lwowianina — wszystko należycie załatwić. Sam Hozyusz bawił tam z początkiem grudnia 1552 r. i od końca lutego 1553 r. przez cały marzec, kiedy Gelasinus gotował się już w drogę. Osobistej jego ingerencyi w sprawy szkolne jest śladów wprawdzie dosyć, ale same takie, że nie wystarczą na złożenie sobie jakiegoś ogólniejszego obrazu.

Do jakiego stopnia wiadomości nasze o szkole elbląskiej są fragmentaryczne, wskazuje najlepiej ta okoliczność, że niesposób zadać sobie głównego pytania: a czego też i w jakiż sposób w tej szkole uczono? jaki był jej ustrój? Wiemy wprawdzie, że obaj magistrowie: Marek i nasz Mikołaj, przedstawili każdy osobno swój plan szkolny, ale nie posiadamy dziś ani jednego ani drugiego; musimy tedy poprzestać na tych drobiazgach, które się przygodnie tu i owdzie w naszem opowiadaniu wyłaniają. Systematycznie traktować tej sprawy dziś nie można. Do luźnych naszych wiadomości dodać tylko jeszcze możemy, że klasa najwyższa nazywała się pierwszą, ale niewiadomo, ile ich było? — i że rok szkolny dzielił się na kwartały, ale znów niewiadomo, kiedy się rozpoczynał i kończył. Uczniowie wpisywali się i odchodzili od kwartałów.

W maju 1553 r., w kilka tygodni po wyjeździe Gelasinusa, przeniósł Hozyusz swą szkołę do Heilsbergi. Tam się zaczyna trzeci jej epizod. Przeniesienie byłoby nastąpiło, choćby Gelasinus pozostał: Hozyusz poróżnił się bowiem z Elblążanami, którzy jawnie protestantyzmowi sprzyjali.

* * *

Starania o następcę po magistrze Mikołaju rozpoczęto już w styczniu 1553 r. za pośrednictwem Szymona Maryckiego, obecnie kanclerza chełmińskiego biskupa, Lubodzieskiego; nie wio-

dły one jednakże do celu, tak trudno było o Niemca, a niepodejrzanego katolika zarazem. Byt szkoły był zachwiany z powodu braku nauczyciela; w maju 1553 r. dowiaduje się u Hozyusza Jan Komorowski, kasztelan połaniecki, zaniepokojony wieściami, że uczniowie mają się rozjechać; w październiku prosi stanowczo o odesłanie mu syna do domu. Podobnież postąpił Walenty Podlodowski ze synem. Hozyusz nie chciał się wyrzec myśli posiadania u siebie szkoły, na wyjazd nie chciał zezwolić, gotów raczej przyjmować nowych uczniów i ściągać do siebie tych z polskiej młodzieży, którzy uczęszczali do miejskiej szkoły w Elblągu, z którą biskup całkiem zerwał. Jan Tarnowski wyprawił do Heilsbergi na swój koszt młodego Słupeckiego, który narzekał, że po wyjeździe Gelasinusa niczego się w Elblągu nauczyć nie może; zapłacono za niego, co winien był na kwaterze w Elblągu, i do Heilsbergi przewieziono. Słupecki nie mając funduszów własnych, musiał jechać tam, gdzie go posłano; wolał być między dawniejszymi kolegami, niż pozostać między Niemcami w Elblągu, pozbawiony wszelkiej opieki — ale ci, za których sami rodzice płacili, młodzież zamożna, mogąca sobie dzięki środkom materyalnym wybrać dowolnie zakład, ci w owym czasie Hozyusza opuszczali. Dziwne to znowu było prowizoryum, chyba nie lepsze od łobawskich czasów! Hetman Tarnowski we wrześniu 1553 wiedział, że Hozyusz szkołę swoją z Elbląga wycofał i przeniósł, ale nie wiedział dokąd! Tak mało o niej było słychać. Bo też szkoła jak gdyby nie istniała. Było kilkunastu tylko chłopców, trzeba było całą rzecz znowu *ab ovo* zaczynać. Dozór nad tymi rozbitkami hozyuszowskiej szkoły sprawował któryś z bakałarzy miejskiej szkoły w Elblągu, odmówiony Elblążanom przez biskupa za pośrednictwem Gelasinusa; ale i ten niewiadomego imienia bakałarz nastał w Heilsberdze dopiero od czerwca 1553.

Dopiero w grudniu 1553 miał Hozyusz upatrzonego rektora w osobie niemieckiego magistra, Absalona Meisnigera. Na narodowości niemieckiej zależało Hozyuszowi wiele, bo chodziło o ściągnięcie do szkoły niemieckiej młodzieży, ażeby ją wydrzeć protestantyzmowi. Grono polskich chłopców miało stanowić tylko

zawiązek i jądro szkoły, ale jej nie wypełniało. Magister Absalon miał być w połowie grudnia w Krakowie i umówić się tam z krewnym Hozyusza, Hieronimem Kruegelem — ale nie przybył. Kruegel pisał tedy ponownie do niego, wzywając przedewszystkiem do zastanowienia się, czy w sprawach religii chce i może być biskupowi powolnym. Absalon Meisniger przybył nareszcie i wziął cztery floreny[1] zadatku. Kruegelowi bardzo się podobał; *der gesell ist fein* — pisał o nim Hozyuszowi. Koszta podróży ponosił Hozyusz; począwszy od Piotrkowa starał się o wygody magistra mieszczanin toruński, Erazm Strauss; posiadamy rachunek tego ostatniego z dnia 13 stycznia 1554: z Piotrkowa do Torunia strawnego groszy 30, w Toruniu wydał za Meisnigera 4 fl. 2 gr. i dał mu gotówką na drogę do Heilsbergi 1 fl. 15 gr; razem 6 fl. 17 gr. Meisniger był osobiście u Hozyusza około 10 stycznia 1554 i zdawał tu przed gorliwym biskupem trudny egzamin z religii, którego nie zdał, niestety, z postępem zadowolnić mogącym takiego Hozyusza. Miał z nim Hozyusz „niemało trudu i roboty z powodu religii“, a Kruegel gniewał się, że go Meisniger podszedł, bo przecież z naciskiem w tej właśnie sprawie przemawiał mu do sumienia i list Hozyusza pokazywał! W Krakowie katolik, a potem wątpliwy! Kruegel niesłusznie Meisnigera podejrzywał o lekkomyślne zawarcie umowy lub ochotę wyzyskania Hozyusza. Nie tak to łatwo było wówczas oznaczyć świeckiemu człowiekowi granicę pomiędzy katolickiem a luterskiem wyznaniem; Meisniger sam może nie wiedział, że do protestantyzmu inklinuje i może w Heilsberdze dopiero się dowiedział, że zapatrywania jego wychodzą już poza obręb rzymskiego Kościoła. Takich zaś katolików, jak Hozyusz, nawet w Kościele było niewielu, trudno więc było wyjść bez zarzutu od niego. — Szkoła pozostała znów bez nauczyciela; syna kasztelana bieckiego, Dębieńskiego, przeznaczonego do stanu duchownego, musiał Hozyusz wysłać do Gutstadtu, aby się tam

[1] Wartość tej kwoty oznaczyć można z tego np., że Tarnowski na utrzymanie Słupeckiego w Elblągu płacił 30 florenów rocznie.

lepiej po niemiecku nauczył; w Heilsberdze nawet tego porządnie nie miał kto uczyć.

Niespodziewanie nastąpił jednak zwrot u Meisnigera. W kwietniu jeszcze Hozyusz był z niego niezadowolony, a już w maju posyła po jego rzeczy do Torunia. Widocznie magister Absalon poddał się zupełnie powadze biskupa w kwestyach spornych i wątpliwych, skoro nietylko na rektora do Heilsbergi go przyjęto, ale też potem stale obok jego nazwiska spotykamy dodatek: *catholicus*, niemal jako przydomek.

O szkole heilsberskiej wiemy jeszcze mniej, niż o łobawskiej i elbląskiej. Jeżeli źródła nam podają, że uczono łaciny i niemieckiego — toć tego i tak łatwobyśmy się domyśleli! Niewiele nam też dopomoże wiadomość, że chłopcy śpiewali w kościele na chórze — a na tem zaczynają i kończą się zarazem wszelkie wiadomości o urządzeniu tej szkoły. Nie wiemy nawet na pewno, czy oprócz chłopców z Korony, byli tam jacy inni uczniowie.

W październiku 1554 r. decydował się Hozyusz szkołę swoją przyłączyć do chełmińskiej, skoro pragnął, ażeby magister Absalon objął tam rektorat i porozumiał się w tej mierze z biskupem Lubodzieskim. Właśnie powstały w Chełmnie gwałtowne spory z powodu rektora Hoppiusa, jawnego protestanta; Hozyusz wymusił na pobłażliwym Lubodzieskim wygnanie Hoppiusa, a zarazem sam pragnął się zająć dalszymi losami szkoły. Ale mistrz Absalon odmówił, nie chcąc się narażać w Chełmnie na tysiące przykrości, i w Heilsberdze pozostał; skutkiem tego rozbił się też plan Hozyusza przyłączenia swej szkółki do szkoły chełmińskiej. Wiemy, że aż do lipca 1556 r. mistrz Absalon pozostawał w obowiązku u Hozyusza, ale do tego czasu, przez blisko dwa lata, żadnej a żadnej ani o nim ani o jego szkole niema w korespondencyi Hozyusza wiadomości. Z początkiem maja 1558 r. dopiero spotykamy się z nim w Krakowie, gdzie był świadkiem pożaru, który zniszczył południową część miasta; niedługo tam bawił i w połowie miesiąca wracał już do Hozyusza. Wkrótce, w lipcu, rozchodzi się pogłoska, że wypowiedział Hozyuszowi, a Lubodzieski starał się znowu pozyskać go do Chełmna. Meisniger oświadczył wręcz, że do chełmińskiego *carnificium* nie pój-

dzie — czy zaś u Hozyusza pozostał, nie wiemy, bo na tem urywają się wszelkie wiadomości o nim i o szkole Hozyusza zarazem.

Uwagę Hozyusza zajęła wyłącznie szkoła chełmińska; spór, z okazyi Hoppiusa powstały, ogarnął szerokie koła, oparł się o dwór królewski. Hozyusz zaangażował się w tej sprawie do najwyższego stopnia, tak że prywatna jego szkoła całkiem zeszła na drugi plan; o tej nic, a o tamtej ciągle sporo szczegółów w jego korespondencyi. Ale ta sprawa do naszego tematu już nie należy; o chełmińskim zatargu szkolnym innym razem osobno pomówić wypadnie.

* * *

Reasumując wyniki skąpych źródeł, widzimy, że Hozyuszowi chodziło o założenie w Prusiech katolickiej, *par excellence* wyznaniowej szkoły, którąby pod jego bezpośrednim dozorem pozostawała. Dlatego ignorował zrazu całkiem szkołę chełmińską, gdy został biskupem tej dyecezyi, i zakładał w Łobawie drugą, odrębną całkiem szkołę, dla konkurencyi z tamtą i wymierzoną przeciw niej, jako protestanckiej. Doświadczenie pouczyło go, że konkurencyi takiej wytrzymać nie zdoła dla braku funduszów; dobre siły nauczycielskie tylko za wysokiem wynagrodzeniem decydowały się jechać do Prus. Zmienia tedy Hozyusz plan i próbuje, czy która z istniejących szkół miejskich za przyczynienie się do jej rozszerzenia i podniesienia nie dałaby się użyć do jego programu. Próba, dokonana na szkole elbląskiej, nie ze wszystkiem wprawdzie się powiodła, ale wykazała, że rzecz jest możebną, a system ten praktyczniejszy od zakładania nowej szkoły, jak to zaraz po przeniesieniu jej do Heilsbergi się okazało. Gdy następnie Elblążanie swą szkołę jawnie na protestancką zamienili, postanowił znów temu prądowi energiczniej przeciwdziałać; ale nie na podupadającą elbląską, ale na kwitnącą chełmińską szkołę zwrócił swoją uwagę, jakkolwiek ta leżała poza jego dyecezyą warmińską. Wzmogło się tymczasem znaczenie Hozyusza, wzrosły dochody, powiększył się znacznie majątek, pozyskał też w Prusiech znacznie większe wpływy: uzbrojony do walki z luterskiemi szkołami bez porównania lepiej, niż na początku swych

biskupich rządów, wystąpił do niej wyzywająco, zuchwale, wiodąc bezwzględny bój na wszystkich punktach, nie szczędząc nikogo, ani biskupów ani senatu świeckiego, ani samej osoby królewskiej. Jednym z punktów programu tej zawziętej walki było wydarcie protestantom starej szkoły chełmińskiej, nietylko największej i najlepszej w Prusiech, ale słynnej w całej Koronie i ościennych niemieckich ziemiach.

Dr. Feliks Koneczny.

HISTORYCZNY ROZWÓJ NIHILIZMU

W ROSYI.

III.

Ugrupowanie się stronnictw rewolucyjnych na emigracyi i w Rosyi pod wpływem komuny paryskiej i niemieckiego socyalizmu 1870—72. — Epoka spokojnej propagandy socyalnej międzynarodowej pod hasłem: *Idti w narod*, udaremniona energią policyi 1872—75. — Memoryał hr. Pahlena.

Powiedzieliśmy już poprzednio, że nihilizm spekulatywny, tj. negacya Boga, rodziny i społeczeństwa — przerodził się niebawem w rzeczywisty socyalizm. Właściwa jego faza trwała zaledwie lat kilka (1860—64). Wkrótce nihilista z r. 1860 zapragnął nietylko sam być szczęśliwym, ale uszczęśliwiać drugich propagandą ateizmu, materyalizmu i anarchii społecznej. Przejął więc całą teoryę socyalizmu. Próby Karakozowa i Neczajewa zrealizowania anarchii społecznej były przedwczesne; nawet stronnictwa rewolucyjne nie były na nie przygotowane, i dlatego nie udały się. Epokę lat 1864—70, a nawet do 72, nazwaćby należało socyalizmem teoretycznym; ale nazwa nihilizmu tak przypadła do gustu rządu i społeczeństwa rosyjskiego, że pomimo tłumaczeń i protestów ze strony rewolucyonistów rosyjskich, każdego rewolucyonistę bez różnicy odcieni nazwano nihilistą, a każdy ruch socyalno-rewolucyjny i każde pismo rewolucyjne przypisywano nihilistom; skutkiem czego poczet nihilistów ogromnie urósł: objął nietylko ludzi przewrotnych, ale mnóstwo gorących

serc, kilkunastoletnich studentów i studentki, które tylko współczucie i sympatyę publiczności budzić mogły — a mianem nihilizmu napiętnowano nietylko zbrodnie, ale także czyny, które w cywilizowanym Zachodzie, np. we Francyi lub Niemczech, są prawnie dozwolone i ustawami zagwarantowane — co oczywiście jeszcze więcej zwolenników nihilizmowi zjednało. My też trzymając się utartej formy, nazywać będziemy i nadal socyalistów wszelkich odcieni w Rosyi nihilistami, a wszelkie ruchy rewolucyjne, nihilistycznymi.

Otóż nihilistom rosyjskim 1860—70 r. brakowało modelu. Taki model znaleźli wreszcie w komunie paryskiej. Anarchia rewolucyjna przedstawiła się tam w całej pełni zniszczenia. Przykład ten, przerażający chrześcijanina, podobał się dziwnie „szerokiej naturze“ rosyjskiego nihilisty. Taką komunę urządzić, w całej Rosyi stało się najgorętszem życzeniem. Ale do tego potrzeba obrobić surowy materyał ludowy i robotniczy, przygotować umysły kłas inteligentnych. A więc propaganda spokojna, ale wszechstronna, stała się teraz zadaniem nihilizmu. W ciągu dwóch lat (1870—72) ugrupowały się nihilistyczne stronnictwa w ten sposób:

Na emigracyi w Zurychu dostarczała materyału do tych stronnictw liczna młodzież rosyjska na uniwersytecie i politechnice. Było jej tam z końcem 1872 r. aż 239, a z tej liczby 100 panien, tj. studentek medycyny 77, filozofii 22, prawa 1. Zastęp ten powiększała rocznie znaczna cyfra podróżnych Rosyan i emigrantów. Wszystko to grupowało się około Bakunina i Ławrowa w Genewie, którzy dla tej rosyjskiej publiki miewali odczyty i prelekcye [1]. Bakunin, anarchiczny rewolucyonista z profesyi, doradzał ludową propagandę czynu. On to wydał hasło:

[1] O Michale Bakuninie powiedzieliśmy w poprzednim rozdziale. (Por. zeszyt kwietniowy, str. 88).

Piotr Ławrow, pułkownik i profesor akademii wojskowej w Petersburgu, mąż poważny i liberalno-socyalnego zacięcia: wplątany w proces Karakozowa, wygnany na Sybir, umknął ztamtąd szczęśliwie do Paryża; wziął czynny udział w komunie, przeniósł się potem do Genewy, gdzie od 1873—77 wydawał uczony rocznik *Wperod* w duchu umiarkowanego socyalizmu. Do każdego rocznika dodawany był dwutygodnik *Wperod*.

idti w narod. Rozprawy jego: „Państwo i anarchia“, „Historyczny rozwój internacyonału“, dowodzą potrzeby zniesienia wszelkich urządzeń państwowych oraz rodziny i własności, a zaprowadzenia zbiorowej pracy i własności. To zaś umożliwi się federacyą jednostek w gminy, gmin w narody, narodów w ludzkość. Ateizm zastąpi religię, lud ma mieć średnie wykształcenie, kobieta ma być wolną i równe mieć prawa jak mężczyzna. Lud — twierdzi dalej Bakunin — zawsze jest skory do rewolucyi; nie potrzeba go obrabiać, dosyć, jeżeli jedna generacya ludzi czynu pójdzie w ten lud, da mu świadomość siebie i powoła go do walki przeciw uprzywilejowanym klasom i rządowi. Bakunin widocznie nie znał natury ludu, tem mniej rosyjskiego, nawykłego stawiać cara obok Boga, a czasem wyżej Niego, i dlatego teorya jego propagandy ludowej okazała się niewykonalną.

Ławrow, poważny nauką i wiekiem, co do zasad zgadzał się z Bakuninem, ale doradzał młodym propagandzistom, aby pierwej sami się uczyli i byli ze wszech miar wykształconymi, potem dopiero aby poszli w lud, starali się poznać jego naturę, skłonności, sposób życia, powoli „instrukcyą“ przyswajali mu pojęcia i poglądy socyalne. Gdy wybije „minuta“ do ogólnego ruchu, wtenczas masy ludu, należycie obrobionego wieloletnią propagandą, wyświadczą rewolucyi walną usługę.

Rzecz jasna, że młoda rosyjska emigracya przyjęła program Bakunina, bo był radykalny, a nie kazał się uczyć. Ławrow został wnet osamotniony — posmutniał i umarł w Paryżu 1878 r.

Znalazł się w Genewie jeszcze inny naczelnik partyi: czerwony radykalista, Piotr Tkaczew. Wplątany w proces Neczajewa, skazany na Sybir, umknął ztamtąd szczęśliwie w r. 1873; schronił się do Genewy i pracował z Ławrowem przy redakcyi rocznika *Wperod.* Wnet jednak wystąpił przeciw Ławrowowi, zaczął wydawać pismo *Nabat* (dzwon alarmowy), nawoływał w nim do rzezi carskiej rodziny, czynowników, szlachty, kapitalistów, fabrykantów i kupców, i rozwijał swój program, którego główne punkta są te:

1) podburzać przeciw rządowi lud i wszystkie warstwy;

2) organizować młodzież w jawne i tajne związki:

3) zapomocą spisków, propagandy ludowej i agitacyi otwartej wywołać powstanie mas ludu i rzeź wszystkich, którzy nie są ludem;

4) hasłem: „Rewolucya w czynie"; partya reformistów stać się ma partyą czynu; celem: walka przeciw rządowi i społecznemu porządkowi aż do ostatniej kropli krwi.

Słusznie dowodził Ławrow, że Tkaczew nie jest socyalistą, ale politycznym rewolucyonistą, jakobinem, który po zwaleniu rządu cara pragnie ustalić rząd terorystów; lud na tem nic nie skorzysta. To też Tkaczew nie miał nigdy silnej partyi za sobą.

Byli jeszcze na emigracyi t. zw. „buntari", którzy nie należąc do żadnej z powyższych partyj, za główny środek uważali wznawianie co chwila na wielu miejscach naraz zaburzeń ludowych i burd ulicznych. Organem ich były pisma, wychodzące w Genewie: *Rabotnik* i *Gromada*. W Zurychu istniały od r. 1873 drukarnie rosyjskie, zecerami byli studenci; tłoczono w nich pisma Bakunina i Ławrowa. W Genewie i Londynie istnieją podziśdzień drukarnie socyalistów rosyjskich.

Tak więc na emigracyi cztery stronnictwa, z których najsilniejszem byli Bakuniści, dzieliły młodzież rosyjską w Zurychu, Genewie i Londynie. Rząd rosyjski opatrzył się wreszcie i 1872 r. nakazał wszystkim uczącym się w Zurychu wrócić do kraju pod grozą utraty praw obywatelskich, grzywny i więzienia. Jakoż wrócili prawie wszyscy, studentki zwłaszcza, ale na to, aby spotęgować i uorganizować rewolucyjne żywioły w kraju, „pójść w lud i do robotników", i uszczęśliwić ich propagandą socyalną.

Przypatrzmy się teraz nihilistycznym robotom wewnątrz kraju w tej samej epoce (1869—72). Duszą tych robót i organizatorem nie bez talentu był Michał Czajkowski, słuchacz uniwersytetu petersburskiego. Korzystając z rewolucyjnego usposobienia młodzieży, pozakładał on w latach 1869 i 1870 przy uniwersytetach czytelnie, sprowadzał wprost od nakładców z zagranicy i sprzedawał tanio socyalne dzieła, jak: „Kapitał" Marxa, „Klasy robotnicze" Feirowskiego, „Siła i materya" Büchnera i t. p. Równocześnie szerzył w szkołach średnich, a nawet ludowych, pielęgnowanie nauk przyrodniczych i doktryn socyalistycznych

przez czytelnie, broszury cenzuralne i odczyty. Wnet jednak rząd kazał pozamykać owe czytelnie; naczelnika ich, eks-żyda bogatego, Nathansona, zasłał na pięcioletnie wygnanie, i tak uniemożebnił jawną propagandę. Rzucono się więc do propagandy tajnej. W tym celu w r. 1873 Czajkowski urządził tajną drukarnię w Moskwie i komitet centralny. Zadaniem tego komitetu było wysyłać delegatów na prowincye, opatrywać w pieniądze, broszury, alfabety cyfrowane dla korespondencyi i w fałszywe paszporty. Delegaci ustanawiali, każdy w swojej prowincyi, prezesów lokalnych; takimi byli: Akselrod w Kijowie, Żeljabow w Odessie, którzy znów tworzyli komitety i kółka w stolicach kraju i 37 gubernij i gdzie się tylko dało. Niezadługo liczono tych komitetów i kółek na setki; cała ta frakcya przyjęła nazwę Czajkowców, a za normę działania służył im program Bakunina. Oprócz tej uorganizowanej partyi, mnogo było luźnych związków i kółek pod osłoną stowarzyszeń spożywczych i innych, prawem dozwolonych. Młodzież marzyła tylko o ludzie, unosiła się nad jego przymiotami, bolała nad jego dolą, przez sympatyę dla niego ubierała się po chłopsku, naśladowała prostactwo jego i czekała tylko hasła, aby przecie módz coś zrobić dla niego. Hasło dał Bakunin: *idti w narod;* przynieśli je emisaryusze genewscy, powtórzyli studenci i studentki, powracające z Zurychu. Trzeba było puścić folgę wezbranym uczuciom sympatyj ludowych. Puszczono ją i od r. 1872 widzimy wzdłuż Wołgi i Dniepru spokojną propagandę socyalistyczną wśród ludu i po miastach wśród klas roboczych. Propagandzie tej brakło centralnego kierunku; były to grupy Ławrystów, Bakunistów, Czajkowców, którzy nawet po wyjeździe swego naczelnika do Ameryki 1873 r. sami jedni zachowali przecie jakąś organizacyę, mieli swoją pocztę osobową, poznającą się na stacyach kolejowych po pierścionku z krwawnikiem, noszonym na małym palcu prawej ręki; mieli przy gospodach i karczmach t. zw. arsenały czyli skrzynki z pieniądzmi, broszurami, proklamacyami, kluczem do cyfer i hasłem. Jeden z członków związku, strażnikiem nazwany, wydawał przechodzącym ajentom z arsenału to, czego potrzebowali. Mieli też zdolnych i odważnych ludzi w swem gronie i znaczny zastęp

kobiet z dobrych rodzin i z klas niższych. Nihilistki te szły w lud jako akuszerki, cudowne lekarki, jako zwykłe robotnice w warsztatach i w polu, i nader zręcznie wykonywały agitatorskie rzemiosło; po miastach były one gospodyniami „kwater“ nihilistycznych i udaremniły niejednę zasadzkę lub rewizyę policyi i żandarmów.

Oprócz Czajkowców, inne grupy nihilistów nie miały ani organizacyi ani tęgich ludzi. Szli więc w lud niedonoszeni akademicy, gimnazyaści, seminarzyści i kursistki, a wreszcie najrozmaitsze niedouczone lekkoduchy płci obojej, których lenistwu i ambicyi to apostolstwo ludowe wybornie dogadzało. Pod pozorem humanitarnych lub naukowych zebrań, a często bez tego pozoru nawet, wiązano się w tajne komitety i kółka; kłócono się w nich zawsze, a czasem też i miewano odczyty, prenumerowano zagraniczne rewolucyjne pisma. Znałem 17-letnią pannę, kształcącą się w Kijowie, którą profesorowie jej domowi tak dla sprawy ludu pozyskali, że nie mogąc jeszcze sama pójść w lud, pokój mieszkalny na skład zakazanych pism i broszur rewolucyjnych oddała, a przez całą jednę zimę po kilkunastu spiskowców u siebie wieczorami przyjmowała. Latem bawiąc na wsi, przebierała się za wieśniaczkę, do chat biegała, dzieci wiejskie bawiła, a powoli doktrynę nihilistyczną im podawała. Wszelkie prośby i zaklęcia rodziców nie mogły tej zapalonej główki odwrócić od niebezpiecznej zabawy; trzeba było pannę wywieść za granicę. Kilku z tych młodych ludzi, którzy bywali u niej w Kijowie, dostało się do aresztu; na szczęście nikt jej nie zdradził w śledztwie: po roku czy dwóch, panna wróciła do swoich penatów, ale już wytrzeźwiona ze swej adoracyi dla „sprawy ludu“.

Czego właściwie chciały te liczne grupy apostołów ludu? Przyjęły i one program Bakunina: odrazu pójść w lud i podburzać go przeciw urzędnikom i podatkom, przeciw szlachcie i właścicielom ziem, przeciw wielkim i małym kapitalistom; — stawić żywo temu ludowi przed oczy stan jego nędzy i w jak bezczelny sposób wyzyskują go klasy uprzywilejowane; — wmawiać w niego zaufanie w siłę, która dotąd w nim drzemie, a która jest niezwyciężona, bo ten lud stanowi $^{9}/_{10}$ części ludności Rosyi. Lud

to zrozumie, a ocknąwszy się z letargu, porwie się do rzezi i rabunku, jak to uczynił przed laty Puhaczew i Razin Stenjko. Taki był program w teoryi i takie instrukcye dano apostołom; ale w wykonaniu okazały się różnice zapatrywań i powszechna niemal nieudolność. I nie mogło być inaczej. Bakuniści w liczbie 2—3000 poszli w lud, „w podróż bez drogi“. Bez centralnego komitetu dzielili się na niezależne od siebie grupy. Każdy na swoją rękę werbował ochotników, ustanawiał miejscową grupę. Tym archipelagiem misyj nihilistycznych od Petersburga i Moskwy aż po Orenburg, Odessę, Kijów, kierował przypadek; planu i komendy tam nie było; ztąd częste spory i kłótnie wybitniejszych apostołów między sobą, ztąd nieostrożność w przyjmowaniu członków, a wskutek tego dezercye i zdrady, ztąd niezręczność w agitacyi. Oprócz wielu dobrych chęci uszczęśliwienia ludu, przynoszono mu socyalne pojęcia, na Zachodzie w innych zupełnie warunkach wyrobione, używano wyrażeń technicznych, zapożyczonych od czerwonego internacyonału i niemieckiego socyalizmu, których lud nie rozumiał; wpychano mu w rękę broszury socyalistyczne, drukowane w tajnej drukarni moskiewskiej lub w Genewie, pisane w wielkoruskiem narzeczu, którego Małorusin i Ukrainiec czytać nie umiał. Chłop broszurę odnosił do popa lub carskiego urzędnika, prosząc, żeby mu ją przeczytał, przez co ułatwiał akcyę policyi; ta zaś wmawiała w chłopów, że owi chłopomani to przebrani panicze, ajenci szlachty, burzą lud przeciw carowi, pchają do buntu, aby potem wraz z carskiem wojskiem rzucić się na zbuntowanych, wymordować ich, a ziemię zabrać dla siebie. Bywało więc często: przyjdzie do wsi propagandzista i ledwo usta otworzy, pierwszą broszurę z tłumoczka wyciągnie, wnet chłopi rzucą się na niego, wiążą i do stanowego odwożą.

Nawet gdyby i zdrady nie było, propaganda wśród ludu nie mogła przynieść pomyślnego rezultatu. Chłop wielkorosyjski był niedostępny dla tego rodzaju idei, a czytać nawet nie umiał: nad Dnieprem i Donem lud słuchał wprawdzie ciekawie i potakiwał głową, gdy mu przedstawiano stan jego niedoli, wysokość podatków, ciężar poboru rekruta, — kobiety zwłaszcza, jak Bresz-

kowska, żona sędziego pokoju, umiały trafiać w jego nutę — ale na tem kończyło się wszystko.

Zarzucono więc powoli propagandę ludową i zabrano się tem gorliwiej do obrabiania ludności robotniczej po miastach, i tutaj rezultat był przynajmniej napozór pomyślniejszy. Nic nam lepiej nie maluje tego rozgałęzionego ruchu nihilistycznego w Rosyi od 1872—75 r., jak Memoryał sekretny ministra sprawiedliwości, hr. Pahlena, do cesarza, 1875 r. wręczony następcy tronu, ministrom i wyższym dygnitarzom państwa [1]. Nihiliści, z wyjątkiem insynuacyi o rabunkach, przeciw której protestowali, uznali memoryał hr. Pahlena w całości jako prawdziwy i kilkakrotnie go przedrukowywali w Genewie. Osnuty on jest na podstawie śledztwa przedwstępnego, prowadzonego zaraz po licznych aresztowaniach skutkiem denuncyacyi w Saratowie. Oto jego tekst dosłowny:

„Z początkiem 1874 r. dostrzeżono w guberniach środkowej, a zwłaszcza wschodniej Rosyi, antyrządową propagandę. Zrazu nieznaczne i niepewne objawy tejże, występowały coraz wyraźniej, aż 31 maja t. r. zrobiono w Saratowie donos o rozrzucaniu rewolucyjnych książek między ludem. Następnie stwierdzono, że liczna młodzież — z której część porzuciła zupełnie dalsze nauki szkolne — przebrała się po chłopsku i za fałszywym paszportem „poszła w lud“, aby go zapomocą broszur i ustnej propagandy dla sprawy rewolucyi pozyskać. Ze śledztwa, przeprowadzonego w Saratowie, wynika:

1) że w Moskwie istnieje tajna drukarnia, założona kosztem rządowego stenografa, Myszkina, pod zarządem kancelisty gubernialnego, Utkina, w której drukują się książki i broszury treści zbrodniczej. W Saratowie skonfiskowano wielką ilość tych druków, przeznaczonych dla propagandy ludowej;

2) że ta propaganda nie jest lokalną, ale po większej części gubernij rozpostartą:

[1] Według niemieckiego przekładu w dziele *Russische Wandlungen*. str. 223—244.

3) że agitatorowie jej pod względem celu, metody i środków solidarnie z sobą są połączeni [1].

„Z toku śledztwa okazały się fazy rewolucyjnej zbrodniczej propagandy o tyle, że już teraz z pewnością można oznaczyć jej charakter, podstawę, warunki, wśród których w naszem społeczeństwie tak się rozszerzyła i do tak smutnych zjawisk doprowadziła.

„W głównym zarysie stwierdzono więc, że rozrost propagandy rewolucyjnej nie jest rzeczą nową, ale że w ciągu 1874 r. spotężniał i dojrzał.

„Już pod koniec 1869 r. objawiła się wśród studentów Moskwy i Petersburga dążność zakładania stowarzyszeń dla wzajemnej pomocy, wymiany myśli, rozszerzenia zakresu wiedzy zapomocą rozpraw i odczytów. Na tem ograniczały się zrazu te kółka „dla samouctwa“; program ich zamykał się w granicach teoretycznych i naukowych rozpraw i zabaw młodzieńczych. Zapewne, że na tę młodzież, nieświadomą istotnych warunków państwowego i ekonomicznego życia, wywarła wpływ swój t. zw. „literatura krytykująca“ oraz krajowe i zagraniczne pisma dążności rewolucyjnej, maskujące się frazeologią o rzekomej biedzie i nędzy niższych warstw ludu, i zapewne ta młodzież uwierzyła w możliwość zrealizowania swoich ideałów o „wolności, równości i braterstwie“. W kółkach „samouctwa“ poczęto już omawiać głośno przyczyny tej rzekomej nędzy ludu i zastanawiać się nad środkami zaradczymi; tyle przecie pisano na różne tony o tej sprawie, że młodzież uwierzyć nareszcie musiała w możliwość zaradzenia złemu. W dyskusyach tych ubolewano przedewszystkiem nad tem, że lud nie umie pisać i ta niepiśmienność jest przyczyną jego niewolniczej doli; dowodzono potrzeby podniesienia poziomu ludowego, wykształcenia i umoralnienia [2].

„Takiemi były zrazu te nieszkodliwe kółka studenckie.

---

[1] To niezupełnie prawda; jednolitej organizacyi nie było; mieli tylko Czajkowcy organizacyę federacyjną.

[2] Bardzo to wyrozumiale napisane: dlaczegoż tej wyrozumiałości nie miano w sądach i w administracyi policyjnej dla setek obałamuconych studentów i studentek, ale karano ich jako zbrodniarzów stanu?

Istniały one w Petersburgu między studentami uniwersytetu, akademii medyczno-chirurgicznej i rolniczej (w Petrowsku), a później między studentami gimnazyalnymi, seminarzystami i w innych zakładach stolicy i licznych miast prowincyonalnych, jak Saratowa, Penzy, Kazania i t. d.

„Z początkiem 1872 r. rozrzucono pomiędzy tę młodzież zagraniczne pisma rewolucyjne z wyraźną dążnością obalenia istniejącego porządku państwowego w Rosyi. Dostarczała ich przeważnie rosyjska emigracya, z internacyonałem złączona, drogą kontrabandy albo przez podróżnych zwolenników teoryi Bakunina i innych ultrademokratycznych i socyalnych partyj, którzy wszystkie części i warstwy rosyjskiego społeczeństwa trucizną przewrotnych doktryn i demagogicznych prądów zarazili. Jednym z takich był Sergiusz Kowalek, akademik kijowski, później prezydent kolegialnego sądu pokoju w powiecie mglińskim, gubernii czernichowskiej. Im bardziej rewolucyjna partya, wspomagana przez stosunki z emigracyą, rozszerzała się w kraju, tem bardziej zwracała swe oko na uczącą się młodzież, i pod nazwą „przyjaciół ludu dla krzewienia prawdy i zbawienia“ stanęła na jej czele.

„Pierwszym takim uorganizowanym związkiem byli Czajkowcy w Petersburgu najprzód, potem gdzieindziej. Ci zwrócili się przedewszystkiem do młodzieży i z niej rekrutowali swych członków: dowodzili w myśl Bakunina, że istniejący porządek rzeczy w Rosyi jest nieznośny [1], że państwo zgniotło i zdusiło gminę, że na sztandarze wszystkich dobrze myślących i uczciwych ludzi położyć należy godło: Wywrócenie wszystkich państw, zniszczenie cywilizacyi mieszczańskiej, wolna organizacya od dołu do góry, organizacya wyzwolonego proletaryatu, wyswobodzonej ludzkości całej, założenie gminy powszechno-ludzkiej. Do spełnienia tych zadań socyalizmu Bakunin podawał młodzieży jako środki: propagandę ludową, propagandę buntów i spisków, gdyż lud nienawidził i nienawidzi zawsze państwa, pod jakąbądź formą,

[1] Ale czy tylko oni sami? Toż właśnie większość myślącej społeczności w Rosyi była i jest tego przekonania, ale milczy: „tak boją się cara“.

i jego przedstawicieli. Dowodził on, że łatwo przekonać lud o jego rzeczywistej nędzy, a zarazem o jego sile do otwartego buntu i o korzyściach nowej organizacyi, która połączy inteligentny proletaryat, młodzież z masami ludu w jeden wielki związek wszystkich malkontentów. Jednem słowem, anarchia w czynie — oto ideał wszystkich pragnących uszczęśliwienia ludu.

„Jakkolwiek brutalnemi te doktryny wydać się mogą, to jednak pewną jest rzeczą, że pisma Bakunina i siarczyste mowy jego zwolenników wywarły na młodzież wpływ niezawodny i niebezpieczny. Nie zbijane przez nikogo [1], miały one dla młodzieży urok owocu zakazanego, tem bardziej, że schlebiały jej instynktom i dążnościom; wzięto je za odpowiedź na pytanie: *Czto djełat?* [2].

„Odtąd, tj. od r. 1873, kółka samouctwa tracą swój pierwotny, teoretyczny charakter i przeradzają się powoli w związki wyraźnie socyalistycznej i demagogicznej dążności, która się rozwinęła pod wpływem wydawanego w tym czasie za granicą przez Ławrowa pisma *Wperod*, tak że od początku 1874 r. w kółkach samouctwa wzięło górę przekonanie, że teraz czas pójść w lud i rozpocząć akcyę.

„Między kierownikami socyalnej propagandy, jakkolwiek zgodnymi co do zasad i celu (obalenie istniejącego porządku rzeczy), jednak rozróżnić można następne trzy grupy:

„Pierwszej grupy agitatorowie utrzymują, że nie potrzeba mieć wyższego wykształcenia; wystarczy umieć czytać i pisać, i posiadać elementarne pojęcia, a natychmiast pójść w lud, aby jako prosty robotnik w warsztatach pojęcia rewolucyjne ludowi przyswajać i do jawnego buntu przygotować.

„Drugiej grupy kierownicy przeciwnie są tego zdania, że należy pierwej gruntownie się wykształcić i nabrać pewnego doświadczenia, zanim się jako agitator ludowy wystąpi; dyplomy jednak i wszelkie świadectwa naukowego uzdolnienia uważają

[1] A dlaczegoż rząd nie dozwolił wolności prasy?

[2] Tytuł książki socyalisty Czerniszewskiego, o którym była mowa wyżej.

nietylko za zbyteczne, ale wprost za demoralizujące, wolnego człowieka niegodne, i chyba tylko mieszczaninowi przydatne.

„Najniebezpieczniejszą może jest trzecia grupa, która nietylko uważa za potrzebne gruntowne naukowe wykształcenie, dyplomami i świadectwami nie gardzi, ale tego jest zdania, że dla szybkiego osiągnięcia celu (obalenia istniejącego porządku) nie wystarcza sama tylko propaganda ludowa, ale że prawdziwy rewolucyonista agitować powinien w tej warstwie społecznej, do której należy, i że wszystko jedno jest, czy kto agituje w warstwie robotniczej, wojskowej, rzemieślniczej, czy też pracuje w sferach nauczycieli, akuszerek, lekarzy albo urzędników państwowych [1].

„Odpowiednio temu ugrupowaniu, rzucili się z początkiem 1874 r. agitatorowie do propagandy na różnych punktach naraz i wśród warstw najrozmaitszych. Uposażeni w niesłychaną energię i pewne środki materyalne, ludzie ci nie wzdrygali się przed niczem, nie cofali się przed żadną trudnością lub perswazyą. Nawiązują oni między sobą coraz to nowe stosunki, które umieją zakryć różnemi hasłami, znakami umówionymi i cyframi. Z niesłychaną zręcznością umieją wcisnąć się do wszelkich naukowych zakładów, do seminaryów, gimnazyów i do szkół ludowych. A nietylko rozdawaniem książek i odczytami, ale przedewszystkiem nader ścisłymi stosunkami z młodzieżą, umieją ją dziwnie przywiązać do siebie, rozporządzają bowiem znaczną liczbą młodych kobiet i dziewcząt. Już pod koniec 1874 r. udało się im prawie połowę Rosyi siecią rewolucyjnych kółek i pojedyńczych agitatorów opasać [2]. Dowiedziono, że w 37 guberniach propagandę swą rozpostarli...

. . . . . .

Tu wyszczególnia Memoryał miejscowości, gdzie kółka rewolucyjne miały swe siedliska, i osoby, które tym ruchem kierowały. Dalej tak opiewa:

[1] Pierwsza grupa to Bakuniści, druga Ławryści, trzecia Czajkowcy — oto właściwe nazwy nihilistycznych frakcyj.

[2] Jest w tem wiele egzageracyi. Na setki zakładów naukowych i tysiące szkół, warsztatów, zdołali nihiliści zaledwie w kilkudziesięciu propagandę swoją wcisnąć.

„Cyfra osób, podejrzanych o współudział w tych ruchach, dochodzi do 770, między niemi 158 kobiet; uwięziono osób 265, pozostawiono pod nadzorem tajnej policyi osób 452; nie zdołano odszukać osób 53. Stwierdzono dalej, że nietylko młodzi ludzie uczestniczyli w tej agitacyi, ale także starsi wiekiem, ojcowie i matki, ludzie zamożni i wyższego stanowiska społecznego. Współudział ten nietylko na tem polegał, że nie działano nic przeciw tym ruchom, ale że nawet popierano je i wspomagano, okazywano im sympatyę, dowodzącą chyba fanatycznego zaślepienia co do skutków tych przewrotnych usiłowań [1]. Tak np. bogaty obywatel i sędzia pokoju w Penzie, Endaurow, ratował na wiele zawodów i ukrywał przed poszukiwaniami policyi nader niebezpiecznego agitatora, znanego nam Wojnaralskiego (byłego sędziego pokoju). Żona pułkownika i szefa żandarmeryi w orenburskim okręgu, Gołuszewa, nietylko nie odwodziła syna swego od wstąpienia w szeregi rewolucyjne, ale wspierała go radą i czynem, a przedewszystkiem ostrzeżeniami [2]. Profesor liceum jarosławskiego, Duchowski, przyjmował u siebie agitatora Kowalka, zaznajomił go ze studentami i ułatwił mu tem samem propagandę.

„Wykazało się także, że poszukiwani o zbrodnicze knowania liczni studenci, byli stypendystami ziemstwa Wiatki; a prezes tegoż ziemstwa, Kołotow, przy wyborze i umieszczeniu urzędników ziemstwa, powodował się wskazówkami wysoce skompromitowanego studenta z Kazania, Owczynnikowa, i tylko przez niego poleconym osobom posady rozdawał. Znany z rozlicznych pism swoich lekarz powiatowy Portugałow ukrywał i przechowywał u siebie osoby ścigane przez policyę i wspomagał ich zbrodnicze roboty. Bogata i uzdolniona obywatelka ziemska, pani Subbotin, nietylko sama prawie jawnie agitowała między chłopami w są-

[1] Nie fanatyczne zaślepienie, ale moralny nihilizm klas inteligentnych a przedewszystkiem powszechne niezadowolnienie ze rządu, opartego na samowoli policyi i administracyi, była powodem tej sympatyi, na którą hr. Pahlen się żali. Ta właśnie okoliczność otworzyć była powinna oczy rządowi, że zmienić należy system samowoli, na system uczciwej, na prawie opartej administracyi.

[2] Takich żon żandarmów i czynowników było wiele. Kobiety rosyjskie przedewszystkiem sympatyzowały z nihilistami.

siedztwie, ale swoją wychowanicę do tego nakłoniła, a swe małoletnie córki wysłała do Zurychu na dokończenie nauk. Były kasyer w Czembarze, Pletnew, u którego syna gimnazyasty znaleziono rewolucyjne książki, oświadczył wprost, że syna wychowuje „dla ludu“; na szczęście potrafił rząd zapobiec temu dosyć wcześnie. Do tych należą także córki trzech rzeczywistych radców stanu: Natalia Armfeld, Barbara Batuszkow, Zofia Perowska, jak również wspomniana wyżej córka generał-majora Löschern-Hatzfeld i wiele innych dziewcząt dobrego rodu, które „poszły w lud“, wynajmowały się do pracy w polu, z mężczyznami, towarzyszami swej pracy, sypiały razem, a tem swojem postępowaniem nietylko, że nie napotkały na opór swoich znajomych i krewnych, ale jeszcze doznały ich uznania i sympatyi.

„Takich przykładów jest więcej; dowodzą one, że pomyślne rezultaty zbrodniczej propagandy przypisać należy nietylko robotom rewolucyonistów, ale tej łatwości, z jaką nauki ich u najrozmaitszych klas społecznych znalazły przystęp, i sympatyom, jakie im okazywano. Tak np. trzej najzagorzalsi przywódcy skrajnej rewolucyjnej partyi, oficerowie w odstawce, Rogaczew i Krawczyński, i student Klemens, ukrywali się miesiącami całymi u różnych rodzin Moskwy, chociaż oni nie taili się z swemi doktrynami, ale propagowali je jawnie, gdzie tylko mogli. Wspomniany Rogaczew zapoznał się w gubernii penzańskiej z byłym sędzią pokoju, Wojnaralskim, i zrobił z niego takiego zwolennika swoich idej, że tenże prawie cały swój majątek, około 40.000 rubli, na cele rewolucyjne ofiarował. Ażeby prędzej dojść do celu, pozakładano po miastach i wsiach szkoły, warsztaty, towarzystwa robotników i t. d.; ztąd to pochodzą urządzone w Petersburgu i Moskwie warsztaty szewskie, stolarskie, ślusarskie, kuźnie i jekaterynosławski warsztat garbarski, oraz założone w półtawskiej, kurskiej i kowieńskiej gubernii folwarki, osady rewolucyonistów, przygotowujących się do agitacyi między ludem.

„Naczelnicy rewolucyi działali nadto żywem słowem, odczytami, broszurami i książkami, które w ogromnej ilości między

ludem rozrzucali, podając je za elementarze szkolne. Do tej literatury należą: *Wujaszek Jegor, Mitjucha, Szkice ze stepu* Lewitowa, *Szkice z życia po fabrykach* Golinzińskiego, *Siła łamie nawet słomę.* Pisma te omawiają zawsze jednę myśl: że stan robotniczy znajduje się w położeniu bez wyjścia, że wyzyskują go kapitaliści, że protesty uciśnionych klas miewały nieraz dobry skutek i t. d. Tu także należą pewne pisma z wyraźną rewolucyjną dążnością, jak np. broszura *Stenjko Razin,* w której bunty a następnie ścięcie tego człowieka przedstawione są jako wzór męskiej odwagi i szlachetnego poświęcenia się sprawie uciśnionego ludu. Wymienić jeszcze należy: *Historyę francuskiego chłopa, Opowiadanie o czterech braciach, Zbiór nowych powiastek i pieśni, Przebiegły mechanik* i odezwę poczynającą się od słów: „Słuchajcie bracia!“

„Pisma te są wprost rewolucyjnej dążności, zachęcają do otwartego buntu. Tak np. „Opowiadanie o czterech braciach“ kończy się słowy: „dlatego, bracia drodzy, nie pójdziemy już „więcej na Sybir, i nie będziemy dla kieszeni cara pracować“.

„Działalnością tą dokazali agitatorowie tego, że w wyborze środków, wiodących do osiągnięcia zbrodniczych ich celów, stawali się coraz bardziej bezwzględnymi. Książę Krapotkin np. w robotniczej szkole, założonej 1873 r. w Petersburgu, miewał odczyty o internacyonale i wysławiał rewolucyę [1]; w tym celu

[1] Powszechne zdumienie ogarnęło wyższe sfery Petersburga na wieść o przystąpieniu do związku Czajkowców księcia Piotra Krapotkina, brata osławionego swem okrucieństwem gubernatora charkowskiego, potomka Ruryków. Mąż ten, wychowany w szkole paziów, adjutant gubernatora Syberyi, porzuca 1863 r. służbę rządową; całe cztery lata uczy się geologii i geografii na uniwersytecie petersburskim, zwiedza Syberyę i Chiny, pisze uczone artykuły do Encyklopedyi Reclusa, zostaje sekretarzem rządowego towarzystwa geograficznego, szambelanem cesarzowej i kawalerem wielu orderów. Roku 1872 porzuca wszystko, podróżuje po Szwajcaryi i Niemczech, zapoznaje się z naczelnikami internacyonału i wraca anarchistą. Roku 1873 widzimy go już w szeregach Czajkowców, piszącego rozprawę: „Ażali rewolucya jest potrzebną?“ Wnet potem przebiera się za chłopa i pod przybranem nazwiskiem Borodina miewa odczyty o dziejach internacyonału do robotników znad Newy, którzy gromadzą się około niego tłumami i słuchają chciwie. Napróżno śledzi go policya; kryje on się przed nią zręcznie, aż przekupiony robotnik zdradza go i wydaje szpiegom. Osa-

odbywano zgromadzenia, zakładano biblioteki i kasy, co więcej, obrobionych należycie robotników odsyłano do ich ojczyzny, opatrzywszy ich w pieniądze i broszury, ażeby między swoimi lud podburzali i o rezultatach swym mistrzom donosili. Umówiono się już nawet co do czasu nastąpić mającego wybuchu; miało się to stać na początku spodziewanej wtenczas wojny z Niemcami, obiecując sobie wiele z tego, że wojska nasze zatrudnione będą poza granicami państwa. Szczególniejszą rolę odgrywały tu pieśni; piosnek rewolucyjnych uczono się na pamięć i śpiewano je przy danej sposobności nawet na ulicy. Gdziekolwiek zjawili się agitatorowie, dostarczono im bezpiecznych kryjówek i wnet znaleźli się inni agitatorowie, którzy ich o stanie rzeczy lub grożącem im niebezpieczeństwie dokładnie pouczyli. Agenci opatrzeni byli w adresy swoich współwyznawców po wsiach i miastach, w klucze do cyfrowanych korespondencyj, w książki i pieniądze: dodawano im świeżo pozyskanych agentów, dostarczono środków do życia i informacyj. Równocześnie z drukarni moskiewskiej Myszkina rozszerzano bardzo wielką ilość książek i broszur i przekłady dzieł Lassala, które pouczyć miały dorastające pokolenie o potrzebie zmian w obecnym ustroju społeczno-ekonomicznym i utwierdzić w zasadach komunistycznych. Na wypadek grożącego niebezpieczeństwa uzbrojeni byli propagandziści w rewolwery; w kijowskiem rewolucyjnem kółku ułożono nawet plan obrony w razie aresztowania spiskowych, chciano się nawet posługiwać trucizną.

„Nawet pospolite zbrodnie i stosunki ze zbrodniarzami nie zrażają agitatorów, jeżeli tylko korzyść jaką im przynoszą. W Saratowie np. powzięto zamiar napaść i obrabować pewną damę, która dla kupna majątku znaczną sumę pieniędzy wiozła z sobą do miasta, ażeby w ten sposób napełnić rewolucyjną kasę [1].

dzono go w Petropawłowskiej kreposti, wytoczono śledztwo i strzeżono pilnie; dzięki jednak poświęceniu i zręczności kolegów potrafił uciec z więzienia i nie oparł się aż w Londynie, gdzie stał się koryfeuszem internacyonału czerwonego, przedmiotem uwielbienia rosyjskich nihilistów.

[1] Przeciw temu twierdzeniu hr. Pahlena podnieśli protest nihiliści. Nigdy się oni na prywatną własność nie targnęli, ale za to rządową wła-

Student Pajewski oświadcza się w swym liście z gotowością wspierania bandy podrabiającej i rozszerzającej fałszywe banknoty. W zabranych papierach Wojnaralskiego, Retszyckiego i Łoginowa znaleziono adresy znanych koniokradów, rozbójników i oszustów, bo jak twierdzono, ci ludzie pod wielu względami są bardziej odpowiedni, niż porządne i spokojne żywioły. W Mikołajewsku, miasteczku gubernii samarskiej, namawiano aresztantów zasłanych do kopalń albo na posilenie w Sybir, opatrywano ich w pilniki, podrobione pieczęcie paszpartowe i trucizny dla uprzątnienia konwojowych żołnierzy, a wszystko to w tym celu, aby z tych ludzi zrobić nieprzyjaciół rządu, a przyjaciół ludu. Gdy jeden z więźniów zapytał agitatora, co za korzyść sobie z tego obiecuje, otrzymał odpowiedź: „My potrzebujemy „ludzi do wszystkiego zdolnych, a takich łatwiej znaleść między „katorżnikami i więźniami, niż między wolnymi. Gotowych na „wszystko ludzi potrzebujemy zaś dlatego, aby raz skończyć z pa„nowaniem cara“. Jędrzej Kuljebko, 15-letni syn szlachecki, którego Rogaczew i Wojnaralski złowili do sieci, namówił za podszeptem tychże swego 17-letniego brata, aby okradł ich wuja, który się nimi opiekował, i aby obydwaj z tymi pieniądzmi uciekli. W kółku kijowskiem ułożono plan obrabowania poczty; w tym celu podoficer junkerski, Girenowicz, miał wstąpić do urzędu pocztowego w Kijowie.

„Zamykając to krótkie, na zeznaniach śledczych oparte sprawozdanie, przychodzimy do następujących wniosków:

A) W Rosyi istnieją tajne, nieprawe związki, mające na celu przewrót państwowego ustroju i istniejącego porządku, a zaprowadzenie zupełnej anarchii.

B) Związki te składają się z licznych mniejszych, oddzielnych i samoistnie działających kółek, które co do celów i środków solidarnie z sobą złączone, w ciągłych z sobą zostają stosunkach.

C) Dla podtrzymania tych stosunków i zakładania nowych kółek posługują się upełnomocnionymi ajentami.

---

sność uważali za swoją; obrabować pocztę, wiozącą rządowe pieniądze, podrabiać banknoty, to było u nich czynem dzielnym.

D) Propaganda odbywa się zapomocą odczytów, broszur i rękopisów.

E) W przeprowadzeniu tych celów przewrotu społecznego porządku postępują rewolucyjni agitatorzy według dobrze obmyślanego i konsekwentnie przeprowadzonego planu [1].

F) Plan ten, co do swej głównej treści przez księcia Krapotkina tak ułożony, że nawet w razie energicznego i skutecznego ścigania winowajców zawsze jeszcze pojedyńcze kółka i osoby ocalone być mogą i swą przewrotną robotę prowadzą w cichości dalej.

G) Szybkie postępy propagandy przypisać należy już to działaniom agitatorów, już też temu, że na żaden energiczny i głośny opór społeczeństwa nie napotkała; że społeczeństwo to, nie zdając sobie sprawy z doniosłości i celów zbrodniczych knowań, przypatrywało się propagandzie z apatyą i obojętnością, czasem nawet z sympatyą.

„Zauważyć należy i to, że młoda generacya, dostarczająca głównego kontyngentu propagandzie, nie znajduje należytego punktu oparcia w otoczeniu, wśród którego wzrasta i rozwija się. Te moralne podstawy wychowania, jakie tylko rodzina dać może, u wielu tych młodych ludzi są zupełnie nierozwinięte i dlatego wstępując do szkół, nie przynoszą ze sobą żadnego szacunku i poważania dla religii, rodziny, własności, dla praw drugiego, ani poszanowania dla osobistości".

Habemus confitentem reum. Minister sprawiedliwości, po najdokładniejszem zbadaniu faktów, przyznaje to, cośmy na początku powiedzieli, tłumacząc istotę nihilizmu: że przyczyną tak groźnego szerzenia się tej gangreny jest brak odporności w społeczeństwie i rodzinie, brak pierwiastków moralnych i religijnych. Gdyby hr. Pahlen chciał był wniknąć jeszcze głębiej w przyczyny takiego stanu społeczeństwa, byłby się przekonał, że to

[1] To niecałkiem prawdziwe; komitetu centralnego dla całego ruchu nie było; były tylko centralne gminy w Petersburgu, Moskwie, Saratowie i t. d., utrzymujące stosunki między sobą, czyli sprzymierzone: zresztą każda działała na własną rękę.

społeczeństwo jest takiem, jakiem je wychowało i dalej chowa państwo, oparte na samowoli, a nie na prawie, i Cerkiew upaństwowiona, porażona paraliżem schyzmy.

Ale ten memoryał miał służyć tylko za usprawiedliwienie tych srogich represyjnych środków, jakich się chwycił rząd dla zgniecenia nihilizmu. Już w r. 1874 miały miejsce aresztowania i srogie wyroki. W Petersburgu sądzono w senacie Dołguszynczewa i 12 towarzyszy: z tych 5 skazano do katorgi, 3 na więzienie; 5 uwolniono, ale mimo to ukarano ich drogą administracyjną. W kilka miesięcy potem, w czerwcu 1875 r., zasądzono tamże Diukowa, Sierakowa i dwóch innych do katorgi, dwóch zaś do rot aresztanckich. We wrześniu t. r. zasądzono Donieckiego także do katorgi. Ale dopiero na donos saratowski rozpoczęły się aresztowania i sądy na wielką skalę. Pociągnięto do odpowiedzialności 770 osób, uwięziono 265 i osadzono w petersburskiem, umyślnie na to zbudowanem więzieniu śledczem. Oprócz tych 265, znajdowało się w więzieniach wielu politycznych przestępców, aresztowanych dawniej. Ze wszystkimi obchodzono się gorzej, niż z pospolitymi zbrodniarzami: drażniono ich umyślnie, aby ze strony więźniów wywołać opór, który nazwano buntem; karano zamykaniem do ciemnicy i rózgami. Głównem zadaniem komisyi śledczej było izolować więźnia od reszty świata, nękać go wartą żandarma w celi, przed celą, na krótkiej, kilkuminutowej przechadzce, nawet podczas snu w późnej nocy. Rozstrój nerwowy, nuda wskutek bezczynnej, kilkunastumiesięcznej samotności, anemie straszne, głuchota i choroby płucne — oto co prawie każdy więzień przecierpiał i wynosił ze śledztwa. Przy rozprawie sądowej utrzymać się na nogach nie mogli; mówili ledwo słyszalnym głosem, z wielkim wysiłkiem; bladość trupia, oko błędne, ruchy konwulsyjne — oto symptomy moralnych i fizycznych cierpień, jakie przebyli w więzieniu. Policmajster petersburski, generał Trepow, jako prezes komitetu więziennego, poczynał sobie z więźniami tak srogo i arbitralnie, że sądowe władze musiały ich brać w obronę, acz napróżno. Ta arbitralność władz administracyjnych dała powód do rażącego konfliktu

z władzami sądowemi, który stał się powodem wielkiego skandalu uwolnienia Wiery Zazulicz przez sądy przysięgłych.

Śledztwo uwięzionych w r. 1875 trwało dwa lata — prowadzone przez osobną komisyę, w myśl ukazu z d. 15 maja 1872 r., złożoną z prokuratora sądowego, z jednego senatora, z szefa żandarmeryi i żandarmów, z dwóch lub trzech sekretarzy. Śledztwo to odbywało się w największej tajemnicy i z nieubłaganą surowością.

Zostawmy już więźniów, z których połowa okazała się niewinną, ich twardemu losowi, a zobaczmy, co robią pozostałe na wolności niedobitki nihilistycznego ruchu.

(C. d. n.).

Ks. Stanisław Załęski.

TŁUMACZENIA Z SARBIEWSKIEGO.

PIEŚŃ DO NARWI [1].

(Lyricorum libri II., oda 15).

Na różach, na białych, na liljach, fiołkach
Ten dzionek kołysał się letni,
Któremu ockniony przerwałem marzenia
Pierwszymi dźwiękami mej fletni.
Swobodne pacholę — hasałem bez troski,
Po brzegach nad Narwią uroczą...
Ach, odtąd dni moje błysnęły mi słońcem
I jasno mi było, przeźroczo.
Bo kiedy to słonko promieni swych falą
Oblało teorban mój strojny,
Już nie brzmią tam więcej ni szczęki puklerzy,
Ni groźny swym chrzęstem bóg wojny.
Lecz sielskie rozkosze, miluchne fiołki,
Zroszone ogrody różane,

[1] Poeta, zachęcany przez biskupa Łubieńskiego, aby opiewał ojczyste rzeki, napisał między innymi w roku 1633—34 ten wiersz do Narwi, nad którą pierwszą niegdyś złożył piosenkę.

Albis dormiit in rosis,
Liliisque iacens et violis dies,
Primae cui potui vigil
Somnum Pieria rumpere barbito;
Curae dum vacuus puer
Formosi legerem litora Narviae.
Ex illo mihi posteri
Florent sole dies; qui simul aureae
Infregit radios lyrae,
Iam nec scuta sonat, nec strepitum trucis
Gradivi; sed amabiles
Ruris delicias, sive rubentia
Udo rore rosaria,
Seu molles violas, sive volubilem

I Wilja łagodnym wijąca się szumem,
I wiatrów podmuchy wiośniane.
O Narwi ty moja, nad którą pacholę,
Wygrałem pieśń pierwszą o tobie,
Uderzam dziś w struny, masz znowu piosenkę!
Na dębie ją tutaj wyżłobię.
Jak ojciec cię pieśni ukochał Apollo,
Jak Muzy się w tobie lubują,
Tak niechaj i wieszcze kochają cię lutnie,
Niech chóry cię dziewic miłują.
Pieśń moja żyć będzie, zielenić się będzie
W tych karbach na korze wycięta;
Tej pieśni się wiejscy wyuczą pasterze,
Wyuczą się ciche dziewczęta.
A w święto, gdy zbierać tu przyjdą kryształy,
I łezki bursztynu znad wody,
Niech staną w dwa chóry po obu twych brzegach,
Niech nucą ci, Narwi, w zawody;
Naprzemian dziewczęta i chłopcy rówieśni
Niech nucą ci słowa mej pieśni.

Leni murmure Viliam,
Seu primo graciles vere Favonios.
At tu Narvia, quem puer
Tunc primum Calabra personui fide,
Ictu pectinis hoc habe
Incisum viridi carmen in ilice.
Quem Phoebus citharae pater,
Quem laetae citharis Pierides amant,
Laetum barbita Narviam.
Laetum virginei semper ament chori.
Haec, dum sponte virentia
Vivent in teneri vulnere corticis,
Addiscent pueri tibi,
Addiscent tacitae carmina virgines.
Festo mox eadem die,
Dum glebam solidae lucis et igneas
Electri lacrimas legent,
Partiti geminis litora coetibus
Alternis pueri tibi,
Alternis recitent carmina virgines.

NAD MERECKIEM JEZIOREM [1].

ŚPIEWY I TAŃCE RYBAKÓW.

(SILVILUDIUM VIII).

ŚPIEW.

Tobie dzięki, tobie chwała,
O ty modra falo boża,
Z twojej łaski rybka mała
W samą porę w sieć ujęta;
Dar dla króla — rybka hoża
Hej poczuła nasze pęta!

TANIEC.

Ranna jutrzenka — matka Memnona,
Gdy się wychynie z niebiosów łona,
Złociste włosy, kraśne jagody,
Blaskami strojna,
Czesze i gładzi w lustrze twej wody,
Falo spokojna.

ŚPIEW.

Gdy po licach swoich śnieżnych
Karminowy pył rozciera,
To z muszelek twych nadbrzeżnych
Kradnie farby purpurowe;

[1] *Silviludia,* do których ta pieśń należy, są to oddźwięki łowów królewskich, na których kilkakrotnie obecnym był poeta. Napisał je w r. 1637.

CANTUS.

Tibi grates, tibi laudes
Caerula Theti;
Tuo captus munere
Opportune, regia
Munera — piscis,
Nostra captus vincula sensit.

SALTUS.

Eoa parens Memnonis
Ut prodiit e specula,
Aureolosque crines,
Luteolosque vultus
Ad oris tui speculum
Comit, tergitque Theti.

CANTUS.

Dum rubenti munda fuco
Illinit ora,
Laetam tuis purpuram
Surripit e conchulis;

Jak w korale się ubiera,
W twe jagody kalinowe.

TANIEC.

A gdy z ogrodów swoich tam w górze
Lekkie obłoki rzuca jak róże,
Wówczas twe wody poranną wiosną
Wskróś się rumienią;
W głębi wiszące ogrody rosną,
Chwieją się, mienią.

ŚPIEW.

Gdy ustami spienionemi
Bryzgasz gniewem wkoło siebie,
Gdy wichrami walczącymi
Wre twe łono jak plac bitwy;
Niech kto inny śpiewa ciebie,
Te bałwany, te gonitwy.

TANIEC.

My cię śpiewamy, toni ty wodna,
Gdy się przymilasz cicha, pogodna,
Gdy leżysz wsparta na wodnych piasków
Złotem posłaniu:
Sprzyjaj nam zawsze w pełni twych blasków
Przy rybobraniu.

ŚPIEW.

O troskliwa rodzicielko!
Falą złoto-lazurową

Colla coralliis.
Tuis ornat bacis.

SALTUS.

Dum spargit ab aethereis
Rosarum nimbos hortulis,
Tum tua matutino
Rubescit unda vere.
Et pensilis in mediis
Florescit hortus undis.

CANTUS.

Te spumosis expuentem
Oribus iras,
Teque proeliantibus
Campum ventis Martium:
Fluctibus Euros
Canat alter equitantes.

SALTUS.

Tranquillo vultus lumine
Te blandientem canimus,
Et aureis arenae
Pulvillis acclinatam:
Sic usque nostro faveas
Piscatui serena.

CANTUS.

Tu terrarum vastos orbes
Sedula mater.

Ty dokoła ziemię wielką
W przeźroczyste tulisz dłonie,
Piersią karmisz kryształową,
Na wezbranem nosisz łonie.

TANIEC.

Z twego odmętu słońce wiosenne
Codzień wynurza skronie promienne;
Kiedy spokojne zadraśnie tonie
Kula ognista,
Wśród konchy srebrnej zda się, że płonie
Perła złocista.

ŚPIEW.

Gdy się zrana słońce rodzi,
O świtania pierwszym błysku,
W późny wieczór gdy zachodzi,
Feniks nieba — słonko miłe,
Ty mu ścielesz w twem łożysku
I kolebkę i mogiłę.

TANIEC.

A gdy to słonko gasi swe groty,
Igra na tobie malarz on złoty,
Maluje uśmiech nieba pogodny
Na wód wezbraniu;
Sprzyjaj nam zawsze kryształe wodny
Przy rybobraniu.

Ulnis circum liquidis
Fusca cingis, vitreo
Ubere lactas,
Sinu geris aestuoso.

SALTUS.

E tuo Phoebus nitidum
Attollit caput gurgite,
Et igneo tranquillum
Dum globo radit aequor,
Apparet in argentea
Aurata gemma concha.

CANTUS.

Mane primo tu nascenti,
Vespere sero
Tu cadenti Delio,
Ceu Phoenici aethereo,
Liquido praebes
Toro cunas et sepulcrum.

SALTUS.

In te sol pictor aureus
Dum lumen nobis temperat.
Serena ludens pingit
Ridentis ora caeli.
Sic usque nostro faveas
Piscatui secunda.

ŚPIEW.

Władysław po twej nadbrzeżnej błoni
Rączo przebiega, zwierzynę goni;
Roznieś daleko to imię pana
W nurtów twych graniu;
Sprzyjaj nam zawsze falo świetlana
Przy rybobraniu.

POSĄG CHODKIEWICZA

W OGRODACH MEDYCEJSKICH [1].

(Epigramma LXXIX).

Widzisz go tutaj w tureckich zwycięstw pięknym wawrzynie!
Ręką z marmuru rozgrywa bitwy, gdzie tylko skinie.
On to Propontu złote oręże, ludy ze Wschodu
Mieczem powalił, zniszczył ze szczętem moc Carogrodu.
Chrobra prawica za broń zwycięską dziś jeszcze ima,
A miecz-towarzysz ulubionego boku się trzyma.
O gdyby nóg tych nie więził marmur, nie skuł w kajdany,
Poszłaby lotem wolna prawica na bisurmany!

Włodzimierz Piątkiewicz.

CANTUS.

Tu grande Ladislai,
Vicina, dum venatico
Exercet arva cursu,
Nomen, sonoro fluctuum
Late tumultu persones:
Et usque nostro faveas
Piscatui secunda.

[1] Quem modo Threicii pulcra sub fronde triumphi
Marmorea spectas ponere bella manu:
Hic Asiae populos et flava Propontidos arma
Stravit, Abydenas depopulatus opes.
Fortis adhuc meminit bellacis dextera ferri,
Dilectumque latus conscius ensis amat.
O nisi captivas vincirent marmora plantas
Iret in hostiles libera dextra globos.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Malowniczy opis Polski czyli Geografia ojczystego kraju. *Józef Chociszewski.* Poznań. Nakładem K. Kozłowskiego. 1891.

„Jakżeż można kochać ojczyznę, jeżeli się nie zna ziemi, na której mieszkamy i której chlebem się żywimy?“ zapytuje autor w przedmowie. Odpowiedzieć można na to, że w takim razie niema chyba całkiem Polaków miłujących ojczyznę, bo któż z nas zna Polskę?! Zamożni nie zwykli po swym kraju podróżować — ochota do wycieczek, t. zw. „turystyka“, jest naszym średnim warstwom niestety całkiem obcą, ubodzy zaś nie mają się z czego uczyć geografii polskiej... a jednak nie brak nam chyba gorących patryotów! Ale z wszelką pewnością powiedzieć można, że gorąca miłość ojczyzny wtenczas dopiero praktyczne może wydawać owoce, gdy się na znajomości kraju opiera, a z drugiej strony rozszerzanie wiadomości geograficznych polskich zdolne jest patryotyzm szerszych warstw na głębszych oprzeć podstawach. Dlatego też pracę Chociszewskiego nazwać trzeba dziełem patryotycznem.

Autor to już oddawna powszechnie znany, ten nasz zacny, szlachetny, gorliwy Chociszewski; czyż posiadamy lepszego popularnego pisarza od niego? Któż tak, jak on, umie „własne ognie przelać“ w serca czytelników? W niniejszej pracy nietylko, że znowu umie podnieść, wzbudzić zapał, rozrzewnić i pewien tok myśli nasunąć, ale czyni to jeszcze w większym niż zwykle stopniu. Ze wszystkich dobrych, bardzo dobrych prac Chociszewskiego, ta najnowsza jest właśnie najlepszą.

Pojęcie geografii zgodne tu zupełnie z wymaganiami najnowszego stanowiska nauki. To nie prosta tylko chorografia, to nie sucha topografia, ale obok fizycznego opisu także etnografia i geografia historyczna. Nietylko nas poucza, gdzie Wisła, Dniestr, Niemen mają źródła i którędy płyną, ale opisuje wszechstronnie mieszkańców ich brzegów, począwszy od ubiorów ich aż do pieśni, które śpiewają; nietylko podaje ilość mieszkańców, ale w barwny i zajmujący sposób opowiada, jak pracują, z czego się utrzymują, jaka ich dola i niedola. Książka ta jest istnem sprawozdaniem z jakiejś podróży po całej Polsce. Mnóstwo rycin uzupełnia tekst: są tu widoki tatrzańskie, żupy solne wielickie, liczne obrazy fauny, przedstawienia obrzędów i zabaw ludowych, typy ubiorów z przeróżnych stron państwa polskiego, kilka charakterystycznych obrazków z życia szlachty, sceny historyczne, widoki miast, herby, medale etc. etc.

Dla kogo napisaną jest ta książka? Oto dla wszystkich, ale to dla wszystkich bez wyjątku! Młody i stary, prostaczek i uczony będą ją czytali z korzyścią a z wielką przyjemnością, chwytając tyle tak dla nas ciekawych a ważnych wiadomości, oczarowani tym sposobem wykładu Chociszewskiego, który sprawia, że bawimy się i uczymy zarazem, czytając go. Można, a raczej należy tę książkę dać w rękę młodzieży szkolnej, bo się z niej sto razy więcej dowie, niż z pedantycznych podręczników: można, a raczej trzeba koniecznie nabyć ją do każdej biblioteczki ludowej, bo z jakąż ciekawością włościanin będzie czytał o zwyczajach ludowych o sto mil od jego powiatu, lub o okolicach tak odległych, a nad tą samą położonych rzeką, nad którą jego rodzinna wioska: dowie się, jakie tam święte obrazy i odpusty, jakie gospodarstwa i zarobki. Ta książka jest świetną okazyą wszczepiania w lud pojęcia Polski, ojczyzny całej: setki przemówień i pisanych *ad hoc* broszur nie potrafią zdziałać tego, czego niezawodnie dokaże ta książka. Jeżeli chcecie, ażeby lud wiedział, co to jest Polska i co ona obejmuje, dajcież mu tę książkę, bo to wytłumaczy nie definicyami, ale konkretami, a więc jedyną metodą zdolną na lud oddziałać. Może ją też czytać wykształcona publiczność miejska, bo z pewnością wszystko tam dla niej będzie nowe: w biblioteczce domowej ta książka pewno nigdy się kurzem nie pokryje, bo przeczytawszy ją raz powróci się do niej, zajrzy do niej w rozmowie dla sprawdzenia jakiego szczegółu lub dla pokazania rycin; dla uczonego wreszcie będzie ona rodzajem repetytoryum i zbiorem szczegółów, których nigdzie w takiej obfitości na jednem miejscu nie znajdzie. To właśnie

jest szczególnym darem Chociszewskiego, że nikt jego książki nie odrzuci, jako dla siebie niepotrzebnej: każdemu się ona przyda — dla młodzieży zaś i ludu tak wiejskiego, jak miejskiego, jest ona niezbędną. Rozszerzanie jej jest prostym obowiązkiem „starszej braci".

Zbytecznem byłoby zaręczać, że w całej książce niema żadnej ani niezdrowej, ani niewczesnej myśli; najlepszym poręczycielem jest przecież w tym wypadku samo nazwisko autora! Oby się ta książka doczekała kilku wydań! W ten sposób miałby też autor sposobność coraz bardziej ją uzupełniać, a wydawca dodać jeszcze niejedną rycinę z odpowiednim tekstem, a co najważniejsza, postarać się o ryciny nowe. Gdyby nakładca mógł wydać bez obaw większą kwotę, mógłby też zebrać ryciny lepsze, nie poprzestając na przedrukowywaniu dawno już znanych, a dziś nie zawsze odpowiednich klisz [1]. Narazie świadczy to jednak dobrze o wydawcy, że zebrał zbiorek przynajmniej dawnych, bo lepszy rydz, niż nic, a ryciny są bądźcobądź w książkach pupularnych najlepszą wędką... na czytanie tekstu.

Fel. K.

Historya polska dla dorastającej młodzieży. *Teresa z Potockich Wodzicka.* Część I. W Krakowie 1891.

Ciekawą jest geneza tej książki, opowiedziana przez samą autorkę w przedmowie. Potrzebując dla dzieci książki do czytania (nie do nauki), któraby obejmowała całe dzieje Polski, autorka nie znalazła żadnej — zabrała się tedy sama do jej napisania. Zachęcona następnie w toku pracy przez Szujskiego, po kilku latach ofiaruje dziś młodemu pokoleniu część I. sięgającą do 1506 r.

Słuszną jest uwaga, że dla młodzieży w wieku od lat 14—18 niema dobrej historyi polskiej do czytania, a właśnie takich książek przydałoby się nawet kilka! Faktem jest, że chłopcy bardzo lubią czytać książki historyczne, byle nie miały na sobie piętna szkolnej nauki; rzadko który odczyta szkolną książkę *in extenso*, jakby lekturę, ale nieszkolnych gotów czytać dziesięć o tym samym przedmiocie. Podręcznik szkolny z tyloma winien się liczyć względami, że skrępowany niemi zgóry zrzec się musi uroku, jaki wywiera zwykła „książka do czytania", która z całą swobodą przemówić może do uczucia i wyobraźni. Rozpowszechnienie dopiero takich książek sprawiłoby, że chło-

[1] Najgorzej niestety wypadł widok Krakowa; w pierwszej chwili sądziłem nawet, że przez pomyłkę tylko wydrukowano u spodu ten podpis; nic a nic niepodobne!

pcy zajmowaliby się historyą polską nietylko z obowiązku szkolnego, a więc z musu, ale dla własnej przyjemności i z poczucia patryotycznego. Z tych względów każdą książkę tego rodzaju, jak niniejszą, szczerze powitać należy.

Praca p. Wodzickiej jest sumienną; nie zabrała się lekkomyślnie do dzieła: studyowała dużo, zbierała wiadomości skrzętnie, starała się niczego nie uronić; to znać na każdej ćwiartce książki. Autorka kierowała się przesadną, trwożliwą obawą, żeby nie dać zamało, żeby nie być niedokładną; mojem zdaniem atoli można było śmiało wiele szczegółów całkiem pominąć bez szkody dla celu, jaki osięgnąć zamierzyła. Lepiej jest rozpisać się dwa razy dłużej o zdarzeniu doniosłem, a pominąć takie, które i tak nie utkwią w pamięci czytelnika; najlepiej zaś takie drobne szczegóły usunąć do przypisków. Pod względem treści, nie można tedy autorce zarzucić żadnych braków; raczej zbyt hojnie nią szafowała. To też jej książka młodego czytelnika informuje na każdym kroku dokładnie.

Historyk zawodowy tu i owdzie poprawiłby jaki szczegół, np. Skirgiełło nigdy nie był wielkim księciem litewskim, a Witołd w Krakowie się nie chrzcił, tylko ze schyzmy przechodził na katolicyzm, imię zaś Aleksandra otrzymał w cerkwi wschodniej, — że wymienię tu dwie największe usterki. Jest jednakże rzeczą wręcz niemożebną, ażeby pisząc całokształt historyi polskiej, uniknąć myłek; od tego ani zawodowy historyk nie uchroniłby się przy dzisiejszym stanie nauki. Jesteśmy w okresie wydawnictw źródeł, konstrukcya leży odłogiem, a wyniki drobniejszych monografij z natury rzeczy, nie tak prędko staną się własnością szerszych kół. Póki obszerniejszych części dziejów narodowych nie opracują uczeni specyalni, książki popularne nie mogą być bez błędów: na dziś brak tego pośredniego ogniwa pomiędzy specyalną monografią a książką do czytania. Na szczęście w książkach dla szerokiej publiczności przeznaczonych, bardzo mało a nawet nic nie zależy na takich szczegółach, jak np. czy Aleksander Jagiellończyk zawarł przymierze z mistrzem inflanckim Plettenbergiem za pośrednictwem papieża Aleksandra VI. (jak mylnie napisała autorka), czy też bez tego pośrednictwa? Skoro tylko ogólne przedstawienie rzeczy jest dobre — już dobrze. Błędu zaś ogólnego, któryby fałszywe dawał pojęcie o większym ustępie dziejów, np. o całem jakiem panowaniu, o całej jakiej wojnie — takiego błędu w tej książce niema ani jednego, co nader zaszczytnie świadczy o sumiennej pracy autorki.

Fel. K.

Padwa. Studyum z dziejów cywilizacyi polskiej. Przez *dra St. Windakiewicza.* (Odbitka z *Przeglądu polskiego*). Kraków 1891.

Materyały do historyi Polaków w Padwie. Zebrał *dr. St. Windakiewicz.* (Osobne odbicie z VII. tomu „Archiwum dla dziejów literatury i oświaty w Polsce"). Kraków 1891.

O rękopisach poezyj Kallimacha. Przez *dra St. Windakiewicza.* (Odbitka z *Kwartalnika hist.*). Lwów 1891.

Zjazd historyczno-literacki imienia J. Kochanowskiego w r. 1884 rozwinął bardzo obszerny program, którym objął najważniejsze zagadnienia, dotyczące rozwoju i postępu badań na niwie ojczystej historyi, literatury i językoznawstwa. Punkt 7 tego programu w sekcyi historyczno-literackiej obejmował referat[1] prof. dra K. Morawskiego „O wpływie humanizmu niemieckiego i włoskiego na oświatę polską XV. i XVI. wieku". W tych bardzo cennych wskazówkach przedstawił prof. M., o co tu nadewszystko chodzi i jak się do tych żmudnych poszukiwań zabrać należy. Wyraził też wkońcu swego referatu życzenie, by te wskazówki pobudziły do „głębszych i szczegółowych w tym kierunku studyów". Pragnienia jego bodaj w części wkrótce ziścić się miały.

W kilkakrotnych wyprawach naukowych do Włoch p. St. Windakiewicz rozpoczął od r. 1885 swe archiwalne poszukiwania, których owoce nadzwyczaj bogate złożył w szeregu prac, częścią w *Przeglądzie polskim,* częścią w „Archiwum dla dziejów literatury i oświaty w Polsce" umieszczanych. „Nacya polska w Padwie" (*Przegl. pol.,* 1887), „Bolonia i Polska" (tamże, 1888), „Padwa" (tamże, 1891) — to monografie; „Księgi nacyi polskiej..." (1888), „Protokoły zgromadzeń nacyi..." (w „Archiwum" VI.), „Statuta nacyi..." (tamże), „Materyały do historyi Polaków w Padwie" (tamże, t. VII.) — to znowu zbiory dokumentów! I to wszystko dokonane w kilku latach przez jednego człowieka. Snadź dobrze i sumiennie pojął p. Windakiewicz owo „klasyczne orzeczenie" Brodzińskiego:

Czyń w swojem kółku, co każe Duch boży,
A całość sama się złoży!

Dodajmy do tego zbadanie rękopisów poezyj Kallimacha; przejrzenie, opisanie, skolacyonowanie i wypisy z rękopisów Sarbiewskiego w bibliotece Barberinich... i inne, zapewne w tekach autora zachowane

[1] Patrz „Archiwum dla dziejów literatury i oświaty w Polsce", t. V., str. 74—83.

notaty, a przyznać musimy, że dr. W. dokonał bardzo wiele, a naszej literaturze i historyi oświaty przysłużył się znakomicie.

Tutaj chcemy zdać pokrótce sprawę z prac p. W., które w tym zakresie pojawiły się w ostatnich miesiącach.

Padwa — zajmujący to szkic, czy monografia — mniejsza o nazwę — rozległych i ożywionych stosunków polskich scholarów z tym sławnym uniwersytetem. W rozprawie tej staje p. W. u kresu swych badań: przedstawia nam najbardziej wyczerpujący obraz polskiego życia w tem mieście, które współcześni zwali *flos et decus* miast włoskich. Słusznie może sobie autor powiedzieć, że kwestyę tę „wyprowadził z odmętu i dalej posunął". Żmudne jego poszukiwania rzuciły całą smugę światła na te utajone prawie przed okiem dotychczasowych badaczów stosunki polskich scholarów z Włochami. W sześciu ustępach kreśli nam dr. W. po kolei: stanowisko Padwy, pojedyńcze wydziały jej wszechnicy (prawny, medyczny i humanistyczny), wpływ kraju i cywilizacyi, a wreszcie — o ile źródła na to pozwoliły — tryb życia naszych scholarów.

Po upadku ligi w Cambrai (1511) zdobyła sobie Wenecya wybitniejsze stanowisko, „jako przedstawicielka inteligentnej dyplomacyi i administracyi". Dodało to nowego życia Padwie, która z uniwersytetu weneckiego stała się wkrótce europejskim: scholarzy wszelakich nacyj napływali do niej — od połowy XVI. wieku stanowczo także Polacy. Już mecenasi tacy, jak Tomicki, Kmita, Padniewski, uważali sobie za chlubę wyprawiać zdolną młodzież do Włoch. W drugiej połowie XVI. wieku prawdziwa gorączka wychodźtwa opanowała u nas umysły, i nawet magistrowie wymykali się z Krakowa do Włoch, szczególniej w latach 1540—70. W samej Padwie imatrykułowało się w XVI. wieku do 1800 Polaków. Prawo i medycyna, u nas prawie zaniedbane zupełnie, a w Padwie kwitnące podówczas, przyciągało do Włoch naszą młodzież. A co dopiero sam urok ziemi „klasycznej" i możność poznania i słuchania słynnych humanistów, jak Robortellus, Bonamicus, Sygonius i Riccobonus — w owej epoce „odrodzenia" jak one musiały silnie podniecać młodzieńczą wyobraźnię!... To też Polacy występują w Padwie jako odrębna, zorganizowana ówczesnym zwyczajem „nacya" w r. 1592 (przed studyum p. Windakiewicza uważano za tę datę rok 1605), a już koło r. 1556 zakładają dla siebie coś w rodzaju domu akademickiego lub hotelu pod nazwą *hospitium Polonorum*.

Wobec tych faktów, z benedyktyńską iście skrzętnością zebranych przez dra W., nic dziwnego, że główny kontyngens naszych uczo-

nych prawników, przyrodników, wielu literatów, a głównie urzędników wszelakich odcieni, w XVI. i XVII. wieku w Padwie się kształcił, ztamtąd czerpał swą wiedzę i swe formy, mody, gusta i ogładę towarzyską. Padwa zatem siłą rzeczy musiała wywrzeć na nasze umysłowe i towarzyskie życie wpływ stanowczy i najdonioślejszy. „Przez te 150 lat, któreśmy wespół z Włochami w Padwie przeżyli, czerpiąc z ich cywilizacyi i dobre i złe pierwiastki, myśmy się zżyli z wielką cywilizacyą Zachodu, przebyli z nią razem walki i tryumfy; myśmy się stali Europejczykami, jakkolwiek nas jeszcze długo w Europie znać nie było“ (p. 101). Wniosek to najlogiczniejszy i najsłuszniejszy, bo wysnuty z przesłanek, opartych na pewnych, zbadanych faktach. On zarazem jest miarą zasługi autora około literatury i oświaty naszej, bo wyświeca nam kwestyę, dotąd zbywaną zwykle ogólnikami, a teraz wyjaśnioną po większej części i uzasadnioną.

Materyały... podają wypisy, dokonane w Padwie z archiwów tamtejszych. W ośmiu paragrafach są tu zawarte najistotniejsze wyimki ze źródeł, o ile dotyczą Polaków. Każdy paragraf poprzedza krótki ustęp, służący za komentarz do zrozumienia wartości i ważności odnośnych dokumentów. Dla dalszych więc badań droga już ułatwiona niezmiernie. A dokumenta to tego rodzaju, że łacno „płodną ciekawość“ obudzą.

O rękopisach... Zestawia tu dr. W. wszystkie znane rękopisy poezyj Kallimacha, określa ich wzajemny stosunek, genezę, wartość i pokrewieństwo, a z tego praktyczny wysnuwa wniosek, jak należy zająć się umiejętnem wydaniem poezyj Kallimacha. Jestto praca informacyjna dla wydawcy utworów Kallimacha w *Corpus poetarum latino-polonorum*.

R. K.

Pamiętnik Jana Golliusza, mieszczanina polskiego (1650—1653). Z autografu wydał i wstępem poprzedził *Józef Kallenbach*. (Odbitka z VI. tomu „Archiwum“ Akademii Um. w Krakowie). 1891. Str. 53.

P. Józef Kallenbach znalazł w British Museum rękopis Jana Golliusza, młodego mieszczanina polskiego z Zamościa. Jestto księga objętości sporego tomu, w której są wyciągi z rozmaitych dzieł uczonych, wiersze różnych autorów i samegoż Golliusza, najróżnorodniejsze zapiski, jednem słowem, prawdziwa *silva rerum*. Jest tam i Pamiętnik tegoż Jana Golliusza (ur. 1634 r.), obejmujący lata 1650—1653. Treść całego rękopisu podaje prof. Kallenbach na końcu swej książki (str. 48—53). We wstępie (str. 1—10) stwierdza szanowny wydawca cał-

kiem słusznie, że „skromne i nieudolne wierzenia“ Golliuszowe należą do tej kategoryi pamiętników, które się pisze w ukryciu, dla własnej przyjemności.

W Pamiętniku tym (str. 11—28) są szczegóły ciekawe i obojętne, materyał przydatny do historyi naszej cywilizacyi obok mniej znaczących dla nas notatek, jakiemi są np. zapiski Golliusza, odnoszące się do jego pobytu w uniwersytecie lipskim od r. 1650—1652. Kreśli Golliusz barwny obraz życia, zwyczajów i obyczajów burszów lipskich w połowie XVII. w. Czyta się to wszystko z zajęciem, a historyograf lipskiego uniwersytetu, gdyby zkądinąd tak szczegółowego opisu życia studentów lipskich owego czasu nie mógł zaczerpnąć, będzie p. Kallenbachowi bardzo wdzięczny. Dla nas nie przedstawia ta część Pamiętnika głębszego interesu, tem bardziej, że szczegóły nie są całkiem nowe.

Nierównie cenniejszą jest druga, mniejsza część tego Pamiętnika (str. 21—28); pozwala bowiem wglądnąć w niektóre szczegóły życia mieszczan polskich, poznać niektóre ich zwyczaje i obyczaje, przynosi kilka drobiazgowych dat historycznych, opisuje wjazd króla naszego oraz posła moskiewskiego do Lwowa w r. 1653, i t. p. szczegóły i szczególiki. Szanowny wydawca ułatwia zrozumienie tych drobiazgów stosownemi uwagami. Należało może dla zupełności objaśnić i takie powiedzenie, jak „zawrotną mazowiecką prawie smołą“ częstować (str. 23), zwłaszcza, że mniej trudnych rzeczy nie pominięto.

Do Pamiętnika dołączył prof. Kallenbach „Fragment dramatu bez tytułu“ (str. 29—37), wyjęty z rękopisu Golliuszowego, ale zdaniem wydawcy, nie jego pióra. Do powodów, przez prof. Kallenbacha przytoczonych, które same zbyt przekonywującymi nie są, możnaby dodać i ten, że język i wiersz w dramacie lepszymi są od języka i wiersza w poezyach Golliuszowych, jakkolwiek i tu głębszej potrzeba analizy. Treść „Fragmentu“, przypominająca poglądy skotystów XVI. w., jest dość ciekawa. Autor urywku wprowadza na scenę alegoryczną postać Sprawiedliwości, która przedstawia Bogu, aby się pomścił na Polsce za wyrządzane sobie zniewagi. Taż sama Sprawiedliwość wzywa Marsa, by wojnę w Polsce rozpoczął, oraz Mór i Głód, by naród polski wytępiły. Życzenia Sprawiedliwości już mają być spełnione, zwłaszcza Mars jest skory, by je wykonać; lubi on polską waleczność i gniewa się na rycerski naród, że pozwala broni swej rdzewieć. W chwili stanowczej zjawia się na scenie postać uosabiająca Miłosierdzie Boże, by przeszkodzić działaniu Sprawiedliwości; powiada, iż wie, że Polska za-

winiła, ale i to prawda, iż równe są u Boga sprawiedliwość i miłosierdzie, a o miłosierdzie wstawiają się w niebie święci Patronowie Polski; dodaje, iż należy się Polsce kara, ale dosyć będzie, gdy jedna z tych trzech klęsk Polskę nawiedzi. Tu urywa się wątek dramatu.

Dodatek II. (str. 38—42) obejmuje wiersze Golliusza, obojętne tak pod względem treści jak i formy.

W dodatku III.—VI. (str. 43—47) przytacza prof. K. między innemi rzeczami t. zw. *Dies Aegyptiacos*, tj. dnie, według wierzenia ludu, „niebezpieczne", których w roku, mówiąc nawiasem, ma być 32, właśnie tyle, ile ich liczy zabobonny lud wielkopolski i podziśdzień jeszcze; feralne są np.: 1, 2, 5, 7, 8, 15 dzień stycznia. „Dali znać astrologowie i powiadają tak: jeźliby... się stadło pojęło którego dnia z tych, nie będą mieć długiego żywota wespół; a jeźliby się kto przeprowadził z jednego miejsca na drugie, nie będzie się mu wiodło dobrze; także jeźliby miał jaką sprawę, niewiele sprawi. A przetoż człowiek w tych dniach niema nic czynić i nie działać, bo co w tych dniach robi, nie przyjdzie mu ku dobremu końcowi".

Gromadził też Golliusz w swym rękopisie anekdoty i fraszki, z których prof. Kallenbach kilka przytacza. Jedna z nich ilustruje dwoma przykładami, „że niemasz nic sroższego jako człek przeciw człeku". Oto jeden z tych przykładów: „Wiecie, dlaczego Zbawiciel nasz tylko dał klucze Piotrowi św. do nieba? *Tibi dabo claves regni caelorum*, do piekła nie dawszy, ale przy sobie zostawił Zbawiciel nasz, i samże klucznikiem był do piekła — *habeo claves mortis* i *inferi*. Czemu ich nie dał Piotrowi św.? Dlatego, że Piotr św. jest człowiek, a człowiek może się na drugiego zagniewać i ze zbytniej żarliwości, mając klucze do piekła, mógłby wiele ludzi nasadzać do piekła". — Wcale nie budującą jest miłość małżonka, który swej nieboszce taki położył na nagrobku napis: *Uxor mea diem suum obiit. Si illa non obisset, ego perüissem. Iam lugenda mihi est, sed lugere nequeo. Pro ea mihi orandum esset, sed nolo. Si in caelis est, ista non desiderat. Si in inferis, ista illi non prosunt. Si in purgatorio est, diabolus illam tam diu purget illic, quam diu illa me hic purgavit.* Przypomina to dowcip Krzyckiego. Przytoczony tuż obok nagrobek Jana Ciołka znany jest z pism tegoż Krzyckiego.

Tyle o treści i wartości książki. Szkoda, że wydawca nie dołączył indeksu osobowego i rzeczowego; ułatwiłby był znacznie pracownikom szukanie materyału.

Dr. A. Karbowiak.

O pokusach wszechstronnie traktowanych. Przez *ks. licencyata Seweryna Paszkowskiego.* Kraków 1890 (w 8ce str. 214).

Bojowaniem jest życie człowieka na ziemi — powiedział Job. Jak do wojny potrzeba się uczyć taktyki wojennej, tak i chrześcijanin mając przez całe życie ustawiczną toczyć walkę z nieprzyjaciołmi moralnej natury, musi także posiąść sztukę bojowania duchownego, jeźli chce z walk tych wychodzić zwycięsko. Sztuka ta wyrabiała się przez wieki życia chrześcijańskiego na podstawie Pisma św. oraz doświadczenia w duchownym boju; i mamy przekazane sposoby prowadzenia walki w pisarzach świętych i ascetycznych, począwszy od pierwszych pustelników aż do św. Salezego, które podają wszystkie książki o życiu duchownem.

Nie spotkaliśmy się atoli jeszcze z książką, wyłącznie o pokusach uczącą. Taką właśnie książką przysłużył się naszej publiczności pobożnej niedawno zmarły ks. Seweryn Paszkowski. Napisana wprawdzie na podstawie niemieckiej książki pod tymże tytułem dra Fryderyka Heuse, nie jest jednakże czystem tłumaczeniem, ale ma i autor sam w niej dział swój niepośledni tak z własnego doświadczenia, jak oczytania się w pisarzach duchownych.

Rzecz jest w niej wyczerpująco, nader krótko i zwięźle przedstawiona. Wszystko, co tylko duszę, dążącą do doskonałości, wstrzymać lub zaniepokoić może, jest tu wyjaśnione; zawarty też w niej jest niejako ubocznie całokształt doskonałości chrześcijańskiej, tak iż wszystkim, co w pobożności pragną postąpić, a najbardziej kierownikom sumień, najgoręcej ją polecić musimy.

Autor na szczupłej niwie naszej religijnej literatury począwszy pracować, gdyby był dłużej żył, z pewnością byłby nas liczniejszymi płodami obdarzył. Niechaj więc bracia w kapłańskim zawodzie, duszpasterze, starają się tę cenną spuściznę po ś. p. ks. Sewerynie Paszkowskim jak najbardziej rozpowszechniać.

Ks. C. A.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Erkenntnisslehre. Von *Dr. Al. Schmid.* 2 Bände. VIII., 498; VI., 428. Freiburg. Herder'sche Verlagshandlung. 1890.

Nie często wpada pod rękę filozofa dzieło takie, jakiem jest powyższe. Nie jestto książka dla początkujących w filozofii; tem mniej może być czytaną z zajęciem przez ludzi, nie oddanych specyalnie tej umiejętności. Ale dla znawców przedstawia to dzieło owoc badań niezwykle skrzętnych na polu dziejów filozofii, logiki, psychologii, estetyki i teognozyi. Autor zebrał w jednolitą całość całą osnowę nauki filozoficznej o poznaniu. Stanowisko jego pomiędzy szkołami filozoficznemi, chociaż bardzo samodzielne i śmiałe, przypomina najwięcej Balmesa i Gutberleta. Sam to wyraża w pierwszym tomie (str. 59): „Wielu obecnie woła: napowrót do Kanta! inni: napowrót do św. Tomasza z Akwinu! jedni: napowrót do ideologii św. Augustyna! drudzy: napowrót do Arystotelesa! inni: napowrót do Platona! Za czyimże głosem trzebaby pójść?" Któremu nawoływaniu przyznaje słuszność obecne dzieło? Uznaje ono za słuszny powrót do filozofii przeszłych wieków, ale nie po to, żeby ją powierzchownie powtórzyć, tylko, żeby ją odrodzić na duchu, zachować i w szczegółach posunąć naprzód, przedewszystkiem posunąć ze względu na nowoczesne wymagania. Wszędzie zamierza obecna praca tropić prawdę, nawet pomiędzy szczególnymi błędami, żeby błąd przestał zwodzić pozorną przymieszką prawdy, — stosownie do słów św. Augustyna, „że nikt prawdy nie traci, chyba kto znajdzie jaki pozór prawdy".

Rozkład dzieła obejmuje trzy części: badanie podstaw filozoficznego wątpienia, — oznaczenie źródeł poznania w zmysłach, — przedstawienie tych źródeł w umyśle; każda część jest przedstawiona na tle dziejowego rozwoju odpowiednich pojęć u różnych filozofów.

Jednym z ciekawszych a godnych uwagi ustępów, jest pogląd na zarzuty, czynione „krytyce czystego rozumu" Kanta. Pyta się autor na str. 15 pierwszego tomu: „czy to nie sprzeczne z sobą samem przedsięwzięcie: poddać krytycznym badaniom ludzkie poznanie? W tej myśli padały ze strony dogmatyków różne pociski na Kanta za jego założenie, że błądzili dotąd filozofowie, porywając się do metafizyki, nie upewniwszy się wprzódy, czy metafizyka jest

możebną, czy rozum zdolny jest do poznania przedmiotu“ [1]. Powtarza tu autor zarzuty Hegla i Baedera, ale dodaje: „A jednak ma za sobą zupełną słuszność zasadnicza myśl, żeby na krytycyzmie wybudować filozoficzny dogmatyzm. Czy trzeba koniecznie głową na dół skakać do wody, żeby nauczyć się pływać, bez poprzedniego doświadczenia sił? I dlaczego ma być niedorzeczną ocena i krytyka duchowego narzędzia naszych poznań? Jeżeli nowa filozofia — jak słusznie mówi J. Kleutgen (*Philosophie der Vorzeit*, nr. 338) — postawiła sobie za szczególne zadanie zbadać i skrytykować władze poznawcze, to nie mogła w żaden sposób stawiać sobie tego za kres swoich badań: czy ma człowiek pewne poznanie prawdy — tylko to: na jakiej drodze i w jakich okolicznościach dosięga prawdy“. Cóż więc odpowiada autor na walny zarzut, że Kant, jeżeli nie ufa odrazu władzom poznawczym, jakąż wartość przypisać może swej krytyce i swoim wywodom, przez te same władze poznawcze wykonanym? A jeżli tym władzom zgóry ufa, cóż znaczy jego założenie? pocóż krytyka? — Nie odpowiada na to autor, przynajmniej wprost. To właśnie także można mu wytknąć, że nie zawsze wyraża swój sąd ostateczny. Tak unika stronniczego wydawania osobistych zdań, że nie dobrze czasem wyświeca barwę swoich poglądów. Przedmiotowość bezstronna zyskuje na tem; ale czyż bezstronność każe wytaczać sprawę, a zawieszać wyrok?

Drugą rzeczą, która uderza w tem dziele, jest śmiała obrona tak zwanego *doute méthodique*, wydanego na świat przez Kartezyusza. Według autora, nietylko „niema wątpliwości, iż myśl Kartezyusza była genialnym pomysłem“, ale utrzymuje (str. 97, t. I.), że nowa filozofia znalazła w tej myśli główną dźwignię do swoich badań. Cała książka dra Schmida ma ściślejszą formę i wykład bardziej filozoficzny od języka, którym pisał Kartezyusz rozprawy, tak łacińskie jak francuskie. Dlatego i to, co pisze dr. Schmid o zasadzie i metodzie wątpienia, nie grzęźnie w zwrotach dwuznacznych, które ściągnęły na Kartezyusza pomawianie o sceptycyzm. Kartezyanie zawsze usiłowali okazać dobre znaczenie tej metody wątpienia; jednak dopiero w naszym wieku znaleźli posłuch u przeciwników. Pierwszy Perrone przyznał, że wiele zarzutów przeciwko Kartezyuszowi pochodzi z nieporozumienia; Palmieri dalej poszedł: śmiało postawił tezę o tem, w jakiem znaczeniu można przyznać słuszność zasadzie metody wątpienia, ale sam nie wziął jej za kamień węgielny pewności. Dr. Schmid, to pierwszy zwolennik

[1] Patrz o tem: „Filozofia i jej zadanie“, wyd. 2, str. 91.

„filozofii z ubiegłych wieków“, który wyzyskuje myśl kartezyańską. oczywiście nie ścieśnioną jedynie do zasady: „myślę, więc jestem“ — i wręcz wypowiada (str. 102, t. I.): „Kartezyusz nie zbłądził przez żądanie metody wątpienia tak pojętej, jak jej bronią Günther, Pabst, Rosmini, Balmes, Kleutgen; ale zbłądził w tem, że niedostatecznie ją zastosował“; — (str. 168): „Filozoficzna umiejętność poznania ma zacząć od metody wątpienia o wszystkiem...“

Dwa tylko powyższe poglądy autora najwięcej uderzają w pierwszej części dzieła, której największą cenę stanowi rzadka ilość wiadomości historycznych o przeróżnych sceptykach, z dokładnym opisem objawów sceptycyzmu obecnego, szczególnie w Niemczech.

Druga część także prawie cała wypełniona poglądem na dzieje pojęć różnych filozofów o tem, czy zmysły stanowią dla nas źródło poznania prawdy. Autor bardzo dokładnie opisuje sporne zdania filozofów i znakomicie oznacza różnice między pojedyńczemi zdaniami. Idealistów odpiera ścisłymi dowodami, szkoda tylko, że krótko i bez życia. Wogóle całe dzieło zachowuje tok poważny i nie lubi dosadniejszych i żwawszych zwrotów; widać, że pisane dla filozofów, nie dla ludzi zdolnych czytać tylko książki, które z poważną treścią łączą łatwy język. Ale widać też, że autor hołduje modzie; bo nie z nieudolności, ale z zasady, wielu jego rodaków uważa ciężki i nieprzystępny język za najwłaściwszy dla filozofii. Krzyczał na to Szeling, powstają do dziś sami Niemcy w *Stimmen aus Maria-Laach:* moda nie dba o nic i panuje.

Może temu ciemnemu językowi trzeba przypisać rzecz niesłychaną u pisarzów tego zakroju, co dr. Schmid, mianowicie, że w drugiej części twierdzi (str. 185): „w żaden sposób nie można przeczyć, że przynajmniej człowiek ma zmysłowe poznania ogólne, bądź w znaczeniu prawdziwych poznań ogólnych, bądź w znaczeniu szczególnych poznań, które zawierają w swoim obrębie podobne przedmioty, bądź jakkolwiek inaczej“. Na dowód tego stawia autor fakt, z którego chyba sensualistyczna logika zdoła wyprowadzić jego wniosek; odwołuje się on na to, że „wyobraźnia przedstawia szczegół, który obecnie nie sprawia wrażenia na zmysły zewnętrzne, tylko unosi się w obrazie przed wyobraźnią, czyli wyobraźnia przedstawia sobie ogół“. Żeby zaspokoić ciekawych, czy to nie sensualizm, dodaje zaraz: „ale nigdy i przenigdy nie zdołają władze zmysłowe jasno i wyraźnie rozróżnić szczegółu od ogółu, więc podnieść ogólnych poznań do godności

pojęć...“ Trudno tutaj jasno i wyraźnie dociec myśli autora, który zbija sensualizm!

Ale to tylko początek niespodzianki: uogólnienia poznań zmysłowych potrzebował autor do obrony Kanta. Niktby pewno nie przypuszczał, że można pożyczyć zwrotu myśli i broni u sensualistów, żeby bronić kantowskich sądów syntetycznych *a priori*, tej podwaliny transcendentalnego idealizmu. A jednak w postaci bardzo ciemnego rozumowania widać ten przeskok z sensualizmu do idealizmu u autora, który wytyka błędy obu tych systematów i trzyma się sam wogóle zasad pośrednich czyli realno-idealnych. Jakżeż autor rozwija to zasadnicze zapatrywanie swoje? Rozwój tego zdania tkwi rozstrzelony w kilku miejscach dzieła, głównie w t. I., str. 185—206 i w t. II., str. 13—27 i 85—125. Ten ciekawy wynalazek, żeby wybawić Kanta od zarzutu niedorzeczności za sądy *a priori* syntetyczne, zasługiwałby może na obszerniejszą rozprawę, bo w streszczeniu przedstawia stan obecnych poglądów w Niemczech na najgłówniejsze noetyczne zasady i pojęcia; ograniczamy się jednak tylko do streszczenia przebiegu myśli autora. Z uogólnienia zmysłowych poznań wyprowadza autor wniosek, że zmysłem poznajemy nietylko przypadkowe własności rzeczy i ich stronę zewnętrzną, ale także dostrzegamy czegoś koniecznego, co tkwi niezmiennem prawem w świecie zmysłowym. Ale nie sam przedmiot poddaje zmysłowej władzy swoją ogólność i konieczność; przedmiot tylko nastręcza zmysłowej władzy sposobność do tego, żeby ta w nim dostrzegła prócz przypadkowej i zewnętrznej jego strony, także ogólną i konieczną. Więc zmysł dokłada coś z siebie do tego, co bierze od przedmiotu: bierze zewnętrzną przypadłość i nakłada na przedmiot ogólną konieczność. Więc zmysłowe poznanie ma w sobie żywioł podmiotowy, ogólną formę czasu i przestrzeni, w którą odziewa przedmiot. O dotychczasowem rozumowaniu twierdzi autor, że zasadniczo pochodzi od Arystotelesa i Kanta, zgodnych w tym poglądzie. Dalej śledzi on tę przedmiotową formę zmysłów: tu już idzie ścieżką, wytkniętą przez Kanta, i dochodzi do tego, że rozróżnia zmysłowe poznania aż trojakie: 1) poznania doświadczalne, o których świat wiedział przed Kantem; 2) poznania zgoła konieczne i apryorystyczne, do których Kant dochodził, ale jeszcze nie tak, jak autor; 3) poznania dobrowolne, o których przed rokiem filozofia milczała jeszcze. O syntetycznem poznaniu *a priori* twierdzi autor, że nie jest trudniejsze do pojęcia od analitycznego, choć to błędnie myślał Kant. W głębi rozumowań autora widać, że używa wyrazów w osobliwem znaczeniu; opiera się przytem na dość powszechnym teraz zwy-

czaju, żeby dowolnie po swojemu wyrażać pojęcia, na które wieki wynalazły już i utarły właściwe wyrazy. W ten sposób można nazwać zmysłowe poznanie ogólnem, jeżeli jest mgliste i nie dobitnie przedstawia szczegóły. Potem wystarczy pochwycić taki ogół, dopatrzeć w nim piętna ogólnych pojęć istoty, tj. piętna konieczności, tę konieczność nazwać żywiołem apryorystycznym, i wystawić noworodne „syntetyczne sądy *a priori*“. Tym trybem łatwo podzielić sądy, zwykle nazywane syntetycznymi, na sądy *a posteriori*, w których tkwi szczery przypadek, np. sąd: że tylko co zegar bił na wieży — i na sądy *a priori*, w których zachodzi jakaś konieczność, np. że w tej chwili słyszałem turkot dorożki na ulicy, co słyszeć musiałem, bo niepodobna, według praw fizyologii, żeby hałas tuż za oknem nie raził zdrowego słuchu. Na szczęście to zapatrywanie autora pozostaje bez wpływu na całość jego nauki. Owszem, parę razy powtarza (np. w t. II., str. 16), że „był to zasadniczy błąd Kanta ścieśnić formy myślenia ogólno-konieczne, transcendentalne, do znaczenia czysto podmiotowego, pojmować je jedynie jako płód myślenia czystego“, i bije na to, że poznanie musi mieć, na zasadzie przyczynowości, przedmiotowy związek ze światem istnym poza podmiotem. W ten sposób omija jakoś szczęśliwie idealizm, i jego podstawę kantowską stawia chyba tylko po to, żeby się zastosować do sposobu mówienia *fashionable* w Niemczech.

Trzecia część dzieła ma największe znaczenie. Żeby wykazać, jak rozum stanowi dla nas źródło poznania, sięga autor do wszystkich działów filozofii po różne pytania, które rozwiązuje na tle zasad krytycznej logiki. Tak bada najprzód sposób poznania najważniejszych pojęć i zasad metafizyki ogólnej: zasady sprzeczności, przyczynowości, konieczności, substancyi i t. d. Potem wprowadza pojęcia kosmologiczne, psychologiczne, teologiczne i śledzi ich powstanie. Nie pomija nawet etyki i zasadniczych pojęć etycznych, i zgłębia ich sposób powstania. Mimo tylu styczności z Kantem, broni zwykłych dowodów istnienia Boga, pożyczonych od św. Anzelma, Kartezyusza, Leibnitz'a i t. d. W drugiej połowie trzeciej części bada autor pewność. Tutaj także zastosowuje zasady pewności do pytań zaczerpniętych z różnych działów filozofii i z różnych, prawie wszystkich głównych gałęzi wiedzy ludzkiej; potem znowu schodzi do dziejów różnych systematów o pewności; zastanawia się najwięcej nad tradycyonalizmem i ontologizmem, i tutaj może najwięcej pokazuje oczytania — chociaż w całem dziele pełno dowodów żelaznej pracy, żeby zbadać dzieje filozofii z niezmiernej ilości źródeł. Dowodem oczytania w dziejach filozofii niech

będzie to, że uwzględnia i opisuje dzieła do sześciuset autorów różnego czasu, szczególnie najświeższych. To też część historyczna tej pracy jest najcenniejszą.

O całem dziele można wkońcu powiedzieć, że filozof z zawodu może z pożytkiem przeczytać obydwa tomy, pełne ciekawych szczegółów i streszczeń z dziejów filozofii; szkoda tylko, że przedstawione są językiem zawiłym, transcendentalnie nudnym.

K. C.

Handbuch der katholischen Liturgik. *Dr. V. Thalhofer.* 2. Band. Erster Theil. Freiburg. Herder'sche Verlagshandlung. 1890.

O pierwszym tomie tego pięknego dzieła mówiliśmy już w *Przeglądzie* [1]. Jestto owoc długoletniej pracy pierwszego niemieckiego liturgisty, która — mamy nadzieję — dozna takiego samego powodzenia, jak wykład Psalmów tegoż autora, który już pięciu doczekał się wydań.

Tom drugi, który obecnie mamy przed sobą, zawiera liturgikę Mszy św. Tu przychodzą: 1. Nazwa, istota i owoce najśw. Ofiary; 2. Wykład teraźniejszej liturgii mszalnej: a) Msza katechumenów (do *Credo*); b) Umywanie rąk; c) Komunia św.; d) Zakończenie najśw. Ofiary; e) Rozmaite rodzaje Mszy. — Dzieje pojedyńczych części podane są w sposób nader staranny. Liturgia wschodnia jest także autorowi znajoma, i posługuje się nią przy wykładzie znaczenia liturgii łacińskiej. Wykład liturgii mszalnej, podług niego, powinien być przedewszystkiem literalno-historyczny; na drugim dopiero planie może stać wykład mistyczny, który w średnich wiekach tak był lubianym, i tak często z wewnętrznych przyczyn usprawiedliwić się daje (str. 52). Istotnie też wiele ceremonij dzisiejszej mszy, jak np. tak częste robienie znaku krzyża św. w kanonie i t p. wprowadzono jedynie ze względu na mistyczne znaczenie mszy św. To tłumaczenie nie jest także obcem Kościołowi wschodniemu.

Oto np. jak rzecz traktuje Thalhofer. Psalm *Judica* odmawia się także w imieniu ludu (str. 60). Jest on wyrazem głębokiego żalu za grzechy, dlatego też opuszcza się wtedy, gdy na pierwszym planie występuje męka Chrystusowa albo cierpienia dusz czyścowych. Dalej podobnie, kiedy w czasie postu, w okresie pasyjnym, opuszczają się *suffragia Sanctorum*, to znaczy, że wzrok duszy powinniśmy podnosić wyłą-

[1] 1884. II., 122.

cznie ku cierpiącemu Odkupicielowi. W *Confiteor* wyznajemy swe grzechy Świętym, w których zasługach zadość czyniących szczególny pragniemy mieć udział, jako to: potężnej i miłosiernej Królowej Wszystkich Świętych, św. Michałowi Archaniołowi, który stawia duszę przed trybunałem Boga (Apoc. XII., 7), Janowi Chrzcicielowi, który nietylko lud żydowski, ale zarazem całą ludzkość przywiódł do *remissionem peccatorum* (Łuk. I., 77); książętom Apostołów, Piotrowi i Pawłowi, których Pan wyszczególnił zpomiędzy wszystkich uczniów, oraz którzy najwięcej dla Niego pracowali i cierpieli, i dlatego też najwięcej mogą od Niego otrzymać.

Tych kilka szczegółów wystarcza, aby dać pojęcie o sposobie, jakim Thalhofer przeprowadza wykład całej mszy św. Uczeni teologowie nie znajdą tam prawie nic nowego, ale do celów praktycznych, do samodzielnej nauki i duchownego czytania, dzieło to na gorące polecenie zasługuje. Autor złożył także dowód głębokiej znajomości przytoczonych przez się pism; możnaby jednak tu i owdzie mieć coś do zarzucenia. Tak np. na str. 143 Thalhofer mówi: „Jeżeli do eucharystycznego wina wleje się trochę innego, jakiegokolwiek płynu (wody różanej, spirytusu i t. p.), wówczas staje się ono przynajmniej *materia illicita;* jeżeli zaś ilość tego płynu wynosi połowę prawdziwego wina, a nawet więcej, to należy je uważać za *materia invalida*“. Ostatnie z tych ograniczeń zanadto jest określonem. Skoro bowiem skutkiem jakiegokolwiek dodatku wino przestaje być czystą substancyą winną, to należy je uważać za *materia invalida,* chociażby dodana substancya nie stanowiła połowy całej mieszaniny. Z drugiej jednak strony wykład modlitwy, zwanej *epiclesis,* jeżeli nie jest nawet pewnym, to z powodu swej gruntowności zasługuje na najwyższą pochwałę i uznanie (str. 235). Nie jest on pewnym dlatego, że wykład Hoppesa, który Thalhofer w części potępia, opiera się na znakomitych świadectwach, jak np. Bessaryona i biskupów wschodnich na florenckim soborze, a nadto wiele wewnętrznych przyczyn za nim przemawia. Małe te jednak uwagi mają jedynie wykazać, że Thalhofer niczego nie pomija milczeniem, owszem, wszystko wymienia i przedstawia jasno oraz z pewnem ciepłem. Tam nawet, gdzie jego zdanie nie może być poczytywanem za przekonanie ogółu, wyraża je tak, że duch mimo woli się podnosi, a serce rozpala. Oby część druga tomu drugiego, która ma zamknąć całość, nie kazała zbyt długo na siebie czekać. Nie należy też żałować, że moment ascetyczny nie został tak uwzględniony, jak sam autor tego pragnął, boby to rozmiary dzieła zanadto powiększyło, tem

bardziej, że praca Göhra: *Erklärung des heiligen Messopfers,* uzupełnia pod tym względem książkę Thalhofera.

Ks. Augustyn Arndt.

Jesuiten-Fabeln. Ein Beitrag zur Kulturgeschichte. Von *Bernhard Duhr S. J.* Erste Lieferung. Freiburg. Herder'sche Verlagshandlung. 1891. VIII. 104.

Wobec dawnej, bardzo obszernej literatury za i przeciw Jezuitom, zdawałoby się, że już zbytecznem byłoby w naszych czasach jeszcze o tej materyi pisać. Niema zarzutu, któryby nie był przeciw temu zakonowi podniesiony, jak nie brak na żaden z nich odpowiedzi. W dzisiejszych jednak czasach, gdy w Niemczech powstał silny ruch wśród katolików, domagających się zniesienia prawa wydanego w r. 1872 przeciw Jezuitom, gdy się zwołują liczne wiece w tej mierze we wszystkich stronach cesarstwa — związek ewangelicki bojąc się, aby to prawo nie zostało zniesionem przez parlament, korzysta z łatwowierności niemieckiego ludu i odświeża dawne baśnie, opowiadane o Jezuitach, w licznych broszurach i artykułach dziennikarskich; nawet i w Austryi niedawno temu, z okazyi wystawienia pomnika Maryi Teresie, wyszła broszura z kuźni masońskiej o zdradzeniu przez jezuitę tajemnicy spowiedzi tejże cesarzowej. To też bardzo na czasie ks. Duhr postanowił wydać cały szereg broszur, które mają być po części odpowiedzią na bardziej znane zarzuty. W pierwszym zeszycie *Jesuiten-Fabeln*, jaki mamy przed sobą, mówi autor o tej właśnie spowiedzi Maryi Teresy, o rzekomem otruciu przez Jezuitów Klemensa XIV., o ich przewrotnem wychowywaniu młodzieży, o celach ukrytych zakonu, zawartych w *monita secreta* i t. d. — na co daje gruntowną odpowiedź, zastosowaną do wymagań dzisiejszej krytyki w historyi, przytem z humorem i pewną werwą, tak że nietylko z pożytkiem, lecz i z przyjemnością każdy przeczyta jego książkę. Życzymy autorowi licznych czytelników, a przedewszystkiem takich, którzy są uprzedzeni do zakonu: życzymy także, aby nie zwlekał z wydaniem następnych zeszytów, które zbyt spóźnione, mogłyby być jak *cavoli a merenda.*

C.

Praktisches Handbuch des katholischen Eherechtes. Dr. Mathäus Joseph Binder. Vierte umgearbeitete Auflage von *Dr. Joseph Scheicher.* Freiburg. Herder'sche Verlagshandlung. 1891.

Książka powyższa po raz pierwszy wydana w r. 1865 przez dzisiejszego biskupa w St. Pölten, znaną jest powszechnie oddawna

jako bardzo dobry i jasny podręcznik dla duszpasterzy. Ks. Scheicher, następca na profesorskiej katedrze w St. Pölten po ks. Binderze, już kilkakrotnie wydał to dzieło z pewnemi koniecznemi zmianami, jakich stosunki miejscowe i prawa cywilne, wydane w późniejszych czasach, wymagały. Niniejsze czwarte wydanie uwzględnia najnowsze rozporządzenia rzymskich kongregacyj i prawa cywilne obowiązujące w Austryi od r. 1889, przedewszystkiem wojskowych. W 45 formularzach znajdzie czytelnik prawie wszystkie mogące zachodzić wypadki, w których porozumienie się z władzą jest konieczne. Jakkolwiek dla naszego duchowieństwa ks. prof. dr. Pelczar obszerniej i dokładniej opracował prawo małżeńskie, z uwzględnieniem najnowszych rozporządzeń tak ze strony Kościoła jak państwa — to jednak nie przeszkadza, że książka powyższa bardzo może być jeszcze użyteczną dla wielu w tych zawiłych a ważnych kwestyach.

C.

Z pism czasowych.

(Bułgarya).

Periodiczesko Spisanie na b'łgarsko-to kniżowno drużestwo w Sredec (Sofia). 1886, 1887, 1888, 1889, 1890.

Okres między rokiem 1840 a 1870 był nader ważnym w dziejach Bułgaryi; wówczas bowiem, chociaż jeszcze była pod jarzmem tureckiej niewoli, jednak już rozbudziło się w tym kraju silniejsze tętno narodowego i intelektualnego życia. Na tę właśnie dobę przypada założenie pierwszej szkoły bułgarskiej w Gabrowie, patryotyczna działalność braci Miładinowiczów w Macedonii, a wreszcie utworzenie się bułgarskiego literackiego Towarzystwa *(B'łgarsko-to kniżowno drużestwo)* w Braile. To ostatnie postawiło sobie za zadanie ześrodkować całą działalność bibliograficzną w kraju, dla rozwoju i wzbogacenia narodowej literatury i wiedzy. Wkrótce po swem założeniu zaczęło ono wydawać pismo peryodyczne pod tytułem *Periodiczesko Spisanie;* po odzyskaniu zaś niepodległości krajowej przeniosło się wraz ze swem wydawnictwem do Sofii, tego ukochanego bułgarskiego *Sredca:* środkowego punktu narodowej działalności.

Jakim jest cel wytknięty przez założycieli tego organu, oraz jakimi środkami posługuje się dla jego urzeczywistnienia, o tem dowiadujemy się z artykułu „Do czytelników“ *(K'm czitateli-tie)*, umieszczonego w roczniku tego wydawnictwa za rok 1888.

„*Periodiczesko Spisanie* — mówi przedmowa — ma pod względem treści podwójne zadanie. Pierwszem jego zadaniem jest podawać materyały z dziedziny ogólno-ludzkiej wiedzy, to jest rozprawy o wszystkiem, co jest pięknego i ciekawego na świecie, a z czego czytelnik bułgarski może wyciągnąć dla siebie naukę i zachętę. Tu wchodzą przedewszystkiem popularne monografie z rozmaitych gałęzi wiedzy, sztuki i zagranicznego piśmiennictwa, oraz artykuły o wszystkich kwestyach, mających związek ze znajomością przyrody i samego człowieka.

„Drugie zadanie tego wydawnictwa jest daleko ważniejszem od pierwszego, ponieważ jest ściśle narodowem, wyłącznie bułgarskiem. Głównem zadaniem bułgarskiego literackiego Towarzystwa i jego organu jest pomagać narodowi do prawdziwej samowiedzy, która stanowi podstawę samoistności narodowej i rękojmię pomyślnej przyszłości. Szerokie tu pole i obfite żniwo. Wszechstronne zbadanie i opracowanie języka, oraz zbieranie ustnych zabytków ludowej literatury: pieśni, podań, baśni, a nawet pojedyńczych wyrazów żywej macierzystej mowy, daje poznać jej piękność, dotychczas tak mało znaną, a mniej jeszcze cenioną. Przeszłość bułgarskiego narodu i dzieje jego cywilizacyi, tworzą niewyczerpany materyał, którego odpowiednie zużytkowanie wielki dla przyszłości narodowej przyniosłoby pożytek. Należy też śledzić bacznie stanowisko narodu pod każdym innym względem: obyczaje jego, charakter, zwykły tryb życia w ojczyźnie i poza jej obrębem — wszystko to bowiem może dostarczyć prawodawstwu nieocenionych danych. Również należy się zaznajamiać z ekonomicznem położeniem kraju; ze świadomości tej bowiem wynikają środki materyalnego jego wzbogacenia. Opisy rozmaitych okolic i wszystkich przyrodzonych bogactw kraju są jednym z pierwiastków narodowej samowiedzy. Nauki przyrodnicze, umiejętne badanie fauny, flory, jak również spostrzeżenia geologiczne i meteorologiczne, otwierają szerokie pole działania dla młodych bułgarskich przyrodników, tem bardziej, że w tej mierze istnieje już wiele prac cudzoziemskich, bułgarskich zaś niema prawie żadnych.

„Nadto *Periodiczesko Spisanie* posiada osobny oddział dla poważnej krytyki i oceny utworów bułgarskich pisarzy lub prac cudzoziemców, o ile dotyczą Bułgaryi. Czas już, aby i Bułgarowie wyrazili swe przekonanie o obcych utworach, w których o ich ojczyźnie jest

mowa... Słowem, *Periodiczesko Spisanie* otwiera swe szpalty dla artykułów o wszystkich życiowych kwestyach, które się ściągają do przeszłości, teraźniejszości i przyszłości bułgarskiego narodu i kraju".

Jak widzimy, program ten nader rozległy obejmuje: filologię, historyę, geografię, etnografię, nauki przyrodnicze, literaturę ustną i piśmienną — wszystko to zaś ma być opracowanem w duchu jak najbardziej patryotycznym. Rzućmy okiem na treść główniejszych artykułów, zawartych w tem wydawnictwie, aby się przekonać, czy i o ile wypełnia ono zakreślony przez siebie program i jak się wogóle wywiązuje pod względem naukowym ze swego zadania.

Powiedzmy najprzód, że to, co redakcya *Spisania* nazywa pierwszem swem zadaniem, istnieje dotąd tylko w zamiarze. Mamy przed sobą pięć roczników tego wydawnictwa i nie znajdujemy w nich ani jednego artykułu, któryby popularyzował ogólno-ludzką wiedzę a z Bułgaryą nie miał bezpośredniego związku. Nie robimy mu z tego powodu bezwzględnego zarzutu, bo gdyby każdy naród pracował ze szczególną starannością nad zbadaniem tego, co go bliżej otacza, dorzuciłby niejeden szeląg do skarbnicy ogólnej wiedzy; praca taka jednak musi koniecznie zostawać w ścisłym stosunku z ogólnym naukowym i cywilizacyjnym pochodem, jednostronność bowiem i ograniczenie swego widnokręgu do tego jedynie, co najbliżej nas leży, szkodzi prawdziwemu postępowi, lub znacznie go opóźnia. Temu też może należy przypisać, że ogół inteligencyi bułgarskiej nad „głęboko patryotyczne", lecz jednostronne *Periodiczesko Spisanie*, przenosi inne organa prasy, które nie schodząc z narodowego gruntu, zaznajamiają go zarazem z tem, co się dzieje w innych zakątkach cywilizowanego świata.

Jakże wypełnia *Periodiczesko Spisanie* drugą część swego programu? Rozpoczyna ją dział językoznawczy, w którym najgłówniejsze miejsce zajmuje artykuł p. Teodorowa: „Przyczynek do historyi bułgarskiego języka" *(K'm istorija-ta na b'łgarskija jezik)*. Autor kreśli pobieżnie fazy, przez jakie przechodził dzisiejszy język literacki w Bułgaryi. W epoce odrodzenia bułgarskiego piśmiennictwa, to ostatnie miało na swe usługi dwa odrębne języki: słowiańsko-bułgarski i ludowo-bułgarski. Ówcześni pisarze bułgarscy rozdzielili się na dwa stronnictwa. Jedno z nich domagało się używania w piśmiennictwie dawnego słowiańsko-bułgarskiego języka, którego pomniki przechowały się w wielu rękopismach religijnej i historycznej treści, a zarazem głosowało za tem, by wraz z formami gramatycznemi zachować staro-słowiański alfabet. Przywódcami tego stronnictwa i twórcami odpowiednich gramatyk byli między innymi

Chrystaki Pawłowicz i Neofit Rylski. Stronnictwo narodowe pragnęło przeciwnie oprzeć język literacki na narzeczu ludowem; ponieważ jednak posiada ono kilka nieco odrębnych dyalektów, postanowiono więc wybrać z nich najbardziej rozpowszechniony, wzbogacając go wyrażeniami zaczerpniętemi z innych dyalektów i dającemi się najbardziej uzasadnić zapomocą etymologii. Oba stronnictwa utworzyły się przed rokiem 1850, i poczęły toczyć ze sobą walkę. Powoli wszyscy niemal literaci przechylili się na stronę narodowego obozu, szeregi zaś starosłowiańców coraz bardziej przerzedzać się zaczęły. W kilka lat potem wyłoniło się trzecie stronnictwo, przezwane bułgarsko-rosyjskiem. Kierownikiem jego był Wenelin, który jak większa część ówczesnych Bułgarów, kształcił się w zakładach naukowych w Rosyi. Twierdził on, że chociaż język bułgarski musi być opartym na staro-słowiańskim, powinien go jednak zmodyfikować w taki sposób, jak to uczynił język rosyjski, i zachowując własne wyrażenia i zwroty, przyjąć rosyjskie formy gramatyczne. Gramatycy i literaci bułgarscy, jak z rosyjskiego tak i ze staro-słowiańskiego obozu, żądali bezwarunkowo odrzucenia partykuły *t', ta, to, tie*, co dla Bułgarów-patryotów było punktem drażliwym; upatrywali bowiem w tej partykułce, poniekąd słusznie, jednę z głównych cech charakterystycznych ojczystego swego języka. Wreszcie stronnictwo narodowe odniosło stanowcze zwycięstwo: z języka staro-słowiańskiego przechowały się w bułgarskim tylko niektóre formy gramatyczne, przeważnie w czasownikach, z rosyjskiego zaś, jako więcej wyrobionego, przyjęto mnóstwo wyrażeń, bułgaryzując je tylko zapomocą owej rodzimej partykuły. Nadto Bułgarowie, podobnie jak Serbowie, posługują się alfabetem rosyjskim.

Do prac lingwistycznych należy jeszcze krótki artykuł tego samego Teodorowa p. t.: „Niepowodzenie bułgarskiego języka w naszych szkołach“ *(Neuspiech't po b'łgarski jezik w naszy-tie uczyliszcza)*. Praca ta zawiera wiele trafnych uwag co do nauki ojczystego języka w szkole, które z pewnemi zastrzeżeniami nietylko w Bułgaryi zastosowaćby się dały.

Z działem filologicznym łączy się dział ustnej literatury ludowej, czyli tak zwane *Narodni umotworenija*, które się w znacznej części przyczyniły do utworzenia współczesnego bułgarskiego języka. Dział ten obejmuje pieśni, baśnie i przysłowia. Pierwsze, zwykle nierymowane, odznaczają się dziwną śpiewnością i harmonią rytmu tak, że czytając je doznaje się wrażenia, jak gdyby dolatywały do nas dźwięki dalekiej muzyki. Treść ich stanowią najczęściej bohaterskie czyny obroń-

ców ojczyzny, lub dzieje dwojga serc młodych. Znaczna z nich część została już zebraną, główną zaś w tej mierze zasługę położyli bracia Miładinowicze, którzy za przykładem serbskiego poety Wuka Karadzicza, zajęli się pierwsi zbieraniem pieśni swojego ludu. Wydawnictwem tych pieśni zajął się około 1860 r. ks. biskup Strossmayer. Po zgonie braci Miładinowiczów wielu wykształconych Bułgarów wstąpiło w ich ślady, niektóre zaś czasopisma otwarły swe szpalty dla *Narodnich umotworenij*, obejmując w tym zakresie oprócz pieśni, ludowe baśnie i przysłowia. Baśnie bułgarskie, których ulubionymi bohaterami są szatani albo wilki, nacechowane są niekiedy głęboką myślą satyryczną i sporą dozą sarkazmu. Wszystkie te zresztą płody ludowej fantazyi, „kwiaty uczuć i przędza myśli“ — jak je nazywa Mickiewicz — posiadają wielką siłę uczucia i świeżość pomysłów. Świadczą też wymownie o duchowej żywotności narodu, w którym długa niedola i rozmaite nieprzyjazne warunki nie zdołały skrępować polotu wyobraźni ani stępić zmysłu spostrzegawczego. Widać z nich, że lud bułgarski musi być zdolnym, inteligentnym, poczciwym i pełnym zapału.

Od umysłowej twórczości bułgarskiego narodu przejdźmy do jego dziejów i zabytków historycznych. Mamy tu przedewszystkiem do zaznaczenia obszerną, bo od lat kilku drukowaną i dotąd jeszcze nieskończoną pracę Witełowa i Burmowa pod tytułem: „Bułgarsko-grecki spór religijny“ *(B'łgaro-gr'cka-ta c'rkowna rasprja)*. Treść jej stanowi spór pomiędzy Bułgarami a carogrodzkim patryarchatem. Patryarchat, jak wiadomo, dążył do zhelenizowania Bułgarów, wyznaczając dla nich władyków greckiego pochodzenia, którzy w szkołach i cerkwiach kładli nacisk na język grecki, a nadto wyzyskiwali ludność bułgarską pod względem materyalnym. Spór ten toczony z obu stron z niezwykłą zaciętością, zakończył się uznaniem bułgarskiej cerkiewnej hierarchii za niezależną od carogrodzkiego patryarchy i był jednym z głównych objawów wskrzeszenia bułgarskiego narodu z moralnego odrętwienia, w jakiem go długa pogrążyła niewola. Artykuł powyżej wymieniony zawiera nader obszerną charakterystykę tego nieporozumienia, zaznacza wszystkie główniejsze jego fazy i mieści w sobie wiele ciekawych szczegółów o ówczesnych stosunkach chrześcijan pod rządem tureckim. Nie odmawiając autorom wielkiej staranności w zebraniu i ugrupowaniu faktów, musimy im zarzucić nieprzejednaną nienawiść, z jaką się wyrażają o wszystkiem, co katolickie. Szczególnie zawarcie unii z Rzymem przez pewną część Bułgarów i mianowanie Józefa Sokulskiego bułgarskim arcybiskupem, nastręcza p. Burmowowi mnóstwo sposobności

do obrzucania szyderstwem i zgryźliwą ironią tego, co nazywa „katolicką propagandą". Autor niekiedy nie waha się nawet przeinaczać faktów, by je nagiąć do swoich tendencyj i usposobić Bułgarów jak najniekorzystniej względem katolicyzmu. Nie potrzebujemy dowodzić, że tak stronnicze i namiętne traktowanie przedmiotu odbiera tej pracy w znacznej części przedmiotową i naukową wartość.

Do szeregu artykułów treści historycznej zaliczyć jeszcze możemy kilka prac opartych głównie na archeologicznych odkryciach. Do nich należy krótka monografia pod tytułem: „Pochodzenie i historya miasta *Novae*" [Sistowa] *(Proischożdenie-to i istorija-ta na gr. Novae [Swiszczow])*, wyjątek z dzieła skreślonego w języku rumuńskim: *Istoria legiunei I. Italice si a orasului Novae (Sistow)*, przełożony i uzupełniony przez K. Mirskiego. Są to główniejsze rysy z dziejów tego grodu, zaczerpnięte z pism Ptolomeusza, Jornandesa i Ravennata, lub oparte na podstawie zabytków archeologicznych, znalezionych w tem mieście i jego okolicach. Z tego artykułu widzimy, iż Sistowa pochodzi z II. w. po Chrystusie i stanowiła początkowo tak zwane *castra stativa*, to jest stały obóz pierwszego legionu rzymskiego, dokoła którego zaczęły stopniowo grupować się domy kupców i rzemieślników. Oprócz kilku historycznych danych, artykuł ten zapełniają rzymskie napisy, znalezione na ruinach starożytnych budowli.

Nader zajmującemi są dwie króciutkie prace W. D. Stojanowa, skreślone w tymże samym kierunku. W pierwszej z nich pod tytułem: „Świeżo odkryte starożytności w Sofii" *(Nowootkriti starini w Sredec)*, redaktor *Spisania* szkicuje dzieje tej bułgarskiej stolicy, z których kilka ważniejszych szczegółów przytoczymy. Mianowicie Sofia wraz z wielu innemi miastami starożytnej Tracyi, została założoną za panowania cesarza Trajana, i wkrótce stała się najważniejszym grodem w prowincyi rzymskiej *Dacia mediterranea*. Pierwotnie nawet nazywano ją *Serdica*, od trackiego plemienia Sardów, które zamieszkiwało niegdyś jej okolice. O świetności miasta świadczy między innemi ta okoliczność, że w II. i III. w. posiadało ono prawo bicia monety, której około sto sztuk z greckimi i rzymskimi napisami zdołano dotąd wynaleść. Konstantyn Wielki lubił bardzo ten gród i mawiał o nim niekiedy: „Moim Rzymem jest *Serdica*". Przez czas jakiś wahał się nawet, czy ją, czy też Konstantynopol ma wybrać na swą stolicę. W IV. wreszcie wieku ery chrześcijańskiej odbył się w Serdyce sobór kościelny, na którym 356 biskupów potępiło herezyę Aryusza (?). W roku 809 cesarz bułgarski Krum oderwał to miasto od Wschodniego Cesarstwa,

które dopiero w XI. wieku zdołało je odzyskać. Wkrótce jednak, bo już w 1194 r., zdobył je znowu cesarz bułgarski Asen I. i uczynił stolicą swojej monarchii. W r. 1382 Sofia wraz z całą Bułgaryą dostała się w ręce Turków i przez czas długi była rezydencyą tureckich *begler-bejów* czyli namiestników sułtańskich nad całą Turcyą europejską, z wyjątkiem Bośnii i Morei.

Po tym pobieżnym szkicu historycznym p. Stojanów w następnym artykule: „Notatka do historyi Giul-Dżami w Sofii“ *(Bieležka k'm istorija-ta na Giul-Dżami w Sredec)* opisuje szczegółowo zwaliska jednej z najstarożytniejszych świątyń bułgarskiej stolicy. Ciekawą jest historya tego kościoła, który w ciągu wieków najrozmaitszym ulegał losom. Wzniesiony w II. w. przez cesarza Trajana jako świątynia jakiegoś pogańskiego bóstwa, został w IV. stuleciu na rozkaz Konstantyna Wielkiego przerobionym na kościół katolicki pod wezwaniem św. Jerzego. W tym też kościele, jak twierdzą niektórzy, odbył się wielki sobór w roku 343—4. Odtąd nić dziejów tej świątyni nagle się urywa; wiadomem jest tylko, że między rokiem 1512 i 1520 sułtan Selim I., nieubłagany prześladowca chrześcijan, zamienił ją na meczet pod nazwą Giul-Dżami. Obecnie leży ona oddawna w ruinach i może nierychło podniesie się z upadku.

Do prac osnutych na tle historycznem zaliczyć jeszcze można „Materyały do historyi nowożytnej Macedonii“ *(Materiali po nowa-ta istorija na Makedonija)* przez Szopowa — „Materyały do archeologii starożytnej geografii Bułgaryi“ *(Materiali po archeologija-ta i anticzna-ta geografija na B'lgarija)* przez braci Szkorpiłowów, i ustęp z pamiętnika p. Geszowa pod tytułem: „Wspomnienie skazańca“ *(Zapiski na edin osuden)*. Ostatnia ta praca jest jaskrawym i udatnie naszkicowanym obrazkiem stosunków w Bułgaryi w przededniu jej oswobodzenia. Autor opisuje represyjną działalność Turków, którzy przeczuwając, że Bułgarya lada chwila wymknie się im z ręki, wywierali swój gniew na wybitniejszych bułgarskich obywatelach, zapełniając nimi więzienia i skazując na śmierć mnóstwo niewinnych ofiar. Brutalność i okrucieństwo z jednej strony, szlachetna duma i bohaterstwo z drugiej, nadają temu obrazowi szekspirowską niemal grozę.

P. Geszow wzbogacił także inwentarz *Spisania* kilkoma nader cennemi pracami z dziedziny ekonomii politycznej. Stara się w nich dowieść, że to, co uczeni w zachodniej Europie poczytują za najnowsze ekonomiczne wynalazki, jak np. podział pracy, idea stowarzyszeń i t. p., istniało już oddawna u niektórych słowiańskich plemion pod inną wpra-

wdzie nazwą, ale w tym samym kształcie. Stowarzyszeniem, łączącem w sobie wszystkie niemal warunki asocyacyi i systematycznego podziału pracy, jest słowiańska *Zadruga (Hauskommunion)*, tj. ustrój rodzinny, przechowywany jeszcze dotychczas w Chorwacyi, Serbii i Bułgaryi. Przytoczywszy wyrazy uwielbienia dla tego rodzaju spółek, wyjęte z dzieł Laboulaye'a i innych pisarzy, p. Geszow zaznajamia czytelników z samą istotą *Zadrugi*. Jestto stowarzyszenie złożone niekiedy z 40 a nawet więcej osób, częstokroć niepołączonych ze sobą węzłami pokrewieństwa. Na czele jego stoją tak zwani *domakin* i *domakinia*. Urząd pierwszego piastuje zwykle najwykształceńszy i najinteligentniejszy członek *Zadrugi:* on nadaje jej swe nazwisko, reprezentuje ją wobec władz rządowych, rozporządza dochodami, zaopatruje potrzeby swych współczłonków i wyznacza im pracę, której wyłącznie mają się poświęcić; ani on jednak ani żaden inny członek takiego stowarzyszenia nie posiada osobiście nic prócz odzieży; chata zaś, grunta, łąki, trzoda i otrzymywany z nich dochód, a nawet zarobek każdego towarzysza, który się trudni rolnictwem lub rzemiosłem, stanowią własność *Zadrugi*. Gospodarstwo kobiece pozostaje pod kierunkiem *domakini*, najstarszej w *Zadrudze* niewiasty; wszystkie inne towarzyszki winne jej są bezwarunkowe posłuszeństwo. Od niejakiego czasu patryarchalna ta instytucya zaczęła chylić się ku upadkowi; w 1874 r. tworzenie się nowych *Zadrug* zostało w Chorwacyi wzbronionem, w Bułgaryi zaś i Serbii, chociaż rząd nie kładzie tamy ich istnieniu, nowe jednak *Zadrugi* coraz rzadziej się tworzą, dawne zaś coraz częściej się rozprzęgają. Przyczynę tego upatruje autor przedewszystkiem w rozwijaniu się poczucia indywidualności i chęci zysku w pojedyńczych członkach *Zadrugi*, z których niejeden woli działać na własną rękę i dla siebie tylko ciągnąć zysk ze swej pracy; z drugiej zaś strony zastosowując znane przysłowie *cherchez la femme*, p. Geszow przypisuje winę rozprzęgania się tych stowarzyszeń należącym do nich kobietom; skoro bowiem pomiędzy nie wkradnie się niezgoda i nienawiść, natenczas patryarchalna *Zadruga* staje się prawdziwem piekłem. Artykuł swój o *Zadrugach* kończy autor wyliczeniem wszystkich ich stron ujemnych i dodatnich. Do pierwszych zalicza przytłumienie samodzielności i zapobiegliwości w członkach, zmuszonych ulegać rozkazom *domakina* i niepotrzebujących się troszczyć o byt swych rodzin, których potrzeby zaopatrzy *Zadruga:* ponieważ zaś każdy z nich pracuje wyłącznie w jednej tylko gałęzi rolnictwa lub przemysłu, nie jest więc uzdolnionym do innych zajęć, których po rozwiązaniu *Zadrugi* jąćby się może musiał. Ze stron

dodatnich wymienia p. Geszow zastosowanie podziału pracy w rolnictwie; skoro bowiem jeden z członków takiego stowarzyszenia uprawia rolę, drugi pilnuje trzody, trzeci trudni się kupnem i sprzedażą, wówczas każdy może wywiązać się lepiej z włożonego na siebie obowiązku; następnie *Zadruga* zapobiega rozdrabianiu się gruntów i pozwala wprowadzać w gospodarstwie coraz to nowe ulepszenia, jakich pojedyńczy rolnik zastosowaćby nie mógł; nadto zapewniając byt swoim członkom, stawia tamę żebractwu i wielu występkom, wypływającym z nędzy, przyczynia się nawet do rozwoju moralności, oraz do przechowywania i zamiłowania starożytnych tradycyj, będących jedną z zasadniczych podwalin narodowości. Wedle przedstawienia rzeczy p. Geszowa, dodatnie cechy podobnych stowarzyszeń przewyższają znacznie to, coby im można zarzucić.

W kilku następnych artykułach p. Geszow opisuje rozmaite stowarzyszenia przemysłowe, istniejące w Bułgaryi, a między innemi stowarzyszenia ogrodnicze, żniwiarskie i pasterskie. Nader oryginalnem i sympatycznem jest to ostatnie. W miejscu obfitującem w pastwiska i wodę dobrą do picia, wznosi się osada pasterska zwana po bułgarsku *kuszła*. W osadzie tej znajduje się przynajmniej 3000 owiec, należących do kilku lub kilkunastu pasterzy, którzy mieszkają razem, pasą wspólnie trzody, a otrzymanym zyskiem za wełnę i mleko dzielą się stosownie do ilości owiec, jaką każdy posiada. Kierunek spraw takiej osady spoczywa w ręku dwóch zwierzchników: *czorbadżego i kechaji;* pierwszy załatwia zewnętrzne interesa *kuszły* i opłaca od każdej owcy podatek zwany *beglikiem; — kechaja* trudni się całem domowem gospodarstwem i zapewnieniem możliwych wygód swoim towarzyszom. Nadto każda osada ma swego *odadżyję*, którego codziennym obowiązkiem jest przyrządzenie jadła dla wszystkich pasterzy. Skoro jaki podróżny przybędzie do *kuszły*, wówczas *odadżyja* musi go powitać z jak największą gościnnością, uraczyć wszystkiem, co *kuszła* posiada i surowo mu jest wzbronionem przyjąć za to jakiekolwiek wynagrodzenie. Corocznie każdy pasterz może się udać na kilka tygodni do rodzinnej wioski: starsi dla odwiedzenia swych żon i dzieci, młodsi dla zawarcia małżeńskich związków, poczem wszyscy wracają do owiec, stanowiących całe ich mienie. Najwięcej takich osad pasterskich spotyka się w okolicach Kotła.

Co do spółek żniwiarskich, polegają one na tem, że corocznie gromady dziewcząt wiejskich, przeważnie z okolic Tyrnowa i Gabrowa, udają się do Rumunii pod przewodnictwem *dragomanów*. Każdy dra-

goman wiedzie ze sobą od 20—50 dziewcząt do *czyflikczyja* czyli właściciela gruntu, z którym poprzednio już się porozumiał. Za przybyciem do naznaczonego miejsca, *czyflikczyj* wyprawia swym żniwiarkom ucztę: poczem idą w pole, gdzie pracują przez miesiąc, jedząc i śpiąc pod gołem niebem. Przedewszystkiem wybierają zpomiędzy siebie tak zwaną *czakumdżykę*, która wyznacza im zagony *(czakumy)*, przynosi wodę do picia, zwołuje do pracy i jadła i otacza swoją opieką wszystkie młode robotnice. Uciążliwa praca pod palącymi promieniami słońca wyczerpuje siły; to też zdarza się razporaz, że taka gromada żniwiarek czyli *czeta* traci niejednę z towarzyszek. Po ukończeniu żniwa *czyflikczyj* wyprawia znowu dla robotnic biesiadę z tańcami, — poczem wypłaca dragomanowi należną kwotę i dziewczęta wyruszają z powrotem do domu ze swymi przewodnikami. Malowniczym jest widok tego wesołego grona żniwiarek w świątecznych strojach, z wiankami na głowach i pieśnią na ustach. Po powrocie do wsi dragoman dzieli się z niemi zarobkiem: sam bierze po dwie lub trzy liry od każdej żniwiarki, one zaś otrzymują od 150—170 piastrów.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad rozmaitemi stowarzyszeniami w Bułgaryi dlatego, iż rzucają one światło na miejscowe zwyczaje i dają nam poznać pobratymczy naród, który nie mogąc uczestniczyć w postępach czynionych na drodze cywilizacyi przez inne ludy, przechował nieskalanie wiele patryarchalnych niemal instytucyj.

Artykuły opisujące ziemię przez ten lud zamieszkałą, są w *Spisaniu* nader liczne. Wymienimy z nich najprzód parę prac p. Kesiakowa[1], mających pewien związek z dziejami polskiemi. Są to wprawdzie przekłady uzupełnione tylko treściwemi notatkami tłumacza, zaznaczamy je jednak dlatego, iż one jedynie w tem wydawnictwie mówią o Polsce i Polakach. Mianowicie p. Kesiakow przełożył kilka ustępów z „Podróży Oświęcima do Turcyi, Francyi i Włoch“, wydanej przez Klemensa Kanteckiego we Lwowie r. 1875, a której rękopis znajduje się obecnie w Bibliotece Ossolińskich. Zaznaczywszy w kilku słowach, iż autor tego dziennika podróży należał do poselstwa wysłanego w 1636 r. do Turcyi przez króla polskiego, Władysława IV., p. Kesiakow przytacza z tej pracy takie tylko ustępy, w których się mieszczą opisy rozmaitych miejscowości w Turcyi europejskiej. Są one

[1] P. Chrysticz Kesiakow zna dobrze historyę i literaturę polską: kształcił się bowiem we Lwowie, i jak się zdaje, należy do Bułgarów szczerze Polakom sprzyjających.

skreślone pobieżnie, sucho i nie mogą zainteresować czytelnika. Charakterystycznym jest tylko ustęp, dotyczący Bułgarów i ich ówczesnego położenia, pod względem religijnym. Pozwalamy sobie przytoczyć go dosłownie, uwydatnia on bowiem jednę z głównych przyczyn niskiego poziomu oświaty i religijnych wyobrażeń wśród bułgarskiej ludności. „Pazardżyk jak i całe niemal brzegi Dunaju zaludniają Bułgarowie. Naród ten miał kiedyś swoje królestwo i królów, teraz jednak jęczy pod ciężkiem jarzmem tureckiem... Ludność obu płci jest nieokrzesaną w obyczajach, co pochodzi ztąd, że za duchownych swych zwierzchników ma prostych i niewykształconych popów. W tej wsi u miejscowego popa znaleźliśmy Przenajświętszą Eucharystyę już poświęconą, w drewnianem pudełku pod poduszką, na łóżku popa. Widać ztąd, jakiem było poszanowanie dla tego Sakramentu... Dowodem barbarzyństwa tego popa jest jeszcze to, że od chwili swego wyświęcenia, przed laty trzydziestu, ani razu się nie spowiadał, i lud więc zapewne nie bardzo o spowiedź się troszczy". Oto świadectwo bezstronne a wymowne; podobnych zaś świadectw, odnośnie do dzisiejszych stosunków, w samem nawet *Spisaniu* możnaby więcej jeszcze znaleść.

P. Kesiakow przetłumaczył nadto kilka ustępów z dzieła noszącego tytuł: „Poselstwo polskie do Turcyi: Otwinowskiego w 1557 r., Tarnowskiego w 1569 r. i Zborowskiego w 1568 r." i umieścił je w *Spisaniu* pod tytułem: „Dawne podróże po Bułgaryi" *(Stari putuwanija prez B'łgarija).*

Z oryginalnych opisów podróży odznaczają się wielkim dowcipem i barwnem traktowaniem przedmiotu „Szkice z podróży" *(Putni bieleżki)* dra Mołłowa, do Konstantynopola, Chilandaru i Macedonii. Temiż samemi zaletami pochlubić się może artykuł p. Ofejkowa pod tytułem: „Bułgarowie pod murami Carogrodu" *(B'łgare pod stieni-tie na Carigrad),* gdzie autor opisuje swój pobyt wśród bułgarskiej ludności, zamieszkałej obecnie w okolicach Konstantynopola. Przodkowie ich około 1793 r. za panowania sułtana Selima III. przenieśli się w te strony z Kaloferu, Czyrpanu, Koprywczycy i innych miast bułgarskich, aby uniknąć napaści zbójców znanych pod nazwą Kurdżaliów. Zbójcy ci rekrutowali się z wyrzutków tureckiego, albańskiego i bułgarskiego społeczeństwa, palili wsie i miasta, dopuszczali się najwstrętniejszych zbrodni i nieopisaną trwogą napełniali spokojną ludność. Trwoga ta tem bardziej dawała się usprawiedliwić, że ilość zbójców była niemałą, niektóre bowiem bandy liczyły po 25.000 ludzi wyćwiczonych po większej części w sztuce wojennej. P. Ofejków kreśli malownicze obrazki zaczerpnięte

z codziennego życia tych Bułgarów, którzy choć oderwani od ojczystej ziemi i rozproszeni wśród Turków lub Greków, przechowują jednak nieskalanie miłość oddalonej ojczyzny, oraz tradycyą uświęcone zwyczaje.

Zresztą dział etnografii i nauk przyrodniczych wypełniają głównie przekłady z cudzoziemskich pisarzy.

Jedynym powieściopisarzem, który występuje w *Spisaniu* ze swymi utworami, jest p. Weselin. Przyznać należy, iż niewielki wyrządziłby on uszczerbek ojczystemu piśmiennictwu, gdyby płody swej literackiej twórczości nazawsze zachował w tece. Dziwić się doprawdy należy, że tak płytkie pod względem treści a nieudolne pod względem formy utwory, nadające się chyba do jakiegoś popularno-ludowego czasopisma nie najlepszego gatunku, mogły znaleść pomieszczenie w poważnem wydawnictwie, poświęconem inteligentniejszym warstwom społeczeństwa.

Daleko wyżej pod względem artystycznym stoją wyjątki z obszerniejszego poematu p. Michaiłowskiego: *Poema na zło-to* [1], objęte wspólnym tytułem „Ewa". Ładną także jest elegia: „Godzina wieczorna" *(Weczeren czas)*, przypominająca nieco swoim nastrojem *Méditations poétiques* Lamartine'a — oraz parę ulotnych wierszyków innego poety, Fiłowa, nacechowanych prostotą i rzewnością, chociaż zbyt może ponuro charakteryzujących życie.

Wogóle, jakeśmy to wyżej zaznaczyli, *Periodiczesko Spisanie* redagowanem jest w kierunku poważnym, głęboko patryotycznym, chociaż zanadto jednostronnym. Jednostronność ta jednak daje się w części usprawiedliwić szlachetnem uczuciem miłości ojczyzny. Jeżeli nie na wszystkie poglądy, wyrażone w tem wydawnictwie, możnaby się zgodzić, to jednak przyznać należy, iż postawione sobie zadanie poruszania wszystkich kwestyj dotyczących przeszłości, teraźniejszości i przyszłości narodowej, wypełnia ono sumiennie i gorliwie.

Tytus Sopodżko.

[1] O tym utworze mówiliśmy w poprzednim zeszycie (patrz str. 123).

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Zwrot polityki kulturnej w Niemczech. — Wiec związku nauczycieli katolickich w Westfalii. — Ruch katolicki w Austryi. — List Ojca św. do biskupów austryackich. — Nowe ministeryum włoskie wobec Watykanu. — Nowy rycerski zakon.

ZWROT POLITYKI KULTURNEJ W NIEMCZECH.

W Niemczech od kilku ostatnich tygodni ze zmianą ministra kultu nastąpiła równocześnie bardzo znacząca zmiana w usposobieniu rządu do katolików, a przedewszystkiem tych, dla których były na porządku dziennym prawa wyjątkowe. A najpierw bardzo ważnym jest fakt, iż nowy minister kultu, hr. Zedlitz, cofnął nowelę praw szkolnych, przedłożoną przez p. Gosslera obradom parlamentarnym. Krok ten rządu jest bardzo taktownym, tem więcej, jeżeli się zważy, że partya liberalna, dziś jeszcze bardzo silna w parlamencie niemieckim, za tą nowelą przemawiała. Tak więc nowy kulturkampf, zapowiedziany przez p. Gosslera, który mógłby być o wiele szkodliwszym w skutkach od Bismarckowskiego, zawczasu usuniętym został.

W chwili, gdy piszemy, dochodzi nas wieść, która, jeźli się sprawdzi, będzie jednym więcej dowodem pojednawczości dzisiejszego rządu i młodego pruskiego monarchy. W tych dniach miało wyjść rozporządzenie ministeryalne, które wprawdzie nie

odwołuje rozporządzeń językowych z r. 1872, ale o tyle je łagodzi, że istniejący dla nauczycieli zakaz udzielania prywatnie języka polskiego znosi. Wszystkim nauczycielom, którzy wniosą podanie do swej bezpośredniej władzy, ma być pozwolone uczyć dzieci języka polskiego, a nadto za zezwoleniem dozoru szkolnego mogą w tym celu używać lokalu szkolnego. Gdzie zaś nauki religii udzielano obecnie polskim dzieciom w niemieckim języku, tam ma być przywrócony w nauce religii język polski, ażeby łatwiej i skuteczniej dzieci mogły z niej korzystać.

Zanim postanowienia zostały powzięte, już przedtem odczuli potrzebę takiej zmiany sami nawet Niemcy protestanci i niejednokrotnie poruszali ją w dziennikach. Tak dziennik, znany ze swych zasad protestanckich, *Kreuzzeitung*, z początkiem kwietnia omawiając stosunek rządu do poddanych polskiej narodowości, mówi: „Jestto wielką korzyścią dla państwa, że nowy minister wyznań może rozważyć tę kwestyę na podstawie własnych doświadczeń i własnej znajomości kraju; zdaje się nam bowiem, że właśnie w jego wydziale pod jego poprzednikiem zdziałano zawiele przeciwko Polakom. Niejedno i u wielu Niemców nie znalazło aprobaty, np. zniesienie nauki czytania i pisania po polsku w szkołach elementarnych polskich prowincyj, w których nauka religii bywa jeszcze udzielaną w języku polskim. Właśnie to rozporządzenie wydało się ze stanowiska religijnego i konserwatywnego chybionem, ponieważ musi ono przez konsekwencyę doprowadzić do osłabienia nauki religii i do obojętności w życiu religijnem i kościelnem przez to, że dziecko nie umie już czytać swej książki do nabożeństwa i śpiewnika, ani religijnych podręczników w szkole“. Słuszną wkońcu dodaje uwagę, iż „podniesienie nauki religii wzmacnia także najlepiej podwaliny państwa“.

Z prawdziwą radością notujemy te głosy umiarkowanej prasy protestanckiej, podobnie jak to uczyniliśmy w zeszłym miesiącu, mówiąc o artykule „Szlachta i Jezuici“, zamieszczonym w *Deutsches Adelsblatt*, gdyż są widocznym objawem budzenia się nanowo poczucia sprawiedliwości w narodzie niemieckim, zagłuszonego podczas długich lat walki kulturnej.

WIEC ZWIĄZKU NAUCZYCIELI KATOL. W WESTFALII.

Tymczasem katolicy w pracy nie ustają. W Westfalii zaraz po Wielkiejnocy zebrało się na wiec 400 członków związku nauczycieli katolickich do Werl. Zebranie rozpoczęto modlitwą do Ducha św. Zwracamy na to uwagę, bo było to zebranie nauczycieli świeckich, którzy gdzieindziej bywają dosyć oględni w manifestacyach swych uczuć religijnych; lecz bardziej jeszcze chcielibyśmy zwrócić uwagę naszego społeczeństwa na ich uchwałę co do potrzeby szkoły wyznaniowej.

„Zważywszy, — tak opiewa ta uchwała — że szkoła ludowa „głównie wychowaniem dziecka zająć się jest obowiązana, a pra„wdziwe wychowanie na podstawie przez Boga objawionej nauki „wiary i moralności opartem być powinno; zważywszy dalej, że „religijno-moralne wychowanie, jeżeli ma mieć wewnętrzną war„tość, a nie być czysto zewnętrznem, musi koniecznie z zasad „wiary i moralności religijnej samego wychowawcy wypływać, „a zatem musi mieć charakter wyznaniowy; zważywszy nadto, „że wyznaniowe wychowanie nietylko w samych lekcyach religii, „ale w całem działaniu szkoły powinno być przeprowadzonem; „zważywszy także, że zdaniem powag katolickich i protestan„ckich, szkoła symultanna wyradzała i wyradza obojętność reli„gijną i swary wyznaniowe; zważywszy wreszcie, że wartość „szkoły symultannej i z tego względu okazuje się wątpliwą, iż „popierają ją nieprzyjaciele istniejącego porządku państwowego „i społecznego, widząc w szkole symultannej sojuszniczkę, toru„jącą im drogę do przeprowadzenia zamiarów przewrotu: oświad„cza pierwsze prowincyonalne zebranie westfalskich nauczycieli „katolickich, że silnie obstaje przy szkole wyznaniowej, uważając „jej obronę za jedno z najgłówniejszych zadań katolickiego związ„zku nauczycieli".

Minister kultu, telegraficznie zawiadomiony o zebraniu, na którem powyższa uchwała zapadła, jak najuprzejmiej odpowiedział uczestnikom wiecu, a nawet do obrad zachęcił, oświadczając, że one mogą być tylko z chlubą dla nauczycieli, a z pożytkiem dla państwa. Jak wielka to zmiana w krótkim czasie w usposobieniu sfer rządowych względem życia katolickiego

w Niemczech! Widząc, co się tam dzieje, wstyd nam przyznać się, że wśród korzystniejszych okoliczności jeszcze dalecy jesteśmy od tego, ażeby u nas podobnie rozumiano katolickie zasady i podobne uchwalano wnioski.

RUCH KATOLICKI W AUSTRYI. Są jednak i u nas pocieszające objawy. Tak np. we Wiedniu zawiązało się stowarzyszenie, które ma na celu wychowanie katolickich nauczycieli w Austryi. Ze sprawozdania posiedzenia, które odbyło w pierwszych dniach kwietnia b. r. toż stowarzyszenie, dowiadujemy się, że protektorem stowarzyszenia jest arcyksiążę Karol Ludwik, prezesem książę Ernest Windischgrätz, a członków czynnych 2500. Utrzymuje ono własnym kosztem w Strebersdorf zakład, gdzie 120 chłopców kształci się w nauce i cnocie na przyszłych nauczycieli ludowych. Jestto bardzo dobry początek. Miejmy nadzieję, a kto może, przykładajmy do tego rękę, żeby się ten ruch katolickich stowarzyszeń dalej szerzył. Przyczyni się zapewnie do tego przyszły wiec katolików austryackich, który hr. Pergen zapowiedział na rok 1892 do Lincu, upoważniony przez ostatni wiec wiedeński z r. 1889. W każdym razie żywo do tego zachęca Ojciec św. w świeżym liście swoim do biskupów austryackich.

LIST OJCA ŚW. DO BISKUPÓW AUSTRYACKICH. List ten papieski jest niewątpliwie najważniejszym wypadkiem tegorocznym w życiu kościelnem Austryi, a nie bez doniosłości dla jej życia politycznego. Dziwić się więc trzeba, że nasze dzienniki nietylko nie zamieściły go w całości, ale nawet wcale nie zwróciły nań uwagi (jeden tylko *Tygodnik katolicki* krótkie jego streszczenie w swoich łamach zamieścił). Ojciec św. wykazawszy na wstępie, jak zgubny wpływ wieje z wielu dzisiejszych ustaw naszego państwa na rodzinę i szkołę, usuwając z nich wszelki pierwiastek religijny, chwali biskupów za ich wspólny list pasterski wydany z okazyi rozpisania nowych wyborów do rady państwa. Pojedyńczy jednak ten akt nie wystarcza w stosunkach społecznych Austryi. Koniecznem jest coroczne porozumiewanie się wszystkich zebranych biskupów Austryi na wspólnych zebraniach. Jeżeli akcya

ma być skuteczną, to zgoda w działaniu musi być stanowczą, a do niej trudno dojść bez wspólnego wzajemnego porozumienia. Takie wpólne doroczne konferencye biskupów będą miały jeszcze i ten skutek, że dadzą dobry przykład do zwoływania wieców wszystkich katolików w Austryi, a przez to też dadzą inicyatywę do obudzenia żywego ruchu między katolikami. Zresztą — mówi dalej Ojciec św. — niema obawy, ażeby zabrakło przedmiotu do wspólnych obrad. Należałoby obmyśleć środki do utworzenia ściślejszej spójni między tymi, którzy w hierarchii kościelnej wyższe zajmują stanowisko, a rodzinami chrześcijańskiemi, aby te poczuwały się do większej miłości, uszanowania i posłuszeństwa względem swoich pasterzy, aby otwarcie i śmiało umiały wypowiedzieć swe zdanie, oparte na zasadach katolickich, gdy tego okoliczności będą wymagały. Dobrze przygotowane kazania i nauki katechistyczne, a zastosowane w sposobie mówienia do stopnia wykształcenia słuchaczy, zawsze były najsilniejszym orężem w ręku Kościoła; na nie więc Ojciec św. zwraca uwagę biskupów austryackich; następnie, i to najusilniej, na zakładanie stowarzyszeń katolickich dla rozmaitych stanów, płci i wieku, a przedewszystkiem dla młodzieży, aby ją uchronić od zepsucia świata — i na pisma peryodyczne w duchu prawdziwie katolickim. Jedno i drugie jest u nas niesłychanej doniosłości. Co do pierwszego punktu, stoi u nas na przeszkodzie ustawa, odmawiająca młodzieży szkolnej prawa stowarzyszeń. Oczywiście zamiarem prawodawcy było uchronić młodzież od tajnych i zgubnych stowarzyszeń. Ale jeszcze skuteczniej możnaby zapobiec temu złemu, nie przeszkadzając dobremu, i pozwalając młodzieży szkolnej na stowarzyszenia z charakterem religijnym, lub pod opieką Kościoła, a względnie władzy szkolnej. Otóż na wspólnych obradach biskupów wdzięcznym zapewnie byłoby przedmiotem domagać się od rządu odpowiedniej zmiany tej ustawy, w interesie młodzieży szkolnej.

Jeszcze donioślejszego znaczenia jest wezwanie Ojca św. do biskupów, aby zakładali dzienniki katolickie. W Austryi — mówi Leon XIII. — dzienniki przeważnie są w rękach ludzi nieprzychylnych Kościołowi, którzy przeto mają sposobność swe

przewrotne teorye zaszczepiać w społeczeństwie. Koniecznością więc jest zbijać pisma pismami, fałsz wykazywać, zwracać uwagę na jad w nich ukryty, bronić prawdy i cnoty. Wzywa więc Papież biskupów, ażeby ile możności każdy z nich miał przynajmniej jeden w prowincyi dziennik, któryby w zupełności był jednego z nim zdania, i nie przypadkowo i dorywczo, ale dla zasady i ze świadomością umiał i chciał bronić z roztropnością tej sprawy, którą biskup uzna za słuszną. Łatwiej to nastąpi, jeżeli sami duchowni będą taki dziennik wspierać swoją nauką, a dobrzy katolicy, którzy mogą dowolnie rozporządzać znaczniejszym funduszem, zechcą go wspierać materyalnie.

NOWE MINISTERYUM WŁOSKIE WOBEC WATYKANU.

Podobnie jak po upadku Bismarcka musiał dostać dymisyę jego ulubieniec i wykonawca jego zamiarów Gossler, i naraz oczyściła się ciężka atmosfera w całych Niemczech, tak iż nawet Polakom wolno dziś swobodniej oddychać, — tak samo i we Włoszech, gdy już nie stało alianta berlińskiego, upadł Crispi, a z jego upadkiem nastało pod rządami margr. Rudiniego sfolgowanie kulturkampfu włoskiego. A jakkolwiek odrębne są stosunki w obydwu państwach, i nie tak łatwo może przyjść do pojednania między dzisiejszym rządem włoskim a Stolicą św., jak się to dzieje w Niemczech, to jednak dają się już spostrzegać objawy pewnego umiarkowania i liczenia się z władzą papieską. Skrajne dzienniki włoskie: *Capitale*, *Riforma*, *Messaggero*, *Secolo* i t. p. trzymają się zawsze swego stanowiska, raz zajętego: nienawiści wszystkiego, co katolickie: z drugiej strony odzywają się głosy w dziennikach bardziej umiarkowanych za koniecznością zgody z Watykanem w interesie dobrze zrozumianego patryotyzmu. Jeden z przyjaciół dzisiejszego prezesa ministrów, p. Sorel, w *Corriere di Napoli* wcale nie dwuznacznie przedstawia zamiary dzisiejszego rządu włoskiego względem polityki kościelnej. Tłumaczy postępowanie Crispiego nie nienawiścią rządu ku Watykanowi, lecz osobistym antagonizmem dawnego prezesa ministrów, który nie mógł znieść wpływu i przewagi dzisiejszego starca, kierującego sterem Kościoła. Wkońcu sam nawet p. Sorel wyznaje, że Crispi przez swą zaślepioną nie-

nawiść osoby dzisiejszego Papieża zadaleko się posunął i utrudnił rządowi włoskiemu jakiekolwiek pojednanie. Sądzi jednak, że rząd dzisiejszy, chociaż pozytywnie w niczem jeszcze nie okazał przychylności dla Watykanu, to jednak w niczem także nie okazał nienawiści dla najwyższych instytucyj kościelnych, co przecież za dobry objaw poczytać należy.

Jednem słowem, tak w tym dzienniku neapolitańskim, jak w rzymskim *Opinione*, który uchodzi za dziennik półurzędowy, widać, że rząd zaczyna myśleć o odwrocie. Może odczuwa, że w koncercie potrójnego aliansu nie może tworzyć rażącej dysharmonii, kiedy dziś nawet rząd pruski stara się przywrócić wszystkie prawa katolickim poddanym i pragnie jak najlepsze stosunki z Watykanem nawiązać.

Niestety, nierozerwalny sojusz z wrogami religii ciąży kulą u nogi tego państwa i dynastyi Sabaudzkiej. W początkach kwietnia miał się odbyć kongres protestancki w Rzymie. Wprawdzie rząd dzisiejszy okazał tyle taktu, iż nie dozwolił, aby się odbył w stolicy katolickiego świata; dozwolił jednak, iż protestanci zebrali się na wspólne narady do Florencyi. Za ciasno i za zimno było protestantom we własnej ojczyźnie, w Londynie i Berlinie, potrzeba im było święcić tryumfy w kraju, który od dawien dawna nawskróś był katolickim i umiał się przez długie wieki bronić od zarazy reformatorów. Łatwo sobie wyobrazić, jakiej treści były mowy takich pastorów protestanckich, jak Niemca Stoeckera i Włocha Geymonnata. Co tylko można było powiedzieć przeciw katolicyzmowi, niczego nie szczędzono, unosząc się zarazem nad liberalizmem religijnym, jaki panuje w dzisiejszych Włoszech pod błogimi rządami domu Sabaudzkiego. Gdyby się choć było skończyło na tych bluźnierczych okrzykach radości! Ale nadomiar król Humbert uraczył protestancki koncyliabuł telegramem gratulacyjnym, pełnym sympatyi i poważania.

NOWY RYCERSKI ZAKON.

We Francyi dzisiejszej dziwnie obok siebie istnieją dwa prądy wprost przeciwne. Obok gwałtownego i wyrafinowanego prześladowania wszystkiego co katolickie, dawne instytucye rozwijają się, a coraz to nowe przychodzą do życia.

Tak lyońskie Stowarzyszenie rozkrzewienia wiary św. pomimo ciężkich czasów nietylko nie upada, lecz jak się okazuje ze sprawozdania świeżo nam z Lyonu przysłanego, w ubiegłym roku znacznie wzrosło, a na rok przyszły jeszcze lepsze zapowiada owoce, gdyż i Amerykę północną udało się wciągnąć do wspólnej miłosiernej i apostolskiej akcyi. W Paryżu rozkwitają w najlepsze stowarzyszenia żeńskie pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia, mające na celu wychowanie pomocnic misyonarskich, któreby wyłącznie zajmowały się ułatwieniem nawracania niewiast pogańskich. Z początkiem kwietnia b. r. poświęcił uroczyście kardynał Lavigerie zakład w Biskrze, w północnej Afryce, dla nowego rycerskiego zakonu, dla którego jeszcze 15 lutego b. r. otworzył tamże postulat. Nowa ta instytucya przypomina owe średniowieczne rycerskie zakony, które dla obrony chrześcijan powstawały i tak wielkie w swym czasie Kościołowi oddawały usługi. Nowy zakon Braci Saharyjskich, któremu inicyatywę dał kardynał Lavigerie i regułę zakonną spisał, bardzo rozległy ma cel przed sobą i — jeżeli się uda — niepospolitego jest dla przyszłości znaczenia, tak pod względem religijnym, jak humanitarnym.

„Życie Braci Saharyjskich — pisze Prymas afrykański w liście swym z dnia 1 stycznia b. r. — ma ten sam cel najwyższy, co wszystkie zakonne instytucye: żyć po chrześcijańsku, nawet po bohatersku, i dążyć do moralnego udoskonalenia na tym świecie, oraz do wiecznej nagrody na tamtym. Nie są oni jednak powołani do życia wyłącznie poświęconego rozmyślaniu i modlitwie, lecz przez pracę i uczynki miłosierne mają dojść do własnego uświątobliwienia“. Mianowicie zaś zniesienie niewolnictwa mają uważać Bracia Saharyjscy za główny swój obowiązek i właściwą cechę swego powołania. Nie są jednak oni przeznaczeni do zbrojnych wypraw, jak to mylnie dzienniki ogłosiły. Wskutek uchwał kongresu międzynarodowego w Brukseli, mają być osobne wojska zaciężne, które będą urządzały wyprawy w te miejscowości, w których handel i łowy na niewolników dziś się odbywają. Lecz te wojska państw pojedyńczych, lub wspólna jakaś armia afrykańska, która może przyjdzie do skutku, nic nie mają wspólnego z nowo założonym zakonem. Bracia Saharyjscy będą ubo-

cznie zwalczali niewolnictwo przez zakładanie schronisk w oazach Sahary, do których przyjmować będą zbiegłych niewolników lub podróżnych, którzyby inaczej musieli zginąć wśród rozpalonego piasku pustyni. W tym celu mają ci rycerze uczyć się języka arabskiego i innych narzeczy afrykańskich, dla łatwiejszego porozumienia się z przybyłymi. W schroniskach znajdą przybysze przytułek chociażby na całe życie, a zadaniem właśnie Braci Saharyjskich będzie wyszukać dla nich zajęcie i środki utrzymania, lub pielęgnować ich w szpitalu chorych. Zakładanie takich osad w pustyni, zamiana piasków w możliwie urodzajną glebę, jednem słowem wskrzeszenie do życia zamarłej natury w Saharze, nie jest niemożliwem, jak historya starożytna uczy o tych miejscowościach, i jeżeli nie zawiedzie, będzie niepospolitego cywilizacyjnego znaczenia nietylko dla samej Sahary, ale i dla północnego Sudanu, do którego utoruje drogę, gdzie siła życiowa, chociaż bardzo potężna, dotychczas dla reszty świata jest straconą.

Ponieważ tak najrozmaitsze zajęcia będą mieli Bracia Saharyjscy w swoich osadach, kardynał Lavigerie w regułach, które dla nich spisał, dzieli każdą taką osadę składającą się z 50 osób na 4 lub 5 grup, stosownie do zdolności członków zgromadzenia. Jeden oddział będzie infirmarzy, czyli braci szpitalnych, którzy troszczyć się będą o chorych i o wszystko co się dotyczy czystości, higieny, utrzymania sukien i bielizny. Oddział rzemieślników trudnić się będzie budową i naprawą mieszkań i wspólnej warowni. Oddział rolników obejmuje braci trudniących się uprawą roli, dostarczaniem osadzie wody i codziennego pożywienia. Wreszcie oddział strzelców dostarczy zwierzyny właściwej Saharze. Ponieważ takie osady nie będą wolne od zbójeckich napaści Arabów lub dzikich Sudańczyków, przeto Bracia Saharyjscy wszyscy bez wyjątku będą musieli umieć dobrze władać bronią ręczną i palną. W tym celu będą osobne ćwiczenia wojskowe pod dowództwem komendanta załogi, któremu wszyscy tamtejsi mieszkańcy ulegać powinni.

Dla łatwiejszego poznania wewnętrznej organizacyi tego zgromadzenia rycerzy, oto co o nich mówi sam ich założyciel

w tymże liście: „Stowarzyszenie Braci Saharyjskich jest zgromadzeniem zakonnem bez ślubów, ale którego członkowie obiecują publicznie przestrzegać ogólnych przepisów. Powinni oni odbyć postulat trzymiesięczny, podczas którego mogą wystąpić dobrowolnie ze zgromadzenia, lub też przełożeni mogą ich odprawić, jeżeli się nie okażą odpowiednymi dla Stowarzyszenia. Nowicyat trwa zwykle rok. Po tajemnem głosowaniu członków rady Stowarzyszenia, kandydaci składają zobowiązanie na lat 5, iż chcą pracować w swej osadzie. Następnie będą się jeszcze po dwakroć zobowiązywać na takiż sam okres czasu. Po upływie jednego z tych okresów, bracia, którzy nie będą w stanie nadal pracować, mogą pozostać w Zgromadzeniu i będą aż do zgonu bezpłatnie utrzymywani".

Co do duchownego zarządu, to pozostaje on pod kierunkiem algierskich misyonarzy i kanoniczną zwierzchnością wikaryusza apostolskiego Sahary, aż póki jego ustawa nie zostanie zatwierdzoną przez Stolicę apostolską, z wyłączeniem władzy miejscowego biskupa. Oryginalne to zgromadzenie zakonne, o którem na innem miejscu[1] więcej szczegółów zamieściliśmy, w tak wielu obudziło zapał do poświęcenia się Bogu na tej drodze życia, iż w krótkim czasie kilka set osób zjawiło się w Biskrze dla odprawienia nowicyatu. Przyszłość dopiero okaże, czy taki zakon rycerski wśród naszego wieku istnieć i owoce przynosić może. Ale w każdym razie już sam ten pomysł, a jeszcze więcej zapał bohaterski z jakim go przyjęto, jest najlepszym dowodem, iż dawny duch wiary we Francyi jeszcze nie zaginął, i że posiada ona jeszcze dużo pierwiastku, który zdoła odmłodzić zbutwiałe tamtejsze społeczeństwo.

Innego rodzaju a niemniej wymownym tego ducha dowodem jest kongres międzynarodowy naukowy, jaki się świeżo odbył w Paryżu. O nim jednak dopiero w przyszłym miesiącu powiemy.

Ks. Marcin Czerniński.

[1] Zob. *Missye katolickie* z r. 1891, zeszyt z maja, str. 125 i nast.

Irlandya w r. 1891.

List III.

Obiecałem w poprzednim liście określić stanowisko, jakie zajęło w Irlandyi duchowieństwo katolickie wobec rządu, wobec sprawy narodowej i jej powaśnionych dziś z sobą przedstawicieli. Zanim to spełnię, niech mi wolno będzie przytoczyć tu następujący ustęp z listu, który arcybiskup Kwebeku, ks. dr. O'Brien, wystosował do dzienników w Halifax (dnia 3 lutego b. r.), odpowiadając na groźby radykałów kanadyjskich, zapowiadających, że w Rzymie szukać będą obrony przed interwencyą duchowieństwa w sprawach „politycznych" kraju. Słowa arcybiskupie mają swe znaczenie i poza Kanadą, a szczególnie w Irlandyi.

„Nie pragnę bynajmniej, — tak się wyraża arcybiskup Kwebeku — aby Kościół, matka współczesnych królestw, organizator prawodawstwa ucywilizowanej Europy, stał na uboczu i zostawił wolne pole owym politycznym intrygantom, którzyby chcieli, w widokach samolubnych, zrujnować dzieło, którego on jest inicyatorem i nad którem czuwał przez wieki. Kościół niema zamiaru wyrzec się publicznego życia w kraju; nie mamy też powodu obawiać się nastąpienia takiego nieszczęścia. Kościół złamał potęgę tyranów, rozbił gniotący ludzkość gmach imperyalizmu i dał społecznemu postępowi długą pomyślność. Ostatnimi czasy świat był w rękach polityków i politycznych ekonomistów — i pięknie go oni zagospodarowali! *(and a pretty mess they have made of things!):* osobista swoboda skonała lub dogorywa pod wpływem praw, regulujących handel i przemysł; życie domowe zakażone jest instytucyą rozwodu; biednych zmiażdżyła tyrania pieniężna. I w chwili, kiedy straszydło mściwego socyalizmu trwogą napełnia rządzących, Kościół św. przepasuje raz jeszcze biodra swe do walki. Nie umarł on, ani nie leży w śmiertelnych podrygach; jak dawniej, tak i teraz prowadzi on ludzkość do zwycięstwa, przez ruiny politycznych układów podniesie znowu narody do wyższej cywilizacyi. W sercu i w umyśle prawego kapłana ma z pewnością miejsce dumna i serdeczna miłość jego ojczyzny. Gdyby miał być zdrajcą swego kraju i jego potrzeb społecznych — nie mógłby stanąć przy ołtarzu jako szafarz boży..."

Duchowieństwo irlandzkie ma bez wątpienia dzisiaj to samo zadanie społeczno-narodowe, jakie miało w pierwszych wiekach po św.

Patrycyuszu i później w epoce Elżbiety i Cromwella, a w nowszych czasach za brutalnych rządów protestanckiego parlamentu w Dublinie. To jednakże pewna, iż o wiele trudniejszem, delikatniejszem jest to zadanie dzisiaj, aniżeli niem było kiedykolwiek. Z jednej strony rozszerzyło się pole jego działalności koniecznej, bo kraj stracił oddawna swych uprawnionych przewodników w rzeczach tego świata. Kraj niema, nie powiem arystokracyi w ogólnie przyjętem znaczeniu tego wyrazu, lecz warstwy narodowej, któraby górowała kulturnem a zarazem tradycyonalnem i patryotycznem znaczeniem. W Irlandyi widzę trzy odrębne społeczności: Jednę, złożoną blisko z półtora miliona potomków dawnych kolonistów, protestantów, sekciarzy, zajętych handlem i rękodzielnictwem, trochę rolnictwem — społeczność zacięcie lojalną dla Anglii, która ją wzbogaciła i dziś czuwa nad jej dobrobytem. Drugą społeczność tworzą właściciele majątków ziemskich, lordowie pochodzenia brytańskiego i *gentry*, których ogromna większość albo wcale nie zamieszkuje kraju, albo przyznaje się głośno do znamienia: *gente hibernus, natione anglus, anglicanus*. Trzecią społeczność, w liczbie blisko trzech milionów, tworzy lud, tuziemcy, których przodkowie zostali wywłaszczeni przemocą, ścigani nakształt bydląt po czterech kątach wyspy, których wszystkie przewodnie rodziny opuściły kraj przed dwustu laty. Ze świecą dziś szukać w Irlandyi potomka tych „wielkich ojców bezdzietnych".

Jeżeli słusznie rozróżniamy między „narodem" a „ludem", to powiem, że w Irlandyi nie było narodu od ucieczki Jakóba II. Pozostał lud, który o polityce narodowej nie śnił, nie miał o niej pojęcia, gdy jeszcze naród irlandzki miał jakąś politykę. Z ludem pozostali jego kapłani; z ludu wyszli, byli mu jedynem światłem w jego strasznej ciemnocie, którą zgęszczały nad nim rządy dawnej Anglii. Kapłani cierpieli ucisk i prześladowanie, a z nimi i lud. I tak to trwało lat przynajmniej 130, tj. od bitwy nad rzeką Boyne i ucieczki ostatniego Stuarta, aż do r. 1829, czyli do wyzwolenia katolików zpod ustaw wyjątkowych. Irlandczycy wyzwoleni kierowali się w używaniu swych swobód wskazówkami duchowieństwa — bo któżby je mógł zastąpić? Pokolenie z r. 1829, to przecież te same dzieci celtyckie, których bakałarzy ścigano chartami, którym niewolno było umieć czytać i pisać... W ten sposób duchowieństwo, które zachowało lud irlandzki od zagłady fizycznej i duchowej, które go wiodło przez wieki ciemnoty i prześladowania, które go z niebezpieczeństwem życia przygotowało do cywilizacyjnego ocknięcia — to duchowieństwo odziedziczyło

daleko większe i szersze prawa, obowiązki i odpowiedzialności, aniżeliby to miało miejsce w normalnym rozwoju irlandzkiego narodu. Maż ono dziś „stać na uboczu?“

Z drugiej strony wiele jest powodów, które dają temu posłannictwu kapłanów irlandzkich szczególną trudność i delikatność. Widzimy dotąd niejeden ujemny skutek w moralnym ustroju włościaństwa galicyjskiego po jego nagłem politycznem wyzwoleniu. Otóż lud irlandzki otrzymał swe swobody również niespodzianie — a przyszły mu one po daleko czarniejszej nocy, po okrutniejszych i brutalniejszych uciskach, wprawiły go w osłupienie i upojenie — dlatego, że wyzwoliły nawet jego duszę, w której tliło przekleństwo dla anglikańskiego parlamentu. A lud to krewki, pochopny do dobrego, ale też popędliwy, nie ufający obcym, mściwy. Koncesyę Anglii odłączył on zupełnie od jej cywilizacyjnego postępu i od rozwoju humanitarnych idej; widział w nim cofanie się, objaw trwogi, gotowość na wszelkie ofiary, byle zażegnać gniew kraju, który wyciągał już ramiona do Francyi i poczynał wołać o broń do Ameryki. Duchowieństwo stało się — całkiem naturalnie — żywiołem, hamującym wezbrane fale tych prądów, żywiołem konserwatywnym, kształcącym lud dalej, uczącym go, jak miał używać swego odrodzenia się, by go nie nadużyć.

Z powstaniem i rozwojem szkół, do których lud słał swe dzieci tłumnie, rosło nowe pokolenie, materyalnie biedne i nie mające takich widoków w życiu publicznem, jakie snuła wyobraźnia, czytając o mężach historycznych, obcych i własnych; pokolenie, karmione mlekiem, „którem wrogowie się trują“, a patrzące na one dwie odrębne społeczności, które chlubiły się kulturą wieków nieprzerwaną, posiadaniem ziemi zdobytej, hegemonią państwowej religii, opłaconej krwią i potem tuziemców. Młodzież się uczyła, skupiała, radziła; formowała kluby i organizacye; w rodzicielskich chatach i rodzimych osadach zasiewała nowe ziarna, nie zawsze zdrowe, bo czerpane chciwie z wszelakich śpichlerzy w febrycznej epoce Europy. I tu duchowieństwo szanując młodzieńcze zapały, usiłowało gwałtowność ich poskramiać; że mu się to nie udawało zawsze i całkowicie, że nie było ono dość potężnem w latach 1846, 48, 55, 57 i 67 — to niekoniecznie jego wina, jak nie było winą Daniela O'Connella, że jego praca konstytucyjna wyrodziła tu i owdzie zbrodnicze spiski. Darmo! lud nie był i dotąd nie jest „rodzeństwem światła“, a namiętny i poetyczny, z ciemnic przeszłości wywoływał postacie, jakie znał z legend i kronik, z pieśni swych bardów i z zabobonnych przysłowi — postacie kolosalne, których ślady upatry-

wał w czarnych jeziorzyskach Południa, w zalanych jaskiniach nadmorskich, na górze Sara i na pagórku Cashel, na skałach Donegalu i w owych tajemniczych, przedhistorycznych, nieznanego początku okrągłych turmach, gęsto rozsypanych po górach i dolinach kraju. Finn Mac-Oisin miał powstać na czele swych tysięcy *finnianów*, a wielki Brian Boru wyłonić miał swą głowę zpod fal jezior Killarney i dać hasło do „ostatniej wyprawy", i sam św. Patrycyusz miał przywrócić dawne życie dzisiejszym listkom koniczyny... w które był zamienił pierwszych apostołów i wodzów Zielonego Erynu!

W tej poetycznej, a rozognionej i zatrutej jadem wyobraźni irlandzkiego Gaela szukać należy powodu, dla którego Irlandczyk jest wzorowym spiskowcem na swej własnej ziemi.

Duchowieństwo znalazło się rychło wobec nowych zadań. Przejdźmy odrazu do epoki, która w dziejach Irlandyi zachowa zawsze swą nazwę: epoki Parnella. Czytelnik znając już charakter agitacyi dzisiejszej na Zielonej wyspie, przypomni sobie, że wciągnięto lud do niej, wskazując mu najprzód istotne jego krzywdy agrarne. Gdy rząd usunął takowe i nadał krajowi dużo reform, gdy nawet lud zrozumiał, że mu dano wszystko prócz lepszego klimatu i urodzajniejszej gleby, a świadomy tego, począł śledzić ozięble parlamentarną robotę swych posłów — wtedy odezwano się do jego najgorszych instynktów: próżniactwa i pożądania cudzej własności. Powiedziano mu, że kraj, tak upośledzony od przyrody, nie powinien dostarczać złota obcym, którzy je trwonią lub umieszczają w obcych spekulacyach, że *Ireland for the Irish*, ziemia jest własnością swych uprawiaczy, że więc wystarcza płacić czynsz nominalny za prawo tenuty, a prawo to ma być nieodwołalnem. Takie były początki sławnego „planu kampanii".

Czemuż tedy duchowieństwo nie wystąpiło odrazu przeciwko tej agitacyi komunistycznej? Bo jej nie zrozumiało w pierwszej chwili, bo następnie wzdrygało się przed rozdarciem narodu na wrogie obozy i wyglądało bliskiego końca rozpaczliwej taktyki.

Parnell, protestant, ułożywszy w r. 1879 plan agitacyi o samorząd irlandzki i oparłszy ten plan na kwestyi agrarnej, która w owym czasie domagała się słusznych reform — udał się do ks. arcybiskupa Croke, rzucił się przed nim na kolana (w Cashel, listop. 1879) i prosząc go o błogosławieństwo dla swej pracy, oświadczył, że bez pomocy duchowieństwa Irlandya nie zdoła wstąpić na drogę narodowego rozwoju. Arcybiskup Croke, najgorliwszy zpomiędzy patryotów irlandzkich, zbadał szczegółowo ówczesny plan agitacyi, pochwalił jego kierunek

i środki konstytucyjne, udzielił błogosławieństwa kołu poselskiemu. Od onej chwili całe duchowieństwo irlandzkie zaczęło wspierać zabiegi posłów i pierwszą ich organizacyę — ligę narodową. Biskupi i dziekani wynaleźli między młodzieżą zdatnych, choć biednych reprezentantów młodego narodu, Parnell wyszukał innych — i z ich pomocą zawiązał stosunki z Ameryką, z „Domem Gaela".

W kole narodowem było już wtedy kółko, a należeli doń ludzie, którzy pozornie tylko odwołali swą przeszłość feniańską. Więc obok Michała Davitta, byli między innymi William O'Brien, Dillon, Biggar i O'Kelly. Nie wszystkie machinacye kółka znane były kołu. Parnell kierował obydwoma, a rolę swą wykonywał po mistrzowsku: szedł pozornie ręka w rękę z duchowieństwem i takimi posłami, jak MacCarthy, ale równocześnie zachęcał amerykanski *Clan-na-Gael* do podburzania namiętności ludowych przez rozsianych po całym kraju emisaryuszów; czyniąc to, otrzymywał coraz znaczniejsze fundusze. Gdy skutkiem tych podburzań i równoczesnej koercycyi Gladstone'a tworzyły się spiski pokątne, organizacye „chłopców księżycowych", związki tajnych morderców, i kiedy w kraju mordy stały się wypadkami niemal codziennymi — Parnell w izbie niższej opłakiwał „rezultat rządowego ucisku", jednoczył się pozornie z hierarchią przeciwko związkom, organizacyom i mordercom, lecz siedział w Londynie, ani jednym manifestem nie potępił agitacyi zbójców, a w amerykańskich pismach zapewniał, że dziwić się nie można zrozpaczonemu ludowi...

Po niespodzianem „nawróceniu się" p. Gladstone'a do polityki narodowej, uczuwszy potęgę swoją między bezsilnymi obozami angielskimi, Parnell przycichł jeszcze więcej. W Irlandyi ukazywał się rzadko, a rzadziej przemawiał tam publicznie. Dostrzegając konieczne w niedalekiej przyszłości zjednoczenie partyi irlandzkiej ze stronnictwem liberalno-radykalnem, torował sobie drogę do krzesła pierwszego ministra w Dublinie. Wespół z nim większa część narodowego koła przycichła. I tu ośmielę się przypomnieć czytelnikowi, com wyraził w listach poprzednich, że młodzi koledzy Parnella, wybrani w znacznej części przez duchowieństwo w latach 1879—85, sprzykrzyli sobie skromną rolę automatów, zakosztowali wygód życia, zapatrzyli się w londyńskich polityków klubowych, weszli w stosunki z tymi liberalnymi mężami stanu, którzy ich tak niedawno więzili i lżyli w parlamencie — że więc i oni obrali pewne cele osobistej ambicyi. Wiedzieli dobrze, że nawet skrajny radykalizm angielski nie da im takiej swobody parlamentarnej w Irlandyi, jaką obiecywali ludowi i... Ameryce. Ale bądźcobądź wie-

dzieli, że Anglia zgodzi się kiedyś na jakąś autonomię słuszną z rządem narodowym; przeto gotowali się do przyszłych dostojeństw. Obok pracy parlamentarnej, studyowali pandekta, składali egzamina, lub dobijali się tymczasowo o cywilne urzędy. I tak Sullivan, Mahony i Sexton zasiedli kolejno na fotelu lorda-majora w Dublinie; Healy z bratem i z wielką liczbą kolegów zapisał się na wydział prawniczy w Dublinie, złożył wszystkie egzamina i jest niezłym wcale adwokatem. Publicznym dziś jest sekretem, że p. Healy marzy o tece sprawiedliwości w Dublinie, a p. Sullivan o generalnem prokuratorstwie i t. d.

Tymczasem dalszą agitacyę w Irlandyi prowadzili Dillon, O'Brien i Davitt. Korciła ich apatya Parnella i ubytek gorliwości wśród innych kolegów. Oni to wprowadzili „plan kampanii" w życie. Czy domyślali się, do czego ten plan doprowadzi? — nie wiem; to pewna, że duchowieństwo go nie zrozumiało i sądziło, że miał on być tymczasowem narzędziem. Tymczasowość głosili posłowie. Później, widząc stanowczy rozbrat między tym kierunkiem i dekalogiem, biskupi jęli przedkładać posłom osobiście uwagi o niemoralności planu; publicznie jednak nie mieli odwagi wystąpić przeciwko takim bożyszczom ludu, jakimi byli trzej wymienieni organizatorowie; może się bali natychmiastowej scysyi w kole, a może otrzymali przyrzeczenia, iż ten rodzaj agitacyi zostanie porzucony. Takie zdaje się było wrażenie msgra Persico, który z ramienia Ojca św. śledził sprawy irlandzkie przez cały rok 1888. W każdym razie, po zdaniu relacyi przez msgra Persico, Rzym potępił „plan kampanii". Gdy to nastąpiło, hierarchia irlandzka ten wyrok powtórzyła: jedni pasterze uczynili to bardzo oględnie, drudzy dobitnie. Przytoczę z listu pasterskiego ks. arcybiskupa i prymasa Logue (z Tuam) ustęp następujący, według *Catholic Fireside* z 5 czerwca 1889:

„Jeżeli agitacya nie może być podtrzymywana inaczej, jak zapomocą bezbożnych środków: bojkotowania, prześladowania sąsiadów, wzbraniania ludowi aby płacił czynsze, gdy może i pragnie je płacić — to niech wszelka ustanie agitacya, niech kraj cierpi raczej; czekajmy raczej na boże miłosierdzie, aniżelibyśmy mieli sumienia nasze obarczać grzechem i odpowiedzialnością za tyle nędzy, tyle zbrodni".

Niezawodnie też plan kampanii z wszystkiemi swemi nadużyciami byłby już upadł, gdyby nie proces rozwodowy Parnella. Pod tym ciosem widząc rozbite swe ambitne marzenia, Parnell zdarł maskę, natarł całą siłą swej popularności na biskupów i kapłanów, zagrzał Amerykę do ofiarności na cele planu kampanii i... on właśnie odezwał się do najgorszych żywiołów ludowych Opuścili go młodzi koledzy, przekonani je-

szcze, że żaden gabinet angielski z nim się układać nie będzie — potępili go wszyscy biskupi, stanęło przeciw niemu całe duchowieństwo z wyjątkiem kilkunastu demerytów. Ale Parnell zwrócił się do tajnych związków i skrajnych frakcyj, i ztąd jego ogromna potęga: ma za sobą Dillona i O'Briena, ma dolary amerykańskie, ma pałki i noże „ludzi z pagórków" *(Hillside men)*, ma bez wątpienia rzadki talent organizacyjny. To wszystko wabi jednę połowę ludu, zatrważa drugą. Jedni polegają na jego talencie i mierzą go według świetnej jego przeszłości, drudzy garną się doń, by znaleść obronę przeciwko zemście „chłopców" i „ludzi z pagórka".

Duchowieństwo — choć z rozdartem sercem i nie bez wahania — spełniło swój obowiązek: potępiło za niemoralność tak środki walki, jak i męża, który sztandar narodu potężną dłonią dzierżył; świadomem było, że to czyniąc, rozbija, może na długie lata, jedność politycznego działania i poświęca zdobyte korzyści... Ale czy sprawa mogła stać na takim Parnellu — i na takim „planie kampanii"?...

Edmund Naganowski.

List z Wiednia.

Minister „polityki socyalnej". — Powodzenie antysemitów w wyborach. — Znaczenie wyboru księcia Alojzego Liechtensteina. — Pierwsze wystąpienie austryackiej demokracyi socyalnej w agitacyi wyborczej. — Wiedeń rozszerzony i spekulacya budownicza.

Sprawą nad innemi teraz górującą w Wiedniu, jest oczywiście nowy parlament z nowym ministrem skarbu. O składzie obradującej obecnie Izby rozpisały się już wyczerpująco codzienne pisma i wyciągnęły swe prognostyki. Wkrótce czyny rozstrzygną. Z naszej strony dodamy, że skonsolidowanie się klubu Hohenwartha, jako znaczącego członu większości, uważamy za pomyślny rezultat. Tuszymy sobie, że to się przyczyni do podjęcia przez Izby donioślejszych spraw, i częściej sprowadzać będzie debaty do zasad.

Co się tyczy nowego ministra skarbu, p. Steinbacha, już go prasa żydowsko-liberalna zgóry przezwała socyalistą, i rozrzuciła po całej Austryi grozę, że minister knuje socyalistyczne plany. Istotnie przeszłość p. Steinbacha pozwala wnosić, nie że jest socyalistą, ale że sprawą so-

cyalną się troszczy, i to niezupełnie po myśli *Neue Fr. Presse*. Nazwę „ministra polityki socyalnej“ otrzymał on ztąd, że jako urzędnik ministerstwa sprawiedliwości brał bardzo czynny udział w kodyfikacyi i parlamentarnej obronie prawie wszystkich ustaw socyalno-politycznych, które w ostatnich latach przyszły do skutku, tudzież kilku specyalnych ustaw sądowniczych, które w sferę polityki socyalnej sięgają. W sferze także podatkowej dał się poznać wykładem publicznym: „O obowiązkach własności“, w którym wyraźnie przyznał się, że jest zwolennikiem prądu, żądającego od ustawodawstwa podatkowego celów polityczno-społecznych, mianowicie, żeby ono przyczyniało się do niejakiego wyrównania dochodów w społeczeństwie. „Przy zwykłej pracy — powiedział między innemi p. Steinbach — nie zdobywa się wielkiego majątku ani w rolnictwie, ani w rzemiośle, ani przy pracy umysłowej. Zazwyczaj zdobywa się majątki tylko praktycznem wyzyskiwaniem wynalazków, może cudzych, zręcznem skorzystaniem z konjunktur handlowych i szczęśliwą spekulacyą. To też dziś głównie wielcy przemysłowcy, kupcy i spekulanci mają wielkie powodzenie w dorabianiu się majątku; ztąd lud w pierwszym rzędzie od tych gałęzi czynności domaga się spełnienia obowiązków własności. W tem oto trzeba, mojem zdaniem, szukać tajemnicy t. zw. nienawiści ku ruchomemu kapitałowi... Wszędzie dziś obowiązki własności coraz więcej są uznawane: równie w etyce, jak w prawie. Byt organizmu, w którym żyjemy, wymaga zgodnego działania ku wspólnemu celowi, nie zaś walki. Dlatego zbyt daleko posunięty indywidualizm jest rzeczywistem niebezpieczeństwem dla społeczeństwa; czego wynikiem jest walka o byt bez wyboru w środkach. Tego organizm ten nie znosi“.

Jeżeli w rzeczy samej p. Steinbach nosi się z planem reform społecznych, to ma odrazu w swoim wydziale skarbowości wdzięczne do tego pole. Teraźniejszy austryacki system podatkowy odznacza się brutalnym fiskalizmem, raczej stłumiającym zdrowy rozwój ekonomiczny, niż liczącym się z jego warunkami. Działalność byłego ministra skarbu, p. Dunajewskiego, skierowaną była wyłącznie ku uporządkowaniu finansów państwowych, ku usunięciu niedoborów, ku zerwaniu z systemem nieustannego zaciągania długów i wydawania krwawego grosza podatkowego bankierom w formie procentów, a to wszystko obok zaspokajania coraz to nowych, niebywałych wydatków, nieuchronnych na podźwignienie wojskowej potęgi monarchii na lądzie i na morzu. To ciężkie zadanie nie pozwoliło p. Dunajewskiemu myśleć o rozprawieniu się z fiskusem; p. Steinbach objął finanse zupełnie uporządkowane; ma

możność stworzenia racyonalnego systemu podatkowego na zasadach społeczno-ekonomicznych; ma zaś i sposobność po temu, bo reforma podatkowa, radykalna, staje od lat blisko dwudziestu na porządku dziennym i odroczyć się już nie da.

Co się tyczy wyborów do Izby poselskiej, na rezultacie ich ze stanowiska społeczno-politycznego najwybitniejsze piętno wycisnęło znaczące zwycięstwo antysemitów w Wiedniu i w dolno-austryackiej kuryi gmin wiejskich — a w tem znów najwięcej uwagi godnem jest zwycięstwo księcia Alojzego Liechtensteina w świeżo wcielonem do Wiednia okręgu Hernals, nad wiedeńskim demokratą Kronawetterem. Już latem roku zeszłego w wyborach do sejmu dolno-austryackiego antysemici pod nazwą „zjednoczonych chrześcijan“ święcili tryumfy; obecnie powodzenie jest jeszcze większe, mimo że nie zdobyli jednego mandatu wskutek niezgody wewnętrznej. W młodem stronnictwie tem jest wiele rzeczy godnych pożałowania; do nich należy także odstąpienie od nazwy chrześcijańskiej, a powrót do nazwy antysemitów. *Hominem non habent* — można o nich powiedzieć; ale czyż nie otrzymali go może teraz w osobie księcia Liechtensteina? Trochę niejasne zajął on teraz stanowisko względem swego dawnego wniosku o wyznaniowych szkołach ludowych; mimo to nabytek antysemitów w osobie księcia Liechtensteina jest niepospolicie cenny. Może powiedzie się mu wykorzenić ze stronnictwa złe instynkty, zjednać mu szacunek i stanowisko poważne, przetworzyć je na stronnictwo chrześcijańskiej reformy społecznej, mianowicie w duchu ruchliwej i daleko posuniętej inicyatywy, aby przy pomocy różnych innych klubów parlamentarnych, szczególnie Niemców-konserwatystów jak najwięcej przeprowadzić.

Po raz pierwszy i odrazu bardzo ruchliwy udział w agitacyi wyborczej wzięli austryaccy socyalni demokraci. Z bajeczną zręcznością rozrzucili w bardzo krótkim czasie (w Wiedniu w ciągu jednego poranka) wielkie mnóstwo egzemplarzy swej odezwy wyborczej, i to w znacznej części wprost do mieszkań, gdy po domach było jeszcze ruchu bardzo mało. Po dość umiarkowanym wstępie, odezwa wylicza postulaty:

„Demokracya socyalna zmierza do przejścia środków i narzędzi pracy *(Arbeitsmittel)* na własność wspólną ludności pracującej, i ztąd żąda przedewszystkiem: powszechnego, równego, bezpośredniego prawa wyborczego dla miast i wsi, w wyborach do parlamentu, sejmu i rady gminnej; — zniesienia podatków pośrednich, tego ciężaru na artykułach żywności i na mieszkaniach; — a natomiast zaprowadzenia jednego, sprawiedliwego, progresyjnego

podatku dochodowego, któryby dosięgał każdego w miarę dochodów lub majątku jego; — bezwarunkowo wolnego głosu w piśmie i w mowie: — wolnej prasy: — wolnego kolportażu; — wolnego prawa stowarzyszeń i zgromadzeń; — usunięcia wszystkich ustaw wyjątkowych; — bezpłatnej, obowiązkowej i bezwyznaniowej nauki w szkołach ludowych; — dostarczania dzieciom w szkole przyborów naukowych i żywności przez państwo; — bezpłatnej nauki we wszystkich szkołach średnich i wyższych; — bezpłatnego sądownictwa we wszystkich gałęziach i instancyach; — reformy ordynacyi procederowej: — ograniczenia czasu roboczego; — wypoczynku niedzielnego; — zakazu utrzymywania czeladników rzemieślniczych poza własnym warsztatem; — obowiązkowych warsztatów naukowych, utrzymywanych przez państwo; — zatrudniania przez państwo ludzi bez pracy przy robotach publicznych; — rewizyi ustawy o swojszczyźnie: — usunięcia militaryzmu".

Rozumie się, że przy austryackich ordynacyach wyborczych socyalni demokraci nie mogli łudzić się nadzieją zdobycia choćby jednego tylko mandatu[1]: nie bez znaczenia jednak jest, że mimo tychże ordynacyj, tj. mimo wykluczenia klasy robotniczej zpod prawa głosowania, zebrali razem 3326 głosów, między tymi 746 z samego Wiednia, resztę głównie z Czech, Morawy i Ślązka.

Zaledwie minęły wybory do Izby poselskiej, aliści zawrzała w Wiedniu agitacya spowodowana potrzebą nowej rady miejskiej dla Wiednia rozszerzonego. Do tego rozszerzenia Wiednia niechętnie przykładał rękę p. Dunajewski ,już przed kilkoma laty oświadczył, że nie jest ślepym zwolennikiem olbrzymich miast, a tem mniej sztucznego stwarzania ich; gdy jednak nakoniec musiał zgodzić się na to rozszerzenie Wiednia, starał się połączyć to przynajmniej z jakiemś dobrodziejstwem dla ludności mniej zamożnej: po części poznosił, po części poobniżał akcyzę od bardzo licznych przedmiotów użytku powszedniego, a natomiast popodwyższał ją od artykułów zbytkownych. Tym sposobem postarał się o złagodzenie drożyzny w dawnem okoleniu Wiednia i zarazem zapobiegł zbytniemu podrożeniu życia ludności zamieszkującej wolne do-

[1] Faktycznie mieli w Izbie rozwiązanej i mają także w nowej reprezentanta jednego w osobie posła Pernerstorfera, wybranego jednak pod maską nacyonalizmu niemieckiego. Mieli w rozwiązanej Izbie drugiego jeszcze, posła Kronawettera, wybieranego przez długi czas w charakterze demokraty wiedeńskiego, który jednak teraz kandydując w trzech okręgach wiedeńskich, we wszystkich trzech przepadł.

tychczas od akcyzy przedmieścia, wcielone do Wiednia. Czy ziszczą się szczere chęci p. Dunajewskiego, choć ujęte w formę ustawy — to zależeć już będzie od bacznego dopilnowania interesu tych sfer, którym były minister chciał się przysłużyć, przeciw interesowi kapitalistów większych i mniejszych, którzy wszelaką zmianę w cłach, akcyzach i podatkach spożywczych, bez różnicy, czy ona polega na obniżeniu, czy na podwyższeniu, zawsze potrafią wyzyskać na swoją korzyść [1]. Teraźniejsza rada miejska interesu ludności dopilnować nie potrafiła czy nie chciała, uważając odnośne interpelacye i wnioski stronnictwa antysemickiego za warcholskie prowokacye.

Lecz to jeszcze bagatela: są inne, bez porównania większe niebezpieczeństwa, obchodzące szerokie sfery ludności poza Wiedniem. W obrębie rozszerzonego Wiednia znajdują się wielkie kompleksy gruntów niezabudowanych, ogrodów, winnic, łąk i lasów, oprócz których po zrównaniu dzisiejszych wałów i rowów akcyzowych i wybudowaniu na tem miejscu miejskich kolei żelaznych, pozostanie także jeszcze wiele gruntu pod nowe budynki. Wszystko to radby kapitalizm zabudować pałacami, willami i zwykłymi kamienicami w jak najkrótszym czasie, naturalnie za pieniądze nie swoje, lecz nowych towarzystw akcyjnych. Trzeba postrzyc owieczki, które od *krachu* roku 1873 porosły trochę w wełnę, i w tym celu rozbudzić spekulacyę budowniczą. A w nadziei, że ta spekulacya powiedzie się, *gründerowie* przyszłych banków parcelacyjnych, budowniczych, cegielniczych i t. p. ofiarują już bajeczne sumy za owe grunta. Słyszeliśmy o 6000 złr. austr. za mórg dolno-austryackiego pustego pola. To też z łona stronnictwa antysemickiego podnoszą się już głosy przeciw popieraniu rozpasanej spekulacyi, żądające natomiast zwolnienia od podatku tych tylko budynków, które wznoszone będą wyraźnie w celu pomieszczenia warsztatów rękodzielniczych i na mieszkania dla robotników.

Z rozszerzenia Wiednia, a tem więcej z gorączkowej spekulacyi budowniczej, zagraża Wiedniowi samemu i pośrednio całemu państwu także niebezpieczeństwo sztucznego pomnożenia i skoncentrowania proletaryatu. Każde wielkie miasto posiada już dosyć domorosłego tego żywiołu, a nadto ma siłę atrakcyjną, która przyciąga ludność napły-

[1] Tak dzieje się np. z węglem kamiennem, którego ceny bywają podwyższane, choć rząd wymógł na towarzystwie kolei północnej obniżenie opłaty od przewozu — tak dzieje się z cenami mięsa, choć producent polski lub węgierski musi zadowalniać się niską ceną wołów.

wową ze sfer po części zamożnych, przeważnie jednak biednych i wyrobniczych. Siła ta wzrasta progresyjnie, w miarę wzrostu miasta. Co się tyczy Wiednia, to ludność jego nietylko wzrosła znacznie ponad pomnożenie naturalne, lecz i tuż pod bokiem miasta powstały gminy z ludnością 40, 50, 60 aż do 107 tysięcy dusz. Te właśnie gminy już to w całości, już to w części wcielone zostały teraz do Wiednia. W ostatnich dziesięciu latach przybyło Wiedniowi 165.000 dusz [1]; rozumie się, że nie samych tylko milionerów, lecz przeważnie robotników. Jakie tego mogą być skutki, pokazało się to świeżo w jednym, na oko wcale niepozornym przemyśle, w guzikarstwie: wskutek amerykańskiego Mac-Kinley-billu, nakładającego ogromne cło na guziki z perłowej macicy, kilkanaście tysięcy robotników wiedeńskich nagle znalazło się bez chleba; a ponieważ przemysł ten był scentralizowany — bo w Austryi nierozsądnym sposobem wszystko się centralizuje — na przedmieściu Ottakring, przeto między tamtejszymi właścicielami domów, kupcami, szewcami, szynkarzami i t. d. wielkie jest teraz narzekanie. Cóż to dopiero będzie w rozszerzonym Wiedniu, zwłaszcza jeżeli ruch budowlany przybierze cechę febryczną, a potem roboty bądź naturalnym trybem rzeczy, bądź wskutek katastrofy finansowej ustaną?

Nie powiemy już nic o powiększeniu innych niebezpieczeństw: pod względem religijnym, moralnym i sanitarnym; rzeczą to studyów osobnych. Wiele pod tym względem pouczających, a niewesołych danych podaje cenne pismo: *Monatsschrift für christliche Socialreform*. Miesięcznik ten po śmierci założyciela, bar. Vogelsanga, wychodzi dalej staraniem komitetu, złożonego z ludzi poważnego w społeczeństwie lub w nauce stanowiska. Wypadałoby tylko życzyć pismu większego ożywienia i rozszerzenia, przynajmniej w stosunku do ceny, która obecnie jest za wysoka. Wydawcy zwalają to na karb małej liczby abonentów; a prawda, że publiczność czytająca między niemieckimi katolikami austryackimi jest umysłowo gnuśną i ociężałą; tem więcej atoli obowiązkiem pism katolickich jest rozbudzać i ożywiać. Tymczasem widzimy w tych pismach te same wady, co w publiczności. Nietylko politycznym kołom niemieckich katolików austryackich brakuje Windthorstów i Rei-

[1] Centralna komisya statystyczna oblicza napływ ludności w latach 1881—90 do całej Dolnej Austryi na 158.000 dusz; według naszego obrachunku Wiedeń nietylko pochłonął całą tę sumę, lecz nadto przyciągnął do siebie 7000 dusz z samejże Dolnej Austryi.

chenspergerów, ale też prasie ich brak takich redakcyj, jak *Kölnische Volkszeitung* albo *Germania*.

Józef Glinkiewicz.

List z Anglii.

Ditton-Hall, 19 marca 1891.

Wszystko co Polaków dotyczy jest dla mnie jakieś miłe i drogie, a jako misyonarz polskich wychodźców w Anglii, związany jestem z wami serdecznym węzłem braterstwa; to też chciałbym choć w kilku wierszach opisać wam tę piękną uroczystość, która miała miejsce w polskiej mojej kolonii 8 marca b. r.

Co roku, po Zielonych Świątkach, urządzają katolicy z Manchester wspaniały obchód po głównych ulicach miasta. Nie jestto właściwa procesya liturgiczna — te bowiem są jeszcze w Anglii prawem wzbronione — ale jest coś podobnego: głośne i uroczyste wyznanie wiary. Poszczególne okręgi misyjne *(quasi-parochiae)* biorą udział w obchodzie, każda pod swoją chorągwią. W czasie ostatniej takiej procesyi zeszłego roku tutejszy ks. biskup udzielił nawet zebranym tłumom wiernych publicznie pasterskiego błogosławieństwa. W procesyach tych brali udział także i katolicy włoscy przebywający tutaj, występując zawsze *in corpore*. Otóż czegoś podobnego zapragnęli też Polacy, i to nietylko dla zewnętrznej manifestacyi, ale także dlatego, żeby się ściślej połączyć ze sobą, zorganizować, a życie katolickie więcej między sobą rozbudzić. Za pośrednictwem ks. Badeniego otrzymaliśmy kopję najstarszego obrazu św. Kazimierza, patrona Polski i Litwy; sprawiliśmy też chorągiew z wizerunkiem św. Kazimierza, którą trzeba było poświęcić. Biskup z Salford, ks. Herbert Vaughan, z radością przyjął zaproszenie polskiej kolonii, obiecał przybyć osobiście, poświęcić chorągiew i udzielić Sakramentu bierzmowania.

W środku gwarnych ulic miasta, zwanem Angel Meadow, wznosi się niedaleko od St. Chat, mała, uboga kaplica, poświęcona czci św. Wilhelma. Tutaj to zwykli się zbierać Polacy i Litwini, ilekroć do nich przybędę. W Manchester i Salford będzie teraz do 300 Polaków i Litwinów, włączywszy w to nieznaczną garstkę Rusinów i Słowaków. Większość ich mieszka w pobliżu St. William; są to prawie sami robotnicy, którzy ustawicznie muszą pracować, i to ciężko pracować, żeby zarobić na kawałek chleba. Przed przybyciem ks. biskupa urządzi-

łem dla nich trzydniową misyę. Kazałem wybić kartki z programem i porządkiem nabożeństwa: z jednej strony po polsku, z drugiej po litewsku; miewałem do nich nauki o bierzmowaniu i słuchałem spowiedzi.

W niedzielę 8 marca już od rana oglądali i podziwiali Anglicy rozwiniętą polską chorągiew; kosztowała nas przeszło 27 funtów; jest ona 9 ang. stóp wysoka, 6 stóp szeroka. Na jednej stronie widać artystycznie wykonany wizerunek św. Kazimierza z angielskim napisem w otoku: „Św. Kazimierzu, Patronie Polski, módl się za nami!“ — na drugiej polsko-litewski herb: biały orzeł w czerwonem polu i srebrny, opancerzony rycerz Pogoni.

O 6 wieczorem zapełniła się szczelnie kaplica, która 400 osób pomieścić może. Polaków przybyło około 180; trudno, wszyscy przybyć nie mogli. Klęczeli oni w pierwszych ławkach; resztę miejsca zajęli angielscy i irlandcy katolicy, którzy tłoczyli się przemocą, chcąc koniecznie mieć udział „w polskiej uroczystości“. O godz. 7 wjechał biskup na dworzec kolejowy; w 20 minut potem wchodził już do kaplicy z mitrą na głowie, z pastorałem w ręku, błogosławiąc zgromadzonym. Usiadłszy na tronie, w krótkich ale serdecznych wyrazach przemówił, oczywiście po angielsku, do zebranych Polaków. Pierwszy to raz — o ile wiem — biskup katolicki pozdrawiał w Anglii gminę polską. Witał on Polaków i Litwinów jako wiernych swej dyecezyi; mówił, że przybył z radością, aby udzielić im błogosławieństwa; zachęcał ich do różańca, do słuchania w dnie niedzielne mszy św.; polecał wzajemną miłość między Polakami i Litwinami; radził, aby wedle możności starali się o dobre książki w ojczystym języku, i aby czytali je pilnie; wreszcie zachęcał, aby się starali o znajomość języka angielskiego, który znacznie ułatwi im stosunki materyalne i troskę o chleb powszedni, a zarazem umożliwi częstsze i obfitsze korzystanie z pociech religii, o które przy braku polskich księży tak im nieraz trudno. Słowa biskupa, zdanie za zdaniem, tłumaczyłem na litewskie, a potem całą mowę zbiorowo powtórzyłem po polsku; część tylko bowiem naszych polskich kolonistów posiada język angielski. Po przemowie przystąpił ks. biskup do chorągwi, trzymanej przez Polaków, i poświęcił ją. Bierzmowanie otrzymało 13 Polaków i tyluż angielskich i irlandzkich katolików. Po bierzmowaniu wystawienie Najśw. Sakramentu, modlitwy przed Nim naprzemian po polsku i po litewsku, litania Loretańska, wreszcie benedykcya. Z pociechą, z radością, a nawet z dumą, że biskup do nich osobno przyjechał, wrócili polscy koloniści do domów. Myślę, że dzień ten długo i mile przetrwa w ich pamięci.

Dzisiaj na Manchester jadę do Londynu. Trzeba znowu dla Polaków i Litwinów tamtejszych urządzić spowiedź i nabożeństwo. Mam też zamiar polskie i litewskie dzieci zebrać razem do jednej szkółki. Zkąd tylko wezmę dla nich nauczyciela, albo nauczycielkę?

Przedwczoraj spotkałem tu biedną polską rodzinę, która w zeszłym roku wyjechała z Kowna do Brazylii; po trzechmiesięcznem błąkaniu się w nieznanym kraju, przybyła tutaj.

Ks. Józef Lassberg.

Z kresów Ameryki północnej.

List I.

Góry dokoła! Na wschód i zachód pasmo Gór Kaskadowych (Cascade Mountains), na północ wysokie i nagie szczyty tegoż samego gór łańcucha, ale już w British Columbii, w angielskich posiadłościach; na południe przesmyk, przez który widać dolinę rzeki Okanogan, wpadającej o 25 mil angielskich ztąd do potężnej Kolumbii, Renu Ameryki północnej, i największej rzeki w Ameryce na zachód od Gór Skalistych (Rocky Mountains) — a dalej, dalej, jak daleko tylko okiem sięgnąć zdołasz, widać bezleśny step Wielkiego Skrętu Kolumbii (Big-Bend Country).

Oto kraj, w którym przebywam obecnie, oto obraz, jaki mi się przedstawia ze szczytu skał Arlingtońskich, ziemia wymarłego Indyan pokolenia, County Okanogan, ostatnie kresy Stanu Washington w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki. Po dolinach i jarach, wypłukanych przez wody, a po części też wyżłobionych przez lodowce, po których ślady zostały w rumowisku naniesionem i w skałach zdruzgotanych, widać zieleń lasów szpilkowych, zdobiącą także niższych gór wierzchołki i ich skłony. Żółta sosna amerykańska, modrzew i świerk wysmukły, stanowią ich drzewostan. Wielka obfitość modrzewia przypomniała mi żywo lasy Niekłańskie w Opoczyńskiem, w Królestwie Polskiem, bogate w prześliczny ten i cenny materyał leśny; przypomniał mi się też Truskawiec w Galicyi, w którym siedm lat życia przepędziłem, i gdzie piękne te drzewa główną ongi stanowiły ozdobę placu przed łazienkami.

Puszcza tutejsza rzadko gdzie tylko gęstwiną podszyta. Pożary, które w letniej porze okolice te, przez miesiące całe deszczu pozba-

wione, nie rzadko nawiedzają, wytępiły drobniejsze krzewy i młódź leśną; po potokach tylko znajdziesz gąszcz trudny do przebycia. Olcha, osika, wierzba, czarna brzoza z białą i jarzębina, panują tu wszechwładnie. Bujnie rośnie w ich cieniu paproć, podsycana z dołu wilgocią, a warkocze jej, życiem tryskające, w połączeniu z zielonymi splotami chmielu dzikiego i łodygami innych pnących się roślin, czynią ten gąszcz jeszcze trudniejszym do przebycia. Tam to kryją się rozmaite odmiany pięknej konwalii, tam rośnie kwiat wonny tak zwanego baldryanu amerykańskiego *(cypripedium montanum)*, mokassinem albo pantofelkiem damskim przezwany, którego korzeń posiadać ma własność leczenia niektórych chorób nerwowych; tam wreszcie krzewy, jagody rodzące, miejsce dla siebie obrały.

Ziemie te po potokach uważane tu są za najżyźniejsze, plon dają niezawodny, a pod pracowitą ręką osadnika zamieniają się w piękne łąki, łany, ogrody warzywne i owocowe. Ale wiele czasu i trudu wymaga wykarczowanie takiej potoczyzny (porzecza, *bottom lands*). Nad większymi strumieniami i jeziorami wysoko rośnie drzewo bawełniane *(cotton-wood)*. Mianem tem ochrzczono topól amerykańską. Drzewo to włókniste zapomocą stosownego przyrządu maszynowego daje się szarpać i drzeć na delikatne i miękkie włókna, i stanowi surrogat, używany w miejsce wełny lub włosienia do napełniania materaców. Możeby i u nas drzewo topolowe do podobnego użytku się nadało? Szlachetny drzewostan, wyparty przez chwast leśny, pomija łożyska potoków. Drzewa, kępami tylko lub pojedyńczo rozrzucone, w znacznych od siebie rosną odstępach, a ziemia zasłana jest prześlicznym bujnej trawy i roślin strączkowatych kobiercem, tak że lasy te sprawiają raczej wrażenie parku naturalnego aniżeli lesistej krainy. Na pochyłościach gór i po polanach bujnie i wysoko rośnie trawa, a gdzie tylko wilgoci nieco, tam formalne kołyszą się łany rosnącego dziko, niebiesko kwitnącego łubinu. Łubin *(lupinus)* napotykałem tu wszędzie, mniej więcej aż do wysokości 5000 stóp ponad powierzchnią morza. Dochodzi on miejscami aż do wysokości trzech stóp.

Wyżej jeszcze lub gdzie wilgoci dostatecznej niema, tam rośnie bujnie trawa krzaczysta, kępiasta *(bunchgrass)*, którąbym miotełką nazwał, jeźli dotąd w nomenklaturze polskiej botaniki przez naszych uczonych uwzględnioną nie została. Trawa ta niezmiernie jest pożywna, a ziemie, nią porosłe, stanowią wyborne pastwiska dla bydła i koni. Dojrzewa ona na korzeniu, tak jak stoi, i pozostaje sianem aż do wiosny, dopóki nowe, świeże pędy się nie puszczą; bydło naturalnem tem sia-

nem żywi się przez zimę, innego pożywienia nie dostając, chyba z wyjątkiem szczególnie ostrej zimy, gdy śnieg zbyt grubą powłoką ziemię pokryje, lub gdy twarda lodu skorupa na śniegu się utworzy, tak że bydło nie jest w stanie przebić jej racicami i pożywienia sobie w śniegu odgrzebać.

Mając mały zapas siana pod ręką na takie nadzwyczajne, ale zwykle tylko krótkotrwałe niespodzianki zimy, hodowca bydła zresztą o trzody swe nie troszczy się, samym sobie je zostawiając. Trawa jednak tak jest pożywna, że bydło nawet w zimie wygląda doskonale i rychło z wiosną idzie na targ.

Wielka obfitość rozmaitych traw, a mianowicie owego bunczgrasu (miotełki) i roślin strączkowatych, z tych zaś przedewszystkiem owego łubinu, na którego mnogość i bujność w stanie dzikim chciałbym zwrócić uwagę naszych w kraju rolników, umożliwiła wielu t. zw. ranczerom w tej okolicy i sąsiedniej British Columbii hodowlę bydła i koni na wielką skalę.

Łubin *(lupinus)* jest charakterystyczną rośliną Ameryki północnej, a przynajmniej gór Sierra Nevada, w Kalifornii, i dalszego ich w Oregonie, Waszyngtonie i British Columbii przedłużenia, znanego pod nazwą Gór Kaskadowych. Roślina ta trzyma się nietylko górskich okolic, ale i na równiny schodzi. W okolicy San-Francisco, w Kalifornii, kilkanaście odmian jej napotykamy, a *lupinus arboreus*, żółto kwitnący, i w Alasce się znajduje. W Europie łubin w stanie dzikim znachodzić się ma nad morzem Śródziemnem. Zatrzymałem się tak długo nad tą rośliną, bo uderzała mnie jej obfitość i bujność, a widziałem też, że bydło i konie z wielkiem upodobaniem szukały jej między trawą, jako pożywienia. Lekkomyślność pewna, wrodzona Amerykanom, i spuszczanie się na lekką zimę wobec przeciętnej łagodności klimatu w tym kraju, przyprawiła ranczerów ostatniej zimy (z roku 1889 na 1890) na wielkie straty w bydle, którego blisko 70% wyginęło. Zima była wyjątkowo bardzo ostra, a siana na zimę nie przysposobiono. Ceny siana skutkiem tego dochodziły tej zimy do bajecznej wysokości, 100 dolarów za tonnę (= 20 centnarów). Konie tu tanie: za sztukę płacą 10—20 dolarów, a chowem ich trudnią się także Indyanie w pobliskiej indyańskiej reserwacyi. Konie, przez Indyan chowane, kajusami zowią.

Nad potokami — jak to już wyżej wspomniałem — i po skałach, gdzie się wilgoć sączy, rosną maliny, agrest dziki i dzikie porzeczki, dalej jagody, naparstkowemi zwane. Naukową nazwę, *rubus nutcanus*, zawdzięczają podróżnikowi Chamisso, który towarzysząc hr. Kotzebuemu

w podróży do Alaski, gdy ta jeszcze do rosyjskich należała posiadłości, tam z tym krzewem się spotkał. Jagody są kształtu naparstka, wielkości i koloru maliny; liść tego krzewu podobny jest (tylko znacznie większy) do liścia lipowego, krzew zaś sam podobny do krzewu maliny, kwitnie biało, ale kwiat znacznie ma większy od kwiatu malinowego.

Dalej bujnie bardzo rośnie tam krzew, dochodzący 14 stóp wysokości, rodzący czarne jagody, przypominające smakiem swoim, wielkością i kolorem nasze czarne jagody leśne. Jagody te czarne są pożywieniem nietylko kuropatw górskich *(grouse)*, których tu nieprzeliczone mnóstwo, ale i Indyan, którzy przez dwa letnie miesiące prawie wyłącznie temi jagodami się żywią. Chciałbym przy sposobności nasiona tych jagód wraz z innemi przesłać do kraju, bo sądzę, że zaprowadzenie ich byłoby z niejednym pożytkiem połączone. Myślę, że sok, z nich wytłaczany, lub jagody w stanie suszonym, znalazłyby pokup chętny, jako barwnik do zaprawiania win, a prócz tego i owoc z nich nie jest najgorszy. Mnie przynajmniej tutaj w braku innego owocu świeżego, z mlekiem i cukrem jagody te smakowały bardzo i przypominały smakiem zupełnie jagody czarne lasów naszych. Krzew ten wydaje jagód wielką obfitość, a rośnie nietylko w Górach Kaskadowych Waszyngtonu, ale — jak mnie prospektorzy zapewniali — także w Oregonie i w górach Sierra Nevada Kalifornii. Nazywają go *Savesberry*, a naukowa nazwa jego jest *caccinium*.

Dzika wiśnia, odmiana naszej wisłówki, głogi o jagodach czarnej i czerwonej, u nas do żywopłotów używane, jarzębina i bez, uzupełniają szereg krzewów jagododajnych tej okolicy. Rośnie tu też jaśmin dziki *(Philadelphus Lewisii)*, okrywający się w czerwcu i lipcu bukietami białego kwiatu, podobnego zupełnie do jaśminu ogrodów naszych, tylko bezwonnego. *Philadelphus* trzyma się sąsiedztwa krzewów jagodorodnych.

Poziomek tu niewiele, a te, które widziałem i kosztowałem, ani umywały się do naszych jagód polskich; borówek za to wielka tu obfitość.

Zainteresowały mnie niezmiernie drobne, małe krzaczki, rodzące owoc biały, tak podobny kolorem, kształtem, a nawet i smakiem do białej szlachetnej czereśni, że ztąd nazwę czereśni ziemnej *(ground-cherry)* odebrał. Zamiast pestki zawiera w sobie ten owoc dużo drobniutkich ziarneczek, jak agrest. W Dakocie wielkie jego mnóstwo ma się podobno znajdować. Każda czereśnia zawinięta jest w delikatny listek, podobny do cieniutkiej bibułki. Owoc ten podobno używany jest do robienia konserwów. Naukowa nazwa tej rośliny jest *physalis lobata*. Z kwiatów i ziół przedewszystkiem wymienić winienem różę dziką, taką

samą, jak u nas, nieśmiertelniki, konwalii rodzinę, reprezentowaną w kilku odmianach, z tych jedna przypominająca naszą *convallaria sylvestris*; lilię żółtą, którą prospektorzy tygrysową z powodu żółtego jej koloru, turbanową z powodu kształtu jej, podobnego do turbanu, albo wreszcie sułtańską zowią. Z upodobaniem wielkiem kwiat tej lilii do bukietów zbierałem i nim skromne moje mieszkanie zdobiłem. Kwiat tej lilii niewielki, ale przepiękny i o zapachu bardzo miłym, trzymany we wazoniku, aż do dwóch tygodni utrzymać się daje, ale pochłania niezmiernie wiele wody. W lipcu przestają kwitnąć i odtąd widać tylko gałki ich nasienne, sterczące pośród trawy. Dalej idą fiołki niebieskie, żółte i białe, gatunek dzikiego słonecznika i t. zw. winograd oregoński albo waszyngtoński, o liściu twardym, lśniącym, na kończynach opatrzonym drobnymi kolcami, o kwieciu żółtem, kiściastem, przypominającem kwiat berberysu, i o jagodach czarnych, podobnych do gron wina dzikiego, o smaku kwaśno-berberysowym. Korzenia rośliny tej używają do celów leczniczych, a jak się później dowiedziałem, rośliną tą nie jest nic innego, jak rzeczywista odmiana berberysu, a mianowicie *berberis aquifolium*. Dalej przychodzi paproć skalista drobna i paproć zwykła znad brzegów strumieni, dochodząca do ośmiu stóp wysokości, rozmaite gatunki mchów i porostów. Dwa razy tylko nad potokami górskimi spotkałem się z naszą niezapominajką. Widziałem też osty, odmienne od naszych, i krwawnika ziele, takie samo jak u nas. Koniczyny tu nie widziałem.

Takim jest świat roślinny tych okolic, które opisuję; jakie zwierzęta żyją wśród tych pól i lasów, jakie ptaki przelatują owe przestworza — o tem w liście następnym.

Modest Maryański.

Druk ukończony 27 kwietnia 1891 r.

HINDOWIE I ICH RELIGIA.

I. Indye i rasy w nich osiadłe.

Omawialiśmy niedawno na tem miejscu wędrówki i religijne pojęcia szczepu erańskiego, pierwszej wielkiej gałęzi Aryów Wschodnich [1]; druga, podobnież wielka gałąź, podążyła ku południowi, przekroczyła wysoki łańcuch gór i zajęła kraje „Siedmiu rzek“, *Sapta Sindhu*. Eranowie, według właściwości swego języka, wymawiali tę nazwę *Hapta Hindu*. Sindhu, po sanskrycku „rzeka“, stało się imieniem własnem jednej rzeki; w narzeczu erańskiem nazwa ta brzmiała „Hindu“, w ustach Greków przeobraziła się na „Hindus“ albo „Indus“, a ztąd powstała nazwa całego półwyspu i jego mieszkańców [2].

Indye zamknięte są ścisłemi granicami. Wielki półwysep ma kształt trójkąta: podstawa jego zrośnięta z lądem, najeżona niebotycznymi szczytami, znanymi pod nazwą Himalaja, stanowi granicę północną; boki oblane są oceanem [3]; wierzchołek wydłuża się ku południowi i sięga niemal równika. Cały półwysep stanowi jednę jakoby warownię. Olbrzymy pancerne o paszczach armstronga, dostatecznie zabezpieczają wybrzeża; mury himalaj-

[1] Ob. *Przegl. Powsz.*, r. 1890, t. XVIII., str. 69 i nast.

[2] Pisarze dawniejsi zaliczali Arabię i Etyopię do Indyj. Mieszkańców półwyspu nazywano zwyczajnie Indyanami; dla odróżnienia jednak ich od czerwono-skórych tubylców Ameryki, przyjęto ogólnie dla nich nazwę Indów albo Hindów.

[3] Długość brzegów oblanych morzem przenosi 6000 kilometrów.

skie, wysokie na kilka tysięcy metrów, są nieprzebyte; jedyną prawie bramą, a przynajmniej jedynem dotąd miejscem, przez które wkraczały ludy do Indyj, są przesmyki Hindu-Kusz'u, które sobie Kabul i Indus w szczelinach skał wyżłobiły. *Atok,* silna forteca nad Indusem, od wieków przeznaczona do obrony Indyj, choć nigdy z dobrym skutkiem, dziś ma również spełniać to samo zadanie. Tamtędy to Persowie i Mongołowie, Macedończycy i Aryowie, a przedtem zapewne i dawniejsze ludy, przedostawały się na półwysep, choć co prawda nie bez krwawych walk. Hinduskie poezye epiczne zapisały wspomnienia o tych dzikich ludach, z którymi wkraczający Aryowie staczali homeryczne boje. Zdaje się, że te ludy zostały na tem samem miejscu; dzisiejsze pokolenia Afganów, które zamieszkują pas neutralny między Indyami i Afganistanem, od nich zapewne w prostej linii pochodzą [1].

Niema klimatu na kuli ziemskiej, któryby się tu nie odnalazł w stosownej miejscowości. Z jednej strony wieczne śniegi

[1] Ciekawy to zakątek nietylko pod względem historycznym, lecz i etnograficznym również. Jestto jedyny bezpośredni punkt styczny między stojącem dziś wysoko pod względem kultury państwem hinduskiem, a całą Środkową Azyą, która pozostała taką jeszcze, jaką była za czasów Tymura. Na samej już granicy Pendżabu jest miasto *Peszawar,* dokąd napływają karawany z Buchary, Turkestanu, Kokanu, Kaskaru i Afganistanu; rozumie się, że tu znajduje się także fort angielski, a to jeszcze nie ostatni. Właściwy przesmyk zowie się *Kaibar-pass;* okolice jego zamieszkują Afrydzi, których rzemiosłem jest rozbój. Uzbrojeni w długie strzelby, zaczajeni na urwiskach, dniem i nocą wzrok mają wlepiony na wąskie, jedynie możebne ścieżki tych wąwozów. Żadna istota nie ujdzie przed ich okiem, a celna kula strąca każdego śmiałka w urwistą przepaść. Tych Afrydów wybrali sobie Anglicy na żandarmów; obowiązkiem ich nie przepuszczać nikogo, z wyjątkiem karawan, przybywających do Peszawaru i ztamtąd wracających, których nawet mają bronić od napadu innych plemion. Za wierne spełnienie tych powinności każdy Afryd otrzymuje miesięcznie 9 rupi. Od kiedy Afrydzi piastują ten urząd, żadna karawana nie została zrabowaną, nikt obcy nie prześliznął się przez ten przesmyk. Dla zapewnienia jednak sobie wierności Afrydów, wznieśli Anglicy na niedostępnym cyplu obronny zameczek wpobliżu osady zwanej *Dżamrud.* W tem orlem gnieździe przebywa dwóch oficerów i 140 załogi angielskiej. Nikt nie śmie przekroczyć furtki zamkowej. Porozumienie z Peszawarem odbywa się znakami telegraficznymi. Jestto ostatnia, stracona wedeta angielska.

lodowce, okrywające Gaurisankar (który się wznosi do 9000 m. nad poziom morza), tak obniżają ciepłotę, iż żadna istota żyjąca nie może tam przebywać; z drugiej zaś okolice, położone w głębi Pendżabu, w których ciepłomierz wznosi się wyżej aniżeli w samej Saharze. Jednakże, dzięki opatrznościowemu rozkładowi wzgórz w środkowym półwyspie, licznym rzekom przerzynającym go w różnych kierunkach, i długości brzegów oblewanych oceanem, klimat Indyj jest całkiem znośny, nawet dla Europejczyka. W starych swych księgach Hindowie rozróżniali tu sześć pór roku; od tego czasu klimat się nie zmienił w niczem. *Wasanta* albo wiosna, przez marzec i kwiecień, jest porą kwiecia, najprzyjemniejszą z całego roku; maj i czerwiec są latem, *griszma*, „pora potów", czas najgorętszy; następuje *warsza*, pora burz i nawałnic, trwająca przez lipiec i sierpień, w ciągu której roślinność spalona odżywia się; właściwa jesień, *szarad*, we wrześniu i październiku, jest gorąco-wilgotną, porą dojrzewania owoców; dwa ostatnie miesiące naszego roku stanowią zimę, *himanta*, ciepłota jest obniżona, zwłaszcza w nocy; w styczniu i lutym pora *sasi*, panują mgły. Klimat w Indyach jest zwrotnikowy; średnia ciepłota roczna waha się między 19 a 27°, ztąd w dawniejszych czasach zabójczym był dla Europejczyka; dziś, dzięki środkom ostrożności, śmiertelność się zmniejszyła. Największą wagę przywiązują Anglicy do tak zwanych stacyj klimatologicznych, które położone w odpowiednych miejscach górzystych, przywracają zdrowie nadwerężone skwarami równin. Stacye klimatologiczne znajdują się w różnych stronach Indyj; najsłynniejsze z nich są: Simla i Dardżiling. U podnóża południowych stoków Himalajów, między Kaszmirem i Nepalem, powstało w drugiej połowie tego wieku ogromne miasto. Na przestrzeni 10 kilometrów ciągną się pałace, wille, *cottages*, hotele, wszystkie pełne w porze letniej. W Simli rezyduje przez kilka miesięcy wice-król Indyj i wyżsi urzędnicy ze swemi rodzinami; tutaj aklimatyzuje się dziatwa angielska, zrodzona na półwyspie. Klimat Kaszmiru wogóle zbliża się w podobieństwie do klimatu zachodniej Europy; z tego powodu powstała w ostatnich czasach w Anglii myśl zakolonizowania go Europejczykami. W obecnych

stosunkach rzecz ta przedstawia trudności, albowiem Kaszmir jest księstwem lennem i według brzmienia ugody, mała tylko liczba cudzoziemców ma prawo tam zamieszkiwać — lecz to trudność czasowa tylko. Przed kilku dopiero laty przybyła nowa stacya klimatologiczna w angielskim Sikimie. Miejscowość przepyszna. Dardżiling, wzniesiony na 2225 m. nad poziomem morza, posiada powietrze świeże, czyste, zdrowe, widoki zachwycające; połączony dopiero co z całą siecią kolei indyjskich, zaludnia się szybko; gimnazyum, utrzymywane tu przez OO. Jezuitów, jest przepełnione. Są jednakże w Indyach całe okolice, mianowicie moczary porosłe trzciną, tak zabójcze dla Europejczyka, iż przepędzenie jednej nocy pod gołem niebem śmierć niechybną sprowadza.

W parze z klimatem idzie rozumie się roślinność. Stoki Himalajów pokryte są takimi samymi borami iglastymi, jakie się znajdują w północnej Europie. Wyżyny Kaszmiru odpowiadają roślinności środkowej Europy. Właściwa jednak roślinność Indyj jest zwrotnikową. Wybrzeża morskie pokryte są palmami, które stanowią całe bogactwo ludności; dorzecza Gangesu posiadają drogocenne drzewo, zwane od tuziemców *Mhowa* albo *Mahwah*, *bassa latifolia*, którego nietylko owoc jest jadalnym, lecz nadto i liście opadające z korony kwiatu. Dzikie zwierzęta, bydło domowe i ubogie rodziny Hindów przez kilka miesięcy w roku nie znają innego pokarmu. Wewnątrz kraju uprawiają różne gatunki zboża, przedewszystkiem ryż i pszenicę. Całe łany pokryte są krzewami herbaty, kawy, drzewa chinowego, indyga, bawełny i różnych roślin, wydających gumy, wonne olejki i lekarskie ziela.

Wielka jest moc dzikich zwierząt. W górach napotyka się niedźwiedzie, wilki, szakale, dzikie jaki i bawoły; na równinach jelenie, antylopy; wśród moczarów nosorożce. W dawnych czasach słoń przebywał gęsto w całych Indyach, obecnie znajduje się tylko w niektórych okolicach; polowanie na słonia jest wzbronione; sam rząd urządza od czasu do czasu obławy, podczas których chwytają żywe zwierzęta, oswajają je i rozdzielają pomiędzy rożnych Radżów. W niektórych bezdrożnych okolicach jedynie możebna podróż jest na słoniach; w uroczystych pocho-

dach książąt hinduskich słoń jest niezbędnym przedstawicielem; wreszcie bez słonia niemożebne jest polowanie na tygrysa. Tygrys królewski jest największem i najniebezpieczniejszem ze zwierząt drapieżnych w Indyach. Ofiarami tygrysa padają nietylko trzody, ale i ludzie, a skoro zasmakuje on w krwi ludzkiej, przerażające robi spustoszenia. Grant opowiada, iż w przeciągu dwóch lat, 1867 i 1868, w Czanda, jedna tygrysica pożarła 132 osoby. Przerażeni mieszkańcy opuszczają niekiedy swe siedziby, przenoszą się w dalekie kraje, by ujść przed tym strasznym nieprzyjacielem. W niektórych miejscach, przy torach kolei żelaznej, domki budników są ogrodzone ogromną klatką żelazną, dla zabezpieczenia ich od napaści tygrysa.

Niema na świecie drugiego kraju, w którymby gady jadowite były tak rozpowszechnione, jak w Indyach. Corocznie ginie tysiące ludzi od ich ukąszeń. Zpomiędzy tych wężów najsłynniejszym jest Okularnik, *Naga tripudians*, czczony dotąd przez niektóre plemiona, a przez wszystkich Hindów przyjęty jako symbol bóstwa.

Pomijając inne rodzaje zwierząt, które przebywają na półwyspie, wspomnimy jeszcze, że wiele gatunków małp żyje w lasach hinduskich, a nawet całe gromady swobodnie skaczą po dachach domów i świątyń, karmione ręką swych czcicieli.

Półwysep hinduski, który co do swego obszaru równa się trzeciej części Europy, gęsto jest osiedlony; liczba ludności przenosi ćwierć miliarda [1]. Lud ten nie jest jednorodny. W różnych epokach całe pokolenia, należące do wybitnie odmiennych ras, zajmowały kolejno półwysep, wypierały swych poprzedników z zajętych siedzib i sadowiły się na ich miejscu. Zwyciężeni, w części mieszali się ze zwycięzcami, tworząc tym sposobem nową mieszaną rasę, w części zaś wciśnieni w niedostępne góry, bory i sitowia, przechowali główne cechy swej pierwotnej rasowości.

W ten sposób ludy, zamieszkujące Indye, w obecnej dobie

[1] Powierzchnia półwyspu, nie wliczając Burmy, wynosi 3,753.358 kilometrów kwadratowych; przybliżona ludność Indyj około 260 milionów.

przedstawiają zlepek wszystkich niemal ras kuli ziemskiej. Główne działy językowe ułożyły się tu jedne obok drugich: zacząwszy od jednozgłoskowego języka ludów chińskich, a kończąc na bogatym fleksyjnym języku sanskryckim. Wszystkie też typy mają tu swych przedstawicieli: biała rasa aryjska o włosach blond lub kruczych, spadających w pierścienie, obok skośnookiej rasy żółtej i wełniastej rasy murzyńskiej. Typowe jednak postacie są rzadkie, ogół ludności przedstawia rasę mieszaną, w której przeważa jeden typ zasadniczy.

Największe przestrzenie kraju zajmują trzy rasy, nader wybitnemi od siebie przedzielone odmianami, mianowicie: aryjska, drawidyjska i tybetańska.

Rasa aryjska zajmuje północno-zachodnie i środkowe kraje półwyspu — tam jest więcej skupiona; w innych częściach Indyj jest rozrzucona, choć jako rasa panująca, zajmuje wszędzie wybitne stanowisko; składa się ona w części (około 10 milionów) z Aryów czystej krwi, w większej jednak części (około 150 milionów) pochodzi z pomieszania Aryów z tubylcami przed-aryjskimi, którzy przyjęli mowę i zwyczaje Aryów. Ludy tej rasy mają rysy twarzy regularne, cerę śniadą lub ciemno-oliwkową, budowa ich ciała jest dosyć nikła. Aryowie hinduscy mówią językiem tak zwanym *prakrit*. Właściwie „prakrit“ nie jest nazwą poszczególnego języka, lecz jest ogólnem mianem narzeczy, które się utworzyły z sanskrytu. Narzeczy aryjskich w Indyach jest bardzo wiele; główniejsze z nich są: *hindi*, *bengali* i *mahratti*. Język *pali*, którym pisane są księgi buddhyjskie, jest również „prakritem“.

Rasy drawidyjskie zajmują środkowy i południowy półwysep i stanowią dwie odrośle tak różne między sobą, iż niektórzy etnografowie odmawiają im wspólności pochodzenia.

Rasa południowa, czyli właściwi Drawidzi, stanowią $^1/_5$ część ludności Indyj. Drawidzi są silnie zbudowani, barwa ich skóry waha się między ciemno-oliwkową a czarną, rysy twarzy mają regularne. Zachowali swą mowę i zwyczaje, choć w ciągu wieków przyjęli wiele od Aryów. Uważają się za Hindów, wyznają religię hinduską, cywilizacya ich stoi na tym samym poziomie,

co i Aryów hinduskich [1]. Język Drawidów, w zasadzie aglutynacyjny, utracił wiele z pierwotnego kształtu, stał się częściowo fleksyjnym i przybrał nowe źródłosłowy sanskryckie. Cztery głównie rozróżniają języki drawidyjskie: *telugu, tamil, malajam* i *kanari*. Pietnaście milionów Hindów, zajmujących Hajderabad i dorzecza Kistny, mówi językiem telugu. W wieku już XII. epopeje sanskryckie tłumaczone były na telugu; obecnie wiele ksiąg i czasopism wychodzi w tym języku. Język tamul albo tamil jest również bardzo rozpowszechniony i bogate ma piśmiennictwo. Przeszło 15 milionów mieszkańców Madrasu, Tryczynapoli, Pondiszeri i północnego Cejlonu używa tego języka. Piśmiennictwo tamulskie posiada między innemi słynne arcydzieło *Kural*, tłumaczone na języki europejskie [2]. Znakomite utwory w tym języku układał misyonarz O. Beschi. Od lat dziesięciu w uniwersytecie paryskim istnieje katedra tego języka. Piśmiennictwo malajamskie i kanaryjskie jest również dość ożywione.

Oprócz tych głównych grup języka drawidyjskiego, istnieje nadto wiele narzeczy, które się do nich zbliżają i posiadają własne piśmiennictwo. Takie się wyrobiły różnice między temi grupami, iż język każdej z nich jest niezrozumiałym dla innych.

Według badań etnografów, Drawidowie należą do rasy turajskiej, a może kuszyckiej; prawdopodobnie przybyli oni z dzisiejszego Beludżystanu, zastali półwysep osiedlony rasą murzyńską, którą podbili, wyniszczyli, lecz częściowo też wcielili. Kultura Drawidów, przed wtargnięciem jeszcze Aryów, stała dość

---

[1] Pomiędzy plemionami rasy drawidyjskiej, do najwięcej nas obchodzących należą Parawerowie i Sanarowie, mieszkańcy Wybrzeży Rybackich. Pierwsi, nawróceni przez św. Franciszka Ksawerego, pomimo prześladowań, jakich doznawali ze strony różnowierców, szczególnie po zniesieniu zakonu OO. Jezuitów i wydaleniu tychże misyonarzy z Indyj, wytrwali w swej wierze. Sąsiadujący z nimi Sanarowie w znacznej części już się dzisiaj nawrócili. Ciekawe bardzo szczegóły o tych ludach podał O. Coubé T. J. w *Missyach katolickich* z r. 1889.

[2] Graul, *Bibliotheca Tamulica*, t. III.; *Der Kural des Tiruvalluver*, ein gnomisches Gedicht über die drei Strebeziele des Menschen. 1856. — *Kural* jest zbiorem urywkowych pieśni wzniosłego polotu poetycznego (ocenę jego podał Caldwell w *A comparative Grammar of the dravidian languages*, Introd., p. 131) — *Tiru* znaczy święty, *Walluwar* oznacza ogólną nazwę kapłana.

wysoko, czego są dowodem liczne gruzy pomników budowlanych w północnych Indyach, szczególnie zaś olbrzymie i wspaniałe, dotąd istniejące świątynie na południowym półwyspie.

Rasa zajmująca północne i środkowe Indye, używa języka aglutynacyjnego i z tego powodu zaliczaną dawniej bywała do Drawidów; lecz badania antropologiczne i etnograficzne takie znajdują między nimi różnice, iż obecnie nazwano te ludy *Kohlarami,* od nazwy jednego z licznych plemion. Zdaje się prawdopodobnem, że te ludy przybyły niegdyś do Indyj z tychże samych stron co i Drawidowie, lecz w innej, wcześniejszej epoce; nie ulega zaś wątpliwości, że ci przybysze nie przynieśli z sobą wysokiej cywilizacyi, a przynajmniej utracili ją wśród przemagającej liczby tuziemców pierwotnych, z którymi zlali się zupełnie. Kohlarowie do ostatnich prawie czasów żyli odosobnieni; powoli dopiero zaczynają wchodzić w skład Hindów; pomimo tego musieli być liczni, skoro wywarli na zwycięzkich Aryów wpływ, zwłaszcza religijny, jak o tem przekonywują nas ich pojęcia i praktyki religijne, które wśród nich zachowały swoje pierwotne znamiona. Zpomiędzy licznych plemion Kohlarów, wymienimy tu główniejsze.

W górach Windhya żyją plemiona zwane *Bhil* albo *Bhila,* które dotąd są niezależne, żadnych nie mają stosunków z okolicznemi mieszkańcami, i które stoją na tem samem stopniu kultury umysłowej, na jakim je zastali wkraczający do Indyj Aryowie. Płeć ich jest czarna, oprawa oczu wąska, włosy gładkie, kości policzkowe nie są wystające, zarost skąpy, budowa ciała silna. Zajmują się częściowo rolnictwem, głównie jednak rybołowstwem i łowiectwem. Broni używają pierwotnej, mianowicie łuków, oszczepów i włóczni. Są oni waleczni, i dzięki temu nie pozwolili dotąd wtargnąć obcym do swych niedostępnych uroczyszcz. Etnografowie angielscy: Malcolm, Malleson, Graham [1] i inni, są zdania, że ludy te były pramieszkańcami tych krajów w epoce wkroczenia Aryów. Część zwyciężonych Bhilów poddała się zwycięzcom i z nimi się zlała, inni zostali wyparci z żyznych dolin

[1] *Historical Sketch of the Bheel tribes.*

i wtłoczeni w niedostępne góry. Podziśdzień trwa zwyczaj, iż przy koronacyi Radżów radżpuckich, napół dziki Bhil musi brać udział, mianowicie zaś krwią wypuszczoną z własnego palca maści czoło nowego Radży, nadając mu tym sposobem prawo dzierżenia i władania ziemią Bhilów.

Zwyczaje i obyczaje Bhilów nie są dotąd dobrze znane; wiadomem jest jednak, iż wyznają wielobożność, składają ofiary krwawe ze zwierząt, a w swym panteonie posiadają *Hanumana*, bożka-małpę. Ten fakt tłumaczy nam niektóre ciemne strony poematów aryjskich, a zarazem powstanie tego dziwnego kultu wśród Aryów; jak bowiem wiadomo, niektóre sekty hinduskie oddają dziś cześć małpom. Epiczne poezye aryjskie opiewają Hanumana, który na czele pocztu małp miał dopomóc Ramie do odzyskania uwięzionej na Cejlonie Sity [1]. Wobec powyższego faktu, łatwo zrozumieć, że poeci aryjscy używali pewnie wyrazu „małpa“ w znaczeniu przenośnem, miasto „czcicieli małp“, a również jasną jest rzeczą, iż ta część Bhilów, która się złączyła z Aryami, musiała pozostać wierną dawnym swym pojęciom religijnym, a nadto udzieliła je Aryom, którzy w epoce wedyjskiej nie znali całkiem tego kultu.

W Indyach środkowych, mianowicie zaś w tak zwanych „prowincyach środkowych“, których stolicą jest Nagpur, znajduje się wiele pokoleń żyjących w stanie napół dzikim; na szczególniejszą wzmiankę zasługują: Gondowie, Oaranowie, Santalowie i Kohlowie.

Gondowie albo *Khondowie* zaliczani są do szczepu Drawidów północnych. Cera ich jest ciemno-bronzowa, prawie czarna, twarz płaska, nos mały, zaledwie wystający, włosy czarne nie wełniaste, budowa ciała wątła. Krótkie opaski okalające biodra a spadające do kolan, stanowią całe ich okrycie, lecz za to pokrywają swe ciało malowidłami i nakłuwaniami. Głównem ich zajęciem jest

[1] Williams pisze: „Jest rzeczą prawdopodobną, że Hanuman był poetycznem ubóstwieniem wodza tuziemczych plemion, które z powodu cery i dzikich obyczajów miały podobieństwo do małp, a które rzeczywiście musiały się sprzymierzyć z Aryami i dopomogły im do dalszych podbojów“. *Brahm. and Hind.*, p. 22.

łowiectwo. Gondowie wyznają wielobożność, przedewszystkiem zaś oddają cześć bogini *Tari*. Nie ulega wątpliwości, że ta bogini była pierwowzorem dla dzisiejszej bogini hinduskiej *Kali*. Do ostatnich czasów Gondowie składali swej okrutnej bogini ofiary z ludzi. Temi żertwami były zwyczajnie dzieci, czasem doroślejsi; zwano je *meriah*. Po zabiciu ofiary, ćwiartowano ciało i roznoszono drgające jeszcze cząstki po okolicznych osadach, gdzie zakopywano je w progu chat i na polach. W początkach tego wieku, Radża Bastaru na jednę taką żertwę przeznaczył 28 meriah. Rząd angielski przedsięwziął skuteczne środki przeciw temu barbarzyństwu: wojsko wkroczyło do gór Gondów i w ciągu dwu lat, 1859 i 1860, uwolniło 550 meriah przeznaczonych na zagładę.

W Czota Nagpor zamieszkują *Oaranowie*. Językiem swym zbliżeni są do Drawidów, typem jednak przypominają więcej rasę australską. Barwa ich skóry jest czarna, szczęka dolna wystająca, wargi grube, czoło niskie i wąskie, włosy długie, najczęściej kędzierzawe.

Plemię *Santalów* jest dosyć liczne. Język ich w części aglutynacyjny, przybrał wiele źródłosłowów z sanskrytu. Santalowie zachowali stare pojęcia religijne. Oddają cześć słońcu, „wielkiej górze“, cieniom zmarłych przodków. Kilka razy do roku zbierają się około „świętego drzewa“, *Shorea robusta*, składają ofiary krwawe z drobiu i kóz, przyczem wykonują taniec religijny i śpiewają hymny. Charakterystycznem znamieniem ich kultu jest oddawanie czci słoniowi, którego uważają za opiekuna swego plemienia.

Najliczniejszem plemieniem w tych okolicach jest lud, któremu dają nazwę *Kohlów*. Jakkolwiek Kohlowie co do języka i typu spokrewnieni są z ludami wyżej opisanymi, w wybitnych swych rysach zbliżają się bardziej do Drawidów, aniżeli do rasy australskiej. Skóra ich jest więcej bronzowa aniżeli czarna, budowa ciała silna; oddają się rolnictwu, szczególnie zaś zajmują się wyrobami z żelaza. Religia ich jest bardziej naturalistyczna aniżeli wielobożna: czczą góry, rzeki, słońce, duchy przodków; ofiary składają krwawe. Przy każdej osadzie znajduje się „święty

gaj", w którym mieszkają bogowie; wycięcie drzewa z tego gaju poczytuje się za świętokradztwo. Kohlowie uważają się za pramieszkańców tego kraju, wywodzą początek swój od „węża" i dlatego dają sobie przydomek *Nagbhansi*, tj. „zrodzeni z węża". W okolicach Sambalpuru składają corocznie uroczystą ofiarę z jagnięcia ogromnemu wężowi, którego czczą, i który, według nich, jest tak stary jak świat i wraz z nim dopiero ma zginąć [1].

W środkowo-wschodnich prowincyach Indyj, a nawet w Burmie, mieszka wiele rozrzuconych plemion, które nazywają *Naga*. Te plemiona, nie mające dziś żadnej spójni ani łączności, przedzielone innymi ludami, posiadają pewne cechy etnograficzne, które wskazują jedność pochodzenia. Tubylcy radżputańscy przechowują do dziśdnia podanie, według którego mają oni pochodzić z rasy, która dawniej miała kształt pół-człowieka i pół-węża. W Maha-bharacie [2] znajduje się genealogia tego rodu. Kadru, żona starego patryarchy, Kaśyapa, wydała na świat 1000 Nagów, z których następnie rozrodziły się wszystkie pokolenia tejże nazwy. Podanie to ma niezawodnie głębsze znaczenie, o którem pomówimy w swoim czasie; tutaj zauważymy tylko, iż nie ulega wątpliwości, że za dawnych czasów, prawdopodobnie w epoce wkroczenia Aryów do Indyj, w środkowych i w północno-wschodnich stronach półwyspu istniały obszerne i dobrze zorganizowane państwa Nagów: władca Magadhy, współczesny z Buddhą, nazywany był królem Nagów. Rzeczą jest pewną, że nazwa Nagów pochodzi od kultu, oddawanego wężom; *naga* bowiem po sanskrycku oznacza węża. Wszystkie ludy aryjskie brzydziły się wężami i nigdy ich nie czciły; w Indyach — jak to zobaczymy później — kult wężów przedostał się wprawdzie do sekt hinduskich, lecz ubocznie tylko; bezpośredni kult wężów jest tam dotąd jeszcze udziałem ludów nie-aryjskich.

Trzecia z kolei rasa, zamieszkująca Indye, jest tybetańska. Większa część Kaszmiru, niższe odnóża i płaszczyzny południowe Himalajów, dorzecza Brahmaputry, zajmują ludy, które w ró-

---

[1] Reclus, *Nouv. Geogr.*, t. VIII., p. 422.

[2] I., 1500—1505; 5018—5035.

żnych epokach zstąpiły z wyżyn tybetańskich i zachowując częściowo swój typ pierwotny i język jednozgłoskowy, ukształtowały się w oddzielne pokolenia.

Wreszcie szczątki najdawniejszych mieszkańców Indyj przechowały się jeszcze dotąd w niektórych miejscowościach, i one stanowią najniższą warstwę społeczną.

W czasach już historycznych Semici, Mongołowie i Persowie w różnych epokach rozpościerali swe zagony zaborcze po Indyach. Opanowali wiele krajów, orężem zmusili ludność miejscową do przyjęcia Islamu i dotychczas w północno-zachodnich i środkowych krajach utrzymali swe panowanie.

Nakoniec, Anglicy, rozprawiwszy się z Portugalczykami i Francuzami, którym małe tylko zostawili osady na półwyspie, stali się panami Indyj. Królowa angielska jest cesarzową Indyj. Największa część krajów rządzoną jest bezpośrednio przez wicekróla Indyj, mianowanego przez Koronę; w wielu krajach miejscowi królowie i książęta dotąd panują, są jednak hołdownikami Anglii i w sprawach, zwłaszcza natury politycznej, zależni są od tak zwanych rezydentów angielskich.

Pod panowaniem Anglików podniósł się dobrobyt mieszkańców Indyj, kultura umysłowa szerokie przybrała rozmiary.

Ogromne łany pokryte są ryżem, pszenicą, indygo, herbatą, kawą, drzewem chinowem, bawełną, dżutą (konopie arakańskie), makiem; płody te stanowią bogatą gałąź wywozową, a pszenica hinduska wielką rolę odgrywa na targach europejskich. Słynny przemysł domowy Hindów: pajęcze muśliny z Dakki, szale z Kaszmiru, jedwabne hafty, broń cyzelowana, wyroby jubilerskie i snycerskie, poszukiwane są i drogo płacone przez znawców; ogromne fabryki wyrobów bawełnianych, pozakładane w różnych miejscowościach Indyj, szczególnie w Bombaju, obsyłają daleki Wschód Azyi, Oceanię i Afrykę. Obrót handlowy roczny wynosi w Indyach około 150 milionów funt. szterl.

Jakkolwiek Hindowie o wiele wieków wyprzedzili w oświecie innych Aryów, jakkolwiek od niepamiętnych czasów szerzyli ją zapomocą szkół, jednakże to wykształcenie umysłowe zamknięte było w ścisłych granicach kastowości; synowie Brahma-

nów mogli jedynie uczęszczać do szkół utrzymywanych przez Guru; obecnie otworzono mnóstwo szkół, gdzie przyjmowane są dzieci wszystkich kast. Oprócz szkół początkowych, istnieją szkoły średnie i wyższe; te ostatnie w Bombaju, Kalkucie i Madrasie mało się różnią od uniwersytetów angielskich. Ponieważ wolność nauczania nie jest wcale krępowaną w państwie angielskiem, ztąd w szerzeniu wykształcenia młodzieży dzielnie dopomagają różne stowarzyszenia świeckie i religijne; światły rząd nietylko nie stawia temu żadnej tamy, lecz wspiera je swą powagą a nawet zapomogą. Młodzi Hindowie, których tu nazywają *Babu,* po skończeniu nauk i zdaniu odpowiednych egzaminów, zostają adwokatami, lekarzami, inżynierami, lub przyjęci do służby rządowej, zajmują różne stanowiska; większa część urzędników administracyjnych składa się z Hindów. Wogóle ruch umysłowy w Indyach robi znaczne postępy: liczba wychodzących czasopism przenosi 700, z których przeważna część w językach krajowych. W gronie uczonych stowarzyszeń angielskich nierzadko spotkać można Hindów, odznaczających się niepospolitą nauką.

Wogóle rząd Anglików jest dla Indyj pod wieloma względami dobrodziejstwem Opatrzności. Jak wiadomo, Indye od wieków były krajem ciągłych niepokojów, krwawych zamieszek, wojen domowych. Pomijając już peryodyczne najazdy ludów Północy, miejscowi Radżowie wiedzeni dumą i chciwością łupów, bezustannie napadali jeden na drugiego, w pożynę obracali miasta i sioła, mordowali i uprowadzali w jasyr nieszczęsnych mieszkańców. Anglicy położyli koniec tym bezprawiom. Wiek już zgórą, jak zapanował pokój, przedtem nieznany, a dotąd niezamącony i słusznie nazywany *pax britannica.* Nieznaczne miejscowe zajścia, a nawet krótkotrwały choć groźny i morderczy „bunt Cypajów“ (w r. 1857), były tylko sporadycznymi wypadkami. Wiek jeden panowania Anglików w Indyach podniósł ten kraj do niebywałej świetności. Miasta hinduskie: Bombaj, Kalkuta, Madras, idą o lepsze z najokazalszemi i najbogatszemi miastami Anglii. Cały półwysep poprzerzynany jest kolejami żelaznemi: od stóp Himalajów do przylądka Komorynu, od morza Arabskiego do zatoki

Bengalskiej, w przeróżnych kierunkach i odroślach, wiją się czarne wstęgi żelazne, umożebniające szybkie, łatwe i bezpieczne podróżowanie i wymianę płodów. Lasy masztów spokojnie bujają po olbrzymich przystaniach, zbudowanych ogromnym kosztem. Osuszono znaczną część moczarów, które były ogniskiem zabójczych chorób; nawodniono i obrócono w żyzne niwy obszerne pustkowia; zalesiono przetrzebione stoki gór i wydmy piasczyste, przedewszystkiem zaś zaprowadzono ład w zarządzie wewnętrznym i ścisły wymiar sprawiedliwości, a tem samem zapewniono mieszkańcom bezpieczeństwo osób i mienia. Wszyscy poważni cudzoziemcy, którzy zwiedzali Indye, stwierdzają te fakta i podziwiają rozumną, łagodną a przytem sprężystą działalność Anglików [1].

Przytoczymy tu bezstronne słowa znakomitego pod każdym względem męża, barona Hübnera: „Co się tyczy dobrobytu, Indye nie stały nigdy tak świetnie jak dzisiaj. Lud przyzwoicie odziany, sioła ich i domki schludne, pola dobrze uprawne. Zachowanie się ludu nie jest całkiem niewolnicze: w stosunkach z Anglikami panuje otwartość i swoboda, której napróżnoby szukano w innych krajach Wschodu... Należy przyznać, że dzisiejsze Indye brytańskie są jedynym przykładem w historyi świata. Cóż tam widzimy? Miasto wojen peryodycznych, a raczej nieustannych, w całem państwie zapanował niewzruszony pokój; miasto zdzierstw chciwych władców, nie przebierających w środkach wyduszenia grosza — małe podatki, daleko mniejsze od podatków nakładanych w księstwach lenniczych; samowolę zastąpiła sprawiedliwość, wszystkim zarówno wymierzana; dawniejsze sądy, których przedajność weszła była w przysłowie, obsadzone są urzędnikami nieposzlakowanej prawości; niema śladu dawniejszych szajek zbójeckich; zupełne bezpieczeństwo w miastach i wioskach, na głównych i przybocznych drogach; okrutne do niedawna zwyczaje ustąpiły miejsca łagodnym; istnieje zu-

[1] Pomiędzy tymi świadkami są i Francuzi: Barthélemy Saint-Hilaire, Anatol i Paweł Leroy-Beaulieu, Darmesteter, którzy pomimo uprzedzenia i szowinizmu, sobie właściwego, oddają sprawiedliwość Anglikom.

pełna tolerancya religijna [1], choć z całą stanowczością zniesiono niektóre dawniejsze obrzędy niemoralne; głód, który niegdyś dziesiątkował peryodycznie całe kraje, dzięki kolejom żelaznym daleko rzadsze pochłania dziś ofiary. Któż zdziałał wszystkie te cuda? Oto mądrość i wytrwałość kilku mężów stanu, odwaga i karność armii złożonej z niewielkiej liczby Anglików [2], pod dowództwem bohaterów; nakoniec, a nawet przedewszystkiem, poświęcenie, roztropność, odwaga, wytrwałość, zdolność w sojuszu z nieposzlakowaną prawością małego pocztu urzędników, którzy kierują nawą państwa hinduskiego" [3].

Takie jest główne tło obrazu kraju i ludów zamieszkujących wielki półwysep hinduski. Wśród tego tłumu 260 milionowego, należącego do wszystkich ras i mówiącego 243 językami, największa jego część wyznaje religię, której powszechnie, choć niewłaściwie, dają miano brahmanizmu. Ten jedyny wspólny węzeł, jakkolwiek jest luźny, — brahmanizm bowiem rozpadł się na wielką liczbę sekt — jednakże w istocie swej jest uzasadniony, gdyż wszystkie sekty powołują się na „święte księgi" i ztamtąd wywodzą swój początek. Ponieważ zbadanie pojęć religijnych Hindów jest zadaniem niniejszej pracy, musimy przeto zapoznać się przedewszystkiem ze źródłem, z którego je czerpią, a zatem ze starem piśmiennictwem Hindów.

Ks. W. Zaborski.

---

[1] Baron Hübner w innem miejscu swego dzieła pisze: „Co się tyczy tolerancyi religijnej, rząd cesarzowej Indyj, wszyscy wyżsi i niżsi urzędnicy, spełniają to zadanie w pełnem jego znaczeniu, z całą szlachetnością, bez najmniejszej stronniczości. Stwierdzam tę rzecz oparty na świadectwie wszystkich biskupów, wikaryuszów apostolskich, proboszczów i misyonarzy katolickich, których miałem sposobność spotykać w rozmaitych częściach kraju". *A travers l'Empire Britanique,* 1886, vol. II., p. 263.

[2] Według ostatnich danych, jakie podaje Dilke w swem dziele: *Problems of Greater Britain* (London 1890) — znajduje się w Indyach 90.000 Anglików, z tych 56.000 wojskowych a 34.000 cywilnych, licząc w to żony i dzieci; ztąd urzędujących Anglików liczba nie przenosi 17.000.

[3] *A travers l'Empire Britanique,* 1886, vol. II., p. 267 i nast.

APOSTOŁ TRZEŹWOŚCI

FATHER MATHEW.

Jeźli w średnich wiekach życie duszy, życie wiary splatało się nierozerwalnie z powszedniością codziennych zajęć, trosk i obowiązków, a religia stanowiła przewodnie tętno ludzkich przeznaczeń i kolei — dzisiejsze kierunki zaiste do wręcz przeciwnych zmierzają celów, szukając przedewszystkiem rozwodu między wiedzą a wiarą, ciekawościami rozumu a instynktami serca, niebem a ziemią, doczesnymi zabiegami a nieśmiertelnemi nadziejami. Pozornie bezbożność olbrzymie święci tryumfy i postępy: prawodawstwo i wychowanie publiczne, rządy i szkoły podają sobie rękę, aby śpiesznie dokonać dzieła odchrześcijanienia ludzkiej społeczności, piętrzą się fale niewiary, aby uderzać o brzegi wszystkich warowni ducha i spłukiwać z dusz piętno chrześcijańskie. Robota postępuje raźno naprzód, burząc i niszcząc, co się da. A jednak podjęte zadanie nie posuwa się naprzód, nie odejmuje światu ni ludzkości owej cechy, przed dziewiętnastu wiekami doń przyległej. Po dawnemu atmosfera chrześcijańska nas otacza, chrześcijańskie instynkty w nas się budzą, chrześcijańskie tradycye normują te nawet życia, które od chrześcijańskiej praktyki odbiegły. Uwydatnia się to mianowicie z powodu wracających corocznie świąt Bożego Narodzenia. Darmo świat przeczy i wątpi i bluźni i buntuje się pychą; owa niezmierna radość, która niegdyś trysnęła z szopki betleemskiej, aby całą ogarnąć ziemię, podziśdzień drga w powietrzu, udziela się poko-

jem ludziom dobrej woli, przynosi z sobą pewne peryodyczne uweselenie, pokrzepienie i rozgrzanie. Biada temu, który w onych dniach nie doznał żadnego rozradowania i pociechy! Wszakże nawet zewnętrznie, wszędzie wyjątkowe znaczy się o tej porze wesele, jak gdyby nastąpiła dla całej ludzkości chwila wytchnienia, jak gdyby jakaś przedziwna prostota spływała w pełne rozterki myśli, a słodkie ukojenie i uciszenie następowało w duszach i życiach starganych...

Świąteczny nastrój uderza mianowicie w większych ogniskach i zbiorowiskach ludzi, a stary nasz Kraków pod tym względem więcej od innych miejscowości zachowuje dawny obyczaj i znamię. Ponurość krajobrazu zimowego naraz cudownej ulega przemianie: biały całun śniegu umaja się zielonością choinek, z okien jasne biją światła, z kościołów płyną dźwięki kolęd, nad miastem unosi się chór dzwonów, zwiastujących Emanuela... Nigdy może owa właściwość świąteczna radosnych uroczystości do tyla mnie nie uderzyła, ile właśnie w tym roku, gdy w samą wigilię, przed tradycyjną wieczerzą, wypadło mi przejść głównemi ulicami i rynkami Jagiellońskiej stolicy. Już wczesny mrok zapadał — jeszcze chwila, a gwiazdka zabłyśnie, dając hasło rodzinnym zebraniom. Kończył się ruch uliczny, każdy wracał do domu na świąteczne odpocznienie. Natrętna nędza, ta plaga naszego miasta, zniknęła, zaklęta może czarodziejską różdżką miłosierdzia lub poprostu wycofana ze zwykłych posterunków wcześniejszym powrotem do swych ubogich przytułków. Widniał dokoła jakiś wesoły pośpiech: tu mignęła się sługa z rumianą struclą, tam zapóźniony urzędnik niósł tajemnicze zawiniątko, może gwiazdkową dla dzieci niespodziankę; znać było, iż ci wszyscy ludzie gdzieś wracają, gdzieś śpieszą, że im pilno zasiąść przy rodzinnym stole i rozłamać się z najbliższymi tajemniczym opłatkiem... Wśród rosnącego zmroku i ubiegającej szybko fali przechodniów, nagle usłyszałem za sobą cichy, lecz tak rozdzierający płacz i skargę, że przystanąłem, zdumiony tą jedyną dysharmonią wśród świątecznego nastroju. Na rogu Szewskiej ulicy stał mocno podchmielony rzemieślnik, którego synek dziesięcioletni usiłował namówić do powrotu do domu. Porządnie ubrany chłopaczek tulił

się do nieprzytomnego rodzica z wyrazem takiego bólu i zawstydzenia, tak krwawemi płakał łzami, że nie zdarzyło mi się widzieć podobnej rozpaczy na obliczu dziecięcia. A tymczasem ojciec zachrypłym głosem miotał przekleństwa na własne dziecko i nie dawał mu się uprowadzić do domu, cofając się wciąż ku niedalekiemu szynkowi. Nie było sposobu opanować pijanego człowieka; każdy przechodził w swoją stronę, i na opustoszałym rynku zostały te dwie postacie: spodlonego haniebnym nałogiem ojca, i wylękłego, rozpłakanego chłopczyka, którego zaklęcia odzywały się naprzemian z groźbami pijaka. I jam poszedł dalej, unosząc w duszy całą tę tragedyę wigilijną, uzupełniając ją w myśli obrazem powrotu owego człowieka do domu, do żony i dzieci, wyglądających go zbyt długo, aby powitać w tym stanie i otrzymać tylko razy i wyzwiska na kolędę. Ale przedewszystkiem ścigały mnie, jak zmora, niewinne, zapłakane oczy dziecka, z których przeglądał taki bezmierny ból i wstyd, jakby to było pierwsze zetknięcie się dziecięcego anielstwa z ludzką sromotą i zepsuciem. I wraz przez resztę wieczoru myśl zasmętniona, zamiast się ukołysać kolędową nutą, odtwarzała sobie wszystkie bolesne dramaty, rozgrywające się po wsiach i miastach, po dworkach i chatach, po warsztatach i biurach, skutkiem strasznego nałogu, który w tej chwili budzi na całym obszarze ziemi zalęknioną czujność Kościoła, sztuki lekarskiej, poważnych myślicieli. Niezwykła to plaga, grożąca ludzkości upadkiem moralnym i fizycznym, mnożąca umysłowe choroby i zboczenia, zbrodnie i przestępstwa. Bywały w historyi okresy panujących najazdów, zaraz, gminoruchów i rzezi; żadna atoli klęska w równym może stopniu nie dziesiątkowała Adamowego plemienia, nie przyprawiała go o tak rozliczne nędze i niedole, jak alkoholizm. Roczniki lekarskie, regestra obłąkanych, statystyki ubóstwa, zapiski higieniczne świadczą jednogłośnie o doniosłości tego okropnego niebezpieczeństwa. Wszędzie w tej chwili dają się słyszeć głosy ostrzeżenia, wszędzie też przedsiębrane zostały środki odporne. Obok bractwa wstrzemięźliwości świeckie pojawiają się związki, obok działania katolickiego Kościoła występują zabiegi innych wyznań. Armia zbawienia imponujących na tem polu dokazuje

cudów, dźwigając z upadku całe zastępy nałogowych pijaków. W Anglii liga krzyża, pod przewodnictwem kardynała Manninga, podejmuje istną przeciw pijaństwu krucyatę. W Poznańskiem obok bractw parafialnych, towarzystwo „Jutrzenka“ odbywa pilne czaty celem ustrzeżenia t. zw. inteligencyi od tracenia czasu i pieniędzy na trunki i kawiarniane wczasy; bo jeźli chłop pije w szynku, mieszczanin i szlachcic pije w kawiarni i równym podlega pokusom, do równego stacza się upadku. Nie zdajemy sobie jasno sprawy z upowszechnienia wśród nas, jeźli nie zupełnego, jawnego pijaństwa, to przynajmniej picia nad miarę, ze szwankiem ogólnej pomyślności, równie jak i zdrowia i dobrobytu pojedyńczych osobników. Gdyby tak można obliczyć straty w funduszach i siłach, bezmyślnie trwonionych, urósłby tak olbrzymi kapitał narodowych zasobów, iż z lepszą otuchą przyszłoby nam spojrzeć w mroczną przyszłość i podwaliny jej budować. Irlandya, z tylu względów przypominająca nasze stosunki, również niezmierne ponosi straty i szkody z nadużywania trunków rozpalających. Część nędzy uciśnionego kraju rzetelni jego miłośnicy odnoszą do owej smutnej namiętności, szukającej kordyału zapomnienia na dnie kieliszka. To też duchowieństwo dokłada wszelkich starań, aby zwalczać zarazę i szerzyć wstrzemięźliwość. Świeżo nowy pochop danym został szlachetnym w tym kierunku usiłowaniom, z okazyi stuletniego jubileuszu sławnego ojca Mathew, dobroczyńcy swej ojczyzny i pracowitego szerzyciela cnoty, na której Irlandyi najwięcej zbywa. Sądzimy, iż krótka wiadomość o apostole wstrzemięźliwości i najświeższych hołdach, jego pamięci złożonych, zająć powinna naszych czytelników. Jeden to dowód więcej, czego dokazać może serce, ogrzane miłością Boga i bliźniego, do jakich cudów zdolnym bywa jeden człowiek, jaką dźwignią dla całych społeczeństw stawa się gorąca dusza, przepalona żądzą dobrego i lepszego.

* * *

Teobald Mathew urodził się przed stu laty, na dniu 10 października 1790 r., z rodziny szlacheckiej, o wysokich koligacyach i stosunkach, acz nie obfitującej w dostatki. W domu rodziciel-

skim rojno było i gwarno. Dwanaścioro dzieci rosło pospołu na chwałę bożą i pożytek kraju. Teobald był czwartym z rzędu synem i od lat najmłodszych objawiał chęć zostania księdzem. Szybkie w nauce postępy jednały mu uznanie nauczycieli; serdeczność obejścia i zupełne o sobie zapomnienie zdobywało mnóstwo przyjaciół wśród współuczniów. Zrazu do świeckiego wstąpił seminaryum, ale wnet przywdział ubogą suknię Kapucynów i zaczął pędzić surowy żywot zakonny. Wyświęcony na kapłana w 1814 r., wysłanym został do Cork, gdzie niemal przez całe życie pracował i mieszkał. Tutaj to było główne ognisko jego błogiej działalności, tutaj też świeżo obchodzono uroczyście stuletnią rocznicę jego narodzin.

Młody kapucyn znalazł odrazu pole otwarte dla swej wielkiej gorliwości. Wśród ogólnego ucisku, ludność miejska przedstawiała tam przeważnie obraz wielkiej moralnej i materyalnej nędzy: dzieci, pozbawione wychowania szkolnego, wałęsały się po ulicach, tłumy ubogich zalegały przedmieścia i poddasza, bez żadnego znikąd ratunku. Ojciec Mathew odrazu całą duszą zaprzągł się do dzieła, do usilnej pracy około dobra dusz i doczesnych nawet korzyści swych owieczek. Niebawem lud ubogi rozpoznawszy w nim ojca i przyjaciela, jął się zewsząd ku niemu garnąć. Żaden konfesyonał nie był więcej otoczonym; a tem to pilnem słuchaniem spowiedzi ojciec Mathew nabrał może tego hartu i wytrwałości, które miały później naznaczyć jego znojne kampanie wstrzemięźliwości. Jeżeli bowiem w dnie powszednie słuchał spowiedzi od piątej zrana do samego południa z krótką przerwą dla odprawienia mszy św. i rannego posiłku, w wigilie świąt i w dnie targowe nieraz piętnaście godzin z rzędu spędzał w konfesyonale. Penitenci jego należeli przeważnie do klasy roboczej. Niemniej gorliwie nawiedzał ubogich w ich własnych mieszkaniach, niosąc im pomoc i pociechę, ratując ciała, niemniej jak i dusze. To też ubodzy miasta Cork uważali ojca Mathew za rzecz i własność swoją, on zaś nawzajem dziwny miał dar przemawiania do serc i przekonywania opornych. Nikt nie potrafił w równej mierze połączyć surowości, przynależnej winie, z tkliwem ulitowaniem się nad winowajcą. Nie posługiwał się wykwin-

tnym doborem wyrazów, lecz jego wymowa poruszała i porywała prostaczków, cisnących się tak tłumnie dokoła jego ambony, iż kapucyński kościółek niebawem okazał się zbyt ciasnym. Płomienna dusza zapalała słuchaczów ogniem własnej wiary i miłości. Pewna obrazowość słowa dawała wiernym jawne poczucie i zrozumienie świętych tajemnic. Wrażliwe serca pobożnych synów Erynu miękły i kruszyły się pod wpływem słowa ulubionego kaznodziei. Gdy ojciec Mathew opowiadał im Mękę Pańską, zdawało im się słyszeć uderzenia młota, przybijającego Zbawiciela do krzyża, świst biczowania, donośne słowa, padające z wyżyn Golgoty, i cały kościół brzmiał głośnemi szlochaniami i jękiem. Wdzięk i powaga jego osoby niemało się zapewne przyczyniały do rozszerzenia jego wpływu. Wzrostu słusznego, rysów twarzy szlachetnych, miał w zarysie ust wyraz dobroci i siły, a w ciemnych oczach iskrę zapału i rozumu. Obfite czarne włosy wcześnie się srebrzyć zaczęły. Całe obejście dziwnie łagodne, proste, uczciwe — jak czytamy w zapiskach młodego Polaka, który dotarł do świątobliwego zakonnika w najpełniejszej chwili jego bujnego w zasługi żywota [1]. Wszystko się w ojcu Mathew znalazło i złożyło, aby mu zapewniać rzadki mir wśród ludzi i niezawodną nad nimi przewagę.

Ojciec Mathew nie odrazu wszelako przystąpił do dzieła, którem miał zasłynąć w późniejszych latach. Z początku krzątał się przeważnie około zgotowania krajowi uczciwszych pokoleń, otwierając w opustoszałej stodole szkółkę dla dziewcząt, których wkrótce znalazło się pięćset, a następnie i szkołę dla opuszczonych chłopców, zamienionych z czasem w pożytecznych członków społeczeństwa. Wszechstronna czynność ojca Mathew rozciągała się nawet na umarłych; w tych bowiem latach założył on cmentarz katolicki na dawnym ogrodzie botanicznym, uwalniając swych kochanych ubogich od wygórowanych kosztów pogrzebowych, co więcej, chowając ich zadarmo. W r. 1832 pole śmierci miało się zaludnić ofiarami strasznej cholery, która nawiedziwszy Irlandyę, i o Cork zawadziła. Ojciec Mathew obiegał

[1] „Anglia i Polska“, przez Stanisława Koźmiana.

szpitale i domy cholerycznych, przysposabiał wciąż umierających na ostatnie przejście, mnożąc i wprowadzając w życie przepisy higieny i bacznie uważając na zarządzenie odpowiedniej w czasach zarazy posługi. Zpośród mnóstwa rysów, odnoszących się do tej epoki, w poświęcenia osobiste nad inne bogatej, opowiadają, iż ojciec Mathew, zaopatrzywszy raz w ostatnie Sakramenta młodzieńca dotkniętego cholerą, śpiesznie ku innym podążył chorym. Wracając do sali szpitalnej po krótkiej nieobecności, spostrzega, iż łóżko chorego zostało opróżnionem. „Co się stało?“ — pyta przerażony. — „Umarł“. — „Umarł! to być nie może, wszakże dopiero co widziałem go żywym“. Śpieszy tedy do trupiarni, pełnej desek i napół zbitych już trumien. Wokoło na ziemi, na stołach, leżały martwe zwłoki ludzi, którzy przed chwilą jeszcze pełnem oddychali życiem. Zamiast uciszenia śmierci, groźna tu panowała wrzawa; słudzy śmierci, przypominający medyolańskich *monatti'ch* z powieści Manzoniego, krzepili się wódką przy swej ponurej robocie składania trupów do trumny i przybijania wieka. Ojciec Mathew wchodząc, widzi, że właśnie zabierają się do ułożenia znajomego sobie młodzieńca na sen nieprzespany. „Stójcie, dla Boga! — woła na grabarzy — wszakże on żyw być musi, co dopiero z nim mówiłem!“ Rozstępują się słudzy, ojciec Mathew przykłada rękę do serca, rozeznaje uciszone bicia. „Chwała Bogu, nie umarł, żyje jeszcze, żyć będzie!“ Jakoż po zastosowaniu środków orzeźwiających, młodzieniec odzyskał przytomność, a przeniesiony napowrót do szpitala, po kilku dniach mógł dziękować Bogu za wrócone mu tak cudownie życie. Ma się rozumieć, pohamowało to nadmiar pośpiechu w grzebaniu ofiar zarazy i powiększyło wpływ ojca Mathew na cały zarząd szpitalny.

Poświęcenie jego bez granic w tej ciężkiej próbie spotęgowało też w całej południowej Irlandyi jego wysokie znaczenie i ogólny dlań szacunek, a gdy wstąpił w 1838 r. na właściwe swego posłannictwa szlaki, nie było chyba w całym Erynie bardziej kochanego i poważanego kapłana. Licząc już lat czterdzieści sześć, przeszedł był życia południe, zdobywszy sobie nielada znajomość nędz i potrzeb, wad i przymiotów irlandzkiego ludu.

Oddawna już zmierzył był nieszczęśliwą skłonność swego

narodu i przemyśliwał nad sposobem przyłożenia leczącej ręki do tej rany, toczącej społeczność irlandzką. „Ale jako człowiek mocnego postanowienia (cfr. „Anglia i Polska"), długo przepasywał swe biodra, długo się na modlitwie i rozmyślaniu doświadczał, nim się w podróż wyprawił". Wystąpił dopiero na dniu 10 kwietnia 1838 r., oświadczając wobec nielicznego zgromadzenia, iż gotów jest przyjąć posłannictwo zdjęcia zakały hańbiącego nałogu z ludu swego i ojczyzny, rozpoczęciem prawdziwego apostołowania za wstrzemięźliwością. „Gdybyśmy choć jednę ocalili duszę, jużby to opłaciło nasze trudy sowicie i dało chwałę Bogu. Żadna zdrowa osoba nie potrzebuje gorących napojów, i mnie ich nie trzeba, dlatego pierwszy położę moje imię w księdze wpisowej". Rzecz dziwna! dwóch innowierców głównie popchnęło ojca Mathew do tego czynnego wystąpienia, powtarzając mu ustawicznie, iż go czeka wielka misya i zadanie.

Po wpisaniu obecnych, rozpoczął się w Cork, a następnie w całej Irlandyi ruch, o jakim nie mamy pojęcia, ruch bezprzykładny w naszem stuleciu. Aby podobne objawy odnaleść w dziejach, wypada sięgnąć do epoki biczowników lub pokutników średniowiecznych, do uczestników wojen krzyżowych lub tłumnych pielgrzymek do Kompostelli. Śpieszono do Cork, jak do ziemi świętej, aby otrzymać błogosławieństwo ojca Mathew i w jego ręce złożyć *pledge*, czyli zobowiązanie do wstrzemięźliwości. Zrazu przystępujący do związku podpisywali się w księdze zbiorowej, rychło atoli napływ ludu okazał się zbyt wielkim, a zapisywanie nadto żmudnem. Zaczem ceremonia się ograniczyła na przyklękaniu u stóp nowego apostoła Irlandyi, który dla każdego miał słowo zachęty, kładł rękę na głowę pątników, znaczył im czoło krzyżem św. i opatrywał w medaliki brackie. Nie ruszywszy się z Cork, w pierwszych zaraz miesiącach zyskał 150.000 zwolenników zupełnej trzeźwości. Zrazu formułka *pledge* czyli ślubu dość była elastyczna, niebawem atoli ojciec Mathew się przekonał, iż tylko zupełne i dożywotnie wyrzeczenie się trunków palących może obwarować wytrwałość na drodze wstrzemięźliwości. Nie pozwalał też później nigdy na czasowe lub częściowe przystąpienie do bractwa. Sława jego gruchnęła po całej

Irlandyi. Opowiadano, jak mocą swego słowa najzastarzalszych nawracał pijaków, jak schorowane osoby odzyskiwały zdrowie po zapisaniu się do bractwa i dochowaniu przysięgi.

Widząc rolę dobrze przygotowaną, ojciec Mathew puścił się na objazd kraju i w grudniu ruszył do Limerick, gdzie go zaproszono z kazaniem. Pomimo zimna, lud całą noc tłumami zalegał gościniec, którędy miał nadjechać apostoł trzeźwości. Nie było jednego pustego zakątka w gospodzie, wszystkie budynki rządowe i publiczne szczelnie się wypełniły pielgrzymami. Żywność w trójnasób podrożała. Żelazne ogrodzenie domu, w którym ojciec Mathew wysiadł, zostało zgruchotane parciem tłumu, tak ściśniętego, iż konstablerzy konni, dla porządku rozstawieni, razporaz wraz z końmi w górę bywali podnoszeni naciskiem ludu; kto zaś chciał bliżej dostąpić do miejsca, gdzie stanął świątobliwy zakonnik, biegł najwygodniej po zbitych głowach i ramionach pielgrzymów trzeźwości. W cztery dni znów nowych 150.000 ludzi stanęło pod sztandarem ojca Mathew; w Waterford trzydniowa misya pozyskała ich 80.000, w Galway przez dwa dni przystąpiło 100.000 ludzi do nowego związku. Wystarczy powiedzieć, iż liczba zwolenników trzeźwości urosła od kwietnia 1838 r. do letnich miesięcy w r. 1843 do poważnej liczby p i ę c i u m i l i o n ó w. Nie było bodaj parafii w całej Irlandyi, którejby z czasem ojciec Mathew osobiście nie nawiedził, nie pozyskał sobie w niej wiernych i wytrwałych szermierzy wstrzemięźliwości. Nieraz cudowne zmiany wracały pokój i dostatek w progi niedoli i nędzy; niekiedy skruszeni słowem ojca Mathew pijacy, postanowiwszy do związku przystąpić, raz jeszcze na pożegnanie się upijali, w nietrzeźwym stanie ku niemu przystępując. Miłosierdzie jego nikogo nie odtrącało. Opowiadano, iż raz zbliżył się do niego sławny pijak, który bodaj w życiu nigdy nie był wytrzeźwiał, i oto chwiejąc się na nogach, stawał wśród tłumu pielgrzymów wstrzemięźliwości. Spostrzegł go zdala ojciec Mathew, a skinąwszy nań z uśmiechem pełnym dobroci i otuchy, zawołał: „Chodź tu, mój biedaku, warto było na ciebie czekać i ciebie się doczekać“. Skruszony odrazu Paddy, upadł na kolana, wyjęknąwszy: „Niechże cię Bóg błogosławi, ojcze Ma-

thew!“ — a przyjąwszy zobowiązanie i medalik, został innym człowiekiem, zamienił się w pracowitego i trzeźwego rzemieślnika, wspominającego nieraz z dumą o przyjęciu, jakie mu był zgotował apostoł Irlandyi. Inny nałogowy pijak, porwany gminoruchami wstrzemięźliwości, sam dobrze już podchmielony, otrzymawszy błogosławieństwo ojca Mathew na nową drogę, upierał się jeszcze, aby go tenże koniecznie pocałował. Darmo obecni strofowali nie bardzo przytomnego wieśniaka; póty nalegał ochrypłym głosem, aż ojciec Mathew przychylił się ku jego żądaniu, i biorąc w objęcia biednego, poniżonego człowieka, przycisnął go do serca, mówiąc: „Idźże teraz do domu, moje dziecko, i nie grzesz więcej“. Taką to poufałością i przystępnością ojciec Mathew jednał sobie coraz większą przewagę nad serdecznym ludem irlandzkim.

W Dublinie misya jego niemniejszem została uwieńczona powodzeniem. Dość powiedzieć, iż jedno z trzech więzień stolicy, wiecznie przepełnione skutkiem burd i zajść ulicznych, nagle opustoszało zupełnie; w drugiem zaś liczba więźniów prawie o jednę trzecią się zmniejszyła. Natomiast kasy oszczędności w dwójnasób urosły. W samym Dublinie w ciągu jednego roku, zamknięto 237 szynków; wygasłe kominy gorzelń wszędzie świadczyły o zwinięciu niebezpiecznej fabrykacyi. Pewien podróżujący Amerykanin opowiada, że przejechawszy wzdłuż i wszerz całą Irlandyę, jednego tylko pijanego człowieka napotkał. Sędziowie wszędzie dziwili się umniejszeniu przestępstw, stale przypisując poprawę moralności skutecznemu wpływowi ojca Mathew. Mimo swej miękkości woli, Irlandczycy, raz przyjąwszy *pledge* z rąk żarliwego kapłana, heroiczną wytrwałością swe zobowiązania stwierdzali. On sam twierdził nieraz, iż odstępstwa bywają rzadkie, że jeden zaledwie na 500 odpada, i wielu jeszcze z tych wraca w święte szranki, oblewając łzami pokuty pojedyńcze upadki.

Z kolei ojciec Mathew nawiedził Anglię i Szkocyę, zaciągając pod swe znaki krocie katolickich i protestanckich zwolenników. Coby powiedzieli sekciarze dawnych wieków, co twórcy reformacyi, gdyby im było danem zoczyć swych współwyzna-

wców, cisnących się pod błogosławiącą rękę ubogiego kapucyna? W Manchester zauważono natychmiastowe umoralnienie fabrycznej ludności, w Londynie mnóstwo katolików i innowierców przystąpiło do związku, a dzienniki protestanckie chętnie składały hołdy gorliwości irlandzkiego apostoła, który nieraz przez dzień cały żadnego nie brał do ust posiłku, bez wytchnienia pracując dla umiłowanej sprawy wstrzemięźliwości. Tu i owdzie właściciele szynków i likworyści urządzali zbrojne napaści na gromadzące się wokoło ojca Mathew tłumy; nieraz on sam ledwie uszedł z życiem, zasłonięty czujną opieką swych zwolenników. Zdarzały się tu i owdzie krwawe bójki, wywołane przez przeciwników wstrzemięźliwości. Gromadzone zaś przez ojca Mathew tłumy zawsze się zachowywały przyzwoicie i spokojnie, okrom w przypadkach usprawiedliwionej obrony.

Za powrotem z Anglii, gdzie nawiedził wszystkie rękodzielnicze miasta, wyszło na jaw, iż ojciec Mathew skutkiem kosztów podróży, druków, medalików i hojnie rozdawanych jałmużn, w ciężkie popadł długi. Kraj cały rzucił się, aby swemu apostołowi nieść pomoc gotową; nietylko w Irlandyi, lecz i w Anglii odrazu posypały się składki, które w mgnieniu oka pokryły niedobór i wróciły spokój ubogiemu zakonnikowi. Ale już siły jego niepowrotnie były stargane nadmierną pracą i wysileniem. Do reszty je wyczerpał wycieczką do Ameryki, gdzie olbrzymie obiegając przestrzenie, sporo podbił zamorskich zwolenników.

Niestety! lata głodowe miały zadać dotkliwy cios nietylko siłom i zdrowiu, lecz także robocie i dziełu ojca Mathew. Rozluźniły się węzły wstrzemięźliwości wobec strasznego niedostatku, który w nieszczęśliwej Irlandyi zapanował. Dawną, uśpioną skłonność do gorących napojów głód rozbudził nanowo, zalewano po dawnemu robaka nędzy, i gdy w 1856 r. złożono złamanego pracą i troską ojca Mathew pod krzyżem własnego cmentarza, wraz z nim pogrzebano dobroczynny ruch, jego żarliwością rozbudzony i utrzymywany. Jeszcze na łożu śmierci sparaliżowaną ręką znaczył czoła przystępujących do związku, ale wiedział i widział, że jego praca w znacznej części poszła

była na marne i że niesłychany zapał pierwszych lat stopniowo przygasał. Smutny też był zachód jego życia, gdy mu przyszło patrzeć na ponowny upadek społeczeństwa, chwilowo dźwigniętego przezeń z haniebnego nałogu.

Trudno przeniknąć wszystkie powody, składające się na upadek tak płodnego zrazu posłannictwa. *Przegląd Dubliński* wskazuje mianowicie na dwie przyczyny niestałości dzieła. Oczywiście w pierwszym rzędzie należy postawić głód, który całą ludność pchnął w objęcia rozpaczy, dając jej nowy pochop do szukania pociechy i zapomnienia w kieliszku, a zostawiający po sobie utrwalone nadwątlenie ciała i woli. Bieda położyła kres organizacyi związku, zamknęła czytelnie i gospody wstrzemięźliwości, rozproszyła orkiestry ludowe, słowem, rozbiła urządzenia, warujące trwałość dzieła. A z innej strony ruch trzeźwości nadto był osobistą robotą jednego tylko męża — tchnął jego duchem, jego energią, jego słowem i sławą. Ojciec Mathew wielu miał współpracowników, lecz nie przysposobił sobie żadnego następcy ani zastępcy, tak iż gdy odszedł, płaszcz Eliaszowy na niczyje nie spłynął ramiona, i dziełu zabrakło przewodnika.

Ale niemniej olbrzymiej dokonał on był przemiany; wszczepił bowiem w dusze całych pokoleń przekonanie, że pijaństwo nie jest słabością, lecz grzechem; że nie godzi się żartować z nałogiem, który obraża Boga, gubi kraj, podkopuje zdrowie i dobrobyt społeczeństw; że wstrzemięźliwość kształtuje dobrych chrześcijan i zacnych obywateli. Wykazał dobitnie bliskie powinowactwo pijaństwa z nędzą i zbrodnią, nauczył swych ziomków, iż trzeźwy naród rychło się staje szczęśliwym, porządnym i bogatym narodem; wzbudził wśród swoich niebywałe uszanowanie dla wstrzemięźliwości, gotując rolę pod uprawę przyszłości, pod zasiew nowego apostolstwa, wskrzeszającego za dni naszych uśpione ziarna nauki i pracy ojca Mathew.

Wspomniano sobie zmiany, dokonane za dni jego, w dochodach Irlandyi. Jeźli z jednej strony upadały gorzelnie, zamykały się szynki, akcyzowe opłaty się zmniejszały — wszystek inny przemysł i handel podnosił się znacznie, przysparzając krajowi dostatków. Zapewne właściciele niejednej destylarni ciężkie ponieśli straty;

kilku z najbliższych krewnych ojca Mathew do zupełnej tym sposobem doszło ruiny — ale natomiast ożywiały się interesa kupców korzennych, piekarni, mleczarni i t. p. Pewien sukiennik w Dublinie opowiadał, iż dochody jego sklepu, położonego w najuboższej części miasta, szesnaście razy się powiększyły, odkąd lud poniechał był wódki. Jeźli w r. 1832 liczba wyroków śmierci wynosiła 66, było ich zaledwie 13 w r. 1845. Podobnież skazanych na zamorskie galery było w r. 1838 około tysiąca, a w siedm lat później zaledwie 428. Wielkorządcy Irlandyi cały ten niebywały postęp odnosili do zabiegów ojca Mathew, wielkiego dobroczyńcy Erynu.

Biskupi irlandcy przeczuwając, iż przypomnienie jego zasług i działalności rozbudzić może choć w części uśpiony zapał dawnych lat, chętnie i gorąco przyłożyli się do urządzenia jubileuszu na uczczenie stuletniej rocznicy narodzin ojca Mathew. W połowie października ubiegłego roku w całej Irlandyi święcono pamięć wielkiego apostoła trzeźwości. W Dublinie olbrzymi korowód, w którym wzięły udział miejskie władze, szkoły, stowarzyszenia, rozwinął się po ulicach stolicy, zmierzając ku miejscu, gdzie stanąć miał pomnik na cześć ojca Mathew. Granitowa tegoż podstawa już jest gotową, posąg stanie z groszy Irlandyi, z drobnych składek, w których uczestniczą wszyscy synowie Erynu. Ulica O'Connela, główna arterya Dublinu, zamienia się stopniowo w prawdziwą Walhallę Irlandyi. Po jednej jej stronie wznosi się już pomnik wyswobodziciela ojczyzny, po drugiej stanie posąg apostoła kraju, a pośrodku z czasem wdzięczność narodu uplastyczni pamięć wszystkich swych bohaterów i dobroczyńców. W uroczystości uczestniczył też arcybiskup protestancki Dublinu, lord Plunket. W dłuższej jego przemowie znalazł się między innymi ustęp następny: „Chociaż ojciec Mathew nie był członkiem Kościoła, do którego należę, wstydziłbym się, i myślę, że każdy protestant w Irlandyi tak samoby się rumienił, gdybym z tej przyczyny miał się usunąć od złożenia hołdu temu, który poświęceniem życia zasłużył sobie na wdzięczność całego kraju bez różnicy wyznania, pochodzenia i stanowiska". Kardynał Manning przysłał osobnego delegata i przedstawiciela, a Lord-

Mayor stolicy, przypominając skutki dobroczynnej działalności ojca Mathew, złożył zarazem hołd czynności, rozwiniętej w podobnym kierunku przez irlandzki episkopat i duchowieństwo. Pięknie też wskazał, iż mimo rozterek chwili obecnej, nie ostały się żadne polityczne, plemienne, wyznaniowe ani stronnicze różnice i niechęci wobec zobowiązań wdzięczności, łączącej wszystkie serca i dłonie wokoło pamięci i pomnika ojca Mathew.

Z wszystkich atoli miejscowości, święcących jubileusz wielkiego apostoła trzeźwości, oczywiście miasto Cork najświetniej obchodziło stulecie tego, który przeważnie swe życie poświęcił ubogim tej właśnie dzielnicy, i tu przez długie pracował lata. Obchód rozpoczęto w kościele niegdyś zbudowanym przez ojca Mathew, który cały osobisty majątek na ten cel obrócił, i gdzie przez długie lata pracował dla pożytku dusz. Mnóstwo dostojników Kościoła irlandzkiego, oraz przybyłych z Anglii i Szkocyi kapłanów, uczestniczyło w jubileuszowem nabożeństwie. Między innymi z Rzymu nadjechał ojciec Adermatt, przełożony generalny kapucyńskiego zakonu, a i rodzina zmarłego apostoła przez kilku żyjących dotąd członków, była reprezentowaną. W mityngu, zgromadzonym na otwartem miejscu, brało udział ze sto tysięcy ludzi. Czasopisma irlandzkie, opisując pamiątkowe święto, zapewniają, iż nie było piękniejszej manifestacyi od lat niepamiętnych. Całe miasto świętowało, wszystkie wielkie zakłady rozpuściły swych urzędników. Z okien jaskrawe powiewały flagi, wszystkie szynki przez dzień cały, z małymi bardzo wyjątkami, pozostały zamknięte, na dowód czci i uszanowania dla pamięci apostoła trzeźwości. Olbrzymi orszak przez strojne przeciągnął miasto, aby otoczyć wystawione na głównym placu rusztowanie, z którego mowcy sławili imię i dzieło ojca Mathew. Główny *speech* wygłoszonym został przez znanego z parlamentarnych tryumfów Sir Johna Pope Hennessy. Z bardzo pięknej tej odezwy, kreślącej w wielkich rysach życie, które spróbowaliśmy streścić powyżej, niektóre ustępy zasługują na przytoczenie. Mowca przypominał, iż ojciec Mathew nie ograniczył swego działania na wyłącznej sprawie wstrzemięźliwości; zanim do tego posłannictwa przystąpił, już od lat dwudziestu był on przyjacie-

lem i doradcą rzemieślników. Kwestya paląca dziś, już wtedy troskliwość jego budziła: „Wśród upadku i zastoju niejednego miejscowego przemysłu, on to niósł pomoc skuteczną klasom roboczym, zawiązywał spółki zarobkowe, upominał i pouczał chlebodawców i kapitalistów o ich obowiązkach, i to w tak płonących słowach, iż go niektórzy mieli za socyalistę. Przed laty siedmdziesięciu w tem mieście ogłosił krucyatę, wyprzedzającą dzisiejsze usiłowania, celem poprawy stosunków społecznych rozpoczęte. Nie był on tylko apostołem wstrzemięźliwości, lecz zarazem i apostołem pracy i wszelkiej społecznej naprawy. Stwierdzoną jest oddawna zasadą, że przemysł i pomyślność idą w parze z trzeźwością, a że lata klęsk bywają okresami rozpicia. Złe czasy wyradzają też złe obyczaje. Wiadomo, z jakiem powodzeniem i szybkością ojciec Mathew potrafił zaradzić złemu. Śmierć jego w sile wieku przyśpieszoną została nietylko smutnemi wrażeniami lat głodowych, lecz i bolesnym zawodem, jakiego doznał, patrząc na częściowy upadek swego dzieła“.

Mowca nie na sam tylko głód zwala odpowiedzialność za rozprzężenie się roboty ojca Mathew, lecz uderza w rząd angielski, który faworyzowaniem emigracyi i systematycznem niszczeniem kraju, wszystko wiecznie rozstrajał. Żaden związek w takich warunkach bytu ostać się nie może, nie ostała się więc i liga trzeźwości niegdyś przez ojca Mathew ustanowiona; ale duch jej odżyć może, a czternaście milionów wyrzuconych z ojczyzny tułaczów, rozsypanych pomiędzy Nowym Jorkiem a San Francisco, dowodzą dziś, że plemię irlandzkie nie daje się wyprzedzić innym narodom pod względem karności, zabiegliwości i trzeźwości, celując w rolnych zajęciach, inżynieryi, naukowych postępach i wynalazkach. Znając urok nazwiska O'Connela na wszystkich prawych Irlandczyków, mowca przypomniał, jak niegdyś na tem samem miejscu mieszkańcy Corku widzieli wyswobodziciela, składającego u stóp ojca Mathew śluby wstrzemięźliwości, i przytoczył słowa liberatora ojczyzny: „Niemasz anioła czystszego i godniejszego uczczenia nad anioła moralności publicznej, uosobionego w ojcu Mathew; żadne słowo nie jest dość skrzydlatem, aby oddać jego moralną podniosłość“.

Wieczorem miasto zabłysło rzęsistą iluminacyą, którą do późnej nocy podziwiały tłumy snujące się po ulicach.

Lecz nie sama Irlandya święciła pamięć swego apostoła. Odbiły się jubileuszowe obchody i w Anglii, mianowicie w Londynie, gdzie kardynał Manning od 1873 r. przejął dziedzictwo ojca Mathew założeniem i rozszerzaniem ligi krzyża. Kilka mityngów odbyło się z tej okazyi, a jednemu z nich przewodniczył ów właśnie Justyn M'Carthy, którego świeżo powołano na zastępcę Parnella w hetmaństwie sprawy irlandzkiej. Nie było końca mowom, panegirykom, a zwłaszcza nowym podnietom ku rozszerzaniu wstrzemięźliwości. Wśród mnogich zasług ojca Mathew, podniesiono i rozbudzenie w Irlandyi dawnego zamiłowania do muzyki i pieśni, które po dłuższej przerwie nanowo w Erynie się odezwało. Roztropny mąż wiedział, iż ludzie pracy żyć nie mogą bez rozrywki; namawiając ich tedy do stronienia od szynków, do wyrzekania się gorących trunków, szukał sposobów przyniesienia i zapewnienia im dozwolonych przyjemności, szerząc oświatę, mnożąc czytelnie, ćwicząc orkiestry amatorskie, kształcąc przyrodzoną śpiewność keltyckiego plemienia.

Pod każdym względem apostoł wstrzemięźliwości był apostołem wszelkiej reformy społecznej, narzędziem uszlachetniania swych ziomków, podniesienia ogólnego poziomu, moralnej naprawy, materyalnej pomyślności. Tak było zawsze i wszędzie. Żar jednej duszy całe społeczeństwo ogarnia i dźwiga, promieniejąc w późne jeszcze lata pośmiertnem ciepłem.

Ufamy, że nam się udało nieco z owego ciepła zachwycić w wizerunku odwzorowanym podług angielskich świeżych źródeł i dawniejszych wspomnień Polaka, który przez długie życie starannie do ojczystego śpichlerza odnosił wszystkie dobre ziarna, które w Anglii spostrzegł i zoczył. Ś. p. Stanisław Koźmian nie ograniczył się na przyswajaniu mowie polskiej arcydzieł Szekspira; każdy odgłos dodatni, dający się przeszczepić na grunt rodzimy, znajdował w nim gotowego tłumacza. Nietylko za dni smutnych swego tułactwa, ale i po powrocie na ziemię ojczystą nie przestał on być pomostem między własną ojczyzną a tą krainą, której gościnności za dni mło-

dości swej zakosztował. Główne owego pośrednictwa tętna ujął i zamknął w księdze zatytułowanej: „Anglia i Polska". Tam też znaleźliśmy osobny rozdział o związkach wstrzemięźliwości, osobny ustęp o ojcu Mathew. Tam też spotkaliśmy się z genezą miana nadanego zwolennikom zupełnej trzeźwości: *teetotalizm,* które nawet dla znawców języka angielskiego ciemnym jest wyrazem. Oto jak nam je wyjaśnia tłumacz Szekspira: *total* znaczy całkowity, zupełny, *tee* jest starym zabytkiem mowy, odpowiadający naszemu: co do krzty, co do joty. Zapytano jakiegoś prostaczka, czy chce przysiąc na wstrzemięźliwość? „Co mi tam po waszych częściowych obietnicach — odparł rubasznie — ja chcę być *teetotal,* to jest co do krzty zupełnym w sprawach trzeźwości". To wyrażenie podobało się ludowi i przyjęło się, na kilka lat przed rozpoczęciem apostolskiej pracy ojca Mathew. Z krótkiego polskiego o nim wspomnienia, kilka rysów udało się nam dobrać do angielskich świadectw i opowieści. Jedno mianowicie po latach wielu wychyla się z historyi życia i dzieła ojca Mathew. Dzieło to z jego zgonem pozornie się zachwiało, a jednak dzisiejsze stanowisko Irlandyi niewątpliwie jest jego skutkiem. Nie liczono się z ludem, który ostatki swej nędzy trwonił na *whiskey,* wypijał 16,000.000 garncy wódki, nie rachując produkcyi tajemnych gorzelń, których było mnóstwo. Zwątlony biedą i opilstwem lud irlandzki, nie mógł się wydobyć zpod ciśnącego go jarzma, tracił zmysł ładu i gospodarności; nie miał co jeść, a pił bez miary. — Jakże się bądźcobądź odtąd stosunki zmieniły! Wszechmożna Anglia liczyć się musi ze słusznemi żądaniami Erynu; mimo przełomu agrarnego, zapobiegliwość rośnie, porządek się rozwija, ludność niezłomnym uderza hartem a politycznym zdumiewa rozumem. Wszystko to nie doczekane przez ojca Mathew żniwo, reszta ziarn niegdyś jego ręką na ojczysty zagon rzuconych. Pisząc w 1846 r., Stanisław Koźmian wyrażał nadzieję, iż pochop do umiarkowania ogarnie świat cały, nie ograniczając się na wstrzemięźliwości w piciu; że po trunkach przyjdzie kolej na zbytki w jedzeniu, na korzenie, na tytoń. Nie spełniły się te lube nadzieje. Statystyki dają nam cyfry przerażające pod względem marnie trwonionych zasobów. Wszakże

sama Warszawa corocznie puszcza z dymem do sześciu milionów rubli, stanowiących obrot handlu tytoniem i cygarami! Nie ustanie nędza, nie rozwinie się przemysł, dopóki nie upowszechni się hartowna wstrzemięźliwość w przeróżnych kierunkach. *En fait d'économies, je ne comprends, que les privations* — mawiała pani Swieczyn, łącząc zasługę umartwienia i korzyść poskromienia przyrodzonych zachcianek, z materyalnym pożytkiem oszczędności. Irlandya podniosła się i podnosi ustawicznie, odkąd świątobliwy kapucyn wskazał jej szlaki hartownego wyrzeczenia i zwycięstwa nad sobą. „On nam wrócił honor wśród narodów ziemi, on nam otworzył Królestwo niebieskie“ — odezwał się jeden z mowców jubileuszowych.

Wśród mnóstwa szczegółów, odnoszących się do pamięci ojca Mathew, doczytujemy się, iż jeden z najdzielniejszych myśli jego spadkobierców i największych krzewicieli wstrzemięźliwości na ziemi angielskiej, zapalił się do tego dzieła skutkiem podróży odbytej z furmanem, który niegdyś przyjął był *pledge* z rąk ojca Mathew i tchnął duchem apostoła Irlandyi.

Tak słowo w dobrej powiedziane chwili,
Jak trąba archanioła stworzy ich czem byli —

odzywa się wielkopolski poeta.

Oby ten doraźny wizerunek ojca Mathew stać się mógł dla niejednego z naszych czytelników tem, czem się okazała być niegdyś rozmowa z ubogim furmanem, zwerbowanym do armii wstrzemięźliwości przez najżarliwszego jej apostoła i przywódcę.

M.

HISTORYCZNY ROZWÓJ NIHILIZMU

W ROSYI.

IV.

Propaganda międzynarodowa ustępuje miejsca rodzimej propagandzie i agitacyi robotniczo-ludowej. — *Narodniczestwo* w Petersburgu i Moskwie. — „Buntarstwo“ w Kijowie, Odessie, Charkowie. — *Poselenje* i *bojewyje otrjady.* — Troglodyci albo Narodniki. — Słabe rezultaty agitacyi. — Proces 50-ciu w Moskwie; proces 193-ech w Petersburgu. — 1875—78.

Przerzedzone i rozproszone aresztowaniami majowemi i sierpniowemi 1875 r. grupy nihilistyczne, ochłonąwszy z pierwszego przerażenia, poczęły się w zimie t. r. zbierać w tak zwanych „komunach studenckich“ w Petersburgu i Moskwie. Debaty rozpoczęły się od wzajemnych oskarżeń i zwalania odpowiedzialności jednej partyi na drugą, za nieudaną propagandę socyalną z lat 1874 i 75. Wylawszy żółci dosyć, zabrano się do poważniejszych rozpraw nad zmianą systemu propagandy. Po długich, a burzliwych debatach, zgodzono się w zasadzie na dwa punkta: 1) Międzynarodowej socyalnej propagandy należy zaniechać, a rozpocząć narodową agitacyę, podburzającą lud przeciw rządowi. Precz z anarchią socyalną, niech żyje *narodniczestwo!* 2) Ponieważ lud okazał się nieczułym i prawie niezdolnym do zrozumienia propagandy umysłowej, teoretycznej, należy prowadzić ją nadal „czynem“, tj. podburzaniem ludu przeciw czynownictwu, podatkom i poborom wojskowym, i obietnicami oddania mu wszystkiej

ziemi na własność, przywrócenia samorządu i pomnożenia majątku gminnego. Asumpt do tego brać należy z faktycznego niezadowolenia chłopów w różnych okolicach południowej zwłaszcza Rosyi i nakłaniać ich do czynnego oporu, do buntów przeciw rządowi. *Narodniczestwo* posługiwać się ma „buntarstwem“. W tym celu wędrowni agitatorowie zamienić się mają w osiadłych między ludem „buntarów“ i urządzić stałe rewolucyjne *poselenje*. Równocześnie obok tych posileń organizować należy związki bojowe, *bojewyje otrjady*, z obrobionego należycie przez „buntarów“ chłopstwa złożone, które ściśle z sobą połączone, stanowić będą zbrojną siłę przeciw sile armii rządowej. Ale i w tej ostatniej należy rozwinąć agitacyę i w pojedyńczych pułkach tworzyć *bojewyje otrjady*. A gdy do tego przyłączą się jeszcze „komuny studenckie“ i związki robotnicze po miastach, wtenczas *narodniczestwo* obejmie wszystkie warstwy i musi zwyciężyć nad caratem.

Tak rozumowano — ale wiary w te rozumowania i zapału było nierównie mniej, niż przed dwoma laty. Kłócono się jeszcze długo co do formy organizacyi *narodniczestwa*. Jedni chcieli pozostać przy dawnym systemie federacyi grup i kółek, jako dającym więcej swobody ruchów i na tak rozległych przestrzeniach kraju łatwiejszym. Drudzy dowodzili, że właśnie brak centralnego zarządu paraliżował propagandę lat 1874 i 75; domagali się więc większej centralizacyi, niż przedtem, i dokazali tego, że zgodzono się na dwie „centralne gminy“: jednę w Petersburgu, drugą w Moskwie.

Tymczasem zbliżała się wiosna 1876 r. Z murów więziennych dochodziły głuche wieści o srogo prowadzonych śledztwach, o zapowiedzi nowych aresztowań i surowych kar na winnych. W maju 1876 r. zasądzono w senacie robotnika Osipowa do katorgi, robotnika Abramenkowa na więzienie w turmie; we wrześniu t. r. skazano do katorgi Gorbaczewa i Butowskiego; w październiku t. r. toczył się proces Siemianowskiego i 6 towarzyszów: 3 skazano do katorgi, 3 na areszt, jednego do turmy; w grudniu skazano na Sybir taksatora Albowa. Patrzeć z założonemi rękami na srogą represyę rządu, nie było podobna; należało przecież

uchwalić coś stałego i działać prędko. Inicyatywa wyszła od niedobitków partyi Czajkowców. Ci, połączywszy się z kółkiem Dońców i kilku wybitniejszemi a energicznemi osobistościami różnych partyj, utworzyli rewolucyjno-narodowy związek „Narodników"; żartem zwano ich Troglodytami. Jestto ta sama partya, która w latach 1878 i 79 od wydawanego przez siebie czasopisma nazwała się *Zemla i wola*. Ona przedstawiała agitacyę narodową ludowego ruchu, którego ostatecznym celem było: obalenie rządu, wytępienie czynownictwa, popów, szlachty, kupców, przemysłowców, nawet bogatych chłopów, a podział wszystkiej ziemi między masy ludu. Sami spiskowi stanowili rodzaj wielkiej komuny; zawierali fikcyjne małżeństwa dla usamowolnienia nihilistek, byłych uczennic z Zurychu i kursistek petersburskich; zakładali kasy wspólne z posagów tychże i z zapracowanych pieniędzy; mieszkania mieli wspólne; sprawa wszystkich była sprawą jednostki i odwrotnie; rządzili się jednym wspólnym statutem, który później stanowił główny *corpus delicti* w procesach w Moskwie i Petersburgu, i przedstawia dokładniej, niż wszystko inne, ducha całego sprzysiężenia.

Podstawą jego: absolutna równość członków — bezwzględna solidarność w celach i działaniu — bezwzględna wspólność nietylko materyalna ale i moralna, a więc wyrzeczenie się własnych wierzeń i przekonań, a przejęcie się nawskróś zasadami związku — i bezwarunkowa otwartość wzajemna. Taka jest podstawa.

Następuje jedenaście działów statutu — okropnych w swej bezwzględności, ale pokazujących do jakiego stopnia zaparcia się dla idei dochodzili ci ludzie.

I. Warunki przyjęcia: bezwzględne poświęcenie się sprawie związku, zerwanie z rodziną, przyjaciółmi i znajomymi dawnymi; ofiarność nieograniczona i zachowanie tajemnicy; przyjęcie roli prostego wyrobnika; gotowość do każdego czynu rewolucyjnego, dowiedziona przebytemi próbami.

II. Obowiązki członków: zdawanie sprawy i donoszenie o wszystkiem, co jakąkolwiek styczność mieć może ze związkiem; bezwarunkowe posłuszeństwo rozkazom związku; niewolność wstępowania do innych związków, przenoszenia się

do miejsc i gmin innych, bez rozkazu związku; zrzeczenie się własności osobistej.

III. Prawa członków: równość głosu i udziału w sprawach związku; przypuszczenie do tajemnic; prawo kontroli i zwoływania obrad nadzwyczajnych.

IV. Administracya. Cały związek dzieli się na *obszczyny* czyli gminy. Każda gmina ma swój zarząd, złożony z członków gminy kolejno, bez różnicy wykształcenia. Do zarządu gminy należy: utrzymywanie stosunków nietylko z innemi gminami przesyłaniem instrukcyj, wiadomości, książek i pism rewolucyjnych i pieniędzy, ale także z wszystkiemi innemi towarzystwami rewolucyjnemi w kraju i zagranicą; przechowanie biblioteki i kasy; czuwanie nad osobistem bezpieczeństwem każdego członka; pomoc i ratunek w potrzebie; uwiadomienie wszystkich gmin w razie uwięzienia którego z członków; zaopatrywanie każdego w broszury, pieniądze i wszystko co mu potrzebne do spełnienia jego zadania.

V. Sposoby działania podczas propagandy: każdy stosownie do swych zdolności i gustu obiera sobie rodzaj propagandy, działa we własnem imieniu ukrywając troskliwie istnienie związku, i stara się o pozyskanie nowych członków dla związku, którym jednak dopiero wtenczas odkryje tajemnice związku, gdy już zostali rzeczywiście do niego przyjęci; sam zaś ma być niesłychanie ostrożnym, aby nie zdradził tajemnicy, dla uratowania której poświęcić powinien własne nawet życie.

VI. Sposoby propagandy: rozmowa, czytanie głośne lub rozdawanie broszur i pism rewolucyjnych; wyzyskiwanie słabości i namiętności ludzkich; pomoc pieniężna; zwoływanie zebrań i przemawianie na nich.

VII. Agitacya. Podczas gdy propaganda zyskuje członków dla związku — to agitacya podburza pozyskanych do czynów rewolucyjnych. Sposoby agitacyi takie: jeszcze w czasie spokojnym organizowanie band z chłopstwa i robotników, chociażby nie należeli i nic nie wiedzieli o związku; jątrzenie mas ludu, aby w danej chwili gotowe były stanąć do rozruchów rewolucyjnych; pozyskanie sympatyi opinii publicznej dla więźniów

rewolucyjnych; dostarczanie pieniędzy i środków do wyswobodzenia ich z więzienia; w czasach rewolucyjnych należy wszelkim rozruchom nadać kierunek i cechę socyalistyczną, i odebrać im wszelkie skrupuły w przebieraniu środków; gminom zrewoltowanym przybyć mają w pomoc inne gminy, o ile to nie rozwiąże ich własnej organizacyi.

VIII. Środki pieniężne obmyśleć powinien każdy członek i wszyscy, bez skompromitowania jednak związku; rozporządza niemi zarząd gminy; mniejsze kwoty zatrzymuje u siebie, większe umieszcza w bankach na imię jednego z członków.

IX. Książki i broszury. Związek zawiera przez swoich delegatów umowę z księgarzami, wyznacza członków do przewiezienia i rozdawania gminom zakupionych książek i broszur i stara się o założenie własnej tajnej drukarni.

X. Ogólne zgromadzenia członków każdej gminy odbywać się mają raz w miesiąc; zwołuje je zarząd gminy; nieobecni winni się przedtem usprawiedliwić.

XI. Stosunek wzajemny gmin: wspólność pieniędzy, klucza do cyfr, słownika do telegramów i tajnych drukarń; zawiadamianie wzajemne o nowych członkach i pseudonimach; przestrzeganie się wzajemne o grożącem niebezpieczeństwie i o wszystkich robotach rewolucyjnych.

Taki był statut Narodników[1]. Kto go układał? Zdaje się, że Aleksander Michajłow przy pomocy „Ryżego“ czyli Zdanowicza z Kaukazu. To pewna, że gminą centralną w Petersburgu kierował Aleksander Michajłow, a gminą centralną w Moskwie „Ryży“ Zdanowicz; u niego też znaleźli żandarmi statut powyższy.

Organizacya „buntarów“ nie istniała spisanemi ustawami, ale stała ludźmi, złączonymi tożsamością poglądów, od Bakunina zapożyczonych, wzajemnem zaufaniem i sympatyą; rozpościerała się zaś przeważnie w południowej Rosyi. Do każdego przedsięwzięcia zbierano się w oddzielne grupy i dopiero kiedy osobi-

[1] Ogłoszony w *Prawitjelstwiennym Dniewniku* w Petersburgu, w marcu 1877 roku.

stość dana wykazała swe zdolności przy „robocie“, wprowadzano ją w ściślejsze koła. Ponieważ wszelka agitacya w Rosyi kompromituje prędko, przeto grupy „buntarów“ składały się przeważnie z „nielegalnych“, którzy pod obcem nazwiskiem i za fałszywym paszportem, często się przebierając i zmieniając miejsce pobytu, „pracowali“. Ta „nielegalność“ rozwijała wśród nich większą solidarność, jedność, przywiązanie i niezwykłą gotowość do poświęceń dla towarzyszów sprawy. Podczas kiedy Narodnicy idąc za radą Ławrowa, przyjmowali do swoich gmin ludzi przynajmniej średnio wykształconych, i ograniczali się na spokojnej propagandzie wśród inteligencyi miastowej i robotników, to „buntari“ rekrutowali się ze wszystkich warstw, odrzucali intelektualną propagandę drukiem, główną wagę kładli „na uczucie i wyobraźnię“, aby ją „zrewolucyonizować“, a nawet uczącą się młodzież odrywali od szkół, budzili w niej równie jak w ludzie „uczucie protestu“ i organizowali ją do robienia manifestacyj i „nieporządków studenckich“, w których sami brali czynny udział. „Otoczenie, w którem nie doświadczamy niewygód — mówili oni — psuje nas. Każdy z nas niech spali za sobą okręty, i takie zajmie stanowisko, aby na niem nie miał nic do stracenia; zerwać więc musi ze społeczeństwem, a z rządem niewolno mu nigdy wchodzić w kompromis. Przy aresztowaniu niech stawia zbrojny opór, pojmany niech w śledztwie milczy upornie, a praktycznem zadaniem jego działalności, to mordowanie szpiegów i uwalnianie ofiar z rąk policyi i z więzień“. — Pojęcia iście bandyckie, tylko nie zastosowane do rabunku i grabieży. Jakoż „buntari“ kijowskiego kółka usiłują odbić z rąk żandarmów Katarzynę Breszkowską, nader czynną propagandzistkę, aresztowaną w Smile jeszcze 1874 r.; ułatwiają 1875 r. ucieczkę Lurie'mu z więzienia kijowskiego i Topczajewskiemu z aresztu policyjnego, a odescy „buntari“ uwalniają Kostiurina (zasądzonego później na lat 10 do katorgi) z więzienia w przytomności żandarmów, robią zamach na prokuratora Gorynowicza i zabijają szpiega Tawlejewa.

Nie złączone z sobą organizacyą, obydwie partye, Narodników i „buntarów“, łączą się duchem i wspólnie wspoma-

gają. Z wiosną 1876 roku poszły obydwie grupy w lud: Narodnicy, aby go obrabiać — „buntari“, aby go do rozruchów i zbrojnego oporu podburzyć. Centralna gmina uorganizowała się w Moskwie, i rozesłała ajentów wzdłuż Wołgi i Dniepru. Wśród Wielkorusów nie zdołano wywołać żadnych rozruchów, już to że owe „buntarskie posilenia“ były nieliczne i mdło prowadzone, już to że ten chłop wielkorosyjski, nie widząc siły przed sobą, jedno gołe słowa, stał wiernie przy silnym caracie. Za to w południowej Rosyi, na Ukrainie zwłaszcza, udało się uorganizować kilka *bojewyje otrjady*, tj. kilka kup zbrojnych chłopstwa. Kijowska grupa „buntarów“, licząca głów 25, rozbiegła się po Małej Rusi parami. Jedni założyli kram, drudzy gospodę, inni sprzedawali święte ikony, inni znów ukrywali broń i proch, jeszcze inni handlowali końmi, a wszyscy agitowali zawzięcie. W okolicach Kaniowa uwijali się „buntari“: Debagorio Mokrewicz, Frołenko, Drebesgew, i nietrudno im było wśród potomków hajdamaczyzny obudzić chęć buntu i rzezi. — „Czego wy od nas chcecie?“ — zapytał stary Ukrainiec Mokrewicza. — „Chcemy was popchnąć do buntu“ — była odpowiedź. — „My gotowi, przyjdźcie za tydzień“. — „Buntari“ przyszli i znaleźli koło 100 chłopów z okolicznych wsi Kaniowa, zebranych w izbie i naradzających się nad tem, jak mogą odzyskać całą swoją dawniej uprawianą ziemię. Przyjęto podział na grupy, którym „buntari“ dostarczyć mieli strzelb, rewolwerów i prochu, wybrano dowódców; dzień wybuchu buntu miał być później oznaczony; tymczasem chłopstwo werbować miało członków i zbroić się. Na nieszczęście przy wyborze dowódców pominięto gminnego pisarza. Ten powziął ztąd okrutny rankor: upił się z żalu i po pijanemu wygadał wszystko. Rząd przyszedł na trop spisku, ale chłopi mieli tyle przezorności, że dosyć wcześnie popalili wszelkie broszury i papiery; pomimo licznych rewizyj, nie znaleziono u nich nic kompromitującego. Ocalał tą razą i „buntar“ Debagorio Mokrewicz — ale niedługo potem, gdy policya szukała dwóch rabusiów, natrafiła w jakiejś karczmie przypadkiem na niego. Broszury i pisma zdołał ukryć wcześnie, skład zaś rewolwerów przedstawił jako swój towar, którym handluje. Odtąd miano ba-

czne oko na niego; r. 1879 wytropiono jego kryjówkę i pomimo zbrojnego oporu z jego strony, aresztowano i zawieziono do Kijowa. Zasłany w Sybir, umknął ztamtąd po półtora roku.

Dzielniejszym od niego i od wszystkich agitatorem był Jakób Stefanowicz, syn popa małoruskiego, z którym nigdy nie przerywał korespondencyi. Zmuszony dla politycznych przewinień opuścić uniwersytet kijowski, przybrał sobie za towarzysza Lejbę Deutsch, i puścił się z nim na niebezpieczne morze „buntarstwa“. Organizator niezrównany, nie przebierający w środkach, wiecznie niby drzemiący, słyszał i widział wszystko, posiadał szczególny talent korzystania z niezadowolenia ludowego.

W czernichowskiej gubernii zamożniejsi włościanie pragnęli zatrzymać dawne staroruskie urządzenie własności ziemskiej; uboższe chłopstwo domagało się urządzeń wielkorosyjskiej gminy i wspólnego władania ziemią. Sprzeczano się i kłócono, a na miłą zgodę zapragnęli wszyscy (było siedm gmin wielkich) obdzielić się ziemią obywateli-szlachty, i wysłali w tym celu deputacyę do cesarza. Policya zatrzymała ją w drodze i zwróciła do domu. Wtenczas chłopstwo pocznie rozumować, że to czynownicy są wrogami ludu i samego cesarza oszukują; cesarz chce im dać gminę wielkoruską, a minister małoruską — my się będziem trzymali cesarza. I stanęli okoniem przeciw rządowi; na wiosnę 1875 r. odmówili podatków. Zjechał w maju naczelnik powiatu z kozakami i dalejże batożyć chłopów, którzy się przy swej wielkoruskiej gminie opierali i podatku odmawiali. Dwóch z nich umarło pod nahajkami, innych skrwawionych, napół tylko żywych, na prześcieradłach zaniesiono do ich domów. Nic to nie pomogło: chłopi stali przy swojem; wtenczas zabrano im całe mienie i sprzedano na podatek. Roku następnego postawiono we wsi Szabelniki egzekucyę wojskową, a przeszło 100 chłopów uwięziono. W Skwirze naczelnik więzienia zaprzęgał tych biedaków do pługa, i orał nimi swój ogród.

Wiedział o tem wszystkiem „buntar“ Stefanowicz; przebiera się za chłopa chersońskiego, przekrada się do więźniów szabelnikowskich i powoli zyskuje ich zaufanie. Stanęło na tem, że on podejmie się od nich poselstwa do cesarza. Było to w lu-

tym 1876 r.; w listopadzie t. r. zjawia się znowu Stefanowicz, nibyto z powrotem od cesarza, wśród więźniów; okazuje im złotą hramotę od cara, wytłoczoną w tajnej drukarni moskiewskiej, i czyta z niej: „Najmiłościwszy cesarz rozkazuje wam zawiązać tajne sprzysiężenie i podnieść bunt przeciw szlachcie, popom i czynownikom, którzy carowi od r. 1861 przeszkadzają w nadaniu swoim chłopom wolności i całej ziemi. Cesarz przysyła wam ustawę i naznacza swoim komisarzem Stefanowicza". W myśl tej ustawy, zredagowanej przez „buntara" Bochanowskiego, cały tajny spisek ma się dzielić na gminy, po 25 członków każda; ci wybierają „starszynę", dwudziestu starszyn wybiera hetmana, ten zaś znosi się bezpośrednio z komisarzem Stefanowiczem; wszyscy przysięgają wierność i płacą pogłówne 5 kopiejek miesięcznie. Więźniowie zrazu nie dowierzali, ale przekonał ich Stefanowicz; zgodzili się więc pozornie na przyjęcie narzuconych urządzeń gminy, i wypuszczeni z więzienia, wrócili do swoich Szabelnik w lutym 1877 r. i rozpoczęli propagandę. Niedługo 300 chłopów zebrało się w nocy na kurhanie w stepie. Przy blasku latarni odczytano im złotą hramotę od cara i statuta sprzysiężenia, i złożono przysięgę. Z końcem kwietnia przybył znów Stefanowicz i zwoławszy 28 starszyn i hetmana, podoficera w odstawce, złożył przed nimi fałszywą przysięgę i omawiał plany dalszej propagandy i tajnego zbrojenia się. Spiskowych było już 600, a mieli swoich ludzi nawet w biurach rządowych; w lecie było już do 1000 chłopów pod bronią. Ale gadulstwo kobiet, które — jak z natury rzeczy wynikało — przypuszczone być musiały do tajemnicy, a bardziej jeszcze żyłka pijacka i złodziejska chłopów, a nawet samego hetmana, wreszcie nieudany projekt wciągnięcia pewnego żołnierza do sprawy — wszystko to razem stało się powodem przedwczesnego odkrycia spisku. Już w czerwcu 1877 r. zjechała z Kijowa komisya śledcza z jenerałem na czele; aresztowano wielu, ale nie odkryto nic ważnego. Dopiero donos owego żołnierza wykrył wszystko. Z końcem sierpnia już 900 spiskowych siedziało w więzieniach, a we wrześniu aresztowano Stefanowicza, Lejbę Deutsch i Bochanowskiego, ale

ci zdołali uciec dość wcześnie. Oszukanych w niegodny sposób chłopów ukarano dosyć łagodnie.

Na tem skończyło się „buntarstwo“ ludowe. Lepiej nieco wiodło się w miastach. Duszą „buntarstwa“ miastowego był Aleksander Michajłow, syn geometry, urodzony w r. 1855 w Putywlu, który gimnazyastą jeszcze będąc, organizował tajną bibliotekę, redagował gazetkę, a wnet potem urządził tajne towarzystwo oświaty ludowej. Zajęty agitacyą, zaniedbał nauki, przeniósł się do gimnazyum realnego, a ztamtąd na politechnikę do Petersburga w r. 1875. Tam zamiast się uczyć, zakładał towarzystwa, biblioteki i urządzał propagandę studencką i rzemieślniczą w stolicy i miastach. Jako niedbałego ucznia, wydalono go z instytutu. Wtenczas, w zimie 1875/6 r., rozpoczął on pielgrzymkę wzdłuż Dniepru, bawił czas jakiś w Kijowie i powoli zapoznał się z wszystkimi odcieniami „buntarstwa“. W lecie 1876 r. widzimy go członkiem komuny studenckiej w Petersburgu, a wnet potem członkiem związku Narodników czyli Troglodytów, pracującego wraz z Oboljerzynem nad ujęciem w karby „szerokiej rosyjskiej natury“ związkowych, żądał większej karności i centralizacyi w zarządzie. Z wiosną 1877 r. partya Narodników ruszyła w południowe prowincye Rosyi. Założono centralne grupy Narodników w Astrachanie, Saratowie, w koszu kozaków nad Donem, pod któremi stały grupy pomniejsze. Michajłow z Olgą Nathanson osiadł w Saratowie i ztamtąd kierował robotą. Korzystano z lokalnych nieporozumień i waśni między robotnikami a chlebodawcami i starano się je wyzyskać. Tym to usiłowaniom Narodników przypisywano robotnicze strejki i rozruchy fabryczne w Sierpuchowie, Tejkowie, w Petersburgu, Moskwie i Odessie, jakie podówczas wybuchły, oraz rozruchy kozackie w Kubaniu, na Uralu i nad Donem. Próbowano też zawiązać socyalistyczne stowarzyszenia robotników w Petersburgu, Moskwie, Kijowie i Odessie ze swym statutem, swoją kasą i biblioteką. Zdolniejszych robotników przerobić chciano na agitatorów i wysłać w lud, patrzący zawsze z niedowierzaniem na „paniczów“. Udało się nawet 30 marca 1876 r. z powodu pogrzebu politycznego więźnia, studenta Czernyszewa, urządzić na ulicach Petersburga poważną demonstracyę

ludową. Przed gmachem sądowym zatrzymał się olbrzymi orszak żałobny; nad trumną więźnia odprawiono modlitwy, poczem orszak posuwał się dalej poważnie aż na cmentarz; nad grobem miano rewolucyjne mowy. Udało się to jedynie dlatego, że policya nie była przygotowaną na taką demonstracyę. Za to zakończyła się tragicznie demonstracya 150 studentów i studentek na placu przed cerkwią kazańską 6 grudnia 1876 r. Po nabożeństwie żałobnem w cerkwi za zmarłych nihilistów młodzież wyruszyła na plac; student Plechanow miał gorącą mowę, ubolewając nad stratą „najlepszych synów Rosyi", jak Neczajewa, Dałguszyna, Czerniszewskiego, nad ciężką dolą ludu i niewolą wszystkich. Wzniesiono potem w górę młodego chłopaka wiejskiego, Popowa, który z czerwoną chorągiewką z napisem *Zemla i wola*, wywijał na wszystkie strony. Nadbiegła policya, wmieszała się publiczność, wszczęła się bójka na pięści i kije, zakończona aresztowaniem 22 uczestników rozruchu, między tymi 4 kobiet. Z końcem stycznia 1877 r. rozpoczął się proces 21 towarzyszów „o demonstracyę na kazańskim placu" przed sądem senatu, zakończony wyrokiem 7 lutego. Boholubow, Biberhal, Czernawski, skazani do katorgi na lat 15, Boczarew i Herwazyj na lat 10; inni na posilenie i fortecę.

Naturalnie, że taka srogość kary za prosty tumult uliczny wywołać musiała spotęgowaną chęć zemsty w szeregach nihilizmu. W lutym 1877 r. przy pogrzebie więźnia, studenta Podlewskiego, przyszło także do starcia między ludem a policyą. Lud policyę rozegnał, wyniósł trumnę z kaplicy, zatrzymał się z nią przed gmachem sądowym i doniósł szczęśliwie na cmentarz.

Na tem, zdaje się, kończą się dwuletnie roboty „buntarów" i Narodników. W gruncie rzeczy są one nędzne i bez rezultatu. Przyczyną tego nietylko „biały terror" rządowy, uwięzienie przedniejszych nihilistów i wielkie śledztwa w Moskwie i Petersburgu, ale i ta okoliczność, że z wybuchem wojny z Turcyą w r. 1877 mnóstwo nihilistów wstąpiło w szeregi wojskowe, aby walczyć dla braci Sławian Bułgarów i wyuczyć się rzemiosła wojennego. Nie należy zapominać też i o tem, że pewna ilość najzdolniejszych nihilistów zajętą być musiała niesieniem pomocy

więźniom i wykradaniem ich z paszczy mściwego rządu. Zabierało to ludzi, pieniędzy i czasu wiele. Tak zdołano ułatwić ucieczkę księciu Krapotkinowi z Petropawłowskiej kreposti 29 lipca 1876 r., Stefanowiczowi, Lejbie Deutsch i Bochanowskiemu, autorom szabelnikowskiego buntu Ukraińców, z więzienia kijowskiego w maju 1878 r. i kilku innym.

W trakcie tych robót „buntarów“ i Narodników toczyły się leniwo olbrzymie śledztwa w Moskwie i Petersburgu, a rozpoczęło się nowe w Odessie, i setki propagandzistów, bez śledztwa, drogą administracyjną zasłane w Sybir, wlokły się etapem na miejsce swego przeznaczenia.

W procesie w Moskwie 50-ciu młodych ludzi i dziewcząt, obżałowanych o uczestnictwo w „zbrodniczych knowaniach“ w południowej Rosyi, zasiadło na ławie oskarżonych przed sądem senatu. Zamiarem rządu było przerazić społeczeństwo rosyjskie potwornością doktryn nihilistów; dlatego sekretny Memoryał Pahlena rozrzucono po kraju, dlatego proces 50-ciu w Moskwie miał się odbyć jawnie. Rozpoczął się 21 lutego 1877 r. i trwał do 12 marca; prezydował na nim senator Peters; obżałowanych podzielono na 5 grup. Na czele pierwszej stali: chłop Aleksiejew, Szymon Agapow i 24-letnia panna Zofia Bardin, szlachcianka z Tambowa, która skończywszy „kursa“ w Rosyi, udała się do Zurychu, aby pod kierunkiem Bakunina poświęcić się „studyom nad kwestyą robotniczą“. W r. 1874 wróciła do Rosyi i pod nazwiskiem wdowy po sołdacie Zajcew, wstąpiła jako zwykła robotnica do fabryk i rozpoczęła tak żywą propagandę, że już w kwietniu 1875 r. uwięziono ją i zamknięto w więzieniu śledczem w Moskwie. Stawiona przed sąd, broniła się sama, a mowę swą zakończyła pompatycznie: „Społeczeństwo pomści się za nas, a zemsta ta będzie straszną. Masakrujcie nas i zabijajcie, wy katy, a nie sędziowie; korzystajcie z tej krótkiej chwili, kiedy brutalna siła jeszcze w waszem ręku. Przeciw waszej przemocy materyalnej my stawiamy potęgę duchową, a ta zwycięży, bo postęp, wolność i równość walczą za nami, a haseł tych nie zdołacie przebić waszymi bagnetami“. Tak ona mówiła; nihiliści okrzyknęli ją bohaterką; sąd skazał na 9 lat katorgi. Oprócz

tego skazano osób: do katorgi 5, na posilenie w Sybir 11, na pobyt w Sybirze 17, do rot aresztanckich 2, do turmy 2, na areszt zwykły 2; uwolniono 7, których jednak ukarano drogą administracyjną. Pomnijmy, że wszyscy przesiedzieli w śledztwie 23 długie miesiące! W kilka tygodni potem, od 23—29 maja t. r. toczył się przed sądem senatu w Petersburgu proces *južno-ruskaho rabaczaho sojusza* czyli południowo-rosyjskiego roboczego związku. Z 60 aresztowanych stawiono przed sąd Zasławskiego i 14 towarzyszów; skazano do katorgi 3, na posilenie w Sybir 5, do rot aresztanckich 3, do turmy 4. Z początkiem czerwca, od 1—10, sąd senatu w Petersburgu zasądził Derzawina i 2 towarzyszów na kilkoletnie zamknięcie w turmie; Wydarina do katorgi, 4 jego towarzyszów zamknięto do turmy, uwolniono 4. W tymże prawie czasie i w tymże sądzie skazani: Lebiedew do turmy, Janow do katorgi, Pawłow na posilenie, dr. Pokruszkin na posilenie, z 6 jego towarzyszów zamknięto do turmy 5, uwolniono 1.

Nareszcie od 18 października 1877 do 23 stycznia 1878 r., a więc przez 84 dni, toczył się przed senatem w Petersburgu olbrzymi proces 193-ech obżałowanych także o propagandę zbrodniczą. Korzystając z wolności słowa, jaką im dano w tym celu, aby społeczeństwo rosyjskie z ust samych spiskowców usłyszało zgubność i przewrotność ich doktryn, zaprzeczyli niektórzy z podsądnych kompetencyi sądu; nic to oczywiście nie pomogło; sąd rozpoczął swą akcyę, a podsądni z ławy oskarżonych zrobili sobie katedrę, z której doktryny swe rewolucyjne swobodnie rozwijali, nie szczędząc słusznych zarzutów i obelg rządowi i sędziom. Z tego powodu, pomimo jawności rozprawy, usuwano z sali coraz bardziej ciekawą publiczność, która dopiero tutaj dowiedziała się o istnieniu propagandy i z doktrynami jej sympatyzować poczynała na dobre. Kiedy wreszcie i dziennikarzy wykluczono z sali, podniósł znany nam tajny drukarz Myszkin gwałtowny protest przeciw ścieśnianiu jawności rozpraw, do której już tylko same urzędowe figury przypuszczano. Naprożno prezes sądu do porządku go przywoływał — on śmiało rzucił sędziom w oczy te słowa: „To nie sąd, ale niedorzeczna komedya, coś jeszcze bezecniejszego, niż dom nierządu; bo tam biedne istoty sprzedają z nę-

dzy swe ciało — tu zaś senatorowie z podłości i chciwości, dla rangi lub nędznej zapłaty, sprzedają życie ludzi, frymarczą prawdą i sprawiedliwością i wszystkiem, co drogie ludzkości". Wszczął się hałas nie do opisania. Żandarmi rzucili się na więźniów, aby ich uciszyć i z sali wyprowadzić; ci się opierali, bronili krzykiem, lżeniem i kułakami. Kobiety poczęły płakać i mdleć, publiczność szemrać; wreszcie na rozkaz prezesa, żandarmi siłą i mocą usunęli publikę z sali.

Odtąd podsądni milczeli upornie, nie dawali wyjaśnień ani się bronili, przez co napiętnowali jeszcze silniej służalczych sędziów, a zjednali sobie gorącą sympatyę w stolicy i kraju. Tajna prasa rewolucyjna rozrzuciła w tysiącach egzemplarzy piorunującą mowę Bardinownej i gorzkie narzekania chłopa Aleksiejewa na ucisk ludu, i gromki protest Myszkina. Wyrywano sobie te ulotne karty z rąk do rąk, połykano każde słowo łakomie, „uczono się" nihilizmu. Jawność, jakkolwiek bardzo względna, procesu 50-ciu w Moskwie i 193-ech w Petersburgu, osiągnęła skutek wręcz przeciwny zamiarom rządu; zamiast zdyskredytować nihilizm, zyskała mu rozgłos i sympatyę. Ta też, zdaje się, okoliczność wpłynęła na wyrok sędziów, który wypadł stosunkowo bardzo łagodnie. Tylko Myszkina skazano na lat 10 katorgi, 36 na Sybir, innych na mniejsze kary, uwolniono zaś 94, między nimi przyszłych morderców cesarza Aleksandra II.: Zeljabowa, Kibalczyca i Perowską, a z nią 16 kobiet: Wierę Panjutin, Sarudnewnę, Olgę Schylińską i inne. Wszyscy oni wytrzymali katusze półtrzeciarocznego śledztwa, i jeszcze po uwolnieniu swojem, nie zostali wolnymi; oddano ich pod nadzór policyi, lub drogą administracyjną „uprzątnięto ich i schowano".

Któżby powiedział? — cesarzowi Aleksandrowi II. wyrok wydał się zbyt łagodnym; zaostrzono go więc i skazano do katorgi 13, na posilenie w Sybir 20, uwolniono 91, resztę tj. około 80 obżałowanych skazano na więzienie i zsyłkę drogą administracyjną.

(C. d. n.).

Ks. Stanisław Załęski.

KAZNODZIEJSKA DZIAŁALNOŚĆ

SARBIEWSKIEGO.

W roku 1895 przypadnie 300-letnia rocznica urodzenia Macieja Kazimierza Sarbiewskiego.

Poeta, który przez długie lata ceniony, nieraz nawet przesadnie uwielbiany przez obcych, nie mógł się jakoś doczekać uznania u swoich, w ostatnich czasach, dzięki ożywionemu u nas ruchowi naukowemu, który się zwraca obecnie ku ubiegłym wiekom i bada je bezstronnie a gruntownie, odzyskuje stopniowo zasłużoną sławę i coraz większe wywołuje zajęcie w kołach naszych uczonych. P. Krystyniacki, najstarszy z badaczy na tem polu, łamie pierwsze lody uprzedzeń i stara się skreślić życzliwą charakterystykę poety, przyczem ogłasza wiersze jego nieznane i oznacza, w głównych przynajmniej zarysach, chronologię jego pieśni [1]; ks. Badeni w zajmującym obrazie obejmuje całe życie poety i różnorodną jego działalność, odsłaniając zarazem źródła jego natchnienia i wybitniejsze rysy charakteru [2]; p. Marcin Sas w gruntownej i niezmiernie pracowitej rozprawie wyjaśnia me-

[1] *M. C. Sarbievii carmina posthuma,* edidit Joannes Krystyniacki. Leontopoli 1876. — *Fasti Sarbieviani* czyli o chronologicznym porządku pieśni Sarbiewskiego. Napisał Jan Krystyniacki. Lwów 1886. (Odb. ze Sprawozd. c. k. IV. gimn. za rok 1886).

[2] „Kazimierz Maciej Sarbiewski". Przez X. X. *Przegl. Powsz.*, t. IV. (1884), str. 208 i 376.

trykę Sarbiewskiego [1]; wreszcie niespełna przed rokiem ogłasza swą pracę p. Windakiewicz, w której na podstawie rękopisów odnalezionych w bibliotece Barberinich określa talent Sarbiewskiego, wyświeca jego naturę i genezę; przyczem podnosi szczegół ważny i nowy, tj. przełom w życiu poety: zerwanie z tradycyami panegirycznej szkoły a przejęcie się zdrowszym kierunkiem artystycznym pod wpływem klasycznej Italii i rzymskiego otoczenia [2].

A zwrot ten przychylny ku osobie Sarbiewskiego i ku jego dziełom, nie dokonuje się tylko w szczupłem kole specyalistów; owszem, daje się on spostrzegać i w szerszych sferach naszego społeczeństwa. W Warszawie przed trzema laty wzniesiono w pojezuickim kościele kosztowny pomnik, poświęcony przez wdzięcznych ziomków pamięci tego, który, jak mówi napis: „sztuką równy Horacemu, umysłem podnioślejszy, wiarę, sprawy i obyczaje przodków przepięknymi wierszami opiewając, narodu swego imię między obcymi szeroko rozsławił". Ten sam komitet, który się zajmował budową pomnika, zamierza podobno przy współudziale filologów zawodowych przygotować na rok jubileuszowy krytyczne wydanie poezyj Sarbiewskiego, którego dotychczas, mimo istniejących już kilkudziesięciu wydań, nie posiadamy zupełnie.

Wobec tego życzliwego zajęcia się Sarbiewskim, sądzę, że nie od rzeczy będzie dorzucić tutaj kilka drobnych szczegółów, o tyle godnych uwagi, że dotyczą tej strony działalności poety, na którą zwyczajnie mniej zwracamy uwagi — działalności jego kaznodziejskiej.

Szczegóły te, częścią nowe, częścią znane już ale zapomniane i rozstrzelone, mogą mieć oczywiście drugorzędną tylko wartość wobec faktu, że wszystkie kazania Sarbiewskiego, oprócz „Laski marszałkowskiej" i paru łacińskich okolicznościowych przemówień, zaginęły bez śladu, a przynajmniej nikomu dotychczas odnaleść się ich nie udało: mimo to nie zawadzi zebrać je tu ra-

[1] „O miarach M. K. Sarbiewskiego i o ich wzorach". Napisał M. Sas. Kraków 1889. (Odb. z XIII. t. Rozpraw wydz. filol. Akad. Um.).

[2] „Liryka Sarbiewskiego". Napisał St. Windakiewicz. Kraków 1890. (Odb. z XV. t. Rozpraw wydz. filol. Akad. Um.).

zem; będzie to może niejaką ulgą dla przyszłego badacza. Nim dojdziemy do wyczerpującej monografii, gromadzić trzeba nietylko poważny materyał, ale i drobne ziarna.

* * *

W kaznodziejskim zawodzie Sarbiewskiego musimy rozróżnić dwa okresy. Pierwszy z nich, obejmujący lata jego profesorskie, to okres jeszcze niewyraźny, początkowy, do pewnego stopnia przygotowawczy; drugi, obejmujący ostatnie pięciolecie życia, to już okres stałej i żmudnej pracy kaznodziejskiej, której poeta niespodziewanym zbiegiem okoliczności poświęcić się musiał zawodowo.

O pierwszym z tych okresów niewiele możemy powiedzieć. Z zasadami wymowy obznajomił się Sarbiewski w szkołach jezuickich, których był uczniem; wyrobił się w tym kierunku jeszcze więcej, kiedy niedługo po wstąpieniu do zakonu sam wykładał retorykę, raz przed wyjazdem do Rzymu, drugi raz po powrocie. Wiadomo zaś, że jezuicka *ratio studiorum* na retoryce, obok lektury klasyków i wykształcenia humanitarnego, największy kładzie nacisk na wymowę. Na tym urzędzie okazać się miał Sarbiewski utalentowanym mistrzem — przynajmniej Sotwell pisze, że uczniowie, zarówno jak i przełożeni, młodego profesora cenili wysoko [1].

Nic jednak nie słychać, żeby Sarbiewski w pierwszych latach swego kapłańskiego zawodu wstępował na ambonę i zajmował się bliżej kazaniami. Nic dziwnego. Pomijając już poezyę, której w tych latach ciągle się jeszcze oddawał, pamiętać trzeba, że zajęcia profesorskie pochłaniały mu cały czas. Po powrocie z Rzymu, przez rok uczył on wymowy, przez trzy lata filozofii, przez cztery przeszło teologii [2]. W każdej z tych gałęzi nauk pracował gruntownie i sumiennie. Wykłady przygotowywał z wielką starannością i wkładał w nie duży zasób erudycyi; nadto ciągle był zajęty pisaniem i wykończaniem dzieł, które

[1] *Bibliotheca Scriptorum Soc. Iesu,* str. 600. To samo twierdzi i Langbein (str. XVIII), na Sotwellu głównie oparty.

[2] *Lituanicarum Soc. Iesu, historiarum libri decem,* auct. St. Rostowski. Parisiis 1877; pag. 432 (appendices).

niestety nie miały pojawić się w druku. Wiadomo, że jako profesor wymowy, wykończał swą pracę mitologiczną: *Dii gentium*, i drugą: *Praecepta poetica;* ucząc filozofii, napisać miał sześć ksiąg: *De physico continuo* — na teologicznej wreszcie katedrze opracowywał traktat: *De Angelis*, jakoteż drugi: *De Deo uno et trino* [1].

Dopiero po roku 1630 napotykamy pierwsze ślady większego zajęcia się wymową.

Sarbiewski zaczyna występować publicznie jako mowca i używanym jest przez Jezuitów wileńskich do uświetniania większych uroczystości:

I tak w r. 1631 wita on przemową łacińską w imieniu kolegium nowego biskupa wileńskiego, Abrahama Wojnę [2]; w trzy lata później, 1634 r., wśród uroczystego przenoszenia relikwij, występuje znowu z łacińską mową pochwalną [3].

Nie brakło zapewne w tym czasie i innych sposobności, przy których talent kaznodziejski naszego poety musiał wyjść na jaw i głośne zyskać uznanie, kiedy w r. 1635 mimo uciążliwej profesury w Akademii wileńskiej, powierzają Sarbiewskiemu osobny urząd kaznodziei przy kościele jezuickim św. Jana w Wilnie [4].

Jako wileński kaznodzieja, wychwalał on w mowie pogrzebowej w kwietniu 1635 r. zmarłego marszałka lit., Jana Stanisława Sapiehę, o co usilnie go prosił brat zmarłego, pisarz litewski Kazimierz [5], pragnąc widocznie, aby niepośledni jakiś mowca przemawiał nad zwłokami zasłużonego marszałka.

Mowa ta, w parę miesięcy potem drukiem ogłoszona, ustaliła Sarbiewskiemu imię głośnego kaznodziei, usłała mu drogę do

---

[1] *Bibliotheca Scriptorum Soc. Iesu,* auctore Philippo Alegambe. Antverpiae apud Ioannem Meursium 1643. (Patrz na str. 337).

[2] Oratio qua Antistitem Vilnensem novum Abraham Woyna nomine collegii Vilnensis excepit, anno 1631.

[3] Honor Sanctorum reliquiis Vilnae exhibitus, anno 1634.

[4] Szczegół ten, jak i następujące, czerpiemy z niedrukowanej dotychczas części dyaryusza ks. Wielewickiego, którąśmy przejrzeli w rękopisie dzięki uprzejmości ks. prof. Chotkowskiego. (Cfr. *Mss. Diarii* fol. 989, nr. 58).

[5] Dedykacya „Laski marszałkowskiej".

ambony królewskiej — jak to już na innem miejscu mówiliśmy[1] — i chlubnie zamknęła pierwszy okres jego kaznodziejskiego urzędu, okres początkowy, przygotowawczy.

Teraz nastąpić miał okres drugi, pełen życia i szerokiej działalności. Poeta, który zajęty dotychczas prawie wyłącznie poezyą i szkołą, tylko przygodnie i wyjątkowo stawał na ambonie, a w każdym razie wymową nie zajmował się z zawodu i powołania — teraz miał się jej cały poświęcić i przez pięć ostatnich lat swego życia obracać się jedynie w sferze kaznodziejskiej.

Dnia 2 czerwca 1635 r. umarł niespodzianie nagłą śmiercią jezuita Sebastyan Łayszczewski, królewski kaznodzieja[2]. Władysław IV., będąc właśnie na wyjezdnem do Prus, zasmucił się wielce utratą tego pracowitego i zasłużonego kapłana i polecił natychmiast spowiednikowi swemu, Stanisławowi Pstrokońskiemu, aby królewskiem imieniem zwrócił się do przełożonych obu jezuickich prowincyj, polskiej i litewskiej, żądając przedłożenia dwóch kandydatów zdolnych na ten urząd; król chciał sam między nimi wybór uczynić i jednego z nich zamianować następcą Łayszczewskiego.

Wmieszały się do tej sprawy pokątne dworskie agitacye. Piotr Gębicki, podówczas sekretarz wielki koronny[3], forytował usilnie na ten urząd jezuitę Adama Makowskiego, znanego nam z mowy pogrzebowej nad trumną Birkowskiego. Król jednak dowiedziawszy się o tem, powiedział wprost Pstrokońskiemu, że Makowskiego nie chce, wydaje mu się bowiem niedosyć uzdolnionym na tak ważne stanowisko. Tak więc zabiegi Gębickiego spełzły na niczem, i ksiądz Makowski, chociaż „zacny świątobliwością i miły w konwersacyi“, choć protegowany przez Gębickiego i „wielki przyjaciel“ takich ludzi, jak książę Albrecht Stanisław Radziwiłł[4], królewskim jednak kaznodzieją nie został.

---

[1] Por. *Przegl. Powsz.*, marzec 1891, str. 329.

[2] Wielewicki, *Mss. Diarii* fol. 982, nr. 34. Mecherzyński każe żyć temu Łayszczewskiemu aż do r. 1637, biorąc mylnie rok ogłoszenia drukiem jedynego jego kazania: „Dwa lwi“, za rok wypowiedzenia tegoż.

[3] Dnia 2 grudnia 1635 otrzymał na sejmie pieczęć mniejszą koronną.

[4] „Pamiętniki A. St. Radziwiłła“. Poznań 1839; tom I., str. 36.

13 czerwca wyjechał król Wisłą z Warszawy do Prus, „aby tam ze Szwedem zawrzeć pokój, albo wojnę prowadzić“. Tymczasem obaj prowincyałowie wybrali kandydatów: z prowincyi polskiej przedłożono ks. Stanisława Szałapskiego poznańskiego kaznodzieję, z prowincyi litewskiej wileńskiego kaznodzieję i tamtejszej akademii profesora ks. Macieja Kazimierza Sarbiewskiego.

Obaj zjechali do Warszawy; a kiedy po powrocie królewskim z Prus, rozpoczął się sejm 21 listopada, wystąpili przed królem z kazaniami sejmowemi; król po wysłuchaniu obydwóch, wybrał Sarbiewskiego [1].

Itaque sors cecidit super Mathiam — dodaje Wielewicki. Jeźli ten los, jaki Sarbiewskiemu przypadł w udziale, był dla niego wielce zaszczytnym, to z drugiej strony wymagał on wiele zaparcia i poświęcenia, a ciężkie nakładał obowiązki. Sarbiewski miał aż do śmierci dźwigać uciążliwe jarzmo przy królewskim dworze; nowa praca miała pochłonąć ostatnie lata jego życia, podkopać do reszty słabe jego zdrowie, odsunąć go od towarzystwa zakonnych braci, pozbawić nawet potrzebnego w pracy wytchnienia.

Nie bardzo to rozkosznem było dla jezuity na królewską wstępować ambonę i mieszkać przy dworze. Już Skarga, poprzednik Sarbiewskiego na tym urzędzie, czuł dobrze ciężar swego stanowiska i mówił na kazaniu w Wiślicy: „Niech jedno skinienie starszego i Króla JM. będzie, obaczy każdy z jaką się ochotą do komórki porwiemy i strawnego i odwozu nie prosząc... Ja temu, który mi tę nowinę przyniesie, suknię, będzie-li moja, z siebie daruję. Abo my na jakie dochody i wakancye straż dworską trzymamy? Abo nam smakują świeckie mieszaniny, odmiany i nowiny i postępki Kościołowi Bożemu i ojczyźnie straszliwe, które się do dworu, jako rzeczki do Wisły zbiegają? Izali kochać się możem w nabieganiach i niepokojach i ścieraniu się z dworskimi żołnierskimi obyczajami?... A zwłaszcza w takiem

[1] Wielewicki, *Mss. Diarii* fol. 989, nr. 58. Co do czasu powołania Sarbiewskiego na kaznodzieję królewskiego, chaos panuje po książkach. Sobieszczański w „Encyklopedyi“ Orgelbranda naznacza błędnie rok 1632; Mecherzyński w swojej „Historyi wymowy“ utrzymuje również, że jeszcze Zygmunt III. powołał Sarbiewskiego na kaznodzieję królewicza Władysława.

ludzi dzisiejszych zatwardzeniu do pokuty, i do duchowieństwa niechęci, i niewdzięczności ku darom i sługom Bożym“ [1].

Wszystkich tych przykrości doświadczyć miał na sobie i Sarbiewski; dworskie intrygi miały mu zatruć przedostatni rok życia... Ale są to już dzieje lat późniejszych. Narazie czekała poetę tylko ciężka praca.

Pierwszą taką pracą, do której musiał się zabrać czem prędzej, było materyalne przygotowanie się do nowego urzędu. W samych zaraz początkach 1636 r. cały on tak zajęty i przeciężony robotą, że ani sobie, ani poezyi chwilki nawet czasu poświęcić nie może [2]. Nic dziwnego — urząd ten nowy spadł na niego niespodziewanie. On, który dotąd wzrósł i żył przeważnie w tradycyach klasycznego świata, a oprócz „Laski marszałkowskiej“ nic jeszcze nie wydał po polsku, stał się nagle następcą największych polskich kaznodziei. Na dworze królewskim żyła jeszcze świeża pamięć Skargi, jeszcze brzmiały w uszach słowa Birkowskiego — a i ten nawet Łayszczewski, którego znamy z jednego panegiryku: „Dwa lwi“, jako słabego i zepsutego już kaznodzieję, poza sferą mów panegirycznych, w właściwych kazaniach niedzielnych, miał być wedle zdania współczesnych mowcą wcale niezłym. Przynajmniej Wielewicki, w sądach i pochwałach dosyć umiarkowany, mówi o nim, że „rzadki miał talent w kazaniach, że pełnym był ducha apostolskiego i mawiał nauki do ludzkich obyczajów zastosowane, z wielkim pożytkiem i wzruszeniem serc ludzkich“ [3].

Łatwo zrozumieć, że Sarbiewski na tem nowem stanowisku uczuł potrzebę głębszego zapoznania się z kaznodziejskim stylem wogóle, w szczególności zaś z wzorami polskiej wymowy, z bogactwem i właściwościami krasomówczymi polskiego języka.

---

[1] „Na artykuł o Jezuitach...“ Kazanie Skargi w Wiślicy 17 września 1606 r.

[2] Korespondencyę między Sarbiewskim a Łubieńskim, zawierającą 92 listy, zebrał i ogłosił Bohomolec w dziele pod tytułem: *Mathiae Casimiri Sarbiewski opera posthuma.* Varsaviae 1769. — Dla krótkości nazywać ją będziemy „Zbiorem Bohomolca“. (Por. tamże, list 7, str. 89).

[3] *Mss. Diarii* fol. 982, nr. 34.

Wziął się więc do osobnych studyów, które odbywać musiał gruntownie i pracowicie; a ta praca żmudna, do pewnego może nawet stopnia filologiczna, praca w której się nie obeszło bez licznych notatek i zapisków [1], nic dziwnego, że musiała nużyć i zniechęcać poetyczną naturę młodego kaznodziei. To też pisze on jakoś kwaśno do Łubieńskiego (19 kwietnia 1636): „Studya, jakie z konieczności odbywam teraz nad ojczystym językiem [2], tak wysuszyły we mnie źródła łacińskiej wymowy, że wobec tego potoku wysłowienia, który tak miłym jest w twoich listach, nic nie mam cobym mógł wylać na papier“ [3].

Obok tych żmudnych studyów przygotowawczych, trzeba było zaraz kazać.

Król cały rok 1636 przepędził poza stolicą. Już w grudniu 1635 wyjechał do Prus, i zatrzymał się tam aż do marca 1636 r.; w marcu przybył do Litwy, parę miesięcy zabawił w Wilnie, objeżdżał różne dwory i knieje, załatwiał sprawy urzędowe i polityczne, odbywał sądy, przyjmował posłów, bawił się, polował — i dopiero pod koniec roku z Grodna na Tykocin wrócił do Warszawy, gdzie stanął 6 stycznia 1637.

Zdawałoby się, że te podróże królewskie umniejszały prace nadwornego kaznodziei; rzecz jednak miała się przeciwnie. Z wiosną 1636 r. widzimy już Sarbiewskiego, wśród pracy kaznodziejskiej, w stolicy Litwy, Wilnie. Mając wraz z królem przez dłuższy czas na Litwie zabawić, wziął się systematycznie do dzieła i zaczął obronę Kościoła od kazań apologetycznych i od zwalczania herezyi.

Nie była to tylko próżna szermierka słów. Kwestya herezyi

---

[1] Tego sposobu zawsze używał Sarbiewski (cfr. Bibl. Czart. Mss. 1405. *Memorabilia).*

[2] Nie potrzebuję tu zbijać Langbeina ani Bohomolca, z których pierwszy przypuszcza błędnie, że Sarbiewski nie znając polskiego języka, musiał się go uczyć; drugi mniema, że słowa *lingua popularis* odnoszą się do języka nie polskiego, lecz francuskiego. Błędne te przypuszczenia zbito już gdzieindziej. (Por. *Przegl. Powsz.* tom IV. 1884, str. 377). — Podobnie rzecz tłumaczy nie znający stosunków naszych ks. Diel w *Stimmen aus Maria-Laach* (tom V. 372).

[3] Zbiór Bohom., list 9, str. 90.

za czasów Sarbiewskiego była na Litwie kwestyą pierwszorzędnej doniosłości. Chociaż bowiem od czasów Zygmunta III. i przybycia Jezuitów do Polski, różnowiercy stracili w znacznej części grunt pod nogami i osłabli tak liczbą jak i znaczeniem, to jednak w pierwszej połowie rządów Władysława IV. zaczęli znowu śmiało i prowokacyjnie głowę podnosić. Król ten — jak powiada Kojałowicz — „politycznymi względami kierowany, odstąpił od zwyczajów ojca i okazywał się powolniejszym względem dysydentów". Po Litwie w szczególności szeroko jeszcze rozgałęzione były herezye: luterańska, kalwińska, aryańska; a i schyzma wschodnia śmielej sobie poczynała za młodego pana; w samem Wilnie było kilka zborów, jak luterski i kalwiński, do którego i inne sekty chodziły; na przedmieściu Adamici mieli swoje zborzysko; obok szkół jezuickich i bazyliańskich, istniały innowiercze gimnazya w Kiejdanach, w Słucku, w Nowogródku...[1] Świeżo przed przybyciem Sarbiewskiego do Wilna, zagorzały heretyk, książę wojewoda wileński (od r. 1633—40) Krzysztof Radziwiłł, drażnił coraz bardziej umysły, buntował szlachtę na sejmikach, przeciw katolikom knował, wywłóczył zapomnianą już sprawę Bolestraszyckiego[2], tak że niedługo potem pisano z Wilna: „W Babilonie Wileńskim coraz to większe konfuzye i powstawania gigantów litewskich przeciwko Bogu"[3].

Do jakich zaburzeń doprowadziły te ruchy wyznaniowe w r. 1639 i 1640, wiadomo z historyi — dość przypomnieć publiczne zniewagi kościołów i nabożeństw katolickich, bijatyki i mordy po ulicach Wilna, miotanie strzał na kościół św. Michała i t. d.

Sarbiewski po przyjeździe do Wilna prędko zoryentował się w sytuacyi i rozwinął na wielką skalę akcyę apostolską, broniąc Kościoła na tym punkcie, na którym najbardziej był zaatakowany. Biskup Łubieński dodawał mu otuchy i zachęty w tej walce.

---

[1] *Miscellanea.* Vilnae, typis Acad. 1650, str. 58, 71, 72.

[2] Teka Narusz. 131, nr. 193. Mowy Radziwiłła.

[3] Teka Narusz. 134, nr. 54. Excerpta z listów przedniejszych ludzi.

„O wiele piękniejszą — pisał do niego 21 czerwca 1636 — byłaby w oczach moich Litwa, gdyby cała była katolicką jak dawniej. Ty, który z tytułu twego urzędu, królewskimi niejako usty rzucasz nasienie Ewangelii, użyj praw twoich i tę zarazę wyruguj — co zresztą i czynisz, jak to słyszę ku wielkiej mojej radości“ [1].

Sarbiewski te uwagi i zachęty biskupa zowie słusznemi zupełnie; w skromności swojej obawia się, czy wymowa jego będzie tak silną, żeby sprostać onemu zadaniu, zapewnia jednak biskupa, że ze swej strony, jak się dotychczas starał, tak też i na przyszłość jak najusilniej starać się będzie, aby jego nadziei nie zawieść [2].

Te starania nie były widocznie bezskuteczne, kiedy sędziwy biskup płocki wychwala w dalszym liście kaznodziejską działalność poety w Wilnie i przyznaje, że mimo trudności napotykanych, chwalebnie na tem polu pracuje; życzy mu nawet palmy obrońcy wiary“[3].

Szereg tych kazań apologetycznych przerwały dwie uroczystości, które blisko obchodziły poetę. Pierwszą z nich była uroczysta jego promocya na doktora teologii, która odbyła się na wyraźne życzenie króla bardzo wystawnie i uroczyście dnia 5 lipca 1636 r. w kościele jezuickim św. Jana. Opisy tej uroczystości znane zkądinąd [4]. Co naszego tematu dotyczy, wspomnieć warto, że po promocyi Sarbiewski osobną łacińską mową [5] dziękował królowi za doktorskie insygnia i że mową tą zachwycił obecnych panów i dygnitarzy. Radziwiłł, pisząc o tem w Pamiętnikach, powiada, że „wdzięcznością stylu i pięknością wymowy wszystkich ujął serca i podziwieniem napełnił“; — „nie rozu-

---

[1] Zbiór Bohom., list 11, str. 93.

[2] Tamże, list 12, 94.

[3] Tamże, list 13, 95.

[4] Rostowski, str. 315; — ks. Badeni, *Przegl. Powsz.*, tom IV. (1884), str. 378; — Pam. Radz. I, str. 319; — Krystyniacki, *Fasti Sarbieviani* (na str. 55 znajdujemy program tej uroczystości, odnaleziony w Bibl. Ossol.).

[5] Oratio ad Vladislaum regem cum insignibus theologicis ornaretur in Academia Vilnensi. 1636, in 4°.

miałbym, — dodaje na końcu — żeby sama elokwencya gładziej mówiła“ [1].

Druga uroczystość — jedna z największych, jaką oglądało kiedykolwiek Wilno — to przeniesienie zwłok św. Kazimierza do nowej świątyni, która stanęła hojnością Zygmunta III., zmarłego hetmana Lwa Sapiehy i innych możnych panów [2]. 14 sierpnia 1636 r. wśród wieczornego nabożeństwa, w obecności króla Władysława, infantki siostry jego Anny Katarzyny, nuncyusza Maryusza Filonardiego, hiszpańskiego posła [3] i kwiatu litewskich panów — Sarbiewski, który lubił widocznie artystyczne efekta, wstąpił na ambonę w todze doktorskiej i wygłosił po łacinie gustowną, może trochę zanadto akademicką mowę, rozwodząc się w niej pięknymi peryodami, z małem może uczuciem, o wielkości uroczystości samej i o chwale św. Kazimierza [4].

„Już oddawna — mówił kaznodzieja — i przez lat wiele powszechne modły i pragnienia nasze wzbijały się w niebo do Boga wszelakiej dobroci i łaski, do naszych świętych Patronów, a nadewszystko do najbliższego orędownika miasta i kraju, Kazimierza św., by już jak dusza jego najczystsza w stolicy chwały wiecznej spoczęła, tak też dziewicze ciało w godnem siebie i wspaniałem schronieniu uroczyście na zawsze złożone i od wszystkich czczone być mogło... Dziś już spełnieniem tych życzeń uszczęśliwieni jesteśmy i u tych świętych ołtarzy głosimy najuroczyściej powszechną radość naszą...

„Już nasze oczy porywa ten poświęcony św. Kazimierzowi

---

[1] Pam. Radz. I, str. 319.

[2] Uroczystość tę najobszerniej opisał ks. A. Lipnicki w dziełku pod tyt.: „Życie, cuda i cześć św. Kazimierza“. Wilno 1858.

[3] Wielewicki, *Mss. Diarii* fol. 1004, nr. 50.

[4] „Oratio panegyrica, habita in praesentia serenissimi ac invictissimi Vladislai IV. Poloniae et Sueciae regis, a R. P. Matthia Casimiro Sarbiewski S. I., S. Theologiae Doctore et sacrae Regiae Maiestatis contionatore in solemni corporis D. Casimiri translatione, priusquam publica processione per urbis Vilnae plateas in regium cathedralis templi sacellum deferretur, anno 1636 14 Augusti“. Vilnae, typis Academicis Soc. Iesu. Anno Domini 1636. Wydał ją powtórnie Naruszewicz w dziele: *Reverendi Patris Matthiae Casimiri Sarbiewski e Soc. Iesu poemata, quibus accedit oratio* etc. Vilnae 1757. — Na polskie przełożył ją ks. Lipnicki w dziełku cytowanem powyżej.

przybytek, ten godny obraz nadziemskiego przybytku, nieobjętego przestrzenią i czasem; modlitwy, pokoju królewska świątnica, urocza kształtem, pomysłem rzadka, wykończeniem świetna, w różnorodne dalekich krajów marmury i najwspanialsze kamienne bryły odziana... A z katedralną świątynią tak ona ściśle się łączy, tak serdecznie kojarzy, jak brylant z pierścieniem; tak pięknie zdobi naczelny zamek i gród litewski, jak wieniec głowę; tak całe księstwo wielkie okrasza, jak słońce okrąg ziemi".

Widzimy, że żyłka poetyczna nie opuszczała Sarbiewskiego i na ambonie.

Przechodząc do zwłok św. Kazimierza, wspomina, że słuszną jest i przynależną mu ta chwała za jego cnoty, za jego dziewictwo; dodaje, że uroczystość wileńska jest tylko bladym obrazem tej chwały, jakiej Święty w niebie zażywa, niemniej przeto miłym jest niebu całemu ten tryumf, jaki naród składa swemu patronowi.

„Cóż bowiem od nas Bogu dziś milszego być może nad cześć i uwielbienie wiernych sług Jego? Cóż piękniejszego nad obnoszenie zwycięskie świętego ciała, w którem potężna dusza pobiła niegdyś na głowę najzawziętszego wroga Bożego? Możecież wątpić słuchacze, że dzisiaj święci orędownicy nasi spoglądają z weselem, z błogosławionych nieba przybytków, na to miasto nasze, na to prześwietne ludu zebranie, na te sztandary?! Boże wiekuisty! Z jakiemże weselem i błogością wspomnienia w duchu łączy się tu z nami św. Stanisław, biskup krakowski, męczennik, naczelny patron tej katedralnej świątyni? Jakże radośne oblicze ku naszej zwracają stronie dalsi Królestwa, Wielkiego Księstwa orędownicy: św. Wojciech, Wacław, Jacek i ów drugi Stanisław Kostka, który dzień dzisiejszy, pamiątkę zejścia swego, łączy z obchodem św. Kazimierza?... A jeźli wolno pobożnie mniemać, jakby się słusznie dla cnót ich godziło, że owe stare Jagiellony nasze, króle i bohatery Polski i Litwy w niebios krainie już żyją — ztamtąd spogląda pewno on wielki Władysław Jagiełło na Kazimierza wnuka; patrzy Władysław III., król Węgier i Polski, który za wiarę i bezpieczeństwo chrześcijańskich ludów pod Warną poległ, na swego synowca; patrzy

sam król Jędrzej Kazimierz na syna; patrzą: Władysław, Czech i Węgier, Jan Albert, Aleksander i Zygmunt, polscy królowie, na brata swego, który nie tak na tem wspaniałem posłaniu, jak bardziej na sercach naszych i pobożności powszechnej spoczywa".

W epilogu, który jest bezsprzecznie najpiękniejszym ustępem w całej tej mowie, zawarł Sarbiewski piękną naukę moralną:

„Pójdziesz więc, — mówi on — pójdziesz Kazimierzu królewiczu najświętszy, wsparty na ramionach kapłanów, po ulicach miasta. Wyszedłszy z progów tej głównej świątyni, nawiedzisz naprzód ozdobny i wspaniały królów litewski pałac, byś w to mieszkanie wionął najpierwszem łask Bożych tchnieniem. Uświetnisz potem obejściem prawej strony zamku królewski trybunał, sprawiedliwości i prawodawstwa schronienie, byś je ożywił miłości duchem, któraby skrzywdzonych i nieszczęśliwych, sieroty i wdowy wyzwalała z napaści zdzierców i krzywdzicieli, pokojem i bezpieczeństwem darzyła... Przejdziesz obok największej świątyni Jana Chrzciciela i najświetniejszej miasta i księstwa akademii, abyś litewską młodzież owionął słodką dziewictwa wonnością, dla którejś życie całe, śmierć nawet samą, na świetny wzór niewinności pokazał...

„Wstąpże Kazimierzu, królewiczu najczystszy, na czyste barki kapłanów, a podczas gdy uroczyście obnoszonym będziesz, podnoś ku niebu w górę pobożne śluby zwycięskiego króla Władysława IV., dźwigaj nadzieje, wspieraj pragnienia prawe obu narodów senatu i ludu, ażeby pod twą opieką kwitnąca ojczyzna, wspólna ci niegdyś jak nam dzisiaj matka, ta ozdoba północy, podpora Europy, mur świata chrześcijańskiego, najdłużej trwała nienadwątlona, publicznym stale zakwitała pokojem, słynęła bogobojnością i wiarą, a w wiekopomne tryumfy najszczęśliwszego króla Władysława IV. najdłużej zdobić się mogła" [1].

---

[1] Wyjątki z tej mowy podajemy w tłumaczeniu ks. A. Lipnickiego. Por. „Życie, cuda i cześć św. Kazimierza", str. 237. Chcąc dać czytelnikom próbkę samego oryginału tej mowy, przytaczamy tutaj ostatni jej ustęp po łacinie: „Scande iam castos sacerdotum humeros castissime princeps Casimire; et dum magna tui parte portaberis, ipse Vladislai IV. Regis invictissimi vota attolle: ipse spes senatus, populique poloni atque lituani sustenta: ipse fulci

Choć ta mowa zdradza talent niezwykły, więcej niezawodnieby się podobała, gdyby napisaną była z prostotą i z pewną głębszą pobożnością. Trudno bowiem zaprzeczyć, że czuć w niej więcej sztuki, niż prawdziwego zapału. Ale darmo — napuszystość i przesada leżała już w duchu całego tego wieku. To się właśnie podobało i miało pokup. Radziwiłł pisze: „Ks. Sarbiewski miał oracyę abo panegiryk św. Kazimierza, niepodobna jak pięknym stylem". Płaszcz jednak doktorski musiał trochę nienaturalnie się wydawać — tak przynajmniej docinali złośliwi. — „Znaleźli się, którzy mówili — dodaje Radziwiłł — iż piękność wymowy i stylu nie potrzebowała ozdoby płaszcza doktorskiego; mogłaby sama przez się dość ozdobna pokazać się" [1].

Po tych uroczystościach król zabawił jeszcze parę tygodni w Wilnie, wreszcie we wrześniu ruszył z powrotem do Korony, „coraz miejsca odmieniając, łowami się bawiąc i ku Grodnowi postępując". W Grodnie zatrzymał się od 20 października do końca prawie roku i ciągle ztamtąd jeździł na łowy [2]. Sarbiewski tłuc się musi po lasach i ostępach wraz z królewskim taborem; a niedosyć na tem: co niedzielę i co święto musi kazać do królewskiego dworu; a do tych kazań trzeba się gotować wśród podróży oczywiście i wśród hałasu łowów. „Dziczejemy prawie wśród tych ciągłych polowań, — pisze on z Grodna 13 grudnia 1636 r. do Łubieńskiego — ja zwłaszcza, który nieraz w niskim, na wiatry i deszcze wystawionym namiocie, ledwie zdołam obmyśleć i napisać to, co w święto przed królem mam mówić na kazaniu" [3].

W początkach stycznia 1637 r. wrócił wreszcie król po całorocznej nieobecności do Warszawy; ściągał go tam sejm, zwołany na 20 stycznia. Sarbiewski wrócił wraz z królem do stolicy. Mu-

---

desideria populorum; ut te praeside ac patrono haec inclita patria, quam tu communem nobiscum agnoscis ac veneraris parentem; hoc septemtrionis decus, hoc ecclesiae columen, hic orbis christiani murus diu stet incolumis, diu publice pacis tranquillitate fruatur, diu supremi Numinis cultu ac reverentia floreat, diu Vladislai IV. regis fortunatissimi immortalibus ornetur triumphis".

[1] Pam. Radz. I, str. 323.

[2] Tamże, str. 328.

[3] Zbiór Bohom., list 91, str. 173.

siał on zapewne mieć i sejmowe kazania, zajętym był więc bardzo w tym roku, zwłaszcza że z początkiem czerwca naznaczono drugi sejm dwutygodniowy [1]. W dodatku, w pierwszej połowie maja przyjął on mowę żałobną, którą z wielką gotował pracą, a w której wychwalać miał niedawno zmarłego bohatera [2]. Co to był za bohater, dojść trudno. Zdaje się, że marszałek w. lit., Krzysztof Wiesiołowski, zmarły 19 kwietnia 1637 r. Bo był to pan wielce pobożny i zacny, a i przydomek bohatera służyć mu może, gdyż jak powiada Niesiecki: „przeciwko rokoszanom stanął i ludzi, swym kosztem wystawionych, do boju prowadził; w expedycyach zaś Moskiewskich, Inflanckich, Szwedzkich, Tureckich sam osobę swoją na sztych nieprzyjacielski narażał, w znacznym zawsze kompucie swoich żołnierzy stawając“ [3]. Dodać i to nie zawadzi, że między Wiesiołowskim a rodziną Sarbiewskich, musiały zachodzić jakieś bliższe stosunki czy węzły, gdyż brat poety, Stanisław Sarbiewski, późniejszy grabowiecki starosta, na pogrzebie Krzysztofa w Grodnie osobną mową posła królewskiego przyjmował, a nad trumną zmarłego miał drugą mowę, pełną życzliwości i wdzięczności względem „pana i dobrodzieja swego“ [4].

Wydaje nam się więc bardzo prawdopodobną rzeczą, że tego to właśnie Wiesiołowskiego wychwalał Sarbiewski *docte et suaviter* [5]. Chociaż bowiem umarł on 19 kwietnia, a Łubieński o kazaniu pogrzebowem dopiero 11 maja wspomina, nie robi to ostatecznie trudności. Pogrzeby wielkich panów odbywały się wówczas po kilku nieraz tygodniach [6]; ciało Wiesiołowskiego sprowadzać musiano z Kamiennej do Grodna, co też potrzebowało przygotowań niemało; zresztą kazanie to mógł powiedzieć Sarbiewski niekoniecznie na pogrzebie samym, ale na nabożeństwie żałobnem, które się odbywa nieraz znacznie później.

---

[1] Pam. Radz. I, 338.

[2] Zbiór Bohom., list 16, str. 97.

[3] Herbarz, wyd. Bobrowicza. Lipsk 1842; t. IX., str. 325.

[4] Rkp. Czart. 376, str. 515 i 542. Zauważyć warto, że Stanisław Sarbiewski powtarza w tej mowie niektóre myśli z „Laski marszałkowskiej“.

[5] Zbiór Bohom., list 16, str. 97.

[6] Lew Sapieha np. zmarł 7 lipca 1633, pochowany dopiero 21 tegoż miesiąca.

Po owem pogrzebowem kazaniu, jakoteż po sejmie dwutygodniowym, który się skończył w połowie czerwca 1637 r., wyjechał król na łowy. Polował on tą razą na Mazowszu, w okolicach Strzebowa (?) i Płońska. Sarbiewski, lubo niechętnie[1], musiał towarzyszyć królowi, i znowu przez cały sezon łowów, podczas gdy inni rozbiegali się za zwierzyną po lesie, on przesiadywał w niskiej, ubogiej jakiejś lepiance, pisząc *Silviludia* i myśląc o kazaniach [2].

Biskup Łubieński zapraszał go na wytchnienie do Broku[3]; Sarbiewski jednak nie miał na to czasu. Dnia 2 lipca widzimy go już z powrotem w Warszawie, obarczonego pracą kaznodziejską: pięć kazań miał powiedzieć w jednym tygodniu [4].

Po tych pięciu kazaniach wyrwał się jakoś na parę dni do biskupa[5], ale pod koniec lipca wrócił już do Warszawy, aby na kazaniu niedzielnem „przytrzeć dyablu rogów, które mu przyczepiło powszechne narodu naszego przysłowie“ [6].

Odtąd do końca roku nie ruszył się już z domu. Cała stolica zajęta była podówczas małżeństwem króla z siostrą cesarską. Cecylią Renatą; o tem tylko myślano i mówiono. Królewicz Kazimierz wraz z posłami Rzplitej wyjechał już do Wiednia, aby zawrzeć ślub imieniem brata; w Warszawie zaś robiono wielkie i wystawne przygotowania na przyjęcie nowej pani. We wrześniu odbył się uroczysty wjazd królowej z Ujazdowa do Warszawy, zaraz potem ceremonie ślubne, koronacya, wreszcie długi szereg zabaw, recepcyj, festynów, łowów i t. d.

Wśród tego zgiełku i gorączkowego zamieszania, kaznodzieja królewski ciągle siedzi w swej celi i pracuje nad kazaniami. A praca to sumienna i wielce uciążliwa. Wkłada on bowiem w te kazania moc nauki i erudycyi[7]; nie improwizuje nigdy, ale pisze wszystko, co ma mówić przed królem[8]; zmusza go do tego między innemi i ta okoliczność, że dwór królewski rozumie

---

[1] Zbiór Bohom., list 31, str. 112.
[2] Tamże, list 36, 118.
[3] Tamże, list 17, 98.
[4] Tamże, list 18, 99.
[5] Tamże, list 19, 100.
[6] Tamże, list 20, 102.
[7] Tamże, list 14, 96.
[8] Tamże, list 91, 173.

się na tych rzeczach i ostry jest w krytykowaniu; mimo to Sarbiewski podoba się powszechnie, sam siebie przewyższa [1]; a lubo w skromności swej nazywa własną wymowę pewnego rodzaju niemowlęctwem, to jednak w oczy i poza oczy wszyscy go wynoszą [2]; przeciwnicy nawet zawistni nie mogą się oprzeć urokowi, jaki cnota jego na nich wywiera; po kraju rozchodzi się szeroko odgłos jego wymowy i dolatuje czasami do uszu starego biskupa, zamkniętego w cichym Broku; a biskup cieszy się serdecznie, w częstych listach wynosi przyjaciela aż pod niebiosa, zapewnia go, że jest ciągle nowym i oryginalnym w pomysłach, że się nigdy nie wyczerpuje [3] — wreszcie nie znajdując słów dostatecznych, porównuje jego kazania z piorunami [4].

Sarbiewskiemu aż wstyd tych pochwał; przyjmuje je z zastrzeżeniem [5], a tymczasem pracuje bez przerwy i coraz więcej zagłębia się w kaznodziejskich studyach. Nawał tej pracy nie dozwala mu odpowiedzieć na listy najlepszych przyjaciół; skarży się, że wszystko na nim jednym spoczywa, żaden pomocnik, żaden inny kapłan nie wyręcza go ani razu; to też czuje się strudzonym i pisze z pewnem znużeniem ducha: „Ustawiczne kazania tak mię przykuły do mego kąta, żem się stał niesposobny nietylko do listów, ale do wszelkiego wspólnego z drugimi pożycia“ [6].

Ten stan rzeczy trwał aż do połowy 1638 roku.

Takie wytężenie musiało oczywiście podciąć zdrowie i tak już osłabionego poety; zaczęto mu grozić suchotami, on sam od paru już lat nie był wolnym od podobnych obaw [7]. Stosunki tak się szczęśliwie złożyły, że król wyjeżdżał właśnie do kąpiel w Badenie i kaznodzieję zabrał ze sobą.

Dnia 5 sierpnia 1638 r. wyruszył król z Warszawy na Częstochowę wraz z żoną swą i siostrą. W orszaku, składającym się z licznego pocztu kolasek i wozów, 300 koni i 700 przeszło osób, jechał też królewski kaznodzieja wraz z braciszkiem za-

---

[1] Zbiór Bohom., list 21, str. 103.
[2] Tamże, list 22, 104.
[3] Tamże, list 21, 103.
[4] Tamże, list 34, 117.
[5] Tamże, list 22, 104.
[6] Tamże, list 52, 133.
[7] Tamże, list 62, 145.

konnym, towarzyszem podróży; oprócz niego brało udział w podróży trzech innych Jezuitów, spowiedników nadwornych, również z towarzyszami [1]. Przez trzy niespełna dni zabawił królewski dwór w Częstochowie; król z królową i z infantką przystąpił do stołu pańskiego, „nabożeństwem niebo i ziemię rozweselił“ [2], był też na kazaniu łacińskiem [3], które prawdopodobnie powiedzieć musiał Sarbiewski. Po święcie Wniebowzięcia, orszak królewski wyruszył ku granicom Rzplitej.

Dzieje tej podróży nie należą do naszego przedmiotu.

Po dwumiesięcznym niespełna pobycie „w Cieplicach Wiedeńskich“, na Oświęcim i Kraków wrócił Sarbiewski do Polski. Czuł się on znacznie zdrowszym, zaczął przychodzić do sił, tuszy nabierać [4], objął więc dawne swe obowiązki i rzucił się nanowo w wir życia kaznodziejskiego.

Z początkiem 1639 r. wyjechał król znowu na Litwę; za królem pociągnął na północ i nadworny kaznodzieja. Wesoło i huczno było tego roku w Wilnie. Przez cały karnawał ciągłe zabawy, pląsy, widowiska, a w kwietniu, z nadejściem wiosny, łowy. Te łowy trwały bez przerwy aż do końca czerwca. Sarbiewski przypomniał sobie dawny tryb życia z r. 1636. Musiał jeździć z miejsca na miejsce z myśliwskim taborem, przebywać po chatach i po namiotach, objechać wszystkie knieje w Siemnie, w Lejpunach i Daugach, zawadzić o ulubiony przez króla Merecz, żyć w ciągłym gwarze i niewygodach podróży, a przy tem wszystkiem, zamiast wytchnienia i spoczynku, nabitą mieć głowę kazaniami. Było to właśnie po Wielkanocy; nadszedł szereg licznych świąt kościelnych, nieraz kilka uroczystości następowało dzień za dniem, a żadna niedziela, żadne choćby najmniejsze święto nie obeszło się bez kazania [5]. Póki król był w Wilnie, przemawiał w jego obecności na zamku albo w kościele; w czasie łowów kazać musiał w pierwszym lepszym zakątku, nieraz

[1] Teka Narusz. 135, dok. 135 i 139.
[2] Pam. Radz. I, 381.
[3] Teka Narusz. 135, nr. 134, list z Częstochowy.
[4] Zbiór Bohom., list 62, str. 145.
[5] Tamże, listy: 85, 167; 87, 169.

w izbie; a przy tej pracy, żadnego znowu nie miał pomocnika, któryby go choć w części wyręczył. To też sam wyznaje szczerze i bez przesady, że ten ciężar na niego trochę za wielki. „Sądzę, że wiesz, — pisze z Merecza do biskupa Łubieńskiego — iż nikt chyba inny nie miewa kazań tak ustawicznie i z takiem natężeniem, jak ja“ [1].

A mimo to nie uchyla się on od tej pracy. Raz albo drugi pod chwilowem wrażeniem poskarży się cicho przed przyjacielem, ale ostatecznie tę pracę kocha szczerze i sam wyznaje otwarcie, że wówczas czuje się najszczęśliwszym, kiedy całe łowy przesiedzieć może w namiocie, sobą zajęty i kazaniami [2].

Doprawdy, jest w tem coś bardzo pociągającego, a zarazem wzbudzającego szacunek. Przedstawmy sobie te ciemne bory Merecza; trąbka co chwila przerywa ciszę, dokoła rozlegają się strzały, nawoływania myśliwych, psów granie — a ten pracownik niestrudzony siedzi ukryty w odosobnionym namiocie; pochylony nad Pismem św., czy nad brewiarzem notuje pośpiesznie myśli do jutrzejszej nauki i gotuje pokarm słowa bożego dla tej swobodnej i gwarnej drużyny, co się rozbiegła po kniejach...

Piękne to było życie i piękna praca, ale zarazem trud i ciężar niemały. Nic też dziwnego, że Sarbiewski zapragnął wreszcie spoczynku i ciszy zakonnej po kilkuletnim gwarze i zamieszaniu.

Oprócz znurzenia i wyczerpania miał on do tego inne jeszcze, głębsze powody. Były to dworskie intrygi i plotki. Niesłusznie posądzano Sarbiewskiego, że jest powiernikiem wszystkich tajemnic królewskich, że te tajemnice zdradza w swych listach, że należy do jakiegoś stronnictwa, którego głową miał być biskup Łubieński i t. d. Przejmowano więc nieuczciwie jego listy, czytano je, podawano z rąk do rąk, puszczano w obieg niczem nieuzasadnione podejrzenia — a to wszystko nie bez wiedzy i współudziału pewnych większych figur dworskich.

Niezmiernie to bolało Sarbiewskiego; żal zbiera czytając jego listy do biskupa, w których pisze, ile musiał wycierpieć, ile

---

[1] Zbiór Bohom., list 85, str. 167.

[2] Tamże, list 87, 169.

znieść przykrości. To też odtąd odosobnił się zupełnie, obmierzł mu do reszty dwór królewski, a natomiast ukochał jeszcze bardziej „swój kącik i swoje książki“, nie chcąc ani słyszeć o niczem publicznem, prócz jednej ambony [1].

Po jakimś czasie postanowił całkowicie usunąć się od dworu; zwrócił się więc do króla z prośbą o uwolnienie od obowiązków [2]. Było to pod koniec marca 1640 r. Uwolniony, zamierzał wyjechać na kuracyę do swojej litewskiej prowincyi, do ulubionego Wilna [3]; ale losy zrządziły inaczej. Spracowany kaznodzieja miał zawód swój chlubny zakończyć na ambonie. Zjechał właśnie na dwór królewski jakiś znaczny i możny senator, a dowiedziawszy się, że Sarbiewski, którego znał tylko z rozgłosu, opuszcza właśnie Warszawę, począł prosić króla, żeby raz przynajmniej mógł usłyszeć jego kazanie. Z polecenia królewskiego wraca z drogi schorzały poeta, z wysiłkiem gotuje się do kazania, w dniu oznaczonym wstępuje na ambonę i wszystkich porywa swoją wymową. Niestety, koniec kazania był zarazem końcem życia — jak powiada Rostowski. Zszedłszy z ambony, zachorował ciężko; odniesiono go do kolegium jezuickiego, do celki ubogiej, z której nie miał już wyjść więcej.

W parę dni potem pisano z Warszawy, w listach ode dworu: „umarł tu w tych dniach ks. Sarbiewski, wielkie między Ojcami Jezuitami *subiectum*“ [4].

Wiele było żalu i na dworze królewskim i w rodzinie zmarłego. Rodacy i dysydenci nawet żałowali tak zasłużonego i szlachetnego kapłana; król płakać miał po nim, a razu jednego rzekł podobno: „już nie będzie komu ożywiać na dworze moim ślicznych nadbrzeżów Tybru, ani wesołej rozmowie przyjacielskiej dać życie, ani boleści nóg moich przyjemnością śpiewania usypiać“ [5].

---

[1] Zbiór Bohom., list 78, 159; 80, 161; 81, 162.

[2] Rostowski, str. 329.

[3] Zaleski, (Żywot Sarbiewskiego). Por. *Tygodnik Wileński*, tom VI. (1818), str. 70.

[4] Teka Narusz. 137, nr. 70.

[5] Zaleski, *Tyg. Wil.*, tom VI., str. 71.

Brat poety, Stanisław, „łez z oczu jeszcze nie otarłszy“, stawił się przed królem, aby wynurzyć swój żal nad śmiercią tego, który był „pierwsze i ostatnie tak wielkie domu jego ornamentum“. Król chcąc uczcić pamięć zmarłego i złagodzić boleść brata, w ośm tygodni potem nadał mu starostwo grabowieckie [1].

* * *

Stosy pism i notatek, jakie zostały po zmarłym, złożono w archiwum litewskiej prowincyi. Wśród tych pism znajdowały się i kazania, wypracowane na dworze królewskim.

Że te kazania istniały rzeczywiście, nie ulega wątpliwości. Wspominają o nich nietylko znacznie późniejsi pisarze, jak ks. Niesiecki i Langbein, ale także współczesny Sarbiewskiemu bibliograf zakonu, Filip Alegambe, który jeszcze za życia poety pisał swe dzieło, a wydał je w trzy lata po jego śmierci, opierając się bez wątpienia na autentycznych informacyach. Mówi on zaś wyraźnie: „Zostawił po sobie cztery tomy kazań niedzielnych i świątecznych, które miał przed królem“ [2].

W jakim języku były te kazania? — Wielu twierdzi stanowczo, albo domyśla się, że w łacińskim. To jednak ostać się nie może wobec własnych świadectw Sarbiewskiego. On sam kazania swoje dzieli na dwa działy: jedne nazywa pałacowemi [3], drugie kazaniami do ludu [4]. Wspomina zresztą, że kazać musiał raz na dworze królewskim, raz znowu po kościołach — dodaje naostatek, że ze względów kaznodziejskich odbywał studya nad ojczystym językiem — jak to już wyżej widzieliśmy.

Łatwo więc być może, że część jego kazań, tj. kazania ściśle dworskie po łacinie były pisane, inne zaś po polsku. Polskich w każdym razie musiało być więcej; w czem utwierdza nas ta okoliczność, że bibliografowie oprócz czterech tomów ka-

---

[1] Bibl. Czart. Mss. 376, str. 661; list do Imć P. Starosty Wasilkowskiego.

[2] *Bibl. Script. Soc. Iesu,* auctore Philippo Alegambe: Antverpiae apud I. Meursium 1643 (cfr. pag. 337).

[3] Zbiór Bohom., list 52, str. 133.

[4] Tamże, list 22, 104.

zań przed królem, wyliczają tom osobny mów łacińskich [1]. Wreszcie Zaleski, nieznany bliżej autor, pisze wyraźnie o polskich kazaniach Sarbiewskiego, które znał i czytał, których kto wie czy nie słuchał nawet [2].

Jaką wartość kaznodziejską miały te mowy? — Oprócz świadectw i pochwał biskupa Łubieńskiego, któreśmy przytoczyli powyżej, a które mogłyby się komuś stronniczymi wydawać, jako pochwały przyjaciela, wszyscy jednogłośnie przyznają naszemu poecie niemały talent krasomowczy. Historycy: Kojałowicz i Rostowski wychwalają jego wymowę, Poszakowski w kalendarzu jezuickim nazywa go mowcą przesławnym i na polu kaznodziejstwa litewskiej prowincyi ozdobą [3]. Wreszcie Zaleski mówi o nim jako o „kaznodziei zawołanym“, który nigdy się nie oglądał na względy ludzkie, ale silnie piętnował występki, mocno i głośno przyganiał duchowieństwu zbaczającemu z postępu nauk i prawdy, drobnostkami i miałkością dowcipu nazywał najzawołańsze owoczesne wysilania się rozumów, wbrew nawet przepowiadał upadek gustu i nauk w Polsce, a za niemi i większe klęski [4].

Co do wartości formalnej tych kazań, tak pisze dalej tenże Zaleski: „Jeżeli kazania Sarbiewskiego czytającym one nie zdadzą się wyrównać kazaniom wzorowych naszych kaznodziejów tak dla przytrudnej polszczyzny, jakoteż dla ostrości zwrotów, nie naszym mowcom właściwych, potrzeba go było widzieć i słyszeć z ambony, jak z ust jego te wyrażenia płynęły, jaka gorliwość, jaki zapał, jakie uniesienie ożywiało jego mowę; a pod-

[1] Alegambe i Niesiecki; Niesiecki mówi: „gotował do druku *orationum librum unum;* krom tego zostawił kazań, które miał przed Władysławem IV. tomów 4“. (Herbarza tom VIII., str. 277 i nast.).

[2] *Tyg. Wil.,* tom VI., str. 70. Na ten żywot Sarbiewskiego chcielibyśmy zwrócić uwagę. Autor jego, ks. Zaleski, nieprzychylny Jezuitom, występuje nieraz z gołosłownemi twierdzeniami, których niczem nie popiera. Czasami w datach i w innych szczegółach widoczne popełnia błędy (np. Sarbiewski umiera wedle niego w Wilnie i to dopiero we wrześniu 1640 r.); przytem jednak przytacza wiele szczegółów nowych i wcale ciekawych, których dotychczas nikt, o ile wiemy, nie spożytkował ani nie zbadał krytycznie. Parę z nich przytacza Sobieszczański w „Encyklopedyi“ Orgelbranda.

[3] „Kalendarz mniejszy jezuicki“. Wilno 1740, pod dniem 2 kwietnia. *Tyg. Wil.,* tom VI., str. 69.

ówczas w podziwieniu sprawiedliwość oddaćby mu każdy musiał. Był to potężny pogromca błędu, zbrodni i nierządu. Gorliwość jego w tej mierze aż do zapomnienia się siebie samego unosiła. Jakoż to właśnie i śmierć mu przyśpieszyło“ [1].

Za czasów ks. Zaleskiego — o którym nie umiem powiedzieć, kiedy żył, w każdym razie zdaje się, niedługo po śmierci Sarbiewskiego — kazania te „w rękopismach krążyły po ręku“ [2].

Gdzież się podziały? — Niewiadomo. Burze, jakie przeszły nad Towarzystwem Jezusowem pod koniec zeszłego wieku, rozwiały po kraju biblioteki i archiwa zakonu; burze, jakie niedługo potem wstrząsnęły krajem całym, rozniosły po świecie dalekim najcenniejsze księgozbiory krajowe.

A szkoda nam szczerze tych kazań. Nie bez podstawy przypuszczać można, że były one znacznie lepsze od „Laski marszałkowskiej“. W r. 1635 Sarbiewski nie był jeszcze dosyć wyrobiony w kaznodziejstwie; jako kaznodzieja królewski dojść musiał zapewne do większej miary i równowagi, zwłaszcza że wiemy, iż wszystkie jego mowy, powiedziane w tem ostatniem pięcioleciu życia, były owocem długich studyów, codziennej niemal praktyki i wielu rozmyślań.

Miały te kazania zapewne i swoje błędy, i to błędy dość może jaskrawe. Do r. 1640 powszechne zepsucie smaku zbyt już wielkie uczyniło postępy, a Sarbiewski — jak wiemy z innych dzieł jego — ulegał mu nie w jednym punkcie. Ale i z tego stanowiska rzecz biorąc, niemniej nam żal tych kazań straconych. Na Sarbiewskim możnaby świetnie obserwować pochód tych nowych prądów, które wyszły z łona przekwitłego humanizmu, i lubo od początku niezdrowe i zgubne, wytworzyły jednak wiele ciekawych objawów ducha, póki nie przerodziły się w całkowity panegiryzm i makaronizm.

Przed trzema laty senzacyjna pogłoska obiegała po pismach warszawskich, że nieznany jakiś badacz naszej przeszłości od-

[1] *Tyg. Wil.*, tom VI., str. 70.

[2] Tamże, str. 73. — Tytuł tego żywotu, odnalezionego przez Narbutta, był następujący: *Sarbievii S. I. vitae brevis adnotatio ex manuali poetico A. R. P. S. Zalescii, S. T. D. conscripta.*

nalazł w petersburskiej bibliotece dwa tomy polskich kazań Sarbiewskiego. Niestety, wiadomość ta po krótkim czasie okazała się fałszywą, jak to wykazał dr. W. Wisłocki, poinformowany z najlepszych źródeł [1]. Mimo to powszechna opinja mniema uporczywie, że w Petersburgu, a nie gdzieindziej, znajdować się muszą kazania Sarbiewskiego. Z naszej strony to tylko dodać możemy, że prywatne wiadomości, jakicheśmy w tej mierze zasięgali, wcale tej opinii nie potwierdzają.

Sarbiewski powracając z Rzymu do Polski, wstąpił na krótki czas do Florencyi, gdzie go przyjmował rektor tamtejszego gimnazyum, Piotr Malaspina. Wraz z nim oglądał nasz poeta pomniki miasta, ogród medycejski i wielką galeryę księcia Etruryi. Wśród licznych posągów, zdobiących wspaniały portyk, uderzyła go szczególnie statua Cycerona, o której niedługo potem napisał piękny epigramat:

Ora Myron, humeros Lysippus, lumina finxit
Praxiteles: vocem fingere nemo potest [2].

Wolno nam żywić nadzieję, że Sarbiewski doczeka się niedługo w literaturze naszej zasłużonego uznania. Jak wiek zeszły wybił medal na jego pamiątkę i wzniósł mu posąg w bibliotece Załuskich, tak przy schyłku naszego stulecia oprócz wspaniałego pomnika w Warszawie, spodziewamy się, że miłośnicy poety najtrwalszą mu wzniosą pamiątkę—pomnikowe wydanie jego poezyj. Chociaż jednak odżyje Sarbiewski w swych pieśniach i w swoim laurowym wieńcu Urbana, to wymowa jego, zdaje się, nie odżyje już nigdy. — *Vocem fingere nemo potest.*

Włodzimierz Piątkiewicz.

---

[1] *Przewodnik bibliograficzny*, kwiecień 1888, str. 77.
[2] *Liber epigr*, LXXXII.

PODRÓŻ DO PUSZCZ PÓŁNOCY
I NA STEPY KIPCZAKU.

(UŁAMKI ZE WSPOMNIEŃ WYGNAŃCA Z R. 1861—1862).

IV.

Prezentacya gubernatorowi, formalność obowiązująca każdego z wygnańców, miała dla nas tę korzyść, iż wreszcie dowiedzieliśmy się, za co nas wywieziono. Nazajutrz po przyjeździe odbyła się owa ceremonia. Ówczesnym gubernatorem wiackim był Klingenberg, z pochodzenia Niemiec, człowiek grzeczny i ludzki. Gdyśmy się stawili w sali recepcyjnej, przyjął nas dość uprzejmie, i przeglądając przybyłe z nami czy też oddzielnie nadesłane nasze tak zwane formularze wygnańcze, rzekł:

— Panowie jesteście skazani na wygnanie, bo u siebie na wsi wznieśliście krzyż...

Mówiący wyrzekł to powoli, z pewnym namysłem; widocznie oczom własnym dobroduszny Niemiec nie wierzył; jakoś mu się w głowie mieścić nie chciało, iż wzniesienie krzyża może ludzi poprowadzić na wygnanie.

Wkrótce miały nadejść czasy, w których jeszcze dziwniejsze rzeczy działy się przed okiem współczesnych.

Wizyta u gubernatora, który ponowił dany rozkaz, że możemy pozostać w mieście gubernialnem, zakończyła szereg formalności niezbędnych do załatwienia, wprowadziła spokój, cho-

ciaż chwilowy, do naszej myśli. Odtąd rozpoczęły się dla nas dni ciche, które należało pracą zapełnić. Praca łatwą nie była; brak książek mocno dawał się uczuć. Każdy z nas wprawdzie przywiózł z sobą parę książek, nieco ich znalazło się w biblioteczce po dawnych wygnańcach — ale to wszystko nie wytwarzało ani większego księgozbioru, ani też nie imponowało jakością. Pocieszaliśmy się nadzieją, iż z czasem coś się sprowadzi, a coś wyszuka wśród stosunków, które w gronie ziomków zawiązywały się.

Wiatka posiadała wtedy kilka domów urzędników Polaków. Wszyscy ci ziomkowie nie stronili od nas; jeszcze bowiem nie były nadeszły czasy, iż stosunek z wygnańcem pociągał za sobą dymisyę, lub przynajmniej szereg mniejszych a dokuczliwych przykrości; owszem, wszyscy odznaczali się uprzejmością dla nas i pamięć o nich wszystkich miłą i dobrą nazawsze pozostała. Zapewne wszyscy są już w grobie: składam więc na ich mogiłach słowo dobrej pamięci.

Najwybitniejszym wśród nich, najbardziej wpływowym, a zarazem najżyczliwszym dla wygnańców, był radca gubernialnego zarządu, Alojzy Rodziewicz. Dość wysokie stanowisko urzędowe, na którem zastaliśmy go, dawało możność wywierania dobrego wpływu na wyższe, rządzące sfery, tj. na gubernatora. Dzięki tym uczciwym wpływom, wytworzyła się dla wygnańców pozycya wcale znośna, a przynajmniej pozbawiona tych drobnych szykan, zdolnych zatruć wszystkie chwile życia.

Mieszkanie nasze wspólne, cisza i pewna powaga naszego życia, bijąca na zewnątrz, zdobyły szacunek władz. Dom nasz nazwano „kolonią polską“ i ceniono ją. Korzystając z lepszych usposobień czynników decydujących, nasunięto władzom myśl, czy nie należałoby wszystkich wygnańców, jeźli są jeszcze gdzie w powiatowych mieścinach wiackiej gubernii, zwieźć do gubernialnego miasta, aby mogli być wszyscy razem, uwolnieni przynajmniej od zupełnego osamotnienia: towarzysze doli, mając wpośród siebie upadających pod brzemieniem troski, tęsknoty, biedy, mogliby stać się dla nich pomocą, dźwignią, pociechą.

Projekt podobał się władzom. — Zgrupujemy wszystkich ra-

zem; tem lepiej, łatwiej ich mieć na oku, gdy są razem — rozumowały władze — i wydano polecenie zwiezienia wszystkich z powiatowych miasteczek do naszej „kolonii“ w Wiatce, a nawet posłano rozkaz do stacyi ostatniej przed miastem, aby każdy Polak, wygnaniec, któryby z Polski przybywał, zawieziony był przedewszystkiem nie do biur policyjnych i gubernatora, ale do naszej „kolonii“, która zajmowała cały dom, a później dom i oficynę kupcowej Olginy, przy ulicy Orłowskiej.

— Niech tam zajeżdżają, — mawiały ówczesne władze, dość dla nas życzliwe — a po wypoczynku należytym, gdy w gronie współtowarzyszów ciało wyprostuje znużone członki, gdy myśl znajdzie nieco spokoju i wróci do chwilowej bodaj równowagi, wówczas będą mogli władzom zaprezentować się.

Rozkazy te niezwyczajne, nigdzie wśród ziem wygnania niepraktykowane i w owem państwie niesłychane, ze względu na swą ludzkość, prawdziwą łaską były dla niejednego, a zarazem dowodem zaufania rzeczywistego dla tych, co ową kolonię wytworzyli i rzucili podwaliny ładu, spokoju, pewnej podniosłości ducha, która tam, w owym klasztorku wygnańczym panowała.

Rozkazy te wydano w jakie trzy tygodnie po naszym przyjeździe. Prawdopodobnym inicyatorem rzeczonych pomysłów był wspomniany wyżej radca Rodziewicz; ale i panu Klingenbergowi, ówczesnemu gubernatorowi, należy się słowo uznania, że umiał korzystać z rad zacnych i światłych ludzi.

Po rozpatrzeniu się w warunkach miejscowych, dawał się nam uczuć brak kościoła, brak domu modlitwy. Zgromadzaliśmy się wprawdzie wszyscy mieszkańcy wygnańczego klasztorku do głównej izby domu, i tam wspólne wieczorne modlitwy odbywaliśmy, ale wystarczającem to nie było. Łatwo można było przewidzieć, iż wobec wzmagającej się w kraju represyi, nadbiegną wkrótce nowe karawany wygnańcze i w gronie więźniów księża przybędą; na ten więc przypadek chcieliśmy urządzić dom modlitwy, pewien rodzaj oratoryum. Brat mój myśl tę powziął i popierał ją, jak wogóle wszystko, co zdolnem było duchowo podnieść naszą wygnańczą gromadkę. Ceniono go i kochano, słowo jego posiadało wpływ; żywioły dość różnorodne

jednoczyły się i postępowały we wspólnym kierunku, tak iż zdawało się, że nie przypadek, nie ciężkie próby doświadczeń losu, ale dobrowolny wybór zgromadził nas pod jednym dachem.

Postanowiliśmy wynająć wspólnemi siłami parę pokoików na kaplicę. Poszło to łatwo. Mieszkania były tanie. Chodziło przedewszystkiem o pierwszy krok; sądziliśmy, że wszystko inne wkrótce się znajdzie. Nie zawiedliśmy się tym razem.

— Będziecie mieli i aparata do swego kościoła — zawołał raz zacny radca, wpadając szybko, jak zwykle, do naszego mieszkania. — Później wam opowiem gdzie, co, jak; niech kto z was siada ze mną, sanki me czekają; przywieziemy zaraz aparata.

Pojechałem z radcą. Najmłodszy z całej gromadki, zawsze gotów i nader ochoczy byłem do wszystkich wycieczek. Minęliśmy parę ulic i chyży rumak zawrócił na cerkiewne obejścia. Zdziwiłem się niezmiernie.

— Nie dziw się, — mówił mój przewodnik — jedziemy do protojereja (prałata) Azaryusza (Azaryj). Znali go i cenili wasi poprzednicy, wygnańcy z roku 1831; on ich żegnał piękną, serdeczną przemową, gdy manifest cesarza Mikołaja I. pozwolił im wrócić do kraju; wygnańcy na znak podzięki dali mu kubek srebrny z wyrytymi na nim wyrazami uznania; u niego też, pod jego opieką, zostawili aparata kościelne, mszał i inne sprzęty. Obiecał mi on to wszystko wam oddać.

Przy tych słowach weszliśmy do owego protojereja Azaryusza.

Starzec powitał nas obu, niby dobrych znajomych, a snać uprzedzony o godzinie naszego przyjazdu, wszystko już miał przygotowane.

— Od wielu lat czekają te rzeczy, — mówił Azaryusz — czekają na właściwe ręce, w które złożyłbym ów depozyt. Byli tu różni wygnańcy po tych co mnie to oddali, ale jakoś sprawy te ich nie obchodziły. Nie uznawałem za słuszne im się narzucać; aż wreszcie doczekałem się innych czasów; w was, jak mówią, jest jakaś gorącość do służby bożej; weźcie to, przydać się wam może. Wszystko w porządku i dobrze zachowane.

Tu mój przewodnik, przy wyrazach podzięki, napomknął coś o kubku. Starzec, widocznie rad wspomnieniom, uprzytomniającym lata dawno ubiegłe, wyjął z szafy srebrny kubek, i wskazując wyryty na nim napis łaciński, rzekł:

— Pamiątka cenna dla mnie bardzo, dar niespodziany, ofiarowany mi bez żadnej z mej strony zasługi; pamiątka po ludziach i czasach pogrzebanych. Dzielni to byli przedstawiciele najszlachetniejszego ze szczepów słowiańskich. W myśli widzę ich wszystkich, widzę ich dotąd. Bóg nie przyjął jednak ich ofiary; może nadejdą tacy, których ofiara przyjętą zostanie...

Ktoś nadchodząc, przerwał wyrazy starca, które wysnuwał powoli z pamięci, niby przypominając rzecz dawno słyszaną, mówiąc coraz ciszej, jak gdyby do siebie jedynie.

Zdumiałem się słowom starca. Jedynym i wyjątkowym człowiekiem, jedynym popem w Rosyi mienić się mógł Azaryusz. Podobnych jemu nigdy później nie spotykałem, acz na szerokich przestworzach, w ciągu lat wielu, widywałem całą ciżbę ludzi i kapłanów tego narodu.

— Gdy jesteś ciekawy ludzi niezwyczajnych, innych niż codziennie spotykasz — mówił radca podczas powrotu do naszej kolonii — to poznać musisz człowieka, którego adres zostawię ci. Jestto nasz ziomek, samotnik, człek zacny, zdziwaczały, zgorzkniały, długoletni wygnaniec. Sam się udaj do niego; ja tam nie bywam i nikt inny nie bywa.

— Więc i ja progu tego zaklętego nie przestąpię — odrzekłem.

— Że zaklęty próg to pewna; spróbuj jednak, może ci się uda. Typ to ciekawy, godzien szacunku, lubo od ludzi ucieka i stroni. Wy jesteście inni nieco, niż dotychczasowi, co tu gościli, może wam uda się dotrzeć do pustelnika. Wygnaniec to najstarszy latami wygnania, równie w Wiatce, jak i w całem państwie. Przed czterdziestu laty przysłano go tu, i zapomniano o nim. Używa wprawdzie przywilejów pewnych, jest od kilkunastu lat urzędnikiem, zasiada w sądzie na stanowisku niepodrzędnem; potrzebujemy bowiem ludzi wykształconych, a nieskazitelnych — on jest takim: ale gdyby chciał albo potrzebował ztąd wyjechać, nie

miałby prawa; droga do kraju dla niego zamknięta. Manifesta przed kilku laty wydane, o różnych kategoryach ludzi mówiły, wszystkich uwalniały, wszystko oddawały zapomnieniu — o nim zapomniały, czyli raczej o kategoryi, do której on należy, którą sam jeden reprezentuje, nie rzekły ani słowa. Nie przypuszczano zapewne, by istniała jeszcze.

— Cóż to za kategorya? — zapytałem.

— Był posądzonym o należenie do lóż masońskich; co w nich działał, i czy rzeczywiście uczestniczył — niewiadomo: działo się to w czasie, gdy loże wszędzie zamykano. Zabrano go z katedry profesorskiej liceum nieżyńskiego, na Zadnieprzu, gdzie wykładał prawo, i tu przysłano. Dziwnie dawne to rzeczy; w ciągu lat wielu nie zbliżył się do tutejszego społeczeństwa, chociaż z nim niejako zespolony, bo urzęduje; nie jest więźniem skazanym na wegetacyę, pomimo to jednak nikogo nie zna i znać nie chce; rozmawia ze współtowarzyszami urzędowania o tyle, o ile z konieczności niezbędnej należy, zresztą wcale się z nimi nie wdaje. Przy końcu sesyi urzędowej, skinieniem głowy żegna kolegów, nakłada w biurze czapkę i odchodzi. Nikt go już nie widzi aż do dnia następnego, do następnej sesyi. Tak trwa lat wiele. Przyzwyczajono się do tego; budzi on niemały szacunek; z uszanowaniem na niego patrzą: jeźli nie umieją należycie ocenić nauki, znacznego zasobu jego wiadomości, oceniają prawy charakter, niezłomne zasady. Poza biurowymi kolegami nikt go nie zna wśród warstw ukształceńszych, ale wybornie znają biedacy; dla nich on zawsze widzialny, obecny, dla nich prawie wyłącznie trzyma krów kilka: codziennie biedota przychodzi do niego po mleko, i nikt jeszcze, jak mówią, z próżnym garnkiem od niego nie odszedł.

* * *

Po paru dniach, kiedy rozeszliśmy się o wczesnym zmroku do izdebek naszych ze wspólnej izby jadalnej, skorzystałem z chwili, która wieczorem jeszcze nazwać się nie mogła, a już przestała korzystać z dziennego światła, aby udać się do wskazanego mi mieszkania najdawniejszego wygnańca.

Dorożkarz o jednokonnych, maluczkich, wiejskich sankach, za dziesięć groszy polskich zawiózł mię na jakąś odludną ulicę. Pospolicie cichemi są ulice miast rosyjskich, nawet większych, nawet w dzień; cóż rzec o ustronnej uliczce w Wiatce, podczas zimowego zmierzchu? Pustkowiem nazwać się mogła.

Poza okopami śniegu, wytworzonymi przez śnieżną zawieję, ledwo zdołałem dotrzeć do furtki bramy. Odemknąłem, i torując sobie drogę laską, dobrnąłem z trudem niemałym do drzwi jakichś, prowadzących do suteryn. W izbie obszernej, słabo oświetlonej, dość niskiej, o sprzętach ubogich, powitał mię pytającem spojrzeniem starzec nieco pochylony, stojący na środku izby.

Powiedziałem mu moje nazwisko.

— Jestem Szapuliński — odrzekł głos stłumiony, jakby z trudnością dobywający się z piersi.

Na spokojnem obliczu starca promyki wzruszenia ukazały się i zgasły. Opanował je prędko. Przyzwyczajony do zamykania w sobie wszelkich uczuć, po chwili był on znowu obojętny, wpatrzony przed siebie, i ślady wzruszenia wywołanego zapewne usłyszeniem mowy rodzinnej, zniknęły bezpowrotnie.

Wskazał mi miejsce obok siebie. Usiedliśmy. Rozmowa szła opornie. Powiedziałem mu, że przychodzę poznać najstarszego wśród wygnańców, nietylko wiackich, ale z całego obszaru ziem wygnania; spodziewam się, iż mi przebaczy kołatanie do drzwi, które o ile wiem, dla świata są zawsze zamknięte.

Potrząsł głową, uśmiechnął się smutnym uśmiechem niedoli i dłoń mi uścisnął.

Dobrze widocznie przyjął me wyrazy, mówiąc wszakże mniej ustami, więcej uściśnieniem dłoni i wzrokiem, który się ożywiał niekiedy, ale na krótko. Siła woli tłumiła każde żywsze uczucie, niemal każde serca uderzenie, a język odzwyczajony wogóle od mówienia, a przytem łamiący się z trudnościami mowy ojczystej, na każdym kroku odmawiał posłuszeństwa. O jego przeszłości ani wówczas, ani też później nic nie dowiedziałem się, oprócz chyba tego, że pochodził ze Żmudzi, że odbywał studya w wileńskim uniwersytecie, które ukończył w r. 1811, że wreszcie ziomków od lat wielu nie widział, bo podobno ci z listo-

padowego powstania, co opuścili Wiatkę w r. 1834, ostatnimi byli, z którymi obcował.

Jeżli jednak przeszłość starca pozostała dla mnie zagadką, mogłem wytworzyć sobie pojęcie o teraźniejszości, porównując to, co słyszałem z ust radcy, z postacią starca, smutną, poważną, przygnębioną — więcej może brzemieniem nieszczęść, niż lat.

Postać wyraźnie mówiła, że mam przed sobą człowieka wysokiej zacności, niezmiernego hartu woli, człowieka, który tak wiele cierpiał, że wreszcie nieszczęściem owładnął, nad troską zapanował, a tęsknota siostrzycą mu się stała.

Starzec ten urodzeniem sięgał zapewne znacznie w głąb XVIII. w.; siły mu jednak jeszcze dopisywały, chodził wiele, i na zmiany temperatury wcale nie był wrażliwy. Podczas wielkich mrozów niezbyt ciepło ubierał się, kaloszów nie znał. Wzrost średni, lub nieco wyższy, budowa mocna, o barkach trochę pochylonych, dźwigających piękną głowę znacznych rozmiarów, wyróżniały go z tłumu. Głowa szczególnie uderzała swą niepospolitością i dziwny kontrast czyniła z suknią wyszarzałą, ubogą, wcale nie licującą z urzędem wyższym, jaki zajmował. Głowa ta, kiedyś zapewne dziwnie piękna, zwracała zawsze uwagę wybitną charakterystyką, swą lwią fizyognomią. Głębokie bruzdy, wijące się w przeróżnych kierunkach, gęstą siecią okrywały twarz piękną, białą, niby wyrzeźbioną z kości słoniowej, okoloną długiemi włosy, które z biegiem lat śnieżną barwę na żółtawą zmieniły.

Pomimo sił jeszcze niewyczerpanych, pomimo mocy budowy, stawiającej opór klęskom i dłoni czasu, głowa pochylała się ku piersiom, acz promienie oczu biły w górę, ku sferom i światom nieznanym: snać z niemi częściej niż z ziemią obcował.

W tej pochylonej nieco postawie, siedział pochmurny, słuchając mię, więcej milcząc, niż głos zabierając; lecz bacznie śledził każdy wyraz, każdą myśl: świadczyły o tem nieznacznie przebiegające odbłyski wzruszeń, drgania muszkułów twarzy napozór spokojnej jak posąg.

Nie przedłużałem odwiedzin, chciałem je wkrótce ponowić: postać i całe zachowanie się starca budziły ciekawość, do której

zaspokojenia, sądziłem, że dosyć jeszcze znajdzie się czasu. Wygnania trwają w owem państwie lata... dziesiątki lat. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że łaski, bądź nowe kary, spadając niespodzianie, rzucają osobą i dolą wygnańca niby wiatr jesienny liściem zeschłym, że i tam spokój o jutro nie istnieje.

* * *

W kilka dni później, Szapuliński o zmroku odwiedził mię. Niezwykły to był wypadek w jego ówczesnem życiu, by kogo odwiedzał; ci co o tem później w mieście opowiadali, nie dawali wiary, iż pustelnik widzialnym się staje. A jednak w istocie, choć trybu życia wcale nie zmienił, kilka razy był u mnie. Widok ziomków, dźwięk mowy rodzinnej budziły go stopniowo z odrętwienia. Milczący — badawczem, wymownem spojrzeniem wszystkich obrzucał; zrzadka dorzucając słowo swe ciche do ogólnej rozmowy, przysłuchiwał się wszystkiemu z wielką uwagą. Skoro jednak ktoś wszedł z nienależących do wygnańczego koła, zaciskał usta, brwi marszczył, milknął, i sięgnąwszy po czapkę, cicho, niespostrzeżenie izbę opuszczał.

Opowiadania o kraju zajęły go bardzo, ale, pomimo gorącego zajęcia się tem, co słyszał, poprzestawał na roli biernej słuchacza, sam o nic nie pytał; na twarzy zdziwienie, smutek lub radość wielekroć uwydatniały się, ani jednem wszakże słówkiem nie ujawnił swych uczuć.

Pomimo milczenia widocznem było, jak go wszystko zajmowało i do głębi wzruszało, co kraju się tyczyło—jak domowy obyczaj, przypominający zapewne to, co widział pod rodzicową strzechą, wysnuwał mu powoli z pamięci obrazy dzieciństwa, na dnie duszy ukryte.

Raz, późno do mnie przyszedłszy, doczekał się chwili wspólnej modlitwy. Uczestniczył w niej, zcicha szepcąc wyrazy, głośno przez jednego z nas odczytywane; ale gdy przy jej końcu zaintonowano „Anioł Pański“, starzec zsunął się z krzesła na ziemię, padł na klęczki, a łzy mu zrosiły owo piękne, niby wyrzeźbione oblicze. Wzruszenie wielkie uwydatniło się na niem. Teraźniej-

szość dla niego znikała, obrazy przeszłości otaczały i pochłaniały całą istotę starca.

Po chwili, z trudnością dźwignąwszy się, ściskał w dłoni wyszarzałą czapkę i wysuwał się niespostrzeżony. Zanim odszedł, szepnął mi na pożegnanie: „Dziękuję wam; dawno, bardzo dawno...“ Tu nie dosłyszałem wyrazów, które wielkie wzruszenie więziło w piersi: usta mu drżały, kurczowe drżenia twarz przebiegały.

. . . . . .

Rozkaz zwożenia do naszej „kolonii“ wszystkich, tak nowoprzybywających, jak i tych, co w powiatowych mieścinach wegetowali, nie pozostał martwą literą. Wzięto się gorliwie do wypełnienia go. Żandarmi, wysłani do powiatowych miasteczek z berlaczami i futrami, aby przyodziać tych, którzy nie posiadali ciepłego odzienia, niedługo przywieźli do nas z Orłowa znanego już Ksawerego K., który nie potrzebował żandarmskiej troskliwości i rządowych futer, aby nie zmarznąć — z innej zaś mieściny przywieźli postać nieznaną, w futra rządowe otuloną. Gdy żandarmi zwlekli zeń futra i berlacze, odwinęli wielkie chustki, stanął przed nami reformat, O. Michał G., z Białej Podlaskiej, ubiegłej jesieni wywieziony.

Ksawerego K. powitałem radośnie. Przenosząc się do Wiatki, był tem samem uwolniony od smutnych warunków, które mogły niepomyślnie wpłynąć na dalsze życie. Zdrowie jego nawet chwiać się zaczęło. Otoczyliśmy go braterskiem uczuciem: za serce sercem nam odpłacał.

Reformat pożądaną stał się niespodzianką. W owym właśnie czasie myśleliśmy o urządzeniu kaplicy; mieliśmy już mszał i aparata kościelne, najęliśmy lokal, brakowało tylko kapłana. Przybycie reformata brak ten usuwało.

Zakonnik opowiadał o sobie, iż właściwie o innego reformata chodziło władzom aresztującym go w Białej, o O. Gorgoniego; ale gdy ten ostatni, wcześnie ostrzeżony, zdołał umknąć do jednego z klasztorów w Prusach Zachodnich, pochwycono owego Michała, aby nie wyjść z korytarzy zakonnych z próżnemi

rękoma [1]. Poszedł więc Michał zamiast Gorgoniego na wygnanie; tego rodzaju branie Pawła zamiast Gawła, lub naodwrót, i oddawanie w pęta jasyru, często i w owych latach, i później zdarzało się.

Zresztą i dawniej, w dziejach nieszczęść krajowych, spotykamy podobne brania przez wroga do niewoli naoślep, pierwszych z brzegu. Twierdzono w swoim czasie — i podobno słusznie — iż w liczbie wywiezionych senatorów do Kaługi, jeden z biskupów wzięty był przypadkiem zamiast biskupa Turskiego (późniejszego biskupa krakowskiego), którego chciano pojmać. Wróg, chociaż spostrzegł pomyłkę, już jej nie naprawiał. Chodziło mu o zadanie ciosu społeczeństwu; która zaś cząstka organizmu społecznego bardziej ucierpiała, obojętnem dlań było.

Wkrótce po naszem przybyciu do Wiatki zaszła drobna okoliczność, wyłącznie nas dwóch tycząca się, która przyczyniła się poniekąd do zwiększenia dobrych usposobień władz tamecznych.

Gubernatorowi przyniesiono z poczty nadesłany z Wołynia pakiet, zaadresowany do gubernialnego marszałka szlachty wiackiej. Ponieważ gubernia wiacka wcale szlachty nie posiada, również jak wszystkie prowincye Syberyi, a zatem i przedstawiciele szlachty, gubernialni i powiatowi marszałkowie, nie są tam znani. Poczta nie wiedząc, komu oddać rzeczony pakiet, oddała go gubernatorowi. Była to odezwa marszałka naszego powiatu, wzywająca gubernialnego marszałka wiackiego, aby, jako przedstawiciel szlachty, otoczyć nas zechciał orędownictwem swem i bronił w razie potrzeby. Gubernator, w zastępstwie instytucyi nieistniejącej, wziął na siebie odpowiedź, lecz zarazem powziął przekonanie, że poza nami przyświeca jakaś życzliwość, czy też

[1] O. Gorgoni Sulej, umknąwszy szczęśliwie z Białej Podlaskiej (1861 r.), długie lata pracował w województwach Prus Królewskich, na Pomorzu, wśród Kaszubów, docierał do Lauenburga. Za dni kulturkampfu przeniósł się do Galicyi i tam w misyach uczestniczył aż do ostatnich chwil życia. Pracowity żywot zakończył w Krakowie w marcu 1890 r. Za łaskę bożą ocalenia od niewoli wypłacał się O. Gorgoni zacną, w plon obfitą pracą życia dalszego.

nić sympatyi naszych ziomków. Ta nić sympatyi — jak rozumowały władze — jest dowodem i wartości osób, i powagi ruchu narodowego, gdy instytucye krajowe otaczają swą opieką uczestników owego ruchu. Wynikiem rzeczonych rozumowań było — jak rzekliśmy przed chwilą — zwiększenie się uprzejmości władz. Prądy przekształceń społecznych, płynące z góry, od tronu, w owej właśnie epoce, oddziaływały na społeczeństwo rosyjskie w sposób uszlachetniający. Trwać to miało niedługo: prądy zmieniły się rychło.

. . . . . .

W połowie grudnia szczupłe koło nasze wygnańcze powiększyło się o parę jeszcze osób, co nie wniosło wszakże większej pogody do zakresu stosunków naszych domowych. Przybycie jakiegoś indywiduum, przysłanego na wygnanie z Podola, zasmuciło nas niezmiernie: stało się źródłem trosk naszych. Do Podola nie przedarły się były wówczas jeszcze ożywcze promienie ruchu narodowego; prowincya ta, stojąc zdala od wszelkich objawów budzącego się życia, mogła nie płacić ofiarami za chwile podniosłe, uszlachetniające, bo ich jeszcze nie była doświadczyła; ale władzom zdawało się inaczej. Porwano i ztamtąd kilka osób: jedna z nich do nas przybyła.

Jeźli niespodziane przybycie paru osób niewiele wniosło pociechy pod dach naszej „kolonii“, to wzamian za przykrości, ztąd płynące, doświadczyliśmy prawdziwie podniosłych wrażeń, gdy udało się wkońcu urzeczywistnić myśl urządzenia publicznego oratoryum w wynajętym na ten cel lokalu. Zanim upłynął miesiąc od naszego przybycia, już się przeszkody usunęły; władze trudności nie czyniły, przygotowania ukończono. Chcieliśmy wyżej wspomnianego reformata obrać na kapelana głównego; okoliczności wszakże zrządziły inaczej.

W pewien poranek posłyszeliśmy ciężkie stąpanie na galeryi otaczającej dom; dał się słyszeć brzęk ostróg, pałaszy — i do małego przedpokoiku wtargnęło trzech ludzi, których twarze szron okrywał. Dwaj byli zbrojni. Wszedłszy owi zbrojni, zaczęli rozbierać z licznych futer i okryć trzecią postać: po kilku minutach zpoza kożuchów i sukień zimowych ukazała się duchowna

suknia człowieka młodego, o ujmującej powierzchowności. Rozglądał się ciekawie dokoła, snać nie mogąc zoryentować się, gdzie jest i co go otacza. Zbrojni ludzie — a jak się po bliższem wpatrzeniu pokazało — żandarmi, również ciekawie rzucali okiem w głąb mieszkania. Sądzili zapewne, iż przybyli do biura urzędowego. Sytuacya wkrótce wyjaśniła się. Pocztarze, stosownie do rozkazów wysłanych do przedmiejskich stacyj pocztowych, przywieźli do naszej kolonii — żandarmów z więźniem; podczas gdy ci ostatni myśleli, że przyjeżdżają do jakiegoś urzędu.

Z trudnością udało się nam wytłumaczyć obu stronom, iż wszystko w porządku, iż taki tu obyczaj, iż żandarmi mogą wypocząć, więźnia u nas zostawić, który także dopiero po stosownym wypoczynku meldować się będzie.

Nowoprzybyły kolega nazywał się Jeske, był kapłanem, misyonarzem z Płocka; tam go nagle ujęto; bez badania i bez sądu wysłano; bez wypoczynku, dniem i nocą wieziono do Wiatki dni piętnaście.

Misyonarza, który nader sympatycznie zaprezentował się od pierwszej chwili przybycia, kreowaliśmy na naszego kapelana naczelnego, wikaryat objął przy nim reformat; w kilka dni później odbyły się pierwsze msze św. w zaimprowizowanej kapliczce.

Była to niedziela; uwiadomione rodziny katolickie o inauguracyi nabożeństwa w kapliczce, stawiły się w komplecie. Przybywał wprawdzie do Wiatki raz na rok ksiądz ze mszą i dla wysłuchania spowiedzi, z bardzo odległego Kazania; ale te wizytacye odbywały się raz na rok, czasem rzadziej, krótkiemi były, i ci księża urzędowi (pospolicie kapelani okręgów wojskowych) często razili uczucia katolickie i polskie: z małymi wyjątkami tak wszędzie było w głębi Rosyi. Nic więc dziwnego, że garstka tamecznych katolików, których urząd i praca przywiązywały do tych dalekich świata krawędzi, z radością powitali wiadomość, iż chociaż na pewien czas posiędą kapłana wprost z kraju. Było to dla nich i dla nas pociechą prawdziwą.

Różne okoliczności dobrze się złożyły; władze niedość, iż przychylnie patrzały na oratoryum, ale nawet w pierwszych chwilach opieką je otoczyły. U wejścia do lokalu przeznaczonego na

oratoryum, podczas mszy w niedzielę, widziano straż policyjną, której obowiązkiem było zdejmować płaszcze wchodzącym do kaplicy, utrzymywać porządek u wejścia. Drobne te uprzejmości władz wykonawczych świadczyły o kierunku panującym u góry. Potem wszystko zmieniło się — zmieniło do niepoznania, na gorsze. Ale gdy zmieniało się, nas już tam nie było. Mówimy tu o tem, na co patrzeliśmy w dniach kończących rok 1861. Czy jednak długo tak było, nie wiem; wkrótce bowiem musieliśmy obaj z bratem Wiatkę opuścić. Wytworzono nam najniespodzianiej inne wygnanie, wytworzono je w drodze łaski: przeniesiono na stepy dawnego Kipczaku, których część znaczna, to południowe okolice dzisiejszej gubernii Tambowskiej.

Tego rodzaju łaski, spadające najniespodzianiej na wygnańców, są nieraz ciężkiemi, niby kara nowa. Burzą warunki istnienia, składające się niekiedy dość znośnie, zmuszają do budowania nowego schroniska, do szukania nowych stosunków, nowych dróg pracy.

Radca Alojzy, o którym kilkakrotnie wspomniałem, zawsze zwiastunem był, i dobrych i złych wieści, a statecznym orędownikiem kolonii. Otóż i tym razem wpadł pierwszy z wiadomością przeniesienia nas obu do Tambowskiej gubernii.

— Może tam wam lepiej będzie, — mówił on — może do kraju zbliżycie się, może stopniowo zbliżając się, do ojczyzny wrócicie. Ale stosunków tak znośnych dla wygnańców, jak tu, prawdopodobnie nie spotkacie.

— Ani serc, któreby się do was tak prędko przywiązały — dorzucił Stanisław M., dodając swe przysłowie: — Tak, tak, panie kochany.

Ksawery K. zmartwił się tem szczerze, i wogóle cała kolonia czuła się zaniepokojoną. Stosunki, które uregulowały się, wprowadzając pewien ład w życiu naszem wegetacyjnem, plątać się, wikłać mogły. Zgrupowani, byliśmy silniejsi, spokojniejsi: rozproszeni zaś, pojedyńczo rzuceni, stawaliśmy się słabsi, pełni obaw o jutro, które coraz niepewniejszem stawało się.

— A co, mówiłem wam, iż nam zbyt dobrze, zbyt dużo u nas spokoju, — wołał Stanisław M. — z tego spokoju wytwo-

rzył się niepokój. Gdy wygnańcowi stosunkowo spokojnie, wówczas najgorzej mu, bo zbliżają się niespodziane zmiany na gorsze. Tak, tak, panie kochany; wierzcie mi, przeszedłem Sybir, katorgę, osiedlenie — niczem się nie łudzę i wam wszystkim radzę: nie łudźcie się nigdy niczem [1].

Stwierdzał te słowa staruszek Wierusz-Wiatrowski, niegdyś długoletni emigrant, najstarszy wśród nas wiekiem i najdawniejszy mieszkaniec ówczesnej wiackiej kolonii — a stwierdzał pospolicie sentencyą łacińską, rzucaną tym, którzy wówczas z kraju przybywając, pełni byli dobrej otuchy, że stoją u bram wyzwolenia. Sentencya ta brzmiała: *Una salus victis nullam sperare salutem.*

Mówił to cichym głosem staruszek, ze spokojem i łagodnie, pospolicie ku najmłodszym zwracając się, a komentarzy do sentencyi nie dodawał; zapewne przypuszczał, iż słuchacz w duszy swej resztę dosnuje.

I słuchacz młody snuł dalszy wątek, lecz inny niż się spodziewał starzec: mniemano, iż mówiący na wszystko zobojętniał i wiarę w lepsze jutro w piersi wyziębił — gdy on tylko od złudzeń strzegł.

Ogłoszone nam przeniesienie do Tambowskiej gubernii wykonanem być musiało. Zapytano jedynie, kiedy chcemy jechać, dając do zrozumienia, poufnie a wrzekomo przyjaźnie, iż zbyt

[1] Stanisław M. okazywał zawsze pesymistyczne usposobienie. Kilkunastoletniem chłopięciem — piętnastoletniem podobno — był uwięziony 1846 r., i osadzony w cytadeli warszawskiej, gdzie przebył cztery lata pod śledztwem. W ciężkiem więzieniu urósł na młodziana: cytadela była dla niego szkołą, która go wyrobiła na człowieka z wielkim hartem woli i umocniła zacne zasady, któremi się odznaczał. Z cytadeli poszedł do katorgi w zachodniej Syberyi, a później na osiedleniu w Jalutorowsku, ożenił się z córką wygnanki, pani Józefy z Rzążewskich Wakulińskiej, niegdyś, po roku 1838, towarzyszki pani Ewy Felińskiej (w Berezowie, w okolicy podbiegunowej). Z młodą żoną i dzieciną wrócił był Stanisław M. do kraju, gdy pierwsze lata panowania Aleksandra II. odmykały możność powrotu wygnańcom; lecz, jak widzimy, już w r. 1861 na powtórne wygnanie go wywieźli. Tym razem tylko rok tułactwo jego trwało. Czasy to były zmian częstych, ulg, łask.

O postaci tej, wygnańczej od dzieciństwa, są wzmianki w Zbiorze Korespondencyj p. Narcyzy Żmichowskiej. Tam on figuruje pod imieniem „Stacha". Dzieckiem bowiem wchodził do więzienia.

zwlekać nie należy, nie można. Odpowiedzieliśmy, iż pragniemy święta Bożego Narodzenia przepędzić w Wiatce, z towarzyszami doli. Zgodzono się na to, ale też ponad ten termin nie dano ani dnia dłużej zwlekać, jakby Wiatka rajem była. Nazajutrz po Trzech Królach wyjazd miał nastąpić, i rzeczywiście nastąpił. Doprowadzenie do skutku tej translokacyi, dopilnowanie, by nie zwlekano, było obowiązkiem szefa gubernialnego żandarmeryi, pułkownika Adamowicza. Wykonał on przepisy z całą ścisłością, ale i z uprzejmością, cechującą go. Wedle prawa, naszym bezpośrednim stróżem był on, i z zadania wywiązał się tak, iż pamięć o nim jako o dobrym człowieku przetrwała dotąd. Zapisujemy takową na jego grobowcu, bo oddawna już grób go pochłonął, jak prawie wszystkich tych, o których tu mówię.

* * *

Wigilia upłynęła nam w kole towarzyszy, w izdebkach wygnańczego klasztorku. Odbyła się ta tradycyonalna *agape*, niby uczta braterska pierwotnych chrześcijan, z zachowaniem wszystkich obyczajów ziemi ojczystej. Stał w kącie snop zboża — rzecz mała a z trudnością zdobyta w kraju leśnym, prawie nierolniczym — szary, zgrzebny, ubogi, wąski obrus okrywał stół, warstwą siana potrząśnięty. Opłatki piekliśmy sami; reformat był nam pomocą i wskazówek udzielał w kwestyi tej, nieco dla nas trudnej. Na ziemi obcej, pod niebem mroźnem północy, staraliśmy się chociaż chwilowo wytworzyć odblask wspomnienia naszych ognisk rodzinnych, gdzie dalecy a ukochani, na skrzydłach myśli ku nam się zbliżali, łzą, modlitwą, westchnieniem łączyli się z nami. Zasiedliśmy do stołu jedynie w ścisłem wygnańczem gronie. Inni ziomkowie, bodaj najżyczliwsi, bodaj najczęściej nawiedzający, w ów wieczór, w godzinach ukazania się pierwszych gwiazd, omijali z dyskrecyą próg domostwa tułaczy. Byliśmy tylko sami, w swem wyłącznie, niby rodzinnem kole. Odblask ognisk domowych przesunął się przed okiem naszem, stanął na jedną godzinę, niby cień wyraźny rzeczywistości, lecz wnet zniknął, jako zwodnicza *fata morgana*, rozszerzając tem głębszą ciemność w ducha dziedzinie.

Służba domostwa naszego składała się z młodziutkiego Ukraińca i młodego, dziewiętnastoletniego żydka. Ten ostatni był to niby żołnierz, urlopnik; chociaż młody, uwolniony już z wojska dla braku sił fizycznych. Za dni rządów Mikołaja I., pięcioletniem chłopięciem porwano go z łona matki, kędyś w polskiej mieścinie, i rzucono do twardej szkoły życia tak zwanych „kantonistów", z których wytwarzano żołnierzy i majtków. Bito, musztrowano, sztyftowano chłopaka, aż wreszcie zrobiono z niego coś pośredniego między żydem a Rosyaninem. Tradycye dzieciństwa, miłość dla przeszłości wczesnych dni życia, zachował gdzieś na dnie myśli, w głębinach uczuć. Gdy biedny żydek ujrzał nasz stół wigiliowy, gdy o jego ucho obiły się dźwięki kolendy po uczcie śpiewanej, w płacz uderzył.

— Panie mój, panie, to jakby u nas, jakby u mej matki wieczór szabasu — mówił łkając chłopczyna.

I ci co słyszeli mówiącego, również płakali.

Święta Bożego Narodzenia przeszły uroczyście, ale z pewnem uczuciem niepokoju. Niektórzy ze współtowarzyszów smucili się i niepokoili, iż wyjeżdżamy, inni mieli złe przeczucia co do własnego jutra; nas ta zmiana miejsca wygnania także niezbyt cieszyła.

W oratoryum nie mieliśmy „pasterki" — ale za to zaledwie opadły szare mroki długiej, grudniowej nocy, rozpoczęły się msze św. naszych kapłanów: było mszy aż sześć w dniu Narodzenia, a wszystkie uświetnione, w sposób dla Wiatki wówczas nieznany, śpiewem chóralnym wygnańców. Kolenda „Bóg się rodzi", najwięcej była w użyciu. Brzmiała rozgłośnie, zarówno w kaplicy, jak w mieszkaniu naszem. My dwaj i bracia M. przeważnie służyliśmy do mszy, inni dwaj Wołyniacy, bracia Cz., tworzyli główny zawiązek chóru, ani licznego, ani umiejętnego. Ci co w śpiewie udziału nie brali, skuleni po kątach dwóch małych izdebek, na skrzydłach modlitwy ulatywali w nieziemskie przestworza. Dolatywały do ołtarza nietylko szmery modłów owej wygnańczej gromadki, którą ówczesne chwile niezwykłe w kraju bardziej usposabiały do modlitwy, ale i ludzi, co zdala stali od wszelkich prądów chwil ówczesnych, ludzi zapędzonych zbiegiem

różnych okoliczności do biur i do urzędów w głąb Rosyi: niektórzy modlić się zapomnieli oddawna; owe chwile budziły w nich wspomnienia i wrażenia lat dziecinnych, w kraju spędzonych, i tak przypominały pacierz dni pacholęcych, jak biedny nasz żydek przypomniał sobie uczty sabatu, i zapomniane chorały sabatowe wyśpiewywał łkaniem tak rzewnem, jak kwilenie niemowlęcia.

W chwilach gdy ucichł śpiew, a modlitwa kapłana rozpływała się w szept milknący, dobiegały do uszu to łkania tłumione, to szept błagań owej gromadki rozpoczynającej okres życia prób. Rozróżnić niekiedy można było owe słowa psalmisty: „Pan wejrzał na modły poniżonych, nie wzgardził ich prośbami. Z wysokości świątnicy swojej spojrzał Przedwieczny, z nieba wejrzał na ziemię. Ażeby wysłuchać wzdychania więźniów, aby rozwiązać synów pomordowanych".

. . . . . .

Im uroczystszy nastrój panował w oratoryum, tem smutniej, ciszej było w zakątkach, węgłach i poza przepierzeniami izdebek wygnańczego domostwa. Opowiadania, gwar, rozprawy umilkły. Dni wesela u ognisk domowych — na wygnaniu stały się dniami cięższych prób, bolesnem przypomnieniem rzeczywistości. Taki dzień uroczysty, dla tułacza jest niby przydrożnym słupem milowym, który przypomina przebieżoną przestrzeń bolesnej pielgrzymki, wykoleja z drogi ciągłych mozołów, powszedniej pracy, myśl uśpioną budzi, rozrania rany, które trud codziennej troski zabliźniał.

Pierwsze dni doroczne dla tułaczej gromadki nadbiegły: i teraz dopiero w całej mocy osierocenie swe ocenić zdołano. Dla wielu był to początek lat długich cierpienia, zawsze jednakich, beznadziejnych wciąż. Snać odczuwano, iż owo jutro smutne nie będzie miało dla wielu ani zmroku, ani zachodu, bo mroki trwałego smutku osiadły na niejednem czole.

Do smutniejszych należał Ksawery K.; o młodziutki jego umysł fale przeciwności wytrwale biły, zakłócając spokój. Twarde słowa listów matki, nasz wyjazd, choroba jakaś, rozwijająca się

w organizmie, acz nie obalająca odrazu, składały się na jego posępne usposobienie.

Dzień Nowego Roku 1862 (st. st.) przeszedł również ponuro. Zadawano sobie pytania, co rok zbliżający się przynieść może?... Jeźli niepewność towarzyszyła wszelkim przypuszczeniom, co do przyszłości najbliższej pojedyńczych osób z gromadki wygnańczej — o przyszłości pogodnej dla ogółu społeczeństwa nie powątpiewano. Symptomata wprawdzie groźne ukazywały się na widnokręgu stosunków ogólnych, ale wnet potem nadbiegały inne, pomyślniejsze wieści; i znowu oddawano się nadziejom, które nawet mienić się nie mogły złudzeniami, każda bowiem z nich opierała się na faktach, rokujących lepsze jutro. W pomyślniejsze wieści wierzono pochopniej i goręcej, niż w inne, o barwach mniej jasnych.

W ostatnim tygodniu pobytu w Wiatce brat mój czynił przygotowania do podróży, która nas czekała, do nowych koczowań w warunkach może nienajlepszych. Podróż przymusowa, śpieszna, o mil dwieście, wymagała pewnych przygotowań. Szczęśliwie składało się, iż nieco czasu dawano dla ich dokonania.

Co do mnie, chciałem, korzystając z dni ostatnich pobytu, bliżej przypatrzyć się miastu, które siedm tygodni schronieniem naszem było, gdzie się zostawiało maluczką wprawdzie, ale zawsze jakąś cząsteczkę życia.

Niewiele było do zwiedzenia, mało co pozostało w pamięci, parę tylko opowiadań charakterystycznych mego przewodnika utkwiło we wspomnieniach.

Wiatka, położona nad rzeką tegoż nazwiska, sięga początkiem swym dawnych bardzo czasów; przy schyłku bowiem XII. w. Nowogrodzianie mieli tam swą kolonię, coś w rodzaju faktoryi handlowej, noszącej nazwę Chłynow. Z tego Chłynowa wytworzyła się Wiatka, która posiadała za moich czasów 15.000 ludności i zewnętrznym wyglądem swym przypominała drugorzędne miasta gubernialne odleglejszych prowincyj Rosyi. Instytucye, biura, miała ona te jedynie, które wedle pewnego szematu zwykle w Rosyi spotykają się w miastach gubernialnych; lecz w życiu i obyczaju ówczesnych mieszkańców dużo było owej dobrodusznej

prostoty, jaką widziano na Syberyi, przeważnie w jej odleglejszych okolicach. Dobroduszni ci ludzie, wobec wygnańców, pospolicie okazywali się dobrymi, życzliwymi; w prowincyach bowiem, zestosunkowanych bezpośrednio z Syberyą, lub w ziemiach wygnania, tubylec siermiężny na każdego wygnańca patrzy ze współczuciem. Wypływa to z pobudek, których rodowód nader odległy wiąże się z przeszłością całą tego ludu, przepełnioną samowolą, krzywdami, brakiem sprawiedliwości.

Owo współczucie, wtedy przynajmniej, i to wyłącznie wśród wieśniaczych warstw ludności, zdarzało się, lecz czasy późniejsze wiele mogły zmienić i — o ile wiemy — zmieniały, wytrzebiając uczucia humanitarne, tak niespodzianie wyrastające na dziewiczym gruncie tych dusz, nietkniętych prawie dłonią uprawy religijnej. Chrześcijanizm jest tam przeważnie z imienia tylko.

Wiacka gubernia od wielu lat w wykazach statystycznych posiada liczbę, oznaczającą ilość pogan, zamieszkujących ową prowincyę. Liczba ta stale nie zmienia się: wynosi 10.000. W rzeczywistości jednak znacznie jest wyższą. Wotiacy, tubylcy owego kraju, których liczba wynosiła wówczas 200.000, prawie wszyscy są poganami. Jeźli do tej liczby dodamy pewną ilość pogan z innych drobnych ludków, tworzących dawny, pierwotny pokład tamecznego zaludnienia, to stanie przed nami masa pogan, o wiele przerastająca urzędową, zawsze jednaką cyfrę 10.000.

Wotiacy są jednem z plemion fińskich, zamieszkujących wschodnio-północny węgieł Rosyi; nazywają oni siebie *Ot* lub *Ut*: Tatarzy zaś, którzy przed wiekami z brzegów Wołgi ich wyparli ku północy nad Wiatkę, nazywali ich *Ar*. Narzecze wotiackie jest fińskie, zbliżone do Permiaków i Czeremisów. Kult ich religijny nader pierwotny: czczą bóstwa dobre i złe; pierwsze nosi nazwę *Inmar*, drugie *Keremet*. Konie ich rącze są także przedmiotem czci; głowa konia ustawianą bywa nieraz ku czci publicznej w przedniejszym kącie szałasu, który zastępuje świątynię. Spokojne, pełne pokory to plemię tubylców trudni się rolnictwem, lecz więcej pszczelnictwem i wyrobami z drzewa; miód i wosk sprzedają do dalszych okolic: wysyłają aż do portu na Białem morzu, do Archangielska: wyroby zaś z drzewa, me-

ble nader proste, naczynia z kory drzewnej, rodzaj słojów z nakrywami, t. zw. *buraki* (na Syberyi dalszej zowią się one *tujasy*) mają znaczny zbyt w Wiatce i mniejszych mieścinach gubernii, a sprzedają się nadzwyczaj tanio. Uboga izba wygnańca może być za dwa, trzy ruble umeblowaną tymi sprzętami wyrobu Wotiaków.

Zdobycie przez kupców W. Nowogrodu, stanowiska handlowego nad rzeką Wiatką (w końcu XII. wieku), wytworzyło jak gdyby pierwszy krok ku utorowaniu drogi za Ural, do odkrycia wreszcie Syberyi, znacznie już późniejszego. Pierwotna droga ku Uralowi, którą także ruchliwi Nowogrodzianie pierwsi torowali, szła w górę biegiem nurtów Kamy, wielkiego dopływu Wołgi, a wreszcie również w górę biegiem rzeki Wiatki. Nowogrodzianie posuwając się coraz dalej, wśród puszcz wotiackich, idąc coraz głębiej w dzikie ostępy, w pogoni za skórami dzikiego zwierza, któremi handel prowadzili, torowali drogę ku nieznanym a olbrzymim przestworzom północnej Azyi, tak zwanej później Syberyi.

Na tym gościńcu ku krajom nieznanym, nader ponętnym dla łowców, rokującym świetne korzyści dla kupców, nie poprzestano na jednej faktoryi kupieckiej, na założeniu Chłynowa (dzisiejsza Wiatka), ale rączo posunięto się w głąb kniej najdzikszych i założono Kaj. Mieścina ta uboga, zaledwie 1000 głów płci obojga licząca, wśród puszcz i niedostępnych trzęsawisk, leży o czterdzieści prawie mil na północny wschód od miasta Wiatki; niegdyś, a nawet dość długo po odkryciu Syberyi, była ona jedyną drogą za Ural. W późniejszych latach, w wieku XVII. i później, torowano drogę do Syberyi w bardziej południowym kierunku, przez dzisiejszy Ekaterynburg. Kaj zaś, z tego już dziś tylko znany, że to jedyna mieścina, jaka legła między miastem Wiatką a wodami Lodowatego oceanu.

Podboju i wcielania do państwa rosyjskiego szczepów wotiackich i wybrzeży rzeki Wiatki dokonywano w ciągu wieków stopniowo, ze znaną wytrwałością i konsekwencyą w działaniu. Przeszli Wotiacy przez okres zależności od kazańskich chanów,

póki wreszcie nie stali się zdobyczą Rosyi. Ostateczne utrwalenie tego podboju przypada dopiero na drugą połowę XVI. wieku.

Od owej chwili brano od nich daninę, którą później zamieniono na zwyczajne podatki i ciężary, jakie ponoszą mieszkańcy innych okolic państwa; lecz o ich potrzebach duchowych, o rozszerzaniu wśród nich wiary chrześcijańskiej, pomyślano bardzo późno — w XVIII. wieku zaledwie. Że zaś te misyjne usiłowania szły leniwie, że misyonarze chętnie pozwalali tubylcom na pozostawanie w poganizmie, byle kasa rzekomych krzewicieli chrześcijaństwa coś zarobiła, o tem świadczy nietylko wielka ilość pogan, do dziś tam spotykana, lecz i ta okoliczność, że za panowania cesarza Mikołaja I. miało miejsce pewnego rodzaju dochodzenie rządowe, śledzące tego rodzaju nadużyć.

Źródłem takich indagacyj była korespondencya, posyłana z Wiatki do Sztokholmu do gazet szwedzkich przez wygnańca wiackiego, profesora helsingforskiego uniwersytetu, Azeliusa. Korespondencya, tajemnie wysłana — działo się to około połowy naszego stulecia — zanim do Szwecyi doszła, uległa konfiskacie i spoczęła w biurku szefa wydziału żandarmeryi, Benkendorfa, który jej treść przedstawił monarsze. Azelius w swej korespondencyi dziennikarskiej utrzymywał, iż owi pseudomisyonarze posiadają obraz św. Mikołaja, przedstawiający jedynie szaty kapłańskie, z głową postaci — końskiej. Celem tej mistyfikacyi prawosławnych misyonarzy było wyłudzanie wśród puszcz wotiackich danin na rzecz krzewicieli wiary. Wotiak widząc, że i chrześcijanie cześć końskiej głowie oddają, chętnie dawał daniny. Umyślnie przysłany ze stolicy urzędnik prowadził indagacye w tej sprawie i podobno — jak opowiadano — znalazł rzeczony obraz w głównej chrześcijańskiej świątyni w Wiatce.

Zwiedzając ową przedniejszą cerkiew, napróżno szukałem rzeczonego obrazu: już go tam nie było; ale tradycya żyła w pamięci i ustach wielu.

Ciemnota i przesądy do niedawna tak były wielkie w owym dalekim, leśnym kraju, iż w czwartym dziesiątku naszego stulecia powstał tam wielki tumult ludowy, na znacznej przestrzeni gubernii, z powodu iż rząd nakazał uprawiać kartofle. Wstręt ku

kartoflom szerzyli jednak nie tubylcy, ale Rosyanie. Rewolucyę tę kartoflaną uśmierzać potrzeba było siłą zbrojną.

Nie miałem czasu i sposobności przypatrzyć się Wotiakom, lecz wiem od tych, którzy tam byli po mnie, i posiadali możność zetknięcia się bliższego z tubylcami owych puszcz północnych, iż poganie właśnie wśród nich są moralniejsi; ci zaś co zostali zaliczeni do chrześcijan, do kościoła rządowego, najniżej stoją pod względem moralnym. Twierdzeniu temu najzupełniej daje wiarę każdy, kto był rzucony w głąb Syberyi, gdzie toż samo zjawisko miałem możność wielekroć spostrzegać; zwracał też na nie moją uwagę protojerej Konstanty Stukow, niegdyś naczelnik misyi prawosławnej w Nerczyńsku, człowiek uczciwy i biegły oryentalista.

Dziwne to, — zwłaszcza dla Europejczyków i prawdziwych chrześcijan — ale, niestety, prawdziwe.

* * *

Przygotowania do nowej podróży, na stepy Kipczaku, niedługo trwały. Zależały one głównie na usunięciu, o ile środki pozwalały, tych uciążliwości, jakie usuniętemi być mogły. Zmienianie na każdej stacyi sani — co się tam nazywa podróżowaniem *perekładną* — podczas bardzo ostrej i śnieżnej zimy, niedogodnością było największą. Stosownie więc do wskazówek i rad tamecznych mieszkańców, nabyliśmy tak zwany *wazok;* jestto rodzaj karetki na saniach, o dwóch okienkach i jednych drzwiczkach, bez siedzenia wewnątrz, w której można było odbyć podróż wygodnie. Zbytek ten, wyrób miejscowego drzewnego przemysłu, kosztował dziwnie tanio, piętnaście rubli. Urządziliśmy wewnątrz ów *wazok* jak pewien rodzaj domku, w którym mieliśmy przebywać dni kilkanaście i prawie tyleż nocy. Urządzenie to wewnętrzne zastosowane było najzupełniej do obyczaju tamecznego kraju. Na dnie zamkniętych sani, których spód był mocny, drewniany, ściany zaś składały się jedynie z kraty drewnianej, obitej grubo wojłokami wewnątrz i zewnątrz, szczelnie zabezpieczone od przenikliwego zimna — usłano z naszych tłumoków posłanie, na którem mogliśmy odbywać podróż leżąc,

wedle obyczaju odwiecznego krajów tamecznych. Powóz był wygodny, mocny, lekki.

Już IMP. Pasek podziwiał sposób podróżowania posłów rosyjskich, których spotykał, gdy jechali, leżąc; dziwiło to pana Paska niezmiernie, ba, i gniewało nawet, ale wcale niepotrzebnie: obyczaj to bowiem owego narodu, na niezmiernych przestrzeniach rozsiedlonego, przytem ruchliwego, kupczącego, potrzebującego odbywać podróże olbrzymie po drogach złych, a na przestrzeniach wielkich. Konieczność ulżenia sobie w tych podróżach długich, ciężkich, niewygodnych, wywołała osobny obyczaj podróżowania.

Od dni p. Paska wieki upłynęły, warunki jednak komunikacyi w owych dalekich ziemiach nie zmieniły się wcale; naturalnem następstwem tego stanu rzeczy — zachowanie starego zwyczaju podróżowania w pozycyi leżącej; w innej pozycyi na wielkich przestrzeniach, wynoszących setki mil, przy szalonej szybkości jazdy, przy wybojach ogromnych zimą, a dołach, grudach i nierównościach w innych porach roku, kości ludzkie nie wytrzymałyby. Kopeć w r. 1795 także w podobnym powozie i w tak oryginalnej pozycyi, tj. leżąc, odbywał swą podróż do Kamczatki. Nikt o niego nie troszczył się, nikt mu tam na dnie pudła łóżka nie usłał: biedny więc Kopeć na wiązce słomy, lub bez słomy, tłukł się w pudle długie tygodnie i miesiące podczas swej wędrówki, przez całą prawie szerokość starego lądu.

Nasze losy tym razem były stokroć lepsze.

Dzień 7 stycznia 1862 r. (st. st.) był to dzień naszego wyjazdu z Wiatki na nowe miejsce wygnania. Żegnano nas owacyjnie; nie licowało to nawet z prostotą obyczaju kolonii wygnańczej, jaki wytworzył się w ciągu ubiegłych kilku tygodni naszego tam pobytu. W pożegnaniu, obok współtowarzyszów doli, brały udział żywioły zpoza światka wygnańczego, co zapewne nadało pożegnaniom cechę trochę za owacyjną... Myśl skołatana, zbyt daleko odbiegała od wszystkiego, co mienić się mogło ucztą, zabawą, tak iż ów wieczór owacyjny w zupełnej stanął rozterce z naszem ówczesnem usposobieniem.

W dniu wyjazdu wysłuchaliśmy dwóch mszy śś. w naszem

oratoryum i już w godzinach popołudniowych byliśmy do odjazdu gotowi. Żadna władza nie nagliła; o godziny, minuty nikt się nie sprzeczał, nie targował; żandarmi wprawdzie nadeszli z papierami, w całym rynsztunku zbrojnym, do drogi gotowi, zupełnie wybrani, ale po konie nie posyłano, czekano cierpliwie, a tymczasem nadciągali znajomi z miasta, chcąc jeszcze raz dłoń naszą uścisnąć.

Było już ciemno, gdy wreszcie sanie stanęły u ganku, i wśród gwaru pożegnań, ulokowano nas na dnie oryginalnego powozu, usłanego niby łóżko. W powozie, na przedniej ścianie, umocowana latarnia wciąż gorzała, oświecając wnętrze.

Długim korowodem pociągnęły za naszemi saniami sanki współwygnańców i znajomych miejskich. U rogatek dopiero cały ów kulig, który miał w sobie coś z żałobnego orszaku, zatrzymał się. Odemknięto drzwiczki naszych sani. Otoczyły nas raz jeszcze ramiona przyjazne, podano dłonie po raz ostatni. Życzenia, pożegnania, westchnienia, błogosławieństwa zlały się w jeden chór rozgłośny. Przyświecały temu gwiazdy Północy i niezmierzone obszary śniegu.

Jeszcze minuta, dwie... a po raz ostatni przesunęły się przed okiem naszem zacne te twarze. Żandarm wreszcie zatrzasnął drzwiczki, posłyszeliśmy zgrzyt zardzewiałego klucza — zamknięto nas w pudle. Na wierzchołek pudła wspiął się żandarm ogromnej budowy i tam się usadowił. Rozległ się świst przeciągły, a trójka rączych wiackich rumaków ruszyła cwałem.

Posłyszeliśmy z zewnątrz pudła okrzyki: „bądźcie zdrowi“, „do widzenia“ — ale już nasze słowo do wołających dobiec nie mogło; przestrzeń coraz większa oddzielała od tych dłoni przyjaznych, ku nam wyciągniętych; odpowiedź w sercach naszych pozostała; jeden z nas już ją zaniósł oddawna do mogiły, zaniesie kiedyś i drugi wraz z wdzięczną pamięcią aż poza grób...

(C. d. n.).

Maryan Dubiecki.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Homiletyka. Napisał *ks. Aleksander Ważyński,* prałat dyecezyi wileńskiej, inspektor i profesor Akademii duchownej w Petersburgu, dr. św. Teologii. W Krakowie, czcionkami drukarni *Czasu.* 1891 (w 8-ce, str. II i 306).

Świeżo zmarły ś. p. ks. biskup Adam Krasiński, który nietylko względem Kościoła i ojczyzny, ale także względem naszego języka i literatury znakomite położył zasługi, w ostatnich tygodniach przed śmiercią zajął się jeszcze wydaniem niniejszej Homiletyki. Uratował on od zagłady rękopism „przyjaciela swego", przejrzał go i przygotował do druku, własną opatrzył przedmową, nie żałował wreszcie kosztu i nakładu na piękne i staranne wydanie, w jakiem wyszło niniejsze dzieło z drukarni *Czasu.*

Tak mało istnieje u nas podręczników wymowy kościelnej, że każdy choćby najdrobniejszy przyczynek na tem polu z radością powitać trzeba; cóż dopiero, kiedy ten przyczynek ma swoją niepoślednią wartość, lepszym jest od dzieł już istniejących, znacznym postępem naprzód. Takiem jest właśnie pośmiertne dzieło ks. Ważyńskiego.

Autor[1] po śmierci metropolity Hołowińskiego wykładał homiletykę w petersburskiej rzymsko-katolickiej duchownej Akademii, znał dobrze literaturę kaznodziejską i retoryczną, sam przez parę lat pracował na ambonie, przytem sąd miał wytrawny i zmysł wielce spo-

[1] Zmarły i pochowany w Krakowie w r. 1872.

strzegawczy — wogóle należał do najbardziej wybitnych zdolnościami i nauką kapłanów dyecezyi wileńskiej.

Homiletyka jego w tej formie, w jakiej ją dziś oglądamy, dzieli się na dwie części.

Część pierwsza (str. 1—187) traktuje o kaznodziejstwie w ogólności; podnosi jego ważność (rozdz. I.), jego potrzebę (rozdz. II.), określa przedmioty, wchodzące w zakres kaznodziejstwa (rozdz. III.); przechodzi potem do przymiotów kaznodziejskiego nauczania (rozdz. IV. i V.), wreszcie bierze na uwagę osobę samego kaznodziei i rozbiera wszystkie własności i cechy, jakiemi odznaczać się powinien, jeźli chce kazać z pożytkiem (rozdz. VI.).

Najbardziej interesująco przedstawiają się w tej pierwszej części rozdziały, traktujące o przymiotach kaznodziejskiego nauczania. Po pewnem znużeniu, jakiemu może uległ czytelnik w pierwszych dwóch rozdziałach książki, rozdział trzeci i następujące czyta on już z ciekawością i z coraz rosnącem zajęciem, podziwiając razporaz trafny i gruntowny sąd autora. Pod nagłówkami, napozór bardzo prostymi, umieścił on cały szereg uwag i spostrzeżeń, które brać trzeba na wagę złota.

Posłuchajmy np., co mówi o wyborze materyi do kazań:

„Nie potrzeba (pisze na str. 34) wprowadzać na ambonę kwestyj wątpliwych albo spornych, ani za dogmat podawać opinij prywatnych. *Incerta tractari ne permittant Episcopi.* (Trid. sess. 25 decr. de purg.)“.

„Potrzeba unikać w kazaniach tak zwanych poglądów filozoficznych, politycznych, literackich, spekulacyjnych: to bowiem przeciwne naturze słowa bożego, to wymowę kościelną robi jakąś świecką, to zniża religię do widoków doczesnych“ (str. 35).

„Unikać wszystkiego, co nie należy i nie pomaga do zbawienia; *quaestiones, quae ad aedificationem non faciunt et ex quibus nulla fit pietatis auctio, a popularibus contionibus secludantur.* (Trid. sess. 25 decr. de purg.). Chrystus Pan słowa nie powiedział, któreby się do zbawienia nie odnosiło, Paweł św. wzywa Efezów: *scitis quomodo nihil subtraxerim vobis*“ (str. 35 i 36).

Również bardzo ciekawe są uwagi ks. Ważyńskiego, odnoszące się do przymiotów kaznodziejstwa (str. 36—107). Samo naszkicowanie rozdziałów, które o tej rzeczy traktują, przedstawia się oryginalnie i zajmująco.

„Kaznodziejstwo — mówi autor — uważane w kapłanie, ministrze słowa bożego, powinno być stosowne do jego osobistości.

„Uważane w słuchaczu, powinno być zastosowane do stopnia jego pojęć, ukształcenia i potrzeb.

„Uważane w działaniu na dusze, powinno uczyć, podobać się i wzruszać.

„Uważane w zbiorze składowych części, powinno tworzyć jednę całość i być zgodne z prawidłem jedności, która jest konieczną w każdym dobrym utworze".

Rozbierając pierwszy z tych czterech punktów, podnosi trafnie, jak zgubnem być może przejmowanie się manierami drugich kaznodziei, których sobie za wzór stawiamy — jak każda nauka kościelna powinna odpowiadać wiekowi mowcy, stanowisku jego w kościele, przyrodzonym zdolnościom i kierunkom. To też młody kaznodzieja powinien badać swe uzdolnienie, swe osobiste pociągi, i w tym zakresie głównie się kształcić — lepiej mu być miernym, a oryginalnym, niż złą kopją wielkiego obrazu.

Przechodząc do konieczności stosowania kazań do poziomu słuchaczy, wspomina, iż wielu mowców, pisząc kazania, sądzi błędnie, że co im jest jasnem, musi też być jasnem dla słuchaczy. Tak jednak nie jest. Radzi więc kaznodziei, żeby studyował lud np. wiejski, przed którym występuje z kazaniem, żeby się wsłuchiwał w jego mowę, badał, jakiemi postaciami, podobieństwami objaśnia on swoje pojęcia — niech obejmie cały zakres tych pojęć, niech sobie przyswoi konkretne i plastyczne sposoby ludowe w oddawaniu myśli oderwanych: te sposoby i zwroty niech wygładzi i uszlachetni, żeby się nie wydawały gminnymi; myśli niech rozwija tym porządkiem, jakim się rozwijają w prostych umysłach; niech ma przed oczyma zasadę św. Salezego, że „strzec się trzeba łacińskiego *quamquam* i peryodów klasycznych, bo to zaraza kaznodziejstwa!" i t. d. Inaczej żadnego nie osiągnie pożytku, stanie się obcym ludowi, który go słucha, sprzeniewierzy się nawet dla czczych efektów naturalnemu przeznaczeniu słowa, które ma być znakiem myśli i narzędziem przelania jej w umysł drugiego. W nikogo swych myśli nie przeleje, a wymowa jego przejdzie bez wpływu. *Si nesciero virtutem vocis — qui loquitur, mihi barbarus.* (1 Cor. 14, 11).

To samo rozumieć trzeba i o potrzebach słuchaczy.

Ileż to razy mówi się po wsiach o dumie i ambicyi Cezarów lub Aleksandrów do tego chłopa, który nic nie czytał i nie wychylił się nigdy poza granice powiatowego miasteczka. Kaznodzieja winien słuchacza wieść za rękę po wszystkich drogach jego codziennego życia, w każdym jego uczynku wykazać obowiązki, sprzeczność życia i po-

stępowania z wolą bożą i t. d. Powinien więc poznać charakter, wady i błędy słuchaczy, do których przemawia, i zbijać w naukach przedewszystkiem wady miejscowe, a nie bujać po ogólnych sferach moralności i gromić tylko pychę Amana albo Nabuchodonozora (str. 48—52). *Cum ad contionandum aliquis contionator venerit, accurate illius loci morum corruptelas conquiret.* (Św. Karol Borom., Acta eccl. Mediol., t. I., p. 104).

Idąc dalej za swym planem, wykazuje autor, jak koniecznem jest do osiągnięcia celów kaznodziejskich, żeby się mowca podobał, żeby podbił sobie słuchaczy. Musi więc brać w rachubę ich nastrój, ich usposobienie, chwilowe okoliczności; powinien okazywać szczerą dla nich życzliwość, chęć wyłączną ich dobra, nie drażnić zbyt widocznem wytykaniem błędów, przesadą w kreśleniu złego i t. d. (str. 53 i 71).

Ale niedość na podobaniu się. Mowca ma uczyć, a pouczywszy jasno i dobitnie, wzruszać i przejmować słuchaczy, grać jak mistrz na strunie ich uczuć.

Podaje więc autor przedewszystkiem sposoby nauczania wiernych: opisanie rzeczy, określenie, szerszy wykład, dowody. Potem mówi, jakimi być mają te dowody, jak je sprowadzać do najprostszych i najbardziej pochwytnych form, jak wbijać w myśl i pamięć ludu, jak wybierać dowody najsilniejsze, jak uprzedzać zarzuty ze strony słuchacza, brać je z jego żvcia, z jego duszy i zbijać na miejscu, wprowadzać do kazań dyalogizm, dysputę niejako z grzesznikiem, wybiegającym się sofizmatami od tych logicznych konsekwencyj, do jakich go prowadzi kazanie. W dowodzeniu wystrzegać się systemu szkoły, który ściąga dowód do formułek algebraicznych — na ambonie byłoby to za sztywne; trzeba chropowatość dowodu pokryć obszerniejszym wykładem, niby szkielet ciałem; prócz innych przyczyn, przytacza autor i tę, że zbytkiem dyalektyki morduje się umysł słuchającego, a dowód zanadto streszczony przechodzi mimo uszu bez siły i wrażenia (str. 60, 65 i t. d.).

Co to znaczy wzruszyć słuchacza? — Odpowiada św. Augustyn: doprowadzić go do tego, żeby kochał to szczęście, które mu się zapowiada, bał się tych kaźni, któremi mu się grozi; brzydził się złem, które się potępia, a jął się dobra, które mu się zaleca. Jestto nietylko oświecić go i przekonać, ale też skłonić, aby szedł za światłem.

Od tego więc zawisł cały skutek wymowy.—Poruszenia kaznodziejskie różnią się jednak od poruszeń, których używają inne wymowy: w dramacie idzie o poruszenie trwające tak długo, jak długo trwa wi-

dowisko; w wymowie sądowej dopóki nie zapadnie wyrok; w wymowie obozowej póki się nie rozbudzi duch męstwa i waleczności — w kaznodziejstwie chodzi o wzbudzenie uczuć, któreby trwały nieodmiennie.

Źródłami takich trwałych wzruszeń religijnych są przedewszystkiem: wiara, bojaźń boża, nadzieja i miłość. Przechodzi autor szczegółowo te cztery źródła, poucza, jak je można umiejętnie wyzyskać, wreszcie stawia sześć bardzo trafnych prawideł, w których wykazuje, jak kierować temi wzruszeniami, aby nie chybić celu i nie popaść w przesadę (str. 85, 90 i nast.).

Myślę, że z tego pobieżnego streszczenia kilku główniejszych działów będą mogli czytelnicy wytworzyć sobie sąd o wartości Homiletyki ks. Ważyńskiego, o jej kierunku i nastroju. Oprócz szczegółów, już przytoczonych, zawiera pierwsza część dzieła inne jeszcze rzeczy bardzo cenne: np. o Piśmie św. i o różnych sposobach jego używania, o przygotowaniu się do kazań, o pisaniu kazań i różnych sposobach uczenia się tychże, o szkicach, o lekturze prywatnej i t. d.

O każdej z tych rzeczy mówi autor bardzo krótko i treściwie; na jednej nieraz kartce gromadzi niezmiernie obfity materyał, który przy ustnym wykładzie musiał być bez kwestyi znacznie szerzej obrabianym i wyłuszczanym; chcąc streścić te rzeczy, trzebaby całe strony przepisywać.

Część druga dzieła (od str. 187—309) jest więcej szczegółową. Mówi w niej autor o różnych sposobach kościelnego nauczania, a więc: co i jak mówić o prawdach chrześcijańskich (rozdz. I.), co o tajemnicach wiary (rozdz. II.), co o cnotach i występkach (rozdz. III.), o Sakramentach (rozdz. IV.) i o modlitwie (rozdz. V.), co o Świętych Pańskich (rozdz. VI.), co powinno być treścią i natchnieniem mów pogrzebowych i okolicznościowych (rozdz. VII. i VIII.), wreszcie jak wykładać katechizm (w dodatku). Prócz tego, w dziewięciu osobnych rozdziałach mieszczą się uwagi o różnych rodzajach mów i nauk kościelnych; a zatem: o kazaniu właściwem i o jego częściach składowych, o homiliach, o krótkich przemówieniach parafialnych, o konferencyach, wreszcie o misyach i rekolekcyach.

Choć ta część druga zawiera również wiele trafnych uwag i prawideł, mimo to wolelibyśmy, żeby była czasami bardziej wyczerpującą. Pod koniec dzieła znać już tu i owdzie pewne znużenie, za co zresztą nie można winy składać na autora, który nie zdołał wykończyć swej pracy i nie mógł jej sam przygotować do druku, przyczem z pewnością byłby wiele kwestyj rozszerzył i objął rozleglejszy widnokrąg.

Do najsłabszych miejsc w drugiej części Homiletyki zaliczamy rzecz o konferencyach, o misyach i o rekolekcyach (str. 261 i 266).

Odnośnie do całego dzieła, musimy podnieść dwa zarzuty ogólniejszej nieco natury. Autor wychodzi ze słusznej zasady, że kaznodziejstwo, będąc wymową, musi się posługiwać prawidłami retoryki — ale że jest zarazem wymową świętą, zatem ma swoje specyalne pole, na którem się obraca, i jako takie, winno się oprzeć na swych własnych podstawach: na objawieniu, na przykładzie Chrystusa Pana, na łasce Ducha św. i na oddzielnej swojej literaturze, jak św. Augustyna: *de doctrina christiana*, św. Chryzostoma *de sacerdotio*, św. Grzegorza W. *de cura pastorali* i t. d. (str. 2).

Z silnego przejęcia się tą zasadą, zkądinąd słuszną, wyrobiła się w autorze pewna jednostronność i pewna awersya do wszystkiego, co w nauce wymowy trąci świeckiem, że tak powiem, pochodzeniem. Cytuje on wprawdzie na wielu miejscach i Cycerona i Kwintyliana — ale mało uwzględnia te kwestye, które się odnoszą ogółem do każdej wymowy, czy ona jest kościelną, czy świecką. Wskutek tego brak dziełu ks. Ważyńskiego pewnej szerszej i ogólniejszej podstawy, na którejby zyskała przedewszystkiem całość jego książki, a czytelnik pragnący się obeznać z całokształtem kaznodziejskiej sztuki, nie potrzebowałby oglądać się za drugim, uzupełniającym podręcznikiem. Prawdą jest bez kwestyi, co mówi autor, że wymową kościelną „więcej ma rządzić duch Ewangelii, geniusz apostolstwa i doświadczenie tych, co drogę kaznodziejską przebyli — niźli sztuka“ (str. 3); z tego jednak nie wynika, żeby „sztuka“ wcale rządzić nie miała. Religijnego, pełnego pobożności obrazu nie potrafi wymalować ten, kto nie zna ogólnych zasad malarstwa, choćby był zresztą przejęty duchem Ewangelii i prawdziwej pobożności. Wymowa, jako sztuka ogólnie pojęta, ma w swej naturze i własnem łonie prawidła, których nieznać niewolno żadnemu mowcy bez względu na to, czy mówi na rzymskiem forum, czy też w Notre-Dame w Paryżu.

Z tego zarzutu wypływa drugi, dotyczący więcej formy dzieła ks. Ważyńskiego. Forma ta jest wogóle trochę za ciężka. Przyczynia się do tego pewien nastrój, autorowi właściwy, nie całkiem zaś, a przynajmniej nie zawsze, właściwy przedmiotowi, o którym mówi. Styl Homiletyki jest czasami raczej stylem ekshort albo czytań duchownych, niż książki naukowej i podręcznika wymowy. Nastrój ten z początku buduje, nieraz podnosi umysł, bo przebija w nim moralna wyższość autora i zasada *sancta sancte tractentur* — ale ostatecznie nuży nieco czy-

telnika i może zniechęcić trochę do książki, zwłaszcza w dwóch pierwszych rozdziałach (str. 1—29).

Jest jeszcze inny, donioślejszy może brak, który stale dostrzegać się daje w książce ks. Ważyńskiego. — Bardzo trafnie poucza on, jak kaznodzieja zapoznawać się ma z językiem ludu, z zakresem jego pojęć; jak do tego ludu przemawiać, żeby go unieść i przekonać — nigdzie zaś nie porusza bardzo ważnej kwestyi, jak mówić do warstw światlejszych, jakimi środkami ściągać je do ambony. A są jednak na to środki. Mac-Carthy, Felix, Lacordaire etc. żyli i działali w społeczeństwie niemniej zapewne sceptycznem od naszego, a jednak potrafili ściągać tłumy i skupiać kwiat inteligencyi koło swych mownic. Do tego zaś nie wystarczy sama nauka. Trzeba nadto znać dobrze „duszę wieku"; trzeba znać te prądy, które nurtują w społeczeństwie, te choroby, które toczą jego wnętrze; a za punkt wyjścia trzeba obierać to stanowisko, ktore odpowiada charakterowi epoki. Podręcznik wymowy kościelnej nie może pominąć tych względów, jeźli chce stać na stanowisku współczesnem. Każdy wielki mowca ma na sobie wybitne piętno wieku, w którym przemawiał; ktoby chciał dzisiaj tak samo mówić jak Skarga, z pewnością nie znalazłby takiego oddźwięku i nie odniósłby takich skutków, jak w wieku XVI. Nieśmiertelne kazania Skargi pozostaną zawsze arcydziełem i wzorem — ale czy ten wzór wystarczyłby w XIX. wieku, to inna kwestya.

Wielka też szkoda, że Homiletyka ks. Ważyńskiego bardzo rzadko i to tylko ogólnie i wyjątkowo odsyła czytelnika do wzorów. Bez wzorów i przykładów nie pojmujemy skutecznego nauczania wymowy, i niesłychanie pożądaną byłoby rzeczą, żeby się pojawiła u nas oryginalna książka polska w tym guście, jak: *Muster des Predigers* Schleinigera; byłoby to miłe i wdzięczne zadanie, tem ponętniejsze, że wymowa polska z przeszłych wieków, jakkolwiek nie da się dziś na ambonie spożytkować w całości i bez pewnych zastrzeżeń, to jednak w szczegółach jest tak piękną i bogatą, że prawie dotrzymuje miary zagranicznym literaturom kaznodziejskim, a niektóre nawet stanowczo przewyższa. A tem bardziej potrzebnym byłby tego rodzaju wybór wzorów, że już zaczynają się pojawiać zdania, jakoby pomniki naszej wymowy z przeszłych wieków, były bez wartości dla studyów kaznodziejskich. W ostatnim np. zeszycie *Przeglądu kościelnego* [1] wyczytaliśmy ze zdumieniem, że „następca Skargi" ma kilka (?!) szczęśliwych zwrotów i myśli, że

[1] Maj 1891, str. 314.

prócz Młodzianowskiego, który ma w sobie coś rzewnego i staropolskiego, można wszystkie prawie książki i folianty kazań naszych bez żalu skazać na wiekuistą niepamięć — a z tego wszystkiego konkluzya oczywista, że nasza literatura kaznodziejska jest niezmiernie ubogą. Na szczęście tak nie jest. To tylko prawda, że my tych starych naszych kazań nie znamy, że wydania ich są nadzwyczaj rzadkie, że nabyć ich prawie niepodobna, że dotychczas nie mamy nawet krytycznego i kompletnego wydania Skargi.

Wracając do Homiletyki ks. Ważyńskiego, jednę jeszcze podnieść musimy uwagę. Szkoda mianowicie, że nie wygładzono i nie poprawiono w niej języka, który — jak już wspomnieliśmy — jest za ciężki, a przytem do innej należy epoki niż ta, w której żyjemy. Można też było usunąć niektóre prowincyonalizmy i wyrażenia niezrozumiałe, jak np.: „skutków missyj nie nazwiem *przechożem*“ (str. 269), „pochlebstwo wszędzie *bronne*“ (str. 241), „nauki pisane *w całku*“ (str. 163) i t. d.

Zresztą, mimo pewnych braków, ma ta Homiletyka niepoślednią wartość. Nietylko młodzi kapłani, zaprawiający się do służby słowa, znajdą w niej pokierowanie i naukę, ale też starzy i wytrawni kaznodzieje zajrzeć będą mogli do niej z pożytkiem, odświeżyć sobie pamięć rzeczy już znanych, znaleść nieraz pokrzepienie na duchu, a nieraz pomoc i cenną wskazówkę.

Jak najusilniej więc polecamy tę książkę Szan. Duchowieństwu, seminaryom duchownym i wszystkim miłośnikom kościelnej wymowy.

W. S. P.

Organizacya Kościoła w Polsce do połowy wieku XII. Napisał *prof. dr. Władysław Abraham.* We Lwowie. Nakładem autora. 1890 (w 8-ce, str. VI i 259).

W pracy tej, podzielonej na dziewięć rozdziałów, autor opowiada o początku wiary chrześcijańskiej w Polsce i zastanawia się nad pierwotnem urządzeniem kościoła; następnie podaje rozwój organizacyi jego do połowy XII. wieku, na tle nielicznych wiadomości kronikarskich i dokumentów z tego czasu pochodzących.

Pominąwszy już trudność, że tą kwestyą nie zajmował się dotąd żaden kanonista, miał autor niełatwe zadanie i z tego powodu, że wiele faktów dziejowych z tych czasów nie znalazło jeszcze należytego ocenienia, zatem musiał sam materyał, na którym się opiera, wyświecać, ażeby umożebnić wyciągnienie z niego wniosków. Z tych trudności wywiązał się szczęśliwie, a zaletą dzieła jest bystrość w po-

glądach i trafne rozwiązanie zawiłych kwestyj, rozświetlanie niejasnych faktów, a oraz ujmujący sposób wypowiadania swych twierdzeń; nie narzuca ich bowiem czytelnikowi, nie polemizuje fanatycznie z tymi, którzy są innego zdania, ale spokojnie i objektywnie podaje swoje zapatrywania.

Treść dzieła jest mniej więcej następująca. Chrześcijaństwo przybyło do nas nie z Nowej Korbei, ale z Fuldy via Czechy — jakkolwiek pierwszymi misyonarzami byli duchowni niemieccy. Pierwszy biskup polski Jordan nie należał początkowo pod żadnego metropolitę, aż dopiero po utworzeniu metropolii magdeburskiej, i to nie zaraz, począł jej podlegać. Święty Wojciech, zanim udał się do Prus, rozciągał swą działalność na wschodnią część Polski. Na zjeździe gnieźnieńskim w r. 1000 Otto III. zrzekł się na korzyść władców polskich swego cesarskiego prawa urządzania kościoła, mianowania biskupów i udzielania im inwestytury, i wtedy powstaje organizacya prowincyi polskiej, do której okrom metropolii gnieźnieńskiej, należą biskupstwa: krakowskie, wrocławskie i kołobrzeskie, wyjąwszy poznańskie, które dopiero później wcielono do prowincyi gnieźnieńskiej. Mieszko II. zakłada biskupstwo kujawskie. Następuje reakcya pogaństwa, w której ginie i pierwotne urządzenie kościoła. Kazimierz I. poczyna je odnawiać; ale dopiero za Bolesława Śmiałego legaci Grzegorza VII. nanowo urządzają kościół polski; dopełnia zaś tej organizacyi Krzywousty, jakkolwiek skutkiem ciosów, które spadały na państwo i kościół, metropolici magdeburscy chwilowo rozpościerają swą władzę metropolitalną nad Polską. Stosunki z Rzymem ograniczały się na odnoszeniu się wybitniejszych książąt do Rzymu i na opłacaniu świętopietrza, które utrwaliło się dopiero od czasów Bolesława Śmiałego.

Taka jest przeważnie strona historyczna niniejszej pracy. Rzecz o stosunkach wewnętrznych kościoła polskiego ma więcej cechę roztrząsania historyczno-prawnego.

Zaczyna autor od kapituł i sądzi, że pierwotnie uorganizowanych kapituł nie było, ale kler biskupi żył wspólnie i utrzymywał się ze wspólnych dochodów, a dopiero za Władysława Hermana została przynajmniej kapituła krakowska, wraz z rozdzieleniem majątku na pojedyńcze prebendy, kapitułą zamkniętą. Około tego czasu został konsekrowany i katedralny kościół w Gnieźnie; ztąd autor wysnuwa prawdopodobieństwo, że i tu na taką samą modłę kapituła się zorganizowała. Godności w kapitułach nie były wszędzie jednakowe; w niektórych pierwszy prałat zwał się proboszczem, w innych dziekanem; kapituł kolegia-

ckich było bardzo mało. Są ślady, że dyecezye w XII. wieku już były podzielone na archidyakonaty; ale zpod władzy archidyakonów często uchylali się duchowni, na dworze książęcym jako i na dworach możnych żyjący. Biskupów mianował książę, jak się autor domyśla, nierzadko z grona swoich kapelanów, którzy w każdym razie mięli wielkie znaczenie, jeżeli im Gallus trzecią księgę swojej kroniki poświęca. Kapelanowie prywatni sprawowali funkcye przy kaplicach i kościołach będących własnością możnowładców, które później, ale jeszcze nie w początku XII. stulecia, stały się powoli kościołami parafialnymi.

Życie zakonne również nie było bardzo rozpowszechnione; jest ślad, że za Bolesława Chrobrego tylko w Międzyrzeczu i Trzemesznie istniały klasztory, oczywiście benedyktyńskie, a pomnożenie klasztorów datuje się dopiero od Kazimierza I. Co do osobowości prawnej kościoła, zostaje autor na tem samem stanowisku, na jakiem stanął w swojej pracy o początku prawa patronatu w Polsce, którą oceniłem w *Kwartalniku historycznym* [1], mianowicie jest zdania, że powoli dobijały się kościelne instytucye praw podmiotu majątkowego.

Duchowni polscy początkowo podlegali forum świeckiemu, podobnie jak i immunitety im nie przysługiwały, wyjąwszy chyba, że niema śladu by służyli wojskowo; majątek kościoła również z reguły nie był zwolniony od ciężarów, jakim inne majątki podlegały. Kościół posiadał uposażenie w ziemi, jako dar książąt i możnych, oraz dziesięciny i gdzieniegdzie dziewięciny. Zawiązek majątku kościoła, jak się domyśla autor, mógł powstać skutkiem przekazania kościołowi majątków dawnych świątyń pogańskich.

Początkowy kościół polski był wogóle wcale zawisły od władzy państwowej, jakkolwiek niema śladu o tem, żeby ona wydawała jakieś prawa *in publico ecclesiasticis*, okrom chyba jednego bardzo surowego prawa co do zachowywania postów; natomiast prawo azylu, jakoteż prawo o nierozwiązalności węzła małżeńskiego, bywało nieraz przez samych książąt łamane.

Taka jest treść pracy prof. Abrahama. Wiele hipotez, co było zresztą rzeczą nieuniknioną, nastręcza mi sposobność przekroczenia ram recenzyi i przedstawienia w niektórych szczegółach odmiennego nieco zapatrywania.

Autor jest zdania, że pierwszy biskup polski Jordan, zanim został sufraganem magdeburskiej metropolii, nie podlegał żadnemu arcy-

[1] Rok 1890, zeszyt IV., str. 559—561.

biskupowi jako metropolicie. Byłoby to, mojem zdaniem, ze strony Niemiec sprzeniewierzeniem się tradycyjnej polityce wobec sąsiednich ludów słowiańskich, która polegała na tem, żeby przez silną organizacyę kościelną utrzymać je w zależności od cesarstwa. Biskupstwa: Hawelberg, Brandenburg i Oldenburg zostały umyślnie założone za Ottona I., jako biskupstwa kresowe równolegle z marchiami, w tym celu, żeby się szerzyły w krajach słowiańskich, na wschód, a należały pod metropolitalną władzę arcybiskupów mogunckich. Jako kresowe biskupstwa więc, były one otwarte ku wschodowi i północy, a ztąd cała wschodnia i północno-wschodnia strona, o ile mogła być chrześcijańską, podlegała władzy arcybiskupa mogunckiego. Dlatego, skoro na wschód od tych biskupstw powstało biskupstwo polskie, osobliwie odkąd Mieszko I. został chrześcijaninem, chociaż dyecezya nie była należycie urządzona, biskup zawsze musiał podlegać arcybiskupowi mogunckiemu już z tego powodu, że znaczyło to, iż na terytoryum arcybiskupów mogunckich pracuje. To stwierdza, mojem zdaniem, znacząca wiadomość, w katalogach arcybiskupów gnieźnieńskich zamieszczona, jakoby pierwszymi metropolitami polskimi byli arcybiskupi: Willihalmus, Hatto i Robert [1]; właśnie bowiem byli to równocześnie żyjący arcybiskupi mogunccy: zkądże oni mogli się dostać do spisu metropolitów polskich, jeżeli nie ztąd, że ówczesny biskup polski im podlegał? Wprawdzie jest zdanie, że imiona tych trzech arcybiskupów dostały się do katalogu gnieźnieńskiego za pośrednictwem duchownych przybyłych z Czech do Polski, którzy w Czechach podlegali arcybiskupom mogunckim — ale zważywszy silną organizacyę terytoryalną ówczesnych prowincyj kościelnych, trudno przypuścić, żeby mogli uważać za swych metropolitów takich pasterzów, którzy w terytoryum, gdzie pracowali, nie posiadali metropolitalnej juryzdykcyi. Owszem, jeżeli arcybiskup Wilhelm umiera 2 marca 968 r., a po nim figurują jeszcze jako arcybiskupi: Hatto († 970) i Robert, który był arcybiskupem do 13 stycznia 975 r., a w chwili powstania arcybiskupstwa magdeburskiego niema wzmianki w aktach urzędowych o poddaniu mu biskupstwa poznańskiego i kronikarze współcześni wyrażają się w ten sposób, jakoby się to stało później [2] — kto wie, czy to nie byłoby nam wskazówką, odkąd biskup polski począł

[1] *Mon. Pol.* III. 371.

[2] Por. Thietmar, II. 14; *Mon. Pol.* I. 248, i rocznikarz saski *Mon. Germ.* S. S. V. 622.

podlegać metropolii magdeburskiej, pod której władzą zostawał jeszcze po roku 1000?

Nie zgodziłbym się także na zdanie autora, jakoby św. Brun był metropolitą w Polsce. Nie dopuszcza tego twierdzenia sama krótkość jego pobytu w Polsce. W r. 1007 przybywa tu, a już w pierwszej połowie r. 1009, po pracy apostolskiej u barbarzyńców, umiera; za krótki to przeto czas na to, żeby Bolesław zdołał nową metropolię utworzyć; a zresztą, dlaczegożby w niej nie miał pozostać św. Brun, dlaczegożby po jego odejściu zniknął ślad tej metropolii? Słowo *fidelis*, na którem autor opiera swe twierdzenie, jakoby między Brunem a Bolesławem istniał trwały stosunek taki, jaki między książęciem, panem lennym, a jego poddanym istnieje — może mieć całkiem ogólne znaczenie, mianowicie może oznaczać osobisty, przyjacielski stosunek z panem kraju, względem którego ma się powody do pewnej uległości, ale bez ściśle określonych prawnych następstw [1]. Właśnie ustęp z listu Bruna do cesarza Henryka: „Si quis etiam hoc dixerit, quia huic seniori (Bolizlao) fidelitatem et maiorem amiciciam porto, hoc verum est" — może być wskazówką w tym względzie, że św. Brun w Polsce oficyalnego stanowiska nie zajmował; jeżeliby bowiem był czy to metropolitą, czy biskupem dyecezyalnym tamże, byłoby to doskonale wiadomem w Niemczech i nie potrzebowałby się dopiero do tego przyznawać wobec cesarza. Również nie twierdzę, jakoby wiadomość podana przez Thietmara (VI. 58), że św. Brun darowane sobie w Polsce bogactwa rozdał między kościoły, ubogie i swoich powierników, miała oznaczać kanoniczną administracyę majątku kościelnego (na kościół, duchownych i ubogich), gdyż jest zanadto ogólnikowa. Autor wprawdzie znachodzi poparcie swojej hipotezy w relacyi Wiperta o męczeństwie św. Bruna, ale list Wiperta jest źródłem, które nie wzbudza zaufania, z powodu bardzo wielu bałamutnych wiadomości. Również nieprawdopodobnem wydaje mi się przeszczepienie specyficznie frankońskiej instytucyi sendów na nasze stosunki.

Omawiając stosunki ze Stolicą apostolską, słusznie autor twierdzi, że Polska była pod względem politycznym zależną od Rzymu. Zależność ta miała formę opieki i była ściśle połączoną z czynszem opłacanym przez Polskę. Zważywszy zaś, co powiada Blumenstok [2], że aż do

---

[1] Por. *Lexicon iuris civilis et canonici,* edidit Feyerabend. Coloniae 1583; p. 221.

[2] „Opieka papieska w wiekach średnich". Kraków 1889; str. 65.

końca XI. w. opieka papieska powstaje prawie wyłącznie na podstawie komendacyi, a komendacya taka ze względu na Polskę miała miejsce za czasów Jana XV. — tu widocznie szukać należy początku i tej zależności Polski od Rzymu. Autor zdaje mi się słusznie twierdzi, iż świętopietrze za pierwszych władców polskich opłacano ryczałtem; sądzę, że pierwotnie zaprowadzono je jako podymne, a od czasów wiadomej dyspenzy Kazimierza I. zamienione zostało na pogłówne.

Na str. 104 i następnych zamieszcza autor ustęp zatytułowany: O obrządku słowiańskim. Nie godziłbym się na termin „obrządek słowiański“, taki bowiem obrządek nie istniał; w tych stronach istniał tylko zachodni i wschodni czyli rzymski i grecki obrządek, a tylko język słowiański mógł sporadycznie istnieć jako język liturgiczny. Św. Metody, mojem zdaniem, wprowadził język słowiański do liturgii rzymskiej[1]; o ile przeto jego wpływ mógł sięgać do Polski, o tyle tu wprowadził obrządek rzymski w języku słowiańskim. Ale Bolesław Chrobry rozszerzył państwo w stronę Rusi, a tu istniał obrządek grecki w języku słowiańskim; za czasów zaś Mieszka II., przynajmniej w samych początkach jego rządów, okolice te mogły jeszcze należeć do Polski, i on też widać opiekował się obydwoma obrządkami i językiem liturgicznym słowiańskim, jeżeli księżna szwabska Matylda pisze do niego: „Cum in propria et in latina lingua Deum digne venerari posses, in hoc tibi non satis, graecam addere maluisti“ [2].

Zwracam też uwagę na to, że dyrektywą w badaniu organizacyi kościoła u nas nie może być bez zastrzeżenia przyjmowane stanowisko kościoła do państwa na Zachodzie, z tego powodu, że u nas feudalizm i nieodłączna od niego zasada podzielonej własności właściwie nie istniały. Sądzę też, że niektóre kwestye niejasne w pierwotnym ustroju naszego kościoła, dałyby się wyjaśnić na podstawie źródeł późniejszych.

Naostatek, przedstawienie rzeczy zyskałoby na jasności i przejrzystości, gdyby poszczególne rozdziały i ustępy były inaczej rozmieszczone. Rzecz o liturgii słowiańskiej np. wypadałoby pomieścić na początku, ona zaś zamieszczona jest aż na str. 104; rozdział, omawiający związek metropolitalny, powinien być także wysunięty naprzód.

Ks. Tadeusz Gromnicki.

---

[1] Por. „ŚŚ. Cyryl i Metody“. Kraków 1880; str. 103 sq.

[2] *Mon. Pol.* I. 323.

Wykład budowy hymnów, w księgach liturgicznych zawartych. Skreślił *ks. dr. Andrzej Retke*, profesor Akademii duchownej w Petersburgu. Warszawa, w drukarni Franciszka Czerwińskiego. 1891. (Z dedykacyą JE. ks. Popielowi, arcyb. warsz.); w 8-ce, str. 68.

Literatura nasza uboga jest w prace metryczne. Tem chętniej też powitać należy każdy nowy do niej przyczynek, wypełniający dotychczasowe luki. Oddawna między innemi dawała się czuć potrzeba podręcznika, któryby zebrał choćby w najogólniejszych zarysach prawidła budowy wierszów późniejszej poezyi łacińskiej. Praca ks. dra Retkego, obejmująca wykład budowy metrycznej hymnów liturgicznych, jest tedy bardzo na czasie. Aby ocenić całą piękność hymnów kościelnych, niedosyć jest znać ich treść; jak w ogólności przy każdym utworze poetycznym, tak i tu równie ważną jest forma. Kto chce hymny lepiej zrozumieć i pojąć, musi koniecznie poznać ich budowę zewnętrzną. Podręczniki nasze metryczne zajmują się atoli przeważnie poezyą łacińską epoki klasycznej, nie dotykając prawie poezyi późniejszej; ztąd też przedewszystkiem alumni seminaryów duchownych czuli brak zarysu metryki poezyi kościelnej. Dla nich w pierwszym rzędzie przeznaczone jest dziełko niniejsze. Stosownie do wytkniętego celu, autor wciągnął w ramy swej pracy tylko to, co do zrozumienia budowy hymnów liturgicznych jest niezbędnem.

W dwóch pierwszych rozdziałach podane są ogólne zasady metryki i rytmiki łacińskiej: znajdujemy tu więc wyjaśnienie, co to jest stopa, szereg, wiersz, zwrotka i poemat, oraz najważniejsze wiadomości o zgłoskach, cezurze i skandowaniu: następnie rozebrane są ważniejsze właściwości iloczasowe, jakoto: długość zgłosek przez następstwo, przedłużenie samogłosek pod wpływem przycisku, rozziew i sposoby usunięcia go, wreszcie zbiór tak zwanych „postaci rymotwórczych“, przez które autor rozumie synizesis i diaeresis, t. zw. diastole i systole, oraz syncope i tmesis.

W następnych pięciu rozdziałach rozbiera autor szczególne rodzaje metrów w hymnach używanych, stwierdzając zasady przykładami. Jeżeli hymny znajdują się w brewiarzu, podana jest z nich zazwyczaj tylko jedna lub dwie zwrotki; jeżeli wyjęte są z innych ksiąg liturgicznych, autor wypisuje hymn najczęściej w całości. Zpomiędzy wierszy miarowych, znajdujemy tu rozebrane wiersze daktyliczne, mianowicie hexametr i t. zw. pentametr, dalej wiersze jambiczne i trocheiczne. Wiersze anapestyczne, bakchijskie, peońskie i jońskie w hymnach nie występują. — W dalszym ciągu, po ogólnych wiadomościach o wierszach

mieszanych, mianowicie o ich dwu rodzajach: asynartetach i logaedach, następuje rozbiór wierszów i zwrotek archilochijskich, safickich, asklepiadejskich i alcejskich, o ile znajdują się w hymnach. — Załatwiwszy się z wierszami miarowymi, autor przechodzi do drugiego rodzaju wierszów, który występuje w pieniach kościelnych: do wierszów rytmicznych czyli akcentujących. W liczbie ich spotykamy wiersze o rytmie trocheicznym, jambicznym i o rytmie naśladującym wiersz asklepiadejski.

Rozdział ósmy, stanowiący pewnego rodzaju dodatek, obejmuje najogólniejsze wiadomości o autorach hymnów. Z polskich autorów mamy, jak wiadomo, w brewiarzu trzy hymny głośnego kaznodziei Stefana Batorego, Stanisława Sokołowskiego, i dwa przypisywane Sarbiewskiemu *(Superne regum, rex bone* i *Rex magne, rex altissime)* [1].

Jak widać z powyższego streszczenia, autor wciągnął w zakres swej pracy wszystkie rodzaje metryczne hymnów liturgicznych. Chodzi o to, jakie jest jego stanowisko wobec metryki. Otóż zaznaczyć trzeba, że nie wszędzie liczył się on należycie z postępem umiejętności, ztąd też nieraz stoi na stanowisku przestarzałem. Zastrzegam się jednak, że zdania tego nie należy rozciągać na całą pracę; odnosi się ono głównie do dwóch pierwszych rozdziałów, obejmujących pojęcia wstępne. I tak autor nie zdaje się wyróżniać *syllaba communis* od *anceps* (str. 9), podczas gdy dzisiejsza metryka ściśle te pojęcia oddziela, przez pierwszą rozumiejąc zgłoskę chwiejną pod względem iloczasu tj. taką, która raz może być mierzona jako długa, drugi raz jako krótka (np. zgłoska zawierająca *muta cum liquida*); *syll. anceps* natomiast oznacza tylko miejsce w wierszu, dozwalające pod względem językowym równie zgłoski krótkiej jak długiej (zwykle na końcu wiersza). Niedosyć ścisłe są również definicye jednostek rytmiczno-metrycznych: w definicyi stopy (str. 9) nie położono nacisku na to, że zgłoski stanowią stopę dopiero wtedy, jeżeli są jednym rytmicznym iktem w całość połączone; to samo należy powiedzieć o definicyi szeregu (str. 12); również niedosyć dokładne są definicye wiersza (str. 13) i zwrotki (str. 15). Poszło za tem, że autor nie wyróżnia należycie wierszy od szeregów, mówiąc np. (str. 44): „Ztąd też nie dopuszcza się na końcu wiersza zgłoski obojętnej". Co do podziału stóp (str. 10), to podział według ilości zgło-

[1] Wiadomo, że Sarbiewski należał do komisyi, której Urban VIII. powierzył poprawę hymnów rzymskiego brewiarza. Utrzymują powszechnie, że jednym z hymnów, poprawionych przez Sarbiewskiego, jest hymn na niedzielę pierwszą po Wielkiejnocy: *Ad regias Agni dapes.* (Por. Krystyniackiego *Fasti Sarbieviani,* str. 16).

sek nie bardzo się zaleca. Stopy pojedyńcze nadto są tu pomieszane ze złożonemi. (Dodaję tutaj, że *pyrrhichius* nie jest stopą we właściwem tego wyrazu znaczeniu). Na str. 10 mówiąc o rozwiązaniu zgłoski długiej na dwie krótkie, autor powiada, że stopa właściwa *(pes legitimus)* bywa zastąpiona przez inną i przytacza między przykładami takiego zastępstwa: „zamiast spondeja daktyl“ — co oczywiście jest błędnem, bo rzecz ma się tu odwrotnie: spondej jest stopą zastępczą, daktyl główną. Nieco niżej autor twierdzi, że irracyonalny jamb lub trochej zawiera $3^1/_2$ mory; trzeba tu było wspomnieć dla dokładności, że nie wszyscy uczeni taki ułamek przyjmują; zgoda panuje tylko na tym punkcie, że wartość tego rodzaju stopy jest niewymierną i leży pomiędzy trzema a czterema morami. Na tejże stronie oraz na str. 33 czytamy, że teza niewymiernego trocheja lub jamba bywa niekiedy w hymnach rozłożona; tymczasem, jeżeli zamiast takiego jamba znajdujemy anapest, niekoniecznie musimy sprowadzać go na rozkład irracyonalnego spondeja. — Na str. 14 między znamionami wiersza nie wymieniono *lexis teleia*. Do wierszy hiperkatalektycznych autor błędnie zalicza takie, w których zbywająca zgłoska (np. *que*) spływa się z samogłoskowym początkiem następującego wiersza; w tym wypadku ma miejsce tylko zwyczajna synizesa. W definicyi poematu stychicznego należało wyraźnie nadmienić, że w nim powtarza się ten sam wiersz jeden po drugim; bez tego bowiem dodatku definicya autora łatwo może u początkującego wywołać błędne wyobrażenie o tego rodzaju kompozycyi. Na str. 17 autor mówi o zgłoskach długich przez następstwo. Prawda, że przyzwyczailiśmy się łacińskie *positione*, będące tłumaczeniem greckiego *thesei*, oddawać po polsku przez „następstwo“: trzebaby jednak w każdym razie przynajmniej w uwadze zaznaczyć, że wyraz grecki oznaczał pierwotnie zgłoskę długą na mocy układu, ogólnej zgody *(thesis)* poetów, a dopiero po zatraceniu pierwotnego znaczenia został błędnie przetłumaczony przez metryków rzymskich wyrazem *positione* [1]. Podobnie, mówiąc o przedłużeniu samogłoski pod wpływem przycisku (str. 18), należało nadmienić, że ma ono głównie miejsce wtedy, jeżeli odnośna samogłoska była pierwotnie długą, jak to się ma rzecz w przytoczonych przez autora przykładach zakończeń deklinacyjnych: *or*, i konjugacyjnych: *at, et, it*.

Co do terminologii metrycznej, dałoby się kilka rzeczy zarzucić. Jako nazwę wiersza katalektycznego, autor podaje: *versus catalectus*, za-

[1] Por. Steinthal, *Gesch. der Sprachwiss.*, str. 74.

miast właściwszej: *catalecticus;* z nazw wiersza akatalektycznego uprawnioną jest tylko nazwa: *versus acatalectus.* Podobnież lepszą jest forma: (v.) *hypercatalectus* niż *hypercatalecticus.* Niewiadomo, dlaczego synizesis, diaeresis, tmesis i tym podobne objawy iloczasowe autor nazwał „postaciami rymotwórczemi" (str. 21). Terminy: diastole, systole, zachowane przez autora (str. 22 n.), dawno już nauka zarzuciła. Mówiąc o pentametrze (str. 28), należało wspomnieć, że nazwa ta nie jest właściwą, że polega na błędnem wyobrażeniu o istocie tego wiersza, który nie jest niczem innem, jak podwójnie (w 3 i 6 stopie) katalektycznym hexametrem.

Nazw arzy i tezy autor używa w znaczeniu bentlejowskiem. W wierszu alcejskim przyjmuje anakruzę. Stanowczo przestarzałem jest stanowisko autora wobec t. zw. „basis" w wierszu asklepiadejskim (str. 46).

Definicya hymnu, jako „pieśni, która się śpiewa na chwałę Bożą" (str. 16), jest za szczupłą wobec tego, że wyraz ten miał w starożytności tak jak i dzisiaj znaczenie szersze [1]. Definicya ody jako utworu lirycznego, składającego się ze zwrotek czterowierszowych (str. 41), jest niedokładna; wiadomo bowiem, że nie wszystkie ody dadzą się podzielić na tego rodzaju zwrotki.

Błędnemi są twierdzenia autora, odnoszące się do gramatyki historyczno-porównawczej. I tak: *j* nie jest spółgłoską „podwójną" (str. 18); gen. pl. *liberum* nie jest skrócony z *liberorum* (str. 23); formy: *periclum, saeclum* i t. p. nie powstały przez skrócenie z *periculum, saeculum* i t. d., lecz owszem są formami pierwotnemi [2]: *mi* nie jest ściągnięte z *mihi* [3]: podobnież dativus na *-u* nie powstał z *-ui,* ani dat. na *-e* z *-ei* [4].

Zaznaczone braki odnoszą się przeważnie do pierwszych dwóch rozdziałów pracy; część główna, obejmująca rozbiór szczegółowy wierszów, niewiele pozostawia pola do zarzutów.

Zasługą autora jest, że zebrał wiele uwag i spostrzeżeń, dotyczących budowy hymnów liturgicznych. Z trzech rodzajów metrum, używanych w hymnach, daktyl reprezentowany jest dosyć słabo: hexametrem pisany jest tylko jeden hymn w brewiarzu; tak zwanym pentametrem

---

[1] Por. Christ, *Metr. der Gr. u. Röm.* 2, str. 673.

[2] O powodzie chwiania się pisowni między *-cl-* a *-cul-*, por. Brugmann, *Grundr.* 1, § 627, uw. 1.

[3] Por. Stolz, Gram. łac. 2, § 89.

[4] Stolz § 85; Brugmann 1, § 85.

dwa, i to w kancyonale. Niezbyt częste są i wiersze trocheiczne. Najczęściej za to występują jamby (dymeter, którym jest napisana największa część hymnów brewiarzowych, i trymeter, w którym ułożonych jest sześć hymnów). Z wierszów o metrum złożonem używają się w hymnach tylko z asynartetów m. Archilochium (jeden hymn), a z logaedów m. Sapphicum (po dymetrze jambicznym najczęstsze), Asclepiadeum (jedenaście hymnów) i Alcaicum (jeden hymn). Hymny, pisane wierszem akcentującym, są jużto rymowane, jużto nierymowane.

Pod względem prawideł budowy poszczególnych rodzajów wiersza, jak wiadomo, metryka późniejsza łacińska powracała do zasad surowych. Tak między innemi nie mamy w hymnach przykładu hexametru spondeicznego, nigdy też hexametr nie kończy się wyrazem jednozgłoskowym. W wierszach jambicznych poeci hymnów, podobnie jak poeci klasyczni, dopuszczają daktyle i anapesty tylko w pierwszej stopie, nigdy zaś w innych, jak to czynili tragik Seneka lub Fedrus. W wierszach trocheicznych arza nie bywa nigdy rozwiązana, ani też trochej zastąpiony przez daktyl lub anapest. Obok tych praw surowych, mają hymny swoje licencye; po szczegóły odsyłamy do samej pracy.

Co do języka autora, znajdujemy czasem w pracy zdania zbudowane ciężko i niezbyt poprawnie, jak np. na str. 14: „W wierszach złożonych ze stóp trójzgłoskowych, jeżeli z ostatniej stopy zostaje dwie zgłoski, wiersz zowie się *catalectus in duas syllabas*...“; str. 16: „Hymny ze względu na ich budowę rozróżniamy: 1^0 miarowe, których budowy zasadą jest iloczas zgłosek, i gdzie przepisy starożytnej sztuki rymotwórczej dokładnie są zachowane“ i t. d.; str. 17: „Przycisk zaś, ponieważ zależy od jakości metru, stojąc zwykle na arsie stopy, więc bardzo odstępuje od akcentu gramatycznego“ i t. d.; wyrażenia jak: „długa waży dwie krótkie“ (str. 9, 11, 32). W używaniu nazw technicznych, autor nie przestrzega czasem jednostajności („sylaba“ obok „zgłoska“, str. 11). Nie polecają się też w języku polskim konstrukcye, jak: „w pieśni przypisywanej Venantio Honorio...“. Zamiast nazwy „zwrotka“, należałoby już może raz wprowadzić nazwę „wrotka“, bo przecież rytm „wraca“ a nie „zwraca się“, tem bardziej, że wprowadzono ją już w niektórych podręcznikach metrycznych polskich.

Słówko jeszcze o pisowni wyrazów łacińskich. Trzebaby już raz nazawsze porzucić pisownię, jak: *coelum* (i pochodne), *Coelius* (przydomek Seduliusa, zresztą rękopiśmiennie niedosyć stwierdzony), *lacryma*, *moerentes*, *herus* i t. d.

Streszczając nasz sąd, powiedzieć musimy, że dziełko ks. dra Ret-

kego, napisane jasno i przystępnie, jest pożądanym nabytkiem dla naszej literatury metrycznej i powinno się znaleść w ręku nietylko alumnów seminaryów duchownych, ale i filologów z zawodu, spełniając w ten sposób zarazem pragnienie autora, aby praca jego przyczyniła się do poznania wzniosłości i piękności łacińskiej poezyi kościelnej.

Stanisław Witkowski.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Considérations d'un Romain sur la conduite politique des catholiques en France. Par *le comte Edouard Soderini.* Rome 1891.

Le Centenaire de 1789 et la question de l'ordre social en France. Par *F. S. (Ks. prałat Franciszek Starowiejski).* Rome 1890.

Debout! pressent appel au clergé et aux catholiques de France. (Par *Miriam*).

En Avant! sur le terrain catholique. Par *Miriam.*

Trudna, a przecież piekąca kwestya o stanowisku, jakie zająć powinni w polityce katolicy francuscy, wywołuje nieustający szereg artykułów i broszur. Nietylko Francuzi o niej piszą w różnych kierunkach, ale nawet obcy przesyłają im przyjacielskie rady... To jednak nie zdaje się zbliżać fatalnej kwestyi do jej rozwiązania. Nawet list kardynała Rampolli, o którym donosiliśmy w Sprawach Kościoła, tłumaczący bardzo jasno rady Ojca św., niewiele się przyczynił do skupienia zdań. Owszem, sztandar legitymizmu, na chwilę przez tak zwaną „partyę konserwatywną" schowany, został nanowo wywieszony, pod przewodem hr. de Haussonville, który otrzymał od hrabiego Paryża misyę zreorganizowania rojalistów; Bonapartyści znowu, uwolnieni wreszcie od księcia Hieronima, organizują się pod firmą księcia Wiktora... i nigdzie wyjścia nie widać.

To nie znaczy, żeby kwestya: coby robić należało? — była sama w sobie ciemną; ale zaciemniona jest namiętnościami — powiedzmy raczej: uczuciami — bo ze szlachetnemi sercami mamy do czynienia. Jestto rzecz smutna, ale i pouczająca, a przypominająca nam żywcem niejedną chwilę z naszej historyi: jak dalece uczucia, nawet szlachetne, ale biorące górę nad rozumem, lub podszywające się pod religię, mogą po-

zbawić ludzi wszelkiej oryentacyi. Nic oczywistszego nad to, że monarchia stała się we Francyi niemożliwością. Wszyscy, którzy cokolwiek zdala albo z wyższego punktu na rzeczy patrzą, widzą to jasno; p. Soderini mianowicie wykazuje to w swej broszurze jak na dłoni: republikę ustanowił parlament, którego znaczna większość była monarchiczną, — od tego czasu sfera sympatyj monarchicznych ciągle tylko malała: niema więc dla monarchii żadnej nadziei na drodze legalnego głosowania. Droga zamachu stanu, o ile dziś jest możliwa, spróbowaną została na wielką skalę w awanturze Boulangera, na którą żadnych ofiar, żadnych zabiegów nie szczędzono — a wszystko zawiodło: nie wskutek siły rządu, ale wskutek niechęci narodu. Sami wreszcie dziedzice praw monarchicznych w pewien sposób abdykują: hr. Chambord panować nie chciał — jak wypowiedział kardynał Lavigerie w sławnym swoim liście: Orleanowie — za których prawem dziedzicznem szermują ich stronnicy — sami oświadczają w swych manifestach, że jedynie z woli ludu, na podstawie głosowania powszechnego, chcą panować; Bonapartyści tak samo; — a tu jawnem jest, że wola ludu ich nie chce i głosowanie powszechne ciągle się przeciwko nim oświadcza.

Tymczasem najżywotniejsze interesa kraju, społeczne i religijne, na szwank są wystawione. Katolicy, zająwszy stanowisko przeciwne republice — znaleźli się poza republiką. Sprawa publiczna wpadła w ręce radykałów i sekciarzy najgorszego gatunku, którzy zawzięcie pracują nad wykorzenieniem chrystyanizmu z narodu, niszczą zachowawcze jego instytucye, w miejsce wzorowej jego uczciwości szerzą niesłychaną korupcyę... Najszlachetniejsi synowie Francyi ze łzami wołają, że wszystko się zapada... Nie jestże oczywistą rzeczą, że wszyscy katolicy, porzuciwszy swe polityczne ideały, powinni biedz na ratunek, skupić się ku obronie religii i wszystkiego co krajowi najdroższe, w parlamencie złożyć falangę, która narazie może być szczupłą, ale z pewnością będzie siłą, jak tylko będzie zwartą — a potem, przez czynny i korzystny udział w sprawach krajowych, przez chwytanie w rękę interesów najżywiej obchodzących społeczeństwo, przez wyzyskiwanie błędów przeciwników, wykrywanie ich malwersacyj, słowem, przez widoczne i ocenialne służenie krajowi, będzie rosła wpływem i liczbą. Przecież do tego ich wzywa przykład niemieckiego Centrum.

Ależ my to wszystko czynimy, mówią legitymiści: do parlamentu wybieramy, wybrani pracujemy w nim, o ile nas z komisyj nie wyrzucają; że zaś zachowujemy aspiracye do monarchii, to kwestya osobistych przekonań, w które nikt niema prawa wglądać. — Zgoda, od-

powiada Soderini, że wasze stanowisko jest legalne, ale ono nie jest elektoralne: macie czem się bronić wobec rządu, ale nie macie na czem się oprzeć wobec wyborców i całego społeczeństwa, które chce poprawy republiki, a nie jej zmiany; — co tak dalece sami czujecie, że zpomiędzy dzisiejszych posłów konserwatywnych, tylko dwudziestu odważyło się w walce wyborczej wystąpić z hasłem otwarcie monarchicznem. W ten sposób wasza dążność do monarchii nietylko was zasadniczo dzieli, ale daje wam niejasną i chwiejną podstawę elektoralną, a tem samem osłabia wszelką waszą działalność.

We Francyi, twierdzą legitymiści, rzeczpospolita sprawiedliwa i religię tolerująca, jest czystą chimerą; jestto forma rządu przeciwna duchowi i tradycyom kraju; ucisku religii nie można inaczej usunąć, jak usuwając rzeczpospolitą. — Temu bezwzględnemu twierdzeniu, odpowiada Soderini, fakta kłam zadają: mianowicie rzeczpospolita, jaka była za Thiersa i za Mac-Mahona. A z drugiej strony, ten właśnie sposób myślenia, to stawianie antynomii między republiką a religią, tak często w prasie katolickiej podnoszone, uzasadnia poniekąd i upozorowuje obecne prześladowanie religii przez republikę.

Koniec końcem, odpierają tamci, nasze przekonania monarchiczne są tylko pretekstem, dla którego nas prześladują; właściwie oni dążą do zagłady chrystyanizmu i wszystkiego, co my chcemy ocalić. Najlepszym dowodem, jak niemożliwem jest zbliżenie się do nich, jest świeży fakt, że na sławny toast kardynała Lavigerie rząd natychmiast odpowiedział nowemi grzywnami na księży i nowymi uciskami zakonów. — Otóż właśnie ten fakt, uważa słusznie Soderini, najwymowniej dowodzi, jak bardzo to zbliżenie katolików do republiki byłoby pożądanem: to jest rzecz jasna, że dziś rządzący ludzie nie są do przejednania — ale są do zwalczenia. I właśnie, by ich módz zwalczyć, trzeba stanąć szczerze na gruncie konstytucyi. Brutalny sposób, jakim oni odpowiedzieli na hasło, dane przez kardynała Lavigerie, najwyraźniej pokazuje, jak oni się boją perspektywy takiej ewolucyi katolików, jak radzi są z tego, że ci ostatni, stojąc poza republiką, zostawiają im wolne ręce w ich malwersacyach i ciemnych robotach około odchrześcijaniania narodu. Ostatecznie, mówić, że republika w żaden sposób nie może się pogodzić z religią we Francyi, znaczyłoby tyle, co twierdzić, że Francya nie może już być chrześcijańską, że musi ginąć w bezwyznaniowości i radykalizmie — bo monarchia, jakeśmy widzieli, jest zgoła niemożliwą.

Te wywody są tak jasne, jak biały dzień: jakże to sobie wytłumaczyć, że legitymiści ich nie rozumieją? Możliwości monarchii oni so-

bie rozumowo nie tłumaczą — ale wierzą w nią, wiarą serdeczną i mistyczną, przeciwko której żadne wywody rozumowe, ani nawet brutalna oczywistość faktów, siły nie mają.

Przedmiot ich wierności, zakorzeniony w ich umysłach tradycyami rodów, umocniony przesadnemi doktrynami ich szkoły — wyidealizowany zwłaszcza po utracie, przez oddalenie i oderwanie od rzeczywistości — przybrał w ich duszy charakter religijny, stał się przedmiotem kultu, który im się zlewa w jedno z religią — tak dalece, że te same uczucia, te same manifestacye obejmują i wyrażają zarazem ich prawdziwie religijne i ich polityczne ideały. Wszak to samo miało miejsce u nas, za czasów mesyanizmu, kiedyśmy wyidealizowaną Polskę wystawili na ołtarzach serc naszych między Chrystusem a Matką Boską. To samo miało miejsce u żydów, kiedy wymarzoną pod wpływem patryotyzmu postać narodowego Messyasza, zlali w jedno z Obiecanym przez proroków — i dlatego żadną oczywistością boskiego posłannictwa Chrystusa przekonać się nie dali. W takich stanach psychicznych religia służy zawsze za puklerz dla wymarzonego ziemskiego ideału; człowiek, nie mając w rozumie czem uzasadniać i czem bronić tego ostatniego, zasłania go instynktowo religią; nie mając czem szerzyć naokoło siebie kultu dla tegoż ideału, posługuje się tąże samą religią. I ztąd to ani siła, ani perswazya takiego ideału dosięgnąć nie może.

Swoją drogą, jak żydzi wobec cudów Chrystusa powinni byli wejść w siebie i rozróżnić obietnice boże, które iścił widocznie Chrystus, od swoich własnych marzeń — tak też legitymiści francuscy powinni rozszczepić swą wiarę katolicką od monarchicznej, jeżeli nie pod wpływem faktów i rozumowań, to przynajmniej za wyraźnemi wskazówkami, jakie im dała Stolica św. Ale według zwykłego biegu rzeczy, niema istotnej nadziei, żeby dzisiejsza falanga legitymistów wyszła z tego stanu psychicznego. Tymczasem, ta właśnie falanga jest główną siłą katolicyzmu we Francyi: ona zawiera w swych szeregach najwięcej wpływowych ludzi, najwięcej inteligencyi, najwięcej środków pieniężnych, najwięcej nawet zacności charakterów i cnoty. Bez nich akcya katolicka we Francyi udać się nie może — a ich do tej akcyi zeszeregować niepodobna. Na tem właściwie zależy to położenie bez wyjścia katolicyzmu we Francyi.

Kiedy p. Soderini kreśli z jasnością i siłą taki program polityczny dla katolików francuskich — ks. Starowiejski sięga poniekąd jeszcze głębiej: aż do samego układu warstw społecznych. Zauważa on słu-

sznie, że walną szkodą, jaką rewolucya wyrządziła Francyi, jest to rozbicie organicznej budowy społeczeństwa, wskutek którego dobrzy mało dobrego zrobić mogą, a mianowicie wyższe klasy straciły wszelki wpływ dodatni na masy ludowe. Do tego rozerwania, już za Ludwika XIV. sama arystokracya dała powód, opuszczając zupełnie swe domeny i garnąc się do świetnego dworu. Wzywa więc autor, za przykładem Le Playa, dzisiejsze klasy oświecone, zwłaszcza szlachtę, żeby osiadała na wsi, stykała się na tle interesów gospodarskich z ludem, i starała się odzyskać ów wpływ społeczny na masy, który jedynie trwałą może być podstawą do podźwignięcia i odrodzenia Francyi. W zasadzie autor ma niewątpliwie słuszność — tylko nie wiem, czy zdaje sobie sprawę, jaka przepaść duchowa dzieli obecnie we Francyi (z wyjątkiem kilku zakątków) chłopa od wielkiego właściciela, *le bourgois* — a cóż dopiero od szlachcica! — a jak z drugiej strony, ta arystokracya francuska, do której przemawia, mało posiada warunków do tak niezmiernie trudnej i rozległej misyi socyalnej.

Najśmielszy i najdalej idący w swych projektach, jest autor dwóch broszur: *Debout!* i *En Avant!* piszący pod nazwą Miriama. Konstatuje on bierność, lękliwość i rozstrzelenie katolików wobec coraz nowych zamachów i ciągłego posuwania się naprzód wrogów Kościoła; wzywa zatem wszystkich prawdziwych katolików do zawiązania ligi, wyłącznie ku obronie religii. Tylu jest jeszcze wierzących we Francyi, że wobec któregokolwiek nadużycia rządu staną solidarnie oporem, zawsze rząd ustąpi. Cytuje on szereg świeżych przykładów z Francyi i z Hiszpanii, gdzie taki solidarny opór ludności powstrzymał zamachy sekciarskich rządów. — Niema wątpliwości, że gdyby tłum wiernych zastawiał piersiami każdy klasztor, każdą szkółkę Sióstr, którą rząd zagrabia, gdyby całe duchowieństwo dyecezyi stanęło solidarnie w obronie każdego księdza, którego rząd samowolnie karze [1] — to rzeczy innyby obrót brały. Chrzest krwi przydałby się bardzo w obecnej walce Kościołowi francuskiemu. Ale jak tu przyjść do wspólnego działania bez wspólnego kierownictwa? Autor tej strony kwestyi nie pomija, i przychodzi do wniosku, że inicyatywę w tym solidarnym oporze przeciw zamachom antyreligijnym powinno brać duchowieństwo, a inicyatywę w działaniu duchowieństwa powinni brać biskupi.

Otóż w tem niestety leży trudność takiej ligi, że episkopat fran-

[1] Tak hiszpańscy księża zmusili niedawno temu ministra Sagastę do uwolnienia konfratra, którego był niesprawiedliwie uwięził.

cuski nie może dojść do jedności w działaniu, podczas gdy z przeciwnej strony, oprócz całej potęgi państwowej, jest jedność działania, w ręku jednego rządu i jednej loży. Dodać tu jeszcze należy wyłożoną powyżej trudność wciągnięcia do takiej akcyi falangi legitymistów. I w rzeczy samej, już politycy z ich obozu (i podobno sam hrabia Paryża) oświadczyli się przeciwko projektowi „koncentracyi na gruncie katolicyzmu".

Położenie więc przedstawia się nam narazie jako bez wyjścia. Ztąd jednak nie wynika wcale, żeby ono było bez nadziei na przyszłość. Ruch, któremu Papież dał impuls i kierunek, choć dziś jeszcze słaby, przecież się utrzymuje; popierają go potężne gazety, jak *Univers* (zupełnie teraz dla tego kierunku zjednany) między wyższemi klasami — i *La Croix* wśród mas ludowych. Znaczna większość kraju jest niewątpliwie niechętną religijnym prześladowaniom. Wreszcie to pokolenie, w legitymizmie zacięte, zejdzie niebawem z widowni; młodsze zaś, które wstępuje, w szerszej wychowało się sferze myśli. W Bogu i w żywotności Francyi i w jej zasługach przed Bogiem nadzieja, że to młodsze pokolenie spełni program rzeczypospolitej uczciwej, z Kościołem zgodnej i duchem chrześcijańskim owianej.

Ks. M. Morawski.

Z pism czasowych.

Z prasy prawosławno-rosyjskiej.

Sprzeczne wiadomości o stanie prawosławia na Podlasiu. — Cerkwie w Ostrowiu i Tomaszowie. — Nowe rozporządzenie konsystorza chełmsko-warszawskiego. — Jubileusz parafii dukształsko-giejszyskiej na Litwie. — Książę C. Giedrojć jako protektor prawosławia. — Stosunki wyznaniowe w gimnazyum witebskiem w piątem dziesięcioleciu naszego wieku. — Położenie dyrektorów gimnazyalnych wyznania katolickiego i luterskiego w szkołach rosyjskich. — Zniesienie klasztoru Karmelitanek w Dubnie i okoliczności mu towarzyszące. — Statystyka urzędowa. — Stosunki wyznaniowe na Wołyniu w r. 1859 i 1886. — Obraz historyczny propagandy prawosławia w prowincyach nadbałtyckich. — Dzisiejsze położenie protestantyzmu w tamtych stronach. — Pastor Dalton. — Ofiarność społeczeństwa rosyjskiego na rzecz pierwszego monasteru prawosławnego nad Bałtykiem.

Z Podlasia i ziemi Chełmskiej znajdujemy w korespondencyach do dzienników rosyjskich, jak przedtem tak i obecnie, najsprzeczniej-

sze wiadomości. „Nadzwyczaj wiele korzyści — pisze korespondent *Moskow. Wiedomosti* — przynosi tutaj monaster w Leśnej. W ciągu niespełna trzyletniego pobytu w powiecie bialskim (na Podlasiu), wśród tak zwanych ‚upartych' unitów, siostry-zakonnice zdołały zdobyć sobie zaufanie i miłość tych wszystkich, którzy się zetknęli z ich czynnem życiem duchowem. A sfera tego zetknięcia się z monasterem wśród naszego głuchego zakątka ciągle się rozszerza, dzięki właśnie szkole, istniejącej przy monasterze, i pracowniom, w których dziewczęta wiejskie uczą się szycia, przędzenia i tkania. Nie można zaprzeczyć, że w chwili obecnej sprawa narodowa rosyjska u nas się ożywia: rodzice chętnie posyłają dzieci do szkół elementarnych, które w wielu miejscach są przepełnione. Przed trzema laty, wskutek przedstawienia naczelnika kraju, J. W. Hurki, rozpoczęto systematycznie w tym kraju budować i restaurować cerkwie. OO. Jezuici i Zmartwychwstańcy, jakkolwiek dotąd nie zaniechali swych wizyt, lecz już rzadziej i nie tak śmiało zajmują się propagandą, celem odciągania tutejszych mieszkańców od swej wiary i narodowości; liczba tak zwanych ‚upartych' zdaje się, że się zmniejsza". — Tyle donosi korespondent z Podlasia. W tymże czasie korespondent tegoż samego dziennika pisze z Grodna, co następuje: „Nasz lud prawosławny uczęszcza na nabożeństwa do sąsiednich gubernij ‚kraju Priwiślańskiego', do swych sąsiadów i współrodaków, Rusinów z za Bugu. Tak np. z pogranicznych miejscowości gubernii grodzieńskiej bardzo wiele pobożnego ludu uczęszcza do żeńskiego monasteru w Leśnej dla oddania czci cudownemu ikonowi Bogarodzicy. Lecz nasi pątnicy grodzieńscy nadziwić się nie mogą, że tameczni prawosławni, z unii nawróceni, wcale nie odwiedzają swej świątyni, i gdyby nie nasi tutejsi pielgrzymi, cerkiew stałaby pustkami nawet w dniach świątecznych, licząc nie więcej jak 5—10 modlących się. Bardzo być może, że dobry przykład naszych pielgrzymów oddziała zbawiennie i na masę ‚upartych' unitów, stroniących od cerkwi i obrządków prawosławnych, a chętnie uczęszczających do kościołów w powiatach: bialskim, sokólskim i innych pogranicznych gubernii siedleckiej. A sprawa nie idzie tam wcale pomyślnie; ludzie świadomi stosunków twierdzą, że idzie nawet coraz gorzej, pomimo polepszenia zewnętrznych warunków egzystencyi Kościoła prawosławnego, jak: odnowienie starych i budowa nowych cerkwi, lepsze udotowanie duchowieństwa prawosławnego i t. d.".

Sprawą restauracyi starych a budową nowych cerkwi w granicach Królestwa zajmował się dotąd generał-gubernator warszawski. Od początków roku bieżącego przeszła ona pod kierownictwo św. Synodu.

Od roku 1887—90 zbudowano 13 nowych cerkwi kosztem 367.000 rubli, a 49 przebudowano i odnowiono, na co wydano 103.000 rubli. Z tych pieniędzy nie użyto ani jednego rubla na potrzeby mieszkań parochialnych i zabudowań gospodarskich, lecz wyłącznie tylko na cerkwie. Widoczna w tem wszystkiem chęć zaimponowania okazałością cerkwi prawosławnych eks-unickiej wiejskiej i miejskiej ludności, wcale nie zepsutej przepychem swych domów bożych. Wobec dawnych ubogich, drewnianych cerkiewek unickich, pokrytych słomą lub gontami, nowa cerkiew w Tomaszowie, mieście powiatowem gubernii lubelskiej, może wydawać się gmachem zbytkowym i robić silne wrażenie na wieśniakach i małomieszczanach.

Poświęcenie nowozbudowanych cerkwi odbywa się nader uroczyście, najczęściej w obecności archijereja chełmsko-warszawskiego Leoncyusza, lub jego koadjutora, władyki chełmskiego. Taki obchód miał miejsce w pierwszych dniach listopada minionego roku we wsi Ostrowiu, w powiecie włodawskim. Wybrano na poświęcenie cerkwi dzień 22 października starego stylu, w którym Cerkiew prawosławno-rosyjska obchodzi święto kazańskiej Matki Boskiej, ustanowione na pamiątkę wyzwolenia Moskwy od Polaków w okresie niepokojów (od r. 1598 do 1613). Jakkolwiek powiat włodawski sąsiaduje na znacznej przestrzeni z Wołyniem, gdzie ludność wiejska od pół wieku zgórą należy do Cerkwi panującej, to jednak — według wyrażenia się korespondenta *Moskow. Wiedomosti* — sprawa prawosławia „nie stoi tam zbyt silnie", a zarówno w samym Ostrowiu, jak i w sąsiednich eks-unickich parafiach, „znajdowało się dotąd i obecnie znajduje się niemało takich parafian, którzy nie wykonują nad sobą i dziećmi swemi tajemnic naszego Kościoła, a cerkwi wcale nie odwiedzają". — Gorszem jeszcze ma być położenie prawosławia w sąsiednim lubartowskim powiecie, gubernii lubelskiej, gdzie — jak twierdzi korespondent tegoż dziennika — zatarto wszelkie ślady prawosławia, a w całym powiecie jest tylko jedna parafia prawosławna w Dratowie. Wogóle najbardziej spolszczoną warstwą społeczeństwa w „ruskiem Zabużu" — narzekają *Moskow. Wiedomosti* — są mieszkańcy miast i miasteczek, którzy tworzą masę „odszczepieńców od Cerkwi prawosławnej i narodowości rosyjskiej", objętych ogólną nazwą „upartych". Aby zmniejszyć liczbę tych ostatnich, zbudowano piękną cerkiew prawosławną w Ostrowiu, która niewątpliwie, przy warunkach wyżej przytoczonych w organie ultra-narodowym rosyjskim, świecić będzie pustkami.

Władza duchowna prawosławna obiecuje sobie bardzo wiele po no-

wem rozporządzeniu chełmsko-warszawskiego konsystorza z pierwszych dni stycznia roku bieżącego. Nakazuje się bowiem *błahoczynnym* (dziekanom) tej dyecezyi, aby: 1) donosili w końcu każdego półrocza o wynikach swych wizytacyj po dekanatach, a corocznie — o stanie cerkwi i parafii; 2) podczas każdej wizytacyi żądali od parochów gorliwego nauczania modlitw w języku cerkiewnym, a w każdem sprawozdaniu wymieniali ilość osób umiejących te modlitwy jakoteż nieumiejących; 3) starali się o utworzenie chórów śpiewaków kościelnych i odbywanie konferencyj z parafianami; a gdyby któryś z parochów tego nie uczynił, żądali od niego wyjaśnienia powodów, dlaczego nie zastosował się do rozporządzenia konsystoryalnego.

Przed ćwierć wiekiem zwinięto we wsi Duksztach na Litwie (w powiecie wileńskim) parafię rzymsko-katolicką, liczącą około 2000 parafian, a dla trzy razy mniejszej liczby wyznawców Kościoła prawosławnego zamieniono wspaniały kościół — zbudowany niegdyś ofiarnością obywateli ziemskich, a niezmordowaną gorliwością ks. Joachima Dębińskiego — na cerkiew i utworzono parafię prawosławną. A jakby tej jednej cerkwi nie było dosyć, w parafii prawosławnej duksztańskiej zbudowano jeszcze dwie nowe cerkwie filialne. Pierwszym proboszczem tej parafii mianowano Aleksego Serebrennikowa, który w końcu roku przeszłego obchodził 25-letni jubileusz swej kapłańskiej działalności, będący zarazem jubileuszem istnienia tam parafii prawosławnej. Jubilat otrzymał adres, podpisany przez licznych popów, a pomiędzy ich podpisami figuruje jedyne nazwisko osoby świeckiej, a tą jest — książę C. Giedrojć, katolik i Polak, właściciel pobliskiej wsi Giejszyszek, gdzie się znajduje filia parafii prawosławnej. Ktośby może gotów sądzić, że paroch prawosławny należał do tych istot cichych, spokojnych, zgodliwych, dla których ze względów utylitarnych można było adres podpisać. Ale gdzież tam! Owszem, w ciągu tych dwudziestu pięciu lat nie szczędził środków i sposobów, praktykowanych zwykle przez przedstawicieli wyznania panującego, celem powiększenia liczby parafian. Z przemówienia na uroczystości jubileuszowej protojereja katedralnego wileńskiego, Piotra Lewickiego, dowiadujemy się, że np. we wsi księcia Giedrojcia, Giejszyszkach, i w najbliższej okolicy było w chwili przybycia jubilata tylko 3 prawosławnych, a dziś liczba ich urosła do 400. A nie trzeba sądzić, żeby to się stało w drodze jakiegoś powolnego wpływu, stopniowego działania na przekonanie. Propaganda odbywała się czysto po rosyjsku. W dawnej parafii prawosławnej w Jewiu porobiono wyciągi z metryk urodzin i chrztów, a wszystkich tych, których

przodkowie niegdyś należeli do Cerkwi prawosławnej, postanowiono wrócić na „jej macierzyńskie łono". Zebrano ich w pałacu ks. C. Giedrojcia i oznajmiono wolę monarszą, aby przeszli na prawosławie. Wobec tak kategorycznie postawionego żądania, za satrapich rządów Murawiewa, żaden opór lub protest na nicby się nie zdał, a apelacya pozostawała tylko — do Pana Boga. Po takim wstępie zabrano katolikom kościół w sąsiednich Duksztach, wybudowano cerkiew w Giejszyszkach i powstała parafia prawosławna — duksztańsko-giejszyska, obchodząca wraz ze swym parochem 25-letni jubileusz. Nie w inny też sposób powstały po roku 1863 w powiecie wileńskim następujące parafie prawosławne: w Bystrzycy, Podbrzeziu, Szumsku, Cudeniszkach, Ostrowcu, Rukojniach, Rudominie, Inturkach i t. d., a wszystkie wśród masy ludności litewsko-katolickiej.

Wobec tak rażącej nietolerancyi rządów dzisiejszych, z przyjemnością odczytaliśmy wspomnienia pedagoga rosyjskiego, D. Siemienowa, wydrukowane w grudniowym zeszycie *Russkoj Szkoły*, gdzie z ciepłem i rozumnem pojęciem obowiązków prawdziwego pedagoga nakreślono obraz gimnazyum witebskiego w piątem dziesięcioleciu naszego wieku. Z nich możemy się przekonać, że Rosya dzisiejsza, pomimo pewnych pozorów, nie dokonała zbyt wielkiego postępu, nawet w porównaniu z osławionem panowaniem cara Mikołaja. „W liczbie 14 członków grona nauczycielskiego w gimnazyum witebskiem — pisze Siemienów — było tylko 4 nauczycieli wyznania prawosławnego, 1 eks-unita, 4 Niemców-protestantów, 4 Polaków-katolików i 1 Francuz-katolik. Czasy były niespokojne: pierwsze powstanie polskie zaledwie przycichać zaczynało, jeszcze rodzice obu narodowości byli względem siebie wrogo usposobieni. Dzięki jednak szczęśliwemu składowi grona nauczycielskiego z dyrektorem na czele, dzięki charakterowi i kierunkowi wykładów, dzięki zręcznemu, bezstronnemu i jednakowemu postępowaniu ze wszystkimi uczniami, gimnazyum witebskie było tym gruntem neutralnym, gdzie nie znano ani religijnej, ani politycznej nietolerancyi; było ono tą jednoczącą i uspokajającą sferą, wśród której dzieci Polaków i Rosyan czuły się członkami jakby jednej rodziny. Dzieci polskie widziały w dyrektorze i nauczycielach nie narzędzie zwycięzców, nie narzędzie zemsty, lecz zacnych kierowników, pragnących ich dobra i korzyści. I rzeczywiście, my, Polacy i Rosyanie, często bywaliśmy u siebie, pomagaliśmy sobie wzajemnie: ja np., począwszy od klasy IV., byłem ciągle repetytorem w różnych polskich domach; katolicy dosyć często chodzili do cerkwi prawosławnej, a prawosławni do kościoła katolickiego;

a my, śpiewacy, nawet śpiewaliśmy w kościele przy akompaniamencie organów. I ani nasz dyrektor, ani nasi katecheci, a tem bardziej profesorowie, nietylko nic w tem nie upatrywali zdrożnego, lecz owszem zachęcali do takiej łączności. W ten sposób wychowywało się w gimnazyum witebskiem nowe pokolenie dzieci polskich i rosyjskich na zasadach zupełnego równouprawnienia i dobrych wzajemnych stosunków. I w tem właśnie wielka była zasługa gimnazyum nietylko wobec społeczeństwa, lecz i wobec państwa".

Dobrze byłoby, aby słowa powyższe odczytali z uwagą i przejęciem się dzisiejsi pedagogowie rosyjscy w ziemiach polskich.

Przypatrzmy się teraz, jak przykrem bywa nieraz położenie kierowników szkół średnich wyznania nieprawosławnego nawet wówczas, kiedy, naginając się do wymagań obecnego prądu, robią niejedną ofiarę ze swych przekonań. „Od niedawna — pisze *Syn Otiecziestwa* — zwrócono na seryo uwagę na podniesienie poziomu wychowania religijnego w naszych szkołach średnich. Do środków w tym celu przedsięwziętych zaliczyć należy znaczne rozszerzenie programu i pomnożenie liczby godzin nauki religii prawosławnej, a przytem obowiązkowy udział uczniów we wszystkich cerkiewnych nabożeństwach i codziennych wspólnych modlitwach, wraz ze wspólnym śpiewem kościelnym i czytaniem Ewangelii. Nie można twierdzić, żeby innowiercy dyrektorowie i inspektorowie unikali tych wspólnych modlitw, lub też bywali na nich tylko *pro forma*. Katolicy i protestanci żarliwie się żegnają na sposób prawosławny, klękają, biją pokłony, całują Ewangelię i ikony Świętych. Niektórzy dyrektorowie do tego stopnia posuwają swą gorliwość, że podczas codziennych wspólnych modlitw sami czytają Ewangelię i Apostołów". Dalecy jesteśmy od powątpiewania w szczerość objawów prawosławnej pobożności u dyrektorów i inspektorów wyznania katolickiego lub protestanckiego. Wszystko to robi się naturalnie nie dla przykładu tylko, nie dla celów li tylko pedagogicznych. Niebezpieczeństwo nie na tem polega. Lecz uczniowie zawsze dobrze wiedzą, jakiego wyznania ich dyrektor i inspektor, a z nauki religii dowiadują się naprzykład, że protestanci nie czczą obrazów Świętych, a protestanci i katolicy nie używają prawosławnego znaku krzyża św. i innych ruchów ciała, towarzyszących prawosławnej modlitwie. Modlący się po prawosławnemu, wobec całego zakładu, katolik lub protestant dyrektor, nawet bardzo szczery i rozumny, będzie zawsze przedmiotem zgorszenia i celem różnych uwag dla uczniów klas wyższych. — Zdarzyło się nam słyszeć od jednego bardzo zacnego i doświadczonego katechety wyznania prawo-

sławnego, jak uczeń klasy wyższej postawił go w położenie bez wyjścia następującem pytaniem: „Jeżeli Kościół katolicki surowo zakazuje osobom świeckim czytania Biblii w języku ojczystym, to dlaczego nasz dyrektor i inspektor (obaj katolicy) czytają podczas wspólnych modlitw Ewangelię i Apostołów w językach: cerkiewnym i rosyjskim?“ — Gdyby katecheta wyznania prawosławnego posiadał więcej ogólnego wykształcenia i nieco znajomości zasad i zwyczajów Kościoła katolickiego, toby swym uczniom wyjaśnił, że katolicy wogóle mogą również czytać Pismo św., a jeżeli Kościół nasz daje to pozwolenie z pewnem zastrzeżeniem i ograniczeniem, to pobudki tego postępowania są tak uzasadnione, że potrafi pojąć je i ocenić należycie inteligentniejszy pop prawosławny. Aby jednak uniknąć owego „położenia bez wyjścia“ w gimnazyach prawosławnych, mógłby dziennik rosyjski, podnoszący tę kwestyę, wskazać zarazem najprostszy sposób jej rozwiązania: mianowanie dyrektorów-katolików w ziemiach polskich, a protestantów w prowincyach nadbałtyckich.

Czytelnikom *Przeglądu Powszechnego* wiadomo zapewne, że w roku przeszłym w Dubnie (na Wołyniu) skasowano klasztor katolicki Karmelitanek, fundowany przez Anastazyę Czarnecką w r. 1660 — a kościół, gmach klasztorny, zabudowania gospodarcze i całą własność nieruchomą oddano prawosławnemu monasterowi męskiemu Podniesienia Krzyża Świętego *(krestowozdwiżenskij monaster)*. Do klasztoru Karmelitanek prowadziła przez miasto ulica Panieńska, a przez podwórze klasztorne szła droga dalej, na t. zw. Ostrów (wyspa), gdzie na kępie, wśród moczarów nadikwiańskich, znajdował się wspomniany wyżej monaster prawosławny, niegdyś bazyliański. Kasacie klasztoru Karmelitanek towarzyszyły przemoc i gwałty, przypominające czyny Pombalów i Arandów przy podobnych okazyach w w. XVIII. Dokonano ich w Dubnie z polecenia gubernatora wołyńskiego, Eugeniusza Jankowskiego, syna generała, dobrze znanego z wypadków listopadowych w Warszawie. Opis tego zaboru znajdujemy w organie dyecezalnym wołyńskim *(Wołyń. Epar. Wiedomosti,* rok 1890, nra: 32 i 33), pod tytułem: „Przemiana rzymsko-katolickiego klasztoru żeńskiego na monaster prawosławny“. Aczkolwiek opis to tendencyjny, ale i z niego przebijają się gwałty i krzywdy, których ofiarą padł jeden z trzech ostatnich klasztorów na Wołyniu. W ostatnich kilku latach biedne siostry były nieustannie celem szykan i skarg ze strony przełożeństwa monasteru prawosławnego i archijereja wołyńskiego Modesta. Przypominano przy każdej sposobności rządowi, że niegdyś, za kniaziów Ostrogskich, grunta

klasztorne, przez które szła droga do monasteru Podniesienia Krzyża Świętego, były własnością tego ostatniego. Na tej kruchej podstawie domysłów i przypuszczeń żądano restytucyi. Ukazem carskim jeszcze z dnia 2 czerwca (s. v.) 1860 r. polecono odbywać procesye z Poczajowa do Dubna na cześć Joba Knihinickiego, piastującego godność ihumena w obu tych miastach. Okoliczność ta dawała niejednokrotnie asumpt do wytaczania skarg i żalów. że nie jest rzeczą przyzwoitą i godną Kościoła panującego, aby procesya przechodziła przez podwórze katolickiego klasztoru. Jakiś turysta rosyjski użalał się, że nie mógł dopytać się drogi do monasteru, albowiem żaden dorożkarz jej nie wiedział, a w najlepszym razie dowoził go tylko do klasztoru Karmelitanek. Otóż i w tem była ich wina! Archijerej Modest zarzucał w ostatnich czasach skargami wyższe władze świeckie i duchowne. Najumiarkowańsi ze skarżących żądali przeniesienia Karmelitanek gdzieindziej. Nareszcie celu dopięto: ukaz carski z dnia 20 marca (8 s. v.) 1890 r. zniósł klasztor katolicki, a mienie jego oddał monasterowi prawosławnemu. General-gubernator kijowski, A. P. Ignatiew, cyrkularzem z d. 27 kwietnia (15 s. v.) 1890 r., l. 4898, zawiadomił o tem Modesta. Zakonnice w liczbie siedmiu postanowiono wywieźć do klasztoru Benedyktynek w Sandomierzu, własność nieruchomą oddać monasterowi, a sprzęty kościelne przesłać władzy dyecezalnej rzymsko-katolickiej. Archijerej Modest nalegał na szybkie wykonanie ukazu carskiego i postanowienia general-gubernatora. Komunikatem z dnia 9 maja (27 kwietnia s. v.) donosi gubernatorowi wołyńskiemu: „podczas pobytu mego w Dubnie podpatrzyłem, że zakonnice, dowiedziawszy się o postanowieniu rządu, rujnują budynki i gospodarstwo, a grunta wydzierżawiają“. Wskutek tego upraszał władze o natychmiastowe oddanie budynków w obecności urzędnika. Ponieważ czas stosowny do wydzierżawiania zbliżał się, zakonnice wydzierżawiły grunta p. Pogoskiemu, a formalny kontrakt spisano d. 23 maja (11 s. v.) w Dubnie, w obecności notaryusza Neumanna. I w tę sprawę wmieszał się archijerej wołyński, poleciwszy wytoczyć dzierżawcy proces o nieważność kontraktu, chociaż zakonnice nie otrzymały jeszcze były urzędowego zawiadomienia o zaborze klasztoru. — Takim jest przebieg tej sprawy w opowiadaniu prowosławnego organu dyecezalnego. Wobec tego, jakże charakterystycznym jest ustęp końcowy rzeczonego artykułu: „Akt ten woli najwyższej jest wskrzeszeniem podeptanej prawdy historycznej, a zdemaskowaniem łacińsko-polskiego gwałtu i nieprawości; tryumfem prawdy nad kłamstwem.

prawa nad bezprawiem, światła nad ciemnością, ortodoksyi nad heterodoksyą".

Oprócz nieustannych skarg ze strony miejscowego duchowieństwa, przyczyniać się jeszcze mogą do kasaty kościołów i klasztorów katolickich na Wołyniu fałszywe daty statystyczne, jakiemi tendencyjne wydawnictwa rosyjskie karmią swych czytelników. I tak z „Wołynia" p. Batiuszkowa, wydanego „z woli najwyższej", a kosztem ministerstwa spraw wewnętrznych, dowiadujemy się o mniemanem pokrzywdzeniu ludności prawosławnej, a faworyzowaniu katolickiej w tym „od wieków rosyjskim i prawosławnym" Wołyniu. W r. 1886 monasterów prawosławnych było tam 11 (8 męskich, 3 żeńskie), cerkwi 1830, kaplic 183, a w tej liczbie: 1747 drewnianych, 277 murowanych; klasztorów katolickich było w tymże roku 3 (obecnie już tylko 2), kościołów 109, kaplic 130, a w tej liczbie: 85 drewnianych, 157 murowanych. Ponieważ, według obliczenia z r. 1886, było wówczas na Wołyniu katolików 194.126, a prawosławnych 1,622.244, przeto autorowie „Wołynia", policzywszy mylnie, podali do ogólnej wiadomości narodu panującego i sfer rządzących, że w tej „prowincyi prawosławno-rosyjskiej" przypada 1 cerkiew lub kaplica na 890 prawosławnych, a 1 kościół lub kaplica na 735 katolików. *Inde irae* historyografów urzędowych. Tymczasem, biorąc za podstawę cyfry, przytoczone przez nich samych, okazuje się, że 1 cerkiew przypada na 801 prawosławnych, a 1 kościół na 802 katolików. O ileż cyfry powyższe przedstawią się niekorzystniejszemi dla katolików, jeżeli porównamy stosunek kaplic do kościołów parafialnych i klasztornych. Liczba kaplic katolickich jest znacznie większą, niż kościołów, podczas gdy u prawosławnych kaplice stanowią zaledwie $^1/_{10}$ cerkwi parafialnych. Zwrócić także należy uwagę i na tę okoliczność, że prawosławni mieszkają w zwartej masie, a więc mają większą łatwość w zaspokajaniu swych potrzeb religijnych, niż katolicy, żyjący w rozproszeniu po rozległym kraju.

Ale i pod innym względem cyfry te są wymownemi. Porównajmy np. stosunki wyznaniowe Wołynia z r. 1859, na podstawie trzeciej księgi „Zapisek cesar.-rosyj. Towarzystwa geograficznego za rok 1861", i z r. 1886 na podstawie „Wołynia" p. Batiuszkowa, a przekonamy się, jaki w ciągu tych 27 lat był przyrost ludności prawosławnej, a jaki katolickiej, — z czego dopiero przekonamy się o rosyjskiem faworyzowaniu tej ostatniej.

Rok 1859:		*Rok 1886:*	
katolików	166.272	katolików	194.126[1]
prawosławnych . .	1,071.241	prawosławnych . .	1,622.244
protestantów . . .	4.815	razkolników. . . .	5.753
żydów	183.890	luteranów i baptystów	98.201
mahometanów . . .	209	żydów i karaimów .	300.862
		mahometanów . . .	448
razem . .	1,426.427	razem . .	2,221.634

mieszkańców płci obojej.

Prozelityzm prawosławny znalazł jeszcze jedno pole działania: w prowincyach nadbałtyckich. Nowym on tam nie jest bynajmniej. Zanadto długo trwa już w ziemiach nadbałtyckich panowanie rosyjskie, aby ortodoksya pozwoliła mieszkańcom spokojnie żyć i umierać w wierze swych przodków. Propaganda prawosławna mogła liczyć na jakietakie szanse tylko wśród Łotyszów i Estów wyznania luterskiego, najmniej ich miała wśród szlachty i mieszczan niemieckich. Rozpoczęto ją już w r. 1841 i prowadzono do r. 1845. Ubogich, a uciskanych przez swych panów niemieckich, tubylców nawracano wszelkiego rodzaju obietnicami i nadzieją na uwolnienie od poddaństwa i podatków. Środki te skutkowały. W dodatku grasował w tymże czasie okropny głód, który postanowiono wyzyskać również w celach propagandy. Za obietnicę przejścia na wyznanie panujące otrzymywał Łotysz wór mąki żytniej, który stał się tam przysłowiowym. Bywały lata, że od 10 do 20 tysięcy rocznie przechodziło na prawosławie. Ale to oszołomienie ludu trwało niedługo: głód przeminął, a nadzieje na wyzwolenie z poddaństwa po przyjęciu prawosławia zawiodły. Rozpacz ogarnęła nawróconych; wielu pragnęło wrócić do wiary luterskiej, ale powrót był już zamknięty. Ukaz carski z października r. 1845 zabraniał wprawdzie dalszych nawracań „niegodziwymi środkami“, ale już nawróconym nie pozwalał wrócić do wiary przodków. W r. 1865 wszystkie stany sejmu inflanckiego domagały się od rządu poręczonej prawami wolności sumienia. Generał-gubernator rygski, baron Lieven, był codziennie prawie napastowany przez deputacye Estów i Łotyszów, błagające o pozwolenie powrotu do wiary luterskiej. Wkońcu wysłał Aleksander II. do Inflant swego skrzydłowego adjutanta, hr. Bobrińskiego, aby zbadał na miejscu stan rzeczy i zdał mu sprawę. Raport tego ostatniego był szczery i otwarty: oświad-

[1] Polaków 179.446, Czechów 14.680.

czył bowiem, iż z liczby 140.000 prawosławnych, zaledwie $^1/_{10}$ szczerze wyznaje prawosławie; reszta nawet zewnętrznie trzyma się przepisów Kościoła protestanckiego. Ale wrażenia, wywołane na carze tym raportem, sparaliżował archijerej rygski, Platon, który oświadczył carowi, iż odbędzie wizytacyę parafij prawosławnych i zda mu również sprawę. Oczywiście, że jego sprawozdanie wypadło w innym zupełnie duchu. Wprawdzie za list pasterski z r. 1867, obrażający wyznawców luteranizmu, odwołano Platona z Rygi, ale ani jeden włościanin nie otrzymał pozwolenia powrotu na łono luteranizmu.

Od lat kilku zaczął się drugi okres w historyi prozelityzmu prawosławnego w prowincyach nadbałtyckich: idzie on w parze z rysyfikacyą kraju. Najpierw chodzi o ubezwładnienie luteranizmu i odjęcie mu wszelkich środków obrony. Do środków ubezwładniających, użytych w roku minionym, zaliczyć należy: zniesienie pensyj, wypłacanych dotąd pastorom ze skarbu; walka ze szkolami luterskiemi nawet prywatnemi; wywiezienie jednych pastorów w głąb Rosyi, a skazanie innych na wygnanie za granicę. Tak jeden z najenergiczniejszych i najrozumniejszych pastorów nadbałtyckich, Dalton, przeniósł się do Berlina, gdzie już w czwartym z rzędu liście otwartym zwraca uwagę świata protestanckiego na ucisk współwierców w państwie rosyjskiem. Zresztą i nad Bałtykiem używa rząd tych samych sposobów szerzenia prawosławia, co i w ziemiach polskich: powiększa fundusze na budowę cerkwi, tworzy w archidyecezyi rygskiej nowe parafie i hojnie je uposaża, i zakłada prawosławne cerkiewno-parafialne szkoły. W walce tej Kościoła panującego i potężnego państwa z zakątkiem protestanckim nad Bałtykiem bierze udział całe społeczeństwo rosyjskie, jak tego dowodzi następująca okoliczność. Osada prawosławna Piuchtica była własnością jakiegoś barona niemieckiego, którego oskarżano o rozmaite szykany, wyrządzane jakoby prawosławnym. Dzienniki rosyjskie sprawie tej nadały niezwykły rozgłos. Archijerej z Niżnego-Nowogrodu, Włodzimierz, korzystając z licznie zgromadzonego kupiectwa na jarmark, wezwał je do ofiar na wykupienie Piuchticy z rąk luterskich i zbudowanie w tej osadzie pierwszego monasteru w tamtych stronach. Ofiary posypały się hojnie: wieś już wykupiono, a monaster zapewne wkrótce stanie.

A. Szarłowski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Kongres katolików Portugalii. — Międzynarodowy naukowy kongres w Paryżu. — Konferencye w sprawie antyniewolniczej w Brukseli. — Stowarzyszenie francuskiej katolickiej młodzieży. — Epizod z walki kulturnej we Francyi. — Ulgi dla języka polskiego w Prusiech. — Katolicki związek szkolny w Austryi. — Tysiącletnia rocznica śmierci Focyusza.

KONGRES KATOLIKÓW PORTUGALII.

Dwa większego znaczenia w życiu katolickiem kongresy odbyły się w ubiegłych kilku tygodniach: w Bradze i Paryżu. Już dawniej wspomnieliśmy na tem miejscu o projekcie katolickiego kongresu w Portugalii; dziś z radością przychodzi nam zapisać, iż ani niepokój społeczeństwa tamtejszego z powodu zatargu z Anglią, ani gotująca się już oddawna kryzys finansowa, nie stanęły na przeszkodzie jego urzeczywistnieniu. A chociażby uchwały tego kongresu wobec innych, jakie się w ostatnich kilku latach odbyły we wszystkich prawie krajach katolickich, nie były imponujące, to jednak już to samo, iż taki kongres po raz pierwszy w Portugalii przyszedł do skutku, byłoby wielkiego znaczenia, bo w każdym razie jestto przełamanie lodów, które pod wiekowem panowaniem masoneryi zgnębiły życie katolickie w tym nieszczęśliwym kraju, a po których niezawodnie czas wiosenny zawita.

Jeżeli się zważy, że Portugalia posiada niespełna $4^1/_2$ miliona ludności, a pomimo tego 3000 osób zjawiło się na kongresie w Bradze, to wyznać należy, iż już dla samej liczby jego uczestników był to nietylko początek, ale początek świetny, i lepszego trudno było się spodziewać.

Otwarcie kongresu odbyło się 8 kwietnia i trwał przez dni sześć. Pięciu biskupów dyecezyalnych pod przewodnictwem swego prymasa, ks. Freitas'a, arcybiskupa z Bragi, brało udział w zebraniach w obszernym seminaryjnym kościele. Jak zwykle w podobnych katolickich zebraniach, głos, jaki zabierają ludzie ze stanu świeckiego, jest często donioślejszego znaczenia, nie jakoby więcej prawdy mógł zawierać, lecz że społeczeństwo bardziej nań zwraca swą uwagę. To też miło było słyszeć z ust posła do parlamentu, p. Alvesa Mathens'a, gdy w jednem z pierwszych posiedzeń wymownemi słowy tłumaczył pożytek i konieczność najwyższego rozjemczego trybunału, któryby godził międzynarodowe zatargi, — i jak wskazywał Stolicę św. jako najodpowiedniejszą ku temu zadaniu. — Niemniej wymownie i energicznie zwrócił uwagę hr. de Samadaes na potrzebę większej łączności między biskupami a wiernymi — na zatarcie uprzedzeń i przesądów, zbyt jeszcze częstych w czasach dzisiejszych, które chcą dzielić Kościół na dwa obozy: świeckich i duchownych, niszcząc jedność, jego charakterystyczną cechę. Tak duchowni jak świeccy jeden Kościół tworzą; a chociaż pierwsi wyższe hierarchiczne w nim zajmują stanowisko, wszyscy o dobro Kościoła troszczyć się powinni, i każdy w miarę możności powinien się starać nietylko o zachowanie jedności w Kościele, ale też o jego wzrost i powagę.

Mowa ta wywołała długą i ożywioną dyskusyę nad środkami podniesienia Kościoła w Portugalii. Owocem tych rozpraw była uchwała, iż należy tworzyć małe seminarya dla podtrzymywania powołań do stanu kapłańskiego; domagać się usilnie u rządu, aby dawny wpływ duchowieństwa na szkołę, a przedewszystkiem proboszczów w szkołach elementarnych, przywróconym został, bo do nich należy wychowanie religijne i moralne szkolnej dziatwy; równie znaczącą jak oryginalną była uchwała

utworzenia krucyaty z ojców rodzin przeciw takim książkom i programom naukowym, które obrażają uczucia religijne i moralne lub instytucye kościelne.

Taką krucyatę ułatwi „liga katolicka“, jaką kongres proponuje zakładać we wszystkich portugalskich dyecezyach pod przewodnictwem miejscowych biskupów. Zadaniem tejże ligi będzie przeprowadzić i inne uchwały kongresu, niemniej praktyczne i nie mniejszej doniosłości dla podtrzymania lub ożywienia ducha katolickiego w narodzie: tak np. rozpowszechnianie między klasą robotniczą katolickich dzienników, o ile możności bezpłatnie; staranie się o to, aby szpitale i schroniska pozostawały w ręku zgromadzeń zakonnych; mnożenie konferencyj św. Wincentego à Paulo; wywalczenie zupełnej swobody i opieki u rządu dla zgromadzeń zakonnych, szczególnie dla tych, które się oddają misyom zagranicznym.

Chrześcijańskie wychowanie niewiast, opieka nad robotnikami i wychodźcami, kwestye socyalne i wiele innych było przedmiotem obrad kongresu. Jeżeli więc równa energia towarzyszyć będzie katolikom portugalskim w przeprowadzeniu uchwał zapadłych, jak ta, która przełamała wszystkie przeszkody w doprowadzeniu do skutku kongresu — to możemy mieć uzasadnioną nadzieję w duchowe odrodzenie tego dzielnego niegdyś katolickiego narodu.

MIĘDZYNARODOWY NAUKOWY KONGRES W PARYŻU.

Parę dni przedtem odbył się innego rodzaju kongres w Paryżu. Stolica Francyi zamieniła się na międzynarodowy areopag uczonych katolickiego świata. Podobnie jak przed trzema laty, tak i teraz Paryż witał bardzo licznych uczestników kongresu; z tą tylko różnicą, iż gdy w r. 1888 było ich 1600, a 400 z nich brało czynny udział w pracach sześciu sekcyj, na które rozłożono obszerny naukowy materyał, jaki miał być przedmiotem wspólnych debatów — tą razą zebrało się 2500 uczonych z Anglii, Austryi, Belgii, Hiszpanii, Holandyi, Niemiec, Portugalii, Szwajcaryi i z zamorskich krain: Ekwadoru, Kanady, Urauguaju i Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, a 600 z nich brało udział w pracach kon-

gresu. Tyle nadesłano prac naukowych ze wszystkich gałęzi wiedzy ludzkiej, iż musiano rozdzielić się na siedm sekcyj, aby przynajmniej jakotako materyał opanować. Były tam prace z dziedziny nauk teologicznych, filozofii, prawa i ekonomii, z historyi, filologii, matematyki i fizyki, biologii i antropologii.

Chociaż nie wszyscy, którzy zjawili się w tym czasie w Paryżu lub umyślnie przybyli na kongres — mieli pretensyę należeć do areopagu uczonych, skoro sama Francya dała 1700 uczestników kongresu, to jednak większość — jak się z listy imion okazuje — wybitne stanowisko zajmuje w literaturze i ścisłych naukach. Jak nas zapewniano, wiele z prac, przysłanych do pojedyńczych sekcyj, było niepospolitej wartości, które niejedno nowe światło rzuciły w badaniach naukowych. Dać nawet tylko w zarysie obraz tych prac i owoców, jakie zjazd ten przyniósł, dziś jeszcze jest niepodobieństwem, ponieważ urzędowe sprawozdanie z posiedzeń kongresu nieprędko w druku się okaże. Możemy jednak już dzisiaj widzieć w niem odprawę, daną wolnomyślnym, którzyby chcieli wiarę ograniczyć do murów kościoła i zakrystyi, a wszelkie naukowe badania przywłaszczyć samym niewierzącym jako własność, która im wyłącznie należy. Nawet *Temps*, znany ze swych zasad antykatolickich, chociaż nie był mu na rękę ów międzynarodowy katolicki kongres i w wielu rzeczach się z nim nie zgadza, przecież zniewolony był wyznać, iż nauka i wiara „wzajemnie się nie wykluczają, lecz dopiero wtedy mogą się rozwijać, jeżeli obydwa pola pozostaną izolowane od wzajemnych wpływów, a ich granice wzajemnie szanować się będą". To ostatnie zastrzeżenie liberalnej gazety świadczy, iż *Temps* nie wie o tem, że przedmioty wiary i nauki ostatecznie z jednego źródła wychodzą.

KONFERENCYE W SPRAWIE ANTYNIEWOLNICZEJ W BRUKSELI.

Prócz tych dwóch kongresów, w ostatnich czasach kilka innych odbyło się zebrań we Francyi i Belgii, o których dla ciasnych ram naszego sprawozdania wspomnieć tylko możemy. Tak w Brukseli odbył się kongres antyniewolniczy w dniach 28, 29 i 30 kwietnia z dość licznym udziałem osób, przybyłych ze Szwajcaryi, Holandyi, Por-

tugalii i Francyi. Dola czarnych braci pobudza do litości coraz to szersze warstwy społeczeństwa; to też jedni jałmużną, inni własnym wpływem i osobistą działalnością starają się tamę położyć strasznemu handlowi niewolników, który wcale nie ustał, skoro w jednym miesiącu lutym b. r. w dwóch tylko miastach w państwie Marokko sprzedano 1700 dziewcząt murzyńskich na publicznym targu; a tak tanim był ten „towar ciała ludzkiego“, iż gdy do niedawna płacono 50 funtów szterlingów za dziewczę, obecnie za połowę tej ceny sprzedawano biedne niewolnice. Powyższy kongres, chociaż miał więcej teoretyczne jak praktyczne znaczenie, to jednak i to jest dobrem, iż społeczeństwo nawet za przedmiot prac naukowych obiera sobie temat, który zdolny jest pobudzić do litości tych, którzy mogą coś uczynić dla sprawy antyniewolniczej.

Nie bez znaczenia również było doroczne zebranie katolików Francyi w końcu kwietnia i w pierwszym dniu maja w Paryżu. Nie było wprawdzie tak liczne, jak się to dzieje w Niemczech, ale może właśnie tak wielka ilość najrozmaitszych kongresów i zebrań dorocznych (a było ich w ostatnich tygodniach przynajmniej dwanaście) stała na przeszkodzie większemu udziałowi w dorocznym wiecu katolików Francyi.

STOWARZYSZENIE FRANCUSKIEJ KATOLICKIEJ MŁODZIEŻY.

O wszystkich tych kongresach czy wiecach trudno nam wspominać; o zebraniu jednak katolickiego Stowarzyszenia francuskiej młodzieży, jakie się odbyło w połowie kwietnia w Lyonie, należy się wzmianka. Trzecie to dopiero zebranie tego młodego stowarzyszenia, które rokuje piękne nadzieje w przyszłości — w każdym razie już dzisiaj jest bardzo pocieszającym objawem katolickiego ruchu we Francyi. Utworzenie tego stowarzyszenia powstało przez dobry przykład, jaki widziała młodzież francuska u Stowarzyszenia szwajcarskiej katolickiej młodzieży, gdy się znajdowała na Eucharystycznym kongresie 1885 r. W maju 1886 r. siedmiu młodych ludzi zebrało się w prywatnej kaplicy ks. Segur, a po wysłuchaniu mszy św. postanowili założyć stowarzyszenie młodzieży, którego głównym celem byłaby praktyka prawdziwej pobożności — nauka i działalność chrześcijańska.

Co do zewnętrznego ustroju, składa się ono z pojedyńczych grup o większej lub mniejszej liczbie członków, które mają swą własną autonomię i zwyczaje. Pierwsze zebranie odbyło się w r. 1887 w Angers pod przewodnictwem ks. biskupa Freppel'a; liczyło już wówczas 1500 członków. W dwa lata później w Paryżu pod przewodnictwem ks. kardynała Richarda była już federacya 50 grup, w których było 3000 członków. Ostatnie zebranie, jakie się w kwietniu b. r. odbyło w Lyonie, składało się z 70 grup, a w nich około 5000 młodzieży. Widok zapewne musiał być bardzo piękny i budzić otuchę lepszej przyszłości, gdy ta prawdziwa młodzież — boć najstarszy z nich nie przekraczał lat 30 — ochoczo i zgodnie zbierała się na wspólne narady, dzieliła na sekcye, w których jedni obradowali nad kwestyą pobożności między młodzieżą, inni nad naukami i nad praktyczną działalnością chrześcijańską. Na wspólne posiedzenie zaproszono do głosu honorowych prezydentów, ludzi poważnych i znanych ze swych zasad w tamtejszym katolickim świecie. Więc przemawiali tacy, jak: p. Debanne, dawny generalny adwokat, de la Perrière, prezes konferencyi św. Wincentego à Paulo, Karol Jacquier, profesor prawa w paryskim *Institut catholique*, lub hr. de Mun. Jeżeli się zważy, iż całe zebranie odznaczało się nastrojem religijnym, rozpoczęło się i zakończyło wspólnem nabożeństwem, w czasie którego większość przystępowała do Stołu Pańskiego, czyż nie widać w tem wszystkiem szczególniejszego błogosławieństwa i przedziwnej opieki bożej nad Francyą? Zanim jednak uleczenie i odrodzenie nastąpi, zdaje się, że potrzeba jej przebyć jeszcze cięższą walkę kulturną, jak ta, którą od czasów rządów Republiki przechodzi.

EPIZOD Z WALKI KULTURNEJ WE FRANCYI.

Stanowisko katolików a przedewszystkiem duchowieństwa podczas walki kulturnej w Niemczech, może być dobrym przykładem dla Francyi, iż sprawiedliwość zwyciężyć musi; lecz to zwycięstwo zwykle poprzedzać powinna nieustraszona odwaga w bronieniu praw Kościoła. „Tchórzowstwo zaspałych katolików ośmieliło nieprzyjaciół wiary do występowania przeciw duszom naszych dzieci“ — powiedział przed kilku-

nastu dniami z ambony ks. D'Audiffret T. J., gdy wykazywał konieczność szkół wyznaniowych, — i potępił zarazem dzisiejsze prawa, ukute w laboratoryach lóż masońskich. „Jeżeli kilku biskupów i kilkunastu księży zobaczymy w więzieniach dlatego, iż tak jak ja tutaj prawdę mówili, otworzą się oczy Francyi i ocaloną będzie. Lżej mi na sercu, iż mój obowiązek spełniłem. A jeżeli słowa me przyniosą mi apostolskie szczęście: karę więzienia, to będę nosił kajdany na moich rękach z większą dumą, niż panie złote bransoletki". Wezwany przed kraty sądowe, śmiało i bez wahania się odpowiedział ks. D'Audiffret: „Za wysoko stoję, abym to lub owo prawo w szczególności miał przed oczyma; potępiłem tylko całą siłą mej wymowy naukę bez Boga. A skoro nigdzie nie może istnieć prawo przeciw prawu, nie uznaję żadnego ludzkiego prawa, przeciwnego prawu bożemu". Ks. D'Audiffret skazany został na kilkotygodniowe więzienie, a przykład jego znajdzie może naśladowców i zbliży się chwila zmartwychwstania Francyi.

ULGI DLA JĘZYKA POLSKIEGO W PRUSIECH.

Pogłoska o tak zwanem „ustępstwie" ze strony rządu pruskiego w sprawie nauki języka polskiego w szkołach ludowych i przy nauce religii, o której w zeszłym miesiącu wspomnieliśmy, sprawdziła się rzeczywiście. Urzędowy dziennik państwowy ogłasza w tej mierze rozporządzenie ministra kultu i oświaty, wystosowane do rejencyi w Poznaniu i Bydgoszczy. Zbytecznem byłoby zwracać uwagę naszych czytelników na ważność tego dokumentu dla spraw Kościoła w tych katolickich prowincyach, gdzie postęp w nauce religii tak bardzo jest zależnym od tego, czy dziecko w swej ojczystej mowie uczy się zasad wiary i moralności, czy też w języku sobie obcym, a często wstrętnym. Przytaczając poniżej niektóre ustępy z tego rozporządzenia, na jedno tylko zwracamy uwagę, iż sam dzisiejszy minister oświaty zdaje się potępiać nadużycia, jakie się działy za jego poprzednika.

„Ze sfer polskiego duchowieństwa — ogłasza *Staatsanzeiger* w dniu 24 kwietnia — słychać skargi, jakoby rezultaty udzielanej w języku polskim nauki religii w szkołach ludowych doznawały

uszczerbku, i że możności zapobieżenia temu uszczerbkowi przez zaprowadzenie prywatnej nauki języka polskiego zamknęło drogę rozporządzenie królewskiej rejencyi, wystosowane do nauczycieli szkół ludowych, a zakazujące im podjęcia się takiej prywatnej nauki. Poprzednik mój w urzędzie wskazywał już niejednokrotnie, że zniesienie nauki języka polskiego w planie szkół ludowych ma na celu jedynie pozyskanie więcej czasu na naukę języka niemieckiego, że atoli interesowanym pozostawia się do woli, czy chcą poza szkołą poczynić kroki, iżby dzieci ich otrzymywały naukę w polskiem czytaniu i pisaniu. Jeżeli, jak się to zdaje, zakaz rejencyi królewskiej dla nauczycieli szkół ludowych miał ten skutek, iż dalszemu rozszerzaniu zarządzeń co do udzielania nauki polskiego czytania i pisania stawiano zapory, to postąpiono sobie zadaleko. Z tego powodu polecam królewskiej rejencyi, iżby nauczycieli szkół ludowych swego obwodu powiadomiła o tem, że udzielanie dzieciom polskim prywatnej nauki polskiego czytania i pisania w obrębie ich gmin będzie im na wniosek do królewskiej rejencyi pozwolone. Interesanci niezawodnie w większej części życzyć sobie będą, iżby ta prywatna nauka udzielaną była w lokalach szkolnych, przeciw czemu nie należy nic mieć do nadmienienia, jeżeli gminy na używanie lokalów szkolnych się zgodzą. — Co do języka, w jakim nauka religii w szkołach ludowych ma być udzielaną..., ponieważ na tem polu pojawiają się skargi, przeto należy ponownie zarządzić zbadanie, czy dzieci polskie, a raczej zapisane jako władające obydwu językami, mogą z zupełnem zrozumieniem naukę religii pobierać w języku niemieckim. Jeżeli tego przyjąć nie można, natenczas należy w miejsce udzielanej po niemiecku nauki religii, zaprowadzić tę naukę w języku polskim".

W kilka dni później po ogłoszeniu tego rozporządzenia, gdy w sejmie pruskim br. Heereman, poseł, należący do stronnictwa Centrum, zwrócił uwagę ministra kultu na nieprzychylne postępowanie władz rządowych względem katolickiego związku nauczycielskiego i na pomijanie w szkołach stosunku, jaki zachodzi między niemi a Kościołem katolickim — hr. Zedlitz miał sposobność w obszernej mowie bliżej określić stanowisko, jakie chce

zająć wobec katolików. „Nie pominę — powiedział minister — pożądanego zbadania stosunków katolickiego związku nauczycielskiego. Nie wytworzyłem sobie jeszcze dostatecznego o tem sądu, to atoli oświadczyć mogę, że wyznanie katolickie nauczycieli nie będzie bynajmniej stanowiło kamienia obrazy... Mówiąc o stosunkach Kościoła i szkoły, poruszył br. Heereman punkt, który mi jest bardzo bliski. Że moment chrześcijańskiego działania i wpływu na szkołę cenię bardzo wysoko, to oświadczam wyraźnie, i że jestem gotów nie cofać się w tym kierunku wobec dotychczasowego stanu rzeczy, tego taić nie będę". Nie bez znaczenia także był zwrot w tej mowie, tyczący się zakonów, iż nigdy nie będzie się sprzeciwiał, z politycznych lub wyznaniowych przyczyn, ich osiedleniu się. Wprawdzie widocznie miał przed oczyma żeńskie zakony, przedewszystkiem te, które się oddają opiece chorych, skoro się odezwał, iż uznaje ofiarę osobistą w najwyższym stopniu, i ze szczególniejszą przyjemnością będzie dlań współdziałać tam, gdzie się tę ofiarę ponosi dla dobra cierpiącej ludzkości. W tem sympatycznem odezwaniu się za tymi zakonami przebija pewne zrozumienie ducha zakonu i może to być otuchą, iż p. minister przynajmniej osobistej niechęci przeciw innym zakonom żywić nie będzie.

KATOLICKI ZWIĄZEK SZKOLNY W AUSTRYI.

Z końcem ubiegłego miesiąca Wiedeń był świadkiem bardzo pocieszającego faktu, bo objawu najwymowniejszego, iż kwestya szkół wyznaniowych, poruszona w austryackiej Radzie państwa przez księcia Liechtensteina i przez uchwały ostatniego kongresu katolików, odbytego we Wiedniu — bynajmniej odłogiem nie leży, lecz coraz szersze koła katolickiego społeczeństwa interesuje i do wspólnej akcyi jednoczy. Oto w dniu 28 kwietnia odbyło się piąte z rzędu od swego założenia w r. 1886 generalne zebranie katolickiego związku szkolnego. Przeszło 4000 osób brało w niem udział, a w ich gronie znalazło się bardzo wiele najwybitniejszych członków arystokracyi wiedeńskiej. Zagaił posiedzenie przewodniczący tegoż związku, dr. Gaspar Schwarz. Przedstawiwszy wymownie smutny stan szkolnictwa w Austryi pod względem wyznaniowym, wyka-

zał, jak słusznie dziś cieszyć się można z zawiązania w tych warunkach katolickiego związku szkolnego, i ile można spodziewać się od niego, skoro w krótkim stosunkowo czasie, bo zaledwie w pięciu latach, pięknymi już cieszy się owocami. Wszystkich oczy następnie z radością zwróciły się na trybunę, gdy na nią wstąpił książę Liechtenstein, i ze zwykłą sobie swadą oratorską i ciętym dowcipem, począł wykazywać bliżej zgubne skutki bezwyznaniowej szkoły, zwłaszcza ludowej, gdzie nauczyciele często bez zasad, mają wychowywać katolicką młodzież — co gorsza, dozwolone to prawem nawet żydom i innowiercom, gdzie modlitwa przed i po nauce, bez żadnej wyznaniowej barwy, każe zapominać dzieciom, jaka różnica między chrześcijańskiem a żydowskiem wychowaniem zachodzi. Temu to zapobiec postawił sobie za zadanie katolicki związek szkolny. Wiadomo, ile trudności miał w samym zawiązku, ile ciosów poniósł od żydowsko-liberalnej prasy. Szkoła wyznaniowa stała się przedmiotem ostrej polemiki. Narazie książę Liechtenstein musiał cofnąć znany swój wniosek, lecz związek, którego książę jest jednym z najczynniejszych członków, nie myślał o złożeniu broni. Spostrzegł, iż jeszcze nie nadeszła pora, w której możnaby się zwycięstwa spodziewać, więc tem energiczniej zabrał się do dzieła, aby opinię publiczną przygotować do walki przeciw bezwyznaniowości, o ile w jego mocy było ożywić ducha katolickiego w społeczeństwie, zwłaszcza wiedeńskiem. Ze sprawozdania, ogłoszonego na temże zebraniu, okazuje się, że już dziś katolicki związek szkolny liczy około 18.000 członków i dobrodziejów, którzy na jego cele złożyli w przeciągu niespełna lat pięciu pokaźną sumę 180.000 złr. Dzięki tej ofiarności, utworzono pięć szkół katolickich, po większej części internatów; postarano się dla nich w ministeryum oświaty o przywileje, przysługujące szkołom państwowym; wspierano tymi funduszami klasztorne szkoły, już dawniej istniejące, lecz przedewszystkiem założono w Währing obszerne katolickie seminaryum nauczycielskie, które, chociaż od roku dopiero istnieje, liczy już 150 internistów w swych murach. Obok tego instytutu otworzoną zostanie w jesieni b. r. szkoła dla dzieci, w której młodzi kandydaci nauczycielscy będą mogli praktycznie zapra-

wiać się do przyszłego swego zawodu. Tenże związek założył swój własny organ, *Die Christliche Familie*, dla łatwiejszego krzewienia zasad i obowiązków chrześcijańskich: w tysiącach egzemplarzy rozrzucił broszury i popularne dziełka między biedniejszą ludnością.

Wobec tych, jak na początek świetnych rezultatów działalności związku, słusznie mógł powiedzieć książę Liechtenstein w swej mowie, iż od czasu jego zawiązania się życie katolickie bardzo się ożywiło, i to nietylko przez działalność na zewnątrz, ile może jeszcze więcej przez to, iż ci, którzy do niego należą, w pierwszej linii poczuwają się do obowiązku zastosować u siebie, w swych własnych rodzinach, te zasady, które chcieliby u innych zaszczepić. Przedewszystkiem zmianę tę widać w dwu większych miastach: Gracu i Wiedniu, w których gdy poprzednio znajdowała się zaledwie garstka rozumnych katolików i to bezczynna, dziś posiadają one potężny legion, który ostatecznie zapanuje nad opinją publiczną w duchu szkół wyznaniowych.

1000-LETNIA ROCZNICA ŚMIERCI FOCYUSZA

Niedawno w Petersburgu obchodziło słowiańskie Towarzystwo dobroczynności tysiączną rocznicę śmierci Focyusza, podnosząc jego religijną i polityczną działalność w schyzmie wschodniego Kościoła. Jaką ona była, nam jestto dobrze znanem, i znane są jej owoce; tem więcej mogą być interesującemi uwagi pióra księcia Meszczerskiego, redaktora *Graždanina*, który znany jest jako ultrakonserwatysta i całą duszą wierzący prawosławny. „Na górze — pisze on — w wyższych warstwach naszego rosyjskiego społeczeństwa, jakaś silna i powodzeniem uwieńczona propaganda religijnej obojętności, pod której pokrywką wszystkie fałszywe nauki znajdują grunt sobie właściwy, od Redstocka do hr. Tołstoja włącznie... Wśród inteligencyi rosyjskiej religia przestała być przedmiotem rozmyślań; wśród wielomilionowego narodu, do dziesiątków milionów oderwanych od Kościoła raskolników, w ostatnich latach musimy dodać wzrastające ciągle sekty. Jasne światła Kościoła (prawosławnego) jedne po drugich gasną, pod wpływem nieubłaganego losu... Dokądkolwiek z propagandą się udajemy, na drodze na-

szej staje niepojęta siła fatalności. Udaliśmy się do Bułgaryi chcąc ją oświecić — ciemność krwawa cały kraj ogarnęła... Chcieliśmy udać się do Abisynii — fale przyniosły z powrotem okręt wiozący misyonarzy... Część swych starań przenieśliśmy aż do Jerozolimy, do samego grobu Zbawiciela, a tam między swymi rozpoczęły się wewnętrzne niesnaski...“

Dziwnym zbiegiem okoliczności zdarzyło się, iż 1000-letnią rocznicę śmierci twórcy schyzmy obchodzono żałobnem nabożeństwem. Pobudziło to jeszcze bardziej księcia Meszczerskiego do głębokiego smutku. „Myśl o odprawieniu żałobnego nabożeństwa po patryarsze Focyuszu w dniu tysiąclecia święcenia jego pamięci, czy nie wygląda w oczach wszystkich, ceniących połączenie naszych cerkwi prawosławnych, tak jak gdyby nie była uroczystością i uroczystem święceniem pamięci Focyusza, lecz przeciwnie, smutnem wobec świata całego złożonem świadectwem, że Kościół ruski nie jest jednym i jedynym Kościołem jednoznaczącym z Kościołem powszechnym? Dziś, jeźli kto ma się cieszyć, to ma się rozumieć tylko Kościół rzymski“. I dalej podaje przyczynę tego smutku: „Alboż można się tem cieszyć, że my stoimy osobno a Grecy osobno? Gdzież to zjawisko radosne? Wszak Kościół grecki jest matką naszą?“ — Nam się wydaje, że urządzenie żałobnego nabożeństwa podczas uroczystości tak ważnych dla prawosławia, bezwiednie stwierdziło prawdę, iż Rosya tylko żałobą może obchodzić pamięć patryarchy Focyusza, który dał początek bolesnej dla Kościoła katolickiego schyzmie wschodniej.

Ks. Marcin Czerniński.

Z dziedziny muzyki kościelnej.

(Muzyka kościelna. Pod redakcyą *ks. dra Józefa Surzyńskiego*. Rok 1890. Poznań — u Jarosława Leitgebra).

Dziesiątym z kolei rocznikiem szacownego miesięcznika darzy nas ks. dr. Józef Surzyński, niezmordowany krzewiciel naprawy muzyki kościelnej w duchu ściśle liturgicznym. Z dwunastu zeszłorocznych po-

szytów wieje pewien smutek, usprawiedliwiony zbyt powolnym postępem umiłowanej sprawy. Z wyjątkiem dyecezyi tarnowskiej, gdzie reforma śpiewu kościelnego pod gorącą opieką miejscowego biskupa upowszechnia się i rozszerza, a Towarzystwo św. Wojciecha czynnie i pomyślnie działa, wszędzie zresztą widać pewien zastój, tak dalece, iż zasłużony redaktor wyraża obawę, azali naprawa muzyki kościelnej nie nastąpi prędzej w polskich zamorskich kościołach — o czem świadczą zamieszczone tu listy z Ameryki — aniżeli na ziemi ojczystej.

Nie ulega wątpliwości, iż czasopismo, którego tytuł wypisaliśmy powyżej, niemało przyczynićby się mogło do zainteresowania ogółu w katolickiem przedsięwzięciu, ogarniającem stopniowo świat cały. Wszakże już w tej nawet Wenecyi, zkąd ongi wyszło zboczenie smaku i niesforność śpiewu religijnego, wybijającego się zpod praw liturgicznych, w tej bazylice św. Marka, której kapela dała hasło zeświecczeniu muzyki kościelnej — dziś pod przywództwem zacnego weneckiego patryarchy, kardynała Agostini, zbawiemy zwrot się poczyna. Pełno podobnych wiadomości w łamach szczupłego, lecz nader ożywionego czasopisma, znaleść można. Dowiadujemy się np. o koncercie historycznym wykonanym przez bractwo św. Cyryla w Taborze, w Czechach, gdzie między innymi odśpiewano dwa motety naszego Mikołaja Zieleńskiego, oraz starą pieśń o św. Stanisławie Diomedesa Catona z r. 1608. Na innem miejscu wydawca podaje znakomite rady przeciw mimowolnemu spuszczaniu głosu w śpiewie, słuszną dodając uwagę, że rozpuszczenie organów pobudza tylko do krzyku, a bynajmniej nie reguluje tonu, i że jedynym środkiem przeciw temu jest odbywanie ćwiczeń *a mezza voce*, i zaprawienie śpiewaków do umiarkowania głosu umiejętnem przyciszaniem skłonności do przodowania w chórze. Przytem znalazło się ciekawe spostrzeżenie, nadające strunom głosowym barometryczne znaczenie, a stwierdzone kilkoletniem doświadczeniem, iż w czasie niepogody chór daleko prędzej bywa narażony na półtonowe spuszczenie, aniżeli gdy powietrze jest czyste i lekkie. W poszycie lutowym znajdujemy wspomnienie o czterech patronach śpiewaków i muzyków, oraz o przyczynach onego wyboru i uczczenia. Słyszeliśmy dotąd tylko o św. Cecylii, pasowanej na chrześcijańską, że tak powiemy, muzę pieśni, skutkiem antyfony na dzień jej święta naznaczonej, a opiewającej, że *cantantibus organis Caecilia Domino decantabat*. Otóż ks. Surzyński wskazuje, iż muzyka ma jeszcze trzech innych patronów, a mianowicie: ŚŚ. Jana Chrzciciela, Grzegorza Wielkiego i Leona Wielkiego. Pierwszy, w północnych Włoszech i w południowych Niemczech aż do

XVII. w. osobno przez muzyków był czczony, z powodu, iż przy jego narodzeniu arcykapłan Zacharyasz, ojciec przesłańca Chrystusowego, utraconą odzyskał był mowę. Ztąd też zapewne Gwido z Arezzo właśnie z hymnu do św. Jana wziął początkowe zgłoski, aby niemi oznaczyć nuty i tony. Św. Leon Wielki, cichy pogromca Attyli, niemałe położył zasługi około podniesienia muzyki kościelnej, i ztąd zaliczonym jest w poczet jej osobliwych patronów. Nareszcie św. Grzegorz Wielki, twórca gregoryańskiego śpiewu, oczywiście podziśdzień szczególnym jest opiekunem wszelkich usiłowań na tem polu podjętych. Jak niegdyś, zebrawszy ściśle liturgiczne pieśni w jednej księdze, przytwierdzić ją polecił łańcuchem do grobu św. Piotra, tak dziś błogosławić musi tym wszystkim, którzy jego duchem owiani, starają się karność i jedność kościelną wprowadzić do tak ważnej części katolickiego obrządku. Wspaniały okólnik ks. biskupa Łobosa, poświęcony św. Grzegorzowi i gregoryańskiej muzyce, z okazyi 1300-letniej rocznicy wstąpienia wielkiego papieża na Stolicę apostolską, streścił działanie jego, oraz znaczenie tego chorału gregoryańskiego, będącego głosem i mową, pełną uczucia i wiary, katolickiego Kościoła[1]. Czasopismo poznańskie z rozkoszą powtórzyło tę poważną odezwę biskupa tarnowskiego, która zaiste powinnaby zagrzać najoporniejsze reformie muzyki kościelnej dusze. Sprawozdanie z działania Towarzystwa św. Wojciecha, w dyecezyi tarnowskiej, świadczy też wymownie o skuteczności zachęt i podniety udzielonej z góry; widzimy tam pierwszą i jedyną w kraju naszym szkołę dyecezalną organistów, utrzymaną ze skromnych funduszów rzeczonego Towarzystwa, w której już kształci się około trzydziestu uczniów, przyszłych krzewicieli katolickiej powagi i jedności w śpiewie kościelnym. Toż Towarzystwo ogłosiło praktyczne dziełko p. t.: „Zasady muzyki“, i uchwaliło wydać dodatek do śpiewnika dyecezalnego, polecając, aby organiści i lud trzymali się jak najściślej tekstu i melodyi onego śpiewnika, z unikaniem samowolnych waryantów. Bardzo zajmującym jest artykulik o genezie „Gorzkich żalów“, onej najwspanialszej poezyi i muzyce, w której upatrywaliśmy odłam dawnych misteryów średnich wieków. I rzeczywiście, „Pasye“, ongi śpiewane przez bractwa Męki Pańskiej, składały się z hymnów łacińskich i polskich naprzemian, co utrudniało prostaczkom śpiewanie ich. Wydrukowano je po raz pierwszy w obecnej formie na początku XVIII. wieku, w 1707 r. w Warszawie, p. t. „Snopek miry“, zaczem się to nabożeństwo nadzwyczaj

---

[1] Por. *Przegl. Powsz.*, t. XXVIII., str. 296. (Listopad 1890).

szybko po kraju upowszechniło, ponieważ było bardzo rzewne a łatwe, bez dawnych przedstawień scenicznych, kosztów i biczowań w intermedyach. Słusznie o „Gorzkich żalach“ piszą tu, iż nuta ich pełną jest majestatyczności, skruchy, łez serdecznych. Dziś owo nabożeństwo zacieśnia się w kościołach; do niedawna pobożny obyczaj śpiewánia Gorzkich żalów z czeladzią podczas Wielkiego Postu istniał po domach chrześcijańskich. Pierwsze silne wrażenia i wzruszenia łączą się w duszy z tą rzewną melodyą, która dzieciom uprzytomniała całą dramatyczność Męki Pańskiej, i nad suche wykłady, potęgą pieśni, „serca nasze przenikała“ zrozumieniem tajemnic bożej miłości. Pierwsze łzy, „czyste, anielskie“, płynęły zazwyczaj obficie w te wieczory wiosenne w izbie czeladniej oświeconej kagankiem, począwszy od tej falującej introdukcyi, zapowiadającej, że opoki się twarde krają, że płaczą rzewnie aniołowie — a więc i nam wypada toczyć smutnych łez krynice, aż do onych dalszych części, niemniej porywających, jak owa rozmowa duszy z Matką żałosną, która jest tylko waryantem pieśni: *Stabat mater* brata Jacopone di Todi, a do której oryginalną melodyę, jeszcze smętniejszą i poważniejszą od ogólnie dziś śpiewanej, odnalazł autor w rękopisie katedry gnieźnieńskiej z XVII. wieku. Znawca pieśni polskich, o których już niejednę wyczerpującą napisał rozprawę, utrzymuje, iż Gorzkie żale są przeważnie pochodzenia polskiego, a wyjątkowo tylko miejscami tekst łaciński naśladują. Szczytna ta poezya niejednokrotnie doczekała się przekładu na inne języki. Istnieją tłumaczenia: łacińskie, litewskie i niemieckie. Wezwanie: „Któryś cierpiał za nas rany“, jest tłumaczeniem łacińskiego: *Qui passus est pro nobis Iesu Christe, miserere nostri*, śpiewanego w Polsce w XVI. i XVII. wieku w czasie postu, po pasyi św. Mateusza.

Redaktor *Muzyki kościelnej* słusznie uczynił, przypominając wielką troskliwość synodów naszych prowincyonalnych względem muzyki kościelnej. Z tych wymieńmy: rozporządzenie synodu warmińskiego za Stanisława Hozyusza, w 1579 r., pozwalające śpiewać po kościołach te tylko pieśni, które są katolickie i starożytne; dalej, uchwałę włocławską z 1568 r., zalecającą, aby „księża proboszczowie dali baczność, by organiści nie wygrywali na organach melodyj świeckich i lubieżnych, przybytkom Pańskim ubliżających, lecz by raczej o podniesienie nabożeństwa, nie zaś o bawienie uszu się starali“; synod piotrkowski z 1621 r. nakazywał śpiewanie przed lub po sumie starej pieśni św. Wojciecha: „Bogarodzica“, dodając, iż zawiera ona w streszczeniu naukę katolickiego Kościoła, ułatwia prostemu ludowi spamiętanie tej ostatniej i pobudza

go do nabożeństwa. — Czyżby i dziś nie należało wznowić owego rozporządzenia? Zdarzyło nam się słyszeć rycerską pieśń „Bogarodzicy“ w cichym kościółku wsi wielkopolskiej: wrażenie było wielce podniosłe i rzewne, a wzruszenie podziśdzień trwa w pamięci.

Polemika z Aleksandrem Polińskim wypełnia sporo miejsca w ostatnim roczniku *Muzyki kościelnej*. Z tej nader zajmującej odprawy, o jednym przynajmniej wspomnimy szczególe. Współpracownik warszawskiego *Echa muzycznego* podniósł rzekome zasługi Lutra około muzyki kościelnej. Tymczasem nikt już nie wierzy w utarty komunał, aby Luter miał być twórcą chorału. Nowsza krytyka i historya, żeby tylko wspomnieć Jansena i Bäumkera, wykazały, iż Luter zaledwie tekst do dwóch chorałów napisał, a melodyi do żadnego, że nie można więc żadną miarą w nim upatrywać twórcy chorału wielogłosowego, kiedy katolicy niemieccy przeciwnie już przed nim posiadali kilka set pieśni choralnych w języku ludowym, a oderwanie od prawdziwej wiary sprowadziło tylko upadek śpiewu liturgicznego w protestantyzmie: nowym bowiem pojęciom religijnym sprzeciwiały się stare obrzędy, z którymi od wieków zrósł się śpiew kościelny.

Stosownie do rozporządzeń kongregacyi obrządków, przywrócenie łacińskiego śpiewu podczas nabożeństwa uroczystego, coraz się bardziej upowszechnia. Użyliśmy z umysłu wyrazu przywrócenia, ponieważ istnieją dowodne ślady, iż lud nasz niegdyś wszystkie liturgiczne hymny śpiewał po łacinie, co się dziś nanowo przyjmuje w parafiach, gdzie gorliwszy pasterz ściślej przestrzega przepisów Kościoła. W kantyczkach, wydanych z początkiem minionego stulecia na Jasnej Górze, widzimy wśród mnóstwa polskich pieśni, liturgiczne hymny podane w łacińskim oryginale, co świadczy, iż je lud w tym języku śpiewał, zgodnie z myślą i duchem Kościoła. Są to głównie pienia przy wystawieniu Najśw. Sakramentu, jak: *O salutaris*, *Tantum ergo* i t. p. Nie sprzeciwiając się bynajmniej śpiewom pobożnym w narodowym języku, owszem, zachęcając do pielęgnowania tej części spadku wiary ojców, Kościół w ważniejszych tylko momentach i obrządkach wymaga ściślejszego zjednoczenia się z katolickim, rzymskim głosem, powtarzającym bez odmiany jednakie w całym świecie modlitwy.

Dopełniając naszego pokłosia z ostatniego rocznika *Muzyki kościelnej*, powtarzamy tu zagadkową wiadomość o tożsamości melodyi epistoły i ewangelii u nas i w dyecezyi kolońskiej, tu i tam daleko piękniejszej, aniżeli w innych krajach katolickich. Autor tego spostrzeżenia, nie odszukał jeszcze źródła owej tożsamości, ale doszedł już, iż

odnieść ją wypada do wysokiej starożytności, ponieważ wskazane melodye już na początku XVI. w. były znane, co pozwala przypuszczać, iż niegdyś używano ich w całym Kościele katolickim. Zajmującą jest także wiadomość we wspomnieniu o Frescobaldim, największym organmistrzu z XVII. w., iż najsławniejszym z jego uczniów był Polak, Andrzej Niżankowski, później organista u Dominikanów w Krakowie, gdzie umarł w r. 1655.

Takich to ciekawych szczegółów nie brak w toku poznańskiego czasopisma, a niniejsza wiązanka powinna zachęcić do liczniejszego zainteresowania się wydawnictwem, gromadzącem pilnie odgłosy z dziedziny muzyki kościelnej, jej czystości pierwotnej i reformy obecnej. Dodatek muzyczny wzbogaca to wydawnictwo całym szeregiem starych i nowych utworów czysto kościelnego natchnienia. Wolelibyśmy widzieć tu większą ilość pierwszych, choć przyznajemy, iż w tym roku spory ich poczet ozdabia poznański miesięcznik. Widnieją tu nazwiska: Palestryny, Arcadelta i Casciolini'ego — znalazła się z XVI. wieku kolenda o właściwym rytmie i zacięciu kolendowem. Historyczną dla nas wartość, obok muzycznego znaczenia, mają dwa hymny Diomedesa Catona z 1606 r. do słów ks. Stanisława Grochowskiego. Hymn na 500-letnią rocznicę narodzin św. Jana Kantego, układu ks. Surzyńskiego, upamiętnia zeszłoroczne jubileuszowe obchody. Uderzyło nas też piękne uharmonizowanie i rozłożenie na głosy hymnu pogrzebowego: *In paradisum*, dalej *Tantum ergo*, oraz *Libera me*. W onych często używanych pieniach, pamięć omylna niekiedy wiedzie do bezwiednych odmian i alteracyi pierwotnej, jednolitej melodyi. Słuszna jest tedy czystość ową pierwotną wznawiać i przypominać.

M.

Z kresów Ameryki północnej.

List II.

Jelenie, kujoty (szakale), niedźwiedzie (a mianowicie brunatne i czarne, cynamonowe i grizzly albo szare), łosie, dzikie owce o wełnie brunatnej, niezmiernie płoche i ostrożne, których stada całe na górach, okalających jezioro Chelan, i w pobliskiej British Columbii napotkać można, oraz bobry skaliste i bobry zwykłe, wreszcie kozice (giemzy) o włosie jak śnieg białym i rogach nie tyle zakrzywionych, jak u giemzy europejskiej — oto mieszkańcy puszczy i gór tutejszych. Zajęcy tu bar-

dzo niewiele, a te, które są, mniejsze są od naszych i w powszechnej u myśliwych pogardzie. Wiewiórek dwa tutaj gatunki: jeden podobny do wiewiórek lasów naszych, tylko o wiele ciemniejszy; drugi, znacznie mniejszy, przypomina w ruchach i zachowaniu się małe małpeczki, od głosu zaś „czip", jaki wydaje, nazwany został chipmunk. Oba te gatunki wiewiórek bardzo są miłe i łaskawe; biegają wpobliżu ludzi i mieszkań ludzkich, bo nikt im też krzywdy nie czyni. Gronostaje, tchórze i łasice leśne zamieszkują dziury drzew i skaliste kryjówki.

Gdzie góry, tam król ptaków być musi. Nad wysokimi skał szczytami unosi się wielki orzeł amerykański — orłem Gór Skalistych także zwany — oglądając się za zdobyczą. Kaczki dzikie, odmienne nieco od naszych, zamieszkują jeziora górskie i stawy, sztucznemi bobrów budowlami utworzone, a prócz nich dwa gatunki kuropatw górskich, które tak się ludzi nie lękają, że je z rewolweru strzelać można. Wróbli tu niema, ale widziałem z ich rodziny szczygły pięknie upierzone; sroki takie same, jak nasze polskie, tak samo skrzeczące, jak nasze. Zauważyłem też jaskółki i sikorki. Ale faktycznie zdumiony byłem, gdy napotkałem w lecie kilka razy kolibry. Maleńkie te i prześliczne ptaszki udają się jeszcze dalej na północ, bo nawet aż do Alaski, w czasie, gdy kwitnie tam opisany przezemnie poprzednio *rubus nutcanus*.

Z gadów widziałem tu tylko węże wodne zielone, nieszkodliwe, i grzechotniki, których w pewnych miejscach po okolicy wielkie jest mnóstwo. I tak np. góra, niedaleko ztąd się znajdująca, pawią zwana (Peacock Mountain), słynie z ich obfitości; wśród skał i rumowiska kamieni gnieżdżą się ich nieprzeliczone gromady.

Wybrałem się tam jednego dnia na polowanie na grzechotniki z kilku prospektorami, opatrzywszy się w grube kije. Ubiłem jednego, mającego cztery stopy długości, a grubego na półtora cala. Grzechotkę odciąłem i na pamiątkę sobie schowałem. Nie będąc obyty z biciem grzechotników, dalej udziału czynnego w tej wyprawie nie brałem, ale ograniczyłem się na przypatrywaniu, jak moi towarzysze to kijami, to kamieniami, to znowu obcasami od butów miażdżyli szkaradne te gady. W przeciągu dwudziestu minut, na przestrzeni nie większej jak 200 stóp kwadratowych, ubili 57 grzechotników, ale wnet dalszej walki zaniechali: z powodu gorąca dnia z cielsk zabitych tych gadów taki szkaradny, zgniły i tak silny fetor zaczął się rozchodzić, że słabo nam się formalnie od tego zrobiło i musieliśmy pobojowisko opuścić. Odcięto tylko od ogonów grzechotki i zabrano. Tych połowę dostałem i zachowałem u siebie, aby je może którego dnia ze sobą do

Europy zabrać. Dopóki leży spokojnie, w słońcu się wygrzewając, lub gdy się po ziemi czołga, wtedy łatwo go ubić; ale istotne jest niebezpieczeństwo, gdy widząc się zagrożonym, grzechotnik zwija się i do rzutu i ukąszenia gotuje; ogon jego wtedy w szybkim jest ruchu, a brzęczące grzechotki szelestem, sobie tylko właściwym, ostrzegają o niebezpieczeństwie. Grzechotnik nigdy sam ludzi nie napada, ale zawsze im z drogi schodzi; tylko nadeptany lub napadnięty, a więc w każdym razie w obronie własnej, do walki staje. Najniebezpieczniejszymi, jak mi mówiono, bywają w miesiącu sierpniu; mają być wtedy ślepe i ściągają się wskutek upałów, panujących podówczas, ze skał do łożysk potoków. Utrzymują niektórzy, że jad grzechotników z Waszyngtonu albo British Columbii nie jest w skutkach swoich tak niebezpieczny, jak grzechotników z Kalifornii, Meksyku albo Ameryki Centralnej. Czy się tak rzecz ma, czy też inaczej, rozstrzygać nie mogę. Symptomata po ukąszeniu przez grzechotnika bywają następujące: prędkie bardzo kłucie w miejscu ranionem, po którem też następuje obrzękłość i znaczne zapalenie; obrzękłość ta posuwa się i rozciąga coraz dalej; część ukąszona sinieje, traci czucie i grozi prędkiem przejściem w gangrenę. Czerwoność, a następnie i siność rozchodzi się od miejsca ukąszonego promieniami, pokazując wyraźnie bieg naczyń ssących, które się niemal w całej długości zapalają. Następuje wkrótce drżenie całego ciała, niespokojność, słabość, zimny pot i częste mdłości, przytem powstaje wielkie pragnienie, nuda, a niekiedy i wymioty. Stary i u nas w Polsce także zachwalany zwyczaj ratowania się od ukąszenia jadowitych wężów, którym jest ssanie świeżych ran, i tu jest w używaniu.

Bywały przypadki, że prospektor, w palec przez grzechotnika ukąszony, palec sobie nożem natychmiast odcinał, aby tylko rozszerzenia się jadu nie dopuścić. Zalecają w każdym razie ponacinanie natychmiastowe świeżej rany, aby obfity wypływ krwi wzniecić, która sama nieraz jad wymywa; poczem przemyć trzeba ranę wodą słoną, lub solą z octem i wodą zmieszaną, albo ranę wygryźć np. kamieniem piekielnym. Jako środek nieomylny wewnętrzny, zalecają wódkę — tej pić, ile tylko człowiek znieść może. Zdarzało się, że ukąszeni wypijali po 3 i 4 butelki wódki, nie czując żadnego oszołomienia. Dobrem i zachwalanem lekarstwem wewnętrznem ma być amoniak w wodzie rozpuszczony (kilkanaście kropel do szklanki wody); gdy się obfite poty pokażą, ukąszonego uważać można za ocalonego.

Innych gatunków wężów tu nie zauważyłem. Jaszczurek wcale nie widziałem, choć się nieraz oglądałem za niemi.

Żab w górach niewiele, a te które są, niczem się nie różnią od żab naszych, począwszy od żabki zielonej, wygrzewającej się na liściach, aż do ropuchy.

Strumienie i jeziora górskie obfitują we wielką mnogość pstrągów, łososiopstrągów i łososi. Kiedy z wiosną wody w potokach górskich głębokie, wówczas to łososie z rzeki Kolumbii do jej dopływów, z tych zaś do potoków hen wysoko w góry się dostają. Łosoś pospolitą jest rybą w Kalifornii, Oregonie i Waszyngtonie; obfitość jego jest wielka i o każdej porze dostać go można. Łosoś z rzeki Kolumbii z dobroci swego mięsa sławny jest na świat cały. Nad rzeką Kolumbią, mianowicie zaś w miejscowościach, gdzie rzeka ta tworzy wodospady, kilkoma ramionami między porohami się przeciskając, napotykamy osady, złożone przeważnie z Indyan i Chińczyków, trudniących się połowem tej ryby. Dostarczają oni ryb przedsiębiorcom amerykańskim, którzy je albo solą, albo też gotują i w puszkach cynowanych na cały świat rozsyłają. Obecnie powstało w Alasce wiele kompanij, trudniących się połowem łososi, ale wszyscy utrzymują, że łosoś Kolumbii smaczniejszy jest od łososia Alaski.

Szczupaka i okonia na pobrzeżu Oceanu Spokojnego nigdzie nie napotkałem.

Z motyli widziałem dwie piękne odmiany pazia królowej. Znalazłem też te same gąsienice, które jako chłopię 7-letnie zbierałem na cmentarzu i piaszczystych polach otaczających Trzemeszno, gniazdo moje rodzinne w Wielkopolsce: tam na karolku i na mleczu, tu zaś na innych roślinach, których botanicznie oznaczyć nie umiem, widziałem gąsienice pazia królowej i ćmy mlecznej.

Gąsienice ćmy mlecznej w takiem czasami mnóstwie się pojawiają, że stają się prawdziwą klęską elementarną. Ze źródła bardzo kompetentnego, bo z ust p. H. Behra, profesora uniwersytetu w Kalifornii, sławnego botanika i wielkiego znawcy i miłośnika motyli, słyszałem, że Indyanie te gąsienice jedzą.

Resztę owadów stanowią muchy, komary i osy takie same jak u nas, tak dokuczliwe i natrętne jak nasze.

Klimat jest tu przysłowiowo zdrowy, i jak na kraj tak znacznie na północ wysunięty, bardzo łagodny. Temperatura pobrzeża Oceanu Spokojnego znacznie jest łagodniejszą od ciepłoty pobrzeży Atlantyku na tej samej szerokości geograficznej. Wpływ ten dobroczynny wywiera szeroki prąd ciepłej wody, znany pod nazwą *Kuro-Sivo* albo prądu Japońskiego, który płynie w Oceanie Spokojnym, na północ od

równika, wzdłuż brzegów Japońskich, następnie zwraca się na wschód i południe wzdłuż wysp Aleutskich, a wkońcu płynie znowu na dół wzdłuż pobrzeża Oceanu Spokojnego Ameryki.

Wywiera on dobroczynny wpływ na wszystkie krainy, począwszy od Alaski aż do południowej Kalifornii, a łagodne wiatry prawie nieustannie od niego ku lądowi wieją. Błogosławione wiatrów tych tchnienie ukróca zimę i niemożebną czyni posuchę. Zima nie jest tu długa: zaczyna się w połowie listopada a z lutym zwykle się kończy. Jak grzmot daleki słychać ze zbliżaniem się wiosny nadchodzenie wiatru ciepłego, który tu czinukiem nazywają. Pod jego tchnieniem prędko śnieg ginie i zielona ukazuje się trawa. W czasie lata klimat jest suchy i gorący, podobnie jak wzdłuż całego tego pasa kraju, leżącego obok wschodnich stoków Gór Kaskadowych, począwszy od Kalifornii aż do British Columbii. Noce jednak są chłodne i bardzo miłe.

Ziemie, wzdłuż brzegów rzeki Okanogan położone, jakoteż potoczyzny albo porzecza mniejszych strumieni, nadają się bardzo dobrze do celów rolnictwa i ogrodownictwa. Rośnie tam kukurydza, pszenica, owies, kartofle, dojrzewają jabłka, gruszki, brzoskwinie, winogrona, melony, kawony, pomidory i wszelkie udają się jarzyny. Przy uprawie ziemi powszechnie, gdzie tylko można, sztucznej używają irrygacyi. Ziemi jednak pod uprawę stosunkowo niewiele, w tej górskiej przeważnie okolicy. Główne jej bogactwo stanowią przepyszne pastwiska, lasy, a co najważniejsza, kopalnie złota i srebra. Przekonany jestem, że okolica ta zajmie w Ameryce za lat kilka jedno z pierwszych miejsc w produkcyi białego szlachetnego metalu. Lecz o tem później pomówię.

Stan Waszyngtonu, którego granica zachodnia przypiera do Oceanu Spokojnego, południową zaś od Oregonu linię graniczną tworzy potężne Kolumbii koryto, sąsiaduje na wschód z Idaho i Montaną, a na północ bezpośrednio styka się z British Columbią w angielskich posiadłościach.

Podobnie jak Oregon, dzielą Waszyngton Góry Kaskadowe na dwie dywizye, a mianowicie na wschodni i zachodni Waszyngton. Hrabstwa (Counties: nazwy te odpowiadają naszym powiatom) Okanogan i Stevens zajmują około $^1/_3$ północnej części wschodniego Waszyngtonu. Każde z nich ma około 7—8000 mil kwadratowych angielskich. Z tej $^1/_3$ północnej części wschodniego Waszyngtonu, Okanogan zajmuje zachodnią, Stevens zaś wschodnią połowę. Oba te powiaty, przylegające do siebie, w ogólnych charakterystycznych rysach tak są podobne, że dokładny opis jednego da w zupełności obraz drugiego. Kraje

te, jak to już na samym początku wyraziłem, są przeważnie górskie, a z wyjątkiem kilku osad górniczych i rozrzuconych tu i owdzie osadników, rzeczywiście niezamieszkane, a przeważna ich część zupełnie jeszcze nie zbadana.

Jak odkrycie rudy srebrnej (żył kwarcowych srebrodajnych) przed trzema laty najważniejszą epokę w historyi County Okanogan stanowi, tak też trzy małe osady górnicze: Conconully, Ruby-City i Loop-Loop, najważniejsze punkta na kresach tych przedstawiają. Leżą one w centrum okręgu górniczego Ruby, także okręgiem górniczym Okanogan, albo obwodem górniczym rzeki Łososiowej (Salmon river mining district) zwanym. Osada Loop-Loop, gdzie mieszkam, odległa jest 3 mile angielskie od Ruby-City, to zaś miasteczko $7^1/_2$ mil angielskich od Conconully, gdzie stolica powiatu.

Okolicę tę, którą opisuję, otworzyli trzy lata temu i, że tak powiem, dla cywilizacyi zdobyli górnicy, albo raczej prospektorzy czyli poszukiwacze za złotem i srebrem, którzy podobnie pionierami byli dla wszystkich krain pobrzeża Oceanu Spokojnego Ameryki, począwszy od Kalifornii, a skończywszy na Alasce. Tu dopiero tak późno wtargnęli, bo ziemie, wchodzące dzisiaj w skład hrabstw Okanogan i Stevens, stanowiły reserwacyą — kraj zastrzeżony wyłącznie dla Indyan — i dopiero przed trzema latami dla białych osadników otworzone zostały. Prospektorzy stanowią tu, prócz niewielu farmerów, ranczerów i tak zwanych *cowboys* (hodowców i pastuchów bydła), nieco Indyan, oraz garstki trapperów (strzelców-myśliwych), główną ludność tutejszej okolicy.

Modest Maryański.

Druk ukończony 30 maja 1891 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnica.

Windthorst i Bismarck. (Dodatek). Przez *ks. Maryana Morawskiego T. J.* . . . . . 1*—16*

Artykuły naukowe i literackie.

Szkoła Hozyusza w Prusiech. Przez *dra Feliksa Koneczn ego* 1, 208

„Laska Marszałkowska“ Sarbiewskiego. Studyum kaznodziejsko-literackie (dok.). Przez *Włodzimierza Piątkiewicza T. J.* 14

Rzut oka na wpływy nowoplatońskie w średnich wiekach. II. (dok.). Przez *dra Witolda Rubczyńskiego* 34

Podróż do puszcz północy i na stepy Kipczaku. (Ułamki ze wspomnień wygnańca z r. 1861—62). II. III. IV. Przez *Maryana Dubieckiego* 52, 171, 384

Historyczny rozwój nihilizmu w Rosyi. I.-II. III. IV. Przez *ks. Stanisława Załęskiego T. J.* 76, 228, 346

Rozwój teoryj fizycznych. Przez *dra Franciszka Tomaszewskiego* 101, 196

Internuncyusz papieski wśród rewolucyi. Przez *F...* 161

Stronnica.

Tłumaczenia z Sarbiewskiego. Przez *Włodzimierza Piątkiewicza T. J.* 248

Hindowie i ich religia. Przez *ks. W. Zaborskiego T. J.* 313

Apostoł trzeźwości (Father Mathew). Przez *M.* . . . 328

Kaznodziejska działalność Sarbiewskiego. Przez *Włodzimierza Piątkiewicza T. J.* 360

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

Materyały do dziejów ostatniego stulecia Rzeczypospolitej polskiej. Trzeci Maj i Targowica. Zebrał i ułożył *S. Korwin. (A. Szarłowski)* 114

Rzemiosła i cechy krakowskie w XV. wieku. Przez *ks. dra Chotkowskiego. (Ks. M. Morawski T. J.)* 119

Pokój duszy. Przez *św. Piotra z Alkantary.* Z angielskiego na polski język przełożył O. Bernard Łubieński 120

Człowiek, jego pochodzenie, rasy i dawność. *Ks. dr. Platz.* Tłumaczył Karol Jurkiewicz. *(Ks. M. Morawski T. J.)* . . 121

Memoryał J. N. Kamińskiego. Wydał i wstępem opatrzył *dr. B. Czarnik.* — Z życia J. N. Kamińskiego. Napisał *dr. B. Czarnik* 122

Malowniczy opis Polski czyli Geografia ojczystego kraju. *Józef Chociszewski* 254

Historya polska dla dorastającej młodzieży. Część I. *Teresa z Potockich Wodzicka* 256

Padwa. Studyum z dziejów cywilizacyi polskiej. Przez *dra St. Windakiewicza.* — Materyały do historyi Polaków w Padwie. Zebrał *dr. St. Windakiewicz.* — O rękopisach poezyj Kallimacha. Przez *dra St. Windakiewicza* 258

Pamiętnik Jana Golliusza, mieszczanina polskiego (1650-1653). Z autografu wydał i wstępem poprzedził *Józef Kallenbach. (Dr. A. Karbowiak)* 260

O pokusach wszechstronnie traktowanych. Przez *ks. licencyata Seweryna Paszkowskiego* 263

Homiletyka. Napisał *ks. Aleksander Ważyński* 409

Organizacya Kościoła w Polsce do połowy wieku XII. Napisał *prof. dr. Władysław Abraham. (Ks. Tadeusz Gromnicki)* 416

Wykład budowy hymnów, w księgach liturgicznych zawartych. Skreślił *ks. dr. Andrzej Retke. (Stanisław Witkowski)* 422

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Poema na zło-to. *Michałowski. (Tytus Sopodźko)* 123

Timotheus. Briefe an einen jungen Theologen. Von *Dr. Franz Hettinger. (Ks. M. Czermiński T. J.)* 127

Stronnica.

L'Ennemie sociale. Histoire documentée... etc. Par *Paul Rosen* 128

Erkenntnisslehre. Von *Dr. Al. Schmid.* 2 Bände 264

Handbuch der katholischen Liturgik. *Dr. V. Thalhofer.* 2. Band. Erster Theil. *(Ks. Augustyn Arndt T. J.)* 269

Jesuiten-Fabeln. Ein Beitrag zur Kulturgeschichte. Von *Bernhard Duhr S. J.* Erste Lieferung 271

Praktisches Handbuch des katholischen Eherechtes. Dr. Matthäus Joseph Binder. Vierte umgearbeitete Auflage von *Dr. Joseph Scheicher* 271

Considérations d'un Romain sur la conduite politique des catholiques en France. Par *le comte Edouard Soderini.* — Le Centenaire de 1789 et la question de l'ordre social en France. Par *F. S. [Ks. prałat Franciszek Starowiejski].* — Debout! pressent appel au clergé et aux catholiques de France. [Par *Miriam*]. — En Avant! sur le terrain catholique. Par *Miriam. (Ks. M. Morawski T. J.)* 427

Z pism czasowych:

(U Wendów). Katholski Posoł, wudawany wot towarstwa ŚŚ. Cyrilla a Methodija w Budyschinje. *(Tytus Sopodźko)* 130

(Bułgarya). Periodiczesko Spisanie na b'łgarsko-to knižowno drużestwo w Sredec (Sofia). *(Tytus Sopodźko)* 272

Z prasy prawosławno-rosyjskiej. *(A. Szarłowski)* 432

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

KWIECIEŃ.

Sprawy Kościoła: Projekt budowy kościołów w archidyecezyi lwowskiej. — Austryacki liberalizm wobec moralności. — Pomnik Husa w Pradze. — Ruch katolicki w Bawaryi. — Zmiana ministra kultu w Niemczech. — Wiece w sprawie zakonów w Poznańskiem. — Głosy protestanckie za zakonami. — Centrum po śmierci Windthorsta. — Prawa fiskalne przeciw zakonom we Francyi. — Opieka rządu nad wolnomularzami i buddystami. — Odezwy biskupów francuskich. Przez *ks. M. Czermińskiego T. J.* 133

Irlandya w r. 1891. List II. Przez *Edmunda Naganowskiego* . 143

Z podróży po Brazylii. Zapiski, dotyczące kolonizacyi tego kraju. II. Przez *Witolda hr. Skórzewskiego* 150

List z Antwerpii o polskich wychodźcach do Brazylii 158

MAJ.

Sprawy Kościoła: Zwrot polityki kulturnej w Niemczech. — Wiec związku nauczycieli katolickich w Westfalii. — Ruch katolicki w Austryi. — List Ojca św. do biskupów austryackich. — Nowe ministeryum włoskie wobec Watykanu. — Nowy rycerski zakon. Przez *ks. M. Czermińskiego T. J.* . 284

Stronnica.

Irlandya w r. 1891. List III. Przez *Edmunda Naganowskiego* . 294

List z Wiednia: Minister „polityki socyalnej". — Powodzenie antysemitów w wyborach. — Znaczenie wyboru księcia Alojzego Liechtensteina. — Pierwsze wystąpienie austryackiej demokracyi socyalnej w agitacyi wyborczej. — Wiedeń rozszerzony i spekulacya budownicza. Przez *Józefa Glinkiewicza* 300

List z Anglii. Przez *ks. Józefa Lassberga T. J.* 306

Z kresów Ameryki północnej. List I. Przez *Modesta Maryańskiego* 308

CZERWIEC.

Sprawy Kościoła: Kongres katolików Portugalii. — Międzynarodowy naukowy kongres w Paryżu. — Konferencye w sprawie antyniewolniczej w Brukseli. — Stowarzyszenie francuskiej katolickiej młodzieży. — Epizod z walki kulturnej we Francyi. — Ulgi dla języka polskiego w Prusiech. — Katolicki związek szkolny w Austryi. — Tysiącletnia rocznica śmierci Focyusza. Przez *ks. Marcina Czermińskiego T. J.* 443

Z dziedziny muzyki kościelnej. (Muzyka kościelna. Pod redakcyą *ks. dra Józefa Surzyńskiego*). Przez *M.* 454

Z kresów Ameryki północnej. List II. Przez *Modesta Maryańskiego* 459

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.